

DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD

GRANICE SZALEŃSTWA

bestseller

New York
Timesa

*Zemsta nie jest rozkoszą bogów,
lecz obowiązkiem ludzi.*

**Douglas Preston
Lincoln Child**

Granice szaleństwa

Przełożył
Robert P. Lipski



Wersja elektroniczna

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[Epilog](#)

[Od autorów](#)

[Biogram autorów](#)

Dla Jaime'a Levine'a

1

DWANAŚCIE LAT TEMU

Musalangu, Zambia

Zachodzące słońce przeświecające przez afrykański busz przywodziło na myśl pożar lasu, tak było złociste i rozpalone w ten parny wieczór, jaki z wolna zapadał nad obozowiskiem. Wzgórza ciągnące się wzdłuż potoku Makwele wznosiły się na wschodzie jak kanciaste zielone kły odcinające się na tle nieba.

Kilka zakurzonych namiotów tworzyło krąg wokół wydeptanego gruntu, ocienionego przez zagajnik starych drzew musasa, których gałęzie rozpościerały się niczym szmaragdowe parasole nad obozowiskiem myśliwych. Smużka dymu z ogniska wzbijała się w górę, niosąc z sobą kuszący aromat drewna mopane i smażonego mięsa antylopy kudu.

W cieniu środkowego drzewa, na przenośnych rozkładanych krzeselkach, po dwóch stronach stołu siedzieli mężczyzna i kobieta, sącząc burbona z lodem. Mieli na sobie zakurzone ubrania khaki, długie spodnie i koszule z długimi rękawami dla ochrony przed muchami tse-tse, które pojawiły się wieczorem. Oboje mieli po dwadzieścia kilka lat. Mężczyzna, wysoki i szczupły, zwracał szczególną uwagę niemal lodowatą bladością, która zdawała się

odporna na afrykańskie upały. Chłód ten nie obejmował jednak kobiety, która leniwie wachlowała się dużym liściem bananowca, rozwichrzając gęstą grzywę kasztanowych włosów, związanych luźno na karku kawałkiem szpagatu. Była opalona i zrelaksowana. Cichy szmer ich rozmowy, przerywanej od czasu do czasu przez śmiech kobiety, był prawie nie do wychwycenia pośród odgłosów afrykańskiego buszu: zewu południowoafrykańskich koczokodanów, skrzeczenia jarząbków i nawoływania amarantek, które to dźwięki zlewały się z pobrzękiwaniem garnków i patelni w namiocie kuchennym. Wieczorną pogawędkę zagłuszał też dobiegający z głębi buszu ryk lwa.

Siedzącymi przy stole byli Aloysius X.L. Pendergast i Helen, od dwóch lat jego żona. Znajdowali się właśnie u kresu myśliwskiego safari na terenie parku łowieckiego Musalangu, gdzie zgodnie z zatwierdzonym przez rząd Zambii programem redukcji populacji zwierząt prowadziło się odstrzał buszboków i dujkerów, małych antylop afrykańskich.

– Masz ochotę na jeszcze jednego drinka? – zwrócił się do żony Pendergast, unosząc w dłoni dzbanek.

– Jeszcze jeden? – odparła z uśmiechem. – Ależ Aloysiusie, chyba nie zamierzasz nastawać na moją cnotę?

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Liczyłem raczej, że spędzimy noc, dyskutując o pojęciu imperatywu kategorycznego u Kanta.

– Otóż to, przed tym zawsze ostrzegała mnie matka. Wybierasz na męża mężczyznę, ponieważ świetnie radzi sobie ze sztucерem, i gdy jest już za późno, orientujesz się, że ma on mózg jak ocelot.

Pendergast zachichotał, upił łyk drinka i spojrzał w głąb szklanki.

– Afrykańska mięta jest dość ostra jak na moje podniebienie.

– Bzdury, Aloysiusie, tęsknisz za swoimi likierami. Jeśli przyjmiesz propozycję pracy w FBI, którą zaoferował ci Mike Decker, będziesz mógł pić likier miętowy dzień i noc.

Pendergast w zamyśleniu upił kolejny łyk i spojrzał na żonę. To niesamowite, jak szybko się opaliła w promieniach afrykańskiego słońca.

– Postanowiłem, że nie przyjmę tej oferty.

– A to dlaczego?

– Nie mam pewności, czy jestem gotów pozostać w Nowym Orleanie, zważywszy na to, co się z tym wiąże – komplikacje rodzinne, nieprzyjemne wspomnienia. Poza tym dość się naoglądałem przemocy, nie uważasz?

– Nie wiem. Niewiele mi mówiłeś o swojej przeszłości.

– Nie jestem stworzony do pracy w FBI. Nie lubię reguł. Tak czy owak dla ciebie cały świat stoi otworem dzięki temu, że pracujesz dla Lekarzy ze Skrzydłami. Możemy zamieszkać gdziekolwiek, grunt, żeby było stamtąd blisko do międzynarodowego lotniska. *Dusze nasze przeto nie rozbrat biorą, lecz ku sobie wzajem dążą jak złoto, co tak kowalne, że cienkim się staje.*

– Nie sprowadzaj mnie do Afryki i nie czytaj Johna Donne’a. Może raczej Kiplinga.

– *Każda kobieta wie wszystko o wszystkim* – znowu zacytował.

– Myślę jednak, że wolałabym, byś oszczędził mi również Kiplinga. Co robiłeś jako nastolatek, uczyłeś się na pamięć Bartletta?

– Między innymi.

Pendergast uniósł wzrok. Ścieżką od zachodu zmierzała w ich stronę jakaś postać. Był to wysoki Murzyn z plemienia Nyimba, ubrany w szorty i brudny podkoszulek; przez ramię miał przerzuconą wysłużoną, starą strzelbę, a w dłoni trzymał sękaty, rozdwojony kij, którym podpierał się jak laską. Gdy zbliżył się do obozowiska, przystanął i na całe gardło wykrzyczał słowa pozdrowienia w języku bemba, którym posługiwano się na tych terenach, a w odpowiedzi usłyszał powitalne okrzyki ze strony namiotu, gdzie mieściła się kuchnia polowa. Dopiero wtedy wszedł do obozu i podszedł do stołu, przy którym siedziało małżeństwo

Pendergastów.

Oboje wstali.

– *Umú-ntú ú-mó umú-sumá á-áfiká* – rzekł na powitanie Pendergast i uściśnął zakurzoną, ciepłą dłoń mężczyzny na sposób zambijski.

Mężczyzna podsunął w jego stronę swoją laskę – w rozwidlenie kija wetknięty był liścik.

– Do mnie? – spytał Pendergast, przechodząc na angielski.

– Od komisarza okręgowego.

Pendergast zerknął na żonę, po czym wziął do ręki liścik i rozłożył.

Mój drogi Pendergaście,

Chciałbym niezwłocznie porozmawiać z tobą przez radio. W obozie Kingazu doszło do nieprzyjemnego – bardzo nieprzyjemnego – zdarzenia.

Alistair Woking

Komisarz Okręgowy

Południowa Luangwa

PS Drogi kolego, wiesz doskonale, że przepisy wymagają, aby w każdym obozie przez cały czas była włączona radiostacja. To wielce kłopotliwe, że musiałem wysyłać do Ciebie gońca.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Helen Pendergast, zerkając mężowi przez ramię. – Jak sądzisz, o jakie nieprzyjemne zdarzenie może chodzić?

– Może jakiś turysta z aparatem fotograficznym padł ofiarą nazbyt nachalnych amatorów nosorożca.

– To nie jest zabawne – powiedziała Helen, ale i tak się zaśmiała.

– Wiesz, że jest pora rui. – Pendergast złożył liścik i wsunął do kieszonki na piersi. – Niestety obawiam się, że nasze łowieckie safari właśnie dobiegło końca.

Podszedł do namiotu, otworzył pudło i zaczął skręcać poszczególne części starej anteny radiowej, a następnie wspiął się

na drzewo musasa, by przymocować ją do jednej z głównych gałęzi. Gdy zszedł na dół, podłączył przewód do prostej, jednopasmowej radiostacji, którą postawił na stole; włączył ją, dostroił urządzenie na odpowiednią częstotliwość i nadał sygnał.

Po chwili usłyszał w odpowiedzi pełen rozdrażnienia, ochryply, urywany głos komisarza okręgowego.

– Pendergast? Na miłość boską, gdzie jesteś?

– W obozie nad potokiem Makwele.

– Do licha. Miałem nadzieję, że jesteś nieco bliżej Banta Road.

Dlaczego, do kroćset, nie masz włączonej radiostacji? Próbuje skontaktować się z tobą już od wielu godzin!

– Czy mogę zapytać, co się stało?

– W obozie Kingazu lew zabił niemieckiego turystę.

– Co za idiota do tego dopuścił?

– To nie tak. Lew wszedł do obozu w biały dzień i rzucił się na mężczyznę, który wracał do swojej chaty z namiotu-stołówki, a następnie zawlókł go, przeraźliwie wrzeszczącego, do buszu.

– I co dalej?

– Na pewno domyślasz się, co było dalej! Żona tego nieszczęśnika wpadła w histerię, w całym obozie zrobił się rwetes, musieli ściągnąć helikopter, żeby ewakuować stamtąd turystów. Personel obozu jest śmiertelnie przerażony. Ten człowiek był w Niemczech bardzo znanym fotografem. To nie wpływa dobrze na interesy!

– Wytropiliście lwa?

– Mamy tropicieli i broń, ale nie ma nikogo, kto zgodziłby się wyruszyć do buszu śladem tego lwa. Nie ma nikogo odpowiednio doświadczonego – albo odważnego. Właśnie dlatego potrzebujemy ciebie, Pendergast. Jesteś nam potrzebny, żeby wytropić tę bestię i... no cóż... odzyskać szczątki tego nieszczęsnego Niemca, póki jeszcze zostało cokolwiek, co można by pochować.

– Nawet nie odzyskaliście ciała?

– Nikt nie ma odwagi, żeby ruszyć tropem tej bestii! Wiesz, jaki jest obóz Kingazu, cały ten gąszcz, jaki rozpanoszył się tam

z powodu kłusowników polujących na słonie. Potrzeba nam cholernie dobrego, wyjątkowo doświadczonego myśliwego. A nie muszę ci chyba przypominać, że zgodnie z warunkami twojej licencji zawodowego myśliwego masz obowiązek rozprawić się z każdą samotną bestią ludojadem, jeżeli będzie to możliwe i konieczne.

– Rozumiem.

– Gdzie zostawiłeś swojego land rovera?

– W Fala Pans.

– Przyjedź najszybciej jak możesz. Nie zawracaj sobie głowy zwijaniem obozu, po prostu zabierz swoje strzelby i przyjeżdżaj.

– To potrwa co najmniej jeden dzień. Jesteś pewien, że nie ma bliżej nikogo, kto mógłby wam pomóc?

– Nie ma nikogo. A w każdym razie nikogo, komu naprawdę bym ufał.

Pendergast spojrzał na żonę. Uśmiechnęła się, mrugnęła i opaloną na brąz dłońią wykonała gest, jakby składała się do strzału.

– Dobrze więc. Zaraz wyruszamy.

– Jeszcze jedno...

W głosie komisarza okręgowego pojawiło się wahanie, a potem na kilka sekund w radiu zapadła cisza zakłócana jedynie szumami i trzaskami.

– O co chodzi?

– To pewnie nic ważnego. Żona napadniętego, która była świadkiem wypadku, powiedziała...

Znowu cisza.

– Tak?

– Powiedziała, że ten lew wyglądał szczególnie.

– Jak to?

– Miał czerwoną grzywę.

– Chcesz powiedzieć, że trochę ciemniejszą niż zwykle? To nic nadzwyczajnego.

– Nie w tym rzecz, że jest ciemniejsza. Grzywa tego lwa jest ciemnoczerwona. Nieomal krwistoczerwona.

Zapadła bardzo długa cisza. I wtedy komisarz okręgowy znów się odezwał:

– Ale, ma się rozumieć, to nie może być ten sam lew. Tamte zdarzenia miały miejsce czterdzieści lat temu w północnej Botswanie. Nigdy nie słyszałem, żeby lew żył dłużej niż dwadzieścia pięć lat. A ty?

Pendergast nie odpowiedział, tylko wyłączył radiostację, a jego srebrzyste oczy zdawały się lśnić pośród zmierzchu zapadającego nad afrykańskim buszem.

2

Obóz Kingazu nad rzeką Luangwą

Land rover toczył się, kolebiąc, Banta Road, legendarną już drogą słynącą z nierówności i kolein. Pendergast energicznie kręcił kierownicą w lewo i w prawo, by ominąć kolejne ziejące dziury; niektóre z nich miały głębokość połowy wysokości zdezelowanej terenówki. Okna były pootwierane szeroko, gdyż klimatyzacja nie działała, a wewnątrz auta wypełniało się kurzem za każdym razem, gdy mijał ich jadący z przeciwka pojazd, lecz na szczęście nie działo się to zbyt często.

Tuż przed świtem wyruszyli znad potoku Makwele, pokonując dystans osiemnastu kilometrów przez busz, bez przewodników i nie mając ze sobą nic prócz broni, wody, suszonego salami i chleba chapati. Do samochodu dotarli około południa. Jadąc już od kilku godzin, mijali sporadycznie rozsiane tu i ówdzie wioski: okrągłe chaty z wiązanych ze sobą patyków, ze stożkowatymi dachami ze słomy, pyliste ulice, po których wałęsało się bydło i kozy. Niebo było bezchmurne, blade, o niemal wodnistym odcieniu błękitu.

Żona Pendergasta bawiła się swoją chustą, owijając nią mocniej włosy w skazanej z góry na przegraną walce z wszechobecnym pyłem. Przywierał do każdego odsłoniętego skrawka spoconej skóry, co sprawiało, że oboje wyglądali, jakby cierpieli na jakąś przewlekłą chorobę.

– To dziwne – powiedziała Helen, gdy w ślimaczym tempie przejechali przez kolejną wioskę, wymijając kurczaki i małe dzieci – że nie ma bliżej żadnego innego myśliwego, który mógłby zająć się tym lwem. Bądź co bądź trudno cię nazwać strzelcem wyborowym.

Uśmiechnęła się do niego; często tak się z nim przekomarzała.

– W tej akurat kwestii liczę na ciebie.

– Wiesz, że nie lubię zabijać zwierząt, których nie mogę zjeść.

– A co z zabijaniem zwierząt, które mogą zjeść nas?

– Może w tym wypadku zrobię wyjątek.

Nieznacznie zmieniła kąt nachylenia osłony od słońca, po czym odwróciła się do Pendergasta, a jej oczy, niebieskie z fiołkowymi plamkami, przymrużyły się lekko w silnym blasku.

– A o co właściwie chodzi z tą czerwoną grzywą? – zapytała.

– To dość niedorzeczne. W tej części Afryki jest popularna stara legenda mówiąca o lwie ludojadzie z czerwoną grzywą.

– Opowiedz mi ją – poprosiła, a jej oczy rozbliły; fascynowały ją lokalne historie.

– Dobrze. Jakies czterdzieści lat temu, w południowej dolinie Luangwy zapanowała susza. Zwierzyny było niewiele. Stado lwów, które polowało w dolinie, zdychało z głodu jeden po drugim, aż w końcu przy życiu została już tylko ciężarna lwica. Przeżyła, rozkopując groby i pozerając trupy na miejscowym cmentarzu.

– To okropne – powiedziała z przejęciem Helen.

– Powiadają, że urodziła lwiątko z ogniste czerwoną grzywą.

– I co dalej?

– Tubylcy byli wściekli, bo bezczeszczeniu ich cmentarza nie było końca. Wreszcie udało im się wytropić lwicę. Zabili ją, oskórowali, a skórę wywiesili, rozciągniętą na drewnianych żerdziach, na głównym placu w wiosce. Następnie urządzili tańce, by uczcić śmierć zwierzęcia. O świcie, kiedy wieśniacy odsypiali po przepiciu kukurydzianym piwem, lew o czerwonej grzywie zakradł się do wioski, zabił trzech mężczyzn, a potem porwał dziecko – małego

chłopca. Jego pogruchotane kości znaleziono kilka dni później wśród wysokich traw, parę kilometrów od wioski.

– Boże święty.

– W ciągu następnych lat Czerwony Lew, albo Dabu Gor, jak go nazywano w języku bemba, zabił i pożarł wielu tubylców. Mówi się, że zwierzę było bardzo sprytne, niemal jak człowiek. Często się przemieszczało i niekiedy przekraczało granicę, by uniknąć schwytania. Miejscowi z plemienia Nyimba twierdzili, że Czerwony Lew nie mógł przeżyć, nie pożywiając się ludzkim mięsem, ale jedząc je, mógł żyć wiecznie.

Pendergast przerwał, by ominąć dół rozmiarów krateru księżycowego.

– I?

– To wszystko.

– Ale co się stało z lwem? Został zabity?

– Wielu zawodowych myśliwych próbowało go wytropić, lecz bez powodzenia. Zwierzę po prostu zabijało dalej, aż umarło ze starości – jeżeli umarło.

Pendergast spojrział na Helen i w dramatyczny sposób wywrócił oczami.

– Ależ Aloysiusie! Wiesz, że to nie może być ten sam lew.

– To może być jego potomek, który odziedziczył po nim tę samą mutację.

– I być może te same upodobania kulinarne – dodała Helen z diabolicznym uśmiechem.

Pod wieczór przejechali jeszcze przez dwie bardziej wyludnione wioski; typowe okrzyki dzieci i muczenie bydła zastąpiło tu brzęczenie owadów. Do obozu Kingazu dotarli po zmierzchu, gdy niebo nad buszem zrobiło się granatowe. Obóz znajdował się nad rzeką Luangwą, na której brzegach wzniesiono skupisko rondevaalów z barem pod chmurką i jadalnią pod dachem.

– Cóż za cudownie usytuowane miejsce – powiedziała Helen,

rozglądając się wokoło.

– Kingazu to jeden z najstarszych obozów safari w kraju – odparł Pendergast. – Został założony w latach pięćdziesiątych, kiedy Zambia wciąż jeszcze stanowiła część Rodezji Północnej, przez myśliwego, który uznał, że zabieranie ludzi na wyprawy, by mogli fotografować zwierzęta, musi być równie ekscytujące jak polowanie na zwierzynę. I o wiele bardziej opłacalne.

– Dziękuję, profesorze. Czy po wykładzie odbędzie się kwiz? Kiedy zajechali na pylisty parking, w barze i stołówce nie było żywej duszy; personel obozu schronił się w okolicznych chatkach. Wszystkie światła były zapalone, a generator chodził pełną parą.

– Nerwowa gromadka – stwierdziła Helen, otwierając drzwi na oścież i wysiadając z samochodu.

Wieczór był parny, powietrze przepęłniały odgłosy cykad. Drzwi najbliższej *rondevaal* otworzyły się, na ubitą ziemię padł snop żółtego światła i z chaty wyszedł mężczyzna w odprasowanym stroju khaki, w skórzanych traperkach i podkolanówkach.

– To komisarz okręgowy Alistair Woking – szepnął do żony Pendergast.

– Nigdy bym się nie domyśliła.

– A towarzyszący mu mężczyzna w australijskim kapeluszu to Gordon Wisley, koncesjonariusz obozu.

– Zapraszam do środka – rzekł komisarz okręgowy, uściskawszy ich dłonie. – W chacie będzie się nam przyjemniej rozmawiało.

– Wielkie nieba, tylko nie to! – zaoponowała Helen. – Przez cały dzień kisiliśmy się w samochodzie. Wypijemy drinka przy barze.

– No cóż... – mruknął z powątpiewaniem komisarz.

– Jeżeli lew wejdzie do obozu, to tym lepiej. Oszczędziłoby to nam zachodu z tropieniem go w buszu. Prawda, Aloysiusie?

– W zupełności się z tobą zgadzam.

Helen wzięła do ręki płócienną torbę ze swoją strzelbą, którą ułożyła z tyłu w land roverze. Pendergast zrobił to samo i zarzucił sobie na ramię ciężką metalową skrzynkę z amunicją.

– To jak? – zapytał. – Idziemy do baru?

– Dobrze. – Komisarz okręgowy niemal z ulgą spojrział na ich broń myśliwską do polowania na grubą zwierzynę. – Misumu!

Afrykanin w filcowym fezie i z czerwoną szarfą wystawił głowę przez drzwi chaty.

– Chcielibyśmy wypić drinka w barze – powiedział Woking. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Udali się do baru z dachem krytym słomą, a barman zajął miejsce za kontuarem z polerowanego drewna. Był spocony i bynajmniej nie z powodu upału.

– Maker's Mark – powiedziała Helen. – Z lodem.

– Dwa – dorzucił jej mąż. – Z odrobiną likieru miętowego, jeżeli akurat macie.

– Dla nas to samo – powiedział komisarz okręgowy. – O ile nie masz nic przeciwko.

– Grunt, żeby był mocny – mruknął Wisley i zaśmiał się nerwowo. – Co za dzień.

Barman przygotował drinki, a Pendergast napił się, by przepłukać gardło.

– Proszę opowiedzieć nam, co się stało, panie Wisley.

Wisley był wysokim rudzielcem z nowozelandzkim akcentem.

– To się stało po lunchu – zaczął. – Mieliśmy w obozie dwanaścioro gości, komplet.

Kiedy mówił, Pendergast rozsunął zamek płóciennego futerału i wyjął swoją strzelbę, dubeltówkę Holland & Holland .645 Royal. Przełamał ją i zaczął czyścić, wycierając kurz, jaki zebrał się na niej po długiej jeździe.

– Co było na lunch?

– Kanapki. Smażona kudu, szynka, indyk, ogórki, mrożona herbata. W upalne dni zawsze serwujemy lekkie posiłki.

Pendergast pokiwał głową, polerując kolbę z drewna orzechowego.

– Z buszu niemal całą noc dobiegał ryk lwa, ale za dnia jakoś się

uspokoilo. Często słyszymy ryki lwów, w gruncie rzeczy to jedna z atrakcji obozu.

– Czarujące.

– Jak do tej pory ani razu nas nie niepokoiły. Nie mogę tego pojąć.

Pendergast spojrział na Wisleya, po czym przeniósł uwagę na strzelbę.

– Zakładam, że ten lew nie był miejscowy?

– Nie. Mamy tu kilka stad, znam każde z tych zwierząt i potrafię je rozpoznać. To był samiec samotnik.

– Duży?

– Wielki jak diabli.

– Na tyle wielki, by znaleźć się w spisie?

Wisley skrzywił się.

– Większy niż te, które mamy w spisie.

– Rozumiem.

– Ten Niemiec, Hassler, i jego żona pierwsi odeszli od stołu. Myślę, że to było około drugiej. Wracali do swojej chaty, kiedy – zgodnie z tym, co powiedziała żona – lew wyskoczył spomiędzy trzcin nad brzegiem rzeki, przewrócił jej męża i zatopił kły w szyi nieszczęśnika. Żona zaczęła krzyczeć wniebogłosy, no i rzecz jasna ten nieszczęśnik też wrzeszczał przeraźliwie. Wszyscy przybiegliśmy w te pędy, ale lew już odciągnął mężczyznę do buszu i zniknął. Nie potrafię wyrazić, jakie to było przerażające. Słyszeliśmy, jak ten nieszczęśnik krzyczy raz po raz. A potem nagle zrobiło się cicho i słyhać było tylko odgłosy... – Nie dokończył.

– Wielkie nieba – powiedziała Helen. – Czy ktokolwiek miał przy sobie strzelbę?

– Ja – odparł Wisley. – Kiepski ze mnie strzelec, ale jak państwu wiadomo, zgodnie z zaleceniem musimy zabierać ze sobą broń, kiedy opuszczamy obozowisko wraz z turystami. Nie ośmieliłem się podążyć za nim w gąszcz wysokich traw – nie jestem myśliwym, panie Pendergast – ale oddałem kilka strzałów w stronę, skąd

dobiegały te dźwięki, i wyglądało na to, że wystarczyły, aby przepłoszyć lwa głębiej do buszu. Może go zraniłem.

– To nie byłoby dobrze – mruknął oschle Pendergast. – Bez wątpienia powłókl ciało za sobą. Czy zabezpieczyliście ślady na miejscu ataku?

– Tak. Oczywiście w czasie paniki, na samym początku, było trochę bałaganu, ale później odgrodziłem to miejsce.

– Wyśmienicie. I nikt nie udał się do buszu w ślad za nim?

– Nie. Wszyscy byliśmy bliscy hysterii. Od wielu dekad nie mieliśmy tu przypadku, żeby lew zabił człowieka. Ewakuowaliśmy wszystkich prócz niezbędnego personelu.

Pendergast pokiwał głową, po czym spojrział na żonę. Ona także czyściła swoją strzelbę, Krieghoff .500/.416, „Wielką Piątkę”, i nasłuchiwała z uwagą.

– Czy od tamtej pory słyszeliście tego lwa?

– Nie. Milczał jak grób przez całą ubiegłą noc i dzień dzisiejszy. Może sobie poszedł.

– Wątpliwe, jeżeli nie skończył ze swoją ofiarą – odrzekł Pendergast. – Lew nie powłókłby zdobyczy dalej niż półtora kilometra. Może pan być pewien, że wciąż krąży gdzieś w okolicy. Czy ktoś inny go widział?

– Tylko żona tego nieszczęśnika.

– I powiedziała, że miał czerwoną grzywę?

– Tak. W pierwszej chwili, rozhisteryzowana, stwierdziła, że głowa zwierzęcia była mokra od krwi. Ale kiedy trochę się uspokoiła, zdołaliśmy wypytać ją dokładniej i wygląda na to, że lwia grzywa była ciemnoczerwona.

– Skąd pan wie, że to nie była krew?

– Lwy bardzo dbają o swoje grzywy – odezwała się Helen. – Regularnie je czyszczą. Nigdy nie widziałam lwa z grzywą ubrudzoną posoką, krew miały zwykle tylko na pysku.

– I co teraz zrobimy, panie Pendergast? – spytał Wisley.

Pendergast upił spory łyk burbona.

– Zaczekamy do świtu. Będę potrzebował pańskiego tropiciela i jednego tragarza broni. No i rzecz jasna moja żona będzie drugim strzelcem.

Nastąpiła cisza. Wisley i komisarz okręgowy patrzyli na Helen. Odpowiedziała uśmiechem na ich spojrzenia.

– Obawiam się, że to.... eee... dość niespotykane – powiedział Woking, odchrząknawszy.

– Bo jestem kobietą? – spytała z rozbawieniem Helen. – Bez obawy, to nie jest zaraźliwe.

– Nie, nie – rozległa się pospieszna odpowiedź. – Tyle tylko że znajdujemy się w parku narodowym i tylko ktoś, kto posiada wydaną przez rząd zawodową licencję, jest uprawniony do dokonania odstrzału.

– Z nas dwojga – odparł Pendergast – moja żona jest lepszym strzelcem. Co więcej, kiedy tropi się lwa w buszu, konieczne jest, aby na miejscu było dwóch doświadczonych strzelców. – Przerwał. – No chyba że pan chciałby być drugim strzelcem?

Komisarz okręgowy zamilkł.

– Nie pozwolę mojemu mężowi, aby poszedł tam sam – powiedziała Helen. – To byłoby zbyt niebezpieczne. Ten nieszczęśnik mógłby zostać poturbowany, albo nawet gorzej.

– Dziękuję, Helen, za pokładaną we mnie wiarę – wtrącił Pendergast.

– Cóż, Aloysiusie, sam wiesz, że chybiłeś dujkera z dwustu metrów. A strzał był prosty jak trafienie w drzwi stodoły, gdy stoi się w środku.

– Daj spokój, przecież wiał wtedy silny wiatr. A zwierzę w ostatniej chwili się poruszyło.

– Zbyt długo zwlekałeś, składając się do strzału. Za dużo myślisz. Na tym polega twój problem.

Pendergast odwrócił się do Wokinga.

– Jak sam pan widzi, to umowa wiązana. Albo bierze nas pan oboje, albo nic z tego.

– Dobrze więc – mruknął komisarz okręgowy, marszcząc brwi. –
Panie Wisley?

Nowozelandczyk z pewnym wahaniem pokiwał głową.

– Spotkamy się jutro rano, o piątej – ciągnął Pendergast. –
Mówilem serio, że potrzeba nam naprawdę dobrego tropiciela.

– Mamy jednego z najlepszych w Zambii. Jasona Mfuniego.
Oczywiście on rzadko wykorzystuje umiejętności tropiciela do celów
polowania, zwykle wynajmują go fotografowie i turyści.

– Grunt, żeby miał nerwy ze stali.

– Ma.

– Będzie pan musiał powiadomić tubylców, żeby trzymali się
z daleka. Nie chcielibyśmy, żeby coś nam przeszkodziło.

– To nie będzie konieczne – odparł Wisley. – Może widzieliście
wyludnione wioski, jadąc tutaj? Nie licząc nas, w promieniu
trzydziestu kilometrów nie ma żywego ducha.

– Wioski opustoszały tak szybko? – zdziwiła się Helen. – Przecież
atak nastąpił zaledwie wczoraj.

– To Czerwony Lew – powiedział komisarz okręgowy, jakby to
wszystko wyjaśniało.

Pendergast i Helen wymienili spojrzenia. Na chwilę w barze
zapadła cisza.

W końcu Pendergast podniósł się, ujął Helen za rękę i pomógł jej
wstać.

– Dzięki za drinka. Czy zechcieliby panowie wskazać nam naszą
chatę?

3

Drzewa gorączkowe

Noc była cicha. Zamilkły nawet porykiwania lokalnych stad, które często rozlegały się w ciemności, a i typowe pogwarki nocnych zwierząt wydawały się bardzo przygaszone. Od strony rzeki dochodziły słaby plusk i szemranie, które w najmniejszym stopniu nie oddawały prawdy o jej rwącym, groźnym nurcie, powietrze było przesycone zapachem wody. Dopiero wraz z przedświttem pojawiły się pierwsze odgłosy czegoś, co wiązało się z cywilizacją – do zbiorników prysznicowych wlewano gorącą wodę w ramach przygotowań do porannej toalety.

Pendergast z żoną opuścili chatę i przeszli do namiotu-stołówki, rozjaśnionego blaskiem żarówki; mieli przy sobie strzelby. Z powodu zachmurzonego nieba nie było widać gwiazd, panowała absolutna ciemność. Siedzieli w milczeniu i bezruchu przez ostatnie czterdzieści pięć minut, ciesząc się swoim towarzystwem i – ze swoistą niewysłowioną symbiozą, jaka charakteryzowała ich małżeństwo – przygotowywali się mentalnie i emocjonalnie do czekającego ich polowania. Helen Pendergast oparła głowę na ramieniu męża. Pendergast gładził ją po dłoni, muskając raz po raz z lubością gwiazdzisty szafir zdobiący jej obrączkę ślubną.

– Nie dostaniesz tego z powrotem – powiedziała w końcu, a jej głos po długim milczeniu wydał się ciut ochryply.

Tylko się uśmiechnął i wciąż gładził ją pieśczołliwie.

Pośród cieni pojawiła się drobna postać trzymająca długą włócznię i ubrana na ciemno w długie spodnie i koszulę z długimi rękawami.

Oboje wyprostowali się.

– Jason Mfuni? – spytał Pendergast półgłosem.

– Tak, proszę pana.

Pendergast wyciągnął rękę.

– Wolałbym, żebyś nie zwracał się do mnie „proszę pana”, Jasonie.

Nazywam się Pendergast. A to moja żona, Helen. Ona woli, żeby mówić do niej po imieniu, ja wolę po nazwisku.

Mężczyzna pokiwał głową i uścisnął dłoń Helen powoli, wręcz flegmatycznie.

– Komisarz okręgowy chce porozmawiać z panią, pani Helen, w mesie.

Helen wstała, Pendergast również.

– Przepraszam, panie Pendergast, zazyczył sobie spotkania w cztery oczy.

– Ale o co chodzi?

– Martwi się o jej doświadczenie myśliwskie.

– To jakiś absurd – rzekł Pendergast. – Przecież już to uzgodniliśmy.

Helen machnęła ręką i zaśmiała się.

– Nie przejmuj się. Najwyraźniej tu jest wciąż jak w Imperium Brytyjskim, gdzie kobiety siedzą na werandzie, wachlując się i mdlejąc na widok krwi. Uświadomię go, jak jest naprawdę.

– Zechciałbyś usiąść, Jasonie?

– Nie, dziękuję.

– Jak długo zajmujesz się tropieniem? – spytał Pendergast.

– Kilka lat – padła lakoniczna odpowiedź.

– Jesteś dobry?

Wzruszenie ramion.

- Boisz się lwów?
- Zdarzało się.
- Zabiłeś kiedyś jakiegoś tą włócznią?
- Nie.
- Rozumiem.

– To nowa włócznia, panie Pendergast. Kiedy zabijam lwa włócznią, ta zwykle się wygina lub łamie, więc muszę mieć potem nową.

W obozie zapanowała cisza, podczas gdy hen za zaroślami zaczęło się robić coraz jaśniej. Minęło pięć minut, potem dziesięć.

– Co im zajmuje tyle czasu? – mruknął z rozdrażnieniem Pendergast.

- Nie chcemy wyruszyć za późno.

Mfuni wzruszył ramionami i oparł się na włóczni, czekając.

Nagle pojawiła się Helen. Usiadła pośpiesznie.

- Wyjaśniłaś mu, co trzeba? – spytał Pendergast, śmiejąc się.

Przez chwilę Helen nie odpowiadała. Zdziwił się bladością jej twarzy.

- Co się dzieje?
- Nic. To tylko... taki niepokój przed polowaniem.
- Wiesz, że zawsze możesz zostać w obozie.
- O nie – rzuciła zdecydowanie. – Nie mogłabym tego przegapić.
- Wobec tego ruszajmy.

– Jeszcze nie – rzekła półgłosem i dotknęła chłodną dłońią ramienia męża. – Aloysiusie... czy wiesz, że zapomnieliśmy obejrzeć wspólnie wschód księżyca? Była pełnia.

- Zważywszy na tę aferę z lwem, wcale mnie to nie dziwi.

- Popatrzmy przez chwilę, jak zachodzi.

Ujęła go za rękę i zacisnęła jego dłoń w swoich, co jak na nią było niezwykłym gestem. Jej dłoń nie była już chłodna.

- Helen...

Ścisnęła go za rękę.

- Nic nie mów.

Księżyc w pełni zniknął w buszu, po drugiej stronie rzeki, żółtawy dysk opadał pośród fiołkowo-różowego nieba, a jego odbicie marszczyło się na wzburzonych, wartkich falach rzeki Luangwa. Po raz pierwszy spotkali się nocą podczas pełni księżyca i wspólnie obserwowali jego wschód; od tej pory stało się to swoistą tradycją w ich związku, zanim jeszcze zostali małżeństwem, jak i później. Niezależnie od tego, co działo się w ich życiu, niezależnie od wyjazdów służbowych i obowiązków, którym musieli sprostać, zawsze starali się być razem w czasie pełni księżyca, aby móc ją wspólnie podziwiać.

Księżyc dotknął odległych wierzchołków drzew po drugiej stronie rzeki, po czym wślizgnął się za nie. Niebo pojaśniało i w końcu księżyc zniknął w gęstwinie zarośli. Tajemnica nocy minęła; nadszedł dzień.

– Żegnaj, stary księżycu – rzucił żartobliwie Pendergast.

Helen ścisnęła jego dłoń, po czym wstała, kiedy z chaty, gdzie znajdowała się kuchnia, wyszli komisarz okręgowy i Wisley. Towarzyszył im trzeci mężczyzna, bardzo wysoki, szczupły, o zapadniętej twarzy. Miał żółte oczy.

– To Wilson Nyala – powiedział Wisley. – Wasz tragarz broni.

Nastąpiły uściski dłoni. Obsługujący ich poprzedniego wieczoru barman przyszedł do kuchni z dużym dzbankiem herbaty lapsang suchong i rozlał gorący mocny napar do filiżanek.

Pili szybko i w milczeniu. Pendergast odstawił filiżankę.

– Jest dość jasno, żebyśmy mogli rzucić okiem na miejsce ataku.

Nyala zarzucił strzelby na ramiona i ruszyli pylistą ścieżką biegnącą wzdłuż rzeki. W miejscu, gdzie ścieżka mijała gęste skupisko krzewów miombo, cały teren był odgradzony palikami, na których rozciągnięto sznury. Pendergast ukląkł, by zbadać tropy. Na ziemi dostrzegł kilka śladów sporego zwierza, a obok nich kałużę zakrzepłej już, poczerniałej i spękanej krwi. Gdy rozglądał się dokoła, w myślach odtwarzał przebieg ataku. To, co się wydarzyło, było dość oczywiste: zwierzę wyskoczyło z zarośli,

rzuciło się na mężczyznę i złapało go zębiskami. Ślady na ziemi wskazywały, gdzie lew zawłókł swoją szamocącą się jeszcze ofiarę, pozostawiając rozmazaną szeroką smugę posoki.

Pendergast wstał.

– Zrobimy tak. Ja będę dwa i pół metra za Jasonem, trochę na lewo od niego. Helen następne dwa i pół metra, nieco w prawo za mną. Wilsonie, ty trzymaj się za nami.

Zerknął na żonę, która lekko kiwnęła głową na znak aprobaty.

– Kiedy nadejdzie czas – ciągnął – poprosimy o broń. Podasz ją nam zabezpieczoną. Od mojej strzelby odepnij pasek, nie chcę, żeby zaczepił się o krzewy.

– Ja wolę, żeby moja strzelba miała pasek – rzekła oschle Helen.

Wilson Nyala pokiwał kościstą głową.

Pendergast wyciągnął rękę.

– Poproszę o moją strzelbę.

Wilson podał mu broń. Pendergast przełamał ją, sprawdził lufy, włożył dwa pociski typu nitro express .465 z miękkim czubkiem, wielkie jak kubańskie cygara, zamknął strzelbę i upewniwszy się, że jest zabezpieczona, oddał tragarzowi. Helen zrobiła to samo ze swoją strzelbą, załadowując do niej breneki .500/.416 z miękkimi czubkami.

– To dość spora broń, jak na tak drobną i szczupłą kobietę – powiedział Woking.

– Uważam, że wielkokalibrowe strzelby są naprawdę podniecające – odparła Helen.

– Powiem tylko – ciągnął Woking – że cieszę się, że nie pójde do buszu za tą bestią, niezależnie, czy z wielkokalibrową strzelbą czy bez.

– Kiedy ruszymy, starajcie się utrzymywać zwartą formację trójkąta – rzekł Pendergast, przenosząc wzrok z Mfuniego na Nyalę i z powrotem. – Wiatr nam sprzyja. Nic nie mówcie, chyba że to będzie absolutnie konieczne. Posługujcie się gestami dłoni. Latarki zostawcie tutaj.

Wszyscy potaknęli. Atmosfera fałszywej radości bardzo szybko wyparowała, gdy czekali w milczeniu, aż słońce wzejdzie dostatecznie wysoko, by rozproszyć zalegające w gąszczu cienie. Wreszcie Pendergast dał Mfuniemu znak, aby ruszył naprzód.

Tropiciel wszedł do buszu, trzymając w jednej ręce włócznię i podążając śladami krwi. Trop nieco oddalił się od rzeki przez gęstwinę kolczastych krzewów i nieco rzadsze zarośla mopane, ciągnące się wzdłuż niewielkiego dopływu Luangwy, zwanego potokiem Chitele. Szli wolno, podążając za śladami widocznymi na liściach i trawie. Tropiciel przystanął, by wskazać włócznią na miejsce, gdzie trawa była wygnieciona. Widniała tam sporej wielkości kałuża, wciąż jeszcze wilgotna, a liście dokoła zbryzgane zostały krwią tętniczą. To właśnie tu lew zawłókł swoją ofiarę i zaczął się po raz pierwszy pożywiać, choć ofiara żyła jeszcze, i stąd przepłoszyły go strzały.

Jason Mfuni pochylił się i bez słowa coś podniósł – wylizaną do czysta połowę zuchwy z zębami i śladami kłów na obrzeżach. Pendergast spojrział na nią bez słowa. Mfuni odłożył zuchwę na ziemię i wskazał na prześwit w ścianie zarośli.

Przeszli przez otwór i otoczył ich gęsty zielony busz. Mfuni przystawał co dwadzieścia metrów, by nasłuchiwać i węszyć albo badać uważnie każdy rozmazany ślad krwi na liściach. Do tego miejsca ciało już się wykrwawiło i trop stał się słabszy, tu i ówdzie widać było jedynie drobne kropelki i rozmazane smugi posoki.

Tropiciel zatrzymał się dwukrotnie i wskazał splachetki wygniecionej trawy, gdzie lew położył ciało, by lepiej uchwycić je zębami i powlec dalej. Dzień wstawał szybko, słońce wylaniało się ponad wierzchołkami drzew. Pomijając nieustanne brzęczenie owadów, ten szczególny poranek był nienaturalnie cichy i pełen napięcia.

Podążali tropem lwa prawie dwa kilometry. Słońce wzniosło się ponad horyzont, przebijając gąszcz palącymi promieniami, a wokół zrobiło się gęsto od brzęczących chmar much tse-tse. Powietrze

przepełniła ciężka woń kurzu i traw. Wyszli w końcu z gęstwiny veldtu na sprazoną słońcem nieckę, na której obrzeżach rosły akacje, a ku opalizującemu niebu wznosił się jak iglica kopiec termitów. Pośrodku niecki można było dostrzec coś nieopisanego, czerwono-białego, otoczonego brzęczącą chmarą much.

Mfuni ostrożnie postąpił naprzód, Pendergast, Helen i tragarz broni ruszyli za nim. Zebrali się w milczeniu wokół na wpół pozartego ciała niemieckiego fotografa. Lew otworzył mu czaszkę, wyzerając twarz, mózg i większą część torsu, pozostawił idealnie białe, nienaruszone nogi, wylizane do czysta z krwi, i jedną oderwaną rękę; w zaciśniętej kurczowo pięści wciąż tkwiła kępka wyrwanej sierści. Nikt się nie odezwał. Mfuni schylił się i wyłuskał kępkę sierści z dłoni, odłożył urwane ramię na ziemię i uważnie przyjrzał się włosom. Następnie podał kępkę sierści Pendergastowi. Była ciemnoczerwona. Pendergast przekazał ją Helen, która po obejrzeniu oddała ją Mfuniemu.

Podczas gdy inni pozostali przy zwłokach, tropiciel powoli okrążył nieckę, szukając śladów na zasadowym gruncie. Przyłożywszy palec do ust, wskazał ponad wyschniętą nieckę, w głąb *vlei*, w czasie pory deszczowej podmokłej depresji, którą teraz, w czasie pory suchej, wypełnił gąszcz traw o wysokości około czterech metrów. Kilkaset metrów dalej wznosił się zagajnik wielkich poskręcanych drzew gorączkowych *mukanya-kude*, których korony, przywodzące na myśl parasole, odcinały się na tle horyzontu. Tropiciel wskazał na wygniecione trawy w miejscu, gdzie lew wszedł w gęstwinę. Po chwili mężczyzna wrócił i z pełną powagi miną wyszeptał Pendergastowi do ucha:

– Jest tam. – Wskazał włócznią zarośla. – Odpoczywa.

Pendergast pokiwał głową i zerknął na Helen. Wciąż blada, wyglądała na całkiem spokojną, wzrok miała chłodny i pełen determinacji. Nyala, tragarz broni, był zdenerwowany.

– O co chodzi? – spytał półgłosem Pendergast, odwracając się do niego.

Murzyn wskazał w stronę wysokich traw.

– Ten lew sprytny. Za sprytny. Bardzo złe miejsce.

Pendergast zawahał się, wodząc wzrokiem od tragarza przez tropiciela po zarośla i z powrotem. Następnie gestem dał tropicielowi znak, aby poszedł za nim.

Powoli, ukradkiem weszli w gąszcz wysokich traw. Widoczność zmalała do niespełna pięciu metrów. Proste źdźbła traw szeleściły i szemrały zgodnie z ich ruchami, stojące powietrze przesyciła dławiąca woń rozgrzanej trawy. Gdy zagłębili się w zarośla, spowił ich zielony zmierzch, brzęczenie owadów przeszło w jednostajne zawodzenie.

Gdy zbliżyli się do zagajnika drzew gorączkowych *Acacia xanthopholea*, tropiciel zwolnił, uniósł rękę i wskazał nią na nos. Pendergast wziął głęboki wdech i poczuł słabą piżmową woń lwa, na którą nakładał się słodkawy fetor padliny.

Tropiciel przykucnął i dał pozostałym znak, żeby zrobili to samo – widoczność wśród traw tuż przy ziemi była nieco lepsza i właśnie tu mieli większą szansę dostrzec błysk płowej lwiej skóry, zanim drapieznik ich zaatakuje. Powoli weszli w zagajnik drzew gorączkowych, posuwając się noga za nogą. Wyschnięty muł stwardniał na kamień i nie odcisnęły się na nim żadne ślady, ale zgięte i połamane źdźbła trzcin i traw wyraźnie wskazywały drogę, którą przemieszczał się lew.

Tropiciel znowu się zatrzymał, dając znak, że powinni porozmawiać. Pendergast i Helen podeszli, po czym przykucnęli we trójkę wśród wysokich trzcin, szepcząc na tyle głośno, by można ich było usłyszeć poprzez brzęczenie wszechobecnych owadów.

– Lew gdzieś przed nami, dwadzieścia, trzydzieści metrów. Porusza się wolno. – Na twarzy Mfuniego pojawił się wyraz zatroskania. – Może powinniśmy zaczekać.

– Nie – wyszeptał Pendergast. – Właśnie teraz mamy najlepszą szansę, żeby go dopaść. Jest najedzony.

Ruszyli naprzód, na niewielką przecinkę, nieporośniętą trawą

ani trzcinami, o rozmiarach niespełna trzech metrów kwadratowych. Tropiciel przystanął, węsząc, po czym wskazał w lewo.

– Lew – wyszeptał.

Pendergast spojrział na wprost, potem w lewo, pokręcił głową i wskazał za siebie.

Tropiciel skrzywił się i nachylił, by wyszeptać Pendergastowi do ucha:

– Lew krąży w lewo. Bardzo sprytny.

Pendergast znowu pokręcił głową. Nachylił się do Helen.

– Zostań tu – wyszeptał, muskając wargami jej ucho.

– Ale tropiciel...

– Myli się. Zostań tu, ja przejdę jeszcze parę metrów. Jesteśmy prawie przy samym końcu *vlei*. Będzie chciał pozostać w ukryciu, a kiedy pójde naprzód, poczuje się jak pod presją. Może zaatakować. Bądź gotowa i miej cały czas wolne pole strzału po mojej prawej stronie.

Pendergast gestem poprosił o broń. Ujął metalowe lufy, rozgrzane w upale, i wsunął pod ramię. Kciukiem zwolnił bezpiecznik i podniósł noktowizor z muszką z kości słoniowej, aby móc lepiej widzieć cel w panującym wśród traw półmroku. Nyala podał Helen jej strzelbę.

Pendergast wszedł w gąszcz drzew, dokładnie na wprost, a tropiciel pomaszerował za nim w grobowej ciszy; na jego twarzy malowało się przerażenie.

Przedzierając się przez zarośla, stawiając kolejne kroki z najwyższą ostrożnością, Pendergast nasłuchiwał z uwagą tego szczególnego kaszlnięcia, które będzie sygnałem do ataku. Będzie miał czas oddać tylko jeden strzał; szarżujący lew potrafi przebiec sto metrów w zaledwie cztery sekundy. Czuł się bezpieczniej, mając za sobą Helen, w ten sposób mieli podwójną szansę na zabicie bestii.

Po przejściu dziesięciu metrów Pendergast przystanął i czekał.

Tropiciel stanął obok niego, wyraźnie niezadowolony. Na długie dwie minuty zamarli w zupełnym bezruchu. Pendergast słyszał tylko owady. Broń w jego spoconych dłoniach zaczęła robić się śliska, na języku poczuł alkaliczny smak. Słaby wietrzyk, widoczny, choć niewyczuwalny, kołysał otaczającymi ich trzciniami, które klekotały, uderzając o siebie. Brzęczenie owadów zaczęło słabnąć, aż w końcu ucichło zupełnie. Zapanowała kompletna cisza.

Powoli, nie poruszając żadną inną częścią ciała, Mfuni wyciągnął jeden palec i ponownie wskazał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo.

Pozostając w absolutnym bezruchu, Pendergast podążył za tym gestem wzrokiem. Wejrzał w półmrok panujący wśród traw, usiłując wypatrzeć błysk płowej sierści albo bursztynowe ślepie. Nic.

Ciche kasznięcie – a potem przeraźliwa, rozdzierająca ciszę eksplozja dźwięków, gardłowy ryk popłynął w ich stronę z prędkością pociągu ekspresowego. Nie z lewej strony, ale z miejsca dokładnie na wprost nich.

Pendergast odwrócił się szybko, gdy spomiędzy traw wyskoczyła rozmyta smuga mięśni i spowitego w płową, rdzawoczerwoną skórę cielska; dostrzegł rdzawoczerwoną paszczę wypełnioną ostrymi jak sztylety kłami; wystrzelił raz przy wtórze głośnego ba-ach!, opróżniając jedną komorę, ale nie zdążył dobrze złożyć się do strzału. Lew już był przy nim – ogromny, cuchnący, drapieżny kot ważący prawie dwieście sześćdziesiąt kilogramów przewrócił go na wznak, a potem Pendergast poczuł kły, jak rozpalone do czerwoności noże zagłębiające się w jego ramieniu, i krzyknął, próbując wyslizgnąć się spod przygniatającego go cielska, wolną ręką zaś szukał po omacku strzelby, którą upuścił.

Lew był tak dobrze ukryty, atak tak szybki, a dystans tak krótki, że Helen Pendergast nie zdążyła strzelić, zanim drapieżnik dopadł jej męża – a potem było już za późno; znajdowali się zbyt blisko, aby mogła zaryzykować strzał. Opuściła swoją kryjówkę dziesięć

metrów za mężem i zaczęła się przedzierać przez gąszcz traw, krzycząc i usiłując zwrócić na siebie uwagę monstrualnego lwa; gnała w stronę, skąd dochodził przerażający, stłumiony, wilgotny warkot. Dotarła na miejsce w momencie, gdy Mfuni wbił włócznię w brzuch zwierzęcia – bestia większa niż przeciętny lew puściła Pendergasta i zamachnąwszy się łapą, wyrwała spory fragment tkanek z nogi tropiciela, po czym pobiegła w stronę traw, z włócznią wciąż jeszcze tkwiącą w jej brzuchu.

Helen starannie złożyła się do strzału i mierząc w grzbiet oddalającego się zwierzęcia, strzeliła; odrzut potężnego pocisku mocno nią wstrząsnął.

Strzał chybił. Lew zniknął.

Helen podbiegła do męża. Wciąż był przytomny.

– Nie – wychrypiał Pendergast. – Pomóż jemu.

Spojrzała na Mfuniego. Leżał na wznak, krew tętnicza tryskała na wyschniętą ziemię z miejsca, gdzie strzęp mięśni łydki u jego prawej nogi zwisał na cienkim pasemku skóry.

– Jezu.

Oderwała dolną połę koszuli, mocno skręciła i owinęła ponad uszkodzoną tętnicą. Rozejrzała się dokoła i znalazła odpowiedni patyk, który włożyła pod materiał, i zakręciwszy parę razy, stworzyła w ten sposób prowizoryczną opaskę uciskową.

– Jasonie? – rzuciła stanowczym tonem. – Trzymaj się, Jasonie!

Twarz tropiciela była złana potem, oczy rozszerzone i rozedrgane.

– Przytrzymaj ten patyk. Poluzuj trochę, jeżeli noga zacznie drętwieć.

Jason aż wybałuszył oczy.

– *Memsahib*, lew wraca.

– Po prostu trzymaj...

– On wraca! – W głosie Mfuniego pojawiło się przerażenie.

Ignorując słowa tropiciela, Helen skupiła uwagę na mężu. Leżał na wznak, twarz miał poszarzałą. Jego ramię było zniekształcone i pokryte krzepnącą już krwią.

– Helen – wychrypiał, próbując się podnieść. – Weź moją strzelbę. Ale już.

– Aloysiusie...

– Na miłość boską, weź moją strzelbę!

Ale było już za późno. Przy wtórze kolejnego ogłuszającego ryku lew wyskoczył z ukrycia, wzbijając dokoła kaskady kurzu i źdźbeł traw, po czym rzucił się na nią. Helen krzyknęła jeden raz i próbowała go odepchnąć, ale napastnik schwycił ją za rękę. Słysząc było ostry trzask pękającej kości, kiedy lew zatopił kły w jej ciele, i ostatecznie, co Pendergast ujrzał, zanim stracił przytomność, był widok jego żony szamocącej się, krzyczącej przeraźliwie, ale przez cały czas usiłującej walczyć, kiedy zwierzę zaczęło wlec ją w gęstwiny traw.

4

Świat znów nabrał ostrości. Pendergast znajdował się w jednej z *rondevaal*. Przez trzcinowy dach usłyszał odległy dźwięk zbliżającego się helikoptera.

Usiadł z głośnym jękiem bólu, by zobaczyć, jak komisarz okręgowy poderwał się z krzesła pod przeciwną ścianą chaty.

– Nie przemęczaj się – rzekł Woking. – Helikopter ratunkowy zaraz tu będzie, wszystkim się zajmiemy...

Pendergast podniósł się chwiejnie.

– Moja żona! Gdzie ona jest?

– Zachowaj spokój...

Pendergast zwiesił nogi z łóżka i wstał napędzony czystą adrenaliną.

– Moja żona, ty sukinsynu!

– Nic nie można było zrobić, została zawleczone w zarośla, mieliśmy jednego człowieka nieprzytomnego, a drugiego wykrwawiającego się na śmierć.

Pendergast, zataczając się, dotarł do drzwi chaty. Jego strzelba wciąż tam była, stała na stojaku. Sięgnął po nią, przełamał i zobaczył, że w komorze wciąż tkwi jeden pocisk.

– Co ty wyprawiasz, na Boga...?

Pendergast zamknął strzelbę i wycelował w komisarza okręgowego.

– Z drogi.

Woking usunął się na bok, a Pendergast, powłócząc nogami, wyszedł z chaty. Słońce zachodziło. Minęło dwanaście godzin. Komisarz okręgowy wybiegł w ślad za nim, machając rękami.

– Na pomoc! Ratunku! Ten człowiek oszalał!

Pendergast wszedł w zarośla i zaczął przedzierać się przez wysokie trawy, aż odnalazł trop bestii. Nie słyszał nawet gorączkowych okrzyków dochodzących za nim z obozowiska. Biegł starym tropem, rozgarniając gąszcz i nie zważając na ból. Minęło pięć, dziesięć, piętnaście minut, aż w końcu dotarł do wyschniętej niecki. Poza nią rozciągało się *vlei*, gąszcz traw i zagajnik drzew gorączkowych. Z głośnym westchnieniem, chwiejąc się, przeszedł przez nieckę. Zaczął torować sobie drogę przez zarośla lufą strzelby, którą trzymał zdrową ręką, zataczając przed sobą półkola w tę i z powrotem. Ptaki wzbiły się w niebo z głośnym skrzeczeniem, zaskoczone tym nagłym wtargnięciem. Płuca Pendergasta płonęły żywym ogniem, ramię ociekało krwią. Ale mimo to uparcie brnął naprzód, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki. W pewnej chwili przystanął, a ochryple odgłosy uwięzły mu w gardle. Wśród traw na wprost niego coś leżało, coś małego, bladego, walającego się na sprażonej słońcem pylistej ziemi. Spojrzał. Była to oderwana ręka – dłoń z serdecznym palcem, który zdobiła obrączka ślubna z gwiazdzistym szafirem.

Z dzikim okrzykiem wściekłości i bólu, powłócząc nogami, ruszył naprzód, aż wyszedł spomiędzy wysokich trzcin na otwartą przestrzeń, gdzie leżał, pożywiając się spokojnie, lew z krwistoczerwoną grzywą. Pendergast w jednej chwili ogarnął wzrokiem całą tę upiorną scenę: kości, z których zwieszały się strzępy tkanek, kapelusz jego żony, postrzępione resztki jej ubioru khaki, a potem nagle wychwycił zapach, słaby, lecz wyczuwalny, jej perfum mieszający się z odorem zwierzęcia.

Na samym końcu spostrzegł głowę. Leżała oderwana od ciała, lecz nietknięta. Jej niebieskofioletkowe oczy wpatrywały się w niego niewidzącym wzrokiem.

Pendergast niepewnym krokiem zbliżył się do lwa na dziesięć metrów. Bestia uniosła monstrualny łeb, oblizwała językiem okrwawione szczęki i spojrzała na niego ze spokojem. Oddychając krótko i gwałtownie, Pendergast zdrową ręką uniósł strzelbę, podparł ją na uszkodzonej ręce i złożył się do strzału, patrząc przez muszkę z kości słoniowej. A potem nacisnął spust. Potężny pocisk do polowań na grubego zwierza trafił lwa pomiędzy ślepia i nieco ponad nimi, otwierając czaszkę bestii jak puszkę sardynek; czerep eksplodował w chmurze czerwonej mgiełki. Wielka bestia o gęstej czerwonej grzywie nawet nie drgnęła, osunęła się tylko na szczątki swojej ostatniej ofiary i znieruchomiała.

Dokoła, pośród sprażonych słońcem drzew gorączkowych, tysiące ptaków zareagowało ochryplym skrzeczeniem.

5

WSPÓŁCZEŚNIE

Parafia St. Charlesa, Luizjana

Rolls-royce grey ghost przejechał przez okrągły podjazd, a suchy chrząst żwiru pod oponami był tu i ówdzie wytłumiony przez splachetki palusznika krwawego. Za limuzyną podążał srebrny mercedes, najnowszy model. Oba samochody zatrzymały się przed wielką rezydencją kolonialną w stylu greckiego odrodzenia, otoczoną czarnymi dębami obwieszonymi pękami mchu hiszpańskiego. Niewielka spiżowa tabliczka wpuszczona w fasadę informowała, że rezydencja Penumbra została wzniesiona w 1821 roku przez rodzinę Pendergastów i włączono ją do krajowego rejestru zabytków.

A.X.L. Pendergast wysiadł z tyłu rolls-royce'a i rozejrzał się dokoła, lustrując całą okolicę. Było późne popołudnie jednego z ostatnich dni lutego. Łagodne światło przeświecało między greckimi kolumnami, rzucając złociste smugi na zadaszoną werandę. Rzadka mgiełka przelewała się nad trawnikiem i zarośniętym chwastami ogrodem. Nieco dalej, w cyprysowym gaju i na namorzynowych mokradłach, rozlegało się leniwe brzęczenie cykad. Miedziane wykończenia balkonów na pierwszym piętrze

były pokryte grubą warstwą grynszpanowej patyny. Z kolumn zwieszały się wąskie, kręcone pasemka białej farby, a nad całą rezydencją i okolicznymi terenami unosiła się atmosfera ogólnego zaniedbania.

Z mercedesa wysiadł osobliwy dżentelmen, niski, krępy, w czarnym zakiecie męskim i z białym goździkiem w butonierce. Wyglądał raczej jak maître d'hôtel edwardiańskiego klubu dla mężczyzn niż jak nowoorleański prawnik. Pomimo iż świeciło słońce i było pogodnie, mężczyzna trzymał pod pachą ciasno zwinięty parasol. W jednej ręce miał aktówkę ze skóry aligatora. Nosił też rękawiczki z cielęcej skóry. Wprawnym ruchem nałożył melonik i nasadził mocniej na głowę, uderzając w niego lekko otwartą dłonią.

– Panie Pendergast? Możemy?

Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę zarośniętego arboretum, odgrodzonego przez żywopłot wznoszący się na prawo od domu.

– Oczywiście, panie Ogilby.

– Dziękuję.

Prawnik poszedł przodem, maszerując szybkim krokiem, a jego pantofle szeleściły wśród wilgotnych od rosy traw. Pendergast podążył za nim nieco wolniej i mniej zdecydowanie. Dotarłszy do furtki w żywopłocie,

Ogilby otworzył ją pchnięciem, po czym wraz z agentem wszedł do arboretum. W którymś momencie uśmiechnął się złowieszczo i powiedział:

– Wypatrujemy ducha!

– To byłaby prawdziwa sensacja – mruknął z ironicznym przekąsem Pendergast.

Nie zwalniając tempa, prawnik zszedł niegdyś zwirową, a teraz zarośniętą chwastami ścieżką biegnącą ku okazałej tsudze, za którą można było dostrzec zardzewiałe żelazne ogrodzenie otaczające niedużą działkę. Spomiędzy traw wyłaniały się to tu, to tam kamienie nagrobne z łupków i marmuru; jedne stały pionowo,

inne były lekko przekrzywione.

Ogilby, którego mankiety u nogawek spodni zwilgotniały od rosy, zatrzymał się przed jednym z większych nagrobków, odwrócił i ująwszy aktówkę obiema rękami, czekał, aż dołączy do niego klient. Pendergast jakby z zadumą powiódł wzrokiem po rodzinnym cmentarzysku, pogładził blady podbródek i wreszcie stanął obok elegancko ubranego mężczyzny.

– I cóż! – powiedział prawnik. – Znów tu jesteśmy!

Pendergast jakby od niechcienia pokiwał głową. Ukląkł, odgarnął trawę przesłaniającą tablicę nagrobną, po czym przeczytał na głos:

Hiciacet sepultus
Louis de Frontenac Diogenes Pendergast
2.04.1899–15.03.1975
Tempus edax rerum

Ogilby, stając za Pendergastem, oparł aktówkę o górną krawędź nagrobka, otworzył ją i wyjął dokument. Położył go na opartej o nagrobek aktówce.

– Panie Pendergast?

Podał mu masywne srebrne pióro wieczne.

Pendergast podpisał dokument.

Prawnikiem odebrał od niego pióro i sam złożył kwiecisty podpis, ozdabiając go dodatkowo pieczęcią notarialną, wpisał datę i włożył dokument z powrotem do aktówki. Zamknął ją energicznie, zatraskując zamki, i zabezpieczył.

– Gotowe! – powiedział. – Niniejszym potwierdzam, że odwiedził pan grób swojego dziadka. Nie jestem zatem zobowiązany, by wydziedziczyć pana z rodzinnego majątku Pendergastów, a przynajmniej na razie! – Zachichotał.

Pendergast wstał, a niski mężczyzna wyciągnął do niego pulchną dłoń.

– To jak zawsze była wielka przyjemność i mniemam, że za pięć lat znów będę miał możliwość spotkać się z panem.

– Cała przyjemność, jak zawsze, po mojej stronie – odrzekł Pendergast, uśmiechając się kurtuazyjnie.

– Wyśmienicie. Wobec tego wróć niezwłocznie do miasta. Pojedzie pan ze mną?

– Myślę, że odwiedzę jeszcze Maurice'a. Byłby zawiedziony, gdybym odjechał stąd bez przywitania się z nim.

– Co racja, to racja! I pomyśleć, że sam jeden opiekuje się Penumbra od... ile to już...? Dwunastu lat. Wie pan, panie Pendergast... – tu niski mężczyzna nachylił się nieznacznie i zniżył głos, jakby zamierzał zdradzić klientowi wielką tajemnicę – uważam, że naprawdę powinien pan wyremontować tę rezydencję. Mógłby pan otrzymać za ten dom sporą sumkę, niebagatelną sumkę! W dzisiejszych czasach przedwojenne plantacje, takie jak ta, są w cenie! Można by urządzić tu wytworny hotelik!

– Dziękuję, panie Ogilby, ale myślę, że jeszcze przez jakiś czas pozostawię to miejsce takie, jakie jest.

– Jak pan sobie życzy! Jak pan sobie życzy! Tylko niech pan nie zostaje tu do zmierzchu, ta sprawa ze starym duchem pańskiej rodziny i w ogóle.

Prawnik oddalił się, chichocząc do siebie i kołysząc trzymaną w dłoni aktówką, pozostawiając Pendergasta samego na niewielkim przydomowym cmentarzu rodzinnym. Słysząc było odgłos uruchamianego silnika mercedesa, ale chrzęst żwiru pod oponami niebawem umilkł i zapadła cisza.

Pendergast spacerował przez kilka minut, odczytując inskrypcje na kamieniach nagrobnych. Każde nazwisko przywoływało wspomnienia jeszcze dziwniejsze i bardziej ekscentryczne od poprzedniego. Wiele szczątków członków rodziny przeniesiono tutaj z ruin podziemnej krypty rezydencji Pendergastów przy Dauphine Street, po tym jak cały dom został puszczony z dymem, inni przodkowie życzyli sobie, by pochowano ich w starym kraju.

Złociste światło przygasało, w miarę jak słońce zniknęło za drzewami. Błada mgła zaczęła nadciągać nad cmentarzyk od strony

namorzynowych moczarów. W powietrzu rozeszła się woń świeżości mchu i orlicy. Pendergast stał na cmentarzyku bardzo długo, w kompletnej ciszy i bezruchu, podczas gdy całą okolicę z wolna spowijał zmierzch. Żółte światło płynące z okien rezydencji przesączało się pomiędzy drzewami w arboretum. Powietrze przesycił aromat palonego dębowego drewna, zapach, który nieodparcie przywoływał wspomnienia dzieciństwa i letnich miesięcy spędzonych w tym domu. Unosząc wzrok, Pendergast zauważył, że z jednego z wielkich ceglanych kominów rezydencji unosiła się leniwie wstęga siwego dymu. Nie zwlekając, opuścił cmentarzyk, przeszedł przez arboretum i wszedł na zadaszoną werandę; wypaczone deski zajęczały w proteście pod jego stopami.

Zapukał do drzwi, po czym cofnął się nieznacznie i czekał. Ze środka domu dobiegło skrzypienie; odgłos powolnych kroków, niespieszny zgrzyt odciąganych zasuwek i zdejmowanych łańcuchów. Kiedy zaś wielkie drzwi uchyliły się powoli, ukazały przygarbionego staruszka bliżej nieokreślonej rasy, ubranego w tradycyjny uniform lokaja; na twarzy służącego malował się wyraz głębokiej powagi.

– Panicz Aloysius – powiedział w końcu z lekką rezerwą, ale nie od razu podał mu rękę.

Pierwszy Pendergast wyciągnął do niego swoją wątlą dłoń i dopiero wtedy staruszek przywitał się z nim.

– Maurice. Jak się czujesz?

– Tak sobie – odrzekł staruszek. – Widziałem podjeżdżające auta. Kieliszek sherry w bibliotece, sir?

– Bardzo chętnie, dziękuję.

Maurice odwrócił się i wolno przeszedł przez hol w kierunku biblioteki. Pendergast podążył za nim. W kominku buzował ogień, ale nie dość silny, by przegonić wrażenie wszechobecnej wilgoci.

Przy wtórze pobrzękiwania butelkami Maurice przez chwilę buszował w kredensie, nalał sherry do niedużego kieliszka, postawił go na srebrnej tacy i z namaszczaniem podszedł z nią do

gościa. Pendergast wziął kieliszek, upił łyk, po czym rozejrzał się dokoła. Nic się nie zmieniło, a w każdym razie nie na lepsze. Tapeta była upstrzona plamami, w kątach zalegały koty kurzu. Usłyszał szmer szczurów buszujących w ścianach. W ciągu lat, odkąd był tu ostatnio, rezydencja mocno podupadła.

– Chciałbym, abys pozwolił mi na zatrudnienie kogoś, kto zamieszkałby tu i zajmował się tylko sprzątaniami, Maurice. A także kuchnią.

To w znacznym stopniu zmniejszyłoby brzemię ciążących na tobie obowiązków.

– Nonsens! Potrafię sam zadbać o dom.

– Uważam, że będąc tu sam, nie jesteś bezpieczny.

– Nie jestem bezpieczny? Ależ oczywiście, że jestem. Zawsze starannie zamykam dom na noc.

– Oczywiście.

Pendergast upił łyk sherry, które okazało się wyśmienitym, wytrawnym oloroso. Przez moment zastanawiał się, ile butelek mogło jeszcze zostać w tych rozległych piwnicach. Zapewne więcej, niż byłby w stanie wypić do końca życia, nie wspominając o winie, porto i wybornym starym koniaku. W miarę jak poboczne gałęzie jego rodu wymierały, zawartość wszystkich piwniczek z winem – podobnie jak fortuna – przypadła jemu, ostatniemu żyjącemu członkowi rodziny o zdrowych zmysłach.

Wypił jeszcze jeden łyk i odstawił kieliszek.

– Maurice, myślę, że przejdę się po domu. Ze względu na pamięć dawnych czasów.

– Tak jest, sir. Będę tu, gdyby mnie pan potrzebował.

Pendergast wstał, otworzył boczne drzwi i wyszedł do holu. W piętnaście minut odwiedził pomieszczenia na parterze: pustą kuchnię i bawialnię, salon, spiżarnię i barek. Dom wciąż był przesycony zapachami, które zapamiętał z dzieciństwa – pasty do podłóg, starego dębowego drewna i prawie już niewyczuwalnym, ale wciąż obecnym aromatem perfum jego matki – a na to wszystko

nakładał się znacznie świeższy odór pleśni i wilgoci. Każdy przedmiot, każdy bibelot, obraz, przycisk do papieru i srebrna popielniczka znajdowały się na swoim miejscu, a każdy, najmniejszy nawet, drobiazg zawierał w sobie tysiące wspomnień o ludziach, których nie było już na tym świecie, o ślubach, chrztach i stypach, koktajl party, balach maskowych i dzieciach biegnących wśród tych długich korytarzy wbrew głośnym nawoływaniom strofujących je ciotek.

To wszystko przeminęło, zostały tylko wspomnienia.

Wszedł po schodach na podest piętra. Stąd dwie odnogi korytarza wiodły do sypialni mieszczących się w przeciwległych skrzydłach domu, a salon na piętrze znajdował się dokładnie na wprost – wchodziło się do niego przez łukowato sklepione przejście, nad którym wisiały skrzyżowane słoniowe ciosy.

Wszedł do salonu. Na podłodze leżał dywan ze skóry zebry, a nad kominkiem zawieszono łeb bawołu wodnego, który spoglądał na wchodzących przepełnionymi wściekłością szklanymi oczami. Na ścianach wyeksponowano też mnóstwo łbów innych zwierząt: antylopa kudu, buszboka, łosia, jelenia, daniela, łani oraz odyńca.

Splótł dłonie i powoli przechadzał się po pomieszczeniu. Widok tych trofeów, milczących strażników wspomnień i dawno minionych wydarzeń, sprawił, że myślami nieodparcie powracał do Helen. Ubiegłej nocy znów miał ten stary koszmar – równie wyrazisty i przerażający jak zawsze – a jego mroczne pozostałości wciąż zalegały w jego umyśle. Może ten pokój był w stanie wyegzorcyzmować tego demona, choćby tylko na pewien czas. Rzecz jasna o pozbyciu się go na zawsze nie było mowy.

Po drugiej stronie, pod ścianą, stała zamknięta na klucz gablota z wystawioną w niej kolekcją strzelb myśliwskich. To był okrutny, krwawy sport – posyłać pięćsetgramowy pocisk z metalu z prędkością sześciuset metrów na sekundę w ciało drobnego zwierzęcia – i Pendergast zastanawiał się, co go w tym pociągało. Ale tak naprawdę to Helen uwielbiała polować – była to jak na

kobietę dość szczególna pasja – ale też Helen była niezwykłą kobietą. Wyjątkową.

Pendergast spojrział przez zdobione wzorami matowione szkło na dwururkę Krieghoff, strzelbę Helen, z misternie grawerowanymi bocznymi okładzinami, inkrustowanymi srebrem i złotem, i wygładzoną od częstego używania kolbą z orzecha. To był jego prezent ślubny dla niej, który dał jej na krótko przed ich wyjazdem na miesiąc miodowy i safari z polowaniem na bawołu wodnego w Tanzanii. Ta strzelba to przepiękna rzecz: wykonana z najlepszego drewna i metali szlachetnych, przeznaczona do najokrutniejszych czynów i droga; zapłacił za nią sześciocyfrową kwotę.

Kiedy tak patrzył, zauważył drobny ślad rdzy u wylotu lufy.

Podszedł do drzwi salonu i zawołał w dół schodów:

– Maurice, czy zechciałbyś przynieść mi klucz do gabloty z bronią?

Po dłuższej chwili Maurice pojawił się w holu.

– Zaraz przyniosę, sir.

Odwrócił się i ponownie zniknął. Wkrótce potem wszedł wolno po skrzypiących schodach, ściskając klucz w pomarszczonej, poprzecinanej żyłami dłoni. Minął niespiesznie Pendergasta i zatrzymał się przed gablotą, włożył klucz do otworu zamka i przekręcił.

– Bardzo proszę, sir.

Jego oblicze pozostało beznamienne, ale Pendergast ucieszył się, wychytując u Maurice'a dumę i zadowolenie – stary lokaj był rad, że mógł trzymać w ręku klucz i że w ogóle mógł się do czegoś przydać.

– Dziękuję, Maurice.

Służący skinął głową i zniknął.

Pendergast sięgnął do gabloty i wolno, bardzo wolno zacisnął dłoń na chłodnym metalu dubeltówki. Sam dotyk broni sprawił, że poczuł świerzbienie w koniuszkach palców. Z jakiegoś powodu jego

serce zaczęło bić szybciej, bez wątpienia były to przedłużające się skutki niedawnego koszmaru. Wyciągnął strzelbę z gabloty i położył na blacie biurka, pośrodku pokoju. Z szuflady pod gablotą wyjął przybory do czyszczenia broni i ułożył obok dubeltówki. Wytarł ręce, sięgnął po strzelbę, przełamał ją i zajrzał w głąb obu luf. Trochę się zdziwił: prawa lufa była mocno zabrudzona, ale lewa czysta. Odłożył strzelbę i przez chwilę myślał intensywnie. Znów podszedł do szczytu schodów.

– Maurice?

Lokaj znów się pojawił.

– Słucham, sir?

– Wiesz może, czy ktoś strzelał z krieghoffa od czasu... śmierci mojej żony?

– Zgodnie z pańskich wyraźnym życzeniem, sir, nikomu nie wolno było jej używać. Nikt nawet nie zbliżył się do gabloty.

– Dziękuję, Maurice.

– Bardzo proszę, sir.

Pendergast wrócił do salonu i tym razem zamknął za sobą drzwi. Wyjął z biurka starą papeterię, którą rozłożył pieczołowicie na blacie.

Następnie wcisnął wycior do prawej lufy, wypchnął część zalegającego wewnątrz brudu na papier, po czym przyjrzał się temu: były to strzępki i płatki jakiejś spalonej, przypominającej papier substancji. Z kieszeni marynarki wyjął lupę, którą zawsze nosił przy sobie, przyłożył ją do oka i uważnie przyjrzał się zwęglonym fragmentom. Nie ulegało wątpliwości, że były to zwęglone resztki przybitki.

Ale w pocisku .500/.416 nie było przybitki: jedynie breneka, loftka i proch. Taki nabój, nawet niewypał, nigdy nie pozostawiłby po sobie podobnych zanieczyszczeń.

Zbadał lewą lufę i stwierdził, że jest czysta, dobrze naoliwiona. Przepchnął przez nią wycior owinięty w szmatkę. Żadnych zanieczyszczeń.

Pendergast wyprostował się, a w jego głowie pojawiła się nagle gniewna myśl. Po raz ostatni z tej broni strzelano tamtego straszego dnia. Zmusił się, by powrócić do niego myślami. Unikał tego – przynajmniej na jawie – za wszelką cenę. Kiedy jednak zaczął sobie przypominać, nietrudno mu było przywołać szczegóły – każda chwila tamtego polowania na zawsze zapisała się w jego pamięci. Wystrzeliła z tej broni tylko raz. Krieghoff miał dwa spusty, umieszczone jeden za drugim. Spust przedni obsługiwał prawą lufę i to zazwyczaj ten był najpierw naciskany. Ona też tak zrobiła, oddając swój pierwszy i jedyny strzał. I właśnie ten strzał spowodował zabrudzenie lufy.

To był ten chybiony strzał, kiedy nie trafiła w Czerwonego Lwa. Zawsze tłumaczył ten fakt wyjątkowym podnieceniem żony albo odbiciem kuli przez gąszcz krzewów.

Helen jednak nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach nigdy nie traciła zimnej krwi. Rzadko chybiała. I wtedy też nie spudłowała, raczej... nie chybiłaby, gdyby w prawej lufie znajdowała się breneka.

Ale breneki nie było w lufie, gdyż broń załadowano ślepy m nabojem. Aby ślepy nabój wywołał właściwy odgłos i odrzut przy wystrzale, musiał zostać załadowany dużą, ciasno zwiniętą przybitką, która zabrudziła lufę, tak jak to właśnie odkrył.

Gdyby Pendergast był człowiekiem mniej opanowanym, fundament jego zdrowych zmysłów mógłby runąć pod wpływem emocjonalnej intensywności i napięcia jego myśli. Załadowała strzelbę pociskami .500/.416 typu breneka o miękkich czubkach i zrobiła to tamtego ranka jeszcze w obozie, tuż przed tym, jak wyruszyli do buszu, by zapolować na lwa ludojada. Co do tego nie miał wątpliwości – na własne oczy widział, jak to robiła. Wiedział, że załadowała broń ostrą amunicją, nie ślepakami – nikt, zwłaszcza Helen, nie pomyliłby nabitego przybitką ślepego naboju z dwuuncjową breneką. Poza tym on sam pamiętał wyraźnie tępe końce brenek, gdy wkładała je do obu luf.

Pomiędzy porankiem, kiedy załadowała krieghoffa, a chwilą, gdy nacisnęła spust, ktoś usunął niewystrzelone loftki i zastąpił je ślepakami. A potem, po polowaniu, ktoś usunął dwa ślepe naboje – jeden zużyty, a drugi pełny – aby zatuszować swój czyn. Ten ktoś jednak, kimkolwiek był, popełnił drobny błąd – nie wyczyścił lufy, z której padł strzał i w której pozostały zalegające wewnątrz spalone resztki przybitki. Obciążające ślady.

Pendergast usiadł wygodniej w fotelu. Jedna jego dłoń – z lekkim drżeniem – uniosła się w stronę ust.

Śmierć Helen Pendergast nie była tragicznym wypadkiem. To było morderstwo.

6

Nowy Jork

Sobota, czwarta rano. Porucznik Vincent D'Agosta przecisnął się przez tłum, schylił pod żółtą policyjną taśmą i podszedł do miejsca, gdzie na chodniku, przed jedną z niezliczonych identycznych hinduskich knajpek przy Szóstej Wschodniej, leżały zwłoki. Pod ciałem utworzyła się wielka kałuża krwi, w której z iście surrealistycznym blaskiem odbijał się czerwony i niebieski neon zdobiący brudną witrynę restauracyjki.

Przestępca został postrzelony kilkakrotnie i był martwy. Bezwzględnie. Leżał skulony na boku, z jedną ręką wyciągniętą do przodu, jego broń znajdowała się sześć metrów dalej. Technik śledczy taśmą mierniczą ustalał odległość pomiędzy rozwartą dłonią a rewolwerem.

Denat był białym trzydziestolatkiem o mocno przerzedzonych włosach. Wyglądał jak złamany patyk, ze zgiętymi nogami, jednym kolanem podciągniętym do piersi, a drugą nogą odchyłoną do tyłu, i rękoma rozłożonymi szeroko. Dwaj gliniarze, którzy użyli broni, masywny Murzyn i chudy Latynos, stali z boku i rozmawiali z funkcjonariuszem wydziału wewnętrznego.

D'Agosta podszedł, skinął głową do pracownika inspektoratu i uścisnął dłonie obu gliniarzom. Były spocone, drżały nerwowo. To cholernie trudne, pomyślał D'Agosta, zabić kogoś. Po czymś takim

nie sposób się otrząsnąć.

– Poruczniku – rzucił pospiesznie jeden z policjantów, pragnąc wyjaśnić nowo przybyłemu, co się wydarzyło – uzbrojony facet obrobił restaurację i uciekał ulicą. Zawołaliśmy „Stój, policja”, pokazaliśmy nasze odznaki, a wtedy ten sukinsyn zaczął strzelać do nas, w biegu, na ulicy byli cywile i nie mieliśmy wyboru, musieliśmy go powstrzymać. Nie mieliśmy wyboru, po prostu nie mieliśmy wyboru...

D’Agosta schwycił mężczyznę za ramię i uścisnął po przyjacielsku, zerkając na plakietkę z nazwiskiem.

– Nic się nie przejmuj, Ocampo. Zrobiłeś, co musiałeś. Dochodzenie to potwierdzi.

– Chcę tylko powiedzieć, że ten gość zaczął pruć do nas, jakby miało nie być jutra...

– Dla niego nie będzie.

D’Agosta odszedł na bok ze śledczym z wydziału wewnętrznego.

– Jakież problemy?

– Szczerze wątpię. Choć w dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo. Ale akurat ten przypadek jest absolutnie oczywisty – rzekł śledczy i zamknął swój notes.

D’Agosta zniżył głos:

– Dopilnuj, żeby ci chłopcy otrzymali pomoc psychologa. I zanim powiedzą coś więcej, niech spotkają się z adwokatami ze związku.

– Oczywiście.

D’Agosta spojrzał z zamyśleniem na trupa.

– Ile zgarnął?

– Jakież dwieście dwadzieścia dolców, mniej więcej. Pieprzony ćpun, spójrz tylko na niego, cały przeżarty herą.

– Smutne. Miał przy sobie jakieś dokumenty?

– Warren Zabriskie, adres Far Rockaway.

D’Agosta pokręcił głową, lustrując miejsce zdarzenia. Sprawa była jasna: dwóch gliniarzy, obaj kolorowi, denat rasy białej, cała masa świadków, zdarzenie zarejestrowały kamery ochrony.

Praktycznie sprawa już była zamknięta. Nie będzie marszów protestacyjnych ani oskarżeń o brutalność policji. Rabuś dostał to, na co zasłużył – i wszyscy, choć z pewnym wahaniem, zgadzali się z tym.

D'Agosta rozejrzał się wokoło. Pomimo chłodu za taśmą zebrał się spory tłum gapiów, rockersów z East Village, yupsterów i metroseksualnych, czy jak ich tam nazywano. Technicy śledczy wciąż pracowali przy ciele, sanitariusze czekali z boku, a detektywi przeszukiwali napadniętego właściciela restauracji. Wszyscy robili to, co do nich należało. Wszystko było pod kontrolą. Bezsensowna, idiotyczna sprawa, która zaowocuje lawiną papierkowej roboty, przesłuchań, wywiadów, analiz, pudłami dowodów, rozmowami i licznymi konferencjami prasowymi. A wszystko z powodu marnych dwóch stów na narkotyki.

Zastanawiał się, kiedy zdoła ulotnić się po cichu, gdy nagle usłyszał okrzyk i jakieś zamieszanie przy drugim końcu odgradzonego kordonem obszaru. Ktoś schylił się, by przejść pod taśmą, i wkroczył bezprawnie na zakazany teren. D'Agosta odwrócił się gniewnie, by niespodziewanie ujrzeć przed sobą agenta śledczego A.X.L. Pendergasta, ściganego przez dwóch mundurowych funkcjonariuszy.

– Ej, panie...! – zawołał jeden z policjantów, brutalnie chwytając Pendergasta za ramię.

Agent zwinnie uwolnił się z uchwytu i wyjąwszy legitymację, podsunął ją mundurowemu pod nos.

– Co jest...? – burknął policjant, cofając się. – On jest z FBI. To agent FBI.

– Co on tu robi? – rzucił drugi.

– Pendergast! – zawołał D'Agosta, podchodząc do niego szybkim krokiem. – Co, u licha, cię tu sprowadza? Ta strzelanina to nie jest coś, czym się zwykle...

Pendergast uciszył go gwałtownym gestem, przecinając powietrze prawą dłonią. W półmroku rozjaśnionym blaskiem neonu

twarz agenta była wyjątkowo blada, wręcz widmowa, zwłaszcza że Pendergast jak zawsze miał na sobie czarny garnitur, w którym przypominał przedsiębiorcę pogrzebowego. Tym razem jednak wyglądał jakoś inaczej – zdecydowanie inaczej.

– Muszę z tobą pomówić. Natychmiast – powiedział kategorycznie.

– Jasne, jasne. Kiedy tylko tu skończę...

– Natychmiast, Vincencie.

D'Agosta przyjrzał mu się uważnie. To nie był spokojny, opanowany Pendergast, którego tak dobrze znał. Takiego oblicza agenta federalnego nigdy wcześniej nie widział – gniewnego, opryskliwego, nerwowego, gwałtownego. Co więcej, D'Agosta ze zdziwieniem stwierdził, że nienaganny zazwyczaj garnitur agenta był pomięty i nieświeży.

Pendergast schwycił go za klapy.

– Chciałbym prosić cię o przysługę. O coś więcej niż przysługę. Chodź ze mną.

D'Agosta, zbyt zdziwiony tak stanowczą postawą, nawet nie próbował się opierać. Opuszczając miejsce zdarzenia, odprowadzany spojrzeniami kolegów po fachu, podążył za Pendergastem poprzez tłum i w głąb ulicy, do miejsca, gdzie stał należący do agenta rolls-royce z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedział szofer, Proctor, którego oblicze było beznamienne.

D'Agosta musiał nieomal biec, by dotrzymać kroku swojemu przyjacielowi.

– Wiesz, że pomogę ci, jeżeli tylko będę mógł...

– Nic nie mów i nawet się nie odzywaj, dopóki nie usłyszysz, o co chodzi.

– No jasne – dorzucił pośpiesznie D'Agosta.

– Wsiadaj.

Pendergast zajął miejsce z tyłu limuzyny, a po chwili to samo zrobił D'Agosta. Agent otworzył panel w drzwiach, gdzie ukazał się

niewielki barek. Wyjąwszy kryształową karafkę, nalał do kieliszka brandy na trzy palce i wypił połowę jednym łykiem. Odstawił karafkę, odwrócił się do D'Agosty, a w jego srebrzystych oczach pojawiły się iskierki emocji.

– To nie jest zwyczajna prośba. Jeżeli nie będziesz mógł lub nie zechcesz mi pomóc, zrozumieć. Ale o nic mnie nie pytaj, Vincencie. Nie ma na to czasu. Po prostu ja nie mam już czasu. Słuchaj uważnie, potem odpowiedz.

D'Agosta pokiwał głową.

– Chciałbym, abyś wziął urlop i odszedł z policji. Co najmniej na rok.

– Na rok?

Pendergast dopił brandy.

– To może potrwać kilka tygodni albo nawet miesięcy. Nie mam pojęcia, ile nam to zajmie.

– To, czyli co?

Agent odpowiedział dopiero po chwili:

– Nie wspominałem ci chyba o mojej nieżyjącej żonie, Helen?

– Nie.

– Zginęła dwanaście lat temu, kiedy byliśmy na safari w Afryce. Została zaatakowana przez lwa.

– Jezu. Strasznie mi przykro.

– Wtedy wierzyłem, że to był po prostu okropny wypadek. Teraz wiem, że było inaczej.

D'Agosta czekał.

– Teraz wiem, że została zamordowana.

– O Boże.

– Trop jest zimny. Potrzebuję cię, Vincencie. Potrzebuję twoich umiejętności, twojej znajomości życia ulicy, twojej wiedzy o ludziach z klas pracujących, twojej intuicji. Jesteś mi potrzebny do pomocy w wytropieniu osoby lub osób, które są za to odpowiedzialne. Rzecz jasna ponoszę koszty wszystkich twoich wydatków i dopilnuję, abyś miał zapewnione zarówno pobory, jak

i opiekę zdrowotną.

W limuzynie zapadła cisza. D'Agosta był kompletnie oszołomiony. Co to mogło oznaczać dla jego kariery i związku z Laurą Hayward... dla jego przyszłości? To było nieodpowiedzialne. Nie... więcej nawet. To było czyste szaleństwo.

– Czy to oficjalne dochodzenie?

– Nie. Będziemy je prowadzić tylko we dwóch, ty i ja. Zabójca może ukrywać się praktycznie wszędzie, w grę wchodzi cały świat. Będziemy działać całkowicie poza systemem, poza jakimkolwiek systemem.

– A jeśli znajdziemy zabójcę? Co wówczas?

– Dopilnujemy, by sprawiedliwości stało się zadość.

– To znaczy?

Pendergast zdecydowanym ruchem nalał sobie nową porcyjkę brandy i wypił jednym haustem, po czym znów przeszył D'Agostę spojrzeniem swoich lodowatych platynowych oczu.

– Zabijemy go.

7

Rolls-royce przemknął przez Park Avenue; mijane po drodze taksówki wyglądały jak rozmyte żółte plamy. D'Agosta, siedząc z tyłu z Pendergastem, czuł się niezręcznie i starał się nie zerkać na agenta federalnego. Pendergast był niecierpliwy, zaniedbany i – co najbardziej niezwykle – uzewnętrzniał emocje.

– Kiedy się dowiedziałeś? – zapytał niepewnie porucznik.

– Dziś po południu.

– Jak do tego doszedłeś?

Pendergast nie odpowiedział od razu; wyglądał przez okno, kiedy rolls skręcił ostro w Siedemdziesiątą Drugą, kierując się w stronę parku. Wstawił pustą koniakówkę – którą mimowolnie trzymał w dłoni przez całą drogę do północnej części miasta – do niewielkiego barku. Następnie wziął głęboki oddech.

– Dwanaście lat temu Helen i ja zostaliśmy poproszeni o zabicie lwa ludojada w Zambii. Chodziło o lwa z niezwykłą, czerwoną grzywą. Taką samą grzywę miał lew, który terroryzował tę okolicę wcześniej, ponad czterdzieści lat temu.

– Dlaczego zwrócono się z tym właśnie do was?

– Takie są wymogi stawiane tym, którzy posiadają licencję zawodowego myśliwego. Jeżeli właśnie tego od ciebie zażądamy, jesteś zobowiązany zabić każde zwierzę zagrażające okolicznym wioskom lub obozowiskom. – Pendergast wciąż wyglądał przez szybę. – Lew zabił niemieckiego turystę z obozu safari. Helen i ja

wyruszyliśmy z naszego obozowiska, aby odstrzelić bestię.

Agent znów sięgnął po karafkę brandy, spojrzął na nią i odstawił do barku. Limuzyna przejeżdżała właśnie przez Central Park, na tle groźnego nocnego nieba odcinały się widoczne w górze splątane nagie konary.

– Lew wyskoczył z zarośli i zaatakował mnie oraz naszego tropiciela.

Gdy ponownie umknął do buszu, Helen strzeliła do zwierzęcia, ale najwyraźniej chybiła. Zajął się tropicielem... – Głos zaczął mu się łamać, zamilkł, próbując zebrać się w sobie. – Podeszła, by zająć się tropicielem, a lew ponownie wyskoczył z zarośli. Powłókł ją ze sobą. To był ostatni raz, kiedy ją widziałem. Żyją.

– Boże... – D'Agosta poczuł przepełniającą go zgrozę.

– Dziś po południu podczas wizyty na rodzinnej plantacji coś mnie podkusiło i sprawdziłem strzelbę mojej żony. I odkryłem, że tamtego ranka, dwanaście lat temu, ktoś podmienił loftki w jej dubeltówce, zastępując breneki ślepakami. Nie mogła chybić, bo w ogóle nie miała ostrej amunicji.

– Jasna cholera. Jesteś pewien?

Dopiero teraz Pendergast odwrócił wzrok od szyby i spojrzął na niego.

– Vincencie, czy mówiłbym ci to wszystko, czy w ogóle byłbym tu teraz, gdybym nie miał absolutnej pewności?

– Przepraszam.

Zapadła chwila ciszy.

– I odkryłeś to wszystko dziś po południu w Nowym Orleanie?

Pendergast lekko skinął głową.

– Przyleciałem tu prywatnym odrzutowcem.

Rolls zatrzymał się przed wejściem do apartamentowca Dakota przy Siedemdziesiątej Drugiej. Pendergast wyszedł, nieomal zanim jeszcze limuzyna stanęła. Minął budkę ochrony i przeszedł przez łukowato sklepioną kamienną bramę wjazdową, nie zważając na pierwsze krople deszczu, które właśnie zaczęły zraszać chodnik.

D'Agosta potruchtał za agentem przez szeroki wewnętrzny dziedziniec, mijając starannie utrzymane rośliny i szemrzące spizowe fontanny, by dotrzeć do wąskiego wewnętrznego dziedzińca w południowo-zachodniej części apartamentowca. Nacisnął przycisk, drzwi windy otworzyły się z dyskretnym szelestem i w ciszy obaj wjechali na górę. Niedługo potem drzwi ponownie się otworzyły, ukazując niewielki korytarz i drzwi wejściowe w przeciwległej ścianie. Nie było na nich żadnych widocznych zamków, kiedy jednak Pendergast przesunął koniuszkami palców po ich powierzchni, wykonując dziwny gest, D'Agosta usłyszał charakterystyczny szcęk odblokowywanego sprężynowego zamka. W ten sposób Pendergast otworzył drzwi, a ich oczom ukazał się pokój gościnny, słabo oświetlony, z trzema ścianami w kolorze różowym i czwartą z czarnego marmuru, skąpaną w wąskich strugach spływającej po niej wody.

Pendergast wskazał na czarne skórzane kanapy rozstawione w pomieszczeniu.

– Rozgość się. Niedługo wrócę.

D'Agosta usiadł, podczas gdy agent FBI zniknął za drzwiami umieszczonymi w jednej ze ścian. Rozsiadł się wygodnie, wsłuchując się w delikatne szemranie wody, podziwiając drzewka bonsai i chłonąc aromat kwiatów lotosu. Ściany budynku były tak grube, że prawie nie słyszał nadciągającej na zewnątrz burzy. Wszystko w tym pokoju wydawało się mieć za zadanie wywołanie uczucia spokoju i wyciszenia. Jednak na spokój nie mógł teraz liczyć. Ponownie zastanowił się, jak ma załatwić urlop – wyobrażał sobie rozmowę z szefem, a zwłaszcza z Laurą Hayward.

Minęło dziesięć minut, zanim Pendergast znów się pojawił. Ogolił się i przebrał w świeży czarny garnitur. Wydawał się też nieco bardziej opanowany – jak tamten dawny Pendergast – choć D'Agosta wciąż wyczuwał czające się w nim napięcie.

– Dziękuję, że zechciałeś zaczekać, Vincencie. Zaczynamy.

D'Agosta, przywołany gestem ręki, podążył za agentem wzdłuż

długiego korytarza, oświetlonego równie słabo jak pokój dla gości. Z zaciekawieniem rozglądał się na prawo i lewo, by ujrzeć bibliotekę, pokój, którego ściany były od podłogi aż po sufit obwieszane obrazami, a nawet piwniczkę z winem. Pendergast przystanął przy zamkniętych drzwiach w korytarzu, po czym znowu otworzył je, przykładając koniuszki palców do drewna i wykonując serię dziwnych gestów. Pokój za drzwiami był tak mały, że ledwie mieścił się w nim stół i dwa krzesła. Jedną z bocznych ścian zajmował wielki sejf, przypominający bankowy, o średnicy ponad metr.

Pendergast znów poprosił D'Agostę, żeby usiadł, po czym zniknął w korytarzu. Wrócił już po chwili, trzymając w dłoni skórzaną torbę lekarską. Postawił ją na stole, otworzył i wyjął ze środka stojak z probówkami oraz kilka buteleczek ze szklanymi korkami, które poustawiał ostrożnie na polerowanym drewnianym blacie. Jego dłoń zadrżała jeden jedyny raz i w odpowiedzi probówki brzęknęły cichutko. Pendergast podszedł do sejfu i po pięciu czy sześciu obrotach gałką zamka szyfrowego otworzył go, a wtedy D'Agosta ujrzał znajdujące się wewnątrz półki z metalowymi kasetkami przywodzącymi na myśl skrytki depozytowe w bankowych sejfach. Pendergast wybrał jedną z nich, otworzył i położył na stole. Następnie, zamknąwszy sejf, zajął miejsce naprzeciwko D'Agosty.

Przez chwilę siedział w kompletnym bezruchu. Nagle rozległ się kolejny grzmot, odległy i wytłumiony, ale ten dźwięk wyraźnie go ożywił. Agent wyjął z torby białą jedwabną chustkę i rozłożył na stole. Potem przesunął stalową kasetkę nieco bliżej, uniósł metalowe wieko i wyciągnął ze środka kępkę szorstkiego czerwonego włosa oraz złotą obrączkę z wprawionym w nią przepięknym gwiazdzistym szafirem. Ujął kępkę włosów pęsetą, a obrączkę dwoma palcami gestem tak mimowolnie czułym, że na ten widok D'Agosta poczuł ukłucie pod sercem.

– Te rzeczy zabrałem z miejsca, gdzie znalazłem ciało Helen – powiedział Pendergast. Słabe oświetlenie potęgowało cienie na jego

zapadniętym obliczu. – Nie oglądałem ich od blisko dwunastu lat. To jej obrączka ślubna... i kępka sierści z grzywy lwa, którą wyrwała, kiedy ją pożerał. Wyłuskałem to włosie z jej zaciśniętej kurczowo lewej ręki.

D’Agosta skrzywił się.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał.

– Pójdę za głosem instynktu.

Otworzywszy kolejno buteleczki ze szklanymi korkami, Pendergast powsypywał do probówek odrobinę różnych substancji. Następnie pęsetą umieścił w każdej z probówek po parę pasemek włosa z lwiej grzywy. Na koniec wyjął z torby niedużą brązową buteleczkę zaopatrzoną przy szyjce w gumowy zakraplacz, który zdjął, by wpuścić do każdej z probówek po kilka kropel przezroczystego płynu. W pierwszych czterech probówkach nie doszło na pierwszy rzut oka do żadnej widocznej reakcji. W piątej natomiast płyn natychmiast zmienił barwę na jasnozieloną, przywodzącą na myśl kolor zielonej herbaty. Pendergast przez chwilę spoglądał na probówkę. Następnie pipetą pobrał niewielką próbkę płynu i nałożył na wąski pasek papieru, który wyjął z torby.

– PH trzy przecinek siedem – powiedział, patrząc na pasek papieru. – Dokładnie tyle, ile łagodny kwas potrzebuje, by uwolnić cząsteczki z liścia lawsonii.

– Z jakiego liścia? – spytał D’Agosta. – Co to jest?

Pendergast przeniósł wzrok z paska papieru na przyjaciela i z powrotem.

– Mógłbym przeprowadzić kolejne testy, ale to wydaje się zbędne. Grzywa lwa, który zabił moją żonę, była pokryta substancją pochodzącą z rośliny znanej jako *Lawsonia inermis*. Inaczej zwanej henną.

– Henną? – powtórzył D’Agosta. – Chcesz powiedzieć, że grzywę zwierzęcia ufarbowano na czerwono?

– Właśnie tak. – Pendergast ponownie uniósł wzrok. – Proctor odwiezie cię do domu. Mogę ci dać trzy godziny, abyś załatwił

wszystkie konieczne sprawy – trzy godziny i ani minuty dłużej.

– Ale... jak to?

– Bo wyjeżdżamy, Vincencie. Do Afryki.

8

D'Agosta stał dość niepewny w holu małego, mającego dwie sypialnie mieszkanca, które dzielił z Laurą Hayward. To było jej mieszkanie, ale ostatnio zaczął płacić wraz z nią czynsz. Przekonanie jej do tego zajęło mu kilka miesięcy. Teraz miał jedynie nadzieję, że niespodziewany obrót wydarzeń nie zniweczy ciężkiej pracy, jaką włożył w naprawę ich związku.

Zajrzał do głównej sypialni. Hayward siedziała na łóżku i wyglądała cudownie, pomimo iż kwadrans temu została wyrwana ze snu. Zegarek na toaletce wskazywał piątą pięćdziesiąt. To zdumiewające, że całe jego życie mogło zostać wywrócone do góry nogami w ciągu zaledwie dziewięćdziesięciu minut. Odnalazła jego spojrzenie, a wyraz jej twarzy pozostawał nieodgadniony.

– Więc to tak? – spytała. – Pendergast zjawia się ni stąd, ni zowąd z jakąś szaloną historią, a ty pozwalasz, by zabrał cię, Bóg wie dokąd?

– Lauro, on dopiero co dowiedział się, że jego żona została zamordowana. Uważa, że jestem jedyną osobą, która może pomóc mu rozwikłać tę sprawę.

– Pomóc? A kto pomoże tobie? Wciąż jeszcze nie otrząsnąłeś się po sprawie Diogenesa, w którą także cię wmanipulował, i miałeś w związku z tym spore nieprzyjemności. Śmiem twierdzić, że Pendergast powinien pomóc ci jakoś wygrzebać się z bagna, w które sam cię wciągnął.

– To mój przyjaciel – odparł D’Agosta, choć nawet jemu to wytłumaczenie wydawało się mocno naciągane.

– To niewiarygodne. – Laura potrząsnęła długimi czarnymi włosami. – Kiedy się kładłam, wezwano cię do rutynowej sprawy, zwykłego zabójstwa. I oto budzę się, by zobaczyć, że się pakujesz, bo właśnie wyruszasz w daleką podróż i nawet nie jesteś w stanie powiedzieć mi, kiedy wrócisz.

– Kochanie, to nie potrwa długo. Moja praca tutaj też jest dla mnie ważna.

– A ja? Co ze mną? Praca to nie jedyne, co tu pozostawiasz.

D’Agosta wszedł do sypialni i przysiadł na brzegu łóżka.

– Przysięgłem, że już nigdy, przenigdy cię nie okłamię. Właśnie dlatego mówię ci to wszystko. Zrozum, jesteś dla mnie najważniejsza, jesteś całym moim życiem. – Wziął głęboki oddech. – Jak powiesz, żebym został, zostanę.

Przez blisko minutę tylko na niego patrzyła. W końcu wyraz jej twarzy złagodniał i pokręciła głową.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Nie mogłabym stanąć pomiędzy tobą a tym... zadaniem.

Ujął jej dłoń.

– Wrócę najszybciej, jak będę mógł. I będę dzwonił codziennie.

Jednym palcem odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

– Mówiłeś już o tym Glenowi?

– Nie, przyjechałem tu prosto z mieszkania Pendergasta.

– No to lepiej do niego zadzwoń i powiadom, że bierzesz urlop na czas nieokreślony. Zdajesz sobie sprawę, że może ci odmówić. Co wtedy?

– To coś, co muszę zrobić.

Hayward odgarnęła koc i zwiesiła nogi z łóżka. Kiedy D’Agosta skierował na nie wzrok, poczuł nagły przypływ pożądania. Jak mógł zostawić tę piękną kobietę choćby na jeden dzień, a co dopiero na tydzień, miesiąc... czy rok?

– Pomogę ci się spakować – powiedziała.

Odchrząknął.

– Lauro...

Przyłożyła palec do jego ust.

– Lepiej nic już nie mów.

Pokiwał głową.

Nachyliła się ku niemu i lekko go pocałowała.

– Tylko obiecaj mi jedno.

– Co tylko zechcesz.

– Obiecaj, że będziesz na siebie uważał. Nie dbam o to, czy Pendergast da się zabić podczas tej wyprawy z motyką na słońce. Ale gdyby coś stało się tobie, byłabym naprawdę zła. A wiesz, jaka bywam, kiedy się naprawdę rozzłoszczę.

9

Rolls-royce z Proctorem za kierownicą mknął drogą ekspresową z Brooklynu do Queens, na południe od Mostu Brooklyńskiego. D'Agosta patrzył na dwa holowniki ciągnące olbrzymią barkę ze złomowanymi autami w górę East River, pozostawiające za sobą spieniony kilwater. Zmierzali na lotnisko Kennedy'ego, najpierw jednak, jak wyjaśnił Pendergast, musieli odwiedzić jedno miejsce.

– Vincencie – rzekł siedzący naprzeciw niego Pendergast – musimy przygotować się na najgorsze. Poinformowano mnie, że ostatnio stan mojej stryjecznej babki Cornelia znacznie się pogorszył.

D'Agosta poruszył się na siedzeniu.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego to takie ważne, abyśmy ją teraz odwiedzili.

– Możliwe, że zdoła rzucić odrobinę światła na całą tę sytuację. Bardzo lubiła Helen. Poza tym chciałbym skonsultować z nią kilka kwestii dotyczących pewnej historii z dziejów naszej rodziny, która – czego się obawiam – ma wyraźne znamiona morderstwa.

D'Agosta chrząknął. Nie przepadał za stryjeczną babką Cornelią. Prawdę mówiąc, nie znosił tej morderczej starej wiedźmy, a kilka jego wizyt w Mount Mercy, szpitalu dla chorych umyślowo przestępców, nie należało do przyjemnych. Skoro jednak pracował z Pendergastem, wolał nie oponować, tylko płynąć z prądem.

Po zjechaniu z drogi ekspresowej i pokonaniu labiryntu bocznych

uliczek przejechali w końcu przez wąski most wiodący na Little Governor's Island. Kręta droga wiodła przez łąki i moczary, a nad ziemią wśród leszczyny snuły się opary porannej mgły. Po obu jej stronach ciągnął się szpaler starych dębów, niegdyś będący elementem majestatycznego podjazdu jak do ogromnej rezydencji, obecnie jednak drzewa wyglądały niczym ciąg kościstych dłoni unoszących zakrzywione w szpony palce ku niebu.

Proctor zatrzymał limuzynę przy wartowni, a z budki strażniczej wyłonił się mężczyzna w mundurze.

– O, pan Pendergast, nie spodziewaliśmy się pana tak szybko.

Przepuścił ich, nie dbając o zwyczajowe formalności z wpisywaniem się do księgi.

– Co to miało znaczyć? – spytał D'Agosta, oglądając się przez ramię na strażnika.

– Nie mam pojęcia.

Proctor zaparkował na niewielkim parkingu i wysiedli. Kiedy mijali frontowe drzwi, D'Agosta był nieco zaskoczony, gdyż za ozdobnym biurkiem w recepcji nie było nikogo, a dokoła dostrzegł oznaki pośpiechu i zamieszania. Gdy rozglądali się za kimś, z kim mogliby pomówić, przez wyłożony marmurem hol nadjechał z terkotem wózek noszowy, na którym leżało ciało nakryte czarnym prześcieradłem. Wózek pchało dwóch krępych pielęgniarzy. D'Agosta zauważył karetkę wjeżdżającą do bramy. Nie miała włączonej syreny ani zapalonego koguta, co mogłoby świadczyć o pośpiechu.

– Dzień dobry, panie Pendergast!

W foyer pojawił się doktor Ostrom, lekarz opiekujący się stryjeczną babką Cornelią, i podszedł, wyciągając rękę na powitanie, a na jego twarzy dało się dostrzec wyraz zdziwienia i konsternacji.

– To... no cóż, i tak miałem do pana zadzwonić. Proszę ze mną.

Podążyli za lekarzem w głąb niegdyś eleganckiego korytarza, w którym jednak królowała obecnie instytucjonalna surowość.

– Mam dla pana przykrą wiadomość – powiedział, nie zwalniając kroku. – Pańska stryjeczna babka odeszła niespełna pół godziny temu.

Pendergast przystanął. Zrobił powolny wydech, a jego ramiona wyraźnie obwisły. D'Agosta aż wzdrygnął się na myśl, że ciało, które ujrzeli przed chwilą, najprawdopodobniej należało do niej.

– Przyczyny naturalne? – spytał monotonnym głosem Pendergast.

– Mniej więcej. Prawda jest taka, że ostatnio jej lęki i omamy silnie się spotęgowały.

Pendergast zamyslił się przez chwilę.

– Jakież konkretne omamy?

– Nic wartego wzmianki, ot zwykłe tematy rodzinne.

– Mimo to chciałbym o nich usłyszeć.

Ostrom wyraźnie się wahał.

– Ona wierzyła... była przekonana, że niejaki Ambergris ma przybyć do Mount Mercy, aby zemścić się na niej za jakiś okrutny czyn, którego, jak twierdzi, dopuściła się wiele lat temu.

Ruszyli dalej korytarzem.

– Czy podała szczegóły tego okrutnego czynu? – spytał Pendergast.

– To wszystko brzmiało dość fantastycznie. Chodziło najwyraźniej o ukaranie jakiegoś dziecka za przeklinanie... – Nastąpiła chwila wahania. – Poprzez rozcięcie mu języka brzytwą.

Pendergast niemal niedostrzegalnie skinął głową. D'Agosta poczuł, że jego język na moment zrobił się suchy.

– Tak czy owak – ciągnął Ostrom – stała się bardzo brutalna i gwałtowna, a raczej brutalniejsza i gwałtowniejsza niż zazwyczaj, i trzeba ją było całkowicie unieruchomić. A także zwiększyć dawki leków. Gdy nadszedł spodziewany czas rzekomego przybycia Ambergrisa, pani Cornelia doznała kilku silnych ataków, jeden po drugim, i bardzo szybko zmarła. O, już jesteśmy na miejscu.

W niewielkim pokoju pozbawionym okien i urządzonym

spartańsko, ze starymi, pozbawionymi ram obrazami i licznymi miękkimi drobiazgami, nic, jak zauważył D'Agosta, nie mogło zostać wykorzystane jako broń ani nawet wyrządzić komukolwiek krzywdy. Płótna nie były nawet odpowiednio rozpięte, obrazy wisiały na ścianie na kawałkach szpagatu. Kiedy D'Agosta otaksował wzrokiem łóżko, stolik, jedwabne kwiaty w koszu i dziwną plamę w kształcie motyla na ścianie, wszystko to wydało mu się takie żałosne i przygnębiające. Nagle zrobiło mu się żal staruszki zabójczynie.

– Pozostaje kwestia rzeczy osobistych zmarłej – ciągnął doktor. – Rozumiem, że te obrazy są raczej cenne.

– To prawda – przyznał Pendergast. – Proszę je wysłać do wydziału dziewiętnastowiecznych płócien domu aukcyjnego Christie's, aby wystawiono je na publiczną aukcję, a zdobyte w ten sposób dochody potraktować jako dotację dla pańskiej placówki za dobrze wykonaną pracę.

– To bardzo szczodre z pana strony, panie Pendergast. Czy zechce pan zlecić autopsję? Kiedy pacjent umiera w naszym zakładzie, zgodnie z prawem można...

Pendergast przerwał stanowczym ruchem ręki.

– To nie będzie konieczne.

– A co z przygotowaniem do pogrzebu...?

– Nie będzie żadnego pogrzebu. Prawnik naszej rodziny, pan Ogilby, skontaktuje się z panem w kwestii dalszego losu szczątków.

– Dobrze.

Pendergast przez chwilę rozglądał się po pokoju, jakby próbował zapamiętać każdy szczegół jego wystroju. Następnie odwrócił się do D'Agosty. Jego twarz pozostawała beznamiętna, ale w oczach dało się dostrzec smutek, a nawet przygnębienie.

– Vincencie – powiedział. – Musimy zdążyć na samolot.

10

Zambia

Uśmiechnięty szczerbaty mężczyzna na ziemnym pasie lądowiska nazwał pojazd land roverem. To stwierdzenie, pomyślał D'Agosta, trzymając się kurczowo uchwyty, było sporą przesadą. Pojazd z trudem zasługiwał na takie miano. Nie miał szyb, dachu, radia ani pasów bezpieczeństwa. Maskę została przymocowana do atrapy chłodnicy kawałkiem drutu. Policjant mógł zobaczyć drogę przez wielkie, wyżarte przez rdzę dziury w podwoziu.

Siedzący za kierownicą Pendergast, ubrany w koszulę, spodnie khaki i w kapeluszu safari na głowie, wykonał zręczny manewr, by ominąć wielką wyrwę w jezdni, ale w ten sposób tylko najechał na nieco mniejszą. D'Agosta aż podskoczył w fotelu pod wpływem nagłego szarpnięcia, zacisnął zęby i mocniej przytrzymał się uchwyty. Co za okropieństwo, pomyślał. Było mu piekielnie gorąco, kurz wdzierał mu się do uszu, oczu, nosa i we włosy oraz do otworów ciała, o których istnieniu nie miał nawet pojęcia. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma poprosić Pendergasta, żeby zwolnił, lecz zrezygnował z tego pomysłu. Im bardziej zbliżali się do miejsca śmierci Helen Pendergast, tym bardziej ponury stawał się agent federalny.

Pendergast zwolnił nieco, gdy dotarli do wioski, jeszcze jednego załóżnie wyglądającego skupiska chat zbudowanych z trzciny,

patyków i wyschniętego błota, prażących się w promieniach słońca. Nie było tu elektryczności, a jedyna wspólna studnia stała pośrodku samotnego skrzyżowania dróg. Świnie, kury i dzieci kręciły się to tu, to tam.

– A ja myślałem, że południowy Bronx to największe zadupie na świecie – wymamrotał pod nosem D’Agosta, bardziej do siebie niż do Pendergasta.

– Obóz Kingazu znajduje się piętnaście kilometrów przed nami – rzucił w odpowiedzi Pendergast, dodając gazu.

Najechali na kolejną wyrwę i D’Agosta znów wyskoczył w górę, by zaraz ciężko opaść na kość ogonową. Ręce świerzbiły go po szczepieniach, jakim zmuszony był się poddać, a od wibracji i upału bolała go głowa. Jednak najboleśniejszym doświadczeniem ostatnich trzydziestu sześciu godzin była chyba rozmowa z jego przełożonym, Glenem Singletonem. Kapitan przyjął jego prośbę o urlop prawie bez pytania. Jakby się ucieszył, pozbywając się D’Agosty.

Po półgodzinie dotarli do obozu Kingazu. Kiedy Pendergast wprowadził pojazd na prowizoryczny parking w cieniu kigelii, afrykańskich drzew kielbasianych, D’Agosta zlustrował wzrokiem obozowisko safari: nieskazitelne chaty z trzciny i słomy, wielkie płócienne namioty z tabliczkami: „Namiot stołowy” i „Bar”, drewniane chodniki łączące poszczególne chaty oraz lniane pawilony z wygodnymi leżakami, na których drzemało kilkanaścioro otyłych, zadowolonych turystów z zawieszonymi na szyjach aparatami fotograficznymi. Pod dachem rozciągnięto sznur niewielkich żarówek oświetleniowych; wśród krzewów pomrukiwał generator. Wszystko było urządzone w jasnych, wręcz jaskrawych kolorach.

– To jak obrazek żywcem wyjęty z filmów Disneya – rzekł D’Agosta, gramoląc się z pojazdu.

– Przez ostatnich dwanaście lat wiele się zmieniło – odparł beznamiętnie Pendergast.

Chwilę stali w bezruchu w cieniu drzewa, nic nie mówiąc. D'Agosta poczuł aromatyczną woń palonego drewna, świeżej zgniecionej trawy i nieco słabszy, niemal zwierzęco piżmowy zapach, którego nie był w stanie zidentyfikować. Piskliwe brzęczenie owadów mieszało się z innymi dźwiękami: jękiem generatorów, gruchaniem gołębic i niespokojnym pomrukiem pobliskiej rzeki Luangwy. D'Agosta spojrzał ukradkiem na Pendergasta: agent wydawał się przygarbiony, jakby dźwigał na swoich barkach niesamowity ciężar, chłonąc widok wokół z mieszaniną trwogi i niecierpliwego wyczekiwania – na jego policzku zadrgał spazmatycznie mięsień. Pendergast musiał się zorientować, że jest obserwowany, bo nagle zebrał się w sobie, wyprostował i wygładził kamizelkę safari. Jednak dziwny błysk w jego oczach pozostał.

– Chodź za mną – powiedział.

Pendergast poprowadził D'Agostę obok pawilonu i namiotu stołówki do mniejszej budowli nieco oddalonej od reszty obozu i stojącej pośród drzew nad brzegiem Luangwy. W błotnistej rzece zanurzony po kolana stał samotny słoń. Kiedy porucznik patrzył, zwierzę nabrało do trąby trochę wody, ochlapało sobie grzbiet, po czym uniosło pomarszczony łeb i zatrąbiło donośnie, zagłuszając niecichnące ani na chwilę brzęczenie owadów.

Nieduża budowla była z pewnością siedzibą administracji obozowiska. Składała się z zewnętrznego biura, najwyraźniej pustego, oraz drugiego, wewnętrznego, gdzie za biurkiem siedział mężczyzna i pisał coś zawzięcie w notesie. Miał około pięćdziesiątki; chudy, żylasty, włosy pojaśniałe od słońca i mocno opalone ramiona.

Kiedy usłyszał nadchodzących gości, uniósł wzrok.

– Słucham, czym mogę... – Głos uwiązał mu w gardle, gdy ujrzał Pendergasta. Najwyraźniej spodziewał się któregoś z uczestników safari. – Kim pan jest? – zapytał, wstając.

– Nazywam się Underhill – odrzekł Pendergast. – A to mój

przyjaciel, Vincent D'Agosta.

Mężczyzna otaksował ich wzrokiem.

– Czym mogę służyć? – powtórzył pytanie.

D'Agosta był prawie pewien, że ten człowiek nie miał wielu niespodziewanych gości.

– Czy mogę spytać o pańską godność? – rzucił Pendergast.

– Rathe.

– Mój przyjaciel i ja byliśmy tu na safari jakieś dwanaście lat temu. Tak się złożyło, że znów jesteśmy w Zambii, w drodze do obozu myśliwskiego Mgandi, i pomyślałem, że wpadniemy. – Uśmiechnął się chłodno.

Rathe wyjrzał przez okno w kierunku prowizorycznego parkingu.

– Mgandi, mówi pan?

Pendergast skinął głową.

Mężczyzna odchrząknął i wyciągnął rękę.

– Przepraszam. Ostatnio tyle się dzieje, zamieszki, powstania, trudno się dziwić, że człowiek robi się nerwowy.

– To zrozumiałe.

Rathe wskazał dwa podniszczone drewniane krzesła stojące przed biurkiem.

– Proszę spocząć. Mogę coś panom zaproponować?

– Piwo, jeżeli można – rzucił natychmiast D'Agosta.

– Oczywiście. Chwileczkę.

Mężczyzna zniknął i po dłuższej chwili wrócił z dwiema butelkami piwa Mosi. D'Agosta przyjął jedną, podziękował zdawkowo i upił łączywie spory łyk.

– Jest pan koncesjonariuszem obozu? – zapytał Pendergast, gdy mężczyzna ponownie usiadł za biurkiem.

Rathe pokręcił głową.

– Zarządcą. Chodzi panom zapewne o Fortnuma. Wciąż jest w terenie z poranną grupą.

– Fortnum, rozumiem. – Pendergast rozejrzał się wokoło. – Przypuszczam, że od naszego ostatniego pobytu tutaj wśród

personelu zaszły spore zmiany. Cały obóz wygląda inaczej. Rathe uśmiechnął się nieszczercze.

– Musimy dorównać konkurencji. Nasi klienci poza urokliwą scenerią żądają dziś komfortu.

– Oczywiście. Ale mimo wszystko szkoda, prawda Vincencie? Mieliśmy nadzieję zobaczyć kilka znajomych twarzy.

D'Agosta pokiwał głową. Potrzebował pięciu łyków, by przepłukać gardło z kurzu.

Pendergast udał przez chwilę, że się zastanawia.

– A co z Alistairem Wokingiem? Wciąż jest komisarzem okręgowym? Rathe znów pokręcił głową.

– Zmarł jakiś czas temu. Będzie już z dziesięć lat.

– Naprawdę? Co się stało?

– Wypadek na polowaniu – odrzekł zarządca. – Prowadzono odstrzał słoni, a Woking był obserwatorem. Został przez pomyłkę postrzelony w plecy. Okropne.

– To doprawdy godne pożałowania – przyznał Pendergast. – I mówi pan, że obecnym koncesjonariuszem obozu jest niejaki Fortnum? Kiedy byliśmy tu na safari, jego poprzednikiem był Wisley. Gordon Wisley.

– Wciąż tu jest – powiedział Rathe. – Dwa lata temu przeszedł na emeryturę. Mówią, że żyje jak król ze swojej koncesji myśliwskiej w okolicach Wodospadów Wiktorii. Chłopcy go uwielbiają i czekają na niego jak na zbawienie.

Pendergast odwrócił się do D'Agosty.

– Vincencie, pamiętasz, jak nazywał się ten tragarz broni?

D'Agosta zgodnie z prawdą odparł, że nie.

– A ja właśnie sobie przypomniałem. Wilson Nyala. Czy jest szansa, żebyśmy mogli spotkać się i z nim pogawędzić, panie Rathe?

– Wilson zmarł wiosną tego roku. Gorączka denga. – Rathe zmarszczył brwi. – Chwileczkę. Powiedział pan tragarz broni?

– Szkoda. – Pendergast poruszył się na krześle. – A co z naszym

tropicielem? Jasonem Mfunim?

– Nigdy o nim nie słyszałem. Ale tak to już jest, pomocnicy sezonowi przychodzą i odchodzą, ani się obejrzysz. Ale, ale, czy ja dobrze słyszałem? Wspomniał pan o tragarzu broni? W Kingazu przyjmujemy wyłącznie ekspedycje na bezkrwawe łowy.

– Jak już wspominałem, to było pamiętne safari.

Pomimo upału D'Agosta na dźwięk słowa „pamiętne” poczuł nagle na plecach lodowate ciarki.

Rathe nie odpowiedział. Wciąż marszczył brwi.

– Dziękuję za gościnność – powiedział nagle Pendergast i wstał, a D'Agosta zrobił to samo. – Koncesja myśliwska Wisleya opiewa na tereny w okolicach Wodospadów Wiktorii, powiada pan? Może pan nam podać jakąś nazwę?

– Potok Ulani.

Rathe także wstał. Jego wcześniejsze podejrzenia powróciły.

– Czy mógłbym trochę się tu rozejrzeć? – zapytał Pendergast.

– Jeśli pan chce – odparł Rathe. – Tylko proszę nie niepokoić gości.

Po wyjściu z budynku zarządu Pendergast przystanął i popatrzył w lewo i prawo, jakby próbował się zorientować w otoczeniu. Wahał się tylko przez moment. Zaraz potem bez słowa ruszył wydeptaną ścieżką prowadzącą za obozowisko. D'Agosta pospieszył za nim. Słońce prażyło niemiłosiernie, a brzęczenie owadów przybrało na sile. Po jednej stronie ścieżki ciągnął się gąszcz drzew i krzewów, po drugiej – rzeka Luangwa. D'Agosta czuł, że koszula khaki przylepia mu się do pleców i ramion.

– Dokąd idziemy? – wysapał.

– W wysokie trzciny. Tam, gdzie... – Pendergast nie dokończył.

D'Agosta przełknął ślinę.

– Dobra, jasne. Prowadź.

Nagle Pendergast zatrzymał się i odwrócił. Na jego twarzy pojawił się wyraz, jakiego D'Agosta nigdy wcześniej nie widział –

mieszanina smutku, żalu i bezgranicznego znużenia. Odchrząknął, a potem powiedział półgłosem:

– Bardzo mi przykro, Vincencie, ale muszę zrobić to sam.

D'Agosta wziął głęboki oddech i poczuł ogarniającą go ulgę.

– Rozumiem.

Pendergast odwrócił się i spojrzał na niego bladymi oczami. Skinął głową, jeden, jedyny raz. A potem sztywnym krokiem, z determinacją zszedł ze ścieżki i wszedł w busz, by niemal natychmiast rozplątać się wśród mrocznych cieni zalegających między drzewami.

11

Wyglądało na to, że wszyscy wiedzą, gdzie znajduje się „faktoria” Wisleya. Mieściła się na końcu dobrze utrzymanej polnej drogi, na łagodnym wzgórzu, w lasach na północny zachód od Wodospadów Wiktorii. Prawdę mówiąc, gdy Pendergast zatrzymał rozklekotany pojazd tuż przed ostatnim zakrętem na drodze, D’Agosta odniósł wrażenie, że wychwycił dźwięk wodospadu, cichy odległy ryk, który bardziej się dało wyczuć niż usłyszeć.

Spojrzał na Pendergasta. Dotarcie tu z obozu Kingazu zajęło wiele godzin i przez ten czas agent wypowiedział zaledwie kilka słów. D’Agosta chciał zapytać, co – jeżeli w ogóle cokolwiek – agent odkrył podczas oględzin miejsca zdarzenia, wśród wysokich traw i trzciny, ale najwyraźniej pora nie była odpowiednia. Kiedy Pendergast będzie gotów, by mu to wyjawić, zrobi to.

Pendergast pokonał ostatni zakręt i ich oczom ukazał się dom: przepiękna stara budowla w stylu kolonialnym, pomalowana na biało, z czterema niskimi grubymi kolumnami i gankiem dookoła. Kanciastość budowli łagodziły starannie utrzymane krzewy azalii, bukszpanu i bugenwilli. Cała posiadłość, dwa czy trzy hektary, wydała się wycięta spomiędzy otaczającej ją dżungli. Szmaragdowy trawnik spływał ku nim ozdobiony tu i ówdzie klombami pełnymi róż we wszystkich możliwych odcieniach. Pomijając niemal fluorescencyjną jaskrawość kwiatów, schludna posiadłość w niczym nie ustępowała jej odpowiednikom z Greenwich czy Scarsdale.

D'Agosta odniósł wrażenie, że dostrzega postacie na ganku, ale z tej odległości nie był w stanie ich rozróżnić.

– Wygląda na to, że stary Wisley nieźle się tu urządził – mruknął.

Pendergast pokiwał głową, ale jego blade oczy przez cały czas wpatrywały się w dom.

– Ten Rathe wspominał o chłopcach Wisleya – ciągnął D'Agosta.
– A co z żoną? Myślisz, że jest rozwiedziony?

Pendergast uśmiechnął się lodowato.

– Śmiem twierdzić, że się okaże, iż Rathe'owi chodziło o coś zupełnie innego.

Podjechali powoli na plac przed domem. D'Agosta omiótł ganek spojrzeniem. Na wielkim wiklinowym fotelu siedział krępy mężczyzna około sześćdziesiątki, opierając stopy o drewniany stołek.

Miał na sobie biały lniany garnitur, przez co jego nalana twarz wydawała się jeszcze bardziej rumiana niż w rzeczywistości. Na czubku głowy miał małą łysinę wyglądającą jak mnisia tonsura, w miejscu, gdzie jego rude włosy bardziej się przerzedziły. Mężczyzna sączył drinka z lodem z wysokiej szklanki, którą odstawił stanowczym ruchem na blat stolika, obok dzbanka wypełnionego tym samym napojem. Ruchy mężczyzny były przesadne jak u pijaka. Po obu jego stronach stali Afrykanie w średnim wieku, mocno wychudzeni i ubrani w wyblakłe koszule z madrasu. Jeden miał przewieszoną przez ramię białą ściereczkę, drugi trzymał wachlarz o długim trzonku i majestatycznymi regularnymi ruchami wachlował mężczyznę w wiklinowym fotelu.

– To Wisley? – spytał D'Agosta.

Pendergast wolno pokiwał głową.

– Bardzo się posunął.

– A ci dwaj... to jego chłopcy?

Pendergast znów skinął głową.

– Wygląda na to, że to miejsce nie weszło nawet w wiek

dwudziesty, a co dopiero mówić o dwudziestym pierwszym.

Następnie powoli, z rozwagą agent wysiadł z samochodu, odwrócił się w stronę domu i wyprostował.

Siedzący na ganku Wisley zamrugał raz i drugi. Przeniósł wzrok z D'Agosty na Pendergasta i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Jego wyraz twarzy zmienił się jednak, gdy mężczyzna spojrzał na agenta FBI. Wraz z rozpoznaniem pojawiło się przerażenie. Mężczyzna zaklął i zerwał się z fotela, przewracając dzbanek i szklankę. Schwycił strzelbę na śłonie i opierając się o drewnianą poręcz ganku, otworzył siatkowe drzwi, po czym chwiejnym krokiem wszedł do domu.

– Jak dla mnie jego zachowanie wyraźnie świadczy o winie – zauważył D'Agosta. – Nie przypuszczam... o cholera.

Dwaj służący ukryli się za ogrodzeniem na ganku. Z werandy huknął strzał i pocisk wrył się w ziemię, tuż obok land rovera.

Agent FBI i policjant błyskawicznie ukryli się za pojazdem.

– Co się, kurwa, dzieje? – wycedził D'Agosta, sięgając po swojego glocka.

– Nie podnoś się – nakazał Pendergast, który poderwał się z ziemi i pobiegł.

– Hej!

Kolejny wystrzał i kula wbiła się w bok terenówki z głuchym baach!, po którym w górę wzbily się strzępy wyściółki z podartej tapicerki. D'Agosta wyjrzał zza opony, spoglądając w kierunku domu. W dłoni trzymał pistolet. Gdzie, u licha, podział się Pendergast?

Cofnął się błyskawicznie i skrzywił, kiedy usłyszał, jak trzeci pocisk rykoszetuje od stalowego podwozia land rovera. Chryste, przecież nie mógł tu tak siedzieć beczynnym jak cel na strzelnicy. Odczekał, aż czwarta kula ze świstem przeleciała mu nad głową, po czym wyjrzał znad zderzaka pojazdu i wycelował, podczas gdy strzelec zniknął za osłoną ganku. Już miał pociągnąć za spust, kiedy ujrzał Pendergasta wyłaniającego się spomiędzy krzewów

pod gankiem. Agent z niezwykłą szybkością przeskoczył ponad barierką, powalając czarnoskórego strzelca potężnym ciosem w szyję, po czym wymierzył ze swojej czterdziestkipiątki w drugiego służącego. Mężczyzna wolno podniósł rękę.

– Możesz już wyjść, Vincencie – rzekł Pendergast, podnosząc strzelbę leżącą obok jęczącego z bólu Afrykańczyka.

Znaleźli Wisleya w piwniczce na owoce. Kiedy go osaczyli, wypalił ze strzelby na słońce, ale fatalnie spudłował – ze strachu, a może dlatego, że był pijany – a odrzut broni zwałił go z nóg. Zanim zdążył wystrzelić ponownie, Pendergast rzucił się naprzód, stopą przydeptał strzelbę i dwoma szybkimi, gwałtownymi ciosami w twarz oszołomił Wisleya. Drugi cios złamał Wisleyowi nos i jasna szkarłatna fontanna zalała przód jego białej koszuli. Pendergast wyjął z kieszonki na piersi chustkę i podał mu ją. Następnie schwycił Wisleya za ramię, wyprowadził go z piwniczki, po schodach i przez drzwi frontowe, na ganek, gdzie bezceremonialnie posadził na powrót w wiklinowym fotelu.

Dwaj służący wciąż tam stali, kompletnie zdezorientowani. D'Agosta machnął na nich pistoletem.

– Przejdźcie sto metrów drogą – powiedział. – Stańcie tak, żebym was widział, i cały czas trzymajcie ręce w górze.

Pendergast zatknął swojego les baera za pasek spodni i wyprostował się przed Wisleyem.

– Dziękuję za gorące powitanie – powiedział.

Wisley przycisnął chustkę do nosa.

– Chyba musiałem pana z kimś pomylić.

D'Agosta uznał, że tamten mówi z australijskim akcentem.

– Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony pańską niezawodną pamięcią. Myślę, że ma mi pan coś do powiedzenia.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, kolego – odparł Wisley.

Pendergast skrzyżował ramiona.

– Zapytam tylko raz: kto zaaranżował śmierć mojej żony?

– Nie wiem, o czym pan mówi – rozległa się zduszona odpowiedź. Pendergast spojrział na tamtego, jego wargę zadrżała.

– Coś panu wyjaśnię, panie Wisley – powiedział po chwili. – Mogę śmiało stwierdzić, że powie mi pan to, co chcę wiedzieć. To, w jakim stanie pan będzie i ile będzie pan zmuszony wycierpieć, zanim to nastąpi i zanim powie mi pan wszystko, zależy wyłącznie od pana.

– Spadaj.

Pendergast przyglądał się spoconej okrwawionej postaci skulonej na fotelu. Następnie wychylił się do przodu i podźwignął Wisleya na nogi.

– Vincencie – rzucił przez ramię – odprowadź pana Wisleya do naszego samochodu.

Wpijając lufę broni w nalany kark, D'Agosta poprowadził myśliwego w stronę land rovera, usadowił go na fotelu pasażera, a sam usiadł z tyłu, strzepując uprzednio śmieci z kanapy. Pendergast uruchomił silnik i ruszył, mijając szmaragdowe drzewa, barwne kwiaty i dwóch służących stojących nieruchomo jak posągi, by wjechać w głąb dżungli.

– Dokąd mnie zabieracie? – rzucił Wisley, gdy pokonali zakręt i dom zniknął w oddali.

– Nie wiem – odparł Pendergast.

– Jak to pan nie wie? – W głosie Wisleya zabrakło wcześniejszej buńczucznej pewności.

– Jedziemy na safari.

Jechali niezbyt szybko przez ponad kwadrans. Wysokie trawy ustąpiły miejsca sawannie i szerokiej czekoladowobrązowej rzece, która sprawiała wrażenie zbyt leniwej, by w ogóle miała jakiś nurt. D'Agosta dostrzegł dwa hipopotamy baraszkujące przy brzegu i spore stado przypominających bociany ptaków o chudych żółtych nogach i ogromnych skrzydłach wzbijające się nad wodą niczym biała chmura. Słońce zaczęło się chylić za horyzontem i dokuczliwy popołudniowy upał wyraźnie osłabł.

Pendergast zdjął nogę z gazu i pozwolił, by samochód zatrzymał się na trawiastym poboczu.

– To miejsce wydaje się odpowiednie – powiedział.

D’Agosta rozejrzał się wokoło zakłopotany: tutejszy krajobraz nie różnił się zbyt od pejzażu całej tej okolicy na przestrzeni ostatnich ośmiu kilometrów.

I nagle znieruchomiał. Czteryście metrów dalej, nad rzeką, spostrzegł stado lwów ogryzających szkielet. Ich umaszczenie w kolorze piasku sprawiało, że trudno je było w pierwszej chwili wypatrzeć na tle niskiej, sprażonej słońcem roślinności.

Wisley siedział sztywno na przednim siedzeniu i z niepokojem patrzył przed siebie. Od razu zauważył lwy.

– Panie Wisley, proszę wysiąść z samochodu – rzekł łagodnym tonem Pendergast.

Wisley nawet nie drgnął.

D’Agosta przyłożył broń do jego potylicy.

– Jazda.

Sztywno i powoli Wisley wykonał polecenie.

D’Agosta niechętnie wygramolił się z tylnego siedzenia. Już sama bliskość stada lwów wywoływała u niego dyskomfort, a co dopiero teraz, gdy musiał wysiąść z samochodu. Lwy można bezpiecznie oglądać w zoo w Bronksie, gdy dzielą cię od nich podwójne, wysokie, stalowe parkany.

– Wygląda na starą zdobycz, prawda? – odezwał się Pendergast, wskazując pistoletem na stado. – Domyślam się, że są głodne.

– Lwy nie są ludojadami – powiedział Wisley z chustką przyciśniętą do nosa. – To zdarza się bardzo rzadko. – Jednak w jego głosie dało się wyczuć lekkie drżenie.

– Nie muszą pana pożreć, panie Wisley – odparł Pendergast. – To byłoby przysłowiową wisienką na torcie, że się tak wyrażę. Jeżeli uznają, że chce pan odebrać im ich zdobycz, zaatakują. Ale przecież pan wie o lwach wszystko, czyż nie?

Wisley nie odpowiedział. Patrzył na lwy.

Pendergast sięgnął i zabrał mu chustkę. W jednej chwili po twarzy Wisleya spływały strużki świeżej krwi.

– To z pewnością powinno zwrócić ich uwagę.

Wisley spojrzał na niego z konsternacją.

– Proszę zacząć iść w ich stronę – rzekł Pendergast.

– Pan oszalał. – Wisley podniósł głos.

– Nie. Tak się składa, że to ja mam broń. – Pendergast wycelował pistolet w stronę Wisleya. – Naprzód!

Wisley znieruchomiał na chwilę. Wreszcie wolno, bardzo wolno, noga za nogą zaczął iść w stronę lwów. Pendergast podążył za nim z bronią gotową do strzału. D'Agosta trzymał się kilka kroków za nimi. Był skłonny zgodzić się z Wisleyem – to było szaleństwo. Stado bacznie ich obserwowało.

Pokonawszy w ślimaczym tempie ponad czterdzieści metrów, Wisley znów się zatrzymał.

– Proszę iść dalej, panie Wisley – zawołał Pendergast.

– Nie mogę.

– Zastrzelę pana, jeśli nie zacznie pan iść dalej.

Usta Wisleya poruszały się nerwowo.

– Ten pana pistolet nie zatrzyma nawet jednego lwa, a co dopiero całego stada.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Jeżeli ja zginę, to pan również.

– Tego też jestem świadomy. – Pendergast odwrócił się. – Cofnij się, Vincencie, dobrze? – Sięgnął do kieszeni, wyjął kluczyki od land rovera i rzucił je D'Agoście. – Gdyby sprawy przyjęły nieprzyjemny obrót, oddał się na bezpieczną odległość.

– Odbiło panu? – wychrypiał Wisley. – Nie słyszał pan, co powiedziałem? Pan też zginie!

– Panie Wisley, proszę robić to, co każę, i iść dalej. Nie lubię się powtarzać.

Wisley wciąż nie ruszał się z miejsca.

– Prawdę mówiąc, nie zamierzam się powtarzać. Za pięć sekund

wpakuję panu kulę w lewy łokieć. Wciąż będzie mógł pan iść, a strzał bez wątpienia rozjuszy lwy.

Wisley postąpił krok naprzód, ale zaraz znowu przystanął. Po chwili zrobił kolejny krok. Jeden z lwów, wielki samiec o dziko zmierzwionej grzywie, leniwie podźwignął się z ziemi. Spojrzał w ich stronę, oblizując zakrwawioną paszczę. D'Agosta, który pozostał z tyłu, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Już dobrze! – powiedział Wisley. – Już dobrze, powiem wszystko!

– Zamieniam się w słuch – odparł Pendergast.

Wisley dostał drgawek.

– Wracajmy do samochodu!

– Chętnie wysłucham pana tutaj. Tylko proszę mówić szybko.

– Wszystko było... ukartowane.

– Szczegóły, jeśli łaska.

Teraz podniosły się również dwie lwice.

– Błagam, błagam – rzucił Wisley łamiącym się głosem. – Na miłość boską, czy nie możemy porozmawiać w aucie?

Pendergast jakby zastanawiał się nad tym przez chwilę. W końcu skinął głową.

Wrócili do samochodu zdecydowanie szybszym krokiem, niż kiedy się od niego oddalali. Gdy wsiedli, D'Agosta oddał Pendergastowi kluczyki; policjant zauważył, że samiec lew niespiesznie kierował się w ich stronę. Pendergast uruchomił silnik. Lew przyspieszył. Silnik w końcu zaskoczył, Pendergast wrzucił bieg i ruszył w chwili, gdy biegnący truchtem lew dopadł do nich, zaryczał i machnął łapą, orząc pazurami bok mijającego go pojazdu. D'Agosta obejrzał się przez ramię i serce podeszło mu do gardła. Lew jeszcze przez chwilę sunął w ślad za nimi, ale w końcu pozostał w tyle i ostatecznie zniknął w oddali.

Przez dziesięć minut jechali w milczeniu. Wreszcie Pendergast znów zatrzymał wóz, wysiadł i ruchem ręki dał Wisleyowi znak, aby zrobił to samo. D'Agosta również opuścił land rovera; trzej

mężczyźni nieznacznie oddalili się od pojazdu.

Pendergast machnął na Wisleya les baerem.

– Na kolana.

Tamten wykonał polecenie, a Pendergast podał mu zakrwawioną chustkę.

– Dobrze. Proszę powiedzieć mi resztę.

Wisley dygotał na całym ciele.

– Ja... w sumie nie wiem zbyt dużo. Było dwóch mężczyzn. Jeden z nich był Amerykaninem, drugi Europejczykiem. Chyba Niemcem. Tak sądzę. To oni... dostarczyli lwa ludojada. Rzekomo był tresowany. Mieli spore fundusze.

– Skąd pan wie, jakiej byli narodowości?

– Słyszałem ich, za namiotem-stołówką, jak rozmawiali z Wokingiem. W noc poprzedzającą śmierć tego turysty.

– Jak wyglądali?

– Była noc. Nie widziałem ich.

Pendergast zamyślił się.

– Co właściwie zrobił Woking?

– Zaaranżował śmierć tego turysty. Wiedział, gdzie czekał lew, i naprowadził na niego turystę. Powiedział temu mężczyźnie, fotografowi, że znajdzie tam guźca. – Wisley przełknął ślinę. – On... to on kazał Nyali załadować broń pańskiej żony ślepakami.

– A więc Nyala też brał w tym udział?

Wisley pokiwał głową.

– A Mfuni? Ten tropiciel?

– Wszyscy byli w to zamieszani.

– Ci mężczyźni... mówił pan, że mieli spore fundusze. Skąd pan to wie?

– Dobrze płacili. Woking dostał pięćdziesiąt tysięcy, żeby zrealizować plan. Ja... dostałem dwadzieścia na wykorzystanie obozu i żeby przymknął oko na tę sprawę.

– Lew był tresowany?

– Ktoś tak powiedział.

– Jak?

– Nie wiem jak. Wiem tylko, że nauczono go, żeby zabijał na rozkaz, choć każdy, kto uważa, że można tego dokonać ze stuprocentową pewnością, musi być niespełna rozumu.

– Jest pan pewien, że było tylko dwóch mężczyzn?

– Słyszałem tylko dwa głosy.

Oblicze Pendergasta stężało. D'Agosta ponownie był świadkiem, jak agent FBI wykorzystuje siłę woli, by nad sobą zapanować.

– Coś jeszcze?

– Nie. Już nic. To wszystko, przysięgam. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

– Dobrze.

I nagle z przerażającą szybkością Pendergast schwycił Wisleya za włosy i przyłożył mu lufę pistoletu do skroni.

– Nie! – krzyknął D'Agosta, rozpaczliwym ruchem zaciskając dłoń na ramieniu Pendergasta.

Agent spojrzał na niego, a D'Agosta odczuł przenikliwość jego wzroku nieomal jak fizyczny cios.

– Zabijanie informatorów to nie jest dobry pomysł – stwierdził policjant, modulując głos tak, aby jego ton zabrzmiał możliwie najspokojniej. – Może jeszcze nie powiedział wszystkiego. Może zabije go dżin z tonikiem, oszczędzając nam fatygi. Nie martw się, ten tłusty wieprz nigdzie nie ucieknie.

Pendergast zawahał się, wciąż przyciskając lufę pistoletu do skroni Wisleya. Wreszcie bardzo wolno rozluźnił uścisk na cienkiej tonsurze jego rudawych włosów. Były koncesjonariusz osunął się na ziemię, a D'Agosta z odrazą zauważył, że otyły mężczyzna się zmoczył.

Pendergast bez słowa usiadł za kierownicą. D'Agosta zajął miejsce obok niego. Wyjechali na drogę i nie oglądając się wstecz, ruszyli w stronę Lusaki.

Minęło pół godziny, zanim D'Agosta znów się odezwał:

– I jak? Co teraz?

– Przeszłość – odrzekł Pendergast, nie odrywając wzroku od drogi. – Teraz czeka nas spotkanie z przeszłością.

Savannah, Georgia

Whitfield Square przysypiał spokojnie w gasnącym świetle poniedziałkowego wieczoru. Zapaliły się latarnie uliczne, a ich blask tworzył widmowe cienie z palmetto i mchu hiszpańskiego zwieszającego się z gruzłowatych konarów dębów. Po dokuczliwych upałach Afryki Środkowej parną atmosferę Georgii D'Agosta przyjął nieomal z ulgą.

Policjant podążył za Pendergastem po starannie przystrzyżonym trawniku. Pośrodku placu wznosiła się duża kopuła otoczona kwiatami. Pod dachem kopuły stali weselnicy i młoda para posłusznie wykonująca polecenia fotografa. Wokoło ludzie spacerowali, przysiadali na pomalowanych na czarno ławeczkach, gawędzili lub oddawali się lekturze. Wszystko wydawało się zbyt łagodne i nieostre, aż D'Agosta pokręcił energicznie głową. Po szaleńczej wyprawie z Nowego Jorku do Zambii, a stamtąd do samego serca pretensjonalnego Południa czuł się otepiały.

Pendergast przystanął, wskazując ponad Habersham Street na wielką nierealną budowlę w stylu wiktoriańskim, białą, nieskazitelną i wyglądającą jak wiele innych w tej okolicy. Gdy podeszli bliżej, powiedział:

- Pamiętaj, Vincencie, on jeszcze nie wie.
- Rozumiem.

Przeszli przez ulicę i wspięli się po drewnianych schodach. Pendergast nacisnął dzwonek. Dziesięć sekund później lampa nad głównym wejściem zapaliła się, a drzwi otworzył czterdziestokilkuletni mężczyzna.

D'Agosta przyjrzał mu się z uwagą. Wysoki, uderzająco przystojny, z wysokimi kośćmi policzkowymi, ciemnymi oczami i gęstymi brązowymi włosami. Tak jak Pendergast był blady, tamten był opalony. Trzymał w ręku złożone czasopismo. D'Agosta spojrzął na pierwszą stronę. Pismo miało tytuł: „Dziennik Amerykańskiej Neurochirurgii”.

Promienie słońca niknącego za domami po drugiej stronie placu świeciły mężczyźnie prosto w oczy i nie mógł dobrze przyjrzeć się gościowi.

– Słucham? – rzucił. – W czym mogę pomóc?

– Judsonie Esterhazy – powiedział Pendergast, wyciągając rękę.

Esterhazy drgnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i radości.

– Aloysius? – rzekł – Boże drogi! Wejdz!

Gospodarz poprowadził ich przez hol, wąski, wypełniony książkami korytarz, a stamtąd do przytulnego saloniku. „Przytulny” nie było określeniem, jakiego często używał D'Agosta, ale nie potrafił inaczej opisać tego miejsca. Ciepłe żółte światło rzucało łagodny blask na antyczne mahoniowe meble: bieliźniarkę, biurko, szafkę z bronią i kolejne regały. Na podłodze leżały barwne perskie dywany. Na jednej ze ścian wisiały dwa duże dyplomy – ukończenia medycyny i uzyskania tytułu doktora filozofii. Meble były miękkie, duże i wyglądały na wygodne. Antyki z całego świata – afrykańskie rzeźby i nefrytowe figurki z Azji – stały niemal w każdym wolnym miejscu. Z dwóch okien przesłanianych delikatnymi zasłonami rozciągał się widok na plac. Choć w tym pokoju znajdowało się tyle różnych rzeczy, nie sprawiał on wrażenia graciarni, lecz raczej gniazdka wykształconego, obytego w świecie, rozmiłowanego w podróżach mężczyzny obdarzonego

dobrym gustem.

Pendergast odwrócił się i przedstawił D'Agostę Esterhazyemu. Mężczyzna nie był w stanie ukryć zdziwienia, kiedy dowiedział się, że D'Agosta jest policjantem, mimo to uśmiechnął się i życzliwie uścisnął jego dłoń.

– Cóż za nieoczekiwana przyjemność – oznajmił. – Napijesz się czegoś? Herbaty, piwa, burbona?

– Poproszę burbona, Judsonie – odrzekł Pendergast.

– Jaki ma być?

– Bez niczego.

Esterhazy odwrócił się do D'Agosty:

– A dla pana, poruczniku?

– Poproszę piwo, jeżeli można.

– Oczywiście.

Wciąż uśmiechając się, Esterhazy podszedł do barku w rogu pokoju i zręcznie nalał burbona. Następnie przeprosił i udał się do kuchni po piwo.

– Wielkie nieba, Aloysiusie – powiedział, kiedy wrócił. – Ile to już minęło, dziewięć lat?

– Dziesięć.

– Dziesięć lat. Wybraliśmy się wtedy na polowanie do Kilchurn Lodge.

D'Agosta upił łyk piwa i rozejrzał się dokoła, podczas gdy tamci dwaj kontynuowali pogawędkę. Wcześniej Pendergast powiedział mu co nieco o Esterhazym – neurochirurgu, pracowniku naukowym, który osiągnąwszy wszystko, co mógł, w swoim zawodzie, pracował teraz na pół etatu pro bono zarówno w miejscowych szpitalach, jak i dla Lekarzy ze Skrzydłami. Ta organizacja charytatywna samolotami transportowała lekarzy w dotknięte kataklizmem rejony Trzeciego Świata; pracowała w niej także jego siostra. Esterhazy był zapalonym myśliwym i, jak twierdził Pendergast, strzelał lepiej nawet niż jego siostra. D'Agosta, popatrując na rozmaite trofea wiszące na ścianach,

przyznał, że Pendergast bynajmniej nie przesadzał. Lekarz, który z zamiłowania był również myśliwym, to doprawdy ciekawa kombinacja.

– Powiedz mi zatem – rzekł Esterhazy głębokim, dźwięcznym głosem – co cię sprowadza do Krainy Nizin? Prowadzisz dochodzenie. Nie oszczędzaj mi, proszę, żadnych, nawet najokropniejszych szczegółów – zachichotał.

Pendergast upił łyk burbona. Wahał się tylko przez chwilę.

– Obawiam się, Judsonie, że niełatwo mi będzie o tym mówić. Przychodzę tu w związku z Helen.

Chichot uwiązał w gardle Esterhazyego. W jego szlachetnych rysach przebiło się zakłopotanie.

– Helen? Ale co w związku z Helen?

Pendergast upił kolejny, większy łyk.

– Dowiedziałem się, że jej śmierć to nie był wypadek.

Esterhazy stał przez chwilę jak sparaliżowany, patrząc na Pendergasta.

– O czym ty mówisz, u licha?

– O tym, że twoja siostra została zamordowana.

Esterhazy wyprostował się, na jego twarzy malowała się konsternacja. Odwrócił się do gości plecami i wolno, jak pogrążony we śnie lunatyk podszedł do regału pod przeciwległą ścianą. Wybrał na chybił trafił jakiś przedmiot, przez chwilę obracał go w dłoniach, po czym odłożył na miejsce. Wreszcie po dłuższej chwili ponownie się odwrócił. Podszedł do barku, sięgnął po karafkę i nalał sobie sporego drinka. Następnie usiadł naprzeciwko swoich gości.

– Znam cię, Aloysiusie, więc chyba nie muszę pytać, czy jesteś tego pewien – powiedział półgłosem.

– Nie musisz.

Cała postawa Esterhazyego zmieniała się, jego twarz pobleadła.

– I co zamierzasz... co... my zamierzamy z tym zrobić?

– Ja... z pomocą Vincenta odnajdę osobę lub osoby, które są za to

odpowiedzialne. I dopilnujemy, by sprawiedliwości stało się zadość.

Esterhazy spojrzął na twarz Pendergasta.

– Chcę przy tym być. Chcę być tam, kiedy człowiek, który zamordował moją młodszą siostrę, zapłaci za to, co zrobił.

Pendergast nie odpowiedział.

Gniew, siła emocji tego mężczyzny były tak intensywne, że D'Agosta niemal się przeraził. Esterhazy osunął się ciężko na fotel, jego czarne oczy były niespokojne i błyszczące.

– Jak się tego dowiedziałeś?

Pendergast pokrótce zrelacjonował mu wydarzenia kilku ostatnich dni. Choć wstrząśnięty, Esterhazy słuchał z uwagą. Kiedy Pendergast skończył, wstał i nalał sobie następnego drinka.

– Wierzyłem... – Pendergast przerwał – wierzę, że naprawdę dobrze znałem Helen. A jednak, skoro ktoś ją zabił i zadał sobie tak wiele trudu oraz poniósł olbrzymie koszty, by upozorować jej śmierć jako wypadek, wynika z tego, że musiałem o czymś ważnym nie wiedzieć. Jako że przez większość ostatnich dwóch lat jej życia byliśmy prawie nierozłączni, cokolwiek to było, musi kryć się w odległej przeszłości. I właśnie tu potrzeba mi twojej pomocy.

Esterhazy przesunął dłonią po szerokim czole i skinął głową.

– Czy przychodzi ci na myśl ktoś, jakaś osoba, która mogłaby mieć motyw, aby ją zabić? Wrogowie? Rywale z pracy? Dawni kochankowie?

Esterhazy milczał, jego usta poruszały się bezgłośnie.

– Helen była... cudowna. Łagodna. Życzliwa. Czarująca. Nie miała wrogów. Wszyscy w MIT ją uwielbiali, a jeżeli chodzi o pracę naukową na studiach, była bardzo skrupulatna, wymieniając zasługi wszystkich, którzy jej pomagali.

Pendergast skinął głową.

– A co po tym, jak skończyła studia? Może jacyś rywale z organizacji Lekarze ze Skrzydłami? Czy ktoś został pominięty przy awansie na jej korzyść?

– LS tak nie działa. Wszyscy pracują razem. Nie ma mowy

o niezaspokojonych ambicjach czy urażonym ego. Była tam bardzo lubiana.

– Esterhazy przełknął ślinę z wyraźnym trudem. – Wszyscy wręcz kochali ją.

Pendergast wrócił na miejsce.

– W ostatnich miesiącach przed swoją śmiercią odbyła kilka krótkich podróży. Mówiła, że chodzi o badania naukowe, ale nie wdawałem się w szczegóły. Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się to trochę dziwne – Lekarze ze Skrzydłami to organizacja zajmująca się głównie leczeniem oraz edukacją medyczną ludzi, badania naukowe nie należą do ich priorytetów. Żałuję, że nie wycisnąłem z niej więcej informacji. Jesteś lekarzem, domyślasz się, czym mogła się zajmować, co mogło ją pochłaniać?

Esterhazy zamyślił się przez chwilę. W końcu zaprzeczył ruchem głowy.

– Wybacz, Aloysiusie. Nic mi nie powiedziała. Uwielbiała wyprawy do odległych miejsc, o czym sam wiesz doskonale. I fascynowały ją badania medyczne. To właśnie te dwa zamięrowania sprawiły, że wstąpiła do Lekarzy ze Skrzydłami.

– A co z historią waszej rodziny? – wtrącił D’Agosta. – Czy były w niej przypadki konfliktów, waśni z dzieciństwa, tego typu sprawy?

– Wszyscy kochali Helen – odparł Esterhazy. – Trochę jej tego zazdrościłem. Ale nie, w rodzinie nie było żadnych konfliktów czy kłopotów wartych wzmianki. Oboje nasi rodzice zmarli ponad piętnaście lat temu.

Jestem jedynym Esterhazym, jaki pozostał. – Zawahał się.

– Tak? – podchwycił Pendergast i wychylił się do przodu.

– Cóż, jestem pewien, że to nic takiego, ale na długo przed poznaniem ciebie przeżyła... dość poważny zawód miłosny. To bardzo ją przybiło.

– Mów dalej.

– Wydaje mi się, że była wtedy na pierwszym roku. Sprowadziła

na weekend kolegę z MIT. Wysoki, starannie ostrzyżony, niebieskooki, atletycznie zbudowany. Chyba zawsze ubierał się na biało, był w stroju tenisowym albo w swetrze z symbolem uczelni, pochodził z rodziny białych anglosaskich protestantów, dorastał na Manhattanie, a każde lato spędzał w domku na Fishers Island, wspominał, że zamierza zająć się inwestycjami bankowymi – znasz ten typ.

– Dlaczego ten związek się rozpadł?

– Okazało się, że facet miał jakiś feler natury seksualnej. Helen nie chciała zbytnio o tym mówić, ale chodziło o perwersję albo nawet przejawy okrucieństwa.

– I?

– Rzuciła go. Jeszcze przez jakiś czas nie dawał jej spokoju, zadręczał ją telefonami, listami. Chyba nie posunął się aż do tego, żeby ją śledzić. Ale w końcu sprawa ucichła. – Machnął ręką. – To było na sześć lat, zanim poznała ciebie, i na dziewięć lat przed jej śmiercią. Nie dostrzegam w tym żadnego związku.

– Jak się nazywał ten mężczyzna?

Esterhazy przyłożył dłonie do czoła.

– Adam... miał na imię Adam. Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska, o ile w ogóle je znałem.

Długa cisza.

– Coś jeszcze?

Esterhazy pokiwał głową.

– Wydaje mi się nie do pojęcia, że ktoś mógłby chcieć skrzywdzić Helen.

Zapadła krótka cisza. Wreszcie Pendergast wskazał na oprawioną w ramki reprodukcję wiszącą na jednej ze ścian: wyblakły szkic sowy śnieżnej siedzącej na drzewie.

– To Audubon, prawda?

– Tak, obawiam się, że to tylko reprodukcja. – Esterhazy spojrzał na nią. – Dziwne, że o tym wspomniałeś.

– Dlaczego?

– Wisiała w sypialni Helen, kiedy byliśmy dziećmi. Mówiła, że kiedy była chora, potrafiła wpatrywać się w ten obraz całymi godzinami. Była zafascynowana Audubonem. Ale rzecz jasna wiesz o tym – skonstatował pospiesznie Esterhazy. – Zatrzymałem tę reprodukcję, bo mi przypomina Helen.

D’Agosta dostrzegł coś, jakby przeblysłk zdziwienia malujący się na twarzy agenta FBI, ale emocja ta została błyskawicznie zamaskowana. Po krótkiej chwili ciszy Pendergast znów się odezwał:

– Czy coś jeszcze mógłbyś powiedzieć o życiu Helen w latach poprzedzających nasze poznanie się?

– Była pochłonięta swoją pracą. Przez pewien czas fascynowały ją także wspinaczki skałkowe. Prawie każdy weekend spędzała w Gunks.

– W Gunks?

– W górach Shawangunk. Mieszkała wtedy w Nowym Jorku. Dużo podróżowała. Po części dla Lekarzy ze Skrzydłami: Burundi, Indie, Etiopia. Ale robiła to także ze zwykłego zamiłowania do przygód. Pamiętam, jak któregoś popołudnia wpadłem na nią z nienacka – to musiało być jakieś piętnaście, szesnaście lat temu. Pakowała się pospiesznie, bo akurat musiała nagle wyjechać do New Madrid.

– Do New Madrid? – powtórzył Pendergast.

– W Missouri. Nie chciała powiedzieć, po co się tam wybiera, stwierdziła, że nie potraktowałbym tego poważnie. Umiała na swój sposób dbać o własną prywatność. Ty, Aloysiusie, z pewnością wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

D’Agosta zerknął ukradkiem na Pendergasta. To już jest ich dwoje, pomyślał. Nie znał nikogo, kto równie mocno dbał o zachowanie swojej prywatności i nie lubił dzielić się z nikim swoimi planami, jak właśnie Pendergast.

– Chciałbym pomóc ci bardziej. Gdybym przypomniał sobie nazwisko tego jej byłego chłopaka, dam ci znać.

Pendergast wstał.

– Dziękuję, Judsonie. To bardzo miło, że zechciałeś nas przyjąć. I bardzo nam przykro, że musiałeś dowiedzieć się prawdy właśnie w taki sposób. Obawiam się, że zwyczajnie nie było czasu, abym mógł przedstawić ci ją w delikatniejszy sposób.

– Rozumiem.

Lekarz odprowadził ich do drzwi.

– Zaczekajcie – zaczął, uchylając nieznacznie frontowe drzwi.

Na moment maska stoickiego gniewu opadła, a D'Agosta ujrzał przystojne oblicze wykrzywione od mieszaniny emocji – ale jakich?

Niepohamowanej wściekłości? Udręki? Zdruzgotania?

– Słyszałeś, co powiedziałem wcześniej? Chcę... muszę... no wiesz...

– Judsonie – rzekł pospiesznie Pendergast, ujmując go za rękę. – Musisz pozwolić, abym ja się tym zajął. Rozumiem twój smutek i gniew, ale musisz pozwolić, abym ja się tym zajął.

Judson zmarszczył brwi, po czym lekko skinął głową.

– Znam cię – ciągnął Pendergast łagodnym, lecz stanowczym tonem. – Muszę cię ostrzec, byś nie brał prawa w swoje ręce. Bardzo cię proszę.

Esterhazy wziął głęboki oddech, potem drugi. Nic nie odpowiedział. W końcu Pendergast z niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy opuścił rezydencję.

Kiedy Esterhazy zamknął za nimi drzwi, jeszcze przez blisko pięć minut stał w ciemnym holu, ciężko oddychając. W końcu zapanował nad wywołanym przez strach szokiem i gniewem, odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu. Otworzył gablotę z bronią, lecz był tak zdenerwowany, że dwa razy upuścił kluczyk na podłogę. Wodząc dłońmi po przepięknie polerowanych strzelbach, po chwili wahania wybrał jedną z nich: Holland & Holland Royal Deluxe .470 NE z wykonaną na zamówienie lunetą Leupold VX-III. Wyjął ją, obrócił w dłoniach, które drżały lekko, po czym odstawił na

miejsce i zamknął gablotę na klucz.

Pendergast mógł prawie mu kazania na temat konieczności egzekwowania prawa i działania zgodnie z nim, ale prawda była taka, że nadszedł już czas, aby on, Judson Esterhazy, wziął sprawy w swoje ręce. Ponieważ w życiu nauczył się jednego – jeżeli chcesz, aby coś zostało zrobione jak należy, musisz sam się tym zająć.

Nowy Orlean

Pendergast skręcił na prywatny parking przy Dauphine Street, oświetlony silnym blaskiem latarni sodowych. Parkingowy, mężczyzna o wielkich, mięsistych ustach i z workami pod oczami, opuścił za nimi szlaban i wręczył Pendergastowi bilet, który agent położył przy szybie na desce rozdzielczej.

– W głębi po lewej, miejsce numer trzydzieści dziewięć! – zawołał mężczyzna z silnym akcentem z delty Missisipi. Spojrzał na rolls-royce'a, wybałuszając oczy. – Choć może miejsce numer trzydzieści dwa jest większe. I nie odpowiadamy za ewentualne szkody. Może zechce pan wybrać jednak parking w LaSalle przy Toulouse, mają tam zadaszony garaż.

– Dziękuję, wolę ten.

– Jak pan sobie życzy.

Pendergast przeprowadził wielką limuzynę przez cały parking na wyznaczone miejsce. Agent i policjant wysiedli. Parking, choć duży, wywoływał uczucie klaustrofobii, głównie dlatego, że otaczały go ze wszystkich stron stare budynki. Była łagodna zimowa noc, ale pomimo wyjątkowo późnej pory na chodnikach dało się dostrzec grupki młodych mężczyzn i kobiet. Niektórzy trzymali w dłoniach plastikowe kubki z piwem. Młodzież śmiała się, hałasowała i pokrzykiwała do siebie nawzajem. Z pobliskich ulic na parking

docierała mieszanina różnych dźwięków: nawoływań, klaksonów i dixielandu.

– Typowa noc w dzielnicy francuskiej – mruknął Pendergast, opierając się o limuzynę. – Następna ulica to Bourbon Street, centrum upadku moralnego i całkowitego zepsucia obyczajów naszego społeczeństwa.

Zaczerpnął głęboko rześkiego nocnego powietrza i jego blade oblicze rozpromienił dziwny, jakby nieśmiały uśmiešek.

D’Agosta czekał, ale Pendergast nie ruszył się z miejsca.

– Idziemy? – zapytał w końcu.

– Za chwilę, Vincencie.

Pendergast zamknął oczy i znów wziął głęboki oddech, jakby chłonał ducha tego miejsca. D’Agosta upominał sam siebie, że dziwne zachowanie i huśtawki nastrojów jego przyjaciela wymagały cierpliwości i nierzadko wystawiały tę cierpliwość na ciężką próbę. Jednak jazda z Savannah była długa i wyczerpująca – wyglądało na to, że Pendergast miał tu identycznego rollsa jak ten w Nowym Jorku, a D’Agosta umierał z głodu. Co więcej, od jakiegoś czasu miał ochotę na piwo, a widok imprezowiczów mijających go z kubkami browaru w dłoniach bynajmniej nie poprawił mu nastroju.

Minęła minuta i D’Agosta odchrząknął. Pendergast otworzył czy.

– Czy nie możemy odwiedzić twoich starych śmieci? – spytał D’Agosta. – Albo raczej tego, co z nich zostało?

– W rzeczy samej – odparł Pendergast. – To jeden z najstarszych fragmentów Dauphine Street, właśnie tu, samo serce francuskiej dzielnicy, tej prawdziwej francuskiej dzielnicy.

D’Agosta mruknął coś pod nosem. Zauważył, że parkingowy przygląda im się podejrzliwie z drugiego końca placu.

Pendergast wskazał ręką.

– Ta cudowna rezydencja miejska w stylu greckiego odrodzenia została zbudowana przez jednego z najsłynniejszych wczesnych architektów Nowego Orleanu, Jamesa Galliera seniora.

– Wygląda na to, że przerobili ją na Holiday Inn – odparł D’Agosta, spoglądając na szyld zdobiący front budowli.

– A ten wspaniały budynek to Gardette-Le Prêtre. Wzniesiony dla dentysty, który przybył tu z Filadelfii, kiedy to miasto było jeszcze hiszpańskie. Plantator nazwiskiem Le Prêtre kupił go w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku za ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, co w owych czasach było sporą fortuną. Była w posiadaniu Le Prêtre’ów do lat siedemdziesiątych, lecz niestety rodziną zaczęły targać choroby i niebawem wszyscy poumierali. Teraz, jak sądzę, są tam luksusowe mieszkania.

– Zgadza się – przyznał D’Agosta.

Parkingowy zbliżał się do nich z marsową miną.

– A tam, po drugiej stronie ulicy – ciągnął Pendergast – znajduje się stary kreolski dom, w którym John James Audubon mieszkał przez pewien czas ze swoją żoną Lucy Bakewell. Teraz mieści się tam niewielkie i niezwykle muzeum.

– Bardzo przepraszam – rzekł parkingowy, zwięzając oczy w szparki. – Nie wolno dłużej przebywać na terenie parkingu.

– To ja przepraszam. – Pendergast sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął pięćdziesięciodolarowy banknot. – Cóż za przeoczenie z mojej strony, że nie zaproponowałem panu stosownego wynagrodzenia. Gratuluję panu czujności.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Cóż, nie o to mi chodziło, ale... bardzo dziękuję. – Wziął od agenta banknot. – Proszę się nie spieszyć, nie ma sprawy.

Kiwając głową i uśmiechając się, wrócił do swojej stróżówki.

Pendergast nie sprawiał wrażenia, aby gdziekolwiek się spieszył. Spacerował po parkingu w tę i z powrotem z dłońmi złączonymi z tyłu, jakby znajdował się w galerii jakiegoś muzeum, a wyraz jego twarzy stanowił osobliwą mieszaninę tęsknoty, smutku i czegoś, co trudniej było zidentyfikować.

D’Agosta usiłował stłumić narastającą irytację.

– Czy moglibyśmy wreszcie odnaleźć twój stary dom? – zapytał

w końcu.

Pendergast odwrócił się do niego i odparł:

– Ależ zrobiliśmy to, drogi Vincencie.

– Gdzie?

– Tutaj. Tu stał kiedyś Rochemore.

D'Agosta przełknął ślinę i raz jeszcze, tyle że z innym nastawieniem, rozejrzał się po parkingu. Silniejszy podmuch wiatru poderwał z ziemi jakieś śmieci i poniósł je w dal. Gdzieś nieopodal rozległo się miauczenie kota.

– Po tym jak dom został spalony – wyjaśnił Pendergast – podziemne krypty przeniesiono, piwnice zasypano, a to, co zostało z budynku, zrównano z ziemią buldożerami. Przez lata ta parcela stała pusta, aż postanowiłem wynająć ją firmie, która założyła tu parking.

– Jesteś właścicielem tych gruntów?

– Pendergastowie nigdy nie pozbywają się gruntów.

– Och.

Pendergast odwrócił się.

– Rochemore stała z dala od ulicy, od frontu zdobiły ją eleganckie ogrody, a sama budowla, pierwotnie zamknięty klasztor, była naprawdę olbrzymia, z wykuszowymi oknami, blankami i balkonami na poddaszu. Neogotyki, takich budynków raczej nie stawia się przy ulicy. Mój pokój znajdował się w części narożnej, na pierwszym piętrze, o tam. – Wskazał ręką w przestrzeń. – Jedne okna wychodziły na dom Audubona nad rzeką, a drugie na dom Le Prêtre'ów. Och, Le Prêtre'owie... Obserwowałem ich jak w teatrze całymi godzinami, gdy chodzili za oświetlonymi oknami.

– I poznałeś Helen w muzeum Audubona, po drugiej stronie ulicy? – D'Agosta liczył, że zdoła nakierować tę rozmowę na sprawy związane z ich obecnym zadaniem.

Pendergast skinął głową.

– Kilka lat temu pożyczyłem im nasze podwójne folio w słoniowej skórze na wystawę i zaproszono mnie na otwarcie. Zawsze chcieli

dostać w swoje ręce nasz rodzinny egzemplarz, który mój prapradziadek zamówił bezpośrednio u Audubona. – Pendergast przerwał; jego twarz wyglądała widmowo w świetle latarni. – Kiedy wszedłem do niewielkiego muzeum, natychmiast spostrzegłem młodą kobietę, która patrzyła na mnie z drugiego końca sali.

– Miłość od pierwszego wejrzenia? – spytał D’Agosta.

Widmowy, niepewny uśmiezek powrócił.

– Zupełnie jakby cały świat nagle zniknął, jakby nie istniał nikt więcej oprócz nas. Była olśniewająca. Cała ubrana na białe. Jej oczy, tak niebieskie, że niemal miały barwę indygo, wypełnione były drobnymi fiołkowymi plamkami. To nader niezwykle, prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. Podeszła do mnie i przedstawiła się, i zanim jeszcze zdążyłem się pozbierać, ujęła mnie za rękę... – Zawahał się. – Helen nigdy nie była nieśmiała. Była jedyną osobą, której ufałem bezgranicznie.

Głos Pendergasta zaczął się łamać i agent zamilkł. Zaraz jednak zebrał się w sobie.

– Może z wyjątkiem ciebie, mój drogi Vincencie.

D’Agostę zaskoczył ten niespodziewany komplement.

– Dzięki.

– Co mnie naszło, by opowiadać ci te bzdury – rzucił ni stąd, ni zowąd Pendergast. – Odpowiedzi kryją się w przeszłości, ale nie możemy się w niej zatracić. Tak czy owak uważam, że jest ważna dla nas obu, abyśmy zaczęli poszukiwania właśnie od tego miejsca.

– Zacznijmy – powiedział D’Agosta. I nagle się odwrócił. – Powiedz mi...

– Tak?

– Skoro mowa o przeszłości, jest coś, co zawsze mnie zastanawiało. Dlaczego ci ludzie, kimkolwiek byli, zadali sobie tyle trudu?

– Obawiam się, że nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Pozyskanie tresowanego lwa. Zaaranżowanie śmierci niemieckiego fotografa, aby zwabić ciebie i Helen do obozu.

Przekupienie tych wszystkich ludzi. To musiało pochłonąć dużo czasu i pieniędzy. W grę wchodzi piekielnie wyrafinowany spisek. Dlaczego ci ludzie po prostu nie zaaranżowali porwania albo wypadku samochodowego tu, na miejscu, w Nowym Orleanie? Bądź co bądź byłby to o wiele prostszy sposób, by... – Nie dokończył.

Pendergast przez chwilę nie odpowiadał. W końcu powoli skinął głową.

– Racja. To bardzo ciekawe spostrzeżenie. Ale nie zapominaj, że nasz przyjaciel Wisley wspomniał, iż jeden ze spiskowców, którego podsłuchał tamtej nocy w obozie, był Niemcem. Ten turysta zabity przez lwa również był Niemcem. Może to pierwsze morderstwo było czymś więcej niż zmyleniem nas.

– Zapomniałem o tym – przyznał D'Agosta.

– A skoro tak, cały ten trud i wydatki stają się usprawiedliwione. Ale odłóżmy na pewien czas dalsze rozważania na ten temat, Vincencie. Jestem przekonany, że naszym pierwszym posunięciem powinno być dowiedzenie się jak najwięcej, o ile to możliwe, o samej Helen.

Pendergast wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją D'Agoście.

Widniał na niej adres napisany odręcznie przez agenta starannym, eleganckim charakterem pisma:

Mechanic Street 214

Rockland, Maine

– Co to ma być? – spytał D'Agosta.

– Przeszłość, Vincencie. Właśnie pod tym adresem dorastała Helen. I to jest twoje następne zadanie. Moje... czeka na mnie tutaj.

Plantacja Penumbra

– Życzy pan sobie jeszcze jedną herbatę, sir?

– Nie, dziękuję, Maurice.

Pendergast spojrział na pozostałość kolacji: purée z kukurydzy i fasoli, zielonego groszku i szynki z sosem ze wzdreği, usiłując wykrzesać w sobie jak najwięcej zadowolenia. Za wysokimi oknami sali jadalnej, wśród świerków kanadyjskich i cyprysów gromadziły się gęste cienie, a gdzieś tam w ciemnościach przedrzeźniacz kontynuował swój długi, złożony lament.

Pendergast otarł kąci ust białą lnianą serwetką, po czym wstał od stołu.

– Teraz, kiedy już zjadłem, mógłbym zobaczyć list, który przyszedł do mnie dziś po południu.

– Oczywiście, sir.

Maurice wyszedł z sali jadalnej do holu i po chwili wrócił z listem. Był on mocno wygnieciony i preadresowany więcej niż raz. Sądząc po dacie na pieczętce, co najmniej trzy tygodnie trwało, zanim tu dotarł. Nawet gdyby Pendergast nie rozpoznał eleganckiego, staroświeckiego charakteru pisma, chińskie znaczki wskazywałyby nadawczynię: Constance Greene, jego podopieczną, która obecnie przebywała w odległym klasztorze w Tybecie wraz ze swoim małym synkiem. Rozciął nożem kopertę, wyjął

znajdującą się wewnątrz kartkę papieru i przeczytał list:

Rockland, Maine

W normalnych okolicznościach tawerna Salty Dog przypadłaby Vincentowi D'Agoście do gustu, był to bowiem przybytek dla przedstawicieli klasy pracującej, szczerzy, bezpretensjonalny i tani. Ale okoliczności nie były normalne. Odwiedził cztery miasta w ciągu tyłuż dni, podróżując samolotem i samochodem, tęsknił za Laurą Hayward i był zmęczony, piekielnie zmęczony. Maine w lutym nie należało do przyjemnych miejsc. Nie miał więc ochoty na żłopanie piwa w towarzystwie gromady rybaków.

Ale był już zdesperowany. Rockland okazało się ślepą uliczką. Stary dom Esterhazych wielokrotnie zmieniał właściciela, odkąd rodzina wyprowadziła się stamtąd przed dwudziestoma laty. Spośród wszystkich sąsiadów tylko jedna stara panna pamiętała tę rodzinę, lecz nie chciała z nim rozmawiać i bezceremonialnie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. W gazetach w bibliotece publicznej nie było wzmianek o Esterhazych, a w archiwum miejskim natknął się tylko na ich zeznania podatkowe. To tyle, jeżeli chodziło o małomiasteczkowe plotki i wścibstwo.

W tej sytuacji D'Agosta pofatygował się do tawerny Salty Dog przy nabrzeżu, gdzie – jak go poinformowano – przychodziły najstarsze wilki morskie. Była to obskurna speluna kryta gontem, wciśnięta pomiędzy dwa magazyny przy samym końcu nabrzeża.

Zbliżał się szkwał, od strony morza napłynęły już w powietrzu pierwsze płatki śniegu, wiatr zrywał z oceanu pióropusze piany i unosił stare poszarpane gazety tak, że koziółkowały po kamienistej plaży. Po cholere tu w ogóle jestem, zastanawiał się D'Agosta. Znał jednak powód – Pendergast mu go wyjaśnił. *„Obawiam się, że to ty będziesz musiał tam pojechać – stwierdził. – Ten temat jest mi nazbyt bliski. Brak mi niezbędnego dystansu i obiektywizmu do prowadzenia tego śledztwa”*.

W knajpie panował półmrok, a zatechłe powietrze przesycone było wonią ryb smażonych na głębokim tłuszczu i skwaśniałego piwa. Gdy oczy D'Agosty przyzwyczyły się do skąpego oświetlenia, policjant zwrócił uwagę, że obecni w lokalu barman i czterej zapewne stali bywalcy w sztormiakach i zydwestkach umilkli i gapili się na niego. Najwyraźniej zachodzili tu jedynie wierni klienci. Przynajmniej było tu ciepło od opalanego drewnem piecyka stojącego pośrodku sali.

Zajmując miejsce przy drugim końcu baru, D'Agosta skinął na barmana i poprosił o budweisera. Starał się nie zwracać na siebie uwagi i po pewnym czasie przerwana rozmowa została podjęta na nowo. Dowiedział się z niej, że czterej klienci baru byli rybakami, że połowy były marne – i to nie tylko teraz, ale jak zawsze.

Sącząc piwo, rozejrzał się po spelunie. Wystrój, jak można się było tego spodziewać, wiązał się z morzem: szczęki rekina, wielkie szczypce homara oraz zdjęcia łodzi rybackich zdobiły wszystkie ściany, z sufitu zaś zwieszały się sieci zaopatrzone w kolorowe szklane kulki. Na wszystkich powierzchniach zalegała ciężka patyna starości, dymu i brudu.

Wypił jedno piwo, potem drugie, zanim uznał, że już czas wskoczyć do akcji.

– Mike – powiedział, zwracając się do barmana po imieniu, które padło w trakcie wcześniejszej rozmowy – pozwól, że postawię wszystkim kolejkę. A jak będziesz rozlewał, nalej też jednego dla siebie.

Mike patrzył na niego przez chwilę, po czym podziękował zdawkowo i zrobił, co mu polecono. Pozostali bywalcy pokiwali głowami z uznaniem, przyjmując podawane im kufle.

D'Agosta też się napił. Wiedział, że ważne było, aby odpowiednio wtopić się w otoczenie, a w Salty Dog oznaczało to, iż nie mógł odmówić wypicia kilku piw. Odchrząknął.

– Tak się zastanawiałem – powiedział na głos – czy któryś z was, panowie, nie mógłby mi pomóc.

Spojrzenia powróciły, jedno zaciekawione, inne podejrzliwe.

– Niby w czym? – spytał brodaty mężczyzna, którego pozostali nazywali Hectorem.

– Mieszkała tu pewna rodzina. Nazywali się Esterhazy. Próbuje ich odnaleźć.

– A jak pan się nazywa? – spytał rybak imieniem Ned; miał z półtora metra wzrostu, twarz ogorzałą od słońca i wysmaganą wiatrem, a przedramiona grube jak słupy telefoniczne.

– Martinelli.

– Glina? – rzucił Ned, marszcząc brwi.

D'Agosta pokręcił głową.

– Prywatny detektyw. Chodzi o spadek.

– Spadek?

– O sporą sumkę. Zostałem wynajęty przez powierników, aby odnaleźć wszystkich pozostających przy życiu Esterhazy. Jeżeli ich nie znajdę, nie będę mógł dać im ich części spadku.

W barze zapadła cisza, podczas gdy stali bywalcy przetrawiali tę wiadomość. Na wzmiankę o pieniądzach niejedna para oczu pojaśniała.

– Mike, polej jeszcze jedną kolejkę. – D'Agosta upił kolejny spory łyk z ociekającego pianą kufła. – Powiernicy wyznaczili również niewielkie honorarium dla tych, którzy pomogą odnaleźć jakichkolwiek z pozostałych przy życiu członków wspomnianej rodziny.

Patrzył, jak rybacy zerkają jeden na drugiego, a potem ponownie

spoglądają na niego.

– To jak – mruknął – czy któryś z panów miałby dla mnie jakąś informację?

– W miasteczku nie ma już Esterhazych – powiedział Ned.

– Na całym świecie nie ma już żadnych Esterhazych – dodał Hector. – Nie może być, nie po tym, co się wydarzyło.

– A co się wydarzyło? – spytał D’Agosta, starając się nie okazywać nadmiernego zainteresowania.

Kolejna wymiana spojrzenia pomiędzy rybakami.

– Ja tam za wiele nie wiem – odezwał się Hector. – Ale pewne jest, że opuścili miasteczko w ogromnym pośpiechu.

– Trzymali zamkniętą na poddaszu zbzikowaną ciotkę – dorzucił trzeci rybak. – Musieli, po tym jak zaczęła zabijać i zjadać psy w miasteczku. Sąsiedzi mówili, że słyszeli ją tam nocami, jak szlochała i łomotała do drzwi, domagając się psiego mięsa.

– Daj spokój, Gary – rzekł barman, wybuchając śmiechem. – To tylko żona tak się wydzierała. Była z niej prawdziwa żołą. A ty oglądasz za dużo filmów w kinie nocnym.

– Prawda jest taka – odezwał się Ned – że żona próbowała otruć męża. Dosypała mu strychniny do owsianki.

Barman pokręcił głową.

– Napij się jeszcze piwa, Ned. Słyszałem, że ojciec rodziny stracił wszystkie pieniądze na giełdzie i właśnie dlatego opuścili miasto w takim pośpiechu, bo byli winni wielu ludziom kupę forsy.

– Paskudna sprawa – burknął Hector, dopijając piwo. – Wyjątkowo paskudna.

– Jaka to była rodzina? – spytał D’Agosta.

Rybacy spojrzeli tęsknym wzrokiem na swoje kufle, które opróżnili w iście rekordowym tempie.

– Mike, polej nam jeszcze kolejkę, bardzo proszę – zwrócił się do barmana D’Agosta.

– Słyszałem – rzekł Ned, odbierając swój kufel – że ojciec rodziny był prawdziwą gnidą. Podobno bił żonę przewodem elektrycznym.

I dlatego go otruła.

Historie stawały się coraz bardziej nieprawdopodobne i szalone. Potwierdził się jedynie fakt, że zgodnie z tym, czego dowiedział się od Pendergasta, ojciec Helen był lekarzem.

– Ja słyszałem co innego – powiedział barman. – Że to żona była niespełna rozumu. Cała rodzina bała się jej, wszyscy chodzili na palcach, żeby jej do reszty nie odbiło. A jej mąż często wyjeżdżał. Stale był w podróży. Wydaje mi się, że jeździł do Ameryki Południowej.

– Jakies aresztowania? Policyjne dochodzenia?

D'Agosta znał już odpowiedź: akta Esterhazych były czyste jak łoża. Nie było żadnych zapisów o zatargach z prawem ani policyjnych interwencjach w związku z awanturami domowymi.

– Wspomniałeś o rodzinie. Dzieci było dwoje, syn i córka, zgadza się?

Krótką chwilą ciszy.

– Syn był jakiś dziwny – odparł Ned.

– Ned, ten chłopak został wybrany, by jako absolwent wygłosił mowę pożegnalną w imieniu całej klasy – wtrącił Hector.

Wygłaszał mowę pożegnalną, pomyślał D'Agosta, to przynajmniej będzie można sprawdzić.

– A córka? Jaka ona była?

Odpowiedzią było zgodne wzruszenie ramion. Zastanawiał się, czy w liceum wciąż będą mieć jej akta.

– Wie ktoś, gdzie mogą być teraz?

Wymiana spojrzeń.

– Słyszałem, że syn przeniósł się gdzieś na południe – odrzekł barman Mike. – Nie mam pojęcia, co się stało z córką.

– Esterhazy nie jest popularnym nazwiskiem – podsunął Hector.
– Myślałeś o tym, żeby poszukać w internecie?

D'Agosta powiódł wzrokiem po morzu prostych twarzy. Nie był w stanie wymyślić innych pytań, które nie wywołałyby kolejnej fali sprzecznych ze sobą plotek i wątpliwych prawd. Z niejaką

konsternacją uświadomił też sobie, że był lekko podpity. Podniósł się, przytrzymując się jedną ręką kontuaru.

– Ile jestem winien? – zwrócił się do Mike’a.

– Trzydzieści dwa pięćdziesiąt – padła odpowiedź.

D’Agosta wyłuskał z portfela dwie dwudziestki i położył na barze.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedział. – Miłego wieczoru.

– A co z tym honorarium? – zapytał Ned.

D’Agosta przystanął, po czym odwrócił się.

– No tak, honorarium. Dam wam numer mojej komórki. Gdyby przyszło wam do głowy coś jeszcze, coś konkretnego, nie zwykłe plotki, zadzwońcie do mnie. Jeżeli wasze informacje doprowadzą do czegoś, może dopisze wam szczęście.

Przysunął do siebie serwetkę i zapisał numer. Rybacy pokiwali głowami. Hector uniósł rękę na pożegnanie.

D’Agosta postawił kołnierz płaszcza i ścisnął go pod szyją, po czym chwiejnym krokiem wyszedł z knajpy w szalejącą na zewnątrz śnieżycę.

Nowy Orlean

Desmond Tipton lubił tę porę dnia bardziej niż jakąkolwiek inną, kiedy drzwi pozamykano na wszystkie spusty, zwiedzający już sobie poszli i wszystkie rzeczy znajdowały się na swoim miejscu. To był spokojny czas, między piątą a ósmą, zanim podpici turyści najeżdżali francuską dzielnicę jak mongolska orda Czyngis-chana, wypełniając bary, kluby jazzowe i upijając się do nieprzytomności. Słyszał ich na zewnątrz każdego wieczoru, bełkotliwe głosy, pokrzykiwania i hałasy tylko częściowo zagłuszane przez stare mury Willi Audubona.

Tego wieczoru Tipton postanowił wyczyścić woskową figurę Johna Jamesa Audubona, która stanowiła centralny punkt i główny motyw poza samym muzeum. W dioramie naturalnych rozmiarów wielki przyrodnik siedział w swoim gabinecie, przy kominku, ze szkicownikiem i piórem w dłoni, sporządzając rysunek leżącego na biurku martwego ptaka, szkarłatnej tanagry. Tipton sięgnął po mały odkurzacz i miotełkę do kurzu, po czym przeszedł przez pleksiglasową barierkę. Zaczął czyścić ubranie Audubona, poruszając niewielkim odkurzaczem w górę i w dół, po czym skierował go na brodę i włosy kukły, a miotełką sprawnie wytarł drobinki kurzu z przystojnego woskowego oblicza.

Rozległ się jakiś dźwięk. Tipton znieruchomiał i wyłączył ręczny

odkurzacz. Dźwięk powtórzył się – to było pukanie do frontowych drzwi.

Tipton zirytowany ponownie włączył odkurzacz, ale w odpowiedzi usłyszał tylko bardziej natarczywe pukanie. To się zdarzało niemal co wieczór: podpici kretyni, którzy przeczytali treść tablicy pamiątkowej przy drzwiach, z jakiegoś powodu decydowali się zapukać. To trwało od lat, w dzień zwiedzających było coraz mniej, za to wieczorami pojawiali się birbanci na rauszu. Ten proceder ustał na kilka miesięcy, tuż po huraganie.

Znów pukanie, głośne, natarczywe.

Tipton odłożył ręczny odkurzacz i na pałkowatych, skrzypiących nogach począł pukać do drzwi.

– Zamknięte! – zawołał przez dębowe odrzwia. – Idź stąd albo wezwę policję!

– Czy to pan, panie Tipton? – rozległ się zduszony głos.

Białe brwi Tiptona uniosły się w wyrazie konsternacji. Kto to mógł być? Zwiedzający za dnia nie zwracali na niego uwagi, a i on starał się ich skrzętnie unikać, siedząc z ponurą miną za biurkiem, pogrążony w swoich badaniach.

– Kto tam? – zapytał, kiedy już otrząsnął się z chwilowego zaskoczenia.

– Czy moglibyśmy pomówić w środku? Jest dość chłodno.

Tipton zawahał się, po czym odciągnął zasuwki i otworzył drzwi, by ujrzeć szczupłego mężczyznę w czarnym garniturze, bladego jak duch, którego srebrzyste oczy lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Tipton aż drgnął, bo natychmiast rozpoznał tego człowieka.

– Pan... Pendergast? – wyszeptał.

– We własnej osobie.

Mężczyzna wszedł i uściśnął na powitanie dłoń Tiptona, który tylko na niego patrzył. Pendergast wskazał na krzesło dla gości, po drugiej stronie biurka.

– Mogę?

Tipton bez słowa zajął swoje miejsce za biurkiem.

– Wygląda pan, jakby zobaczył ducha – zauważył Pendergast.

– Cóż, panie Pendergast... – zaczął Tipton, mając w głowie mętlik. – Myślałem... myślałem, że cała rodzina odeszła... nie miałem pojęcia... – zaczął się jąkać i umilkł.

– Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone.

Tipton sięgnął do kieszonki kamizelki swojego trzyczęściowego garnituru, wyjął chustkę i otarł nią czoło.

– Cieszę się, że pana widzę... naprawdę bardzo się cieszę... – Znow przetrął czoło.

– I wzajemnie.

– Co pana tu sprowadza, jeżeli wolno spytać?

Tipton spróbował się opanować. Był kustoszem Willi Audubona od blisko pięćdziesięciu lat i sporo wiedział o rodzinie Pendergastów. Nie spodziewał się, że w swoim życiu spotka się jeszcze twarzą w twarz z którymś z członków tej rodziny. Pamiętał upiorną noc pożaru, jakby to było wczoraj: tłum, krzyki z górnych pięter, płomienie buchające ku niebu... Choć musiał przyznać, że odetchnął z ulgą, kiedy ostatni pozostali przy życiu członkowie tej rodziny opuścili miasto. Pendergastowie zawsze przyprawiali go o lodowate ciarki, zwłaszcza ten dziwny brat, Diogenes. Plotki głosiły, że Diogenes zginął we Włoszech. Tipton słyszał również, że Aloysius zniknął. Uwierzył, że musiało tak być – ta rodzina była skazana na wymarcie.

– Odwiedziłem naszą małą posesję naprzeciwko. A skoro już byłem w okolicy, pomyślałem, że wpadnę i złożę uszanowanie swojemu przyjacielowi. Jak idą interesy muzeum?

– Posesję? Miał pan na myśli...?

– Zgadza się. Parking, gdzie znajdowało się niegdyś Rochenoire. Nie potrafiłem pozbyć się tej ziemi... z pobudek sentymentalnych.

Na ustach Pendergasta pojawił się wątyły uśmiezek.

– Oczywiście, oczywiście. – Skinął głową Tipton. – Jeżeli chodzi o muzeum, sam pan widzi, panie Pendergast, że cała okolica mocno podupadła. Nie miewamy ostatnio wielu gości.

– W rzeczy samej, sporo się tu zmieniło. Mimo to miło wiedzieć, że Willa Audubona wygląda dokładnie tak samo jak dawniej.

– Staramy się, aby tak było.

Pendergast wstał i złączył dłonie za plecami.

– Mogę? Wiem, że muzeum jest już zamknięte, ale mimo wszystko chciałbym trochę się tu rozejrzeć. Przez wzgląd na dawne czasy.

Tipton podniósł się pospiesznie.

– Oczywiście. Pan wybaczy, ale byłem akurat w trakcie czyszczenia dioramy Audubona.

Z konsternacją zauważył, że położył ręczny odkurzacz na podółku Audubona, a miotełkę z piór oparł o jego ramię, jakby jakiś zartowniś próbował zmienić wielkiego przyrodnika w sprzątaczkę.

– Czy pamięta pan – zaczął Pendergast – tę szczególną wystawę, którą zorganizował pan piętnaście lat temu i na którą pożyczyliśmy wam nasze podwójne folio w słoniowej skórze?

– Oczywiście.

– To było doprawdy wspaniałe otwarcie.

– Owszem.

Tipton pamiętał to aż za dobrze: stres i zgrozę, jakie towarzyszyły mu, kiedy obserwował tłumy ludzi krążących wśród eksponatów z pełnymi po brzegi kieliszkami wina. To był przepiękny letni wieczór, pełnia księżyca, ale on był zbyt zdenerwowany, aby móc się tym cieszyć. Pierwsza i ostatnia specjalna wystawa, jaką kiedykolwiek urządził.

Pendergast spacerował po kolejnych pokojach, zaglądając do przeszklonych gablot, gdzie umieszczono szkice i rysunki ptaków, pamiątki po Audubonie, listy oraz prace niedokończone. Tipton podążał za nim jak cień.

– Wiedział pan, że właśnie tu po raz pierwszy spotkałem moją żonę?

Tu się poznaliśmy. Podczas otwarcia tej wystawy.

– Nie, panie Pendergast. Nie wiedziałem.

Tipton poczuł zaniepokojenie. Pendergast wydawał się dziwnie podekscytowany.

– Moja żona Helen, o ile mi wiadomo, interesowała się Audubonem.

– O tak, w istocie.

– Czy... jeszcze potem kiedykolwiek zaglądała do muzeum?

– O tak, i przedtem, i potem.

– Przedtem?

To pytanie zostało zadane z taką gwałtownością, że Tipton zamilkł na chwilę.

– Ależ tak. Często tu zaglądała, prowadząc swoje badania.

– Swoje badania – powtórzył Pendergast. – Jak długo to było przed naszym spotkaniem?

– Co najmniej pół roku przed otwarciem tej wystawy. Może nawet dłużej. Była cudowną kobietą. Przeżyłem wielki wstrząs, kiedy dowiedziałem się...

– Dość. – To kategoryczne słowo nie pozwoliło Tiptonowi dokończyć.

Lecz Pendergast jakby nagle złagodniał, a przynajmniej zdołał się opanować. Jest dziwny, pomyślał Tipton, taki sam jak tamci. Ekscentryczność nie była w Nowym Orelanie niczym szczególnym, miasto wręcz z tego słynęło, ale zachowanie gościa muzeum to było coś całkiem innego.

– Nigdy nie interesowałem się zbytnio Audubonem – ciągnął Pendergast. – I nie bardzo wiem, na czym polegały prowadzone przez Helen badania. Wie pan coś o tym?

– Niewiele – odrzekł Tipton. – Interesował ją czas, jaki Audubon spędził tu w roku tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym wraz z Lucy.

Pendergast przystanął obok nieoświetlonej gabloty.

– Czy interesowało ją coś wyjątkowego związanego z Audubonem? Zamierzała napisać artykuł czy może książkę?

– Pan wiedziałby o tym lepiej niż ja, ale przypominam sobie, że

kilka razy pytała o Czarny Obraz.

– Czarny Obraz?

– Słynne zaginione płótno. Obraz, który Audubon namalował w sanatorium.

– Proszę wybaczyć, ale moja wiedza na temat Audubona jest dość ograniczona. Co to za zaginiony obraz?

– W młodości Audubon zapadł na ciężką chorobę. Podczas rekonwalescencji namalował obraz. Rzekomo niezwykle – jego pierwsze wielkie dzieło. Później ten obraz zaginął. Ciekawostką jest to, że nikt, kto go widział, nie wspominał, co przedstawiał, a jedynie że był niezwykle dziełem, wyjątkowo realistycznym, wyglądającym jak żywe i oprawionym w niezwykle, pomalowaną na czarno ramę. Stąd wzięła się jego nazwa. Co przedstawiał ten obraz, najwyraźniej już na zawsze pozostanie tajemnicą.

Tipton, który w ten sposób wkroczył na bardziej znajomy grunt, poczuł się nieco pewniej.

– I Helen interesowała się tym obrazem?

– Wszyscy uczeni zajmujący się Audubonem interesują się Czarnym Obrazem. Zapoczątkował on okres jego życia, którego kulminacją były *Ptaki Ameryki*, największe dzieło w historii naturalnej, jakie kiedykolwiek zostało opublikowane. Czarny Obraz był, jak twierdzą ci, którzy go widzieli, jego pierwszym dziełem jako prawdziwego geniusza.

– Rozumiem. – Pendergast zamilkł, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia. Nagle otrząsnął się i spojrzał na zegarek. – No cóż! Było mi miło pana widzieć, panie Tipton.

Ujął dłoń Tiptona w swoją, a kustosz zdziwił się, że ręka jego gościa była jeszcze chłodniejsza, niż kiedy wszedł do muzeum, zupełnie jakby miał przed sobą stygnącego nieboszczyka.

Tipton odprowadził Pendergasta do drzwi. Gdy Pendergast je otworzył, kustosz w końcu zebrał się na odwagę, by zadać nurtujące go pytanie:

– Panie Pendergast, tak się zastanawiałem, czy wciąż jeszcze ma

pan wasze rodzinne podwójne folio w słoniowej skórze?

Pendergast odwrócił się.

– Mam.

– Cóż, może to, co powiem, będzie impertynencją z mojej strony, ale mam nadzieję, że zechce mi pan wybaczyć. Gdyby jednak z jakiegoś powodu chciał pan znaleźć dogodne miejsce dla tego dzieła, dom, w którym byłoby ono pod dobrą opieką i mogłoby być podziwiane przez zwiedzających, rzecz jasna bylibyśmy wielce zaszczytzeni... – Nie dokończył, a w jego głosie pojawiła się nutka nadziei.

– Będę miał to na uwadze. Życzę miłego wieczoru, panie Tipton.

Kustosz odetchnął z ulgą, że gość nie podał mu ręki raz jeszcze.

Drzwi zamknęły się, a Tipton przekreślił zasuwkę i rygle, po czym jeszcze przez chwilę stał przy drzwiach, rozmyślając. Żona pożarta przez lwa, rodzice spaleni żywcem przez rozjuszony tłum... Cóż za dziwna rodzina. I jak wszystko na to wskazuje, upływ czasu nie wpłynął na poprawę stanu psychicznego jego niespodziewanego wieczornego gościa.

17

Śródmiejskie biura administracji Katedry Nauki i Higieny Zdrowia Uniwersytetu Tulane przy Tulane Street mieściły się w nijakim, szarym drapaczu chmur, który równie dobrze mógł pasować do nowojorskiej dzielnicy finansowej. Pendergast wyszedł z windy na trzydziestym piętrze, odnalazł Wydział Ochrony Zdrowia Kobiet i popytawszy tu i tam, dotarł do drzwi Miriam Kendall.

Zapukał dyskretnie.

– Proszę – rozległ się silny, wyrazisty głos.

Pendergast otworzył drzwi. Niewielki gabinet z pewnością należał do profesora. Dwa metalowe regały pękały w szwach od czasopism i traktatów naukowych. Na biurku piętrzył się stos prac egzaminacyjnych. Za biurkiem siedziała kobieta około sześćdziesiątki. Wstała, kiedy wszedł do środka.

– Doktor Pendergast – powiedziała, z pewną rezerwą ujmując dłoń wysuniętą w jej stronę.

– Proszę mi mówić Aloysius – zaproponował. – Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać.

– Nie ma za co. Proszę usiąść.

Zasiadła za biurkiem i otaksowała go wzrokiem w beznamiętny, niemal kliniczny sposób.

– Nie postarzałeś się ani o dzień.

Tego samego nie można było powiedzieć o Miriam Kendall. Otoczona aureolą słonecznego światła wpadającego przez wąskie

wysokie okna, bez wątpienia wyglądała znacznie starzej niż wtedy, gdy dzielila gabinet z Helen Esterhazy Pendergast. A jednak jej zachowanie bylo takie, jakie zapamiatal Pendergast: rzeczowe, konkretne, z profesjonalnym dystansem.

– Wyglad bywa mylacy – odparl Pendergast. – Ale dziekuje. Od jak dawna jest pani w Tulane?

– Dziewiec lat. – Polozyla dlonie na blacie i zlaczyla koniuszki palcow.

– Musze powiedziec, Aloysiusie, ze dziwie sie, iz nie udales sie ze swoimi pytaniami bezposrednio do bylago szefa Helen, Morrisa Blacklettera.

Pendergast pokiwal glowa.

– Prawde mowiac, tak wlasnie zrobilem. On jest juz na emeryturze, jak pani zapewne wie. Po tym, jak pracowal na rzecz organizacji Lekarze ze Skrzydlami, podejmowal sie jeszcze funkcji konsultanta dla kilku roznych koncernow farmaceutycznych, ale obecnie przebywa na wakacjach w Anglii, skad wroci dopiero za kilka dni.

Profesor pokiwala glowa.

– A co z organizacja Lekarze ze Skrzydlami?

– Bylem tam dzis rano. To istny dom wariatow, wszyscy mobilizuja sie do wyjazdu do Azerbejdzanu.

– Ach, tak. Trzesienie ziemi. Podobno jest wiele ofiar, rozumiem.

– W siedzibie organizacji nie widzialem nikogo, kto mialby wiecej niz trzydzieci lat, i nie spotkalem nikogo, kto zechcialby poswiecic chocby minute na rozmowe o mojej zonie.

Kendall znow pokiwala glowa.

– To robota dla mlodych. Wlasnie dlatego opuscilam LS, aby prowadzic wykłady na temat ochrony zdrowia kobiet.

Zadzwonil stojacy na biurku telefon. Profesor zignorowala go.

– Tak czy owak – rzucila pospiesznie – bardzo sie ciesze, ze moge podzielic sie z toba, Aloysiusie, moimi wspomnieniami o Helen, choc musze przyznac, troche sie zdziwilam, iz postanowiles mnie

odwiedzić po tylu latach.

– To całkiem zrozumiałe. Prawda jest taka, że zamierzam napisać wspomnienia o mojej żonie. Ma to być swoiste upamiętnienie jej życia, jakkolwiek było ono krótkie. Lekarze ze Skrzydłami było pierwszą i jedyną pracą, jaką przyjęła Helen po zrobieniu magisterium z biologii farmaceutycznej.

– Sądziłam, że była epidemiologiem.

– To była jej druga specjalizacja. – Pendergast przerwał. – Właśnie sobie uświadomiłem, jak niewiele wiedziałem o jej pracy na rzecz Lekarzy ze Skrzydłami, ale to, rzecz jasna, wyłącznie moja wina i niniejszym zamierzam uzupełnić te braki.

Na dźwięk tych słów surowe oblicze Kendall nieco złagodniało.

– Miło mi to słyszeć. Helen była niezwykłą kobietą.

– Czy zatem mogłaby pani rzucić choć odrobinę światła na jej pracę w organizacji Lekarze ze Skrzydłami? Tylko proszę niczego nie zatajać ani nie łagodzić. Moja żona miała swoje wady. Wolę każdą prawdę, nawet niewygodną.

Kendall przyglądała się Pendergastowi przez dłuższą chwilę. Wreszcie przeniosła wzrok na jakiś bliżej nieokreślony punkt w przestrzeni poza nim i zamilkła, jakby spoglądała w przeszłość.

– Zajmujemy się higieną, czystą wodą i programami żywienia w krajach Trzeciego Świata. Nakłaniamy ludzi, by bardziej zadbali o swoje zdrowie i warunki, w jakich żyją. Kiedy jednak ma miejsce jakiś kataklizm, jak trzęsienie ziemi w Azerbejdżanie, mobilizujemy ekipy lekarzy i pracowników sanitarnych i przewozimy je do rejonów potrzebujących pomocy.

– Tyle akurat wiedziałem.

– Helen... – Kendall zawahała się.

– Proszę mówić dalej – szepnął Pendergast.

– Helen była bardzo skuteczna i to od samego początku. Często jednak odnosiłam wrażenie, że bardziej niż na krzewieniu higieny zdrowotnej zależało jej na przygodzie i dreszczyku emocji. Zupełnie jakby miesiącami pracowała w biurze, czekając na jakiś kataklizm,

aby mogła wyruszyć na miejsce katastrofy, do samego jej epicentrum.

Pendergast pokiwał głową.

– Pamiętam... – Znowu przerwała. – Nie będziesz robił notatek?

– Mam wyśmienitą pamięć, pani Kendall. Proszę mówić dalej.

– Pamiętam, jak w Rwandzie cała nasza grupa została otoczona przez uzbrojony w maczety tłum. Tamtych musiało być co najmniej pięćdziesięciu, większość z nich nieco podpita. Nagle Helen wyjęła dwustrzałowego derringera i rozbroiła całą tę bandę. Kazała im rzucić broń i spadać. I tak właśnie zrobili. – Profesor pokręciła głową. – Opowiadała ci kiedykolwiek tę historię?

– Niestety nie.

– I umiała posługiwać się tym derringerem. Nauczyła się strzelać w Afryce, prawda?

– Tak.

– To zawsze wydawało mi się dość dziwne.

– Co takiego?

– Mam na myśli strzelanie. To dziwne hobby jak na biologa. Ale cóż, każdy po swojemu radzi sobie ze stresem. A kiedy jesteś w terenie, stres może być nie do zniesienia: śmierć, okrucieństwo, brutalność.

Kendall znów pokręciła głową, gdyż powróciły jej niemiłe wspomnienia.

– Miałem nadzieję obejrzeć jej akta osobowe w organizacji LS, ale nic z tego nie wyszło.

– Widziałeś, jak tam jest. Zapewne się domyślasz, że oni nie przywiązują zbytnej wagi do papierków, a zwłaszcza do dokumentów sprzed ponad dziesięciu lat. Poza tym akta Helen byłyby cieńsze od innych.

– A to dlaczego?

– Pracowała tam tylko na pół etatu.

– Nie na... cały etat?

– Cóż, stwierdzenie „pół etatu” nie jest całkiem trafne. To znaczy

zazwyczaj to, co robiła dla organizacji, zajmowało jej czterdzieści godzin w tygodniu, a w terenie nawet więcej, często jednak opuszczała biuro i nie pojawiała się w nim przez kilka dni z rzędu. Zawsze podejrzewałam, że ma drugą pracę albo zajmuje się jakimś prywatnym projektem, ale powiedziałaś, że to była jej jedyna praca.

– Kendall wzruszyła ramionami.

– Nie miała innej pracy. – Pendergast zamilkł na chwilę. – Pamięta pani coś jeszcze?

Kendall zawahała się.

– Zawsze wydawała mi się wyjątkowo skryta. Nie wiedziałam nawet, że ma brata, dopóki nie pojawił się któregoś dnia w biurze. Muszę przyznać, że był bardzo przystojny. O ile dobrze pamiętam, także zajmował się medycyną.

Pendergast pokiwał głową.

– Judson.

– Zgadza się, właśnie tak miał na imię. Wygląda na to, że medycyna to u nich rodzinna tradycja.

– To prawda. Ojciec Helen był lekarzem – odparł Pendergast.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała z panią o Audubonie?

– O tym malarzu? Nie, nigdy. Ale to zabawne, że akurat ty o nim wspominasz.

– A to dlaczego?

– Bo przywodzi mi to na myśl pewną sytuację, kiedy kompletnie ją zatkało.

Pendergast nieznacznie wychylił się na krześle do przodu.

– Proszę mi o tym powiedzieć.

– Byłyśmy na Sumatrze. Wyspę nawiedziło tsunami, zniszczenia były ogromne.

Pendergast pokiwał głową.

– Pamiętam ten wyjazd. Byliśmy wtedy zaledwie kilka miesięcy po ślubie.

– Panował tam kompletny chaos: pracowaliśmy do upadłego,

urabialiśmy sobie ręce po łokcie. Któregoś wieczoru wróciłam do namiotu, który dzieliłam z Helen i jeszcze jedną pracownicą społeczną. Helen tam była, siedziała sama na wiklinowym fotelu. Drzemała z otwartą książką na podołku. Rysunek na otwartej stronie książki przedstawiał ptaka. Nie chciałam jej obudzić, więc delikatnie podniosłam książkę. Ale Helen obudziła się nagle, wyrwała mi książkę z ręki i zaraz ją zamknęła. Była bardzo zdenerwowana. Zaraz jednak się opanowała, próbowała obrócić wszystko w żart, powiedziała, że ją przestraszyłam.

– Jaki to był ptak?

– Nieduży, bardzo kolorowy. Miał niezwykłą nazwę... – Kendall przerwała, próbując sobie przypomnieć. – W nazwie ptaka zawierała się też nazwa jednego ze stanów.

Pendergast zamyślił się.

– Derkacz wirginijski? – zasugerował.

– Nie, to bym zapamiętała.

– Zięba kalifornijska?

– Nie, ptak był żółtozielony.

Zapadła długa cisza.

– Papuga karolińska? – zapytał w końcu Pendergast.

– Tak! Właśnie tak! Wiedziałałam, że to było dziwne. Przypominam sobie, że powiedziałam wtedy, iż nie miałam pojęcia, że w Ameryce żyją jakieś gatunki papug. Ale ona zbyła moje pytanie i na tym ten temat się zakończył.

– Rozumiem. Dziękuję, pani Kendall. – Pendergast znieruchomiał na moment, po czym wstał i wyciągnął rękę. – Bardzo dziękuję za pomoc.

– Chciałabym dostać w swoje ręce egzemplarz tej wspomnieniowej książki. Bardzo lubiłam Helen.

Pendergast lekko się skłonił.

– I otrzyma ją pani, kiedy tylko książka ukaże się drukiem.

Odwrócił się i wyszedł. Zjeżdżając windą na dół, agent wydawał się jakby nieobecny. Nic w tym dziwnego, gdyż Pendergast był

myślami bardzo daleko.

18

Pendergast powiedział Maurice'owi dobranoc, po czym zabrał butelkę z pozostałością wina Romanée-Conti rocznik 1964, które otworzył do kolacji, i przeszedł przez rozbrzmiewający echem hol główny plantacji Penumbra do biblioteki. Sztorm znad Zatoki Meksykańskiej kierował się na północ i wiatr hulał wokół domu, szarpiąc okiennice i kołysząc gołymi konarami okolicznych drzew. Deszcz tłukł o szyby, a ciężkie, nabrzmiące chmury przesłoniły księżyc w pełni.

Podszedł do przeszklonego regału, w którym znajdowały się najcenniejsze księgi zgromadzone przez jego rodzinę: drugie wydanie Pierwszego Folio Szekspira, dwutomowe wydanie *Dictionary* Johnsona z 1755 roku, XVI-wieczny egzemplarz *Les Très Riches Heures du duc de Berry* z oryginalną limbourską iluminacją. Cztery tomy podwójnego folio w słoniowej skórze zawierającego ekskluzywne wydanie *Ptaków Ameryki* Audubona znajdowały się w specjalnie przeznaczonych dla nich szufladzie, w dolnej części regału.

Pendergast nałożył bawełniane rękawiczki i wyjął cztery olbrzymie księgi, które ułożył jedna przy drugiej na blacie stołu, pośrodku biblioteki. Każdy egzemplarz miał wymiary sto dwadzieścia na dziewięćdziesiąt centymetrów. Skupiwszy się na pierwszym woluminie, Pendergast otworzył go pieczołowicie na pierwszej ilustracji: „Dziki indyk, samiec”. Była zdumiewająca –

równie wyrazista jak w dniu, kiedy ją wykonano, wydawała się niezwykle świeża, miało się wrażenie, że ptak lada chwila zejdzie z kart księgi, na której go namalowano. Ten komplet, jeden z zaledwie dwustu, bezpośrednio u Audubona zamówił przodek Pendergasta, którego ozdobny ekslibris i podpis sygnaturowy wciąż zdobiły wyklejki. Najcenniejsza księga, jaką kiedykolwiek wydano w Nowym Świecie, była warta prawie dziesięć milionów dolarów.

Pendergast powoli odwracał strony: kukułka żółtodzioba, gajówka amerykańska, zięba amerykańska... Przyglądał się im kolejno z wielką uwagą, aż dotarł do tablicy 26: papuga karolińska.

Z kieszeni marynarki wyjął plik sporządzonych wcześniej notatek.

Papuga karolińska (Conuropsis carolinensis).

Jedyny rdzenny gatunek papugi występującej we wschodnich rejonach Stanów Zjednoczonych. Uznany za wymarły w 1939 roku.

Ostatni dziki okaz zabito na Florydzie w 1904; ostatni ptak znajdujący się w niewoli, Incas, padł w zoo w Cincinnati w 1918.

Wyrąb lasów, zabijanie w celu zdobycia piór mających ozdobić damskie kapelusze, tępienie przez farmerów, którzy uważali je za szkodniki, oraz łapanie, żeby po prostu trzymać je w domach, w klatkach, oto powody ich wyginięcia.

Zasadniczy powód wymarcia: zachowanie stadne. Kiedy jeden z ptaków postrzelony spadał na ziemię, reszta stada, zamiast uciec, lądowała na ziemi i gromadziła się wokół rannego lub zabitego osobnika, jakby chciała mu pomóc, co w rezultacie prowadziło do zagłady całego stada.

Pendergast złożył kartkę i wsunął ją na powrót do kieszeni, po czym nalał sobie kieliszek burgunda. Wypił, ale prawie nie poczuł smaku wybornego wina z wyjątkowego rocznika.

Teraz już wiedział – i wzbudziło to w nim olbrzymią konsternację – że jego pierwsze spotkanie z Helen nie było przypadkowe. Niemniej nadal trudno było mu w to uwierzyć. Przecież to

niemożliwe, aby wyszła za niego tylko z powodu Audubona. Wiedział, jak bardzo go kochała, a jednak coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego żona prowadziła podwójne życie. Cóż za gorzka ironia: Helen była jedyną osobą za świecie, której był w stanie zaufać, przed którą się otworzył – a ona przez cały czas miała przed nim tajemnice. Gdy nalał sobie drugi kieliszek wina, uznał, że właśnie z powodu zaufania nigdy nie podejrzewał, iż mogła coś przed nim ukrywać – choć w wypadku innego przyjaciela zorientowałby się i przejrzałby go bez większych trudności.

Wiedział to wszystko. A jednak to było niczym w porównaniu z pozostałymi kwestiami i pytaniami, które nasunęły mu się w związku z tą sprawą:

Co się kryło za ewidentną fascynacją Helen postacią Audubona i dlaczego tak skrętnie ukrywała przed nim swoje zainteresowanie tym artystą?

Jaki był związek pomiędzy zainteresowaniem Helen słynnymi rycinami Audubona a rzadkim gatunkiem papugi, wymarłym blisko sto lat temu?

Gdzie znajdowało się pierwsze, dojrzałe dzieło Audubona, tajemniczy Czarny Obraz, i dlaczego Helen go poszukiwała?

I co najważniejsze i najbardziej zagadkowe zarazem: dlaczego te zainteresowania Helen doprowadziły ostatecznie do jej śmierci?

Bo choć innych rzeczy nie był wcale pewien, Pendergast nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdzieś tam, za zasłoną pytań i podejrzeń, krył się nie tylko motyw jej śmierci, ale również sami mordercy.

Odstawił kieliszek na bok, wstał z fotela i przeszedł do telefonu leżącego na stoliku nieopodal. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Odebrano po drugim sygnale.

– D’Agosta.

– Witaj, Vincencie.

– Pendergast. Jak ci idzie?

– Gdzie teraz jesteś?

– W hotelu Copley Plaza, ładuję akumulatory. Masz pojęcie, ilu mężczyzn o imieniu Adam uczęszczało do MIT, kiedy studiowała tam twoja żona?

– Nie.

– Trzydziestu jeden. Udało mi się odszukać szesnastu. Żaden z nich jej nie znał, a przynajmniej tak mówią. Pięciu innych wyjechało z kraju. Dwóch kolejnych nie żyje. Pozostaje ośmiu, których los jest zasadniczo nieznanym – straceni alumni, tak o nich mówią na uczelni.

– Odstawmy na pewien czas poszukiwanie naszego przyjaciela Adama na plan dalszy.

– Nie mam nic przeciwko temu. A więc dokąd wybierzemy się teraz? Do Nowego Orleanu? A może do Nowego Jorku?

– Na północ od Baton Rouge. Na plantację Oakley.

– Gdzie?

– Pojedziesz na plantację Oakley, pod St. Francisville.

Zaległa długa chwila ciszy.

– I co miałbym tam robić? – spytał D’Agosta z powątpiewaniem w głosie.

– Obejrzyj ekspozycję wypchanych papug.

Kolejna, jeszcze dłuższa chwila ciszy.

– A ty?

– Ja będę w hotelu Grand Bayou. Zamierzam odnaleźć pewien zaginiony obraz.

Bayou Goula, Luizjana

Pendergast siedział z nogą założoną na nogę na otoczonym palmami dziedzińcu przed wytwornym hotelem, ubrany jak zawsze w czarny garnitur, ze skrzyżowanymi ramionami, nieruchomy jak alabastrowe posągi stojące na obrzeżach rozległego placu. Burza szalejąca ubiegłej nocy minęła, ustępując miejsca ciepłemu, słonecznemu dniu niosącemu ze sobą złudną obietnicę wiosny. Przed agentem rozpościerał się szeroki podjazd wysypany białym żwirem. Niewielka armia lokajów i wózkowych była zajęta parkowaniem samochodów i prowadzeniem wózków golfowych, które przemieszczały się w tę i z powrotem. Za podjazdem znajdował się basen mieniący się niebieskawo w promieniach porannego słońca – jak dotąd nikt się w nim nie pluskał, ale wokoło rozłożyli się miłośnicy kąpiele słonecznych popijający krwawą mary. Za brzegiem rozciągało się ogromne pole golfowe z nieskazitelnymi fairwayami i starannie zagrabionymi piaskowymi łatami, po których przechadzali się mężczyźni w pastelowych blezerach i kobiety ubrane na biało. Jeszcze dalej można było dostrzec szeroką brązową połąć Missisipi.

Ktoś do niego podszedł.

– Panie Pendergast?

Uniósł wzrok, by ujrzeć niskiego, korpulentnego mężczyznę po

pięćdziesiątce, ubranego w drogi garnitur, z zapiętą starannie marynarką i z ciemnoczerwonym krawatem w subtelny wzorek. Łysa czaszka mężczyzny błyszczała w słońcu tak mocno, że wyglądała jak ze złota, a nad uszami widniały identyczne, przywodzące na myśl pociski, kosmyki siwych włosów. Rumiane oblicze zdobiła para niedużych niebieskich oczu. Poniżej nich wąskie usta wykrzywione były w wystudiowanym uśmiechu.

Pendergast wstał.

– Dzień dobry.

– Jestem Portby Chausson, kierownik hotelu Grand Bayou.

Pendergast uścisnął podaną dłoń.

– Miło mi.

Chausson wskazał różową dłonią w stronę hotelu.

– Wybornie. Moje biuro jest tam.

Poprowadził agenta przez dziedziniec do rozbrzmiewającego echem korytarza wyłożonego marmurem kremowego koloru. Pendergast podążył za kierownikiem, mijając dobrze odżywionych biznesmenów w towarzystwie szczupłych kobiet wspierających się na ich ramionach. Dotarli do drzwi za recepcją. Chausson otworzył je, by mogli wejść do pełnego przepychu gabinetu w stylu francuskiego baroku. Wskazał Pendergastowi krzesło po drugiej stronie bogato zdobionego biurka.

– Po akcencie poznaję, że pochodzi pan z tej części kraju – rzekł Chausson, gdy zajął miejsce za biurkiem.

– Z Nowego Orleanu – odparł Pendergast.

– Ach. – Chausson zatarł dłonie. – Mniemam, że jest pan naszym nowym gościem? – Sprawdził w komputerze. – W rzeczy samej. Cóż, panie Pendergast, dziękuję że zechciał pan zatrzymać się u nas, będąc na urlopie. Pozwolę sobie pochwalić pański wyśmienity gust: Bayou Grand to najbardziej luksusowy kurort w całej delcie Missisipi.

Pendergast uniósł głowę.

– A teraz... przez telefon wspominał pan, że jest zainteresowany

nową ofertą golfową i rekreacyjną. Mamy dużo do wyboru: tygodniowy pakiet platynowy i dwutygodniowy pakiet diamentowy. Pakiety tygodniowe zaczynają się od dwunastu tysięcy pięciuset dolarów, sugerowałbym jednak dwutygodniową ofertę ze względu na...

– Pan wybaczy, panie Chausson – wtrącił się delikatnie Pendergast – gdyby pozwolił mi pan przerwać sobie na moment, myślę, że mógłbym zaoszczędzić nam obu mnóstwo jakże cennego czasu.

Kierownik zamilkł i spojrzał na Pendergasta z wyczekującym uśmiechem.

– To prawda, że wyraziłem zainteresowanie ofertą golfową. Proszę mi wybaczyć ten drobny wybieg.

Chausson wyglądał na zdezorientowanego.

– Wybieg?

– Zgadza się. Pragnąłem jedynie zwrócić pańską uwagę.

– Nie rozumiem.

– Nie potrafię wyrazić się jaśniej, panie Chausson.

– Chce pan powiedzieć – oblicze kierownika spochmurniało – że nie zamierza pan zatrzymać się w Bayou Grand?

– Ależ tak, jednak golf nie jest moją ulubioną dyscypliną sportową.

– Zatem użył pan tego... wybiegu, by się ze mną spotkać?

– Widzę, że wreszcie zaczyna pan pojmować.

– W tej sytuacji, panie Pendergast, nie mamy o czym rozmawiać. Życzę miłego dnia.

Pendergast przyjrzał się swoim doskonale wypielęgnowanym paznokciom.

– Właściwie jest pewna sprawa, o której musimy porozmawiać.

– Wobec tego powinien pan być zwrócić się z tą sprawą bezpośrednio do mnie bez żadnych wybiegów.

– Obawiam się, że gdybym to zrobił, nie doszłoby do tego spotkania.

Chausson poczerwieniał.

– Dość już usłyszałem. Jestem bardzo zajęty. A teraz, jeśli pan pozwoli, mam prawdziwych klientów, którymi muszę się zająć.

Pendergast jednak nie podniósł się z krzesła. Nic nie wskazywało na to, aby zamierzał wyjść. Zamiast tego z westchnieniem żalu sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął mały skórzany portfel i otworzył go, ukazując złotą odznakę.

Chausson wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

– FBI?

Pendergast pokiwał głową.

– Czy miało miejsce jakieś przestępstwo?

– Tak.

Na czole Chaussona pojawiły się kropelki potu.

– Chyba nie zamierza pan... dokonać aresztowania w moim hotelu?

– Chodziło mi o coś innego.

Chausson odetchnął z wyraźną ulgą.

– Czy w grę wchodzi sprawa kryminalna?

– Nie chodzi o nikogo związanego z tym hotelem.

– Ma pan nakaz?

– Nie.

Chausson nagle odzyskał rezon.

– Obawiam się, panie Pendergast, że zanim odpowiemy na jakąkolwiek prośbę czy żądanie, będziemy musieli skonsultować się z naszymi prawnikami. To zalecenie firmy. Bardzo mi przykro.

Pendergast schował odznakę.

– Mnie jeszcze bardziej.

Na twarzy kierownika pojawił się wyraz zadowolenia.

– Mój asystent odprowadzi pana do wyjścia – powiedział stanowczo i nacisnął przycisk.

– Jonathanie?

– Panie Chausson, czy to prawda, że budynek hotelu był pierwotnie rezydencją potentata handlującego bawełną?

– Tak, tak. – Kierownik hotelu przytaknął niedbale, a do gabinetu wszedł szczupły młody mężczyzna. – Czy zechciałbyś wskazać panu Pendergastowi wyjście, bardzo proszę.

Pendergast nie wstał.

– Panie Chausson, zastanawiam się, co powiedzieliby pańscy goście, gdyby się dowiedzieli, że w rzeczywistości hotel ten był dawniej sanatorium...

Oblicze Chaussona w jednej chwili spochmurniało.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Sanatorium, w którym przyjmowano chorych cierpiących na wyjątkowo paskudne choroby zakaźne. Cholerę, gruźlicę, malarię, żółtą febrę...

– Jonathanie? – rzucił Chausson. – Pan Pendergast jeszcze nie wychodzi. Proszę, zamknij za sobą drzwi, opuszczając gabinet.

Młodzieniec ulotnił się. Chausson odwrócił się do Pendergasta i wychylił się do przodu, a jego żółte obwisłe policzki aż zatrzęszy się z oburzenia.

– Jak pan śmie mi grozić?

– Grozić? Cóż za okropne słowo. Prawda was wyzwoli. Panie Chausson, oferuję jedynie pańskim gościom wyzwolenie poprzez prawdę, bynajmniej nie zamierzam im grozić.

Chausson na moment zastygł w bezruchu. Wreszcie powoli osunął się ponownie na fotel. Minęła minuta, dwie.

– Czego pan chce? – spytał cicho kierownik.

– Powodem mojej wizyty jest właśnie sanatorium. Przybyłem, aby zobaczyć stare akta, które mogły tu pozostać, a zwłaszcza te, które dotyczą pewnego szczególnego pacjenta.

– O kogo konkretnie chodzi?

– O Johna Jamesa Audubona.

Czoło kierownika przecięły liczne zmarszczki. Zaraz potem mężczyzna uderzył wypielegnowaną dłoń w blat biurka w przypływie nieskrywanego rozdrażnienia.

– No nie, znowu!

Pendergast spojrział na Chaussona ze zdziwieniem.

– Słucham?

– Za każdym razem, kiedy już myślę, że ten nieszczęśnik na dobre popadł w zapomnienie, pojawia się kolejna osoba, która o niego pyta. Zakładam, że zamierza pan zapytać również o obraz.

Pendergast siedział w milczeniu.

– Powiem panu to samo co innym. John James Audubon był tutaj pacjentem prawie sto osiemdziesiąt lat temu. Placówka... opieki zdrowotnej została zamknięta przed ponad stu laty. Całego archiwum i rzecz jasna wszystkich obrazów nie ma tu już od bardzo dawna.

– I to wszystko? – spytał Pendergast.

Chausson zdecydowanie pokiwał głową.

– Tak, to wszystko.

Na twarzy Pendergasta pojawił się wyraz głębokiego smutku.

– Szkoda, cóż, życzę miłego dnia, panie Chausson – powiedział i podniósł się z krzesła.

– Zaraz. – Kierownik także nerwowo poderwał się z miejsca. – Chyba nie zamierza pan powiedzieć gościom... – Nie dokończył.

Wyraz smutku na twarzy Pendergasta jeszcze się pogłębił.

– Powtórzę: szkoda.

Chausson wyciągnął rękę, aby go zatrzymać.

– Zaraz, zaraz. Proszę poczekać. – Wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią spocone czoło. – Może niektóre akta zostały. Proszę za mną – powiedział i z nerwowym uśmiechem opuścił gabinet.

Pendergast podążył za nim przez elegancką restaurację, mijając zaplecze, w którym przygotowywano potrawy, i ogromną kuchnię. Marmury i złoceń szybko ustąpiły miejsca białym kafelkom i podgumowanym matom podłogowym. Na drugim końcu kuchni Chausson otworzył metalowe drzwi. Stare żelazne schody prowadziły w dół, do chłodnego, wilgotnego, słabo oświetlonego piwnicznego korytarza, który zdawał się iągnąć bez końca w głąb Luizjańskiej ziemi; ściany i sufit pokrywał obłazący płatami tynk,

podłoga była wykonana z popękanych cegieł.

W końcu Chausson zatrzymał się przed wzmocnionymi żelazną taśmą metalowymi drzwiami. Otworzył je przy wtórce metalicznego jęku i wszedł w ciemność; ciężkie, zatęchłe powietrze cuchnęło wilgocią i pleśnią. Przekręcił staroświecki włącznik zgodnie z ruchem wskazówek zegara i rozległa, pustą przestrzeń wypełnioną popiskiwaniami pierzchających w popłochu gryzoni zalało ostre światło. Podłoga była zasłana starymi rurami w otoczkach z azbestu i różnymi drobiazgami zaśniedziałymi ze starości i pokrytymi warstewką pleśni.

– To była stara kotłownia – powiedział kierownik hotelu, przechodząc pomiędzy szczurzymi odchodami i splachetkami detrytususu.

W przeciwnym kącie spoczywało kilka stert papierów, wilgotnych, nadgryzionych przez gryzonie i pożółkłych ze starości. W jednym rogu szczury uwiły sobie gniazdo.

– To wszystko, co pozostało z sanatoryjnego archiwum – powiedział Chausson, a w jego głosie ponownie pojawiła się nuta dziwnego triumfu. – Mówiłem panu, że to same śmieci. Nie mam pojęcia, dlaczego nie wyrzucono tego wiele lat temu, może dlatego, że nikt tu już nie przychodzi.

Pendergast ukląkł przed stertą papierów i bardzo ostrożnie zaczął je przeglądać, odwracając i uważnie przeglądając każdy z nich. Minęło dziesięć, dwadzieścia minut. Chausson kilka razy spojrzął na zegarek, ale Pendergast był zupełnie nieczuły na rozdrażnienie tamtego. Wreszcie agent podniósł się, trzymając w dłoni cienki plik dokumentów.

– Czy mogę je pożyczyć?

– Proszę je wziąć. Proszę zabrać je wszystkie.

Pendergast włożył je do szarej koperty.

– Wspomniał pan, że również inne osoby przejawiały zainteresowanie Audubonem i pewnym obrazem.

Chausson pokiwał głową.

– Czy chodziło o tak zwany Czarny Obraz?

Chausson znów skinął głową.

– Kim były te osoby i kiedy pana odwiedziły?

– Pierwsza zjawiała się, niech no się zastanowię, jakieś piętnaście lat temu. Wkrótce po tym, jak zostałem tu kierownikiem. Druga mniej więcej rok później.

– Zatem jestem zaledwie trzecią osobą, która o to pyta – skwitował Pendergast. – Po tonie pańskiego głosu sądziłem, że było ich więcej. Proszę opowiedzieć mi o tej pierwszej osobie.

Chausson raz jeszcze westchnął.

– To był handlarz dzieł sztuki. Dość nieprzyjemny typ. W moim biznesie trzeba nauczyć się rozpoznawać ludzi po ich zachowaniu, po tym, co mówią. Ten człowiek nieomal mnie przeraził. – Przerwał. – Interesował go obraz, który Audubon miał rzekomo namalować podczas swojego pobytu tutaj. Dawał do zrozumienia, że to mi się opłaci. Bardzo się zdenerwował, kiedy okazało się, że nie mogę mu pomóc.

– Czy widział te dokumenty? – spytał Pendergast.

– Nie. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o ich istnieniu.

– Pamięta pan, jak się nazywał ten człowiek?

– Tak. Blast. Takiego nazwiska się nie zapomina.

– Rozumiem. A druga osoba?

– To była kobieta. Młoda, szczupła, rudobrzowe włosy. Bardzo ładna. Była o wiele miłsza i bardziej przekonująca. Mimo to nie byłem w stanie powiedzieć jej więcej niż poprzednio Blastowi. Przejrzała jednak papiery.

– Czy jakieś zabrała?

– Nie pozwoliłbym jej na to, bo sądziłem, że mogą być cenne. Teraz jednak po prostu chcę się ich pozbyć.

Pendergast wolno pokiwał głową.

– Ta młoda kobieta... czy pamięta pan, jak się nazywała?

– Nie. To było zabawne, bo nie podała swojego nazwiska. Pamiętam, że zastanawiałem się nad tym, kiedy już sobie poszła.

- Czy miała taki akcent jak ja?
- Nie. Raczej jankeski. Jak rodzina Kennedych.
- Rozumiem. Dziękuję za poświęcony mi czas. – Pendergast odwrócił się. – Sam trafię do wyjścia.
- O nie – rzucił zdecydowanie Chausson. – Odprowadzę pana do samochodu. Nalegam.
- Bez obawy, panie Chausson. Nie pisnę ani słówka pańskim gościom.

Z lekkim skinieniem głowy i jeszcze słabszym, raczej smutnym, uśmiechem Pendergast wrócił pospiesznie do długiego tunelu, by równym krokiem pomaszerować nim w kierunku wyjścia na zewnątrz.

St. Francisville, Luizjana

D'Agosta zatrzymał samochód przed otynkowaną na biało rezydencją wznoszącą się dumnie ponad klombami zeschłych kwiatów i drzewami o nagich konarach. Z zimowego nieba siąpił deszcz, na asfalcie pojawiły się kałuże. Policjant siedział przez chwilę w wynajętym aucie, wsłuchując się w ostatnie takty piosenki *Just You and I* płynącej z radia, i próbował stłumić rozdrażnienie, że potraktowano go jak chłopca na posyłki. Co, u licha, mógł wiedzieć o martwych ptakach?

Wreszcie kiedy piosenka wybrzmiała, podniósł się z fotela, sięgnął po parasol i wysiadł z samochodu. Wspiął się po stopniach rezydencji Plantacja Oakley i wszedł na werandę: ganek z zaopatrzonymi w żaluzje, zamkniętymi z powodu deszczu oknami. Wstawił ociekający wodą parasol do stojaka, zdjął płaszcz przeciwdeszczowy, powiesił na wieszaku i wszedł do środka.

– Pan musi być doktorem D'Agostą – powiedziała bystra, przywodząca na myśl ptaka, kobieta, wstając od biurka i podchodząc do niego na krótkich grubych nogach, a podeszwy jej masywnych butów zaszurały o deski podłogi. – O tej porze roku nie miewamy wielu gości. Jestem Lola Marchant. – Podała mu rękę.

D'Agosta zdziwił się, bo uścisk dłoni był silny i zdecydowany. Kobieta miała mocny makijaż: szminka, puder, róż, i choć

z pewnością dobiegała sześćdziesiątki, wciąż wydawała się krzepka i pełna wigoru.

– Wstydź się pan sprowadzać ze sobą taką paskudną pogodę! – Zaśmiała się ochryple. – Niemniej jednak wszyscy uczeni zajmujący się Audubonem są u nas zawsze mile widziani. Zwykle odwiedzają nas turyści.

D’Agosta wszedł za nią do salonu, w którym królowało pomalowane na biało drewno i masywne belki. Zaczął żałować kamuflażu, jaki wybrał dla siebie, rozmawiając z tą kobietą przez telefon. Tak niewiele wiedział o Audubonie i ptakach, że był pewien, iż ona zdemaskuje go przy najkrótszej nawet wymianie zdań. Najlepsze, co mógł zrobić, to trzymać język za zębami.

– Wszystko po kolei. – Marchant weszła za inne biurko i podsunęła w jego stronę ogromną księgę gości. – Proszę wpisać tu swoje nazwisko i powód wizyty.

D’Agosta wpisał swoje nazwisko i domniemany cel wizyty.

– Dziękuję – powiedziała. – No to zaczynamy. Co właściwie chciałby pan obejrzeć?

D’Agosta odchrząknął.

– Jestem ornitologiem – powiedział bez zająknięcia – i chciałbym rzucić okiem na niektóre z okazów Audubona.

– Wspaniale! Jak pan zapewne wie, Audubon przebywał tu zaledwie przez cztery miesiące, pracując jako mistrz rysownik dla Elizy Pirrie, córki państwa Pirriech, właścicieli Plantacji Oakley. Najwyraźniej po sprzeczce z panią Pirrie wrócił do Nowego Orleanu, zabierając wszystkie swoje obrazy i rysunki. Kiedy jednak staliśmy się placówką o charakterze historycznym, czterdzieści lat temu, otrzymaliśmy legat w postaci rysunków, listów i niektórych spośród okazów wypreparowanych osobiście przez Audubona. Gromadziliśmy te pamiątki całymi latami i obecnie dysponujemy jedną z największych kolekcji Audubona w całej Luizjanie!

Pani Marchant uśmiechnęła się promiennie, a jej pierś zafalowała z wysiłku po tej recytacji.

– Proszę tędy, doktorze D’Agosta.

Doktorze D’Agosta. Porucznik poczuł narastający niepokój.

Kobieta poczłapała ciężko po podłodze wyłożonej sosnową klepką aż do schodów. Poprowadziła D’Agostę na piętro i przez ciąg rozległych pokoi z meblami z epoki aż do zamkniętych drzwi, za którymi, kiedy je otworzyła, ujrzał wąskie strome schody na poddasze. D’Agosta podążył za Marchant na górę. Poddasze okazało się wysprzątane i dobrze utrzymane, wewnątrz pachniało świeżą farbą. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się dębowe, przeszklone regały, a na przeciwległym końcu pomieszczenia stały nowocześniejsze, zamykane na klucz szafki. Przez wąskie mansardowe okna wpadało światło.

– Mamy około setki ptaków z oryginalnej kolekcji Audubona – powiedziała Marchant, przechodząc przez środek pomieszczenia. – Niestety Audubon nie był najlepszym preparatorem. Rzecz jasna okazy udało nam się uratować. Proszę, oto one.

D’Agosta zatrzymał się przed wielką metalową szafką, która wyglądała niemal jak sejf. Marchant pokręciła pokręteł i nacisnęła metalową dźwignię. Przy wtórze syku powietrza wielkie drzwi otworzyły się, ukazując drewniane szafki z plakietkami przykręconymi do każdej szuflady. D’Agosta poczuł silną woń naftaliny. Sięgając ręką, Marchant wysunęła jedną szufladę z trzema rzędami wypchanych ptaków z pożółkłymi karteczkami przyczepionymi do jednej z nóg i białą watą wyłazącą z oczu.

– Te karteczki przygotował sam Audubon – wyjaśniła Marchant. – Sama zajmę się prezentacją ptaków. Proszę ich nie dotykać bez mojego pozwolenia. A teraz – uśmiechnęła się – które konkretnie chciałby pan zobaczyć?

D’Agosta zajrzał do swojego notebooka. Skopiował do niego kilka nazw ptaków ze strony internetowej, na której były wymienione opisane przez Audubona okazy i miejsca ich występowania. Postanowił wymienić je po kolei.

– Chciałbym zacząć od gajówki amerykańskiej.

– Wybornie! – Marchant zasunęła jedną szufladę, po czym wysunęła kolejną. – Chciałby pan obejrzeć eksponat na stole czy w szufladzie?

– Wystarczy w szufladzie.

D’Agosta włożył lupę do oka i przez dłuższą chwilę oglądał eksponat, okraszając tę czynność mnóstwem chrząknięć i pomruków. Okaz wyglądał marnie, niektóre pióra były powykrzywiane, innych w ogóle brakowało, tu i ówdzie widać było wyłożoną watę. Porucznik starał się sprawiać wrażenie skupionego i udawał, że zapisuje coś w notesie. Wyprostował się.

– Dziękuję. Następny na mojej liście jest szczygieł amerykański.

– Chwileczkę.

D’Agosta ponownie dał popis fachowego badania eksponatu, oglądając go przez lupę, sporządzając notatki i mamrocząc do siebie.

– Mam nadzieję, że znajduje pan to, czego szukał – wtrąciła posepnym tonem Marchant.

– O tak. Dziękuję. – To powoli zaczynało się stawać nużące, a woń naftaliny przyprawiała go o mdłości. – A teraz. – Zerknął do notesu. – Chciałbym obejrzeć papugę karolińską.

Nagle zapadła cisza. D’Agosta zdziwił się, widząc, że twarz Marchant nieco poczerwieniała.

– Przykro mi, nie mamy tego okazu.

Poczuł nagły przyływ rozdrażnienia: nie mieli eksponatu, dla którego tu przyjechał!

– Ale w pracach źródłowych, z którymi konsultowałem moje informacje, było napisane, że okaz się tu znajduje – rzucił z nieco większą irytacją, niż zamierzał. – Właściwie powinny być tutaj dwa takie okazy.

– Już ich nie mamy.

– A gdzie są? – spytał, nie ukrywając złości.

Zapadła długa cisza.

– Obawiam się, że zniknęły.

– Zniknęły? Zaginęły?

– Nie, nie zaginęły. Skradziono je. Wiele lat temu, kiedy jeszcze byłam tu asystentką. Pozostało jedynie kilka piór.

Nagle D'Agosta poczuł przyływ zaciekawienia. Jego policyjny szósty zmysł zaczął bić na alarm. Od razu zorientował się, że był na właściwym tropie.

– Czy przeprowadzono śledztwo?

– Owszem, ale bardzo pobieżne. Trudno się spodziewać, że policja przejmie się kradzieżą dwóch ptaków, nawet jeżeli to już wymarły gatunek.

– Ma pani kopię starego raportu?

– Bardzo dbamy o nasze archiwa.

– Chciałbym je zobaczyć.

Zauważył, że kobieta patrzy na niego dziwnym wzrokiem.

– Proszę wybaczyć, doktorze D'Agosta, ale zapytam: po co? Te okazy skradziono ponad dwanaście lat temu.

Myślał intensywnie. To zmieniało reguły gry. Podjął szybką decyzję, sięgnął do kieszeni i wyjął swoją odznakę.

– Ojej. – Marchant spojrzała na niego, wybałuszając oczy. – Jest pan policjantem, nie ornitologiem.

D'Agosta schował odznakę.

– Zgadza się. Jestem porucznikiem detektywem z nowojorskiego wydziału zabójstw. A teraz niech pani będzie tak miła i przyniesie mi te akta.

Pokiwała głową i zapytała niepewnie:

– O co właściwie chodzi?

Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach z trudem hamowane podniecenie.

– O morderstwo, ma się rozumieć – odparł z uśmiechem.

Marchant znów pokiwała głową i wstała. Kilka minut później wróciła z cienką szarą teczką, w której D'Agosta znalazł wyjątkowo pobieżnie sporządzony raport policyjny składający się z jednego akapitu. Z treści dowiedział się tylko tyle, że rutynowa

inwentaryzacja zbioru ujawniła brak dwóch okazów. Żadnych śladów włamania, nic więcej nie zginęło, na miejscu zdarzenia nie odnaleziono żadnych materiałów dowodowych ani odcisków palców, nie podano nazwisk podejrzanych. Znany był jedynie przypuszczalny czas kradzieży – musiano jej dokonać między pierwszym września a pierwszym października, kiedy zbiór został poddany comiesięcznej inwentaryzacji.

– Ma pani rejestr wszystkich badaczy, którzy korzystali z tutejszych zbiorów?

– Tak. Ale po ich wyjściu zawsze sprawdzaliśmy zbiory, aby mieć pewność, że nic nie zginęło.

– Wobec tego możemy zawęzić ramy czasowe jeszcze bardziej. Proszę mi przynieść rejestry.

– Momencik.

Kobieta z animuszem zeszła po schodach, a jej kroki rozbrzmiały w holu gromkim echem.

Kilka minut później wróciła, niosąc dużą księgę oprawioną w klejone płótno, którą upuściła z łoskotem na stół. Przewracała strony, aż odnalazła poszukiwany miesiąc. D’Agosta zlustrował wzrokiem stronicę: wówczas ze zbiorów korzystało troje badaczy, ostatnia osoba 22 września. Nazwisko zostało napisane odręcznie, bardzo starannie i wyraźnie:

Matilda V. Jones
Agassiz Drive 18
Cooperstown, NY 27490

Fałszywe nazwisko i adres, pomyślał D’Agosta. Agassiz Drive, akurat. A wszystkie nowojorskie kody zaczynają się od 1.

– Proszę powiedzieć – zapytał – czy przychodzący tu badacze muszą okazać dokumenty, listy polecające od placówek macierzystych czy coś w tym rodzaju?

– Nie, ufamy im. Może nie powinniśmy. Ale oczywiście bacznie ich obserwujemy. Nie wyobrażam sobie zresztą, jak któryś

z badaczy mógłby ukraść eksponat i to na naszych oczach!

Ja widzę z milion sposobów, pomyślał D'Agosta, ale nie powiedział tego głośno. Drzwi na poddasze zamykano staroświeckim kluczem, a sama szafka z ptakami wyglądała na dość tani model, z pracującymi głośno zapadkami, które nie stanowiły większego wyzwania dla doświadczonego kasiarza. Choć, jak stwierdził po namyśle, nawet to nie było konieczne. Przypomniał sobie, że widział, jak Marchant zdejmuje pęk kluczy z haczyka na ścianie w recepcji, zanim weszli na górę. Drzwi do rezydencji nie były zamknięte na klucz, wszedł tu bez najmniejszego trudu. Każdy mógłby zaczekać, aż kustosz pójdzie do toalety, opuszczając swoje stanowisko w recepcji, a wówczas wystarczyło już tylko zdjąć klucze z haczyka i udać się wprost na górę. Co więcej, on też został z ptakami sam na sam, kiedy Marchant poszła po rejestr gości. Gdyby te ptaki miały jakąkolwiek wartość, już by ich nie było, pomyślał ze smutkiem.

D'Agosta wskazał na ostatnie nazwisko.

– Czy spotkała pani tę badaczkę?

– Jak już wspomniałam, byłam wtedy jedynie asystentką. Kustoszem był pan Hotchkiss i to on nadzorował gościa.

– Gdzie jest teraz?

– Zmarł przed kilkoma laty.

D'Agosta przeniósł wzrok na kartkę. Jeżeli to faktycznie Matilda V. Jones była złodziejką, a co do tego nie miał żadnych wątpliwości, nie wydawała się zbyt wyrefinowaną przestępczynią. Pomijając zmyślane nazwisko, sam charakter pisma nie sprawiał wrażenia bardzo zmienionego. Do kradzieży musiało dojść około 23 września, dzień po tym, jak pod pretekstem pracy naukowej poznała miejsce przechowywania ptaków. Przypuszczalnie zatrzymała się na ten czas w miejscowym zajeździe. Można to było potwierdzić, sprawdzając księgę meldunkową gości.

– Gdzie zwykle zatrzymują się ornitolodzy, którzy zjawiają się tu, by prowadzić prace badawcze?

– Polecamy Houma House w St. Francisville. To jedyne przyzwoite miejsce.

D'Agosta pokiwał głową.

– No i? – spytała Marchant. – Jakiś trop?

– Czy mogłaby pani odbić na ksero tę stronę?

– Oczywiście – odparła.

Podniosła ze stołu ciężki wolumin, który przełożyła na wózek, po czym ponownie zostawiła D'Agostę samego. Gdy tylko wyszła, policjant wyjął komórkę i wybrał numer.

– Pendergast – rozległ się głos.

– Cześć, tu Vinnie. Szybkie pytanie: czy słyszałeś kiedykolwiek nazwisko Matilda V. Jones?

Zapadła długa cisza, a zaraz potem rozległ się głos Pendergasta.

Lodowaty jak podmuch wiatru w Arktyce.

– Gdzie słyszałeś to nazwisko, Vincencie?

– To zbyt skomplikowane, aby teraz wyjaśniać. Znasz je?

– Tak nazywała się ulubiona kotka mojej żony. Rosyjska błękitna.

D'Agosta był w szoku.

– Czy pismo twojej żony było duże, wyraźne, z licznymi zawijasami?

– Tak. Czy teraz mógłbyś powiedzieć, o co chodzi?

– Czy wiesz, że dwa wypchane eksponaty papugi karolińskiej przechowywane w Oakley zostały skradzione? Zostało tylko parę piór. I zgadnij, kto to zrobił. Twoja żona.

Po chwili rozległa się lodowata odpowiedź.

– Rozumiem.

D'Agosta usłyszał ciężkie kroki na schodach.

– Muszę kończyć.

Wyłączył komórkę w chwili, gdy w pomieszczeniu pojawiła się Marchant z odbitkami ksero.

– Cóż, poruczniku – powiedziała, kładąc je na stole. – Czy zechce pan rozwikłać dla nas tę zagadkę?

Uśmiechnęła się do niego promiennie, a D'Agosta nie omieszkał zauważyć, że wykorzystwała tych kilka chwil, żeby nałożyć nową warstwę różu na policzki i ponownie pomalować usta. Zapewne było to znacznie bardziej ekscytujące, skonstatował, niż oglądanie po kolei paru odcinków *Napisała: Morderstwo*.

D'Agosta schował kserokopie do aktówki i wstał, żeby wyjść.

– Niestety obawiam się, że trop już dawno ostygł. Zbyt dawno. Ale mimo wszystko bardzo pani dziękuję za pomoc.

Plantacja Penumbra

– Jesteś tego pewien, Vincencie? Absolutnie pewien?

D'Agosta skinął głową.

– Sprawdziłem w miejscowym hotelu Houma House. Po obejrzeniu eksponatów ptaków w Plantacji Oakley pod fałszywym nazwiskiem, tak jak nazywał się jej kot, twoja żona spędziła tam noc. Tym razem użyła prawdziwego nazwiska, zapewne zażądali od niej jakiegoś dokumentu. Zwłaszcza jeśli płaciła gotówką. Nie miała powodu, by zostawać tam na noc, chyba że zamierzała następnego dnia wślizgnąć się po cichu do rezydencji i ukraść ptaki. – Podał Pendergastowi kawałek papieru. – To ksero rejestru gości w Plantacji Oakley.

Pendergast rzucił okiem na kartkę.

– To pismo mojej żony.

Odłożył kartkę na bok, jego oblicze wyglądało jak maska.

– Jesteś pewien daty kradzieży?

– Dwudziestego trzeciego września, góra dzień, dwa później.

– To by było jakoś pół roku po tym, jak Helen i ja się pobraliśmy.

W saloniku na piętrze zapadła chwila niezręcznej ciszy. D'Agosta oderwał wzrok od Pendergasta, popatrując ze skrepowaniem na dywan ze skóry zebry i zwierzęce trofea na ścianach, aż w końcu jego spojrzenie zatrzymało się na dużej gablocie z bronią, w której

wystawione były potężne, pięknie zdobione i grawerowane strzelby myśliwskie. Zastanawiał się, która z nich należała do Helen.

Do salonu zajrzał Maurice.

– Czy panowie życzą sobie jeszcze herbaty?

D’Agosta pokręcił głową. Troskliwość Maurice’a nieco go deprymowała; stary czuwał nad nimi jak matka.

– Dziękuję, Maurice, na razie wystarczy – odrzekł Pendergast.

– Oczywiście, sir.

– A co tobie udało się ustalić? – zapytał D’Agosta.

Pendergast przez chwilę nie odpowiadał. Wreszcie bardzo powoli splótł palce i złożył dłonie na splocie słonecznym.

– Odwiedziłem Grand Hotel w Bayou, gdzie niegdyś mieściło się sanatorium Meuse St. Claire i gdzie Audubon namalował Czarny Obraz. Moja żona była tam, pytała o obraz. Było to parę miesięcy po tym, jak się poznaliśmy. Mniej więcej na rok przed wizytą Helen o ten sam obraz pytał handlarz, a może kolekcjoner dzieł sztuki.

– Zatem Czarnym Obrazem interesują się też inni.

– Wygląda na to, że nawet bardzo. W piwnicach sanatorium udało mi się odnaleźć kilka dziwnych dokumentów i papierów. Traktują o rozwoju choroby Audubona, jego leczeniu i tego typu kwestiach.

Pendergast sięgnął po skórzaną teczkę, otworzył i wyjął ze środka kartkę starego papieru oprawioną w plastik, poplamioną, pożółkłą, z brakującym u dołu fragmentem, który najwyraźniej zbutwiał i rozpadł się ze starości.

– To tekst dotyczący Audubona napisany przez doktora Arne Torgenssona, jego lekarza prowadzącego w sanatorium. Przeczytam tylko najistotniejszy fragment.

Stan pacjenta znacznie się poprawił, zarówno jeżeli chodzi o siłę kończyn, jak i o kondycję umysłową. Jest już na tyle zdrowy, by mógł wykonywać swoją pracę zawodową, i zabawia innych pacjentów opowieściami o swoich przygodach na granicy. W zeszłym tygodniu posłał po farby, biejtram

i płótno i zaczął malować. I cóż to jest za obraz! Wigor pociągnąć pędzla oraz niezwykła paleta barw są wręcz olśniewające! Przedstawia on najbardziej niezwykle...

Pendergast włożył kartkę z powrotem do teczki.

– Jak sam widzisz, brakuje najistotniejszego fragmentu – opisu obrazu. Nikt nie wie, co przedstawiał.

D’Agosta upił łyk herbaty, żałując, że nie jest to piwo.

– Dla mnie to oczywiste. Obraz przedstawiał papugę karolińską.

– Tak uważasz, Vincencie?

– Właśnie dlatego twoja żona ukradła ptaki z Plantacji Oakley. Aby wysledzić lub – co bardziej prawdopodobne – zidentyfikować obraz.

– W twojej logice jest pewien mankament. Po co miałyby kraść te ptaki? Wystarczyłoby obejrzeć okaz.

– Nie, jeśli z kimś rywalizujesz – odparł D’Agosta. – Inni też poszukiwali tego obrazu. W grze o wysoką stawkę każda przewaga, jaką możesz uzyskać – lub jakiej możesz pozbawić innych – jest kluczowa i chwytasz się wszelkich możliwości. Właśnie to może wskazać nam mor... – Przerwał nagle, nie chcąc wyrazić swojej nowej teorii na głos.

Przenikliwe spojrzenie Pendergasta dało mu do zrozumienia, że agent domyślił się, o co mu chodzi.

– Dzięki temu obrazowi możemy zyskać coś, co nam do tej pory umykało. – Tu zniżył głos do szeptu. – Motyw.

W pokoju zapadła cisza.

W końcu Pendergast otrząsnął się z odrętwienia.

– Nie rozpędzajmy się zanadto. – Znów otworzył teczkę i wyjął kolejny postrzępiony kawałek papieru. – Natrafiłem na to, co ewidentnie jest fragmentem z raportu do wypisu Audubona. I znów przeczytam tylko fragment.

... został wypisany z naszej placówki czternastego listopada 1821 r.

Opuszczając nasze mury, podarował on swój ledwie skończony obraz doktorowi Torgenssonowi, dyrektorowi Meuse St. Claire, z wdzięczności za opiekę i przywrócenie go do zdrowia. Niewielka grupa lekarzy i pacjentów była obecna przy wypisie, a pożegnania trwały...

Pendergast odłożył kartkę do teczki i zamknął ją teatralnym, finalnym gestem.

– Domyślasz się, gdzie teraz może znajdować się obraz? – spytał D’Agosta.

– Lekarz na emeryturze udał się do Port Royal i właśnie tam się teraz wybieram. – Przerwał. – Jest jeszcze coś, co moim zdaniem powinniśmy sprawdzić. Pamiętasz, jak Judson, brat Helen, wspomniał, że pojechała ona kiedyś do New Madrid w Missouri?

– Tak.

– W tysiąc osiemset dwunastym roku New Madrid zostało nawiedzone przez potężne trzęsienie ziemi o sile ponad ośmiu stopni w skali Richtera, tak potężne, że utworzyło cały ciąg nowych jezior i zmieniło bieg rzeki Missisipi. Niemal połowa miasta została zniszczona. Z tym wszystkim wiąże się jeszcze jedna ciekawostka.

– Jaka...?

– John James Audubon przebywał w New Madrid wtedy, kiedy miało miejsce to trzęsienie ziemi.

D’Agosta usiadł wygodniej na krześle.

– To znaczy?

Pendergast rozłożył ręce.

– Zbieg okoliczności? Być może.

– Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o Audubonie – rzekł D’Agosta – ale prawdę mówiąc, nigdy nie byłem dobrym uczniem. Co o nim wiesz?

– Teraz całkiem sporo. Pozwól, że podzielę się z tobą tą wiedzą. – Pendergast przerwał, zbierając myśli. – Audubon był nieślubnym synem francuskiego kapitana marynarki i jego kochanki. Urodzony na Haiti, był wychowywany we Francji przez macochę i w wieku

osiemnastu lat wysłano go do Ameryki, by uniknął wcielenia do armii napoleońskiej. Mieszkał w pobliżu Filadelfii, gdzie zafascynował się badaniem i rysowaniem ptaków, poślubił też miejscową dziewczynę, Lucy Bakewell. Przenieśli się na granicę Kentucky, gdzie założył sklepik, ale przez większość czasu zbierał ptaki, przeprowadzał ich sekcje i wypychał je, tworząc eksponaty. Szkicował je i malował hobbistycznie, ale jego wczesne dzieła były słabe i niepewne, a jego szkice, z których wiele przetrwało, były tak pozbawione życia jak martwe ptaki, które rysował. Audubon nie miał talentu do prowadzenia interesów i kiedy w tysiąc osiemset dwudziestym roku jego sklep zbankrutował, przeniósł się z rodziną do zaniedbanego kreolskiego domu przy Dauphine Street w Nowym Orleanie, gdzie żył w ubóstwie.

– Dauphine Street? – mruknął D’Agosta. – A więc w ten sposób poznał twoją rodzinę?

– Tak. Był czarującym człowiekiem, uroczym, przystojnym a w dodatku wyśmienicie strzelał i był doświadczonym szermierzem. On i mój prapradziadek Boecjusz zaprzyjaźnili się i często wybierali się na polowanie. Na początku dwudziestego pierwszego roku Audubon poważnie zachorował, było z nim tak źle, że trzeba go było pogrążonego w śpiączce przewieźć wozem konnym do Meuse St. Claire. Tam przebył długą i ciężką rekonwalescencję. Jak już zapewne wiesz, to właśnie podczas tej rekonwalescencji namalował dzieło zwane Czarnym Obrazem, którego treść pozostaje nieznana. Kiedy Audubon wrócił do zdrowia, wciąż splekany, wpadł nagle na pomysł, by przedstawić całą ptasią faunę Ameryki w jej naturalnych rozmiarach – przedstawiciele wyjątkowych gatunków ptaków w tym kraju, zebranych w wielkim przyrodniczym dziele będącym kamieniem milowym historii naturalnej. Podczas gdy Lucy utrzymywała rodzinę, pracując jako nauczycielka, Audubon wyruszył na wyprawę uzbrojony w swoją strzelbę i pudełko z farbami oraz blok. Wynajął asystenta i popłynął w dół Missisipi. Namalował setki ptaków w ich

naturalnym środowisku, odzwierciedlając je w skali jeden do jednego, czego nikt przed nim nie dokonał.

Pendergast upił łyk herbaty, po czym mówił dalej:

– W dwudziestym szóstym roku udał się do Anglii, gdzie znalazł drukarza, który wykonał z jego akwareli miedzioryty. Następnie zaczął krążyć po Ameryce i Europie, wyszukując subskrybentów na książkę, która ostatecznie stanie się dziełem *Ptaki Ameryki*. Ostatnie wydanie ukazało się w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku, a do tego czasu Audubon zyskał olbrzymią sławę. Kilka lat później rozpoczął pracę nad kolejnym ambitnym projektem – *Żyworodne czworonogi Ameryki Północnej*. Ale jego umysł zaczął szwankować i dzieło musieli dokończyć jego synowie. Nieszczęśnik postradał zmysły i ostatnie lata przeżył jako majaczący obłąkaniec, by ostatecznie umrzeć w Nowym Jorku w wieku sześćdziesięciu pięciu lat.

D’Agosta zagwizdał cicho.

– Ciekawa historia.

– W rzeczy samej.

– I nikt nie wie, co się stało z Czarnym Obrazem?

Pendergast pokręcił głową.

– To najwyraźniej odpowiednik świętego Graala uczonych zajmujących się Audubonem. Jutro zamierzam odwiedzić dom Arne Torgenssona. To prosta droga, zaledwie kilkanaście kilometrów na zachód od Port Allen. Mam nadzieję, że znajdę tam coś, co naprowadzi mnie na trop tego obrazu.

– Ale powróćmy jeszcze do dat. Czy uważasz, że... – D’Agosta przerwał, szukając odpowiednich słów, które pozwoliłyby mu sformułować taktownie pytanie. – Czy uważasz, że twoja żona interesowała się Audubonem i Czarnym Obrazem... zanim jeszcze cię poznała?

Pendergast nie odpowiedział.

– Jeżeli mam ci pomóc – ciągnął D’Agosta – nie możesz zamykać się w sobie za każdym razem, kiedy poruszam niewygodny temat.

Pendergast westchnął.

– Masz rację. Wygląda na to, że Helen była zafascynowana Audubonem, a może nawet miała obsesję na jego punkcie, i to od wczesnej młodości. To właśnie pragnienie, by dowiedzieć się czegoś więcej o Audubonie i znaleźć się bliżej jego dzieła, doprowadziło – po części – do naszego spotkania. Wygląda na to, że szczególnie interesowało ją znalezienie Czarnego Obrazu.

– Dlaczego utrzymywała to przed tobą w tajemnicy?

– Wydaje mi się... – Pendergast przerwał, a jego głos stał się ochryply – że nie chciała, abym się zorientował, że nasz związek nie powstał za sprawą szczęśliwego zrzędzenia losu, lecz spotkania, które ona z premedytacją zaaranżowała.

Oblicze Pendergasta zrobiło się tak posępne, że D'Agosta niemal pożałował swojego pytania.

– Jeżeli ściagała się z kimś, poszukując Czarnego Obrazu – rzekł D'Agosta – mogła czuć się zagrożona. Czy w tygodniach poprzedzających jej śmierć zachowanie twojej żony zmieniło się? Była zdenerwowana, rozdrażniona?

– Tak – odrzekł powoli Pendergast. – Zawsze podejrzewałem, że chodziło o jakieś kłopoty związane z pracą, z przygotowaniem do safari. – Pokręcił głową.

– Czy zrobiła coś niezwykłego?

– W tamtych ostatnich paru tygodniach nie było mnie w Prenumbrze.

D'Agosta usłyszał chrząkanie tuż za sobą. Znów Maurice.

– Chciałem tylko poinformować, że zamierzam się położyć – oznajmił lokaj. – Czy mogę jeszcze czymś służyć?

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie, Maurice – rzekł Pendergast. – W tygodniach poprzedzających moją ostatnią wyprawę z Helen często bywałem poza domem.

– W Nowym Jorku – powiedział Maurice, kiwając głową. – Czyniąc przygotowania do safari.

– Czy moja żona pod moją nieobecność mówiła albo robiła coś

niezwykłego? Czy otrzymała pocztę albo odbierała telefony, które ją zdenerwowały?

Stary sługa zamyślił się.

– Nic takiego sobie nie przypominam, sir. Choć wydawała się raczej podekscytowana, zwłaszcza po wyjeździe.

– Po wyjeździe? – powtórzył Pendergast. – Po jakim wyjeździe?

– Któregoś ranka obudził mnie odgłos jej auta ruszającego z podjazdu. Pamięta pan, jak głośny był silnik tego samochodu. Żadnego liściku, żadnego wyjaśnienia, nic. Pamiętam, że to było około siódmej rano w niedzielę. Wróciła dwie noce później. Nie powiedziała ani słowa o tym, gdzie była. Pamiętam jednak, że nie była sobą. Coś ją trapiło, ale nie chciała o tym rozmawiać.

– Rozumiem – powiedział Pendergast, wymieniając spojrzenia z D'Agostą. – Dziękuję, Maurice.

– Nie ma za co, sir. Dobranoc.

Stary sługa odwrócił się i bezszelestnie zniknął w głębi korytarza.

22

D'Agosta zjechał z autostrady międzystanowej nr 10 na autostradę Belle Chasse, sunąc po niemal pustej szosie. Był kolejny ciepły lutowy dzień, szyby w aucie opuszczone, a radio ustawione na stację nadającą klasycznego rock and rolla. Czuł się lepiej niż w ostatnich dniach. Gdy samochód mknął po autostradzie, napił się kawy, po czym odstawił kubek do uchwytu. Dwa pączki z nadzieniem z dyni jeszcze bardziej poprawiły mu nastrój, do diabła z kaloriami. Nic nie mogło zepsuć mu humoru.

Poprzedniego wieczoru przez godzinę rozmawiał z Laurą Hayward. To go podbudowało. Potem porządnie się wyspał. Gdy się obudził, stwierdził, że Pendergast już wyszedł, a Maurice czeka na niego ze śniadaniem – jajecznicą na bekonie i płatkami. Następnie udał się do miasta, gdzie w Szóstym Komisariacie policji nowoorleańskiej osiągnął spory sukces. Z początku, kiedy dowiedzieli się o jego związku z rodziną Pendergastów, zachowywali się podejrzliwie, ale gdy stwierdzili, że jest normalnym policjantem, ich nastawienie względem niego zmieniło się. Pozwolili mu skorzystać z komputera i niecałe półtorej godziny zajęło mu odnalezienie handlarza, który od dawna interesował się Czarnym Obrazem: Johna W. Blasta, mieszkającego obecnie w Sarasocie na Florydzie. Był rzeczywiście paskudnym typem. Pięć aresztowań w ciągu ostatnich dziesięciu lat: podejrzenie o szantaż, fałszerstwo, posiadanie skradzionej własności i zabronionych

artykułów zwierzęcych, napaść i pobicie. Albo miał forszę, albo dobrych prawników, albo też jedno i drugie, bo za każdym razem udawało mu się uniknąć odsiadki. D'Agosta wydrukował wszelkie informacje o nim, włożył do kieszeni marynarki i głodny pomimo zjedzonego śniadania zajrzał do miejscowej sieciowej kafejki, zanim ruszył w drogę powrotną do Penumbry.

Wiedział, że Pendergast będzie chciał to usłyszeć.

Gdy zajechał na podjazd przed budynkiem starej plantacji, stwierdził, że agent go uprzedził: rolls-royce stał już w cieniu cyprysów zaparkowany obok limuzyny. D'Agosta przeszedł po chrzęszczącym żwirze i wspiał się po stopniach na zadaszony ganek. Wszedł do holu, zamykając za sobą frontowe drzwi.

– Pendergast? – zawołał.

Bez odpowiedzi.

Przeszedł w głąb korytarza, zaglądając do kolejnych pokoi; wszystkie były ciemne i puste.

– Pendergast? – zawołał raz jeszcze.

Może wybrał się na przechadzkę, pomyślał D'Agosta. Dzień jest wręcz wymarzony na spacer.

Wszedł pospiesznie po schodach, na podeście skręcił i nagle się zatrzymał. Kątem oka dostrzegł znajomą sylwetkę siedzącą w ciszy w salonie. To był Pendergast, na tym samym fotelu co wczorajszego wieczoru. Światło w salonie było zgaszone i agent FBI siedział w całkowitych ciemnościach.

– Pendergast? – rzucił D'Agosta. – Myślałem, że wyszedłeś, i...

Przerwał, kiedy zobaczył twarz agenta. Pustka, jaka się na niej malowała, sprawiła, że zamilkł. Usiadł w fotelu obok, a jego dobry nastrój prysnął.

– Co się dzieje? – zapytał.

Pendergast wziął długi oddech.

– Pojechałem do domu Torgenssona, Vincencie. Nie ma obrazu.

– Nie ma?

– Teraz mieści się tam dom pogrzebowy. Całe wnętrze

przebudowano nieomal do ostatniej belki na potrzeby zakładu pogrzebowego. Nic tam nie ma. Nic. – Usta Pendergasta zacisnęły się. – Trop po prostu się urywa.

– A co z lekarzem? Musiał się dokądś przeprowadzić, możemy podjąć trop z tamtego miejsca.

Kolejna przerwa, dłuższa niż poprzednio.

– Doktor Arne Torgensson zmarł w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku. W nędzy, ogarnięty szaleństwem wywołanym przez syfilis. Wcześniej jednak wyprzedał wszystko, co znajdowało się w jego domu, niezliczonym nieznanym nabywcom.

– Jeżeli sprzedał obraz, powinno to gdzieś zostać odnotowane.

Pendergast spiorunował D'Agostę wzrokiem.

– Nie zostało. Mógł prehandlować obraz, by uiścić opłaty za węgiel. Albo w przypiływie szaleństwa rozerwać go na strzępy. Równie dobrze obraz mógł go przeżyć i zostać zniszczony podczas renowacji. Zabrnąłem w ślepią uliczkę.

Poddał się, skonstatował D'Agosta. Dlatego wrócił do domu i załamany siedział po ciemku w salonie. Przez te wszystkie lata swojej znajomości z Pendergastem nigdy dotąd nie widział agenta tak przybitego... A jednak fakty nie tłumaczyły tego głębokiego załamania.

– Helen też szukała tego obrazu – rzekł D'Agosta trochę zbyt dobitnie, niż zamierzał. – Jak długo ty go szukałeś? Kilka dni? Ona nie poddała się przez wiele lat.

Pendergast nie odpowiedział.

– W porządku, spróbujmy czegoś innego. Zamiast szukać obrazu, pójdźmy tropem twojej żony. Mam na myśli jej ostatni wyjazd, kiedy nie było jej dwa, trzy dni. Może to ma coś wspólnego z Czarnym Obrazem.

– Nawet jeśli masz rację – rzekł Pendergast – mówimy o wyjeździe sprzed dwunastu lat.

– Zawsze możemy spróbować – odparł D'Agosta. – A potem możemy odwiedzić pana Johna W. Blasta, emerytowanego

handlarza dzieł sztuki w Sarasocie.

W oczach Pendergasta pojawiły się wątle iskierki zaciekawienia.

D'Agosta poklepał się po kieszeni marynarki.

– Zgadza się. To ten drugi facet, który poszukiwał Czarnego Obrazu. Mylisz się, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę.

– W ciągu tych trzech dni mogła być praktycznie wszędzie – mruknął Pendergast.

– Co jest z tobą? Tak po prostu się poddajesz? – D'Agosta spojrzał na Pendergasta. Następnie odwrócił się i wyjrzał na korytarz. – Maurice! Ej, Maurice!

Gdzie się podziewał ten totumfacki, kiedy był potrzebny?

Przez chwilę cisza. Wreszcie rozległy się ciche odgłosy dochodzące z odległej części rezydencji. Mniej więcej po minucie od strony drugich schodów jego uszu dobiegły kroki i zza załomu korytarza wyłonił się Maurice.

– Słucham pana? – wyszeptał, podchodząc z rozszerzonymi mocno oczyma.

– Ten wyjazd Helen, o którym wspominałeś wczoraj wieczorem. No wiesz, tak ni stąd, ni zowąd wyjechała na dwa dni?

– Tak. – Maurice pokiwał głową.

– Czy mógłbyś nam powiedzieć coś więcej na ten temat? Jakies rachunki za benzynę, za hotel?

Maurice zamyślił się przez chwilę, po czym odparł:

– Niestety nie, sir.

– Nic nie mówiła po powrocie? Nic, ani słowa?

Maurice pokręcił głową.

– Przykro mi, sir.

Pendergast siedział w bezruchu w swoim fotelu. W salonie zapadła głucha cisza.

– Choć kiedy teraz o tym myślę, chyba jest coś... – powiedział Maurice. – Nie wiem jednak, czy to panom się na coś przyda.

D'Agosta poderwał się z miejsca.

– Co takiego?

– Cóż... – Stary sługa zawahał się, a D'Agosta miał ochotę złapać go za klapy i mocno nim potrząsnąć. – Tak jakoś... właśnie sobie przypomniałem, że do mnie zadzwoniła, sir. Tego pierwszego dnia, z samego rana, z drogi.

Pendergast podniósł się powoli.

– Mów dalej, Maurice – rzekł półgłosem.

– Dochodziła dziewiąta. Piłem właśnie kawę w pokoju porannym.

Zadzwonił telefon – to była pani Pendergast. Zostawiła swoją kartę ubezpieczenia samochodu w gabinecie. Złapała gumę i potrzebowała numeru karty członkowskiej. – Maurice popatrzył na Pendergasta. – Pamięta pan, sir, że ona nie знаła się na samochodach.

– To wszystko?

Maurice pokiwał głową.

– Odnalazłem jej kartę i podałem numer przez telefon. Podziękowała, sir.

– Coś jeszcze? – naciskał D'Agosta. – Jakież odgłosy w tle? Może jakaś rozmowa?

– To było tak dawno, proszę pana. – Maurice zastanawiał się usilnie. – Myślę, że w tle były odgłosy ruchu ulicznego. Klakson. Musiała dzwonić z budki.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. D'Agosta poczuł, że jego ekscytacja pryska.

– A jej głos? – spytał Pendergast. – Wydawała się spięta albo zdenerwowana?

– Nie, sir. Prawdę mówiąc, przypominam sobie, że stwierdziła, iż miała szczęście, że złapała gumę właśnie w tym miejscu.

– Szczęście? – powtórzył Pendergast. – Jak to?

– Bo czekając, mogła zjeść kogel-mogel.

Chwila ciszy i całkowitego bezruchu. Zaraz potem Pendergast zerwał się do działania. Bez słowa minął D'Agostę i Maurice'a, po czym wypadł z pokoju i zbiegł po schodach.

D'Agosta pospieszył za nim. Główny hol był pusty, ale słyszał

odgłosy dochodzące z biblioteki. Gdy tam wszedł, zobaczył agenta gorączkowo szukającego czegoś na półkach i wyrzucającego książki na podłogę. Wziął do ręki jakiś wolumin, podszedł z nim do pobliskiego stołu, jednym zamaszystym ruchem ręki strącił wszystko, co leżało na blacie, na podłogę i zaczął przerzucać strony. D'Agosta zauważył, że był to atlas drogowy Luizjany. W dłoni Pendergasta pojawiła się linijka i ołówek, kiedy agent pochylony nad atlasem odmierzał odległości i wykreślał je ołówkiem.

– To tu – wyszeptał pod nosem, uderzając palcem w stronicę, a następnie bez słowa wybiegł z biblioteki.

D'Agosta pospieszył za agentem przez jadalnię, kuchnię, spiżarnię, przechovalnię naczyń stołowych i drugą kuchnię do tylnych drzwi rezydencji. Pendergast zbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, i przebiegł przez rozległy ogród do pomalowanej na biało stajni przerobionej na garaż dla sześciu aut. Otworzył drzwi na oścież i zniknął w ciemnościach.

D'Agosta podążył za nim. Rozległe, słabo oświetlone wnętrze cuchnęło sianem i olejem silnikowym. Gdy jego oczy przywykły do półmroku, zdołał dostrzec trzy nakryte brezentem obiekty, które mogły być jedynie samochodami. Pendergast podszedł do jednego z nich i zdarł z niego brezent. Pod plandeką znajdował się czerwony dwuosobowy kabriolet o niskim zawieszeniu i opływowych kształtach. Zalśnił lekko w słabym świetle przerobionej stajni.

– Łał. – D'Agosta aż zagwizdał z podziwu. – Klasyczne porsche. Prawdziwe cacko.

– Porsche pięćset pięćdziesiąt Spyder, rocznik pięćdziesiąty czwarty. Należał do Helen.

Pendergast zwinnie wskoczył do auta i sięgnął pod wycieraczkę po kluczyki. Kiedy D'Agosta otworzył drzwiczki i usadowił się na fotelu pasażera, Pendergast odnalazł kluczyk, włożył do stacyjki i przekręcił. Silnik ożył przy wtórze rozzwierającego ryku.

– Niech cię Bóg błogosławi, Maurice – rzekł Pendergast, przekrzykując ryk silnika. – Naprawdę o niego dbałeś.

Rozgrzewał silnik jeszcze przez kilka sekund, po czym wyjechał ze stajni i dodał gazu. Pojazd wystrzelił jak z procy, a spod kół wyprysnęły fontanny żwiru. D'Agosta poczuł, że przeciążenie wciska go w fotel jak astronautę podczas startu. Gdy porsche wyjeżdżało z podjazdu, D'Agosta zauważył stojącego na stopniach rezydencji ubranego na czarno Maurice'a odprowadzającego ich wzrokiem.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

Pendergast spojrział na niego. Nie wyglądał już na przybitego, w jego oczach pojawiły się lodowate błyski; znów był w akcji. Ogarnęła go gorączka polowania.

– Dzięki tobie, Vincencie, zdołaliśmy zlokalizować stóg – odparł.
– Przekonajmy się teraz, czy uda nam się znaleźć w nim igłę.

23

Sportowy samochód mknął sennymi drogami prowincjonalnej Luizjany. Mangrowe bagna, zalewiska, majestatyczne plantacje i trzęsawiska tworzyły po obu stronach pędzącego auta rozmazaną plamę. Od czasu do czasu zwalniali na moment, przejeżdżając przez kolejne miasteczko, a głośny sportowy samochód zwracał uwagę ciekawskich. Pendergast nie pokwapił się, by podnieść dach kabrioletu, więc łysinkę na czubku głowy D'Agosty omiatały coraz silniejsze podmuchy wiatru. Niskie zawieszenie auta sprawiało, że policjant czuł się odsłonięty i bezbronny. Zastanawiał się, dlaczego Pendergast wybrał ten samochód zamiast swojego wygodniejszego rollsa.

– Czy mógłbyś powiedzieć mi, dokąd jedziemy? – zawołał, przekrzykując ryk wiatru.

– Do Picayune, Missisipi.

– Dlaczego tam?

– Bo stamtąd Helen zadzwoniła do Maurice'a.

– Jesteś pewien?

– Na dziewięćdziesiąt pięć procent.

– Skąd wiesz?

Pendergast zredukował biegi, pokonując ostry zakręt szosy.

– Helen zjadła kogel-mogel, czekając na numer swojej karty automobilklubu.

– Tak. I co z tego?

– Kogel-mogel to jankeska słabość, z której nigdy nie zdołałem jej wyleczyć. Rzadko możesz trafić na ten specjał poza Nowym Jorkiem i niektórymi zakątkami Nowej Anglii.

– Mów dalej.

– W okolicy Nowego Orleanu są tylko trzy miejsca, gdzie podają kogel-mogel i gdzie można dojechać samochodem. Helen знаła je wszystkie, odwiedzała je na przemian. Zdarzało mi się jej towarzyszyć. Tak czy owak na podstawie mapy drogowej, pory dnia, dnia tygodnia i wiedząc, że Helen lubiła szybką jazdę, ustaliłem, że z tych trzech miejsc najbardziej prawdopodobne jest właśnie Picayune.

D'Agosta pokiwał głową. Po tak gruntownych wyjaśnieniach sprawa wydawała się całkiem prosta.

– Dlaczego więc tylko dziewięćdziesiąt pięć procent?

– Całkiem możliwe, że tego ranka zatrzymała się wcześniej z jakiegoś innego powodu. Albo została zatrzymana. Zbierała mandaty na pęczki.

Picayune w Missisipi było miłym miasteczkiem niskich drewnianych domów, rozlokowanych tuż za granicą z Luizjaną. Tablica przy wjeździe określała ją jako „Cenną monetę w sakiewce Południa”, a inna przedstawiała zdjęcia z ubiegłorocznej Parady Róż. D'Agosta rozglądał się z zaciekawieniem, gdy mijali ciche, zasłane liśćmi ulice. Pendergast zwolnił, kiedy wjechali do dzielnicy handlowej.

– Sporo się tu pozmieniało – stwierdził, popatrując na prawo i lewo. – Kafejka internetowa musiała powstać niedawno. Podobnie jak kreolska restauracja. Ale ten mały lokalik oferujący langustę z wody kojarzę.

– Bywałeś tu z Helen?

– Nie z Helen. Przejeżdżałem przez to miasteczko kilka razy w późniejszych latach. Niedaleko stąd jest ośrodek treningowy FBI. Ach, to musi być tu.

Pendergast skręcił w spokojną uliczkę i zatrzymał samochód przy chodniku. Ulica była willowa z wyjątkiem najbliższego parterowego budynku z gazobetonu stojącego nieco w głębi, otoczonego parkingiem wylanym popękany nierównym asfaltem. Przekrzywiony szyld od frontu reklamował jadłodajnię Jake's Yankee Chowhouse, ale tablica była wyblakła, obłaziła z farby i restauracja musiała być nieczynna już od wielu lat. Jednak w oknach wisiały zasłony, a na ścianie talerz anteny satelitarnej. Z całą pewnością w budynku ktoś mieszkał.

– Przekonajmy się, czy uda nam się coś zdziałać w prosty sposób
– mruknął Pendergast.

Wydał wargi, lustrując przez chwilę ulicę. Zaraz potem zaczął zwiększać obroty silnika, naciskając prawą stopą na pedał gazu. Wielki silnik ożył i przybierał na sile z każdym kolejnym przydepnięciem pedału gazu, spod auta wylatywały liście, aż w końcu cała konstrukcja pojazdu zaczęła wibrować gwałtownie jak pasażerski odrzutowiec.

– Boże! – zawołał D'Agosta, przekrzykując hałas. – Chcesz pobudzić umarłych?

Pendergast kontynuował tę czynność jeszcze przez jakieś piętnaście sekund, aż w oknach i drzwiach domów wzdłuż całej ulicy pojawili się zaniepokojeni mieszkańcy.

– Nie – odparł, zmniejszając nacisk stopy i pozwalając, by silnik znów pracował na jałowym biegu. – Wierzę, że wystarczą nam żywi. – Pospiesznie zlustrował twarze ludzi gapiących się na niego. – Za młody – podsumował jednego, kręcąc głową. – A tamten nieszczęśnik jest z pewnością za głupi...

O, to może być coś. Chodź, Vincencie.

Pendergast wysiadł z samochodu i podszedł do trzeciego domu po lewej, gdzie mężczyzna około sześćdziesiątki, w pożółkłym podkoszulku, stał na schodach i wpatrywał się w nich, marszcząc brwi. W jednej pulchnej ręce trzymał pilota od telewizora, a w drugiej piwo.

D'Agosta nagle zrozumiał, dlaczego agent wybrał porsche żony na tę przejażdżkę.

– Przepraszam – powiedział Pendergast, podchodząc do domu. – Zastanawiam się, czy przypadkiem nie rozpoznaje pan auta, którym tu...

– Spadaj, frajerze – warknął mężczyzna i wrócił do domu, zatraskując drzwi z hukiem.

D'Agosta poprawił spodnie i oblizał wargi.

– Chcesz, żebym poszedł i przyprowadził tu tego tłuściocha?

Pendergast pokręcił głową.

– To nie będzie konieczne, Vincencie.

Odwrócił się i spojrzał na restaurację. Z kuchni wyszła stara kobieta w kwiecistym szlafroku i stanęła na ganku, po którego obu stronach widniały różowe flamingi. W jednej ręce trzymała czasopismo, a w drugiej cygaretkę i przyglądała się im przez staroświeckie okulary.

– Może udało nam się wypłoszyć ptaszka, o którego nam chodziło – dodał Pendergast.

Wrócili na stary parking i podeszli do kuchennych drzwi dawnej restauracji. Kobieta patrzyła na nich bez słowa, wyraz jej twarzy nie zmienił się.

– Dzień dobry pani – rzekł Pendergast z lekkim skinieniem głowy.

– Dzień dobry – odparła kobieta.

– Czy jest pani może właścicielką tego zacnego lokalu?

– Może – odrzekła, zaciągając się dymem z cygaretki.

D'Agosta zauważył, że cygaretką tkwiła w białej plastikowej cygarniczce.

Pendergast wskazał na porsche.

– Czy rozpoznaje pani może ten samochód?

Odwróciła wzrok i zerknęła na auto przez brudne szkła okularów. Zaraz potem znów spojrzała na agenta.

– Może – powtórzyła.

Zapadła cisza. D'Agosta usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi i okien.

– Och, cóż za przeoczenie z mojej strony – rzucił nagle Pendergast. – Jak mogłem zabierać pani cenny czas bez odpowiedniej rekompensaty z mojej strony.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jego ręce pojawił się dwudziestodolarowy banknot. Podał go kobiecie. Ku zaskoczeniu D'Agosty wyłuskała banknot spomiędzy palców agenta i włożyła za pomarszczony, ale wciąż jeszcze obfity dekolt.

– Widziałam ten wóz trzy razy – powiedziała kobieta. – Mój syn miał bzika na punkcie zagranicznych sportowych wozów. Pracował przy saturatorze. Zginął w wypadku samochodowym na obrzeżach miasteczka kilka lat temu. Kiedy pierwszy raz zobaczył to auto, niemal oszalał. Chciał, żeby wszyscy rzucili to, czym się akurat zajmowali, i poszli je zobaczyć.

– Pamięta pani kierowcę?

– To była młoda kobieta. Ładniutka.

– Nie pamięta pani zapewne, co zamówiła? – spytał Pendergast.

– Trudno byłoby zapomnieć. Kogel-mogel. Powiedziała, że przyjechała tu aż z Nowego Orleanu. Pomyśleć tylko, taki szmat drogi po zwykły kogel-mogel.

Znów chwila ciszy, ale tym razem krótsza.

– Wspomniała pani, że widziała ten samochód trzykrotnie – ciągnął Pendergast. – Kiedy było to po raz ostatni?

Kobieta zaciągnęła się dymem i zamyśliła przez chwilę.

– Ta kobieta przyszła pieszo. Złapała gumę.

– Winszuję świetnej pamięci, szanowna pani.

– Jak już wspomniałam, takiego auta i takiej kobiety nie sposób zapomnieć. Mój Henry zrobił jej kogel-mogel za darmo. Ona wróciła i pozwoliła mu usiąść za kółkiem, ale nie dała mu poprowadzić. Powiedziała, że się spieszy.

– Ach tak. Wybierała się gdzieś?

– Powiedziała, że krąży w kółko, bo nie może znaleźć zjazdu do

Kaledonii.

– Do Kaledonii? Nie znam tego miasteczka.

– To nie miasteczko, mówię o Parku Narodowym Kaledonia. To wina dróg, nie były wtedy oznakowane tak dobrze jak teraz.

Jeżeli Pendergast był coraz bardziej podekscytowany, nie okazywał tego po sobie. D’Agoście ruchy agenta FBI, który właśnie przypalił kobiecie następną cygaretkę, wydawały się leniwe, wręcz ospałe.

– Czy to tam się wybierała? – spytał, chowając zapalniczkę do kieszeni. – Do parku narodowego?

Kobieta wyjęła cygaretkę z ust, przez chwilę poruszała ustami, po czym ponownie włożyła cygaretkę do ust, jakby musiała dokręcić w ten sposób obluzowaną śrubkę.

– Nie.

– Czy mogę zatem zapytać, dokąd jechała?

Kobieta udawała, że się zastanawia.

– Niech no pomyślę... to było tak dawno temu... – Wyśmienita pamięć najwyraźniej zaczynała szwankować.

Pojawiła się kolejna dwudziestka i równie szybko podążyła w ślady pierwszej.

– Do Sunflower w Luizjanie. Niecałe cztery kilometry od granicy.

Proszę skorzystać ze zjazdu w Bogalusie tuż przed zalewiskiem – poradziła i wskazała ręką kierunek.

– Bardzo pani dziękuję.

Pendergast odwrócił się do D’Agosty.

– Nie traćmy czasu, Vincencie.

Gdy wracali do samochodu, kobieta zawołała jeszcze:

– Kiedy minie pan wejście do starej kopalni, proszę skręcić w prawo!

Sunflower, Luizjana

– Wiesz już, na co masz ochotę, złotko? – spytała kelnerka.

D’Agosta upuścił kartę dań na stolik.

– Na zębacza.

– Z patelni, z grilla, na chrupko czy z wody?

– Chyba z wody.

– Doskonały wybór.

Zapisała zamówienie na bloczku i odwróciła się.

– A dla pana?

– Poproszę gulasz na korze sosnowej – odparł Pendergast. – Ale bez kukurydzianych ciasteczek.

– Się robi.

Zapisała kolejne zamówienie, po czym obróciła się miękko na bezgłośnych podszwach miękkich białych tenisówek.

D’Agosta patrzył, jak idzie w stronę kuchni. Westchnął i upił łyk piwa. To było długie, ciężkie popołudnie. Sunflower w Luizjanie liczyło około trzech tysięcy mieszkańców, było ograniczone z jednej strony lasem zimozielonych dębów, z drugiej zaś rozległymi cyprysowymi moczarami o nazwie Czarne Bagna. Miasteczko było niezbyt atrakcyjne: małe skromne domki z drewnianymi płotami, popękane chodniki domagające się remontu, psy myśliwskie drzemiące na werandach. Zapuszczona, zaniedbana, zapomniana

przez resztę świata mieścina ciężko pracujących ludzi, doświadczonych przez los.

Pendergast i D'Agosta zameldowali się w jedynym hotelu, po czym każdy z nich poszedł w swoją stronę, usiłując odkryć, dlaczego Helen Pendergast wybrała się na trzydniową pielgrzymkę na takie zadupie.

Gdy minęli granicę Sunflower, prześladowający ich ostatnio pech powrócił. D'Agosta spędził pięć bezowocnych godzin, wpatrując się w tępe, ponure twarze i brnąc z jednej ślepej uliczki w drugą. Nie było tu handlarzy dzieł sztuki, muzeów, prywatnych kolekcji ani towarzystw historycznych. Nikt nie przypominał sobie Helen Pendergast; zdjęcie, które pokazywał, nie wywoływało żadnej reakcji. Samochód też nikomu się nie przypominał. Jak wykazało ich śledztwo, John James Audubon nigdy nie był w tym zakątku Luizjany.

Kiedy D'Agosta spotkał się wreszcie z Pendergastem na kolacji w małej hotelowej restauracji, czuł się niemal równie przybity jak agent FBI tego ranka. Jakby odzwierciedlając jego nastrój, na pogodnym dotąd niebie pojawiły się zwiastujące burzę czarne chmury.

– Nic – odparł na pytanie Pendergasta i opowiedział mu o swoim bezowocnym porannym śledztwie. – Może tej staruszce coś się pomyliło. Albo chciała nas naciągnąć na kolejnego dwudziestaka. A jak tobie poszło?

Podano posiłek, kelnerka z uśmiechem i radosnym „Smacznego!” postawiła przed nimi talerze. Pendergast w milczeniu wlepił wzrok w swoje danie i nabrał odrobinę gulaszu na łyżkę, przyglądając się badawczo jego zawartości.

– Czy mogę podać panu jeszcze jedno piwo? – spytała kelnerka, uśmiechając się do D'Agosty.

– Czemu nie?

– Wodę mineralną? – zwróciła się do Pendergasta.

– Nie, dziękuję. To mi wystarczy.

Kelnerka znów się oddaliła.

D'Agosta wrócił do przerwanej rozmowy.

– I co? Dopisało ci szczęście?

– Chwileczkę. – Pendergast wyjął komórkę i wybrał numer. – Maurice? Zostajemy na noc w Sunflower. Tak, zgadza się. Dobrej nocy. – Schował telefon. – Obawiam się, że moje osiągnięcia nie są lepsze od twoich.

Jednakże słowom o rzekomym rozczarowaniu przeczył błysk w jego oku i cień uśmiechu w kącikach ust.

– Dlaczego ci nie wierzę? – zapytał w końcu D'Agosta.

– Obserwuj, bardzo proszę, drobny eksperyment, jakiemu zamierzam poddać naszą kelnerkę.

Kobieta wróciła z piwem i świeżą serwetką. Gdy postawiła kufel przed D'Agostą, Pendergast słodkim tonem powiedział:

– Moja droga, zastanawiam się, czy mógłbym cię o coś zapytać.

Odwróciła się do niego z promiennym uśmiechem.

– Śmiało, kochany.

Pendergast teatralnym gestem wyjął notes z kieszeni marynarki.

– Jestem reporterem z Nowego Orleanu i prowadzę badania dotyczące rodziny, która tu mieszkała.

Otworzył notes i spojrzał wyczekująco na kelnerkę.

– Jasne, o którą rodzinę chodzi?

– Doane'ów.

Gdyby Pendergast powiedział, że to napad, reakcja nie mogłaby być bardziej dramatyczna. Oblicze kobiety w jednej chwili spochmurniało, stało się puste i bez wyrazu, radosne iskiereki w oczach zgasły. Zniknęła też promienna radość.

– Nic o nich nie wiem – mruknęła. – Nie mogę panu pomóc.

Odwróciła się i wyszła do kuchni. Pendergast na powrót wsunął notes do kieszeni i odwrócił się do D'Agosty.

– I co myślisz o moim małym eksperymencie?

– Skąd, u licha, wiedziałeś, że tak zareaguje? Ewidentnie coś ukrywa.

– I właśnie o to mi chodziło, mój drogi Vincencie. – Pendergast napił się wody mineralnej. – Nie wybrałem konkretnie jej. Wszyscy w mieście reagują w ten sam sposób. Nie zauważyłeś podczas swoich poszukiwań przez całe popołudnie, że tutejsi mieszkańcy są wyjątkowo zdystansowani, nieufni i podejrzliwi?

D’Agosta zamyślił się przez chwilę. To prawda, że ludzie nie okazali się szczególnie pomocni, ale kładł to na karb małomiasteczkowej zadzierzystości; miejscowi patrzyli podejrzliwym wzrokiem na jankesów przyjeżdżających i zadających mnóstwo pytań.

– Podczas moich rozmów – ciągnął Pendergast – natknąłem się na podejrzenie wysoki poziom zaprzeczeń i niejasności. A kiedy usiłowałem wydobyć od pewnego starszego dżentelmena jakieś informacje, z ożywieniem poinformował mnie, że wbrew temu, co mogłem słyszeć, opowieści o Doane’ach to czyste bujdy. Naturalnie zacząłem pytać o rodzinę Doane’ów. I właśnie wtedy zacząłem napotykać reakcję, którą miałaś przed chwilą okazję zaobserwować.

– No i?

– Udałem się do biura miejscowej gazety, gdzie poprosiłem o możliwość przejrzania archiwalnych numerów z czasów, kiedy Helen odwiedziła to miejsce. Nie chcieli mi pomóc, więc skorzystałem z tego – Pendergast wyjął odznakę – aby ich przekonać. Okazało się, że w latach poprzedzających wizytę Helen, z pewnych gazet wycięto niektóre strony. Zapisałem numery tych dzienników, a następnie udałem się do biblioteki w Kemp, ostatnim miasteczku przed Sunflower. W ich egzemplarzach gazet nie brakowało żadnych stronic. I właśnie z nich dowiedziałem się o tej sprawie.

– O jakiej sprawie? – spytał D’Agosta.

– O dziwnym przypadku rodziny Doane’ów. Pan Doane był niezależnym pisarzem i sprowadził swoją rodzinę do Sunflower, by tu, z dala od trawionej zepsuciem cywilizacji, napisać wielką amerykańską powieść. Kupili jeden z największych i najlepszych

domów w miasteczku, zbudowany przez drobnego potentata w handlu drewnem w latach, zanim zamknięto miejscowy hotelik. Doane miał dwoje dzieci. Syn ukończył z wyróżnieniem liceum w Sunflower i wygląda na to, że był to naprawdę bystry chłopak. Córka była utalentowaną poetką, której utwory publikowano od czasu do czasu w miejscowych gazetach. Przeczytałem kilka z nich i muszę przyznać, że są naprawdę dobre. Pani Doane zyskała sławę utalentowanej pejzażystki. Miasteczko szczyliło się nowo pozyskaną zdolną rodziną, której członkowie często gościli na łamach gazet jako zdobywcy różnych nagród, filantropi przekazujący dary na fundusze, przecinający różne wstęgi i tym podobne.

– Pejzażystka – powtórzył D’Agosta. – Czy malowała też ptaki?

– Nie udało mi się tego ustalić. Rodzina ta nie była szczególnie zainteresowana Audubonem ani naukami przyrodniczymi. I nagle, kilka miesięcy po wizycie Helen, strumień pochlebnych artykułów ustał.

– Może rodzinę znudziło to ciągłe zainteresowanie.

– Nie sądzę. Był jeszcze jeden artykuł o rodzinie Doane’ów. Ostatni. Pół roku później. Napisano w nim, że William, syn Doane’ów, został schwytany przez policję po zmasowanej obławie na terenie parku narodowego, a obecnie przebywa w celi w areszcie hrabstwa, oskarżony o podwójne zabójstwo przy użyciu siekiery.

– Ten błyskotliwy uczeń? – spytał z niedowierzaniem D’Agosta.

Pendergast pokiwał głową.

– Kiedy o tym przeczytałem, zacząłem wypytywać mieszkańców Kemp o rodzinę Doane’ów. Miejscowi nie byli tak zachowawczy i małomówni jak mieszkańcy Sunflower. Dzielili się ze mną całą masą plotek i insynuacji. Mówili o zabójczych szaleńcach, którzy wychodzili z domu jedynie nocą. O obłądzie i przemocy. O prześladowaniach i zagrożeniu. Trudno było oddzielić fakty od fikcji, lokalne plotki od prawdy. Absolutnie pewien mogę być jedynie tego, że oni wszyscy nie żyją, a ich śmierć była wyjątkowo

okrutna i gwałtowna.

– Wszyscy?

– Matka popełniła samobójstwo. Syn zmarł w celi śmierci, oczekując na egzekucję za zabójstwa popełnione z użyciem siekiery, o których już wspominałem. Córka zmarła w zakładzie dla obłąkanych po tym, jak przez dwa tygodnie obywatela się bez snu. Jako ostatni zginął ojciec, zastrzelony przez szeryfa z Sunflower.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że paradował po mieście, napastując młode kobiety i grożąc mieszkańcom. Raporty mówią o aktach wandalizmu, zniszczeniach i zaginionych dzieciach. Ludzie, z którymi rozmawiałem, sugerowali, że była to raczej egzekucja niż usankcjonowane użycie broni, rzecz jasna za cichym przyzwoleniem ojców miasta. Szeryf i jego zastępcy zastrzelili pana Doane'a w jego domu podczas próby aresztowania. Nie przeprowadzono śledztwa w tej sprawie.

– Jezu – mruknął D'Agosta. – To by wyjaśniało reakcję kelnerki. Jak również ogólną wrogość mieszkańców.

– Właśnie.

– Jak sądzisz, co się stało z tymi ludźmi? Coś było w wodzie?

– Nie mam pojęcia. Ale powiem ci jedno: jestem przekonany, że to właśnie oni byli obiektem wizyty Helen.

– To dość ryzykowna teoria.

Pendergast pokiwał głową.

– Zastanów się tylko: ci ludzie stanowią jedyny unikatowy element w tym, skądinąd dość prząsnym, miasteczku. Nie ma tu nic naprawdę ciekawego poza nimi. W jakiś sposób to właśnie ci ludzie są ogniwem łączącym, którego szukaliśmy.

Kelnerka podeszła do ich stolika, pozbierała talerze i oddaliła się, zanim D'Agosta zdążył poprosić o kawę.

– Zastanawiam się, czego potrzeba, żeby dostać tu kawę – rzekł D'Agosta, usiłując zwrócić jej uwagę.

– Szczerze mówiąc, Vincencie, wątpię, abyś mógł liczyć tu na

kawę czy cokolwiek innego, jeżeli chodzi o ścisłość.

D'Agosta westchnął.

– To kto teraz mieszka w tym domu?

– Nikt. Od czasu zabicia pana Doane'a dom stoi pusty i zamknięty na głucho.

– Pójdziemy tam – rzekł D'Agosta i zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Oczywiście.

– Kiedy?

Pendergast uniósł palec, aby zwrócić uwagę kelnerki.

– Kiedy tylko nasza powściągliwa, ale jakże wymowna pani kelnerka zechce przynieść rachunek.

25

Kelnerka nie pojawiła się z rachunkiem. Zamiast niej podszedł do nich kierownik hotelu. Położył rachunek na stoliku, po czym bez słowa wytłumaczenia poinformował, że jednak nie będą mogli spędzić tu nocy.

– Jak to? – rzucił D’Agosta. – Wynajęliśmy pokój, spisał pan numery naszych kart kredytowych.

– Spodziewamy się dużej grupy gości – odrzekł mężczyzna. – Mieliśmy dla nich zarezerwowane pokoje, lecz przez przeoczenie zapomnieliśmy o tym poinformować pracownika recepcji, a jak sami panowie widzą, to nieduży hotel.

– Cóż, mają pecha – uciał D’Agosta. – My przyjechaliśmy tu pierwsi. I już jesteśmy na miejscu.

– Jeszcze się panowie nie rozpakowali – zauważył kierownik. – Panów bagaż też nie został jeszcze zaniesiony do pokoi. Podarłem już kartkę z numerami kart kredytowych. Bardzo mi przykro.

Jednak ton jego głosu świadczył o tym, że bynajmniej nie było mu przykro, i D’Agosta już miał udzielić ostrej odpowiedzi, kiedy Pendergast powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Dobrze – powiedział agent, wyjmując portfel i uiszczając rachunek gotówką.

– Wobec tego życzę miłego wieczoru.

Kierownik oddalił się, a D’Agosta spojrzał na Pendergasta.

– Pozwolisz, żeby ten buc tak nas spławił? To jasne, że wykopał

nas stąd z powodu zadawanych przez ciebie pytań i tej starej historii, którą wydobyliśmy na światło dzienne.

Pendergast wskazał ruchem głowy za okno. Spoglądając przez szybę, D'Agosta zobaczył kierownika hotelu przechodzącego przez ulicę. D'Agosta patrzył, jak mężczyzna minął kilka sklepów, zamkniętych, bo pora była już późna, a następnie wszedł do biura szeryfa.

– Co to, u licha, za miasteczko? – rzucił D'Agosta. – Ani się obejrzysz, jak zlecą się tu wieśniacy z widłami.

– To nie miasteczko nas interesuje – powiedział Pendergast. – Nie ma sensu komplikować sytuacji. Proponuję, żebyśmy natychmiast opuścili to miejsce, zanim szeryf znajdzie jakiś pretekst, aby nas przepędzić.

Wyszli z restauracji i udali się na parking przy hotelu. Zanosiło się na burzę, wiatr kołysał koronami drzew, z oddali dobiegł grzmot. Pendergast postawił dach porsche, kiedy D'Agosta wsiadł do samochodu. Agent zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik i wprowadził samochód w wąską ulicę, a następnie przejechał przez miasteczko bocznymi drogami, unikając głównych ulic.

Dom Doane'ów znajdował się trzy i pół kilometra za miastem; prowadził do niego niewybrukowany podjazd, niegdyś dobrze utrzymany, ale teraz zaniedbany i zarośnięty chwastami. Agent jechał ostrożnie, aby nie uszkodzić podwozia na pylistej drodze. Po obu stronach ciągnął się gęsty szpaler drzew, ich gołe korony jak palce szkieletów unosiły się ku nocnemu niebu. D'Agosta, podskakując na siedzeniu tak, że aż dzwoniły mu zęby, uznał, iż nawet zambijski land rover byłby odpowiedniejszy w tak trudnych warunkach.

Pendergast pokonał ostatni zakręt i blask reflektorów rozświetlił dom oraz spowite groźnymi chmurami niebo powyżej. D'Agosta patrzył ze zdziwieniem. Spodziewał się dużej, wytwornej budowli, równie fantazyjnej, jak reszta miasteczka wydawała się pospolita. To, co zobaczył, było duże, ale na pewno nie wytworne.

Przypominało raczej fort z czasów Zakupu Luizjany. Wzniesiony z wielkich nieociosanych belek, miał na każdym z narożników wysokie wieżyczki i długą przysadzistą fasadę centralną z niezliczoną liczbą małych okienek. Na szczycie tej fasady wznosił się osobiście anachroniczny wdowi balkonik otoczony balustradą z kutego żelaza. Budowla stała samotnie na niewielkim wzniesieniu. Nieco dalej na wschodzie rozciągał się gęsty ciemny las prowadzący aż do Czarnych Bagien. Gdy D'Agosta patrzył na budowlę, błyskawica uderzyła w oddali w las, spowijając budynek upiornym żółtawym blaskiem.

– Zupełnie jakby ktoś próbował skrzyżować zamek z chatą z bali.

– Bądź co bądź pierwotnym właścicielem był potentat w handlu drewnem. – Pendergast wskazał ruchem głowy na wdowi balkonik. – Bez wątpienia to stamtąd napawał się widokiem swoich włości. Czytałem, że był właścicielem dwudziestu czterech tysięcy hektarów ziemi, w tym znacznej części cyprysowego gaju na Czarnych Bagnach, zanim rząd wykupił te tereny, by założyć na nich park narodowy i rezerwat przyrody.

Agent podjechał pod dom i zatrzymał samochód. Zerknął przez moment w lusterko wsteczne, zanim wycofał i wyłączył silnik.

– Spodziewasz się towarzystwa? – spytał D'Agosta.

– Nie ma sensu zwracać na siebie uwagi.

Zaczęło padać i wielkie krople zabębniły o przednią szybę i materiałowy dach. Pendergast wysiadł, a D'Agosta zaraz zrobił to samo. Schronili się na tylnym ganku. D'Agosta dość niepewnym wzrokiem lustrował zapuszczoną budowlę. Taka ekscentryczna rezydencja mogła zafascynować powieściopisarza. Każde małe okienko było zabezpieczone zamkniętymi okiennicami, a na drzwiach wisiała kłódka z przeplecionym na niej łańcuchem. Wokół domu rozpleniły się chwasty, łągodząc nieco kanciaste linie budowli, podczas gdy na niektórych belkach pojawiły się mchy i porosty. Pendergast ostatni raz rozejrzał się wokoło, następnie przeniósł uwagę na kłódkę. Schwycił ją mocno, poruszył w jedną

i drugą stroną, po czym zbliżył drugą rękę zaopatrzoną w niewielkie urządzenie do otworu zamka. Kilka wprawnych ruchów i kłódka puściła z głośnym skrzypnięciem. Pendergast zdjął łańcuch i upuścił na ziemię. Drzwi także były zamknięte na klucz; agent nachylił się nad nimi i tym samym narzędziem sprawnie sforsował zamek. Następnie znów się wyprostował i nacisnął klamkę, otwierając drzwi przy wtórze zgrzytu protestujących zawiasów. Wyjął z kieszeni latarkę i wszedł do środka. D'Agosta dawno temu nauczył się, że kiedy pracuje się z Pendergastem, nie wolno zapominać o dwóch rzeczach: o pistolecie i latarce. Wyjął swoją latarkę i wszedł za agentem do domu.

Znaleźli się w staroświeckiej kuchni. Pośrodku stał drewniany stół śniadaniowy, a kuchenka, lodówka i pralka zostały umieszczone w jednym ciągu pod ścianą. Na tym wszelkie podobieństwa z jakąkolwiek inną kuchnią się kończyły. Szafki były pootwierane, a bibeloty i porcelana niemal całkiem potłuczone wałały się na blatach i podłodze. Tu i ówdzie zalegały resztki żywności: zbóż, ryżu i fasoli, wyschnięte, rozwłócone przez szczury i pokryte pióropuszcami pleśni. Krzesła były przewracane i rozłupane, ściany upstrzone dziurami będącymi dziełem młota kowalskiego lub może pięści. Z sufitu płatami odpadał tynk, wywołując miniaturowe eksplozje białego pyłu na podłodze; w miejscach tych gryzonie zostawiły ślady swoich łap i odchody. D'Agosta omiół pokój promieniem latarki, chłonąc obraz zniszczeń. Światło zatrzymało się w rogu pomieszczenia, gdzie na podłodze widać było wielką plamę czegoś, co mogło być zaschniętą krwią; na ścianie powyżej, na wysokości klatki piersiowej, pozostały wystrzępione dziury od wystrzałów z wielkokalibrowej strzelby, z podobnymi rozbryzgami zakrzepłej krwi i odchodów.

– Domyślam się, że tu dokonał żywota pan Doane – zauważył D'Agosta – z pomocą miejscowego szeryfa. Wygląda na to, że doszło tu do nieliczej rozróby.

– Tak, wydaje się, że właśnie tu doszło do strzelaniny –

wymamrotał Pendergast. – Jakkolwiek nie było żadnej szamotaniny. Te zniszczenia powstały przed śmiercią właściciela domu.

– Co zatem się tu wydarzyło, u licha?

Pendergast jeszcze przez chwilę rozglądał się dokoła, po czym odparł:

– To oznaki postępującego obłędu. – Poświecił na drzwi w przeciwległej ścianie. – Chodźmy dalej, Vincencie.

Przeszli wolno przez pomieszczenia na parterze, przeszukując jadalnię, salon, spiżarnię, gabinet, łazienki i inne pomieszczenia o bliżej nieokreślonym przeznaczeniu. Wszędzie napotykali ten sam chaos: poprzewracane meble, potłuczoną porcelanę, książki podarte na strzępy i rozrzucone po podłodze. W kominku w gabinecie walały się setki drobnych kości. Po uważnych oględzinach Pendergast stwierdził, że były to szczątki wiewiórek, które ugrzęzły w kominie, aż rozkład gnilny spowodował, że spadły na palenisko w kominku. W innym pokoju napotkali ciemny zatłuszczony materac otoczony pozostałością niezliczonych dawnych posiłków: puste puszki po mielonce i sardynkach, opakowania po batonikach, zgniecione puszki po piwie. W jednym rogu pokoju urządzono latrynę, nie próbując jednak jej w żaden sposób ukryć czy zadbać o odpowiednie warunki sanitarne. Na ścianach w pokojach nie było żadnych obrazów, w czarnych ramach ani jakichkolwiek innych. Jedyne zdobienia wykonano na ścianach markerami; te dziwne zawijasy i zygzakowate linie budziły niepokój samym swoim widokiem.

– Jezu – rzucił D'Agosta. – Czego mogła tu szukać Helen?

– To wyjątkowo ciekawe – odparł Pendergast – zwłaszcza biorąc pod uwagę, że kiedy odwiedziła to miejsce, Doane'owie byli chlubą Sunflower. Ich staczanie się w otchłań przestępczego szaleństwa nastąpiło o wiele później.

Na zewnątrz rozbrzmiał groźny grzmot, a przez zabezpieczone okiennicami okna można było dostrzec błysk pioruna. Zeszli do

piwnicy, która – choć mniej zagracona – wykazywała oznaki takiej samej bezrozumnej dewastacji jak pokoje na parterze. Po długich bezowocnych poszukiwaniach weszli na piętro. Tu zniszczenia były nieco mniejsze, lecz niepokojących oznak nie brakowało. W pomieszczeniu będącym najwyraźniej sypialnią syna jedną ścianę zajmowały dyplomy i wyróżnienia za wybitne osiągnięcia w nauce i działalność społeczną; na podstawie daty można było ustalić, że zdobywał je mniej więcej na rok, dwa lata przed wizytą Helen Pendergast. Na przeciwległej ścianie natomiast wisiały strawione przez rozkład czerepy zwierząt – świń, psów i szczurów – przybijane do podłoża w najbardziej prymitywny sposób, bez uprzedniego odsączenia czy oczyszczenia z krwi, ślady zaschniętej posoki widniały na ścianie, spływały ze zmumifikowanych już teraz trofeów na te znajdujące się niżej.

Pokój córki wydawał się jeszcze straszniejszy, gdyż wykazywał całkowity brak osobowości dziewczyny – jedyną godną uwagi rzeczą był stojący na półce rząd identycznych, oprawionych na czerwono woluminów, poza nimi i antologią poezji nie było tu nic więcej.

Powoli przeszli przez kolejne puste pokoje. D'Agosta usiłował odnaleźć sens w bezrozumności tego wszystkiego. Na końcu korytarza natknęli się na zamknięte drzwi. Pendergast wyjął komplet wytrychów, sforsował zamek i spróbował otworzyć drzwi. Nie ustąpiły.

– Zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz – zauważył D'Agosta.

– Przyjrzyj się dobrze, a zobaczysz, że drzwi nie tylko zamknięto na klucz, zostały jeszcze przyśrubowane do framugi. – Pendergast zdjął rękę z klamki. – Wrócimy do tego. Chodźmy najpierw na poddasze.

Poddasze starego domu stanowił labirynt małych pomieszczeń pełnych zatęchłych mebli i starych rupieci. Przejrzeli uważnie pudła i kufry, sprawiając przy tym, że w powietrzu zrobiło się gęsto od kurzu, ale nie znaleźli nic ciekawszego poza zapleśniałymi, starymi ubraniami oraz stertami gazet posortowanych

i powiązanych sznurkiem. Pendergast przejrzał zawartość starej skrzynki z narzędziami, znalazł śrubokręt i włożył do kieszeni.

– Sprawdzimy dwie wieże – powiedział, otrzepując z wyraźnym niesmakiem kurz z marynarki. – A potem zmierzmy się z zamkniętym pokojem.

Wieże były pełnymi przeciągów kolumnami krętych schodów i wnęk magazynowych, w których roilo się od pajaków, szcurzych odchodów i stosów pożółkłych starych książek. Schody w każdej wieży kończyły się w małym pokoiku obserwacyjnym, z oknami jak otwory strzelnicze w zamku, skąd rozciągał się widok na nękany przez burzę las. D’Agosta był coraz bardziej zniecierpliwiony. Najwyraźniej dom nie miał im do zaoferowania nic więcej prócz szaleństwa i zagadek. Dlaczego Helen Pendergast tu przyjechała – o ile w ogóle kiedykolwiek tu była?

Ponieważ nie znaleźli w wieżach nic ciekawego, wrócili do zapieczętowanych drzwi. D’Agosta przyświecił agentowi, a ten wykręcił dwie długie śruby blokujące drzwi. Nacisnął klamkę, pchnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka. D’Agosta podążył za nim – i w nagłym przypiływie zaskoczenia omal nie zatoczył się do tyłu.

To było jak wejście do jajka Fabergé. Pokój nie był duży, ale D’Agoście wydał się niczym klejnot wypełniony lśniącymi skarbami. Okna zabito deskami i przesłonięto płótnem, przez co wewnątrz było niemal hermetycznie zabezpieczone; każda powierzchnia została wypolerowana tak pieczołowicie, że nawet dekada zapomnienia nie zdołała przyćmić tego blasku. Każdy centymetr kwadratowy ścian zajmowały obrazy, a wewnątrz nagromadzono wspaniałe meble i rzeźby, podłogę wyłożono olśniewającymi kobiercami, na czarnych aksamitnych wyściółkach wyłożono błyszczącą biżuterię.

Pośrodku stała otomana obita drogą i świetnie wyprawioną skórą, zdobioną zdumiewającą kaskadą abstrakcyjnych kwiatowych motywów. Gładkie linie ręcznie wykonanego mebla

urzeżały hipnotycznym wręcz pięknem do tego stopnia, że D'Agosta nie mógł oderwać wzroku. Niemniej jednak inne obiekty w tym pomieszczeniu również domagały się jego uwagi. Po jednej stronie fantastyczne rzeźby o wydłużonych głowach wyciosane z egzotycznego drewna stały obok porozsypywanych bezładnie drogich klejnotów, urzekających czarnych pereł oraz przepięknej biżuterii.

D'Agosta przeszedł przez pokój oszołomiony, w kompletnej ciszy, z trudem skupiał uwagę na jednej rzeczy, gdyż rozpraszały go inne cuda. Na jednym stoliku stała kolekcja małych ręcznie robionych ksiąg w eleganckiej skórzanej oprawie ze złoceniami. D'Agosta sięgnął po jedną z nich, przekartkował i okazało się, że wewnątrz znajdowały się wiersze, napisane przepięknym odręcznym pismem, sygnowane i datowane przez Karen Doane. Tkane na krosnach kobierce tworzyły na podłodze kilka warstw, a ich geometryczne wzory były tak kolorowe i uderzające, że aż raziły w oczy. Policjant omiół promieniem latarki ściany, nie mogąc nadziwić się obrazom olejnym, pejzażom tętniącym życiem, leśnym polanom wokół domu, starym cmentarzom, cudownej martwej naturze i jeszcze bardziej fantastycznym pejzażom i sennym wizjom. Podeszedł i przyjrzał się najbliższemu z nich, mrużąc lekko oczy, i w świetle latarki ujrzał, że płótno u dołu na marginesie było podpisane „M. Doane”.

Pendergast stanął obok niego jak cień.

– Melissa Doane – powiedział półgłosem. – Żona pisarza. Wygląda na to, że to jej obrazy.

– Wszystkie?

D'Agosta rozjaśnił ściany pokoju promieniem latarki. Nie było tu obrazu w czarnej ramie ani takiego, który nie byłby sygnowany „M. Doane”.

– Obawiam się, że tu go nie ma.

D'Agosta powoli opuścił latarkę do boku. Uświadomił sobie, że miał przyspieszony oddech, a jego serce biło jak oszalałe. To było dziwne, wręcz dziwaczne.

– Co to za miejsce, do licha? I jakim cudem pozostało nietknięte, nieograbione?

– Miasto dobrze strzeże swoich sekretów.

Srebrzyste oczy Pendergasta strzelały na wszystkie strony, chłonąc poszczególne obrazy; na twarzy agenta malował się wyraz najgłębszego skupienia. Powoli raz jeszcze przespacerował się po pokoju, aż w końcu przystanął obok stolika z ręcznie wykonanymi książkami. Przejrzał je pospiesznie, wertując strony, po czym odłożył na miejsce. Wyszedł z pokoju, a D'Agosta podążył w ślad za nim przez korytarz i dołączył do agenta w pokoju córki Doane'ów, gdy ten przeglądał zawartość oprawionych w identyczną czerwoną skórę woluminów. Wyciągnął szczupłą rękę i wybrał ostatni tomik z półki. Przekartkował; stronicie były puste. Pendergast odłożył go i sięgnął po przedostatni tomik. Był wypełniony od początku do końca poziomymi liniami, najwyraźniej nakreślonymi przy użyciu linijki tak gęsto, że kartki wydawały się prawie czarne.

Pendergast wybrał następną książkę, przewertował ją, napotykać jeszcze więcej gęsto wykreślonych linii; a na samym początku jakieś pogmatwane rysunki z prostych kresek, jakby zrobiło je małe dziecko. Następny tom zawierał pozbawione ładu i składu wpisy sporządzone niewprawną ręką, a i linijki tekstu były nierówne i koślawe.

Agent zaczął czytać na głos wybrany przypadkowo fragment prozy napisanej w formie wiersza.

Nie mogę

Zasnąć nie mogę

Spać. Oni przychodzą, szepczą

Do mnie. Pokazują mi

Różne rzeczy. Nie mogę

Tego wyłączyć. Nie mogę

Tego wyciszyć. Jeżeli znów zasnę

Umrę... Sen = Śmierć

Sen = Śmierć

Śmierć = Nie mogę tego

Wyłączyć

Pendergast przerzucił kilka stron. Pozbawione sensu zdania zajmowały jeszcze parę z nich, by ostatecznie rozdzielić się na niezwiązane ze sobą słowa i nieczytelne gryzmoły. Z jeszcze większym zamyśleniem odłożył tomik i sięgnął po jeden z wcześniejszych, otwierając go mniej więcej w połowie. D'Agosta zobaczył równe linijki starannego, wyraźnego pisma o ewidentnie dziewczęcym charakterze, z kwiecistymi wzorkami i zabawnymi buźkami na marginesach i uśmieszkami zamiast kropek nad i.

Agent przeczytał datę, a porucznik szybko policzył w myślach.

– To było jakieś sześć miesięcy przed wizytą Helen – powiedział.

– Tak. Kiedy Doane'owie wciąż jeszcze byli nowymi mieszkańcami Sunflower.

Pendergast przez chwilę przeglądał wpisy, aż w końcu przeczytał na głos:

Mattie Lee znów wypytywała mnie o Jimmy'ego. Może i jest fajny, ale nie mogę znieść jego gotyckich ciuchów i thrashmetalowej sieczki, której słucha. Używa żelu, zaczesuje włosy do tyłu i pali papierosy, trzymając je w palcach blisko żarzącego się końca. Uważa, że to dodaje mu charyzmy. Ja uważam, że w ten sposób tylko się ośmiesza. Wygląda jak pajac, który myśli, że jest pępkiem świata. Albo nawet gorzej, wygląda jak żaloszny dupek, który sprawia wrażenie pajaca, któremu wydaje się, że jest pępkiem świata.

– Typowa licealistka – rzekł D'Agosta, marszcząc brwi.

– Może nieco zjadliwsza od innych. – Agent przerzucił kilka stron.

Zatrzymał się przy wpisie sporządzonym trzy miesiące później. – Ach! – wykrzyknął z nagłym zaciekawieniem w głosie i zaczął czytać:

Kiedy wróciłam ze szkoły do domu, zobaczyłam Mamę i Tatę w kuchni pochylonych nad czymś, co stało na kontuarze. Zgadnij, co to było? Papuga! Była szara i grubiotka, z krótkim czerwonym ogonem i z szeroką metalową obręczką na nóżce, na obręczce był numer, ale nic poza tym. Ptak był oswojony i potrafił przysiąść na ramieniu. Wciąż na mnie zerkał, przekrzywiając łebek, patrzył mi w oczy, jakby chciał się zorientować, jaka jestem. Tata zajrzał do encyklopedii i stwierdził, że to afrykańska papuga szara. Powiedział, że musiała być u kogoś w domu, bo wydawała się bardzo oswojona. Pojawiła się około południa; przysiadła na drzewku brzoskwiniowym na tyłach naszego domu i skrzecząc głośno, oznajmiła swoją obecność. Poprosiłam Tatę, abyśmy ją zatrzymali. Zgodził się, ale tylko do czasu odnalezienia jej prawowitego właściciela. Uważa, że powinniśmy dać ogłoszenie. Zaproponowałam, żebyśmy zamieścili je w „Timbuctoo Times”, a on stwierdził, że to całkiem zabawne. Mam nadzieję, że nigdy nie znajdzie prawowitego właściciela. Przygotowaliśmy papudze gniazdo w starym pudełku. Jutro Tata pojedzie do sklepu zoologicznego w Slidell, żeby kupić prawdziwą klatkę. Kiedy ptak tak skakał po blacie, natknął się na muffinkę mojej Mamy, po czym zaskrzeczał i zaczął z apetytem pałaszować, więc postanowiłam, że nazwę go Mufinek.

– Papuga – mruknął D’Agosta. – Kto by przypuszczał?

Pendergast zaczął wolniej przewracać strony do końca woluminu. Sięgnął po kolejny i metodycznie zaczął sprawdzać daty wpisów, aż natrafił na jeden szczególny. D’Agosta usłyszał ciche westchnienie agenta.

– Vincencie, tu jest wpis z dziewiątego lutego, z dnia, kiedy odwiedziła ich Helen.

Najgorszy dzień mojego życia!

Po obiedzie zjawiała się jakaś pani, zapukała do naszych drzwi. Przyjechała czerwonym sportowym samochodem i była modnie ubrana od stóp do głów, miała nawet eleganckie skórzane rękawiczki. Powiedziała, że słyszała, że mamy papugę, i chciała ją zobaczyć. Tata pokazał jej Mufinka (w klatce),

a ona spytała, skąd go mamy. Zadawała mnóstwo pytań na temat ptaka, skąd się u nas wziął, jak do nas trafił, czy był oswojony, czy pozwalał się nam dotykać i kto najwięcej się z nim bawił. Tego typu rzeczy. Przez większość czasu patrzyła na ptaka i zadawała kolejne pytania, po czym chciała zobaczyć z bliska obrączkę, ale mój ojciec zapytał najpierw, czy była właścicielką ptaka. Odparła, że tak i że chciała odzyskać papugę. Mój Tata był podejrzliwy. Zapytał ją, jaki numer widnieje na obrączce papugi. Nie potrafiła go podać. Nie była też w stanie w żaden sposób udowodnić, że była właścicielką papugi, opowiedziała nam jednak historyjkę, że pracowała w laboratorium i to właśnie stamtąd uciekła ta papuga. Tata najwyraźniej nie uwierzył w ani jedno jej słowo i stwierdził stanowczo, że jeżeli dostarczy naprawdę przekonujące dowody, chętnie odda jej papugę, ale do tego czasu Mufinek zostanie u nas. Kobieta nie wydawała się szczególnie zaskoczona, a potem spojrzała na mnie ze smutkiem: – Mufinek to twoja papużka? Odparłam, że tak. Zamyśliła się przez chwilę. A potem spytała, czy Tata mógłby polecić jej dobry hotel w miasteczku. Odparł, że jest tylko jeden i że poda jej numer. Poszedł do kuchni po książkę telefoniczną. Ledwie wyszedł, kobieta pochwyciła klatkę z Mufinkiem i wsadziła do czarnego worka na śmieci, który wyjęła z torebki. Wybiegła z domu, wrzuciła worek do auta i odjechała! Mufinek przez cały czas głośno skrzeczał. Wybiegłam z krzykiem na podjazd i po chwili z domu wypadł Tata, wsiedliśmy do samochodu i zaczęliśmy ją gonić, ale ona uciekła. Tata powiadomił szeryfa, ale on nie kwapił się, by wszcząć poszukiwania skradzionej papugi, zwłaszcza że przecież ten ptak mógł należeć do niej. I tak straciłam Mufinka.

Poszłam na górę do swojego pokoju i nie mogłam przestać płakać.

Pendergast zamknął pamiętnik i włożył go do kieszeni marynarki. W tej samej chwili błyskawica rozświetliła czarne drzewa za oknem, a potężny grzmot wstrząsnął całym budynkiem.

– Niewiarygodne – rzekł D’Agosta. – Helen ukradła papugę. Tak jak ukradła te dwie wypchane papugi Audubona. O co jej chodziło, u licha?

Pendergast nie odpowiedział.

– Widziałeś kiedykolwiek tę papugę? Przywiozła ją ze sobą do Penumbry?

Pendergast tylko pokręcił głową przecząco.

– A co z tym laboratorium, o którym mówiła?

– Nie pracowała w laboratorium, Vincencie. Była pracownicą organizacji Lekarze ze Skrzydłami.

– Domyślasz się, dlaczego to zrobiła?

– Po raz pierwszy w życiu muszę stwierdzić, że nie mam zielonego pojęcia.

Błyskawica znów rozcięła niebo, a jej blask rozświetlił oblicze Pendergasta, przepełnione grymasem konsternacji i niepojętego, spotęgowanego szokiem zaskoczenia.

Nowy Jork

Kapitan Laura Hayward z wydziału zabójstw policji nowojorskiej lubiła zostawiać drzwi do swojego gabinetu otwarte na znak, że nie zapomniła o swoich korzeniach, gdy rozpoczęła karierę jako policjantka patrolująca stacje i tunele metra. W wydziale dość szybko awansowała i wiedziała, że jest dobra w tym, co robi, i zasłużyła na promocję. Miała jednak dość nieprzyjemną świadomość, że przyczynił się do tego fakt, iż jest kobietą, a skandale z dyskryminacją płci w minionej dekadzie jeszcze jej w tym dopomogły.

Ale tego ranka, kiedy zjawiała się w pracy o szóstej, z pewnym wahaniem zamknęła drzwi do swojego gabinetu, chociaż w biurze prócz niej nie było nikogo więcej. Śledztwo w sprawie serii zabójstw na Coney Island powiązanych z rosyjską mafią narkotykową było czasochłonne, wymagało mnóstwa spotkań i jeszcze więcej roboty papierkowej – zajmował się tym praktycznie cały wydział. W końcu nadszedł ten czas, kiedy ktoś – w tym wypadku ona – musiał usiąść i przejrzeć wszystkie akta, aby wyselekcjonować przynajmniej jedną osobę i w ten sposób pchnąć ich działania naprzód.

Około południa, z umysłem otepiałym od zagłębiania się w tę pełną przemocy sprawę, wstała od biurka i postanowiła wybrać się na przechadzkę do niewielkiego parku w okolicy One Police Plaza,

by odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Otworzyła drzwi i wyszła z gabinetu, napotykając w korytarzu gromadkę policjantów.

Powitali ją z nieco większą wylewnością niż zwykle, dostrzegła też pełne skrepowania spojrzenia. Przywitała się z kolegami i po chwili spytała:

– No dobra, co jest grane?

Wymowna cisza.

– Nigdy nie spotkałam gorszych aktorów – rzuciła ze swadą. – Nie umiecie udawać. Gdybyście usiedli do pokera, wszyscy byście przerznęli.

Żarcik wypadł dość marnie i po chwili wahania odezwał się sierżant:

– Pani kapitan... chodzi o tego agenta FBI. Pendergasta.

Hayward zamarła. W wydziale zabójstw Pendergast był dobrze znany, wiedziano również o jego związku z D'Agostą, który kilkakrotnie z nim współpracował. Pendergast zawsze zdołał wciągnąć Vincenta w jakieś bagno, a Laura miała coraz silniejsze poczucie, że obecna wyprawa do Luizjany skończy się katastrofą, jak ich wcześniejsze przygody. Kto wie, może już się coś stało... Gdy te myśli przebiegały jej przez głowę, Hayward usilnie starała się zachować pokerową twarz.

– Co narozrabiał agent specjalny Pendergast? – zapytała.

– Cóż, nie chodzi konkretnie o niego – odparł sierżant. – Raczej o jego krewną. Niejaką Constance Greene. Gdy podawała swoje dane, wpisała jako najbliższą osobę właśnie agenta Pendergasta. To jego bratanica czy jakoś tak.

Kolejna pełna napięcia chwila ciszy.

– No i? – rzuciła ze zniecierpliwieniem Hayward.

– Ta Greene była za granicą. Zarezerwowała bilet na rejs statkiem „Queen Mary Two” z Southampton do Nowego Jorku i weszła na pokład z małym dzieckiem.

– Z dzieckiem?

– Zgadza się. Z kilkumiesięcznym niemowlęciem. Urodziła je za granicą. Kiedy statek zawinął do portu, została zatrzymana w trakcie kontroli paszportowej, ponieważ jej dziecko zniknęło. Władze portu skontaktowały się z policją nowojorską i zamknęliśmy ją w areszcie. Została zatrzymana pod zarzutem zabójstwa.

– Zabójstwa?

– Tak. Wygląda na to, że podczas rejsu gdzieś na Atlantyku wyrzuciła dziecko za burtę.

Zatoka Meksykańska

Delta 767 zdawała się zawisnąć na wysokości jedenastu tysięcy metrów, niebo było pogodne i bezchmurne, morze daleko w dole rozciągało się jak okiem sięgnąć w błękitny przestwór skrzący się w promieniach południowego słońca.

– Czy podać jeszcze piwo? – spytała stewardesa, nachylając się usłużnie nad D’Agostą.

– Oczywiście – odparł.

Stewardesa zwróciła się do mężczyzny, który siedział obok D’Agosty:

– A dla pana? Czy wszystko w porządku?

– Nie – odparł Pendergast. Skinął zdawkowo na niewielką tackę z wędzonym łososiem, leżącą na opuszczonym stoliku z fotela lotniczego przed nim. – Ma temperaturę pokojową. Czy zechciałaby pani przynieść mi schłodzoną porcję?

– Oczywiście.

Kobieta wprawnym gestem zabrała tackę. D’Agosta zaczekał, aż stewardesa wróci, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu, prostując nogi. Pierwszą klasą miał okazję latać tylko wtedy, kiedy współpracował z Pendergastem, ale było to coś, do czego mógł przywyknąć.

Z głośnika dobiegł sygnał dźwiękowy i kapitan ogłosił, że samolot

za dwadzieścia minut wyląduje na międzynarodowym lotnisku Bradenton w Sarasocie.

D'Agosta upił łyk piwa. Sunflower w Luizjanie pozostało osiemnaście godzin i setki kilometrów za nimi, ale dziwny dom Doane'ów z tym osobnym jak samotny klejnot pokojem cudów, otoczonym nieopisanym ogromem chaosu i zniszczeń, przez cały czas nie dawał mu spokoju. Pendergast jednak najwyraźniej nie miał ochoty rozmawiać na ten temat, bo pozostawał zamyślony i milczący.

D'Agosta spróbował raz jeszcze.

– Mam pewną teorię.

Agent spojrzał na niego.

– Myślę, że rodzina Doane'ów to zmyłka.

– Doprawdy?

Pendergast nieśmiało skosztował łososia.

– Pomyśl tylko. Ci ludzie oszaleli wiele miesięcy po wizycie Helen. Jak ta wizyta mogłaby mieć cokolwiek wspólnego z tym, co wydarzyło się później? Albo z papugą?

– Być może masz rację – odparł bez przekonania Pendergast. – Niepokoi mnie natomiast ten nagły rozkwit twórczej kreatywności poprzedzającej... sam koniec. I to jeśli chodzi o nich wszystkich.

– Szaleństwo dosięga całych rodzin, to powszechnie znany fakt...

– D'Agosta ugryzł się w język, zanim dokończył tę myśl. – Często zdarza się, że właśnie osoby najbardziej utalentowane są jednocześnie niezrównoważone psychicznie.

– *U nas, poetów, początek zacny radość znamionuje, upadek ducha jednak kres marny zwiastuje.* – Pendergast odwrócił się do D'Agosty. – Uważasz, że kreatywność przywiodła ich do szaleństwa?

– Nie ulega wątpliwości, że właśnie to spotkało córkę Doane'ów.

– Rozumiem. I zgodnie z twoją hipotezą kradzież papugi dokonana przez Helen nie miała nic wspólnego z tym, co później stało się z tą rodziną?

– Mniej więcej. A co ty o tym myślisz?

D’Agosta liczył, że zdoła poznać opinię Pendergasta.

– Myślę, Vincencie, że nie podobają mi się te zbiegi okoliczności.

D’Agosta zawahał się.

– Wiesz, zastanawiałem się nad czymś jeszcze... Czy Helen kiedykolwiek zachowywała się dziwnie lub... podejrzenie?

Oblicze Pendergasta sposepniało.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Po prostu... – D’Agosta znów się zawahał. – Te nagłe podróże do dziwnych miejsc. Tajemnice. Kradzież ptaków, najpierw tych dwóch wypchanych z muzeum, a potem żywej papugi od tej rodziny. Całkiem możliwe, że Helen była w jakimś stresie albo przeżywała jakieś problemy psychiczne. Może była na skraju załamania nerwowego? Wcześniej, w Rockland, doszły mnie plotki, że jej rodzina nie była całkiem normalna...

D’Agosta zamilkł, kiedy temperatura powietrza wokół nich spadła nagle, zdawałoby się, o dobrych dziesięć stopni. Wyraz twarzy Pendergasta nie zmienił się, ale kiedy agent znów się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć wyraźny chłód i dystans.

– Helen Esterhazy mogła sprawiać wrażenie bardzo nietypowej osoby. Ale była również jedną z najbardziej racjonalnych i normalnych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem.

– Nie wątpię. Nie chodziło mi o to, że...

– I z całą pewnością nie należała do osób nieumiejących radzić sobie ze stresem, załamujących się pod naporem jakichś problemów.

– No tak – dorzucił natychmiast D’Agosta. Poruszanie tego tematu było nierozsądne.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy o naszym obecnym zadaniu – rzekł Pendergast, zmieniając temat. – Jest parę rzeczy, które powinieneś o nim wiedzieć. – Wyjął z kieszeni cienką kopertę i wysunął z niej kartkę papieru. – John Woodhouse Blast, lat pięćdziesiąt osiem. Urodzony we Florence, w Karolinie

Południowej. Obecnie zamieszkały w Siesta Key przy Twelve Beach Road czterdzieści jeden. Imał się różnych zajęć – był handlarzem dzieł sztuki, właścicielem galerii, prowadził firmę importowo-eksportową, był grawerem i drukarzem. – Schował kartkę. – Jego grawerunki były dość specyficzne.

– To znaczy?

– Zajmował się grawerowaniem wizerunków martwych prezydentów.

– Był fałszerzem?

– Tajne służby, które prowadziły śledztwo, interesowały się nim bliżej. Niczego mu jednak nie udowodniono. Znajdował się także w kręgu zainteresowań stosownych służb w związku z przemytem kości słoniowej i rogów nosorożca – jedno i drugie jest zakazane i nielegalne, odkąd w osiemdziesiątym dziewiątym roku zaczęła obowiązywać Ustawa o ochronie zagrożonych gatunków. I znów niczego mu nie udowodniono.

– Facet jest śliski jak piskorz.

– Z całą pewnością jest pomysłowy, zdeterminowany i niebezpieczny.

– Pendergast przerwał na moment. – Jest jeszcze jeden istotny aspekt... jego nazwisko: John Woodhouse Blast.

– Tak?

– To bezpośredni potomek Johna Jamesa Audubona poprzez jego syna, Johna Woodhouse'a Audubona.

– Bez kitu.

– John Woodhouse był na swój sposób artystą. Dokończył ostatnie dzieło Audubona *Żyworodne czworonogi Ameryki Północnej* i sam namalował połowę tablic po tym, jak stan zdrowia jego ojca nagle bardzo się pogorszył.

D'Agosta zagwizdał.

– A więc Blast uważa zapewne, że Czarny Obraz jest jego własnością z racji urodzenia, jako spuścizna po ojcu.

– Tak właśnie przypuszczam. Wygląda na to, że poświęcił sporą

część życia na poszukiwaniu obrazu, choć w ostatnich latach najwyraźniej dał sobie z tym spokój.

– Czym zajmuje się teraz?

– Nie zdołałem tego ustalić. Nie afiszuje się ze swoimi poczynaniami.

– Pendergast wyjrzał przez okno. – Musimy być ostrożni, Vincencie. Bardzo ostrożni.

Sarasota, Floryda

Siesta Key była dla D'Agosty objawieniem: wąskie alejki przyozdobione szpalerami palm, szmaragdowe trawniki prowadzące do lśniących jak klejnoty lazurów zatoczek, meandrujące kanały, po których leniwie pływały łodzie wycieczkowe. Sama plaża była rozległa, z piaskiem białym i sypkim jak cukier, jej połąć ciągnęła się na północ i południe, niknąc wśród delikatnej mgiełki. Z jednej strony widać było falujący łagodnie ocean, z drugiej ciąg kondominiów i luksusowych hoteli, pomiędzy którymi rozlokowały się baseny, hacjendy i restauracje. Zapadł zmierzch. D'Agosta patrzył, a miłośnicy kąpiei słonecznych, przeszukiwacze plaż i budowniczości zamków z piasku nagle jakby zamarli niczym na niewidoczny sygnał, żeby spojrzeć ku zachodowi. Leżaki na plaży zostały poprzestawiane, w dłoniach pojawiły się kamery wideo. D'Agosta podążył za spojrzeniami wszystkich. Słońce zachodzące nad Zatoką Meksykańską wyglądało teraz jak półokrąg pomarańczowego ognia. Nigdy wcześniej nie widział zachodu słońca, którego nie przesłaniałyby kontury budynków New Jersey, i to go zdumiało. W jednej chwili słońce jeszcze chyliło się ku zachodowi, opadając łagodnie poza bezkresną linię horyzontu... a w następnej już go nie było i na niebie widać było jeszcze różową poświatę. Oblizwał wargi, chłonąc smak morskiego powietrza.

Nietrudno mu było wyobrazić sobie, że wraz z Laurą przeprowadza się do takiego miejsca, kiedy tylko przepracuje dwadzieścia lat w policji.

Mieszkanie Blasta znajdowało się na najwyższym piętrze luksusowego wieżowca, skąd rozpościerał się widok na plażę. Wjechali windą na górę i Pendergast nacisnął przycisk dzwonka. Po dłuższej chwili rozległ się cichy zgrzyt, gdy klapka wizjera przesunęła się, kolejna krótka pauza poprzedziła szcęk zasuw i otwarcie drzwi. Mężczyzna stojący w drzwiach był niski, drobnej budowy, o gęstych, czarnych, zaczesanych do tyłu włosach.

Pendergast pokazał swoją odznakę służbową, D'Agosta również.

– Pan Blast? – spytał agent.

Mężczyzna przyjrzał się obu odznakom, po czym skierował wzrok na Pendergasta. D'Agosta zauważył, że w jego oczach nie było strachu, tylko lekkie zaciekawienie.

– Możemy wejść?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, po czym otworzył drzwi szerzej.

Weszli przez hol do salonu, który został urządzone z nadmiernym przepychem. Ciężkie złote zasłony przesłaniały panoramiczne okno z widokiem na ocean. W powietrzu unosił się słaby aromat kadzidła. Dwa szpice, czarny i biały, przyglądały im się z otomany.

D'Agosta przeniósł wzrok na Blasta. Mężczyzna ani trochę nie przypominał swojego przodka, Audubona. Był drobny, wymuskany, z cienkim, jak wyrysowanym ołówkiem wąsikiem i, zważywszy na klimat, dość mocno opalony. Ruchy miał jednak szybkie i zwinne, niezdradzające zgnuśnienia wynikającego z komfortowo-dekadentckiego trybu życia.

– Może panowie usiądą – powiedział, wskazując dwa wielkie fotele z obiciem z karmazynowego aksamitu. Mówił z lekkim południowym akcentem.

Pendergast usiadł, D'Agosta po chwili zrobił to samo. Blast

rozsiadł się na białej skórzanej kanapie naprzeciw nich.

– Zakładam, że nie przychodzą panowie w sprawie domu do wynajęcia przy Shell Road?

– Zgadza się – odparł Pendergast.

– W czym zatem mogę panom pomóc?

Pendergast odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

– Przychodzimy w sprawie Czarnego Obrazu.

Blast wyraził swoje zdziwienie lekkim rozszerzeniem oczu. Po chwili uśmiechnął się, szczerząc drobne śnieżnobiałe zęby. To nie był przyjazny uśmiech. Mężczyzna kojarzył się D’Agoście z norką, smukłą i gotową, by kogoś zagryźć.

– Chcą panowie zaproponować jego kupno?

Pendergast pokręcił głową.

– Nie. Chcieliśmy go obejrzeć.

– Dobrze jest poznać konkurencję – mruknął Blast.

Pendergast założył nogę na nogę.

– To dziwne, że wspomina pan o konkurencji. Bo to kolejny powód naszych odwiedzin.

Blast pokręcił głową w pytającym geście.

– Helen Esterhazy Pendergast – agent FBI wolno i dokładnie wypowiedział każde słowo.

Tym razem Blast pozostał w kompletnym bezruchu. Przeniósł wzrok z D’Agosty na Pendergasta i z powrotem.

– Przepraszam, skoro już jesteśmy przy nazwiskach, mogę spytać, jak panów godność?

– Agent specjalny Pendergast – powiedział. – A to mój współpracownik, porucznik D’Agosta.

– Helen Esterhazy Pendergast – powtórzył Blast. – To pańska krewna?

– Była moją żoną – odparł lodowato Pendergast.

Drobny człowieczek rozłożył ręce.

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. *Desolé*. A teraz, jeśli to wszystko...? – Wstał.

Pendergast także podniósł się gwałtownie. D'Agosta zeszywniał, ale zamiast fizycznie zmierzyć się z Blastem, czego się obawiał, agent złączył dłonie za plecami, podszedł do panoramicznego okna i wyjrzał przez nie. Następnie odwrócił się i przeszedł przez pokój, lustrując różne obrazy, jeden po drugim, jakby znajdował się w galerii sztuki albo w muzeum. Blast nie ruszył się z miejsca, ale wodził wzrokiem za agentem. Pendergast wszedł do holu i przystanął na moment przed drzwiami szafy. Jego dłoń zniknęła naraz pod połą czarnego garnituru, wydobyła coś, dotknęła drzwi szafy, a te otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Blast ruszył w jego stronę.

– Co, u licha... – zawołał gniewnie.

Pendergast sięgnął do szafy, rozgarnął kilka sztuk garderoby i wyciągnął wiszące w głębi futro z charakterystycznymi tygrysimi cętkami.

– Jak pan śmie naruszać moją prywatność! – krzyknął Blast, podchodząc bliżej.

Pendergast strzepnął futrem i zlustrował je wzrokiem.

– W sam raz dla księżniczki – powiedział, odwracając się z uśmiechem do Blista. – Stuprocentowo prawdziwe. – Znów sięgnął do szafy, odgarniając kilka kolejnych płaszczy, podczas gdy Blast stał nieopodal czerwony z wściekłości. – Ocelot, dziki kot amerykański... Prawdziwa galeria zagrożonych gatunków. Są nowe, z całą pewnością wykonane już po wejściu w życie Ustawy o ochronie zagrożonych gatunków z osiemdziesiątego dziewiątego roku, nie mówiąc już o tej wcześniejszej z siedemdziesiątego drugiego.

Odwiesił futra do szafy i zamknął drzwi.

– Amerykańskie Biuro ds. Ochrony Zagrożonych Gatunków z pewnością byłoby zainteresowane pańską kolekcją. Zadzwońmy do nich?

Reakcja Blista zaskoczyła D'Agostę. Zamiast dalej protestować, wyraźnie się rozluźnił. Szczercząc zęby w kolejnym uśmiechu,

otaksował Pendergasta wzrokiem z wyraźnym podziwem.

– Proszę – powiedział, unosząc dłoń w uspokajającym geście. – Widzę, że mamy jeszcze sporo spraw do omówienia. Proszę usiąść.

Obaj, Pendergast i Blast, wrócili na swoje miejsca.

– Jeżeli zdołam panu pomóc... co się stanie z moją małą kolekcją?
– Blast wskazał ruchem głowy szafę.

– To zależy, jak potoczy się nasza rozmowa.

Blast zrobił wydech: to był długi syczący dźwięk.

– Pan pozwoli, że powtórzę nazwisko – powiedział Pendergast. – Helen Esterhazy Pendergast.

– Tak, tak, dobrze pamiętam pańską żonę. – Blast złączył wypiełgnowane dłonie. – Proszę mi wybaczyć wcześniejsze zachowanie. Wieloletnie doświadczenie nauczyło mnie powściągliwości.

– Słucham dalej – odparł chłodno Pendergast.

Blast wzruszył ramionami.

– Pańska żona i ja rywalizowaliśmy między sobą. Przez blisko dwadzieścia lat poszukiwałem Czarnego Obrazu. Słyszałem, że ona też węszyła tu i tam i również wypytywała o obraz. Delikatnie mówiąc, nie byłem z tego powodu zachwycony. Jak pan z pewnością wie, jestem praprawnukiem Audubona. Obraz należy mi się z racji urodzenia. Nikt nie ma prawa czerpać z niego zysków – poza mną. Audubon namalował Czarny Obraz w sanatorium, ale nie zabrał go ze sobą. Moim zdaniem prawdopodobnie podarował go jednemu z trzech lekarzy, którzy się nim opiekowali. Jeden z nich zniknął zupełnie. Drugi wrócił do Berlina – jeżeli miał ze sobą obraz, to albo został on zniszczony podczas wojny, albo przepadł bezpowrotnie. Skoncentrowałem swoje poszukiwania na trzecim lekarzu – Torgenssonie, choć czułem, że moje nadzieje mogą okazać się płonne. – Blast rozłożył ręce. – To właśnie w związku z nim natknąłem się na pańską żonę. Spotkałem ją tylko raz.

– Gdzie i kiedy?

– Jakies piętnaście lat temu. Nie, niecałe piętnaście. W starej

posiadłości Torgenssona na przedmieściach Port Allen.

– I co stało się podczas tego spotkania? – spytał chłodno Pendergast.

– Powiedziałem jej dokładnie to samo co panu: że obraz należy mi się z racji urodzenia, i wyraziłem pragnienie, aby zaprzestała poszukiwań.

– A co na to Helen? – Głos Pendergasta był jeszcze zimniejszy.

Blast wziął głęboki oddech.

– To jest właśnie zabawne.

Pendergast czekał. W pokoju zrobiło się lodowato.

– Pamięta pan, co powiedział pan wcześniej na temat Czarnego Obrazu? „Chcieliśmy go obejrzeć”. Tak pan powiedział. I ona powiedziała dokładnie to samo. Nie chciała na nim skorzystać. Chciała go tylko obejrzeć. Jeszcze stwierdziła, że mogę zatrzymać obraz. Ucieszyło mnie to i uścisnęliśmy sobie dłonie. Powiedziałbym, że rozstaliśmy się jako przyjaciele. – Kolejny wątyły uśmiech.

– Jakich konkretnie słów użyła?

– Powiedziała: „Rozumiem, że szuka go pan już od dawna. Proszę zrozumieć, że nie chcę mieć go na własność, chciałabym go jedynie obejrzeć. Potwierdzić coś. Kiedy odnajdę to, czego szukam, oddam go panu. W zamian jednak proszę mi obiecać, że jeśli pan znajdzie go pierwszy, da mi pan wolną rękę, abym go mogła obejrzeć”. Ten układ bardzo mi odpowiadał.

– Bzdura! – rzucił D’Agosta, podrywając się z miejsca. Nie mógł się dłużej powstrzymać. – Helen całym latami szukała tego obrazu tylko po to, by na niego popatrzeć? Nie ma mowy! Pan kłamie.

– Mówię szczerze. To święta prawda – zaklinał się Blast i uśmiechał, szczerząc zęby.

– Co było potem? – spytał Pendergast.

– To już wszystko. Nasze drogi się rozeszły. To było moje jedno jedyne spotkanie z nią. Nigdy więcej jej nie widziałem. Jak Boga

kocham.

– Nigdy? – spytał Pendergast.

– Nigdy. I to wszystko, co wiem.

– Wie pan o wiele więcej. – Pendergast nagle się uśmiechnął. – Ale zanim powie pan coś jeszcze, panie Blast, proszę pozwolić, że zaoferuję panu coś, o czym najwyraźniej pan nie ma pojęcia. Niech to będzie rękojmią zaufania z mojej strony.

Najpierw kij, a potem marchewka, pomyślał D’Agosta. Zastanawiał się, do czego zmierza jego przyjaciel.

– Mam dowód na to, że Audubon dał ten obraz Torgenssonowi – powiedział Pendergast.

Blast wychylił się do przodu, na jego twarzy odmalowało się zaniepokojenie.

– Dowód, powiada pan?

Zapadła długa cisza. Blast usiadł prosto.

– Cóż, zatem teraz bardziej niż dotychczas mam pewność, że ten obraz nie istnieje. Został zniszczony, kiedy ostatnia rezydencja doktora poszła z dymem.

– Ma pan na myśli jego posiadłość pod Port Allen? – spytał Pendergast. – Nie wiedziałem, że był tam pożar.

Blast długo mu się przyglądał.

– Nie wie pan wielu rzeczy, panie Pendergast. Port Allen nie było miejscem, w którym ostatecznie osiadł doktor Torgensson.

Pendergast nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Naprawdę?

– W ostatnich latach życia Torgensson popadł w poważne tarapaty finansowe. Ścigali go wierzyciele: banki, miejscowi kupcy, nawet władze miasta, za niepłacenie zaległych podatków. Ostatecznie został eksmitowany z domu w Port Allen. Wprowadził się do starego domku myśliwskiego nad rzeką.

– Skąd pan to wszystko wie? – wtrącił D’Agosta.

W odpowiedzi Blast wstał i wyszedł z pokoju. D’Agosta usłyszał odgłos otwieranych drzwi i wysuwanych szuflad – a po paru

minutach wrócił, trzymając w dłoni teczkę. Podał ją Pendergastowi.

– To rejestr długów Torgenssona. Proszę rzucić okiem na list na samym wierzchu.

Pendergast wyjął poźółkłą kartkę, najwyraźniej wyrwaną ze starej książki rachunkowej. Był to list napisany na papierze firmowym Agencji Pinkertona. Zaczął czytać: „Ma go. Ten człowiek go ma. Ale nie udało nam się go odnaleźć. Przeszukaliśmy chałupę od piwnicy aż po dach. Jest pusta jak dom w Port Allen. Nie zostało w niej nic cennego i z pewnością nie ma tam obrazu Audubona”.

Pendergast odłożył kartkę na miejsce, przejrzał inne dokumenty, po czym zamknął teczkę.

– A pan skradł ten raport, żeby napsuć krwi konkurencji, jak przypuszczam.

– Nie było sensu pomagać moim wrogom. – Blast wziął od agenta teczkę i położył na kanapie obok niego. – Ale koniec końców to i tak nie miało większego znaczenia.

– A to dlaczego? – spytał Pendergast.

– Dlatego że kilka miesięcy po tym, jak się tam wprowadził, w chatę uderzył piorun i budynek spłonął doszczętnie wraz z Torgenssonem. Jeżeli doktor ukrył gdzieś Czarny Obraz, miejsce to dawno temu zostało zapomniane. Jeżeli miał go w domu, obraz spłonął wraz z całym domkiem myśliwskim. – Blast wzruszył ramionami. – Właśnie wtedy ostatecznie przerwałem swoje poszukiwania, panie Pendergast. Obawiam się, że Czarny Obraz już nie istnieje. Ja to wiem, zmarnowane dwadzieścia lat mojego życia jest tego najlepszym dowodem.

– Nie wierzę w ani jedno jego słowo – rzekł D’Agosta, gdy zjeżdżali windą do holu. – Chce nas przekonać, że nie miał złych zamiarów wobec Helen, kiedy dowiedział się, że nie chciała zawłaszczyć obrazu dla siebie. Chroni swój tyłek, nie chce, żebyśmy podejrzewali go o zamordowanie jej, ot i wszystko.

Pendergast nie odpowiedział.

– Facet jest niezaprzeczalnie bystry, można by podejrzewać, że wymyśli coś bardziej przekonującego – ciągnął D’Agosta. – Oboje chcieli tego obrazu, a Helen za bardzo się do niego zbliżyła. Blast nie życzył sobie, by ktokolwiek inny zdobył coś, co prawnie należało się jemu. Sprawa jest jasna i oczywista. No i jeszcze te jego związki z drapieżnymi zwierzętami i przemytem kości słoniowej oraz skór. Ma kontakty w Afryce, mógł je wykorzystać, by zaaranżować morderstwo.

Drzwi windy otworzyły się i wyszli przez hol w noc wypełnioną wilgocią znad morza. Fale miękko obmywały brzeg, a blask świateł z miliona okien przydał ciemnej plaży barwy odbitego ognia. Z pobliskiej restauracji płynęły wytłumione dźwięki muzyki mariachi.

– Skąd wiedziałeś o tych fantach? – spytał D’Agosta, gdy szli w stronę ulicy.

Pendergast nagle ocknął się z odrętwienia.

– Słucham?

– O futrach w szafie. O tych skórach?

– Wyczułem zapach.

– Zapach?

– Każdy, kto miał kiedyś takie futro, potwierdzi, że skóry wielkich kotów wydzielają słaby zapach, nie nieprzyjemny, jakby piżmowy i w sumie dość charakterystyczny. Znam go dobrze: mój brat i ja w dzieciństwie często chowaliśmy się w szafie z futrami naszej matki. Wiedziałem, że ten typ szmuglował kość słoniową i rogi nosorożca, nietrudno było się domyślić, że handlował także nielegalnymi skórami.

– Rozumiem.

– Chodź, Vincencie, zaledwie o dwie przecznice stąd jest Caramino. Serwują tam najlepsze szczypce krabowe na gorącym półmisku w całej zatoce, a przynajmniej tak mi mówiono. Są najlepsze, gdy popije się je dobrze zmrożoną wódką. A ja akurat mam ochotę napić się czegoś mocniejszego.

Nowy Jork

Kiedy kapitan Laura Hayward weszła do zaniedbanej poczekalni przed pokojami przesłuchań w podziemiach One Police Plaza, dwaj świadkowie, których wezwała, poderwali się z miejsc.

Sierżant z wydziału zabójstw także się podniósł, a Hayward zmarszczyła brwi.

– Dobrze, niech wszyscy usiądą i rozluźnią się. Nie jestem prezydentem. – Uświadomiła sobie, że złote naszywki na jej mundurze najwyraźniej musiały budzić respekt, zwłaszcza u ludzi pracujących na statkach, ale tego już było za wiele i źle się z tym czuła. – Przepraszam, że wezwałam pana w niedzielę, sierżancie, proszę wprowadzić ich pojedynczo, kolejność nie ma znaczenia.

Weszła do pokoju przesłuchań, jednego z przyjemniejszych, przeznaczonych do podejmowania świadków gotowych na współpracę, a nie zatwardziałych, idących w zaparte podejrzanych. Był tu stolik kawowy, biurko i kilka krzeseł. Technik do obsługi sprzętu audio-wideo już był na miejscu i pokiwał głową, pokazując jej uniesiony kciuk.

– Dzięki – powiedziała Hayward. – Jestem wielce zobowiązana, zwłaszcza że to wyskoczyło tak nagle.

W ramach noworocznego postanowienia miała kontrolować swój gniew, a nie wyładowywać się na podwładnych. Ci, którzy

znajdowali się wyżej od niej, nie mogli liczyć na taką pobłażliwość. Tym wyżej kopniaka, tym niżej buzi, to było jej nowe motto. Wychyliła głowę przez drzwi.

– Przyślij, proszę, pierwszego.

Sierżant wprowadził pierwszego świadka, który wciąż był w mundurze. Wskazała mu miejsce.

– Wiem, że był pan już przesłuchiwany, ale mam nadzieję, że nie odmówi pan jeszcze jednej kolejki. Postaram się streszczać. Kawy, herbaty?

– Dziękuję – odparł oficer.

– Jest pan na statku szefem ochrony, zgadza się?

– Tak.

Szef ochrony był niegroźnym starszym mężczyzną o gęstych siwych włosach i miłym brytyjskim akcencie, dżentelmen ten wyglądał jak emerytowany inspektor policji z jakiegoś małego angielskiego miasteczka.

I zapewne tak właśnie jest, pomyślała.

– To co się właściwie wydarzyło? – spytała; zawsze lubiła zaskakiwać rzeczowymi, konkretnymi pytaniami.

– Cóż, pani kapitan, cała sprawa zwróciła moją uwagę, kiedy tylko wypłynęliśmy z portu. Otrzymałem doniesienie, że jedna z pasażerek, Constance Greene, dziwnie się zachowuje.

– Jak to?

– Weszła na pokład ze swoim trzymiesięcznym dzieckiem. Już to samo w sobie było niezwykle – nie przypominam sobie ani jednego przypadku, by pasażerka weszła na pokład statku z tak małym dzieckiem. Zwłaszcza samotna matka. Doniesiono mi, że tuż po tym, jak znalazła się na pokładzie, pewna przyjaźnie nastawiona pasażerka chciała zobaczyć jej dziecko – i być może podeszła zbyt blisko – bo panna Greene otwarcie jej zagroziła.

– Co pan zrobił?

– Odbyłem z panną Greene rozmowę w jej kabinie i stwierdziłem, że była po prostu nadopiekuńczą matką – wie pani, jak to czasami

bywa – a groźba jako taka nie miała żadnego poparcia w czynach. Pasażerka, która złożyła skargę, była w moim odczuciu nadmiernie wścibską staruszką.

– Jak pan ją odebrał? Mam na myśli pannę Greene?

– Jako spokojną, opanowaną, z pewnym dystansem.

– A dziecko?

– Było w kabinie razem z nią, w kołysce, którą dostarczono na pokład. Spało podczas całej mojej krótkiej wizyty.

– Co dalej?

– Panna Greene zamknęła się w kabinie na trzy lub cztery dni. Później przez resztę rejsu widywano ją w różnych miejscach na pokładzie. Nie wiem nic o żadnych innych incydentach poza tym, że podczas kontroli paszportowej okazało się, że nie ma z nią dziecka. Widzi pani, dziecko zostało wpisane do jej paszportu, co jest przyjęte, kiedy obywatelka rodzi dziecko za granicą.

– Czy wydała się panu osobą normalną?

– Raczej tak, przynajmniej podczas naszej rozmowy. Wydawała się niezwykle zrównoważona jak na młodą kobietę.

Następnym świadkiem był główny steward, który potwierdził to, co powiedział szef ochrony: że pasażerka weszła na pokład z dzieckiem, że bardzo je chroniła i że na kilka dni zaszyła się w swojej kabinie. Później, mniej więcej w połowie rejsu, widywano ją podczas posiłków w restauracjach i jak już bez dziecka krążyła po całym statku. Ludzie sądzili, że zostawiła dziecko z nianią albo korzystała z zapewnionej przez obsługę statku opieki nad dziećmi. Trzymała się na uboczu, z nikim nie rozmawiała, zbywała wszelkie próby zbliżenia się do niej czy zaprzyjaźnienia z nią.

– Sądziłem – rzekł steward – że to jedna z tych wyjątkowo bogatych ekscentryczek, no wie pani, tych, które mają tyle pieniędzy, że wydaje im się, że mogą robić, co tylko zechcą, i nikt im tego nie zabroni. A i jeszcze... – zawahał się.

– Proszę mówić dalej.

– Pod koniec rejsu odniosłem wrażenie, że ta kobieta może być troszkę... szalona.

Hayward przystanąła przy drzwiach niewielkiej celi. Nigdy nie spotkała Constance Greene, ale sporo o niej słyszała od Vinniego. Zawsze mówił o niej, jakby była starsza, kiedy jednak drzwi otworzyły się, Hayward ze zdumieniem ujrzała kobietę dwudziestodwu-, dwudziestotrzyletnią, o ciemnych włosach ułożonych w dość staroświecki kok, siedzącą skromnie na pryczy i ubraną w tę samą suknię, którą miała na statku.

– Mogę wejść?

Constance Greene spojrzała na nią. Hayward szczyliła się tym, że potrafi odczytywać wyraz oczu ludzi, z którymi się stykała, ale te były niezgłębione.

– Zapraszam.

Hayward usiadła na jedynym krześle stojącym w celi. Czy to możliwe, że ta kobieta wrzuciła własne dziecko do oceanu?

– Jestem kapitan Hayward.

– Miło mi poznać, pani kapitan.

W tych okolicznościach staroświecka sztywność prezentacji i powitania wywołała u Hayward lodowate ciarki.

– Jestem przyjaciółką porucznika D'Agosty, którego pani zna, i zdarzało mi się pracować kilka razy z pani... ee... stryjem, agentem specjalnym Pendergastem.

– Nie jest moim stryjem. To mój opiekun prawny. Nie jesteśmy spokrewnieni – poprawiła pedantycznie i nad wyraz skrupulatnie Constance.

– Rozumiem. Ma pani jakąś rodzinę?

– Nie – padła szybka, zdecydowana odpowiedź. – Wszyscy już od dawna nie żyją.

– Przykro mi. Po pierwsze zastanawiam się, czy mogłaby pani pomóc mi w ustaleniu pewnych szczegółów. Mamy drobny kłopot z ustaleniem pani danych osobowych. Czy zna pani numer swojego

ubezpieczenia?

- Nie mam numeru ubezpieczenia.
- Gdzie się pani urodziła?
- Tu, w Nowym Jorku. Na Water Street.
- W którym szpitalu?
- Urodziłam się w domu.
- Rozumiem.

Hayward postanowiła odpuścić ten szczegół; ich wydział prawny w końcu to wyprostuje, a prawdę mówiąc, starała się unikać trudnych pytań, które się w związku z tym nasuwały.

– Constance, pracuję w wydziale zabójstw, ale to nie jest moja sprawa. Przyszłam tu ustalić fakty. Nie musisz odpowiadać na żadne z moich pytań, a to nie jest oficjalne przesłuchanie. Rozumiesz?

- Rozumiem doskonale, dziękuję.

I znów Hayward zdziwiła się, słysząc staroświecką melodię jej słów, było coś dziwnego w jej posturze i zachowaniu, a także w oczach, które mimo iż twarz miała młodą i delikatną, wydawały się stare i mądre. Wzięła głęboki oddech.

- Czy naprawdę wrzuciłaś swoje dziecko do oceanu?
- Tak.
- Dlaczego?
- Bo ono było złe. Jak jego ojciec.
- A ojciec dziecka...?
- Nie żyje.
- Jak się nazywał?

W pokoju zapadła cisza. Chłodne fiołkowe oczy wpatrywały się bez cienia wahania w Hayward, która zrozumiała, że Greene nigdy, przenigdy nie odpowie na to pytanie, i nie potrzebowała żadnych dodatkowych wyjaśnień, aby to pojąć.

– Dlaczego wróciłaś? Przebywałaś za granicą, dlaczego właśnie teraz wróciłaś?

- Ponieważ Aloysius będzie potrzebował mojej pomocy.

– Pomocy? Jakiej pomocy?

Constance cały czas pozostawała w bezruchu.

– Nie jest gotowy stawić czoło zdradzie, z jaką przyjdzie mu się zetknąć.

Savannah, Georgia

Judson Esterhazy stał wśród antyków i eleganckich mebli stanowiących wyposażenie jego gabinetu, wyglądając przez wysokie okno na pusty teraz Whitfield Square. Chłodny deszcz ściekał z palmetto i centralnej kopuły, tworząc kałuże na brukowanych chodnikach Habersham Street. Stojącemu tuż obok D'Agoście brat Helen podczas tej wizyty wydawał się odmieniony. Swobodne kurtuazyjne maniery gdzieś przysły. Przystojne oblicze przeppełniało zatroskanie i napięcie, pojawiły się na nim zmarszczki.

– I nigdy nie wspominała o swojej fascynacji papugami, a w szczególności gatunkiem papugi karolińskiej?

Esterhazy pokręcił głową.

– Nigdy.

– A co z Czarnym Obrazem? Nie słyszałaś, aby kiedykolwiek o nim wspominała, choćby przelotnie?

Kolejny przeczący ruch głową.

– To dla mnie coś nowego. Jestem równie zaskoczony i dezorientowany jak ty.

– Wiem, jakie to musi być bolesne.

Esterhazy odwrócił się od okna. Jego zuchwa poruszała się w czymś, co, jak przypuszczał D'Agosta, było ledwie kontrolowanym przyływem wściekłości.

– Nie tak bolesne jak wzmianka o tym facecie, Błaście. Mówisz, że ma kartotekę w policji?

– Same aresztowania. Żadnych wyroków skazujących.

– To nie znaczy, że jest niewinny – mruknął Esterhazy.

– Wręcz przeciwnie – wtrącił D’Agosta.

Esterhazy spojrzał na niego.

– I nie chodzi tylko o przestępstwa w rodzaju szantażu czy fałszerstwa. Wspomniałeś o napaści i pobiciu.

D’Agosta skinął głową.

– I on także poszukiwał tego... Czarnego Obrazu?

– Zawzięcie – potaknął D’Agosta.

Esterhazy zacisnął dłonie w pięści i znów odwrócił się do okna.

– Judsonie – odezwał się Pendergast – pamiętaj, co ci mówiłem...

– Straciłeś żonę – rzucił przez ramię Esterhazy. – A ja młodszą siostrę.

Nie sposób się z tego otrząsnąć, ale przynajmniej możesz jakoś dalej z tym żyć. Ale gdy dowiadujesz się czegoś takiego... – Wziął głęboki oddech. – I w dodatku kiedy jeszcze masz świadomość, że ten przestępca mógł być w to w jakiś sposób zamieszany...

– Nie wiemy tego na pewno – wtrącił Pendergast.

– Ale możesz być pewien, że się dowiemy – dodał D’Agosta.

Esterhazy nie odpowiedział. Wciąż tylko patrzył przez okno niewidzącym wzrokiem, a jego zuchwa poruszała się powoli.

Sarasota, Floryda

Ponad pięćset kilometrów na południe od Savannah inny mężczyzna zaczął wyglądać przez okno.

John Woodhouse Blast spojrział dziesięć piętér w dół na ludzi przeczesujących plażę i miłośników kąpeli słonecznych, na długie białe linie fal sunących ku brzegowi i na plażę ciągnącą się niemal w nieskończoność. Odwrócił się i przeszedł przez salon, by zatrzymać się na moment przed złożonym lustrem. Zmęczone, pełne napięcia oblicze, które na niego spojrzęło, odzwierciedlało trudy bezsennej nocy. Był taki ostrożny, wyjątkowo ostrożny. Jak to mogło go teraz spotkać? Ten mściciel o bladej jak u anioła śmierci twarzy, który tak niespodziewanie stanął w progu jego mieszkania... Zawsze działał ostrożnie, wręcz zachowawczo, nie podejmował niepotrzebnego ryzyka. I to się sprawdzało, aż do teraz...

Ciszę w pokoju przerwał dzwonek telefonu. Blast drgnął na ten dźwięk. Podeszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. Z otomany dwa szpice obserwowały każdy jego ruch.

– Mówi Victor. Co jest?

– Chryste, Victorze, dobrze, że dzwonisz. Gdzie się podziewałeś, do cholery?

– Wyjeżdżałem – odparł szorstki, nieprzyjemny głos. – Jakies

problemy?

– Owszem, tak. Jeden, ale za to całkiem spory. Wczoraj wieczorem zjawił się u mnie agent FBI i zaczął węszyć.

– To ktoś, kogo znamy?

– Nazywa się Pendergast. Towarzyszył mu glina z Nowego Jorku.

– Czego chcieli?

– A jak ci się, kurwa, wydaje? On za dużo wie, Victorze, o wiele za dużo. Musimy się tym zająć, i to jak najszybciej.

– Chcesz powiedzieć... – W ochrypłym głosie pojawiło się wahanie.

– Zgadza się. Czas zwinąć się z tym wszystkim.

– Ze wszystkim?

– Ze wszystkim. Wiesz, co masz robić, Victorze. Dopilnuj, żeby ta sprawa została załatwiona. I dopilnuj, żeby ta sprawa została załatwiona niezwłocznie.

Blast cisnął słuchawkę na widełki i ponownie spojrzął przez okno w stronę bezkresnego błękitnego horyzontu.

32

Ścieżka wiła się przez sosnowy las i wychodziła na skraju mangrowych bagien. Strzelec zatrzymał range rovera na łące i wydobyl futerał ze strzelbą, teczkę oraz plecak z tylnej części pojazdu. Zaniósł je na niewielki pagórek pośrodku pola i ułożył rzeczy na trawie. Wyjął z teczki papierową tarczę i przeszedł przez polanę aż do moczarów, licząc kroki. Południowe słońce przeświecało przez cyprysy, rzucając punkciki światła na brązowozieloną wodę.

Strzelec wybrał gładki szeroki pień, do którego młotkiem tapicerskim przybił tarczę. Jak na zimę dzień był dość ciepły, około dwunastu stopni Celsjusza, w gałęziach rozsiadły się skrzeczące ochryple wrony. Najbliższy dom znajdował się ponad piętnaście kilometrów stąd. Nie było w ogóle wiatru.

Wrócił do miejsca, gdzie zostawił swój sprzęt, ponownie licząc kroki, i z zadowoleniem stwierdził, że odległość do celu wynosi prawie sto metrów. Otworzył sztywny futerał Pelikana i wyjął z niego strzelbę. Był to remington 40-XS tactical. Ta ciężka jak diabli broń ważyła prawie siedem kilogramów, ale jej plusem była wyjątkowa celność. Strzelec już od jakiegoś czasu nie korzystał z niej, teraz była jednak naoliwiona, wyczyszczona i gotowa do użycia.

Ukląkł, przełożył karabin przez kolano, po czym opuścił dwójnog, wyregulował go i zablokował. Następnie położył się w gęstej trawie

z karabinem przed sobą, manipulując nim, aż znalazł się w stabilnej pozycji. Przymknął jedno oko i spojrzął przez lunetę marki Leupold na cel pozostawiony na drzewie. Jak dotąd nieźle. Z tylnej kieszeni wyjął pudełko naboju typu winchester .308 i położył je na trawie po swojej prawej stronie. Włożył do komory jeden nabój, potem drugi i kolejny, aż wewnętrzny magazynek na cztery pociski zapełnił się. Zaryglował zamek i raz jeszcze spojrzął przez lunetę.

Wymierzył w cel, oddychając powoli i pozwalając, by jego serce zwolniło rytm. Słabe drżenie i nieznaczne ruchy broni, na co wskazywało drganie celu utrzymywanego między nitkami celownika, udało mu się opanować, gdy stopniowo rozluźniał całe ciało. Położył palec na spuście i lekko nacisnął, zrobił długi spokojny wydech, odliczając uderzenia serca, i ściągnął spust pomiędzy poprzednim a kolejnym. Trzask i niezbyt silne kopnięcie broni. Wyrzucił łuskę, ponownie zaczął oddychać, znów się rozluźnił i raz jeszcze wolno ściągnął spust. Kolejny trzask i odrzut karabinu; odgłos wystrzału przetoczył się szybko ponad moczarami. Jeszcze dwa strzały i magazynek został opróżniony. Strzelec wstał, pozbierał cztery łuski, włożył do kieszeni i podszedł obejrzeć cel.

Pociski trafiły tak blisko siebie, że wyrwały nieregularną dziurę na lewo od celu i nieznacznie poniżej jego środka. Strzelec wyjął z kieszeni plastikową linijkę, zmierzył rozkład trafień, odwrócił się i przeszedł z powrotem przez łąkę, wolno, by zminimalizować wysiłek. Znów się położył, ujął w ręce karabin i użył pokręteł regulujących ustawienie lunety na wysokość celu i siłę wiatru, by dostroić ją do swoich nowych ustaleń.

Ponownie po długim zastanowieniu oddał cztery strzały. Tym razem skupienie pocisków było idealne, wszystkie cztery trafiły dokładnie w sam środek, kolejne cztery strzały również, w otwór wyrwany przez poprzednie kule. Zadowolony mężczyzna zdarł papierową tarczę z pnia drzewa, zmiął w kulkę i włożył do kieszeni.

Wrócił na środek pola i ponownie przyjął pozycję strzelecką. Pora

na odrobinę zabawy. Kiedy zaczął strzelać, stado wron spłoszyło się i głośno skrzecząc, wzbiło się w powietrze, by ponownie przysiąść na ziemi trzysta metrów dalej. Widział je teraz na ziemi pod strzelistą sosną, jak przechadzały się wśród opadłych igieł i wyżerały nasiona z leżących wokół szyszek.

Spoglądając przez lunetę, mężczyzna wybrał jedną wronę i podążał za nią. Obserwował przez nitki celownika, jak mocowała się z szyszką, tarmosząc ją i dziobiąc zawzięcie. Jego palec wskazujący nacisnął zakrzywiony spust – huknął strzał i ptak zniknął w rozbryzgu czarnych piór. Pień drzewa opodal zachlapały strzępy czerwonych tkanek. Reszta stada poderwała się z głośnym skrzeczeniem i odfrunęła między drzewa.

Mężczyzna zaczął wypatrywać innego celu, tym razem spoglądając przez lunetę w kierunku bagien. Powoli przeczesywał skraj moczarów, aż znalazł to, czego szukał – wielką zabę oddaloną o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od niego, wygrzewającą się w promieniach słońca na liściu lilii. Ponownie złożył się do strzału, rozluźnił i strzelił; różowa chmura wystrzeliła w górę, zmieszana z zieloną wodą i fragmentami liścia, by z gracją opaść na powrót do wody. Jego trzeci pocisk nieomal urwał głowę mokasynowi, jadowitemu wężowi, który na próżno próbował uciec przed zagrożeniem.

Jeszcze jeden pocisk. Potrzebował naprawdę trudnego wyzwania. Rozejrzał się wokoło, przepatrując moczary gołym okiem, jednak strzały przepłoszyły zwierzynę i nic już nie było widać. Musiał trochę zaczekać.

Wrócił do range rovera, wyjął miękki płócienny futerał na strzelbę, rozsunał suwak i wyciągnął dubeltówkę CZ Bobwhite dwunastkę z robioną na zamówienie kolbą. To była jego najtańsza broń, ale mimo wszystko wyśmienita i nie podobało mu się to, co miał teraz zrobić. Z tyłu samochodu wyjął przenośne imadło i piłę ręczną z nowiutkim brzeszczotem. Położył strzelbę na kolanach i pogładził lufy, przetaił je odrobiną oliwy do czyszczenia broni

i rozciągnął obok papierową taśmę mierniczą. Zaznaczył gwoździem miejsce, przyłożył do niego brzeszczot piły i zabrał się do pracy.

To była żmudna harówka. Kiedy skończył, pilnikiem wygładził nierówności, startł pozostałe na lufie opiłki, po czym starannie raz jeszcze naoliwił broń. Przełamał strzelbę, oczyścił wnętrza luf z opiłków i włożył dwie loftki. Podszedł na skraj bagien ze strzelbą i obciętymi lufami, wrzucił odpiłowane lufy do wody najdalej jak tylko potrafił, przyłożył strzelbę do ciała, opierając kolbę o bok, i nacisnął przedni spust. Huk był ogłuszający, a strzelba kopnęła jak muł. To była prymitywna, toporna, brzydka broń, ale zabójczo skuteczna. Strzał z drugiej lufy także był doskonały. Ponownie przełamał strzelbę, włożył puste loftki do kieszeni, po czym przeczyścił komory i lufy i raz jeszcze załadował. Był obolały, ale zadowolony.

Wrócił do samochodu i schował strzelbę z powrotem do futerału, po czym wyciągnął z plecaka kanapkę i termos. Jadł powoli, rozkoszując się kanapką z truflami w foie gras, popijaną gorącą herbatą z mlekiem i cukrem. Starał się cieszyć świeżym wiatrem i słońcem i nie myśleć o problemie, który miał rozwiązać. Kiedy kończył, nad bagnami pojawiła się samica jastrzębia, która bez wątpienia opuściła swoje gniazdo, a teraz zaczęła zataczać leniwe kręgi ponad wierzchołkami drzew. Ocenił odległość do ptaka na dwieście pięćdziesiąt metrów.

Oto wyzwanie godne jego umiejętności.

Ponownie przyjął pozycję strzelecką, celując w jastrzębia z karabinu snajperskiego, ale obszar widzenia lunety był zbyt wąski i nie mógł utrzymać w nim celu. Musiał zatem skorzystać z metalowych przyrządów celowniczych. Spojrzał na jastrzębia przez fabrycznie zamontowany celownik, usiłując nadażyć za ruchami ptaka. To także na nic; karabin był za ciężki, a jastrząb za szybki. Krążył po elipsie i żeby go trafić, strzelec musiał wymierzyć w przewidziany uprzednio punkt na obwodzie tej elipsy i wyczekać,

aż ptak zatoczy kolejny krąg i znajdzie się na linii strzału.

Chwilę potem jastrząb został strącony z nieba, a kilka piór unoszonych wiatrem opadało leniwie w ślad za nim.

Strzelec złożył dwójnog, pozbiarał i policzył wszystkie łuski, schował karabin do futerału, spakował lunch i termos, po czym zarzucił plecak na ramię. Raz jeszcze zlustrował wzrokiem całą okolicę, ale jedyną oznaką jego obecności tutaj był spłachetek wygniecionej trawy.

Przepelniony głębokim zadowoleniem, ruszył w kierunku range rovera. Teraz przez pewien czas mógł dać ujście swoim odczuciom, pozwalając, by rozlewały się po jego ciele, nasycając je adrenaliną i przygotowując go do oddania, już wkrótce, zabójczo celnego strzału.

33

D'Agosta stał przed centrum dla zwiedzających w promieniach południowego słońca i spoglądał wzdłuż Court Street w kierunku rzeki. Poza samym centrum – piękną, starą, ceglana budowlą odnowioną i unowocześnioną – wszystko wydawało się całkiem nowe: sklepy, biurowce i skupiska domów na brzegu rzeki. Trudno było uwierzyć, że gdzieś w tej okolicy przed blisko 150 laty żył i umarł lekarz opiekujący się Johnem Jamesem Audubonem.

– Pierwotnie nazywało się to St. Michel – powiedział Pendergast, stając obok porucznika. – Port Allen założono w tysiąc osiemset dziewiątym roku, ale w ciągu pięćdziesięciu lat ponad połowę miasta pochłonęła Missisipi. Przejdziemy się aż do promenady nad rzeką?

Ruszył szybkim krokiem, a D'Agosta pospieszył za nim, usiłując nie zostać w tyle. Był wyczerpany i zastanawiał się, jakim cudem Pendergast zachowywał tyle energii po tygodniu nieprzerwanych wojaży samochodem bądź samolotem z jednego miejsca na drugie, kładzenia się do łóżka o północy i budzenia się o świcie. Port Allen – tego już było za wiele.

Najpierw udali się zobaczyć przedostatnie miejsce zamieszkania doktora Torgenssona: atrakcyjną, ceglana, starą rezydencję na zachód od miasta, w której mieścił się obecnie zakład pogrzebowy. Odwiedzili też ratusz, w którym Pendergast tak oczarował sekretarkę, że pozwoliła mu przejrzeć stare plany i księgi. A teraz

byli tutaj, na brzegu Missisipi, gdzie, jak twierdził Blast, doktor Torgensson przeżył ostatnie, trudne miesiące życia, w chatce myśliwskiej, zrujnowany, porażony w syfilitycznym i alkoholowym stuporze.

Nadrzeczna promenada była szeroka i wytworna, z oszałamiającym widokiem: naprzeciwko, po drugiej stronie, rozciągało się Baton Rouge, barki i holowniki poruszały się po szerokiej wstędze wody o czekoladowej barwie.

– To śluza Port Allen – rzekł Pendergast, wskazując ręką w stronę ogromniej luki w grobli kończącej się wielkimi, podwójnymi, złotymi wrotami. – Największa wolno płynąca struktura tego rodzaju. Łączy rzekę z Kanałem Śródbrzeżnym.

Przeszli kilka przecznic wzdłuż promenady. D'Agosta czuł, że odżywa pod wpływem świeżej bryzy od strony rzeki. Zatrzymali się przy punkcie informacyjnym, gdzie Pendergast przejrzał ogłoszenia rozwieszane na tablicach.

– Jaka szkoda, spóźniliśmy się na Lagniappe Dulcimer Fête – powiedział.

D'Agosta rzucił okiem na swojego przyjaciela, który ciężko zniósł wiadomość, że wypadek jego żony był w rzeczywistości przemyślnie zaaranżowanym morderstwem, a na którym wieści o Constance Greene – które przekazała im wczoraj Hayward – praktycznie nie zrobiły większego wrażenia. Niezależnie, jak długo D'Agosta znał Pendergasta, stale przekonywał się, że ani trochę go nie znał. Ten człowiek bez wątpienia troszczył się o Constance, jednak bez najmniejszych emocji przyjął informacje, że przebywała ona obecnie w areszcie oskarżona o dzieciobójstwo.

Pendergast wyszedł z punktu informacyjnego i przeszedł przez trawnik w kierunku rzeki, przystając przy szczątkach zniszczonych wrót śluzy, które były na wpół zatopione pod wodą.

– Na początku dziewiętnastego wieku dzielnica handlowa sięgała dwie, trzy przecznice w tamtą stronę – powiedział, wskazując spienioną toń rzeki. – Teraz to wszystko należy do Missisipi.

Poprowadził D'Agostę przez Court Street, a następnie w prawo, w Atchafalaya.

– Zanim doktor Torgensson został zmuszony przenieść się do swojego ostatniego miejsca zamieszkania – wyjaśnił – St. Michel stało się West Baton Rouge. W owym czasie ta okolica pomiędzy stacją kolejową a przystanią promową była zamieszкана przez społeczność wywodzącą się z klasy robotniczej.

Pendergast skręcił w kolejną ulicę i ponownie spojrzął na mapę, przeszedł jeszcze kawałek i zatrzymał się.

– Śmiem twierdzić – dodał, cedząc słowa – że dotarliśmy na miejsce.

Znaleźli się obok niewielkiego centrum handlowego. Trzy budynki stały jeden przy drugim: McDonald, salon sprzedaży telefonów komórkowych i cukiernia – barwna kolorowa sieciówka o nazwie Pappy's Donette Hole, którą D'Agosta widywał już w innych miejscach. Dwa auta parkowały przed cukiernią, a w okienku drive-through w McDonalddie interesy szły pełną parą.

– To tutaj? – rzucił z emfazą D'Agosta.

Pendergast skinął głową, wskazując na salon sprzedaży telefonów komórkowych.

– Właśnie w tym miejscu stała chatka myśliwska Torgenssona.

D'Agosta zlustrował wzrokiem poszczególne budynki. Jego nadzieje rozbudzone podczas krótkiego spaceru znów przygasły.

– Jest tak, jak powiedział Blast – mruknął. – To beznadziejna sprawa.

Pendergast włożył ręce do kieszeni i podszedł do centrum handlowego. Uważnie przyjrzał się wszystkim budynkom. D'Agosta nie był w stanie wykrzesać tyle energii, aby zrobić to samo, stał więc tylko na parkingu i patrzył. Po niecałych pięciu minutach agent wrócił. Bez słowa zlustrował horyzont, obracając się niemal niedostrzegalnie, aż powoli, uważnie omiół wzrokiem wszystko w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Powtórzył tę czynność, tym razem jednak zatrzymując się w połowie obserwacji.

– Przyjrzyj się temu budynkowi, Vincencie – powiedział.

D’Agosta podążył wzrokiem w stronę centrum dla zwiedzających, które znajdowało się na samym początku ich obserwacyjnego kręgu.

– Ale o co chodzi? – spytał.

– Niegdyś z całą pewnością była to stacja pomp. Styl neogotycki wskazuje, że musi on pochodzić z czasów pierwotnego miasteczka St. Michel. – Przerwał. – Tak – mruknął po chwili. – Z pewnością tak.

D’Agosta czekał.

Pendergast odwrócił się i wskazał w przeciwnym kierunku. Z tego miejsca mieli dobry widok na promenadę, zniszczone wrota śluzy i szeroką połąć Missisipi.

– Ciekawe – ciągnął Pendergast. – To niewielkie centrum handlowe znajduje się dokładnie w linii prostej pomiędzy starą stacją pomp a wrotami śluzy przy rzece.

Pendergast ruszył szybkim krokiem w kierunku rzeki. D’Agosta poczłapał za nim.

Zatrzymując się niemal tuż nad brzegiem, Pendergast pochylił się, by zbadać wrota śluzy. D’Agosta zauważył, że prowadziły do wielkiej kamiennej rury, która była zalana betonem i częściowo zasypiana. Pendergast wyprostował się.

– Tak jak myślałem. Był tu stary akwedukt.

– Tak? I co to oznacza?

– Ten akwedukt został zasypany i wyszedł z użycia, kiedy wschodnią część St. Michel pochłonięła rzeka. To godne uwagi.

D’Agosta nie podzielał entuzjazmu przyjaciela dla szczegółów historycznych.

– Z całą pewnością już pojmujesz, Vincencie? Chata Torgenssona musiała zostać zbudowana już po zasypaniu akweduktu.

D’Agosta wzruszył ramionami. Za cholerę nie wiedział, do czego zmierza Pendergast.

– W tej części świata powszechną praktyką, przynajmniej kiedy

wznoszono budowle nad ciągiem starego akweduktu lub wodociągu, było to, że wykorzystywano odcinek akweduktu jako fundament i podpiwniczenie. To pozwalało zaoszczędzić sporo trudu w czasach, kiedy piwnice kopano ręcznie.

– Myślisz, że wodociąg wciąż tam jest?

– Tak. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku, kiedy zbudowano chatę, przemyślnie wykorzystano fragment opuszczonego, odciętego tunelu, teraz rzecz jasna suchego, jako piwnicę budynku. Te stare akwedukty miały czworokątne, a nie okrągły przekrój i wykonano je z obrobionego, ciosanego kamienia. Budowniczowie musieli jedynie ściąć fundamenty, skonstruować dwie ceglane ściany po bokach, prostopadłe do istniejących już ścian akweduktu, i *voilà*, piwnica gotowa.

– I uważasz, że właśnie tam znajdziemy Czarny Obraz? – spytał nieco zdyszczanym głosem D’Agosta. – W piwnicy Torgenssona?

– Nie. Nie w piwnicy. Pamiętasz liścik, który pokazał nam Blast? „Przeszukaliśmy chałupę od piwnic aż po dach. Jest pusta, nie zostało w niej nic cennego i na pewno nie ma tam obrazu Audubona”.

– Jeżeli nie ma go w piwnicy, to czym się tak ekscytujesz?

Entuzjazm Pendergasta bywał niekiedy irytujący.

– Pomyśl tylko: ciąg szeregowych domów usytuowanych wzdłuż jednej linii nad starym nieużywanym tunelem, każdy z piwnicą wygospodarowaną z fragmentu tego tunelu. Ale, Vincencie, pomyśl także o przestrzeni pomiędzy domami. Nie zapominaj, że piwnice powinny mieć mniej więcej wielkość domów nad nimi.

– Zatem... uważasz, że pomiędzy piwnicami powinny być stare wolne przestrzenie?

– Właśnie tak. Fragmenty starego akweduktu pomiędzy każdą piwnicą, odcięte ceglanymi ścianami i nieużywane. Właśnie tam Torgensson mógł ukryć Czarny Obraz.

– Dlaczego miałby ukryć go tak skrzętnie?

– Możemy zakładać, że skoro obraz był dla Torgenssona

wyjatkowo cenny, raczej nie chciał się z nim rozstać, nawet gdy popadł w skrajną nędzę. Musiał przedstawiać ogromną wartość, skoro doktor chciał mieć go możliwie jak najbliżej. No ale jak wiadomo, musiał dobrze go ukryć, aby nie przechwycili go wierzyciele.

– Przecież w chatę uderzył piorun. Chałupa spłonęła doszczętnie.

– To prawda. Jeżeli jednak nasza logika jest słuszna, obraz powinien być bezpieczny w swojej niszy, dobrze zabezpieczony w tunelu starego akweduktu pomiędzy jedną a drugą piwnicą.

– Musimy zatem tylko dostać się do piwnicy salonu sprzedaży telefonów komórkowych.

Pendergast uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu D'Agosty.

– Rzecz w tym, że ten salon nie ma piwnicy. Sprawdziłem to, kiedy wszedłem do środka. Piwnica, która kiedyś się tam znajdowała, musiała zostać zasypana po pożarze.

D'Agosta znów poczuł, że ogarnia go przygnębienie.

– Co wobec tego możemy zrobić w tej sytuacji? Przecież nie sprowadzimy buldożera, aby zrównać ten salon z ziemią i przekopać się do starych piwnic.

– Nie. Ale moglibyśmy się dostać do tuneli z którejs z przyległych piwnic, które, jak sprawdziłem, nadal istnieją. Pytanie brzmi: do której z nich powinniśmy spróbować przedostać się najpierw?

W oczach Pendergasta znów pojawiły się rzadko widywane ostatnio iskierki ożywienia: cieszył się na myśl o nadchodzącym polowaniu.

– Mam ochotę na pączka – powiedział. – A ty?

St. Francisville, Luizjana

Z wysiłkiem, pieczołowicie doktor Morris Blackletter zamocował serwomechanizm do montowanego właśnie tylnego koła. Sprawdził go raz i drugi, po czym podłączył kabel USB z panelu sterowania do laptopa i przeprowadził diagnostykę. Chyba wszystko w porządku. Napisał prosty czterolinijkowy program, wpisał do urządzenia kontrolnego i wydał komendę wykonania. Mały robocik, niezbyt ładna składanka procesorów, silniczków i czujników, potoczył się po podłodze dokładnie przez pięć sekund, po czym stanął.

Blackletter poczuł falę nieopisanego triumfu, gdyż to osiągnięcie wprawilo go w istny zachwyty. Przez cały urlop, wpatrując się w angielskie katedry i przesiadując w słabo oświetlonych pubach, w głębi duszy oczekiwał na ten moment.

Wiele lat temu Blackletter przeczytał pracę wyjaśniającą, że emeryci często przejawiają zainteresowania diametralnie różne od tego, czym zajmowali się zawodowo. I ze smutkiem musiał przyznać, że jego również to dotyczy. Przez lata, kiedy pracował w służbie zdrowia – najpierw dla Lekarzy ze Skrzydłami, a później w różnych laboratoriach farmaceutycznych i naukowo-badawczych – miał obsesję na punkcie ludzkiego ciała: jak działa, co sprawia, że zawodzi, jak można utrzymać je w dobrym zdrowiu albo leczyć trawiące je dolegliwości. A teraz bawił się robotami – antytezą ciała

i krwi. Kiedy się wypalają, wyrzuca się je i zamawia następne. Żadnego smutku, żadnej śmierci.

Jak bardzo różniło się to od tych lat, które spędził w krajach Trzeciego Świata, cierpiąc z pragnienia i od ugryzień komarów, ryzykując kulkę od partyzanta któregoś z oddziałów powstańczych, nękaną przez rozkład moralny i czasem chorując – i cały czas dając z siebie wszystko, by powstrzymać grożące tam epidemie. Ocalił setki, a może nawet tysiące istnień, ale tak wielu ludzi poumierało. Oczywiście to nie była jego wina. Niemniej jednak było coś jeszcze, o czym starał się nigdy nie myśleć. Właśnie to bardziej niż cokolwiek innego sprawiło, że uciekł od ciała i krwi i teraz zadowala się plastikiem i silikonem.

No i proszę, znów o tym myślał. Pokręcił głową, jakby chciał się pozbyć dręczącego poczucia winy, i ponownie przeniósł wzrok na robota. Powoli poczucie winy ustępowało – co się stało, to się nie odstanie, a jego pobudki zawsze były czyste. Na ustach wykwitł mu uśmiech.

Uniósł rękę i pstryknął palcami. Czujnik dźwięku robota wychwycił odgłos i maszyna odwróciła się w stronę jego źródła.

– Robo chce krakersa – wychrypiał automat metalicznym, bezosobowym głosem.

Czując absurdalne wręcz zadowolenie, Blackletter podniósł się i wyszedł z gabinetu do kuchni, aby wypić ostatnią filiżankę herbaty przed pójściem do łóżka. Nagle znieruchomiał, z dłonią na dzbanku z herbatą, nasłuchując.

Dźwięk się powtórzył. Skrzypnięcie deski.

Blackletter powoli odstawił dzbanek na kontuar. Czy to wiatr? Ale nie, noc była spokojna, bezwietrzna. Może ktoś na ulicy? Tyle że dźwięk był zbyt wyraźny, musiał dochodzić z bliska.

A może to wszystko tylko mu się zdawało? Ludzki umysł miał tendencję do takich rzeczy i on doskonale o tym wiedział – brak faktycznych bodźców słuchowych często skłaniał mózg do wytwarzania ich samemu. Przesiedział w gabinecie wiele godzin

i...

Kolejne skrzypnięcie. Tym razem był pewien – dźwięk dochodził z wnętrza domu.

– Kto tam? – zawołał.

Skrzypienie ustało.

Czy to włamywacz? Raczej nie. Przy tej ulicy stały domy znacznie okazalsze, wytworniejsze niż jego.

Wobec tego kto?

Skrzypienie rozległo się ponownie, regularne, rozmyślne. Teraz potrafił już określić, skąd dochodziło – z salonu we frontowej części domu. Spojrzał w kierunku telefonu i zobaczył puste widełki. Cholerne aparaty bezprzewodowe. Gdzie zostawił telefon? Oczywiście w gabinecie, obok laptopa.

Wrócił szybko do pokoju i zabrał telefon z biurka. I nagle znieruchomiał. Ktoś był w korytarzu, tuż za drzwiami. Wysoki mężczyzna w długim płaszczu wyłonił się z ciemności.

– Co robisz w moim domu? – rzucił stanowczo Blackletter. – Czego chcesz?

Intruz nie odezwał się, zamiast tego odchylił połę płaszcza, ukazując strzelbę z obciętymi lufami, typowego obrzyna. Kolba była wykonana z ciężkiego czarnego drewna, zdobiona tureckimi rozetami, a w słabym świetle gabinetu metal przyciętych luf połyskiwał srebrzyście.

Blackletter stwierdził, że nie jest w stanie oderwać wzroku od broni. Cofnął się o krok.

– Zaczekaj – zaczął. – Nie rób tego. Popełniasz błąd... porozmawiajmy...

Broń uniosła się. Rozległo się donośne „baam, baam!”, gdy wystrzały z obu luf nastąpiły niemal równocześnie.

Blackletter został odrzucony do tyłu i z głośnym łupnięciem uderzył o ścianę, po czym osunął się na ziemię. Z drewnianych półek posypał się na niego deszcz oprawionych w ramki zdjęć i bibelotów.

Frontowe drzwi już się zamykały.

Robot, którego czujniki zaalarmował hałas, obrócił się w stronę nieruchomej postaci swojego konstruktora.

– Robo chce krakersa – powiedział, a jego wąty głosik tłumiała krew, która zachlapała miniaturowy głośnik. – Robo chce krakersa.

Port Allen, Luizjana

Następny dzień był ponury i deszczowy w przeciwieństwie do poprzedniego. D'Agostie to odpowiadało – dzięki temu w cukierni będzie mniej klientów. Miał spore wątpliwości co do planu Pendergasta.

Agent siedzący za kierownicą rollsa pomknął z autostrady międzystanowej nr 10 na zjazd do Port Allen; koła syczały na wilgotnym asfalcie. D'Agosta na fotelu pasażera przeglądał egzemplarz „New Orleans Star-Picayune”.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego nocą – powiedział.

– W lokalu jest alarm antywłamaniowy. A poza tym hałas zwracałby większą uwagę.

– Lepiej, żebyś to ty mówił. Mam wrażenie, że mój akcent z Queens nie spotka się w tej okolicy z większą przychylnością.

– Masz rację, Vincencie.

D'Agosta zauważył, że Pendergast ponownie zerka w lusterko wsteczne.

– Mamy towarzystwo? – zapytał.

Pendergast tylko się uśmiechnął. Zamiast tradycyjnego czarnego garnituru miał na sobie kraciatą roboczą koszulę i dżinsy. Nie przypominał już przedsiębiorcy pogrzebowego, lecz raczej grabarza.

D'Agosta przewrócił kolejną stronę i zatrzymał się przy artykule opatrzonym nagłówkiem: „Emerytowany naukowiec zamordowany we własnym domu”.

– Hej, Pendergast – powiedział, kiedy przeczytał kilka akapitów.
– Posłuchaj tylko, ten facet, z którym chciałeś rozmawiać, dawny szef Helen, Morris Blackletter, został zamordowany we własnym domu.

– Zamordowany? W jaki sposób?

– Zastrzelony.

– Czy policja podejrzewa nieudany rabunek?

– Tego w artykule nie napisano.

– Musiał właśnie wrócić z urlopu. Wielka szkoda, że nie porozmawialiśmy z nim wcześniej. Mógłby się okazać bardzo pomocny.

– Ktoś inny dotarł do niego wcześniej. I domyślam się, kto to był.

– D'Agosta pokręcił głową. – Może powinniśmy wrócić na Florydę i przycisnąć Blasta?

Pendergast skręcił w Court Street, w stronę centrum i rzeki.

– Być może, ale motywy Blasta wydają mi się niejasne.

– Bynajmniej. Helen mogła powiedzieć Blackletterowi, że Blast ją szantażował. – D'Agosta złożył gazetę i włożył w szczelinę przy siedzeniu. – Rozmawiamy z Blastem, a następnego wieczoru zostaje zamordowany Blackletter. Nie zauważasz zbiegu okoliczności?

Pendergast wyglądał na zamyślonego. Jednak zamiast odpowiedzieć, zjechał z Court Street i wprowadził rollsa na parking o przecnicę od ich punktu docelowego. Wyszli na siąpiący deszcz, a Pendergast otworzył bagażnik. Podał D'Agoście żółty kask ochronny i dużą płócienną torbę na narzędzia. Wyjął też drugi kask, który włożył. Na koniec wyciągnął ciężki pas z narzędziami, z którego zwieszały się latarki, taśmy miernicze, cęgi i inne przybory, po czym zapiął go wokół talii.

– Idziemy? – zapytał.

W cukierni Pappy's Donette Hole panował spokój: dwie dziewczyny stały za kontuarem, podczas gdy samotny klient zamówił kilka pączków z podwójną czekoladą. Pendergast czekał, aż tamten zapłaci i wyjdzie, po czym postąpił naprzód, pobrzękując pasem z narzędziami.

– Zastaliśmy kierownika? – zapytał stanowczym tonem, a jego południowy akcent zabrzmiał nieco wyraźniej niż zazwyczaj.

Jedna z dziewcząt bez słowa odwróciła się i wyszła na zaplecze. Chwilę potem wróciła z mężczyzną w średnim wieku. Jego grube przedramiona były porośnięte jasnymi włoskami, a on pomimo chłodnego dnia był silnie spocony.

– Taa? – rzucił, wycierając uproszone mąką dłonie w fartuch, na którym widniały już ślady tłuszczu i ciasta na pączki.

– Pan jest kierownikiem?

– Taa.

Pendergast sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wyjął skromny portfel.

– Jesteśmy z Wydziału Budownictwa Departamentu Bezpieczeństwa Budowlanego. Nazywam się Addison, a mój kolega Steele.

Mężczyzna przyjrzał się dokumentowi, który Pendergast spreparował poprzedniego wieczoru, po czym burknął:

– O co chodzi?

Pendergast schował portfel i wyjął kilka spiętych zszywkami dokumentów o wyraźnie oficjalnym charakterze.

– Nasze biuro prowadzi kontrolę stanu i dokumentacji budynków w tej okolicy i okazało się, że kilka z nich, w tym pański, ma problemy. Poważne problemy.

Mężczyzna spojrział na podsunięte w jego stronę dokumenty i zmarszczył brwi.

– Jakiego rodzaju problemy?

– Nieścistości w dokumentacjach, brak niektórych zezwoleń, wady strukturalne.

– To niemożliwe – odparł tamten. – Regularnie mamy inspekcje, a nasza żywność i urządzenia sanitarne są...

– Nie jesteśmy inspektorami żywności – przerwał sarkastycznie Pendergast. – Z dokumentacji wynika jasno, że budynek został wzniesiony bez właściwych zezwoleń.

– Ejże, ejże, chwileczkę. Jesteśmy tu już od dwudziestu lat...

– A jak pan sądzi, dlaczego przeprowadzamy tę kontrolę? – rzucił Pendergast, wymachując dokumentami przed spoconą twarzą mężczyzny. – Wykryto nieprawidłowości. Pojawiły się podejrzenia o korupcję.

– Wobec tego to nie ze mną powinniście o tym rozmawiać. Biuro franczyzy zajmuje się...

– To pan jest tu teraz. – Pendergast wychylił się do przodu. – Musimy zejść do piwnicy i sprawdzić, jak poważna jest sytuacja. – Pendergast włożył dokumenty na powrót do kieszeni koszuli. – Natychmiast.

– Chce pan zobaczyć piwnicę? Proszę bardzo – rzucił kierownik, pocąc się obficie. – To nie moja wina, jeżeli pojawił się jakiś problem. Ja tu tylko pracuję.

– Dobrze. Chodźmy więc.

– Joanie wskaże panom drogę na dół, podczas gdy Mary Kate będzie obsługiwać klientów.

– O nie. – Pendergast znowu mu przerwał. – O nie, nie, nie. Żadnych klientów, dopóki nie skończymy.

– Żadnych klientów? – powtórzył mężczyzna. – Ja tu próbuję prowadzić cukiernię.

Pendergast nachylił się ku niemu.

– To niebezpieczna sytuacja, może wchodzić w grę zagrożenie życia. Nasze analizy wykazały, że budynek jest niestabilny. Musi pan zamknąć lokal dla klientów, dopóki nie sprawdzimy stanu fundamentów i nie upewnimy się, że jest bezpiecznie.

– No nie wiem – powiedział kierownik z coraz bardziej ponurą miną.

– Będę musiał zadzwonić do głównego biura. Nigdy dotąd nie zamykaliśmy cukierni w godzinach pracy, a zgodnie z treścią mojego kontraktu...

– Nie wie pan? Nie zamierzamy marnować czasu, podczas gdy pan będzie tu ucinął sobie pogawędki z tym lub tamtym. – Pendergast zbliżył się do niego jeszcze bardziej. – Ale dlaczego właściwie tak gra pan na czas? Wie pan, co by się stało, gdyby nagle podłoga się zarwała pod klientem pałaszującym, dajmy na to... – Pendergast przerwał, by zerknąć na menu umieszczone nad kontuarem. – Czekoladowo-bananowego pączka z podwójnym nadzieniem i polewą?

Mężczyzna bez słowa pokręcił głową.

– Stanąłby pan przed sądem. Oskarżony o zaniedbanie prowadzące do utraty życia. Zabójstwo drugiego stopnia. A może nawet pierwszego stopnia.

Kierownik cofnął się o krok. Z trudem łapał powietrze, a na jego czole perlił się pot.

Pendergast czuł narastające napięcie.

– Powiem panu, co zrobię – oznajmił nagle z wyraźną wielkodusznością. – Podczas gdy pan powiesi na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”, pan Steele i ja zejdziemy na dół i przeprowadzimy szybką inspekcję. Jeżeli sytuacja nie jest tak poważna, jak nam mówiono, będzie pan mógł otworzyć interes, a my na miejscu sporządzimy raport kontrolny.

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Odwrócił się do pracownic.

– Mary Kate, zamkniemy na kilka minut. Joanie, wskaż panom drogę do piwnicy.

Pendergast i D’Agosta przeszli za Joanie przez kuchnię, minęli spiżarnię i toalety, po czym dotarli do nieoznakowanych drzwi. Za nimi strome betonowe schody prowadziły w ciemność. Dziewczyna zapaliła światło, ukazując graciarnię starych sprzętów – wielkich przemysłowych mikserów i smażalnic, które najwyraźniej czekały na naprawę. Sama piwnica wyglądała na dość starą, z nierównymi

ścianami z nieotynkowanego kamienia łączonego warstwami zaprawy. Pozostałe dwie ściany były ceglane. Te, choć ewidentnie jeszcze starsze, zostały zbudowane znacznie solidniej. Przy schodach pod ścianą stały plastikowe pojemniki na śmieci, w rogu zaś wałała się sterta brezentu i folii.

Pendergast odwrócił się.

– Dziękuję, Joanie. Pracujemy sami. Wychodząc, zamknij za sobą drzwi.

Dziewczyna pokiwała głową i znikła na schodach.

Pendergast podszedł do jednej z ceglanych ścian.

– Vincencie – powiedział swoim normalnym głosem – o ile się nie mylę, trzy metry dalej znajduje się kolejna ściana będąca niegdyś ścianą piwnicy domu Arne Torgenssona. A pomiędzy jedną a drugą powinniśmy napotkać fragment starego akweduktu, gdzie, być może, nasz doktorek ukrył coś cennego.

D’Agosta z głośnym łupnięciem upuścił na ziemię torbę z narzędziami.

– Obstawiam, że mamy góra dwie minuty, zanim ten palant na górze skontaktuje się z szefem i cała sprawa się rypnie.

– Używasz wykwintnego słownictwa – mruknął Pendergast, przyglądając się ceglanej ścianie przez lupę i uderzając w mur młotkiem kulkowym. – Niemniej myślę, że jestem w stanie dać nam trochę więcej czasu.

– Och, naprawdę? Jak to?

– Obawiam się, że muszę poinformować naszego przyjaciela kierownika, że sytuacja jest poważniejsza, niż sądziliśmy. Cukiernia nie tylko musi zostać zamknięta dla klientów, lecz również cały personel musi opuścić budynek do czasu zakończenia przez nas kontroli.

Miękkie kroki wspinającego się po schodach Pendergasta rozplynęły się w ciszy. D’Agosta czekał w chłodnej, suchej ciemności. Po chwili z góry dobiegły jakieś dźwięki, podniesione głosy, oznaki protestu. Hałas ucichł niemal równie szybko, jak

wybuchnął. Po chwili Pendergast pojawił się na schodach. Starannie zamknął za sobą drzwi i przekręcił zasuwkę, po czym zszedł po schodach do leżącej na ziemi torby z narzędziami i wyjął z niej młot kowalski o krótkim trzonku, który podał D'Agoście.

– W twoje ręce, Vincencie – powiedział, a na jego ustach pojawił się prawie niedostrzegalny cień uśmiechu.

36

D'Agosta zważył w dłoni młot kowalski, a Pendergast nachylił się w stronę starej ściany, by postukać najpierw w jedną, potem w drugą cegłę, i przez cały czas uważnie nasłuchiwał. Światło było słabe i D'Agosta musiał mrużyć oczy, aby cokolwiek zobaczyć. Po dłuższej chwili agent mruknął z zadowoleniem i wyprostował się.

– Tutaj – powiedział, wskazując na cegłę pośrodku ściany.

D'Agosta podszedł i wprawnie zamachnął się młotem jak kijem baseballowym.

– Załatwiłem nam pięć minut – rzekł Pendergast. – Góra dziesięć. Potem nasz miły kierownik z całą pewnością wróci. I tym razem może nie być sam.

D'Agosta zamachnął się młotem na ścianę. Choć chybił o kilka cegieł od wskazanego miejsca, głowica młota wbiła się w mur z taką siłą, że poczuł to w dłoniach i w ramionach; drugie uderzenie, podobnie jak trzecie, było celniejsze. Odstawił młot na ziemię, otarł dłonie w spodnie, mocniej uchwycił trzonek i wrócił do pracy. Jeszcze kilkanaście solidnych uderzeń i Pendergast ruchem ręki kazał mu przestać. D'Agosta cofnął się zdyszany.

Agent podszedł, rozwiewając dłonią kłęby cementowego pyłu, poświecił latarką na ścianę i znów zastukał w kilka cegieł.

– Obluzowują się. Kontynuuj, Vincencie.

D'Agosta znów wykonał kilka mocnych uderzeń w ścianę. Ostatniemu towarzyszył głuchy łoskot i jedna z cegieł rozleciała się

na kawałki. Pendergast natychmiast podszedł szybkim krokiem z dłutem w jednej i młotkiem w drugiej ręce. Przez chwilę obmacywał koniuszkami palców kruszącą się ścianę, po czym uniósł młotek i zadał kilka starannie wymierzonych uderzeń w ustępującą siatkę zaprawy i starego betonu. Kolejnych kilka cegieł obluzowało się, a Pendergast usunął dłońmi następne. Upuścił młotek i dłuto, by poświecić latarką na ścianę. Otwór w murze miał teraz rozmiary piłki plażowej. Pendergast wsunął głowę do środka, omiatając znajdującą się za murem niszę promieniem latarki.

– Co widzisz? – spytał D’Agosta.

W odpowiedzi Pendergast cofnął się.

– Jeszcze parę razy – rzekł, wskazując na młot kowalski.

D’Agosta uderzył w krawędzie nierówno postrzępionego otworu, koncentrując się na jego górnej części. Cegły i ich odłamki posypały się na ziemię pośród kaskad cementowego pyłu. Wreszcie Pendergast znów dał przyjacielowi znak, żeby przestał. D’Agosta, dysząc z wysiłku, nie próbował oponować.

Zza zamkniętych drzwi u szczytu schodów rozległ się hałas. To kierownik wrócił do budynku.

Pendergast podszedł do otworu w ścianie, a D’Agosta stanął tuż za nim. Przez kłęby kurzu promienie latarki ujawniły płytką wnękę znajdującą się tuż za uszkodzoną ścianą. Była to komora o rozmiarach cztery metry na metr dwadzieścia. Nagle D’Agosta wstrzymał oddech. Promień jego latarki padł na płaską drewnianą skrzynię opartą o przeciwległą ścianę wzmocnioną z obu stron drewnianymi stemplami. Miała dokładnie takie wymiary, jakie zdaniem D’Agosty powinien mieć obraz. Wśród kłębow kurzu nie dostrzegł niczego więcej. Klamka przy drzwiach na górze poruszyła się energicznie.

– Ejże! – rozległ się głos kierownika, który odzyskał już swój wcześniejszy agresywny charakter. – Co się tam wyprawia na dole?

Pendergast rozejrzał się gwałtownie dokoła.

– Vincencie – powiedział, kierując promień latarki na stertę brezentu i folii leżące pod ścianą. – Pospiesz się.

Nie musiał mówić nic więcej. D’Agosta podbiegł do sterty, poszukując wśród niej płachty brezentu odpowiednich rozmiarów, podczas gdy Pendergast przeszedł przez wybity w ścianie otwór.

– Schodzę do was – rzucił kierownik, poruszając klamką. – Otwierać!

Pendergast wyciągnął skrzynię z miejsca, gdzie ją ukryto, a D’Agosta pomógł mu przełożyć ją przez otwór, po czym obaj starannie owinęli skrzynię płachtą.

– Dzwoniłem do centrali franczyzy w Nowym Orleanie – znowu rozległ się głos kierownika. – Nie możecie tak po prostu przyjść i zamknąć lokal! Nikt nigdy nie słyszał o tego rodzaju kontroli...

D’Agosta uchwycił skrzynię z jednej strony, Pendergast z drugiej, po czym zaczęli się wspinać po schodach. D’Agosta usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

– Z drogi! – krzyknął Pendergast, wyłaniając się wśród kłębow pyłu wewnątrz słabo oświetlonej piwnicy. Trzymali drewnianą skrzynię owiniętą w brezent. – Z drogi, ale już!

Drzwi otworzyły się i przed D’Agostą i Pendergastem stanął poczerwieniały na twarzy kierownik.

– Co tam macie, do cholery? – warknął gniewnie.

– Potencjalny dowód przestępstwa. – Wyszli na podest. – Pańska sytuacja jest gorsza, niż podejrzewaliśmy, panie... – Pendergast spojrział na plakietkę na piersi kierownika. – Panie Bona.

– Moja sytuacja? Jestem tu kierownikiem zaledwie od pół roku. Zostałem przeniesiony z...

– Jest pan potencjalnym współnikiem w tym procederze. Jeżeli doszło tu do działania o charakterze przestępczym, a coraz bardziej przekonuję się, że tak, pańskie nazwisko na pewno pojawi się w trefnych dokumentach. A teraz proszę zejść nam z drogi albo oskarżę pana dodatkowo o utrudnianie dochodzenia!

Przez chwilę nic się nie działo. Wreszcie Bona z wyraźnym

wahaniem zszedł na bok. Pendergast minął go, dźwigając do spółki z D'Agostą owiniętą brezentem skrzynię.

– Musimy się spieszyć – rzucił cicho Pendergast, gdy wyszli z cukierni.

Kierownik tymczasem już schodził do piwnicy, wystukując równocześnie numer na klawiaturze komórki.

Przebrnęli przez ulicę do rolls-royce'a. Pendergast otworzył bagażnik i wspólnie z D'Agostą wstawili skrzynię do środka, nie zdejmując z niej brezentowego przykrycia. Zaraz potem wrzucili do bagażnika kaski oraz torbę z narzędziami. Zatrzasnęli bagażnik i wsiedli do samochodu. Pendergast nawet nie zadał sobie trudu, by zdjąć pas z narzędziami opasujący jego talię.

Kiedy agent uruchomił limuzynę, D'Agosta ujrzał kierownika wyłaniającego się z cukierni. Mężczyzna w dłoni wciąż trzymał komórkę.

– Ej! – usłyszeli jego głos dobiegający z drugiego końca ulicy. – Ej, wy! Stać!

Pendergast wrzucił bieg i dodał gazu. Rolls-royce wykręcił z piskiem opon i pomknął w głąb ulicy, w kierunku Court Street i autostrady.

Agent spojrzał na D'Agostę.

– Dobra robota, mój drogi Vincencie.

I tym razem na jego ustach pojawił się szeroki promienny uśmiech.

37

Skrećili w Alexander Drive, po czym zjechali na autostradę międzystanową nr 10 i most Horace'a Wilkinsona. D'Agosta z ulgą rozsiadł się w fotelu. Szeroka Missisipi przetaczała pod nimi swoje wody, leniwe i mroczne, a niebo było ołowiane.

– Myślisz, że to jest to? – spytał D'Agosta. – Czarny Obraz?

– Bez wątpienia.

Z mostu zjechali do Baton Rouge. Było późne popołudnie, ruch na ulicach umiarkowany. Strugi deszczu siekły o przednią szybę i bębniły w dach samochodu. Pojazdy kierujące się na południe zostawały w tyle. Minęli wjazd na autostradę międzystanową nr 12, gdy D'Agosta poruszył się niespokojnie. Nie chciał się niepotrzebnie łądzić. Może jednak dopisze im szczęście i będzie mógł już niedługo zobaczyć się z Laurą Hayward. Nie zdawał sobie sprawy, że tak trudna będzie ta wymuszona rozłąka. Wieczorne rozmowy bardzo mu pomagały, ale to nie to samo co...

– Vincencie – rzekł Pendergast. – Zerknij z łaski swojej w lusterko boczne.

D'Agosta zrobił to. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego podejrzanego w jadących za nimi autach. Kiedy jednak Pendergast zmienił pas, zauważył, że jeden z samochodów, cztery, pięć pojazdów za nimi, wykonał ten sam manewr. To był nowiutki sedan, granatowy lub może czarny, w deszczu trudno rozróżnić.

Pendergast nieznacznie przyspieszył, mijając kilka samochodów,

po czym wrócił na poprzedni pas. Minutę lub dwie później ciemny sedan zrobił to samo.

– Widzę go – mruknął D’Agosta.

Jechali przez kilka kolejnych minut. Samochód podążał za nimi, trzymając się z tyłu, aby nie rzucać się w oczy.

– Myślisz, że to kierownik? – spytał D’Agosta. – Bona?

Pendergast pokręcił przecząco głową.

– Ten facet śledzi nas od rana.

– Co zrobimy?

– Zamierzam poczekać, aż znajdziemy się na obrzeżach miasta. Potem zobaczymy. Tutejsze drogi mogą się okazać użyteczne.

Minęli centrum handlowe, kilka parków i country clubów. Krajobraz przeszedł w podmiejski, a w końcu w prowincjonalny. D’Agosta wyjął glocka i włożył pocisk do komory.

– Przyjmijmy to rozwiązanie za ostateczność – wyjaśnił Pendergast. – Nie możemy ryzykować uszkodzenia obrazu.

A co z nami?, pomyślał D’Agosta. Popatrzył w lusterko boczne, ale nie był w stanie zajrzeć do wnętrza ciemnego sedana. Kiedy minęli zjazd do Sorrento, ruch na drogach jeszcze się zmniejszył.

– Spróbujemy go przygwoździć? – spytał D’Agosta. – Sprowokować?

– Wolałbym go zgubić – odrzekł Pendergast. – Zdziwiłbyś się, co potrafi zrobiony na zamówienie, podrasowany rolls.

– Tak, jasne...

Pendergast dodał gazu i ostro zakręcił kierownicą w prawo. Rolls wyrwał do przodu, reagując zdumiewająco płynnie jak na tak wielki pojazd, po czym, nie zwalniając, przeciął dwa pasy ruchu i wjechał na rampę zjazdową.

D’Agosta przechylił się ciężko w bok, opierając się całym ciałem o drzwiczki. Znów spojrzął w lusterko i zobaczył, że śledzący ich pojazd zajechał drogę ciężarówce, by również skręcić na zjazd.

Na końcu zjazdu Pendergast minął znak stopu i wjechał na drogę nr 22, z piskiem opon wchodząc w zakręt stu dwadziestu stopni.

Wprawnie opanowując pojazd, Pendergast znalazł się na właściwym pasie, po czym znów dodał gazu. Pomknęli drogą stanową, mijając furgonetkę firmy remontowej, buicka i ciężarówkę do przewozu langust. Za nimi rozległy się wściekłe klaksony.

D'Agosta obejrzał się przez ramię; sedan jechał za nimi, nie próbując już tego ukrywać.

– Wciąż jest za nami – powiedział.

Pendergast pokiwał głową i przyspieszył jeszcze bardziej. Przemknęli przez niewielką dzielnicę handlową, trzy przecznice sklepów z artykułami żelaznymi i dla rolników. Minęli je tak szybko, że sklepiki za szybą limuzyny wyglądały jak rozmyta szara plama. Przed nimi widać było światła na skrzyżowaniu drogi nr 22 z autostradą Airline; kilka pojazdów przejechało przez skrzyżowanie, widać było zapalające się światła hamowania. Przecięli tory, na wzniesieniu rolls przez moment oderwał się od ziemi, po czym zbliżyli się do skrzyżowania. W tej samej chwili światła zmieniły się na żółte, a następnie na czerwone.

– Chryste – mruknął D'Agosta i mocniej złapał się uchwytu przy drzwiach pasażera.

Mrugając światłami i naciskając klakson, Pendergast znalazł pas pomiędzy autami znajdującymi się przed nimi a tymi nadjeżdżającymi z przeciwka. Rozległy się klaksony, gdy przecięli wilgotne od deszczu skrzyżowanie, o włos unikając zderzenia z monstrualną ciężarówką. Pendergast nie zdejmował nogi z gazu, a igła prędkościomierza drżąc wskazywała sto pięćdziesiąt.

– Może powinniśmy po prostu stanąć i stawić czoło temu facetowi – rzucił D'Agosta. – Zapytać, dla kogo pracuje.

– Jakie to nudne. Poza tym wiemy, dla kogo on pracuje.

Minęli jedno auto, potem drugie i kolejne, pojazdy wyglądały jak nieruchome rozmyte plamy na drodze. Wreszcie zostawili za sobą wszystkie samochody, a droga przed nimi była pusta. Domy, budynki handlowe i zapuszczone, smętne sklepiki zostały w tyle, gdy wjechali na bagienne tereny. Drzewa wyglądające jak grupka

posepnych strażników na tle szarego, metalicznego nieba ledwie im mignęły przed oczami. Wycieraczki miarowo poruszały się po szybie.

D'Agosta nieznacznie rozluźnił palce na uchwycie drzwiczek. Obejrzał się przez ramię. Pusto.

Nie, jednak nie. Spośród mglistych kształtów aut za nimi wyłonił się jeden pojazd. Ciemny sedan wciąż był daleko, ale szybko się zbliżał.

– Cholera – burknął D'Agosta. – Przejechał przez skrzyżowanie. Uparta łajza.

– Mamy coś, czego on chce – zauważył Pendergast. – To jeszcze jeden powód, by nie dać się dogonić.

Droga zwęziła się, gdy wjechali głębiej na podmokłe równiny.

D'Agosta bez przerwy patrzył do tyłu, gdy z piskiem opon wchodzili w długi zakręt. Kiedy sedan zniknął im z oczu, policjant poczuł, że limuzyna zaczęła zwalniać.

– Teraz mamy szansę... – zaczął.

Nagle rollsem ostro zarzuciło w bok. D'Agosta, który omal nie poleciał do tyłu, poprawił się w fotelu. Zjechali z szosy na wąską polną drogę ciągnącą się przez moczary. Na brudnej powgniatanej tablicy widniał napis: „Rezerwat Desmirail – wjazd dla pojazdów służbowych”.

Samochód zakołysał się gwałtownie na błotnistej ścieżce. W jednej chwili D'Agostę rzuciło na drzwiczki, w następnej policjant podskoczył na fotelu; od uderzenia głową o dach uchronił go tylko pas bezpieczeństwa. Jeszcze chwila takiej jazdy, pomyślał ponuro, i połamiemy obie osie. Zaryzykował kolejne spojrzenie w lusterko boczne, ale ścieżka była zbyt kręta i widoczność za nimi ograniczona do stu metrów.

Droga służbowa na wprost nich rozgałęziała się. Odchodząca od niej węższa, bardziej nierówna ścieżka ciągnęła się wzdłuż zalewiska. Wejście na nią zabezpieczono łańcuchem z tablicą opatrzoną napisem: „Zakaz wjazdu”.

Zamiast zwolnić, Pendergast jeszcze bardziej przyspieszył.

– Ej, co ty... – zawołał D’Agosta, gdy limuzyna skierowała się ku ścieżce. – Jezu...!

Zerwali łańcuch przy wtórze odgłosu przypominającego wystrzał. Z okolicznych pól i cyprysów wzbiły się w górę stada protestujących czapli, sępów i kaczek. Limuzyna odbiła w lewo i w prawo raz i drugi, D’Agoście zrobiło się ciemno przed oczami, a jego zęby szczękały głośno. Wjechali w gęste trzciny, których łodygi rozstępowały się przed pojazdem przy wtórze drewnianego stukotu. D’Agosta bywał w swojej karierze uczestnikiem pościgów, ale nigdy dotąd nie przeżył czegoś podobnego. Zarośla na moczarach były tak gęste i wysokie, że widoczność przed nimi ograniczała się do paru długości samochodu. Jednak zamiast zredukować prędkość, Pendergast, nie zwalniając, zapalił reflektory.

D’Agosta trzymał się z całych sił, bojąc się choćby na moment odwrócić wzrok od tego, co mieli przed sobą.

– Zwolnij! – zawołał. – Zgubiliśmy go! Na miłość boską, zwolnij...

I nagle wyjechali spomiędzy zarośli. Limuzyna pokonała niewielkie wzniesienie, przeleciała kilka metrów w powietrzu i wypadła na otwartą przestrzeń wykarczowaną wśród moczarów, z kilkoma szarymi zabudowaniami gospodarskimi i sadzawkami otoczonymi wysokim ogrodzeniem z siatki. Dopiero teraz, gdy poprawiła się widoczność i pojawiły się punkty orientacyjne w postaci budynków, D’Agosta zorientował się, jak szybko jechali. Duża, podniszczona przez warunki pogodowe drewniana tablica po jednej stronie była zaopatrzona w napis:

GATORVILLE, USA

Aligatory hodowane na fermie organicznej

Zapasy z aligatorami, wycieczki z przewodnikiem

Wyprawianie skór na miejscu, skóry od 2,5 metra w górę, niskie
ceny!

Mięso aligatora na kilogramy

Otwarte tylko w sezonie

Rolls z łośkotem uderzył o ziemię, szorując po niej podwoziem przy wtórze głośnego zgrzytu, po czym wyrwał do przodu. Pendergast nagle zahamował, a limuzyna zarzuciło na pylistym placu. D'Agosta przeniósł wzrok z tablicy na rozsypujący się drewniany budynek na wprost nich, z dachem z blachy falistej i otwartymi na oścież wierzejami jak w stodole. Na jednym z okien naklejono tablicę z napisem „Przetwórnia”. Uświadomił sobie, że nie było szansy, aby zdołali zatrzymać się w porę.

Rolls wpadł do stodoły, gwałtowna redukcja prędkości i lekkie uderzenie przy hamowaniu wcisnęły D'Agostę w skórzany fotel, aż w końcu samochód stanął. Spowiła ich wielka chmura kurzu. Gdy pył opadł, policjant zobaczył, że rolls wjechał w stertę olbrzymich plastikowych kontenerów na mięso, roztrzaskując kilka z nich. Trzy oskórowane, przechowywane w solance ciała aligatorów spoczywały na masce i przedniej szybie, bladoróżowe, z długimi pasemkami białego tłuszczu.

Nastąpiła chwila dziwnego zawieszenia. Pendergast wyjrzał przez przednią szybę – pokrytą deszczem, strzępami traw, mchu hiszpańskiego i gadzich nieczystości – po czym przeniósł wzrok na D'Agostę.

– Przypomniałem sobie – powiedział – że muszę poprosić Maurice'a, żeby przyrządził swoje słynne *étouffée* z aligatora. Maurice pochodzi z dorzecza Atchafalaya i zna wysmienity przepis przekazywany w jego rodzinie od pokoleń.

Sarasota, Floryda

Z nadejściem wieczoru niebo zaczęło się przejaśniać i niebawem Zatokę Meksykańską spowił łagodny blask księżyca; srebrzyste światło zdawało się kokieteryjnie pieścić niespokojne fale. Chmury, wciąż nabrzmiałe deszczem, przesuwały się szybko po niebie. Spienione fale rozbijały się o plażę przy wtórze głuchego łoskotu.

John Woodhouse Blast nie zwracał na to wszystko uwagi. Krążył niespokojnie w tę i z powrotem, przystając raz po raz, by spojrzeć na zegarek.

Już wpół do jedenastej. Skąd ta zwłoka? Przecież zadanie powinno być proste – robisz swoje i zmykasz. Wcześniejszy telefon sugerował, że wszystko potoczy się gładko, może nawet szybciej, niż zakładał, właściwie o wiele szybciej, niż mógł się spodziewać. Ale to było sześć godzin temu. A teraz, kiedy jego nadzieje zostały rozbudzone, oczekiwanie stawało się naprawdę nie do wytrzymania.

Podszedł do barku, sięgnął po kryształową szklankę, dorzucił garść kostek lodu i polał je szkocką na dwa palce. Upił spory łyk, odetchnął głęboko i znów się napił. Potem podszedł do białej skórzanej kanapy, odstawił szklankę na tacę przed karafką i już miał usiąść, kiedy nagły dzwonek telefonu przerwał pełną napięcia ciszę. Drgnął gwałtownie, odwrócił się w stronę źródła dźwięku,

niemal przewracając przy tym szklanę, i sięgnął po aparat.

– I jak? – Jego własny głos wydawał mu się piskliwy i zdyszany.

– Po wszystkim?

Po drugiej stronie słyhać było tylko ciszę.

– Halo! Ogłuchłeś czy co? Pytałem, czy już po wszystkim?

Wciąż cisza. A potem połączenie zostało przerwane.

Blast gapił się na telefon. Co to miało znaczyć? Nie z nim takie numery. Każdy frajer, który spróbuje go naciągnąć, pożałuje, że się urodził.

Usiadł na kanapie i zrobił sobie kolejnego drinka. Ten dziwny skurwiel czekał na drugim końcu łącza, to pewne, czekał, aby Blast zadzwonił i zaproponował mu więcej szmalu. Prędej piekło zamarnie. Blast wiedział, ile kosztuje taka robota – i co więcej, wiedział, gdzie można nająć innego specjalistę, bardziej doświadczonego, gdyby trzeba było naoliwić jakieś zastate trybiki.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Blast pozwolił sobie na uśmiech. Znów spojrział na zegarek: dwie minuty. Od telefonu minęły tylko dwie minuty. A więc ten sukinsyn chciał pogadać. Uważał się za niezłego cwaniaka. Napił się raz jeszcze i usiadł na kanapie.

Dzwonek do drzwi powtórzył się.

Blast powoli odstawił drinka na tacę. Niech teraz ten skurwiel trochę się spoci. Może nawet spuści z ceny. To już się wcześniej zdarzało.

Dzwonek rozległ się po raz trzeci. Blast w końcu się podniósł, przesunął palcem po cienkim wąsiku, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

Zaraz potem cofnął się o krok zaskoczony. W drzwiach nie stał wredny typ, którego oczekiwał, lecz wysoki mężczyzna o ciemnych oczach, przystojny jak gwiazdor filmowy. Miał na sobie długi trencz z paskiem luźno zawiązanym wokół talii. Blast uświadomił sobie, że popełnił poważny błąd, otwierając drzwi. Zanim jednak zdążył je zamknąć, mężczyzna wszedł do środka i sam je zatrzasnął.

– Pan Blast? – zapytał.

– A kim ty jesteś, do cholery? – warknął Blast.

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna znów postąpił naprzód. Był tak szybki, tak zdecydowany, że Blast ponownie musiał się cofnąć. Szpice, popiskując, pobiegły w bezpieczne miejsce, do sypialni. Wysoki mężczyzna otaksował Blasta wzrokiem, jego oczy błyszczały od jakiejś silnej emocji. Strachu? Gniewu?

Blast przełknął ślinę. Nie miał pojęcia, czego chce ten facet, ale instynkt samozachowawczy, szósty zmysł, powiadomił go o grożącym niebezpieczeństwie.

– Czego chcesz? – spytał.

– Nazywam się Esterhazy – odparł tamten. – Mówi panu coś to nazwisko?

Mówi. I to całkiem sporo. Ten facet, Pendergast, też je wymienił. Helen Esterhazy Pendergast.

– Nigdy go nie słyszałem.

Mężczyzna nazwiskiem Esterhazy błyskawicznym ruchem szarpnął i rozwiązał pasek trenca. Poły płaszcza rozchyliły się, ukazując obrzyna. Blast zatoczył się do tyłu, gdy do akcji weszła adrenalina. Z przeraźliwą przejrzystością zwrócił uwagę, że kolba strzelby była zrobiona z ciemnego czarnego drewna i bogato zdobiona.

– Ej, poczekaj no – rzucił. – Nie wiem, o co chodzi, ale jestem pewien, że możemy się dogadać. Jestem rozsądnym facetem. Powiedz mi, czego chcesz.

– Moja siostra. Co z nią zrobiłeś?

– Nic. Nic. Rozmawialiśmy tylko.

– Rozmawialiście. – Mężczyzna uśmiechnął się. – O czym?

– O niczym. O niczym ważnym. Czy to ten Pendergast cię przysłał? Powiedziałem mu wszystko, co wiem.

– A co wiesz?

– Że jedyne, czego chciała, to obejrzeć obraz. Czarny Obraz znaczy się. Miała pewną teorię na ten temat, tak mówiła.

– Teorię? Jaką?

– Nie pamiętam. Naprawdę. To było tak dawno. Musisz mi uwierzyć.

– Nie. Opowiedz mi coś więcej o tej teorii.

– Powiedziałbym, gdybym pamiętał.

– Na pewno nie pamiętasz nic więcej?

– To wszystko, co pamiętam. Przysięgam, że to wszystko.

– Dziękuję.

Przy wtórze rozdzierającego ryku jedna z luf rzygnęła ogniem i dymem. Blast poczuł, że jakaś siła poderwała go w górę i odrzuciła do tyłu. Uderzył z impetem o podłogę. Drętwota zaczęła rozlewać się po jego torsie; to dziwne, ale wcale nie czuł bólu i przez chwilę łudził się nadzieją, że strzał chybił... Zaraz jednak spuścił wzrok i zobaczył, że jego klatka piersiowa została kompletnie rozerwana.

Jakby w oddali spostrzegł mężczyznę – rozmytego i niewyraźnego – który podszedł i stanął nad nim. Obrzyn zawisł nad głową rannego. Blast chciał zaprotestować, ale poczuł kolejną falę ciepła, dziwnie uspokajającego, wypełniającego mu gardło, i nie był już w stanie wydobyć z siebie głosu...

A chwilę później znów rozległ się ogłuszający huk i wraz z błyskiem ognia nadeszło błogie zapomnienie.

Nowy Jork

Była dopiero siódma piętnaście rano, ale policjanci z Piętnastego Wydziału Zabójstw ciężko pracowali, wprowadzając do systemu informacje o kilku potencjalnych zabójstwach i morderstwach z ubiegłej nocy i w małych grupkach dyskutując o postępach prowadzonych dochodzeń. Kapitan Laura Hayward, siedząc za biurkiem, kończyła obszerny raport miesięczny dla komisarza. Ten nieszczęśnik był tutaj nowy, przeniesiono go z Teksasu, ale Hayward wiedziała, że z pewnością doceni rzetelność i zwięzłość jej relacji.

Dokończyła raport, zapisała go w pamięci komputera i napiła się kawy. Prawie całkiem wystygła – Hayward zjawiała się w pracy ponad godzinę temu. Gdy odstawiła kubek, usłyszała sygnał komórki. To był jej prywatny telefon, nie służbowy, i tylko cztery osoby znały ten numer: jej matka, siostra, adwokat rodzinny i Vincent D’Agosta.

Wyjęła telefon z kieszeni zakietu i spojrzała na wyświetlacz. Zgodnie z obowiązującymi zasadami w pracy nie odbierała telefonów prywatnych. Tym razem jednak zamknęła drzwi do swojego gabinetu i otworzyła komórkę.

– Halo? – rzuciła.

– Lauro – rozległ się głos D’Agosty. – To ja.

– Vinnie? Czy wszystko w porządku? Trochę się niepokoiłam, kiedy wczoraj wieczorem nie zadzwoniłeś.

– Wszystko gra i przepraszam, że się nie odezwałem. Po prostu... było gorąco.

Wróciła za biurko.

– Opowiedz mi o tym.

Chwila przerwy.

– No cóż... znaleźliśmy Czarny Obraz.

– Ten obraz, którego szukaliście?

– Tak, a przynajmniej uważamy, że to ten.

Nie wydawał się z tego powodu rozentuzjasmowany. Raczej rozdrażniony.

– Jak go znaleźliście?

– Był ukryty za ścianą piwnicy pod cukiernią.

– Jak się tam dostaliście?

Znów chwila ciszy.

– My... ee... włamaliśmy się tam.

– Włamaliście się?

– No tak.

W jej umyśle rozległ się dzwonek alarmowy.

– Jak to, zakradliście się tam po godzinach?

– Nie. Zrobiliśmy to wczoraj po południu.

– Mów dalej.

– Pendergast wszystko zaplanował. Weszliśmy do cukierni, podając się za inspektorów budowlanych, a Pendergast...

– Jednak zmieniłam zdanie. Nie chcę nic więcej wiedzieć. Przejdź do tej części o znalezieniu obrazu.

– Właśnie dlatego nie mogłem do ciebie zadzwonić jak co dzień. Kiedy wyjechaliśmy z Baton Rouge, zorientowaliśmy się, że ktoś nas śledzi. Zgubiliśmy pościg pośród bagien i moczarów na zalewisku i...

– Ejże, ejże, Vinnie! Wstrzymaj się przez chwilę! Proszę. – Tego właśnie się obawiała. – Wydaje mi się, że obiecałeś na siebie

uważać, a nie dawać się znowu Pendergastowi wciągać w bagno.

– Wiem, Lauro. Nie zapomniałem o tym. – Znow przerwa. – Kiedy się zorientowałem, że jesteśmy blisko, naprawdę blisko obrazu, odniosłem wrażenie, że gotów jestem zrobić prawie wszystko, aby tylko pomóc w rozwikłaniu tej zagadki i wrócić do ciebie.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Co było dalej?

– Zgubiliśmy ogon. Była północ, zanim w końcu wróciliśmy do Penumbry. Wnieśliśmy drewnianą skrzynię znaną w tamtej piwnicy do biblioteki i postawiliśmy na stole. Pendergast zachowywał się wyjątkowo kapryśnie. Zamiast otworzyć tę cholerną skrzynię łomem, musieliśmy użyć małych narzędzi, których nie powstydziliby się jubiler. Obraz w którymś momencie musiał zostać narażony na działanie wilgoci, ponieważ jego tylna strona przywarła do drewna i odklejenie jej zabrało jeszcze więcej czasu.

– Ale czy to faktycznie był Czarny Obraz?

– Był w czarnej ramie, ale płótno pokrywała pleśń i było tak brudne, że nie dało się niczego zobaczyć. Pendergast przyniósł całą masę wacików, pędzelków i środków chemicznych, po czym sam zabrał się do usuwania zabrudzeń, mnie nie pozwolił dotknąć płótna. Mniej więcej po kwadransie udało mu się oczyścić małe fragmenty obrazu i wtedy...

– Co się stało?

– Nagle kompletnie zeszywniał. Zanim się zorientowałem, bezceremonialnie wyprowadził mnie z biblioteki i zamknął drzwi na klucz.

– Powtarzam ci raz jeszcze, ten facet jest nienormalny.

– Przyznaję, że bywa trudny. Około trzeciej nad ranem powiedziałem sobie: chrzanię to, i położyłem się spać. Obudziłem się, gdy było już widno. A Pendergast wciąż był w bibliotece, bo pracował przez całą noc bez przerwy.

Hayward poczuła, że wzbiera w niej gniew.

– To dla niego typowe. Zrozum to wreszcie, Pendergast nie jest twoim kumplem.

Usłyszała westchnienie D’Agosty.

– Upomniałem samego siebie, że prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci jego żony i że to musi być dla niego wielki szok... Ale to mój przyjaciel, nawet jeśli zachowuje się dziwnie. – Przerwał. – Coś nowego w związku z Constance Greene?

– Znajduje się na oddziale zamkniętym szpitala Bellevue. Rozmawiałam z nią. Wciąż upiera się, że wyrzuciła dziecko za burtę.

– Czy powiedziała, dlaczego to zrobiła?

– Tak. Twierdzi, że dziecko było złe. Tak jak jego ojciec.

– Jezu. Wiedziałem, że ona jest szurnięta, ale nie wiedziałem, że aż tak.

– Jak zareagował na te nowiny Pendergast?

– Trudno powiedzieć. Sprawia wrażenie, że w ogóle się tym nie przejął.

Zapadła krótka cisza. Hayward zastanawiała się, czy powinna nalegać, aby D’Agosta wrócił do domu, uświadomiła sobie jednak, że nie chce powiększać brzemienia, które musiał dźwigać.

– Jest jeszcze coś – rzekł.

– Co takiego?

– Pamiętasz tego faceta, o którym ci wspominałem? Blacklettera? Dawnego przełożonego żony Pendergasta w organizacji Lekarze ze Skrzydłami?

– Co z nim?

– Dwa dni temu został zamordowany we własnym domu. Dwa strzały z dubeltówki dwunastki oddane z bliska wyrwały mu bebechy.

– Boże święty!

– To nie wszystko. Pamiętasz Johna Blasta, szemranego faceta, z którym rozmawialiśmy w Sarasocie? Tego, który też interesował

się Czarnym Obrazem? Zakładam, że to on kazał nas śledzić. Ale właśnie w wiadomościach podano, że Blast został wczoraj zabity, niedługo po tym, jak zwinęliśmy ten obraz. I wiesz co? On też został załatwiony strzałem z dubeltówki.

– Domyślasz się, co się dzieje?

– Kiedy dowiedziałem się o śmierci Blacklettera, sądziłem, że to robota Błasta. Ale teraz on także nie żyje.

– Możesz podziękować za to Pendergastowi. Kłopoty to jego specjalność.

– Zaczekaj chwilę. – Po blisko dwudziestu sekundach ciszy Hayward znów usłyszała w telefonie głos D’Agosty. – To Pendergast. Właśnie zapukał do mojego pokoju. Mówi, że obraz został oczyszczony i chce poznać moją opinię. Kocham cię, Lauro, zadzwonię wieczorem.

Połączenie zostało przerwane.

Plantacja Penumbra

Kiedy D'Agosta otworzył drzwi, Pendergast stał z dłońmi splecionymi z tyłu w korytarzu wyłożonym miękkim dywanem. Wciąż miał na sobie kraciatą roboczą koszulę i dżinsowe spodnie, czyli to samo ubranie, które włożył na wyprawę do Port Allen.

– Bardzo przepraszam, Vincencie – powiedział. – Wybacz mi, proszę, to, co niewątpliwie musiałeś uważać za oczywisty przejaw mojej impertynencji i grubiaństwa.

D'Agosta nie odpowiedział.

– Może wszystko się wyjaśni, kiedy zobaczysz obraz. Zechciałbyś...?

Pendergast wskazał ruchem ręki na schody.

D'Agosta wyszedł z pokoju i podążył za agentem.

– Blast nie żyje – powiedział. – Został zastrzelony z broni tego samego typu, której użyto do zamordowania Blacklettera.

Pendergast zatrzymał się w pół kroku.

– Zastrzelony, powiadasz?

Dalej szedł znacznie wolniej.

Drzwi do biblioteki były uchylone, żółte światło z pomieszczenia wylewało się na korytarz. Obraz stał pośrodku pokoju na sztaludze. Był zasłonięty ciężką aksamitną tkaniną.

– Stań przed obrazem, bardzo proszę – rzekł Pendergast. – Chcę

poznać twoją reakcję.

D'Agosta stanął przed obrazem, a Pendergast ujął palcami róg tkaniny i zdjął aksamitną zasłonę.

Porucznik patrzył zdezorientowany. Obraz nie przedstawiał papugi karolińskiej ani nawet ptaka czy jakiegokolwiek przedstawiciela fauny amerykańskiej. Zamiast tego ukazywał kobietę w średnim wieku, nagą i przeraźliwie chudą, leżącą na szpitalnym łóżku. Promienie chłodnego światła wpadały przez wąskie małe okno w ścianie za nią. Nogi skrzyżowała w kostkach, a ze splecionymi na piersiach dłońmi wyglądała prawie jak trup. Przez skórę koloru pergaminu widać było zarys żeber. Kobieta z całą pewnością była chora i być może też nie całkiem normalna. A jednak było w niej coś wulgarnie kuszącego. Przy łóżku stała szafka nocna z dzbankiem na wodę i jakimiś kosmetykami. Czarne włosy kobiety rozsypały się na poduszce z poszewką z lnu. Malowane gipsowe ściany, zwiotczałe, suche ciało, wzór na pościeli, nawet pyłki unoszące się w dusznym, zatęchłym powietrzu zostały starannie zaobserwowane i pieczołowicie odwzorowane, z niezwykłą wręcz skrupulatnością, wyrazistością i pewnością siebie – surową, oszczędną i elegijną. Choć D'Agosta nie był ekspertem, obraz wywarł na nim piorunujące, przenikające do szpiku kości wrażenie.

– Vincencie? – spytał półgłosem Pendergast.

D'Agosta wyciągnął rękę i koniuszkami palców musnął czarną ramę.

– Nie wiem, co mam o tym myśleć – powiedział.

– To fakt – przyznał Pendergast. – Kiedy zacząłem czyścić obraz, to była pierwsza rzecz, jaka ujrzała światło dzienne. – Wskazał na oczy kobiety spoglądające na patrzącego. – Kiedy je zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że wszystkie nasze przypuszczenia były błędne. Potrzebowałem czasu, aby w samotności oczyścić resztę płótna. Nie chciałem, żebyś widział, jak zostaje odsłonięte kawałek po kawałku, pragnąłem, abyś ujrzał cały obraz, już zupełnie

oczyszczony. Potrzebowałem świeżej, natychmiastowej opinii. Właśnie dlatego tak nagle cię wyprosiłem. Raz jeszcze proszę, byś wybaczył mi tę impertynencję.

– To zdumiewające. Ale... czy to na pewno dzieło Audubona?

Pendergast wskazał na widniejącą w rogu obrazu dość niewyraźną sygnaturę, a następnie na ciemny róg namalowanego pokoju, gdzie przycupnęła mysz, jakby na coś czekała.

– Sygnatura jest autentyczna, ale co istotniejsze, nikt prócz Audubona nie mógłby namalować tej myszy. Poza tym jestem pewien, że ten obraz namalowano z natury, w sanatorium. Jest zbyt piękny, aby nie mógł przedstawiać rzeczywistości.

D'Agosta pokiwał głową.

– Przyznam jednak, że spodziewałem się, iż będzie przedstawiał papugę karolińską. Co może mieć z tym wszystkim wspólnego naga kobieta?

Pendergast rozłożył ręce w geście bezradności, a D'Agosta dostrzegł w jego oczach frustrację. Odwracając się od sztalugi, agent powiedział:

– Rzuć na nie okiem, Vincencie, bardzo proszę.

Na stole nieopodal rozłożone były liczne szkice, litografie i akwarele. Po lewej stronie znajdowały się szkice przedstawiające zwierzęta, ptaki, owady, martwą naturę i wykonane pospiesznie portrety ludzi – a na tym wszystkim akwarela myszy. Po prawej stronie, w pewnej odległości od pozostałych, leżały inne dzieła. Wyglądały zupełnie inaczej. Przedstawiały niemal wyłącznie ptaki odtworzone tak wiernie i szczegółowo, że wydawało się, że mogą zerwać się do lotu, ale były tu również ssaki i leśne krajobrazy.

– Dostrzegasz różnicę?

– Jasne. Te po lewej są do bani. Te po prawej... cóż, są przepiękne.

– Wyjąłem je z portfolio mojego prapradziadka – odparł Pendergast. – Te tutaj – wskazał na prymitywne szkice po lewej – mój pradziadek otrzymał od Audubona, kiedy ten mieszkał jeszcze

w domu przy Dauphine Street w tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym roku, zanim zachorował. Tak właśnie malował Audubon, zanim trafił do sanatorium Meuse St. Claire. – Agent odwrócił się w stronę prac po prawej stronie. – A tak malował w okresie późniejszym. Po wyjściu z sanatorium. Widzisz, gdzie kryje się zagadka?

D'Agosta wciąż był oszołomiony treścią obrazu w czarnej ramie.

– Jego styl się poprawił – odparł. – Tak bywa z artystami. Dlaczego miałyby to być zagadką?

Pendergast pokręcił głową.

– Poprawił się? Nie, Vincencie, to prawdziwa przemiana. Transformacja jest zbyt wielka, by można mówić jedynie o poprawie stylu. Te wczesne szkice są kiepskie. Proste, dosłownie niezdarne dzieła zwykłego wyrobnika. Nie ma w nich nic, Vincencie, dosłownie nic, co mogłoby zdradzać choćby najmniejszą iskierkę talentu artystycznego.

D'Agosta musiał przyznać mu rację.

– Co więc się wydarzyło?

Pendergast przepatrzył prace swoimi niezwykle jasnymi oczami, po czym wolno poszedł do fotela ustawionego przed sztalugą i usiadł przed Czarnym Obrazem.

– Ta kobieta była najpewniej pacjentką sanatorium. Może doktor Torgensson był w niej zakochany? A może łączył ich jakiś związek? To by tłumaczyło, dlaczego tak usilnie strzegł tego obrazu, nawet gdy popadł w skrajną nędzę. To jednak nie wyjaśnia, dlaczego Helen tak bardzo interesowała się tym dziełem.

D'Agosta przeniósł wzrok na kobietę wyciągniętą w niemal zrezygnowanej pozie na prostym szpitalnym łóżku.

– Czy uważasz, że ta kobieta mogła być antenatką Helen? – zapytał. – Pochodziła z Esterhazych?

– Myślałem o tym – odparł Pendergast. – Ale co mają znaczyć zatem obsesyjne poszukiwania Helen?

– Jej rodzina opuściła Maine w atmosferze skandalu – zauważył

D'Agosta. – Może w historii jej rodziny jest jakaś tajemnica, którą ten obraz pomógłby wyjaśnić?

– Tak, ale jaka? – Pendergast skinął ręką na postać. – Powiedziałbym, że tak kontrowersyjny obraz mógłby raczej zaciemnić niż rozjaśnić ewentualne mroczne tajemnice tego rodu. Teraz przynajmniej możemy pospekulować, dlaczego o temacie obrazu nigdzie nie ma żadnej wzmianki – może dlatego, że jest on tak niepokojący i prowokacyjny.

Zapadła krótka cisza.

– Dlaczego Blast tak bardzo chciał go zdobyć? – zastanawiał się głośno D'Agosta. – Przecież to tylko obraz. Po co szukać go przez tyle lat?

– Akurat na to pytanie można dość łatwo odpowiedzieć. Pochodził z Audubonów, uważał, że to płótno należy mu się z racji urodzenia. Ten obraz stał się jego *idée fixe*, a z czasem poszukiwania stały się dla niego nagrodą samą w sobie. Podejrzewam, że byłby zaskoczony tematyką obrazu równie mocno jak my.

Pendergast złączył koniuszki palców, opierając dłonie o czoło.

D'Agosta wciąż patrzył na płótno. Było w nim coś, jakaś myśl, której nie potrafił jeszcze sformułować. Obraz próbował mu coś powiedzieć. Spojrzał raz jeszcze. I nagle uświadomił sobie, co to było.

– Ten obraz – powiedział. – Przyjrzyj się. Jest jak te akwarele na stole. Te, które stworzył w okresie późniejszym.

Pendergast nie uniósł wzroku.

– Obawiam się, że za tobą nie nadążam.

– Sam to powiedziałaś. Mysz na obrazie to ewidentnie mysz Audubona.

– Tak, bardzo podobna do tych, które namalował w swoim dziele *Żyworodne czworonogi Ameryki Północnej*.

– Dobra. A teraz spójrz na tę mysz znajdującą się wśród wczesnych szkiców.

Pendergast powoli uniósł głowę. Spojrzał na obraz, a potem na

szkice. Przeniósł wzrok na D'Agostę.

– Do czego zmierzasz, Vincencie?

D'Agosta wskazał ręką na stół.

– Ten wcześniejszy szkic myszy. Nigdy bym nie powiedział, że to dzieło Audubona. Podobnie jak reszta jego wcześniejszych prac, te martwe natury i szkice. Nigdy nie powiedziałbym, że mogły być dziełem Audubona.

– Wcześniej powiedziałem dokładnie to samo. Tu właśnie kryje się zagadka.

– Nie jestem pewien, czy możemy tu mówić o jakiegokolwiek zagadce.

Pendergast spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Mów dalej.

– No dobrze, mamy te wczesne, przeciętne prace. A potem ten obraz przedstawiający kobietę. Co się wydarzyło po drodze?

Iskierki w oczach Pendergasta pojaśniały.

– Audubon zapadł na ciężką chorobę.

D'Agosta pokiwał głową.

– Otóż to. Choroba go odmieniła. Czy może być inna odpowiedź?

– Genialne, mój drogi Vincencie! – Pendergast uderzył dłońmi w podłokietniki fotela i poderwał się na nogi, by znów spacerować po pokoju. – Otarcie się o śmierć, nagła świadomość własnej śmiertelności w jakiś sposób go odmieniła. Przepęłniła go energią twórczą, to był punkt zwrotny w całej jego artystycznej karierze.

– Zawsze sądziliśmy, że Helen interesowała się tematem obrazu – dodał D'Agosta.

– Właśnie. Pamiętasz, co powiedział Blast? Helen nie chciała zatrzymać obrazu dla siebie. Chciała mu się tylko przyjrzeć. Obejrzeć go. I potwierdzić w ten sposób, kiedy doszło do artystycznej przemiany Audubona.

Pendergast zamilkł, spacerował coraz wolniej, aż w końcu całkiem się zatrzymał. Znieruchomiał jak posąg, jego oczy patrzyły niewidząco przed siebie.

– No i to tyle – rzekł D’Agosta. – Zagadka rozwiązana.

Srebrzyste oczy zwróciły się ku niemu.

– Nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dlaczego Helen miałyby ukrywać to wszystko przede mną?

D’Agosta wzruszył ramionami.

– Może była zakłopotana sposobem, w jaki doszło do waszego spotkania, i tym drobnym, niewinnym kłamstwem, które się z nim wiązało?

– Drobnym, niewinnym kłamstwem? Nie wierzę w to. Musiała to zatuszować z jakiegoś innego, istotniejszego powodu. – Pendergast ponownie zagłębił się w pluszowy fotel i znowu spojrzał na obraz. – Zasłoń go.

D’Agosta zakrył płótno. Zaczynał coraz bardziej się niepokoić. Pendergast także nie sprawiał wrażenia całkiem zdrowego psychicznie.

Oczy agenta zamknęły się. Cisza w bibliotece narastała wraz z kolejnymi odgłosami tykającego dziadkowego zegara w kącie. D’Agosta także usiadł; czasami najlepiej było Pendergastowi pozwolić być Pendergastem.

Oczy agenta otworzyły się powoli.

– Od samego początku patrzyliśmy na ten problem w całkowicie błędny sposób.

– Jak to?

– Sądziliśmy, że Helen interesowała się Audubonem artystą.

– No i? Co jeszcze?

– Interesowała się Audubonem pacjentem.

– Pacjentem?

Powolne skinienie głowy.

– To była prawdziwa pasja Helen. Badania medyczne.

– Wobec tego po co szukała tego obrazu?

– Ponieważ namalował go tuż po swoim wyzdrowieniu. Chciała potwierdzić swoją teorię.

– A jak ona brzmiała?

– Mój drogi Vincencie, czy wiemy, na jaką chorobę zapadł Audubon?

– Nie.

– Zgadza się. Ale to właśnie choroba jest kluczem do wszystkiego. To właśnie o tej chorobie Helen próbowała się czegoś dowiedzieć. W jaki sposób ta dolegliwość wpłynęła na Audubona. Ponieważ, jak wszystko na to wskazuje, przemieniła ona przeciętnego artystę w prawdziwego geniusza. Helen wiedziała, że coś go zmieniło, i właśnie dlatego pojechała do New Madrid, gdzie przeżyła trzęsienie ziemi: prowadziła szeroko zakrojone poszukiwania, by zrozumieć, co było czynnikiem przemiany. A kiedy natknęła się na wzmiankę o jego chorobie, zrozumiała, że jej poszukiwania zostały zakończone. Chciała zobaczyć obraz tylko po to, by potwierdzić swoją teorię: że choroba Audubona w jakiś sposób wpłynęła na jego umysł. Że miała skutki neurologiczne. Cudowne skutki neurologiczne!

– Ej, ej, bo zaczynam się gubić!

Pendergast poderwał się na nogi.

– I właśnie dlatego zataiła to przede mną. Ponieważ w grę wchodziło potencjalnie cenne, przełomowe odkrycie farmakologiczne. Nie miało to wszystko nic wspólnego z naszymi prywatnymi relacjami.

Nagłym, impulsywnym ruchem agent chwycił D'Agostę za ramiona.

– I muszę przyznać, że wciąż błądziłbym po omacku, gdyby nie twoje genialne rozumowanie, mój drogi Vincencie.

– Cóż, nie posuwałbym się aż tak daleko...

Pendergast puścił go, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi biblioteki.

– Chodź, nie ma chwili do stracenia.

– Dokąd się wybieramy? – spytał D'Agosta, próbując nadążyć za swoim przyjacielem.

W głowie miał mętlik, gdy wciąż usiłował poskładać w całość chaotyczną łamigłówkę logiczną Pendergasta.

– Aby potwierdzić twoje przypuszczenia i dowiedzieć się wreszcie z absolutną, niezbitą pewnością, co to wszystko znaczy.

41

Strzelec zmienił pozycję wśród splechotków cienia i napił się wody z manierki w kamuflażowych barwach. Opaską na przegubie otarł kolejno skronie. Ruchy miał powolne, metodyczne, zupełnie niewidoczne wśród zarośli.

Takie zabiegi były jednak zbędne. Cel nie mógł go dostrzec. Niemniej lata polowań na inną zwierzynę – czworonożną, niekiedy płochliwą, nadmiernie czujną – nauczyły go przesadnej wręcz ostrożności.

To było idealne miejsce na punkt strzelecki, za zwalonym wielkim dębem, z pasmami mchu hiszpańskiego zakrywającymi mu głowę i paroma tylko prześwitami, z których jeden wykorzystał, by wystawić lufę karabinka taktycznego remington 40-XS. Miejsce było idealne, gdyż powstało w sposób naturalny jako jedna z wielu pamiątek po Katrinie, nadal widocznych w okolicznych lasach i na moczarach. Lecz kto widział ich tak wiele, w końcu przestał je dostrzegać.

I na to właśnie liczył strzelec.

Broń wystawała nie więcej niż na dwa i pół centymetra poza zasłonę. Mężczyzna był ukryty wśród głębokich cieni, a lufa karabinu pokryta specjalnym, czarnym, nierefleksyjnym polimerem, cel zaś kierował się w stronę wschodzącego słońca i jego oślepiających promieni. Remington pozostanie niewidoczny nawet w chwili oddania strzału, o co miała zadbać nasadka na lufę

wygaszająca błysk ognia.

Samochód, wynajęty nissan pikap z napędem na cztery koła i zadaszoną paką, stał tyłem do zwałonego pnia. Mężczyzna wykorzystał pakę jako platformę strzelniczą; położył się na niej po opuszczeniu tylnej klapy. Przód pojazdu skierowany był w stronę starej ścieżki drwali prowadzącej na wschód. Nawet gdyby ktoś go spostrzegł i zaczął ścigać, on w ciągu zaledwie trzydziestu sekund oddaliłby się o trzy i pół kilometra.

Nie wiedział jednak, jak długo będzie musiał czekać. Mogło to być dziesięć minut albo i dziesięć godzin, bez znaczenia. Miał motywację. Silniejszą niż kiedykolwiek. Nie, to nie do końca prawda, już raz, kiedyś, znalazł się w podobnej sytuacji.

Poranek był mglisty i ciężki od rosy, a w ciemności stanowiska strzeleckiego powietrze wydawało się gęste i nieruchome. No i dobrze. Znów otarł skronie. Owady brzęczały sennie, słyszał też popiskiwanie drobnych gryzoni nieopodal. Musiały mieć gdzieś w pobliżu gniazdo, wyglądało na to, że te cholerne nornice i myszy polne zawładnęły moczarami, były żarłoczne jak króliki laboratoryjne i niemal równie dobrze oswojone.

Wypił kolejny łyk wody i ponownie sprawdził ustawienie broni; dwójnog karabinka był właściwie rozstawiony i zablokowany. Odciągnął rygiel zamka, by upewnić się, że nabój typu winchester .308 znajdował się odpowiednio włożony w komorze, po czym zaryglował zamek. Jak większość zagorzałych strzelców wyborowych wolał stabilność i celność broni z zamkiem ryglowym: w wewnętrznym magazynku znajdowały się trzy dodatkowe pociski, ale zgodnie z systemem broni snajperskiej liczył się pierwszy strzał, a on nie spodziewał się, że będzie musiał zużyć więcej niż jeden nabój.

Ważniejsza była luneta dalekiego zasięgu M1 typu Leupold Mark 4. Spojrzał przez nią, koncentrując punkt przecięcia nitek celownika najpierw na frontowych drzwiach plantacji, następnie na żwirowym podjeździe, później zaś na samym rolls-roysie.

Siedemset, może siedemset pięćdziesiąt metrów. Jeden strzał, jeden trup.

Kiedy tak patrzył na olbrzymią limuzynę, jego serce zabiło szybszym rytmem. Ponownie przebiegł w myślach cały plan. Zamierzał poczekać, aż cel zasiądzie za kierownicą i uruchomi silnik. Samochód potoczy się naprzód, pokonując zakole podjazdu, i przystanie na moment, zanim wjedzie na główną drogę przelotową. Właśnie wtedy strzelec odda strzał.

Leżał w absolutnym bezruchu, zmuszając serce, aby zwolniło rytm. Nie mógł pozwolić sobie na narastającą ekscytację ani jakiegokolwiek inne emocje – zniecierpliwienie, gniew czy strach – które mogłyby go zdekoncentrować. Rozwiązaniem był absolutny spokój. Wcześniej zawsze się sprawdzał – na veldcie i w wysokich trzcinach, w okolicznościach znacznie groźniejszych niż obecne. Nie odrywał oka od lunety, a jego palec spoczywał lekko na obudowie spustu. Raz jeszcze upomniał sam siebie, że to tylko zlecenie. Takie podejście było najlepsze. Upora się z tym ostatnim zadaniem i będzie miał spokój raz na zawsze.

Jakby w nagrodę za tę samodyscyplinę frontowe drzwi rezydencji otworzyły się i z budynku wyszedł mężczyzna. Strzelec wstrzymał na chwilę oddech. To nie był jego cel, lecz ten drugi facet, policjant. Wolno, tak wolno, że ruch był prawie niedostrzegalny, jego palec przesunął się z osłony spustu na kabłąk spustowy i dotknął go z minimalnym naciskiem. Krępy mężczyzna stojący na ganku rozejrzał się dookoła z lekkim zaniepokojeniem. Strzelec nawet nie drgnął – wiedział, że jego kryjówka była idealna. Teraz z ciemności domu wyłonił się jego cel i dwaj mężczyźni zeszli z ganku na żwirowy podjazd. Strzelec podążał za nimi, obserwując cel przez lunetę i koncentrując punkt przecięcia nitek celownika na głowie celu. Pohamował się przed oddaniem przedwczesnego strzału. Dwaj mężczyźni szli szybkim krokiem, najwyraźniej bardzo im się spieszyło. Trzymaj się planu.

Patrzył przez lunetę, jak mężczyźni podchodzą do limuzyny,

otwierają drzwiczki i wsiadają. Cel zajął miejsce za kierownicą, dokładnie tak jak strzelec się tego spodziewał, i uruchomił silnik, odwrócił się, by powiedzieć parę słów do swojego towarzysza, po czym wprowadził samochód na podjazd. Strzelec patrzył z przejęciem, robiąc wydech i zmuszając serce, aby jeszcze bardziej spowolniło rytm. Odda strzał pomiędzy kolejnymi uderzeniami serca.

Rolls pokonał łagodnie zakole podjazdu z prędkością niespełna dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, po czym zwolnił, zbliżając się do skrzyżowania z przelotówką. Teraz, pomyślał strzelec. Całe jego przygotowanie, dyscyplina i wcześniejsze dokonania zlały się w jedno tej krótkiej chwili spełnienia. Cel znajdował się na pozycji. Strzelec zwiększył nacisk na spust. Nie ściągając go, lecz dotykając niemal pieśczośliwie...

Właśnie wtedy z pełnym zdumienia piśnięciem, po którym rozległo się głośne szurnięcie, szarobrazowa nornica przebiegła po kłykciach jego ręki obsługującej spust. W tej samej chwili wielki postrzępiony cień pośród czerni przemknął ponad jego kryjówką.

Remington wystrzelił z lekkim hukiem i strzelcem lekko szarpnęło. Mężczyzna z głośnym przekleństwem odgonił spłoszoną nornicę i szybko spojrział przez lunetę, równocześnie przeładowując karabin. Dostrzegł otwór w przedniej szybie, jakieś piętnaście centymetrów powyżej i w lewo od miejsca, w które zamierzał trafić. Rolls toczył się naprzód nieco szybciej, uciekał, koła obracały się, wyrzucając spod opon kaskady żwiru. Strzelec, nie poddając się panice, podążył za swoim celem, obserwując go przez lunetę. Czekał na kolejne uderzenie serca, ponownie z delikatnym naciskiem kładąc palec na kabłąku spustowym.

Ale gdy to robił, spostrzegł gwałtowne poruszenie wewnątrz pojazdu: krępy mężczyzna rzucił się naprzód, chwycił kierownicę i zasłonił swoim ciałem przednią szybę. W tej samej chwili karabin ponownie wypalił. Rolls zjechał w bok i zatrzymał się pod dziwnym kątem, w poprzek podjazdu. Trójkątny rozbryzg krwi pokrywający

teraz od wewnątrz przednią szybę całkiem przesłonił widok.

Kogo trafił?

Strzelec patrzył jeszcze, gdy z limuzyny wyprysnął obłoczek dymu i rozległ się odgłos wystrzału. Ułamek sekundy później kula ścieła kilka gałązek, przewiercając się przez pobliskie krzewy, o niecały metr od miejsca, gdzie się ukrywał. Drugi strzał i tym razem kula z brzękiem zrykoszutowała od karoserii nissana.

Mężczyzna w jednej chwili rzucił się do tyłu, zeskakując z paki auta i wślizgując się do szoferki. Gdy kolejna kula ze świstem przeleciała tuż obok, uruchomił silnik i cisnął karabin na fotel pasażera. Broń osunęła się na dubeltówkę z obciętymi lufami i bogato zdobioną kolbą z czarnego drewna. Przy wtórze zgrzytu skrzyni biegów i pisku opon pikap ruszył starą ścieżką używaną przez drwali, ciągnąc za sobą pasma mchu i wzbijając w powietrze kaskady kurzu.

Strzelec pokonał jeden zakręt, potem drugi, przyspieszając do ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, pomimo iż droga przypominała tarkę. Broń przesunęła się w jego stronę, a on odsunął strzelby od siebie, po czym nakrył je czerwonym kocem. Kolejny zakręt, znowu jęk opon i dostrzegł w oddali przed sobą zarys autostrady stanowej. Dopiero teraz, gdy był już o włos od szosy mającej mu zapewnić bezpieczeństwo, pozwolił sobie na rozluźnienie, dał upust trawiącej go frustracji i rozczarowaniu.

– Niech to szlag! – krzyknął Judson Esterhazy, uderzając raz po raz zaciśniętą pięścią w tablicę rozdzielczą. – Niech to jasny szlag trafi!

Nowy Jork

Doktor John Felder w towarzystwie strażnika przeszedł długim chłodnym korytarzem na oddziale wzmożonego nadzoru szpitala Bellevue. Drobny, szczupły i elegancki, Felder miał świadomość tego, że bardzo się wyróżniał spośród ogólnego zamętu i kontrolowanego chaosu tej placówki. To była jego druga rozmowa z pacjentką. Podczas pierwszej postępował rutynowo, zadając wszelkie przepisowe pytania i sporządzając notatki. Sumiennie wypełniał swoją powinność psychiatry wyznaczonego przez sąd i wyrobił sobie nawet opinię. Co więcej, doszedł do konkretnego wniosku: kobieta, którą badał, była niezdolna do rozróżnienia między dobrem a złem, a co za tym idzie, nie odpowiadała za swoje czyny.

Mimo to wciąż nie miał powodu do zadowolenia. Angażował się w wiele niezwykłych spraw. Widział rzeczy, z którymi nie zetknęło się wielu innych lekarzy, rozmawiał ze sprawcami nadzwyczaj patologicznych zbrodni. Nigdy jednak nie spotkał się z czymś takim. Być może po raz pierwszy w swojej karierze odniósł wrażenie, że nie udało mu się rozwiązać zagadki psyche tej pacjentki – nie zdołał jej rogzryźć.

W normalnych okolicznościach, gdy tak jak obecnie było to urzędowo zleczone zadanie, nie robiłoby mu to większej różnicy.

Teoretycznie zakończył swoją pracę. Uparcie jednak odwlekał sporządzenie wniosku końcowego, domagając się kontynuowania badania, a tym samym możliwości przeprowadzenia następnej rozmowy. Lecz i tym razem postanowił, że to rzeczywiście będzie rozmowa. Jak podczas spotkania dwojga ludzi – ni mniej, ni więcej.

Skreślił za róg i pomaszerował w głąb labiryntu niekończących się korytarzy. Hałasy, krzyki, smród i odgłosy oddziału wzmożonego nadzoru prawie nie przenikały do jego świadomości, gdy zastanawiał się nad zagadkowością tej sprawy. Pierwszą kwestią była tożsamość tej młodej kobiety. Pomimo skrzętnych poszukiwań administratorzy sądowi nie zdołali odnaleźć jej aktu urodzenia, numeru ubezpieczenia społecznego ani żadnych innych dokumentów potwierdzających jej istnienie poza kilkoma pretensjonalnymi i celowo niejasnymi aktami z Instytutu Feversham w hrabstwie Putnam. Brytyjski paszport, jaki przy niej znaleziono, był autentyczny, ale został zdobyty wskutek wyjątkowo sprytnego oszustwa, którego ofiarą padł niższy rangą urzędnik konsulatu brytyjskiego w Bostonie. Zupełnie jakby ta kobieta pojawiła się na świecie w pełni ukształtowana niczym Atena, która wyskoczyła z czaszki Zeusa.

Odgłos jego kroków odbijał się echem od ścian, ale Felder starał się nie myśleć za bardzo o tym, o co ją zapyta. Tam, gdzie rutynowe pytania nie były w stanie przebić się przez mur, jakim się otoczyła, może da radę zwyczajna, spontaniczna rozmowa.

Pokonał ostatni załom korytarza i dotarł do pokoju spotkań. Strażnik pełniący dyżur otworzył kluczem szare metalowe drzwi z judaszem pośrodku i wprowadził go do niewielkiego, spartańsko urządzonego, choć nie całkiem nieprzyjemnego pokoiku z kilkoma krzesłami, stolikiem do kawy, czasopismami, lampą i lustrem weneckim na jednej ze ścian. Pacjentka już tam czekała w towarzystwie funkcjonariusza policji. Oboje wstali, kiedy wszedł do pokoju.

– Dzień dobry, Constance – powiedział zdawkowo Felder. –

Proszę zdjąć jej te kajdanki.

– Potrzebuję dokumentu na piśmie, doktorze.

Felder usiadł, otworzył aktówkę, wyjął dokument przekazania więźnia i podał funkcjonariuszowi policji. Mężczyzna obejrzał dokument, mruknął potakująco, po czym wstał, zdjął kobiecie kajdanki i przypiął je do swojego paska.

– Gdybym był potrzebny, będę na zewnątrz. Wystarczy nacisnąć guzik.

Policjant wyszedł, a Felder przeniósł uwagę na Constance Greene. Stała przed nim skromnie, z dłońmi złączonymi z przodu, ubrana w prosty więzienny kombinezon. Ponownie urzekła go jej postawa i niezwykła uroda.

– Jak się czujesz, Constance? Usiądź, proszę.

Usiadła.

– Bardzo dobrze, doktorze. A pan?

– Doskonale – uśmiechnął się, usiadł wygodniej i założył nogę na nogę. – Cieszę się, że mamy okazję na kolejną pogawędkę. Jest jeszcze parę spraw, o których chciałbym z tobą pomówić. Wszystko tylko między nami, naprawdę. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy trochę porozmawiali?

– Bynajmniej.

– Świetnie. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za zbyt wścibskiego. Może potraktujesz to jako skrzywienie zawodowe, lecz nie potrafię się tego wyzbyć, nawet kiedy moja praca jest już zakończona. Mówisz, że urodziłaś się przy Water Street?

Skinęła głową.

– W domu?

Wykonała kolejny potakujący ruch głową.

Felder zajrzał do swoich notatek.

– Siostra nazywała się Mary Greene. Brat Joseph. Matka Chastity, ojciec Horace. Czy jak na razie wszystko się zgadza?

– Poniekąd.

Poniekąd. Jej wymowa była taka... dziwna.

- Kiedy się urodziłaś?
- Nie pamiętam.
- Cóż, to oczywiste, że nie pamiętasz, ale z całą pewnością znasz datę swoich urodzin?
- Obawiam się, że nie.
- To mogło być, zastanówmy się, pod koniec lat osiemdziesiątych?

Widmowy uśmiezek przemknął przez jej oblicze i zniknął, zanim Felder zdołał go zauważyć.

- Wydaje mi się, że to było raczej na początku lat siedemdziesiątych.
- Ale przecież powiedziałaś, że masz zaledwie dwadzieścia trzy lata.
- Mniej więcej. Jak już wcześniej wspominałam, nie jestem pewna, ile dokładnie mam lat.

Chrząknął delikatnie.

- Constance, czy wiesz, że nie ma żadnych dokumentów potwierdzających, że twoja rodzina zamieszkiwała przy Water Street?

– Może pańskie badania nie były dość gruntowne.

Wychylił się do przodu.

- Czy jest jakiś powód, dlaczego ukrywasz przede mną prawdę? Pamiętaj: jestem tu, aby ci pomóc.

Cisza. Spojrzał w te fiołkowe oczy, na tę młodą piękną twarz, tak doskonale okoloną kasztanowymi włosami, na której malowały się dobrze zapamiętane z ich wcześniejszego spotkania wyniosłość, spokojna pewność, a może nawet pogarda. Ta dziewczyna roztaczała wokół siebie aurę... wyższości. Jak jakaś królowa? Nie, to nie całkiem tak. Felder nigdy się z czymś takim nie spotkał.

Odłożył notatki na bok, próbując stworzyć atmosferę rozluźnienia i swobody.

- Jak to się stało, że zostałam podopieczną pana Pendergasta?
- Kiedy zmarli moi rodzice i siostra, zostałam sierotą i nie

miałam się gdzie podziąć. Dom pana Pendergasta przy Riverside Drive osiemset dziewięćdziesiąt jeden był... – przerwała. – Był wtedy własnością mężczyzny nazwiskiem Leng. W końcu jednak... opustoszał. Zamieszkałam tam.

– Dlaczego właśnie tam?

– Bo był duży, wygodny i miał wiele miejsc, gdzie można się było ukryć. No i wielką bibliotekę. Kiedy pan Pendergast odziedziczył dom, odkrył moją obecność tam i został moim opiekunem prawnym.

Pendergast. Jego nazwisko pojawiała się w papierach, choć zdawkowo, w odniesieniu do zbrodni popełnionej przez Constance. Mężczyzna odmówił jakichkolwiek komentarzy w tej sprawie.

– Dlaczego został twoim opiekunem?

– Z powodu poczucia winy.

Cisza. Felder odchrząknął.

– Poczucia winy? Dlaczego tak mówisz?

Nie odpowiedziała.

– Czy to może pan Pendergast był ojcem twojego dziecka?

Dopiero teraz z niezmaconym spokojem odrzekła:

– Nie.

– A jaka była twoja rola w domu Pendergasta?

– Byłam jego sekretarką. Wyszukiwałam mu wszelkie informacje. Uważał moje zdolności językowe za użyteczne.

– Języki obce? Iloma mówisz?

– Tylko angielskim. Ale potrafię płynnie czytać i pisać po łacinie, w starożytnej grece, po francusku, włosku, hiszpańsku i niemiecku.

– To ciekawe. Musiałaś być pilną uczennicą. Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Uczyłam się sama.

– Chcesz powiedzieć, że pobierałaś nauki w domu?

– Chcę powiedzieć, że uczyłam się sama.

Czy to możliwe?, zastanawiał się Felder. Czy w obecnych czasach człowiek mógł przyjść na świat i dorastać w tym mieście, a równocześnie pozostawać oficjalnie niewidzialny? To nieformalne

podejście najwyraźniej prowadziło donikąd. Czas na bardziej bezpośrednie, trzeba ją trochę przycisnąć.

– Jak zmarła twoja siostra?

– Została zamordowana przez seryjnego zabójcę.

Felder zamilkł.

– Czy sprawa jest jeszcze w toku? Czy zabójca został schwytany?

– Ani jedno, ani drugie.

– A twoi rodzice? Co się z nimi stało?

– Oboje umarli na suchoty.

Felder nagle się ożywił. To powinno być łatwe do sprawdzenia, jako że przypadki gruźlicy w Nowym Jorku bardzo skrzętnie odnotowywano.

– W którym szpitalu zmarli?

– W żadnym. Nie wiem, gdzie zmarł mój ojciec. Wiem, że matka skonała na ulicy, a jej ciało pogrzebano na cmentarzu komunalnym na Hart Island.

Siedziała prosto, z dłońmi złożonymi na udach. Felder poczuł narastającą frustrację.

– Wróćmy do twoich narodzin. Nie pamiętasz, w którym roku przyszedłeś na świat?

– Nie.

Felder westchnął.

– Chciałbym zadać ci kilka pytań dotyczących twojego dziecka.

Wciąż siedziała w bezruchu.

– Mówisz, że wyrzuciłaś dziecko za burtę, bo było złe. Skąd wiedziałaś, że było złe?

– Jego ojciec był zły.

– Czy jesteś gotowa powiedzieć mi, kto nim był?

Żadnej odpowiedzi.

– Czy zatem wierzysz, że zło jest dziedziczne?

– Pewne skupiska genów w ludzkim genomie ewidentnie są odpowiedzialne za przestępcze skłonności i zbrodnicze zachowania i są dziedziczne. Z pewnością czytał pan na temat niedawnych

badania dotyczących Mrocznej Trójcy wzorców zachowań ludzkich.

Felder słyszał o tych badaniach i był bardzo zdziwiony jej klarownością i erudycją wypowiedzi.

– A zatem uznałaś za konieczne usunięcie jego genów z puli genowej poprzez wrzucenie dziecka do Atlantyku?

– Zgadza się.

– A ojciec? Czy nadal żyje?

– Nie.

– Co się z nim stało?

– Został zepchnięty do strumienia piroklastycznego.

– Został... co proszę?

– To termin geologiczny. Wpadł do wulkanu.

Dopiero po chwili Felder zorientował się, co chciała przez to powiedzieć.

– Czy był geologiem?

Bez odpowiedzi. To było takie frustrujące, miał wrażenie, że kręci się w kółko i nic z tego nie wychodzi.

– Powiedziałaś „został zepchnięty”. Czy chcesz przez to powiedzieć, że ktoś go tam wrzucił?

Znów bez odpowiedzi. To z całą pewnością był wymysł jej chorego umysłu, nie warto było dalej podążać tym tropem. Felder zmienił temat.

– Constance, czy wyrzucając dziecko za burtę, miałaś świadomość, że popełniasz przestępstwo?

– Oczywiście.

– Czy brałaś pod uwagę konsekwencje?

– Tak.

– Wiedziałaś zatem, że zabicie dziecka jest złe?

– Wręcz przeciwnie. To, co zrobiłam, nie tylko było właściwe, wręcz nieuniknione. Nie mogłam zrobić nic innego.

– Dlaczego?

W pokoju znowu zapadła cisza. Z głośnym westchnieniem i odczuciem, jakby znów zarzucał sieci w niezgłębionej ciemności,

doktor John Felder wziął swój notes i wstał.

– Dziękuję, Constance. Nasz czas dobiegł końca.

– Bardzo dziękuję, doktorze Felder.

Nacisnął przycisk. Drzwi natychmiast się otworzyły i do pokoju wszedł policjant.

– Już skończyłem – powiedział Felder, a potem zwrócił się do Constance Greene i jakby mimowolnie dodał: – Za kilka dni odbędziemy kolejną sesję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Gdy Felder maszerował długim korytarzem oddziału wzmożonego nadzoru, zastanawiał się, czy jego wstępna ocena była słuszna. Ta kobieta jest chora psychicznie, bez dwóch zdań, czy jednak można ją uznać za niepoczytalną w świetle prawa? Jeżeli usunąć z jej osobowości wszystko, co w niej normalne i przewidywalne, wszystko, co jest normalne w człowieku – co pozostawało? Nic. Zero.

Tak jak jej tożsamość. Nic. Zero.

Baton Rouge

Laura Hayward szła korytarzem pierwszego piętra szpitala Baton Rouge General, zmuszając się, by zachowywać miarowy krok. Miała wszystko pod kontrolą – oddech, wyraz twarzy, mowę ciała. Wszystko. Zanim opuściła Nowy Jork, przebrała się w cywilne ciuchy, dżinsy i koszulę, rozpuściła też włosy. Nie wzięła munduru, była tu po cywilnemu.

Lekarze, pielęgniarki i personel mijali ją, gdy szła w stronę podwójnych drzwi prowadzących na chirurgię. Przeszła przez nie wolnym, rozważnym krokiem. Po prawej miała recepcję, ale minęła ją, ignorując uprzejme „W czym mogę pomóc?” pielęgniarki. Udała się wprost do poczekalni – na jej końcu spostrzegła samotną postać, która właśnie wstała z krzesła i z posępną miną podeszła do niej, wyciągając rękę.

Zbliżyła się do mężczyzny i jednym płynnym ruchem zamachnęła się prawą ręką i trzasnęła go w twarz.

– Ty draniu!

Zachwiał się, ale nie próbował się bronić. Uderzyła go ponownie.

– Egoistyczny, samolubny skurwielu! Nie wystarczyło ci, że prawie zrujnowałeś mu karierę! Teraz go jeszcze zabiłeś, ty sukinsynu!

Zamachnęła się na niego po raz trzeci, on jednak schwycił ją

mocno za rękę i przyciągnąwszy do siebie, odwrócił i delikatnie, lecz stanowczo unieruchomił. Opierała się tylko przez chwilę. I nagle gniew i nienawiść równie szybko, jak się pojawiły, minęły. Zwiotczała w jego uścisku, kompletnie wyczerpana. Podprowadził ją do krzesła. Jak przez mgłę słyszała hałas, zamieszanie, okrzyki, tupot biegnących stóp. Uniosła wzrok i zobaczyła trzech ochroniarzy wykrzykujących do nich obojga różne, sprzeczne ze sobą pytania i komendy oraz pielęgniarkę dyżurną, która stała za nimi z dłonią przyłożoną do ust.

Pendergast podniósł się, wyjął swoją legitymację i pokazał ochronie.

– Ja się tym zajmę. Nie ma powodu do niepokoju.

– Ale przecież doszło do napaści – rzekł jeden z ochroniarzy. – Pan krwawi.

Pendergast agresywnie postąpił krok naprzód.

– Powiedziałem, że się tym zajmę. Dziękuję panom za szybkość i zdecydowaną reakcję i życzę miłego wieczoru.

Po kilku chwilach dezorientacji i zakłopotania funkcjonariusze ochrony oddalili się, pozostawiając tylko jednego przy drzwiach poczekalni; stanął z dłońmi złączonymi przed sobą, wpatrując się w Hayward podejrzliwym, groźnym wzrokiem. Pendergast usiadł obok niej.

– Od kilku godzin przebywa na chirurgii. O ile wiem, stan jest bardzo poważny. Prosiłem, by informowano mnie o sytuacji, kiedy tylko będzie coś wiadomo... O, idzie chirurg.

Lekarz, który wszedł do poczekalni, miał ponurą minę. Powiódł wzrokiem od Hayward do Pendergasta, na którego twarzy widać było krew, ale nic nie powiedział.

– Agent specjalny Pendergast?

– Tak. A to kapitan Hayward z policji nowojorskiej, bliska przyjaciółka pacjenta. Może pan mówić swobodnie do nas obojga.

– Rozumiem. – Chirurg pokiwał głową i spojrzął do swojego notatnika na podkładce. – Kula weszła pod kąt, z tyłu, muskając

serce, zanim ugrzęzła w jednym z żeber.

– Serce? – Hayward usiłowała zrozumieć to, co usłyszała, a równocześnie próbowała pozbierać myśli i wziąć się w garść.

– Kula uszkodziła między innymi zastawkę aorty, przez co uniemożliwiła dopływ krwi do części serca. Obecnie staramy się naprawić zastawkę i utrzymać pracę serca.

– Jakie są jego szanse na... przeżycie? – spytała.

Chirurg zawahał się.

– Każdy przypadek jest inny. Dobra wiadomość to taka, że pacjent nie stracił zbyt dużo krwi. Gdyby kula znalazła się pół milimetra bliżej, uszkodziłaby aortę. Zdołała jednak dość poważnie uszkodzić serce. Jeżeli operacja się powiedzie, są spore szanse na całkowity powrót do zdrowia.

– Proszę posłuchać – powiedziała Hayward. – Jestem policjantką. Nie musi pan mydlić mi oczu. Chcę wiedzieć, jakie są rokowania.

Chirurg spojrział na nią zmęczonymi oczami.

– To trudna i skomplikowana procedura. Właśnie teraz pacjentem zajmuje się zespół najlepszych chirurgów w całej Luizjanie. Ale nawet w najkorzystniejszych okolicznościach, gdy pacjent jest zdrowy i nie dochodzi do komplikacji, cóż... niezbyt często wszystko kończy się pomyślnie. To jak próba rekonstrukcji silnika samochodu, kiedy ten wciąż pracuje.

– Niezbyt często? – Nagle Hayward zrobiło się słabo. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nie wiem, czy prowadzono w tej kwestii jakieś badania, ale jako chirurg szacunkowo określałbym pomyślny wynik operacji na jakieś pięć procent... albo nawet mniej.

– A przeszczep serca?

– Gdybyśmy mieli odpowiednie serce gotowe do transplantacji, bralibyśmy tę możliwość pod uwagę. Ale nie mamy.

Hayward wymacała za sobą oparcie i ciężko usiadła na krześle.

– Czy pan D'Agosta ma jakichś krewnych, których należałoby powiadomić?

Hayward przez chwilę nie odpowiadała. Wreszcie odrzekła:

– Byłą żonę i syna... w Kanadzie. Nikogo więcej. I mówimy o poruczniku D'Agoście.

– Bardzo przepraszam. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę wracać na salę. Operacja potrwa jeszcze co najmniej osiem godzin, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Mogą państwo tu zostać, ale wątpię, aby przed zakończeniem operacji pojawiły się jakieś nowe informacje.

Hayward pokiwała głową niepewnie. Nie potrafiła ogarnąć tego wszystkiego. Zupełnie jakby straciła zdolność rozumowania. Poczula, że chirurg musnął jej ramię.

– Jeżeli wolno mi spytać, czy porucznik jest wierzący?

Próbowała skupić się na pytaniu i w końcu skinęła głową.

– Jest katolikiem.

– Czy życzy sobie pani, aby odwiedził go szpitalny ksiądz?

– Ksiądz?

Spojrzała na Pendergasta, niepewna, jak ma odpowiedzieć.

– Tak – powiedział Pendergast. – Życzylibyśmy sobie, aby odwiedził go ksiądz. Chcielibyśmy z nim porozmawiać. I proszę powiedzieć mu, żeby z uwagi na okoliczności udzielił pacjentowi sakramentu chorych.

Pager lekarza wydał cichy dźwięk, a mężczyzna odruchowo sięgnął ręką, odpiął urządzenie i spojrzał na wyświetlacz. Równocześnie z ukrytego głośnika w korytarzu dobiegł miły, łagodny, kobiecy głos:

– Kod niebieski, S.O. dwa-jeden. Kod niebieski, S.O. dwa-jeden. Zespół kodowy do S.O. dwa-jeden.

– Bardzo przepraszam – powiedział chirurg, a po tonie głosu można było wywnioskować, że bardzo się spieszy – ale muszę już iść.

44

Z głośników dobiegł sygnał, ale zaraz ucichł. Hayward nie ruszyła się z miejsca, była jak sparaliżowana. W głowie miała mętlik. Nie potrafiła zmusić się, aby spojrzeć na Pendergasta czy pielęgniarce, tylko wlepiała wzrok w podłogę. Myślała jedynie o wyrazie twarzy i spojrzeniu chirurga, kiedy ten się oddalał.

Kilka minut później zjawił się ksiądz z czarną torbą, wyglądał prawie jak lekarz – niski mężczyzna o siwych włosach i ze starannie przystrzyżoną brodą. Przeniósł wzrok z policjantki na Pendergasta; oczy miał błyszczące, nieduże.

– Jestem ojciec Bell. – Postawił torbę i wyciągnął dłoń na powitanie.

Hayward podała mu rękę, ale on zamiast ją uścisnąć, ujął ją w geście pocieszenia. – A pani to...

– Kapitan Hayward. Laura Hayward. Jestem... bliską przyjaciółką porucznika D'Agosty.

Jego brwi uniosły się nieznacznie.

– Jest pani policjantką?

– Tak. Z Nowego Jorku.

– Czy porucznik został ranny w trakcie służby?

Hayward zawahała się, ale Pendergast ją zastąpił:

– Poniekąd. Nazywam się Pendergast. Jestem agentem specjalnym FBI, współpracownikiem porucznika.

Ksiądz lekko poruszył głową i uścisnął dłoń.

– Przyszedłem udzielić porucznikowi sakramentów, a zwłaszcza tego, który nazywamy namaszczeniem chorych.

– Namaszczenie chorych? – powtórzyła Hayward.

– Kiedyś nazywaliśmy to ostatnim namaszczeniem, ale była to niefortunna nazwa. Sakrament jest bowiem przeznaczony dla żywych, nie dla umierających, i jest sakramentem uzdrowienia – wytłumaczył ksiądz łagodnym, melodyjnym głosem.

Hayward uniosła głowę, przełknęła ślinę.

– Mam nadzieję – kontynuował ksiądz – że nie mają mi państwo za złe, iż udzielam tego szczegółowego wyjaśnienia. Moja obecność budzi czasem niepokój. Ludzie myślą, że jestem wzywany tylko wtedy, kiedy ktoś ma umrzeć, a to nieprawda.

Choć nie była katoliczką, Hayward poczuła się umocniona taką otwartością i bezpośredniością.

– Ten kod, który właśnie usłyszeliśmy... – Przerwała. – Czy to oznacza...?

– Porucznikiem zajmuje się ekipa najlepszych lekarzy. Jeżeli istnieje możliwość, aby go uratować, zrobią to. Jeżeli nie, to znaczy, że Bóg tak chciał. Czy państwa zdaniem porucznik mógłby mieć powód, by nie życzyć sobie udzielenia mu sakramentów?

– Prawdę mówiąc, nigdy nie był zbyt gorliwym katolikiem. – Hayward zawahała się. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz Vinnie był w kościele. Jednak w obecności księdza czuła swego rodzaju pocieszenie i uznała, że pragnęłyby tego. – Myślę jednak, że Vinnie chciałby otrzymać te sakramenty.

– Dobrze. – Ksiądz uściśnął jej dłoń. – Czy jest coś, co mógłbym dla państwa zrobić? Trzeba coś załatwić? Zadzwoń gdzieś? – Przerwał. – Może spowiedź? W szpitalu jest kaplica.

– Nie, dziękuję – odparła Hayward.

Spojrzała na Pendergasta, ale on nic nie powiedział.

Ojciec Bell skinął do nich głową, po czym zabrał swoją czarną torbę i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę sali operacyjnej. Wyglądało, jakby trochę się spieszył.

Hayward ukryła twarz w dłoniach... Pięć procent... albo nawet mniej. Jedna szansa na dwadzieścia. Wrażenie pocieszenia, jakie przyniósł ze sobą ksiądz, natychmiast prysnęło. Powinna przyzwyczaić się do myśli, że Vinnie już z tego nie wyjdzie. To takie bezsensowne, strata cennego życia. Nie miał nawet czterdziestu pięciu lat. W jej umyśle pojawiły się strzępy obrazów, dręczące wspomnienia, te złe, bolesne i rozdzierające, oraz te dobre, chyba jeszcze gorsze.

Gdzieś w tle usłyszała głos Pendergasta.

– Chcę, żeby pani wiedziała, na wypadek gdyby sprawy przybrały zły obrót, że Vincent nie oddał swojego życia na marne.

Patrzyła przez palce na pusty korytarz, gdzie zniknął ksiądz. Nie odpowiedziała.

– Pani kapitan. Policjant każdego dnia naraża życie. Pani też może zginąć każdego dnia, z różnych, nierzadko błahych przyczyn. Usiłując interweniować podczas awantury domowej lub próbując zapobiec atakowi terrorystycznemu. Każda śmierć na służbie jest śmiercią honorową. A Vincent zaangażował się w najbardziej honorową misję: pomagając naprawić wyrządzone zło. Jego wysiłki były kluczowe, absolutnie nieodzowne w rozwiązaniu zagadki tej zbrodni.

Hayward milczała. Powróciła myślami do tamtego zakodowanego komunikatu. Podano go kwadrans temu. Pomyślała, że być może ksiądz zjawił się za późno.

South Mountain, Georgia

Ścieżka wychodziła z lasu i prowadziła na szczyt góry. Judson Esterhazy zatrzymał się na skraju rozległej łąki, aby ujrzeć słońce zachodzące za porośnięte sosnowym lasem wzgórze i rozrzedzające mglisty wieczór rdzawą poświatą; odległe jezioro skrzyło się złociście białą w gasnącym świetle.

Przystanął, oddychając łagodnie. Tak zwana góra była nią tylko z nazwy, bo zasługiwała raczej na miano pagórka. Sam szczyt był długi, wąski, nierówny, porośnięty wysoką trawą, z granitowym łysem plackiem, na którym stały pozostałości wieży pożarowej.

Esterhazy przeszedł zarośniętą drogą pożarową w kierunku wieży, aż w końcu zatrzymał się pod nią. Oparł się o jeden z zardzewiałych metalowych wsporników, sięgnął do kieszeni, wyjął fajkę i kapciuch z tytoniem. Wsunął lulkę fajki do kapciucha i powoli nabił ją tytoniem, używając w tym celu kciuka, a jego nozdrza wypełniły się aromatem latakii. Kiedy nabił już lulkę jak należy, wyjął ją z kapciucha, otarł kilka drobin z krawędzi, ubił tytoń, po czym sięgnął do tej samej kieszeni po zapalniczkę. Zapalił i zasysając wolno powietrze przez cybuch, sprawił, że ogień z zapalniczki ogarnął znajdujący się w lulce tytoń.

W ciemniejące niebo popłynął siwawy dym. Pałac fajkę, Esterhazy dostrzegł postać wyłaniającą się na drugim końcu łąki,

u zbiegu południowego szlaku. Na szczyt South Mountain prowadziło kilka szlaków z różnych kierunków.

Aromat drogiego tytoniu, kojący efekt nikotyny i sam uspokajający rytuał sprawiły, że całkowicie się wyciszył. Nie patrzył na postać zbliżającą się w jego stronę, lecz skierował wzrok ku wschodowi, kontemplując pomarańczową poświatę ponad wzgórzami, gdzie jeszcze niedawno było widać zachodzące słońce. Patrzył w tę stronę, dopóki nie usłyszał szelestu kroków wśród traw i nieco przyspieszonego, urywanego oddechu. Dopiero wtedy odwrócił się do mężczyzny – człowieka, którego nie widział od dziesięciu lat. Mężczyzna wyglądał trochę inaczej, niż go zapamiętał: miał bardziej nalaną twarz, włosy mu się przerzedziły, ale wciąż był żyłasty i krzepki. Miał na sobie drogie wadery i flanelową koszulę.

– Dobry wieczór – rzekł mężczyzna.

Esterhazy wyjął fajkę z ust i uniósł ją w geście powitania.

– Czołem, Mike.

Mężczyzna stał na tle poświaty zachodzącego słońca, więc rysy jego twarzy były niewyraźne.

– A zatem – zaczął – wygląda na to, że postanowiłeś osobiście posprzątać ten niewielki bałagan, i okazało się, że zrobił się z tego większy bałagan.

Esterhazy nie zamierzał pozwolić, aby ktokolwiek odzywał się do niego w ten sposób, a zwłaszcza Michael Ventura.

– Niczego, w co jest zamieszany ten agent Pendergast, nie można określić mianem niewielkiego bałaganu! – burknął oschle. – Właśnie tego się obawiałem przez te wszystkie lata. To trzeba było zrobić i zająłem się tym. W gruncie rzeczy to ty powinieneś być wykonać tę robotę. Ale najprawdopodobniej tylko narobiłbyś większego zamieszania.

– Wątpię. Akurat w tym jestem najlepszy.

Nastąpiła długa cisza. Esterhazy powoli wypuścił ustami dym z fajki, usiłując odnaleźć wewnętrzną równowagę.

– Minęło sporo czasu – powiedział Ventura. – Postarajmy się unikać niepotrzebnych konfliktów.

Esterhazy skinął głową.

– Tyle tylko że... Cóż, myślałem, że to wszystko mamy już za sobą. Że przeszłość została pogrzebana.

– Nigdy tak nie będzie, dopóki nie uporamy się z problemem Spanish Island.

Na twarzy Esterhazyego pojawił się wyraz z troskania.

– Wszystko jest w porządku, zgadza się?

– Dokładnie tak, jak można było tego oczekiwać.

Znow zapadła cisza.

– Posłuchaj – rzekł łagodniejszym tonem Ventura. – Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe. Poniosłeś największą ofiarę i jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni.

Esterhazy pykał fajkę.

– Do rzeczy – mruknął.

– Dobra. Podsumujmy więc. Zamiast zabić Pendergasta, zastrześliłeś jego partnera.

– D’Agostę. Szczęśliwy traf. Był zamieszany w sprawę. Zająłem się także dwoma innymi – Blastem i Blackletterem. Należało wyeliminować ich już dawno temu.

Ventura w odpowiedzi tylko splunął na trawę.

– Nie zgadzam się. Zawsze byłem temu przeciwny. Blackletter został dobrze opłacony za swoje milczenie. A powiązania Blasta są, delikatnie mówiąc, niejednoznaczne.

– Tak czy owak należało coś z nim zrobić.

Ventura tylko pokręcił głową.

– Teraz zjawiała się tu dziewczyna D’Agosty. I tak się składa, że jest ona najmłodszą policjantką w randze kapitana w nowojorskim wydziale zabójstw.

– No i?

Esterhazy wyjął fajkę z ust i rzucił lodowatym tonem:

– Mike, nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak niebezpiecznym

człowiekiem jest Pendergast. Znam go dobrze. Niestety nie udało mi się zabić go za pierwszym razem, co sprawia, że ponowna próba będzie jeszcze trudniejsza. Mam nadzieję, że rozumiesz, iż w obecnej sytuacji sprawa jest jasna: albo on, albo my.

– Ile może wiedzieć?

– Odnalazł Czarny Obraz, wie o chorobie Audubona i dowiedział się też o rodzinie Doane'ów.

Ventura wziął gwałtowny wdech.

– Chcesz mnie wystraszyć. Ile wie o Doane'ach?

– Trudno powiedzieć. Był w Sunflower. Odwiedził dom. Jest sprytny i nieustępliwy. Można przypuszczać, że wie już wszystko – albo niedługo się dowie.

– Sukinsyn. Jak, u licha, wpadli na to?

– Nie wiem. Pendergast jest nie tylko błyskotliwym śledczym, ale ma motywację – jedyną w swoim rodzaju.

Ventura pokręcił głową.

– Nie wątpię, że jest zajęty dzieleniem się z panią kapitan swoimi podejrzeniami, tak jak wcześniej dzielił się nimi ze swoim dotychczasowym partnerem, D'Agostą. Obawiam się, że to tylko kwestia czasu, zanim złożą wizytę naszemu wspólnemu przyjacielowi.

Pauza.

– Uważasz, że to oficjalne śledztwo?

– Nie wydaje mi się. Sądzę, że pracują nieformalnie. Wątpię, aby był w to zamieszany ktoś jeszcze.

Ventura zastanowił się przez chwilę, zanim znów się odezwał.

– Wobec tego po prostu dokończymy naszą robotę.

– Dobry pomysł. Skasuj Pendergasta i tę kapitan. Zrób to jak najszybciej. Zabij ich wszystkich.

– Ten policjant, którego trafiłeś, D'Agosta – jesteś pewien, że nie żyje?

– Myślę, że tak. Dostał kulkę w plecy z karabinu .308. – Judson zmarszczył brwi. – Jeżeli nie umrze, będziemy musieli trochę mu

w tym pomóc. Zostaw to mnie.

Ventura pokiwał głową.

– A ja zajmę się kolejno resztą.

– Zrób to. Potrzebujesz pomocy? Pieniądzy?

– Pieniądze to najmniej istotne z naszych zmartwień. Wiesz o tym.

Ventura ruszył na ukos przez pole w stronę różowego wieczornego nieba, aż jego ciemna sylwetka rozplynęła się wśród sosen na drugim końcu łąki.

Judson Esterhazy przez następnych piętnaście minut rozmyślał, paląc fajkę, oparty o wieżę pożarową. W końcu, stukając o zielony wspornik, wysypał z lulki nagar. Schował fajkę do kieszeni i raz jeszcze spojrzął w stronę ciemniejszego nieba na zachodzie, po czym odwrócił się i ruszył w dół szlaku, w kierunku drogi po drugiej stronie wzgórza.

Baton Rouge

Laura Hayward nie wiedziała, ile czasu upłynęło – pięć godzin czy pięćdziesiąt. Powolnie mijające minuty zlewały się w dziwną fugę komunikatów podawanych przez głośniki, przyspieszonych przyciszonych głosów i dźwięków urządzeń. Czasami Pendergast był obok niej. Kiedy indziej gdzieś znikał. Początkowo pragnęła, aby czas mijał możliwie jak najszybciej. Później – w miarę jak oczekiwanie się wydłużało – marzyła o tym, żeby czas zwolnił. Im dłużej bowiem Vincent D’Agosta leżał na stole operacyjnym, tym bardziej malały jego szanse na przeżycie – i świetnie zdawała sobie z tego sprawę.

Wtem niespodziewanie pojawił się przed nimi chirurg; niebieski uniform miał pomarszczony i wygnieciony. Poblądł bardzo, a jego twarz wydawała się zapadnięta. Za nim stał ojciec Bell.

Na widok księdza serce w piersi Hayward niemal zamarło. Wiedziała, że ta chwila nadejdzie. A jednak teraz nie była w stanie się z nią zmierzyć. Nie. Nie. Nie, nie, nie... Poczula, że Pendergast wziął ją za rękę. Chirurg odchrząknął.

– Pragnę państwa poinformować, że operacja zakończyła się pomyślnie. Skończyliśmy czterdzieści pięć minut temu i od tej pory uważnie monitorujemy stan pacjenta. Prognozy są pomyślne.

– Zaprowadzę panią do niego – powiedział ojciec Bell.

– Tylko na chwilę – dodał chirurg. – Jest ledwie przytomny i bardzo słaby.

Przez chwilę Hayward siedziała w bezruchu, oszołomiona, próbując wszystko ogarnąć. Pendergast mówił coś, ale nie rozumiała jego słów. Nagle ktoś zmusił ją, by wstała; po jednej stronie miała agenta FBI, po drugiej księdza – poprowadzili ją w głąb korytarza. Skręcili w lewo, potem w prawo, mijając zamknięte drzwi i korytarze pełne łóżek noszowych i pustych wózków inwalidzkich. Przez otwarte drzwi dotarli do nowoczesnej sali, w której rozstawiono parawany na kółkach. Pielęgniarka odsunęła jeden z nich i za nim był Vinnie. Podłączony do wielu urządzeń, leżał z zamkniętymi oczami. Elastyczne rurki znikwały pod pościelą. Przez jedną kroplówkę podawano mu osocze, przez drugą – roztwór soli fizjologicznej. Pomimo masywnej sylwetki D’Agosta wyglądał na bardzo słabego i bezbronego.

Na chwilę Hayward wstrzymała oddech. W tej samej chwili D’Agosta zatrzepotał powiekami, otworzył je, zamknął i otworzył raz jeszcze. Popatrzył na nich kolejno, aż w końcu zatrzymał wzrok na niej.

Kiedy na niego spojrzała, poczuła, że resztki zimnej krwi, jej wewnętrzne opanowanie, którym zawsze się szczyciła, rozsypuje się w niej jak domek z kart. Gorące łzy spłynęły jej po policzkach.

– Och, Vinnie – zaszlochała.

Oczy D’Agosty także zwilgotniały. A po chwili wolno się zamknęły.

Pendergast podtrzymał ramieniem Hayward, która na moment wtuliła twarz w jego koszulę, poddając się emocjom i pozwalając, by jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Dopiero teraz, kiedy zobaczyła Vinniego żywego, zrozumiała, jak niewiele brakowało, aby go straciła.

– Obawiam się, że muszą państwo już wyjść – rzekł półgłosem chirurg.

Hayward wyprostowała się, otarła oczy i wzięła długi, drżący,

oczyszczający oddech.

– Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Niestety jego serce zostało poważnie uszkodzone. Przy najbliższej okazji będziemy musieli przeprowadzić operację wymiany zastawki aorty.

Hayward pokiwała głową. Uwolniła się z uścisku Pendergasta i raz jeszcze popatrzyła na D'Agostę, zanim się odwróciła.

– Lauro – usłyszała jego ochrypły głos.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Wciąż leżał na łóżku z zamkniętymi oczami. Czy naprawdę usłyszała jego głos, czy tylko się jej zdawało?

D'Agosta drgnął nieznacznie i z trudem otworzył oczy. Jego usta poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Hayward podeszła do łóżka i pochyliła się nad nim.

– Nie pozwól zaprzepaścić tego, co zrobiłem – powiedział głosem, który brzmiał prawie jak szept.

Plantacja Penumbra

W wielkim kominku w bibliotece palił się ogień. Hayward patrzyła, jak stary sługa Maurice podaje kawę po kolacji. Krążył pomiędzy meblami niczym pradawna postać, z dziwnie beznamiętnym wyrazem na pobrużdżonej twarzy. Zauważyła, że Maurice stara się nie patrzeć na siniak na szczęce Pendergasta. Może, zastanawiała się Hayward, przez lata staruszek przywykł do widoku swojego pracodawcy ciut sponiewieranego.

Rezydencja i teren wokół niej wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobrażała – prastare dęby udrapowane mchem hiszpańskim, biały portyk z kolumnadą, wyblakłe przedwojenne wyposażenie. Był tu nawet stary rodzinny duch, o czym zapewnił ją sługa, nawiedzający okoliczne bagna – jeszcze jeden przewidywalny frazes. Jedynym zaskoczeniem był dla niej fakt, że Penumbra bardzo podupadła. To było dość dziwne – Pendergast, jak przypuszczała, miał sporo pieniędzy. Przerwała te rozważania, upominając samą siebie, że nie obchodzi jej agent ani jego rodzina.

Przed opuszczeniem szpitala ubiegłej nocy Pendergast wypytywał ją dość szczegółowo o jej spotkanie z Constance Greene. Następnie zaproponował jej zakwaterowanie w Penumbrze. Hayward odmówiła, gdyż wolała raczej zatrzymać się w hotelu niedaleko szpitala.

Jednak kolejne odwiedziny u D'Agosty następnego ranka potwierdziły to, co powiedział chirurg: że jego powrót do zdrowia będzie długi i powolny. Mogła wziąć urlop – to akurat nie stanowiło problemu, miała do wykorzystania mnóstwo wolnych dni – ale myśl o przebywaniu nie wiadomo jak długo w pokoiku podrzędnego hotelu wydawała się jej nie do zniesienia. Zwłaszcza że Pendergast nalegał, by D'Agosta możliwie jak najszybciej został przewieziony do silnie strzeżonego miejsca, gdzie z powodu bezpieczeństwa nie będzie mogła go odwiedzać. Tego ranka podczas przebudzenia świadomości Vinnie znów poprosił ją, by kontynuowała śledztwo tam, gdzie je przerwał, i doprowadziła sprawę do końca.

Dlatego kiedy Pendergast po lunchu przysłał po nią samochód, wymeldowała się z hotelu i przyjęła jego zaproszenie do zamieszkania w Penumbry. Nie zgodziła się pomóc, ale postanowiła zapoznać się ze szczegółami. Trochę już wiedziała z rozmów telefonicznych z Vinniem. Śledztwo wyglądało na typowe dla Pendergasta: mnóstwo przeczuć, ślepych uliczek i sprzecznych dowodów uzyskanych w wyniku ciężkiej pracy z przekroczeniem dopuszczalnych procedur.

Jednak po powrocie do Penumbry, gdy Pendergast zaczął wyjaśniać jej szczegóły przy kolacji, a potem przy kawie, Hayward uświadomiła sobie, że w tej dziwnej historii była jakaś wewnętrzna logika. Pendergast opowiedział jej o fascynacji swojej nieżyjącej żony postacią Audubona, o tym, jak podążając tym tropem, dowiedzieli się o jej obsesji na punkcie papugi karolińskiej i Czarnego Obrazu, o zaginionej papudze i zagadkowej tragedii, jaka dotknęła rodzinę Doane'ów. Przeczytał jej fragmenty dziennika córki Doane'ów świadczące o jej przerażającym, nieuchronnym staczaniu się w otchłań szaleństwa. Opisał jej ich spotkanie z Blastem, jeszcze jednym poszukiwaczem Czarnego Obrazu, który niedawno został zamordowany – podobnie jak były pracodawca Helen Pendergast w organizacji Lekarzy ze Skrzydłami, Morris Blackletter. Na koniec wyjaśnił jej ciąg

dedukcji i odkryć, które doprowadziły do odnalezienia zagadkowego Czarnego Obrazu.

Kiedy w końcu Pendergast zamilkł, Hayward rozsiadła się wygodnie w fotelu i popijając kawę, zaczęła się zastanawiać nad tym, czego się właśnie dowiedziała, poszukując tropów, związków logicznych, lecz odkryła ich niewiele. Wiedziała, że trzeba o wiele więcej pracy, by wypełnić luki.

Spojrzała na dzieło znane jako Czarny Obraz. Rozjaśniał go falujący blask ognia w kominku, ale i tak zdołała wychwycić szczegóły: kobietę na łóżku, spartańsko urządzonej pokój, zimną białą nagość ciała. Delikatnie mówiąc, ten obraz był niepokojący.

Przeniosła wzrok na Pendergasta, który znów miał na sobie czarny garnitur.

– A więc uważa pan, że żona była zainteresowana chorobą Audubona.

Chorobą, która przemieniła go w twórczego geniusza.

– Tak, wskutek jakiejś nieznannej reakcji neurologicznej. Dla osoby przejawiającej takie pasje jak ona byłoby to cenne odkrycie farmakologiczne.

– I szukała tego obrazu tylko po to, by potwierdzić swoją teorię.

Pendergast pokiwał głową.

– Obraz stanowi brakujące ogniwo pomiędzy wczesnymi, przeciętnymi pracami Audubona a jego późniejszymi, genialnymi dokonaniem. To dowód przemiany, jaką przeszedł. Ale nie wyjaśnia on zasadniczej zagadki w tej sprawie: ptaków.

Hayward zmarszczyła brwi.

– Ptaków?

– Papug karolińskich. Papugi Doane'ów.

Hayward również zastanawiała się usilnie, poszukując związków z chorobą Audubona, lecz jak dotąd bez powodzenia.

– I co?

Pendergast napił się kawy.

– Śmiem twierdzić, że mamy tu do czynienia ze szczepem ptasiej

grypy.

– Ptasiej grypy?

– Uważam, że Audubon zapadł właśnie na tę chorobę, która omal go nie zabiła, ale paradoksalnie wpłynęła na rozkwit jego zdolności twórczych.

Dolegliwości: wysoka gorączka, ból głowy, omamy, kaszel, zdają się wskazywać na grypę. Bez wątpienia nabawił się jej podczas sekcji papugi karolińskiej.

– Wolniej, proszę. Skąd pan to wszystko wie?

W odpowiedzi Pendergast sięgnął po podniszczoną, oprawną w skórę księgę.

– To dziennik mojego prapradziadka, Boecjusza Pendergasta. Przyjaźnił się z Audubonem, gdy ten był jeszcze młodym artystą.

Otworzył dziennik na stronie zaznaczonej jedwabną złotą zakładką, odnalazł poszukiwany fragment i zaczął czytać na głos:

21 sierpnia. J.J.A. znów spędził z nami wieczór. Popołudnie poświęcił na przeprowadzenie sekcji dwóch papug karolińskich – o niezwykle ubarwieniu, lecz poza tym zgoła pospolitych ptaków. Następnie wypchał je i umieścił na kawałkach cyprysowego drewna. Zjedliśmy sutą kolację, po czym odbyliśmy przechadzkę. Opuścił nas około wpół do jedenastej. W przyszłym tygodniu planujemy wyprawę w górę rzeki, gdzie, jak twierdzi A., są perspektywy na rozwinięcie intratnego interesu.

Pendergast zamknął dziennik.

– Audubon nie odbył tej wyprawy w górę rzeki. W ciągu tygodnia zaniemógł, a choroba była tak poważna, że ostatecznie trafił do sanatorium Meuse St. Claire.

Hayward ruchem głowy wskazała na dziennik.

– Uważa pan, że pańska żona natknęła się na te zapiski?

– Jestem tego pewien. W przeciwnym razie po co miałyby kraść okazy papugi karolińskiej – te same, których sekcje przeprowadził Audubon? Chciała je przebadac na obecność wirusa ptasiej grypy. –

Przerwał. – Zrobiła coś więcej, niż tylko je przebadła. Miała nadzieję, że zdoła pozyskać z nich żywą próbkę wirusa. Vincent powiedział mi, że jedyne, co pozostało z tych papug skradzionych przez moją żonę, to kilka piór. Rano pójde do Plantacji Oakley, zdobęde te pióra – rzecz jasna z zachowaniem najwyższej ostrożności – po czym dam je do zbadania, by potwierdzić moje przypuszczenia.

– Ale to wciąż nie tłumaczy, w jaki sposób te papugi są powiązane z rodziną Doane’ów.

– To dość proste. Doane’owie zapadli na tę samą chorobę, która dotknęła Audubona.

– Skąd to przypuszczenie?

– Podobieństw jest zbyt wiele, pani kapitan, aby w grę mogło wchodzić coś innego. Ten nagły rozkwit genialnych zdolności artystycznych. A potem choroba psychiczna. Zbyt wiele podobieństw – i Helen o tym wiedziała. Właśnie dlatego pojechała wykraść znajdującą się u nich papugę.

– Ale kiedy wykradła tę papugę, cała rodzina była jeszcze zdrowa. Nikt z nich nie miał grypy.

– Jeden z dzienników w domu Doane’ów potwierdza, aczkolwiek pobieżnie, że rodzina zapadła na grypę wkrótce po tym, jak przygarnęła tego ptaka.

– O Boże.

– Zaraz potem, bardzo szybko, pojawiły się pierwsze oznaki twórczego geniuszu. – Pendergast znów przerwał. – Helen pojechała tam, by wykraść ptaka Doane’om, jestem o tym przekonany. Może zrobiła to, by zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się choroby. No i żeby przebadać papugę, a tym samym potwierdzić swoje przypuszczenia. Proszę zwrócić uwagę na to, co Karen Doane napisała w swoim pamiętniku w dniu, kiedy Helen ukradła papugę. Że na dłoniach miała skórzane rękawiczki i wrzuciła klatkę z papugą do worka na śmieci. Dlaczego? Początkowo przypuszczałem, że chodziło o ukrycie klatki z papugą.

Ale nie. W ten sposób chciała uchronić siebie i samochód przed skażeniem.

– A skórzane rękawiczki?

– Włożyła je zapewne po to, by ukryć rękawice chirurgiczne, które miała pod nimi. Helen próbowała uchronić populację ludzką przed zabójczym wpływem wirusa. Bez wątplenia ptak, klatka i worek na śmieci zostały spalone po tym, jak Helen pobrała potrzebne jej próbki.

– Spalone? – powtórzyła Hayward.

– To standardowa procedura. Wszystkie pobrane próbki także ostateczne musiały zostać spalone.

– Ale dlaczego? Jeżeli rodzina Doane'ów była zarażona, wirus mógł się przenosić z nich na innych ludzi. Spalenie papugi byłoby jak zamknięcie drzwi stajni po tym, jak uciekły z niej wszystkie konie.

– Niezupełnie. Widzi pani, wirus ptasiej grypy łatwo się przenosi tylko z ptaka na człowieka, ale z człowieka na człowieka już trudniej. Sąsiedzi powinni być bezpieczni. Oczywiście dla Doane'ów było już za późno. – Pendergast dopił kawę, po czym odstawił filiżankę. – Ale to wciąż nie wyjaśnia podstawowej zagadki: skąd uciekła papuga Doane'ów? I co istotniejsze: w jaki sposób stała się nosicielem wirusa?

Pomimo swojego sceptycyzmu Hayward wydawała się zaintrygowana.

– Może się pan myli. Może wirus był cały czas uśpiony. Papuga mogła nabawić się go naturalnie.

– Wątpliwe. Pragnę przypomnieć, że ptak był zaobrączkowany. Nie, genom wirusowy musiał zostać nie bez trudu wysekwencjonowany i odtworzony w laboratorium z wykorzystaniem materiału wirusowego ze skradzionych papug karolińskich. A potem zaszczepiono go żywym ptakom.

– A więc ptak uciekł z laboratorium.

– Właśnie tak. – Pendergast wstał. – Pozostaje najistotniejsze

pytanie: czy ma to coś wspólnego z zamordowaniem Helen, z ostatnimi zabójstwami i zamachami na nas – a jeżeli tak, to co?

– Nie zapomina pan o czymś? – wtrąciła Hayward.

Pendergast spojrzał na nią.

– Mówi pan, że Helen ukradła papugi, które badał Audubon, te, od których rzekomo się zaraził. Helen odwiedziła również farmę Doane'ów i wykradła ich papugę, bo jak pan sam powiedział, ptak był zarażony. Z oczywistych względów Helen stanowi ogniwo łączące oba te zdarzenia. Nie ciekawi pana, jaką rolę mogła odgrywać Helen w sekwencjonowaniu wirusa i zaszczepianiu go żywym ptakom?

Pendergast odwrócił się, wcześniej jednak na jego twarzy pojawił się zbolący wyraz. Hayward prawie pożałowała, że zadała to pytanie.

W bibliotece zapadła długa chwila ciszy. Wreszcie Pendergast znów odwrócił się do niej.

– Musimy kontynuować nasze śledztwo tam, gdzie je przerwałem z Vincentem.

– My?

– Zakładam, że zgodzi się pani spełnić prośbę Vincenta. Potrzebuję kompetentnego partnera. O ile sobie przypominam, pochodzi pani z tych stron. Jestem pewien, że świetnie sobie pani poradzi.

Jego przypuszczenia i protekcyjny ton były skrajnie irytujące. Hayward aż za dobrze znała oryginalne metody śledcze Pendergasta, wiedziała o jego niechęci do przestrzegania reguł i procedur, miała świadomość, że często funkcjonował na granicy prawa. Kto wie, czy nie przekreśliłaby w ten sposób swojej kariery. Spojrzała na niego stanowczo. Gdyby nie ten człowiek, Vinnie nie leżałby teraz w szpitalu w stanie krytycznym, oczekując na operację przeszczepu zastawki serca.

Ale mimo wszystko... Vinnie poprosił ją o pomoc. Dwukrotnie.

Uświadomiła sobie, że już podjęła decyzję.

– Dobrze. Pomogę panu doprowadzić tę sprawę do końca. Przez wzgląd na Vinniego, nie na pana. Ale... – zawahała się – pod jednym warunkiem. I to nie podlega negocjacji.

– Oczywiście, pani kapitan.

– Musi mi pan obiecać, że kiedy – jeżeli – znajdziemy człowieka odpowiedzialnego za śmierć pańskiej żony, nie zabije go pan.

Pendergast znieruchomiał.

– Zdaje sobie pani sprawę, że mówimy tu o wyrachowanym, bezwzględnym zabójcy?

– Nie jestem zwolenniczką wymierzania sprawiedliwości na własną rękę. Zbyt wielu przestępców, których pan ścigał, zmarło, nie doczekawszy procesu. Tym razem dopilnujemy, by wszystko odbyło się zgodnie z literą prawa i by sprawiedliwości stało się zadość.

Zapadła cisza.

– To, o co pani prosi... nie jest proste.

– Coś za coś – odparła krótko Hayward.

Pendergast przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy. A potem prawie niedostrzegalnie skinął głową.

Mężczyzna przykucnął w ciemnościach garażu za pojazdem przykrytym białym płótnem. Była siódma wieczór, słońce już zaszło. Powietrze przesycone było zapachem wosku do karoserii, oleju silnikowego i pleśni. Wyjmując zza paska półautomatyczną berettę kalibru 9 mm, mężczyzna wysunął magazynek i upewnił się, że jest pełny. Wbił magazynek na powrót do kolby i ponownie włożył pistolet za pasek, po czym trzykrotnie rozluźnił i zacisnął dłonie, prostując i prężąc palce. Cel powinien zjawić się lada chwila. Po karku mężczyzny ściekał pot i zaczęło mu drgać ścięgno w udzie, ale nie zwracał na to uwagi, skupiony na wypełnieniu zadania.

Frank Hudson przez ostatnie dwa dni penetrował tereny Plantacji Penumbra, poznając nawyki jej mieszkańców. Zdziwiło go, jak kiepską mają tu ochronę: jeden zgrzybiały, na wpół ślepy służący każdego rana otwierał dom i wieczorem zamykał drzwi frontowe na klucz, dokładnie o tej samej porze, jak w zegarku. Brama główna pozostawała zamknięta, otwierano ją tylko za dnia i najwyraźniej nikt jej nie pilnował. Skrzętne przeszukanie nie ujawniło też kamer ochrony, systemów alarmowych, czujników ruchu ani promieni podczerwonych. Podupadająca, stara plantacja znajdowała się na tyle daleko od głównej drogi, że Hudson nie musiał obawiać się regularnych policyjnych patroli. W budynku poza celem i służącym praktycznie nie było nikogo więcej, jedynie

kilka razy wypatrzył bardzo atrakcyjną kobietę o olśniewającej figurze.

Cel Hudsona, mężczyzna nazwiskiem Pendergast, stanowił jedyną nieregularność w ponadczasowym cyklu Penumbry. Pojawiał się i wyjeżdżał o najdziwniejszych porach. Jednak Hudson obserwował to miejsce dostatecznie długo, by wychwycić pewien drobny schemat w pojawianiu się i znikaniu mężczyzny, a wszystko sprowadzało się do wina. Kiedy powłóczący nogami stary sługa zaczynał szykowanie kolacji i otwierał butelkę wina, oznaczało to, że Pendergast wróci do domu nie później niż o wpół do ósmej wieczorem, na kolację. Jeżeli służy nie otwierał wina, oznaczało to, że Pendergast zje kolację poza domem i zjawi się w rezydencji dużo później, o ile w ogóle.

Tego wieczoru otwarta butelka wina stała na kredensie, doskonale widoczna przez okna jadalni.

Hudson spojrział na zegarek. W myślach przepatrywał rozwój wydarzeń, to, co musiał zrobić. I nagle znieruchomiał, bo z zewnątrz dobiegł chrzęst opon na żwirze. To już. Hudson czekał, splotając oddech. Samochód zatrzymał się przed garażem, z silnikiem pracującym na jałowym biegu. Drzwiczki auta otworzyły się, a potem rozległ się odgłos kroków. Drzwi garażu zostały otwarte, jedno, potem drugie skrzydło, nie były automatyczne, po czym dały się słyszeć kroki kogoś, kto wracał do samochodu. Silnik zwiększył obroty. Przód rollsa wjechał do garażu, blask reflektorów wypełnił pomieszczenie, oślepiając Hudsona. Chwilę potem światła zgasły, silnik został wyłączony i w garażu znów zrobiło się ciemno.

Zamrugnął, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności. Zaciśnął dłoń na kolbie pistoletu i wyciągnął broń zza paska, kciukiem ostrożnie zwalniając bezpiecznik.

Czekał na dźwięk otwieranych drzwi, aby jego cel zapalił światło w garażu, ale nic takiego nie nastąpiło. Pendergast zdawał się czekać w samochodzie. Na co? Czując, jak jego serce przyspiesza,

Hudson spróbował spłycić oddech i zachować trzeźwość umysłu. Wiedział, że jest dobrze ukryty – poprawił pokrowiec na samochodzie tak, by ze wszystkich stron sięgał on aż do ziemi i nie wystawały spod niego jego stopy.

Może Pendergast rozmawiał przez komórkę. Albo wykorzystywał rzadką okazję, by posiedzieć w ciszy i spokoju przed opuszczeniem pojazdu; niektórzy tak robili.

Z nadzwyczajną ostrożnością Hudson uniósł nieznacznie głowę, by wyrzec spoza nakrytego auta; rolls-royce stał nieopodal pograżony w ciemnościach, słychać było jedynie odgłos stygnącego silnika. Przez przyciemnione szyby nie dało się zajrzeć do środka.

Czekał.

– Zgubiłeś guzik? – rozległ się głos tuż za nim.

Z pomrukiem zdziwienia Hudson poderwał się na nogi, odruchowo unosząc rękę; huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco w ograniczonej przestrzeni. Kiedy próbował się odwrócić, pistolet został wyłuskany z jego dłoni, a żylaste ramię oplotło jego szyję. Został brutalnie obrócony, a następnie pchnięty silnie na zakryty pokrowcem samochód.

– W wielkiej grze ludzkiego życia – powiedział głos – niektórzy zaczynają jako ofiary oszustwa, a kończą, sami stając się oszustami.

Hudson bezskutecznie próbował się uwolnić.

– Gdzie ty, przyjacielu, znajdujesz siebie w tej rozgrywce?

– Nie wiem, o czym mówisz, do cholery – wychrypiał w końcu Hudson.

– Jeżeli się uspokoisz, puszcze cię. Ale najpierw się uspokój.

Hudson przestał się wyrywać. Równocześnie poczuł, że nacisk słabnie, jego ręce zostały uwolnione. Odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz ze swoim celem – Pendergastem: wysokim mężczyzną w czerni, o twarzy i włosach tak jasnych, że zdawały się świecić w ciemnościach jak oblicze zjawy. W dłoni trzymał zabrany mu pistolet i celował w niego.

– Przepraszam, nie zostaliśmy sobie wzajemnie przedstawieni.

Nazywam się Pendergast.

– Wal się.

– Ten zwrot zawsze wydawał mi się osobliwy, zwłaszcza użyty w pejoratywnym znaczeniu.

Pendergast otaksował go wzrokiem, po czym wsunął pistolet za pasek spodni pod połę marynarki.

– Czy możemy kontynuować tę rozmowę w domu?

Mężczyzna tylko na niego patrzył.

– Proszę.

Pendergast ruchem ręki wskazał drogę do bocznych drzwi. Po chwili Hudson ruszył w ich kierunku. Może jednak zdoła jakoś z tego wybrnąć. Wyszedł przez otwarte drzwi garażu, a Pendergast podążył tuż za nim po żwirowym podejździe i wspiał się po stopniach niszczejacej rezydencji. Służący otworzył i przytrzymał dla niego drzwi.

– Czy ten dżentelmen wejdzie do środka? – zapytał, a ton jego głosu jawnie dawał do zrozumienia, aby tak się nie stało.

– Tylko na kilka minut, Maurice. Wypijemy po kieliszku sherry we wschodnim saloniku.

Pendergast gestem wskazał mężczyźnie kierunek wzdłuż korytarza do niewielkiego saloniku. W kominku buzował ogień.

– Proszę usiąść.

Hudson skwapliwie zajął miejsce na starej skórzanej kanapie. Pendergast usiadł naprzeciw niego i spojrzał na zegarek.

– Mam tylko kilka minut. Pytam raz jeszcze: jak się nazywasz?

Hudson próbował wziąć się w garść, odnaleźć się w tym niespodziewanym zwrocie akcji. Wciąż jeszcze mógłby się z tego wywinąć.

– Nazwisko nieważne. Jestem prywatnym detektywem i pracowałem dla Blasta. To wszystko musisz wiedzieć – i założę się, że to w zupełności wystarczy.

Pendergast znów otaksował go wzrokiem.

– Wiem, że masz obraz – ciągnął Hudson. – Czarny Obraz. I wiem, że zabiłeś Blista.

– Bystrzak z ciebie.

– Blist był mi winien sporo forsy. Staram się tylko odzyskać to, co mi się należy. Zapłać mi, a zapomnę o tym, co wiem o śmierci Blista. Rozumiemy się?

– Tak. A więc zjawileś się tu z zamiarem wprowadzenia w czyn swojego planu szantażu.

Na bladym obliczu mężczyzny pojawił się upiorny uśmiezek ukazujący równe białe zęby.

– Odbieram tylko to, co moje. I przy okazji pomagam ci się wywinąć, jeżeli rozumiesz, do czego zmierzam.

– Pan Blist bardzo słabo znał się na ludziach.

Niepewny, co to ma znaczyć, Hudson patrzył, jak Pendergast wyjmując z paska berettę, sprawdza magazynek, ponownie wbija go do kolby i celuje w niego. W tej samej chwili zjawił się służący ze srebrną tacą i dwoma kieliszkami wypełnionymi brązowym płynem, które postawił na stoliku.

– Maurice, sherry jednak nie będzie konieczne. Zamierzam wyprowadzić tego dżentelmena na bagna, po czym wpakuję mu kulkę w potylicę z jego pistoletu, pozwalając, aby aligatory uprzętnęły wszelkie dowody. Wrócę na kolację.

– Jak pan sobie życzy, sir – powiedział sługa, zabierając przyniesione właśnie kieliszki.

– Nie strasz mnie – mruknął Hudson, czując nieprzyjemny dreszcz na plecach. Może jednak źle to rozegrał.

Pendergast zdawał się go nie słyszeć. Wstał, celując do niego z pistoletu.

– Idziemy.

– Nie wygłupiaj się, to ci nie ujdzie płazem. Moi ludzie na mnie czekają. Wiedzą, gdzie jestem.

– Twoi ludzie? – Widmowy, upiorny uśmiezek powrócił. – Daj spokój, obaj wiemy, że jesteś wolnym strzelcem i nikomu nie

powiedziałeś, dokąd się wybierasz. Idziemy na bagna!

– Zaczekaj. – Hudson poczuł, że ogarnia go panika. – Popełniasz błąd.

– Czy wydaje ci się, że skoro zabiłem już jednego człowieka, zawaham się przed zabiciem drugiego, który dowiedział się, co zrobiłem, i próbuje mnie szantażować? Wstawaj!

Hudson poderwał się na nogi.

– Błagam, posłuchaj mnie. Zapomnij o pieniądzach. Ja tylko próbuję coś wyjaśnić.

– Wyjaśnienia są zbędne. Nie powiedziałeś, jak się nazywasz, i za to jestem ci wdzięczny. Zawsze mam problem z zapamiętaniem nazwisk tych, których zabiłem.

– Hudson – rzucił pośpiesznie tamten. – Frank Hudson. Proszę, nie rób tego.

Pendergast opuścił pistolet do boku i silnym pchnięciem skierował tamtego w stronę drzwi. Hudson jak zombi wyszedł na korytarz i przez frontowe drzwi na ganek. Rozpościerała się przed nim noc, czarna, wilgotna, wypełniona skrzeczeniem żab i odgłosami owadów.

– Nie, nie, nie. – Hudson wiedział już, że popełnił wielki błąd.

– Nie zatrzymuj się, bardzo proszę.

Hudson poczuł, że uginają się pod nim kolana, i osunął się na drewnianą podłogę ganku.

– Błagam. – Łzy ściekały mu po twarzy.

– Wobec tego zrobię to tutaj.

Hudson poczuł, jak chłodna lufa pistoletu dotyka jego karku.

– Maurice będzie musiał posprzątać.

– Nie rób tego – jęknął Hudson, po czym usłyszał, jak Pendergast odciąga kurek beretty.

– Dlaczego nie miałbym tego zrobić?

– Kiedy zniknę, gliny znajdą mój samochód. Zostawiłem go niedaleko i policja na pewno się tu zjawi.

– Przetawię twój wóz.

- Zostawisz w nim ślady swojego DNA, nie da się tego uniknąć.
- Wobec tego przestawi go Maurice. Poza tym potrafię poradzić sobie z paroma gliniarzami.
- Przeszukają bagna.
- Jak już wspomniałem, aligatory zadbają o to, by usunąć twoje zwłoki.
- Skoro tak twierdzisz, to nie wiesz zbyt wiele na temat ciał. Mają w zwyczaju pojawiać się wiele dni albo nawet tygodni później. Także na bagnach.
- Nie na moich bagnach z moimi aligatorami.
- Aligatory nie są w stanie sprawić, że znikną ludzkie kości, nie potrafią ich strawić, tylko wydalają je nietknięte.
- Widzę, że masz sporą wiedzę na temat zwyczajów żywieniowych aligatorów.
- Posłuchaj. Gliny dowiedzą się, że pracowałem dla Blast, połączą Blast z tobą i mnie z tobą. Niedaleko stąd tankowałem benzynę i płaciłem kartą. Uwierz mi, zaroi się tu od glin.
- Jak mogliby powiązać mnie z Blastem?
- Zrobią to, możesz być pewien! – rzucił z przejęciem Hudson. – Wiem o wszystkim, Blast mi powiedział. Opowiedział mi o twojej wizycie. Zaraz po twoim wyjeździe Blast polecił zawieszenie handlu skórami. Wolał nie ryzykować, zadzwonił chwilę po tym, jak wyszedłeś od niego.
- A co z Czarnym Obrazem? Czy to ty nas ścigałeś?
- Tak. To byłem ja. Blast podpuścił cię w kwestii Czarnego Obrazu. Chciał, żebyś go odnalazł, uważał, że jesteś dostatecznie bystry, aby odnieść sukces tam, gdzie jemu się nie udało. Zaimponowałeś mu. Ale gliny dowiedzą się o tym wszystkim, o ile już tego nie wiedzą po tym numerze, jaki wyciąłeś w cukierni. Uwierz mi, jeżeli zniknę, zlecą się tu z psami tropiącymi.
- Nigdy nie powiążą mnie z Blastem.
- Oczywiście, że powiążą! Blast powiedział mi, że oskarżyłeś go o zabicie żony. Siedzisz w tej sprawie po uszy!

- Czy Blast zabił moją żonę?
- Mówił, że nie. Twierdził, że nie ma z tym nic wspólnego.
- A ty mu uwierzyłeś?

Hudson mówił tak szybko, jak mógł, serce boleśnie tłukło mu się w piersi.

– Blast nie był święty, ale nie był też mordercą. Był szcwanym lisem, oszustem, manipulatorem. Nie miał jednak dość ikry, by zabić kogokolwiek.

– W przeciwieństwie do ciebie. Ty potrafiłeś ukryć się ze spluwą w moim garażu.

– Nie, nie! Nie planowałem cię zabić. Chciałem jedynie dobić targu.

Jestem zwykłym detektywem, który próbuje zarobić na chleb. Musisz mi uwierzyć!

– Muszę? – Pendergast opuścił pistolet. – Może pan wstać, panie Hudson.

Detektyw podniósł się. Twarz miał wilgotną od łez i cały się trząsł, ale nie dbał o to. Przepelniła go nadzieja.

– Jest pan bystrzejszy, niż sądziłem. Zamiast pana zabić, zapraszam do środka. Może jednak napijemy się sherry i omówimy warunki pańskiego zatrudnienia?

Hudson siedział na kanapie przy kominku cały spocony. Czuł się wyczerpany, pusty, ale zarazem żywy, rozentuzjasmowany, jakby odrodził się na nowo i miał okazję znów stąpać po ziemi jako zupełnie inny człowiek.

Pendergast usiadł w fotelu, z dziwnym półuśmiechem na ustach.

– A teraz, panie Hudson, skoro ma pan dla mnie pracować, musi pan powiedzieć mi wszystko. O Blaście i swoim zadaniu.

Hudson mówił bez najmniejszych oporów:

– Blast zadzwonił do mnie tuż po pańskiej wizycie. Nieźle go pan wystraszył, zwłaszcza sprawą nielegalnych skór i futer. Powiedział,

że wstrzymuje całą operację bezterminowo. Wspomniał przy tym, że próbuje pan odnaleźć Czarny Obraz, i chciał, żebym pana śledził do czasu, aż go pan znajdzie, abym mógł go wykraść.

Pendergast pokiwał głową znad złączonych dłoni.

– Jak już mówiłem, miał nadzieję, że zaprowadzi go pan do Czarnego Obrazu. Śledziłem pana i widziałem, jaki numer wywinął pan w cukierni. Ścigałem pana, ale pan uciekł.

Kolejny ruch głową.

– Pojechałem zdać Blastowi relację, ale on już nie żył. Dwa strzały z bliska z dubeltówki rozerwały go prawie na pół. Uznałem, że to pan go zabił. I postanowiłem złożyć panu wizytę, aby odebrać to, co mi się należało.

– Tak się składa, że nie zabiłem Blasta. Zrobił to ktoś inny.

Hudson potaknął, nie wiedząc, czy ma w to wierzyć, czy nie.

– Co panu wiadomo o interesach Blasta?

– Niewiele. Jak już mówiłem, był zamieszany w nielegalny obrót zwierzęcymi skórami. Ale najbardziej pochłaniał go Czarny Obraz. Doprowadził go niemal na skraj obłądu.

– Jaka jest pańska historia pracy dla niego?

– Byłem policjantem, ale z powodu cukrzycy posadzono mnie za biurkiem. Nie znosiłem takiej roboty, więc zostałem prywatnym detektywem. Wykonałem sporo zleceń dla Blasta, głównie grzebiąc w przeszłości jego dostawców i partnerów w interesach. Był bardzo ostrożny w doborze ludzi, z którymi handlował. Rynek obrotu skórami roi się od podstawionych gliniarzy i cwaniaków wywijających rozmaite przekręty. Prowadził interesy głównie z niejakim Victorem.

– A jak brzmi jego nazwisko?

– Nigdy go nie poznałem.

Pendergast spojrział na zegarek.

– Jest pora kolacji, panie Hudson, i bardzo mi przykro, że nie może pan zostać.

Hudsonowi też było żal.

Pendergast sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął niewielki plik banknotów.

– Nie odpowiadam za to, ile był panu winien Blast – powiedział.

– Ale to pańskie honorarium za dwa pierwsze dni pracy. Pięćset dolarów za dzień plus wydatki. Od tej pory pracuje pan wyłącznie dla mnie i bez broni palnej. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Na zachód od Czarnych Bagien jest niewielkie miasteczko Sunflower. Chcę, żeby kupił pan mapę, wyznaczył krąg o promieniu osiemdziesięciu kilometrów wokół tego miasta i zlokalizował wszystkie koncerny farmaceutyczne oraz placówki naukowe, w których bada się nowe leki od ostatnich piętnastu lat. Chcę, żeby odwiedził pan każde z tych miejsc, udając kierowcę, który zgubił drogę. Proszę zbliżyć się do tych placówek, jak tylko pan zdoła, bez konieczności wlamywania się na zakazany teren. Niech pan nie robi żadnych notatek ani zdjęć, lecz wszystko zapamiętuje. Proszę zdać mi raport za dwadzieścia cztery godziny. To będzie pańskie pierwsze zadanie. Zrozumieliśmy się?

Hudson zrozumiał doskonale. Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i głosy w holu; ktoś przyjechał.

– Tak. Bardzo dziękuję.

Zarobił więcej pieniędzy, niż dostawał od Blista, a zadanie było dziecinnie proste. Grunt, żeby nie musiał jechać na same Czarne Bagna – słyszał zbyt wiele dziwacznych opowieści i plotek na temat tego miejsca.

Pendergast odprowadził go do kuchennych drzwi. Hudson wyszedł w noc, przepelniony dogłębną wdzięcznością i poczuciem lojalności wobec człowieka, który darował mu życie.

St. Francisville, Luizjana

Laura Hayward wyjechała za radiowozem z miasta krętą szosą prowadzącą na południe w kierunku rzeki Missisipi. Czuła się niezręcznie za kółkiem klasycznego kabrioletu porsche należącego do Helen Pendergast, ale agent FBI zaoferował jej wóz swojej żony z taką kurtuazją, że po prostu nie potrafiła mu odmówić. Jadąc po stromo usytuowanej szosie, pod baldachimem łączących się w górze konarów dębów i orzechów, powróciła myślami do swojej pierwszej pracy w nowoorleańskiej policji. Pracowała tam tylko jako dyspozytor w ramach zastępstwa, ale to doświadczenie spotęgowało w niej pragnienie zostania policjantką. To było, zanim udała się na północ, do Nowego Jorku, aby studiować prawo karne na Uniwersytecie Johna Jaya, a później podjęła pracę w policji kolejowej. W ciągu następnych piętnastu lat niemal zupełnie straciła południowy akcent i nabrała cech typowych dla mieszkańców Nowego Jorku, czyli stała się nieustępliwa i niezłomna.

Widok St. Francisville – bielonych domków z długimi gankami i blaszanymi dachami – oraz ciężki aromat magnolii unoszący się w powietrzu zdecydowanie ją rozczuliły. Cieszyła się, że jej kontakty z miejscową policją okazały się jak dotąd przyjemniejsze niż bezskuteczna wędrówka od Annasza do Kajfasza, z czym

zetknęła się na Florydzie, usiłując zebrać informacje na temat zabójstwa Blasta. Najwyraźniej stare Południe nie utraciło jeszcze resztek dobrych manier.

Radiowóz skręcił na podjazd, a Hayward podążyła za nim i zaparkowała tuż obok. Wsiadła, by ujrzeć skromny budynek rancza ze schludnymi klombami, po bokach których rosły słodko pachnące magnolie.

Dwaj gliniarze, którzy eskortowali ją do domu Blacklettera, sierżant z wydziału zabójstw i zwykły funkcjonariusz, wysiedli z radiowozu, podciągnęli pasy i podeszli do niej. Ten biały, funkcjonariusz Field, miał rude włosy, rumianą twarz i obficie się pocił. Ten drugi, detektyw sierżant Cring, roztaczał wokół siebie aurę gorliwości i sumienności, jak ktoś, kto postępuje zgodnie z regulaminem i należyście, co do joty, wypełnia swoje obowiązki.

Dom był bielony jak wszystkie inne w tej okolicy, czysty i schludny. Policyjna taśma zerwana przez wiatr trzepotała ponad trawnikiem i zawijała się wokół kolumn na ganku. Zamek przy drzwiach frontowych był zaklejony pomarańczową taśmą.

– Pani kapitan – odezwał się Cring. – Chce pani rozejrzeć się po terenie czy wejść do środka?

– Chciałabym wejść do środka.

Weszła za nimi na ganek. Jej nieoczekiwane pojawienie się na posterunku policji w St. Francisville narobiło sporo zamieszania. Gliniarze nie ucieszyli się, że pani kapitan z nowojorskiego wydziału zabójstw zjawia się bez zapowiedzi – w dodatku w wypasionej bryce – nie mając żadnego oficjalnego dokumentu potwierdzającego jej status. Nikt nawet nie uprzedził ich telefonicznie o jej wizycie. Hayward jednak zdołała uspić ich podejrzenia przyjacielską rozmową na temat swojej pracy przed laty w Nowym Orleanie i wkrótce zaskarbiła sobie życzliwość kolegów po fachu. A przynajmniej taką miała nadzieję.

– Obejdziemy cały dom – ciągnął Cring, podchodząc do drzwi.

Wyjął scyzoryk i przeciął taśmę. Uwolnione drzwi otworzyły się

szeroko; zamek był wyłamany.

– A co z tym? – spytała Hayward, wskazując na stojące przy drzwiach pudełko z nakładkami na buty.

– Technicy wszystko dokładnie zbadali – powiedział Cring. – To nie będzie konieczne.

– Jasne.

– Sprawa jest stosunkowo prosta – oznajmił Cring, kiedy weszli do środka, a z wnętrza domu wypłynęło zatęchłe, cuchnące powietrze.

– W jakim sensie? – spytała Hayward.

– To nieudany napad.

– Skąd pan to wie?

– Dom został splądrowany, zabrano sporo sprzętów elektronicznych, telewizor z płaskim ekranem, parę komputerów, stereo. Sama się pani przekona.

– Dziękuję.

– Zdarzenie miało miejsce między dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Sprawca użył łomu, aby włamać się do środka – jak zapewne pani zauważyła – po czym przeszedł przez frontowy hol w głąb domu, do gabinetu, gdzie Blackletter konstruował swoje roboty.

– Roboty?

– Był miłośnikiem robotów. To było jego hobby.

– Zatem sprawca udał się stąd wprost do gabinetu?

– Na to wygląda. Przypuszczalnie usłyszał, że Blackletter tam jest, i postanowił pozbyć się go przed splądrowaniem domu.

– Czy samochód Blacklettera stał na podjeździe?

– Tak.

Hayward weszła za Cringiem do gabinetu. Długi stół był zasłany kawałkami plastiku i metalowymi częściami, przewodami, płytkami z obwodami scalonymi i różnymi dziwnymi urządzeniami. Na podłodze poniżej widniała wielka czarna jama, a ścianę z gazobetonu zdobił rozbryzg krwi i otwory po śrucinach. Wszędzie

stały znaczniki materiałów dowodowych.

Dubeltówka, pomyślała. Tak jak w wypadku Blasta.

– To był obrzyn – wyjaśnił Cring. – Dwunastka, jak stwierdzono na podstawie analizy rozbryzgu krwi i odnalezionych śrucin. Podwójne ładunki śrutowe.

Hayward pokiwała głową. Zbadała drzwi do gabinetu: gruby metal z warstwą dźwiękochłonną po wewnętrznej stronie. Ściany i sufit też wyglądały na wytłumione i dźwiękoszczelne. Zastanawiała się, czy Blackletter pracował przy zamkniętych czy otwartych drzwiach. Jeśli facet był skrupulatny – a wszystko na to wskazywało – raczej je zamykał, aby brud i kurz nie dostały się do kuchni.

– Po zastrzeleniu ofiary – ciągnął Cring – sprawca wrócił do kuchni – odkryliśmy wtórne ślady krwi z odcisków stóp – po czym przeszedł przez hol do salonu.

Hayward już miała coś powiedzieć, ale w porę ugryzła się w język. To nie było włamanie, ale teraz nie zamierzała tego dowodzić.

– Czy możemy zajrzeć do salonu? – zapytała.

– Oczywiście.

Cring poprowadził ją przez kuchnię, a stamtąd do salonu. Niczego tam nie tknięto – bałagan pozostał taki, jaki był. Zawartość biurka przetrząsnęto i wysypano na podłogę, listy i zdjęcia walały się dokoła, książki zrzucano z półek, obicia kanapy rozpruto nożem. W ścianie został otwór po wsporniku, na którym kiedyś wisiał telewizor plazmowy.

Hayward zwróciła uwagę na antyczny srebrny otwieracz do listów z inkrustacją z opalu w rękojeści, leżący na podłodze w miejscu, gdzie zrzucano go bezceremonialnie z biurka. Powiodła wzrokiem po pokoju i dostrzegła kilka niewielkich, łatwych do zabrania przedmiotów ze srebra i złota – popielniczki, szkatułki, kasetki, dzbanki do herbaty, łyżeczki, tace, szczypce do świec, kałamarze i bibeloty, wszystkie bez wyjątku stanowiły przykład

wybornego złotnictwa. Niektóre z nich były ozdobione drogimi kamieniami. Wszystkie jednak zostały bezceremonialnie strącone na podłogę.

– Te przedmioty są wykonane ze złota i srebra – powiedziała. – Czy skradziono jakieś precjoza?

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– To się wydaje dziwne.

– Takie rzeczy są trudne do zbycia, zwłaszcza tu, w tej okolicy. Nasz włamywacz był najprawdopodobniej ćpunem, który szukał fantów, żeby kupić następną działkę.

– Wszystkie te srebra wyglądają na kolekcję.

– Zgadza się. Doktor Blackletter był związany z miejscowym towarzystwem historycznym i od czasu do czasu coś im przekazywał. Specjalizował się w przedwojennych srebrach.

– Skąd miał pieniądze?

– Był lekarzem medycyny.

– Jak rozumiem, pracował dla organizacji non profit Lekarze ze Skrzydłami, która do najbogatszych nie należy. Te srebra muszą być warte fortunę.

– Po odejściu od Lekarzy ze Skrzydłami pracował jako konsultant dla kompanii farmaceutycznych. Jest ich kilka w tej okolicy, to jeden z filarów lokalnej ekonomii.

– Ma pan akta doktora Blacklettera? Chciałabym rzucić na nie okiem.

– Mam je na posterunku. Prześlę pani kopię, kiedy już tu skończymy.

Hayward jeszcze przez chwilę stała w salonie. Czuła dziwne niezadowolenie, jakby z tego miejsca zbrodni powinna wydobyć coś więcej. Jej wzrok padł na kilka fotografii w srebrnych ramkach, które najwyraźniej zrzucano z regału.

– Mogę?

– Proszę bardzo. Eksperci już tu skończyli i przeczesali to miejsce bardzo dokładnie.

Uklękła i podniosła kilka ramek. Zdjęcia musiały przedstawiać członków rodziny i przyjaciół. Niektóre ukazywały samego Blacklettera: w Afryce lecącego samolotem, robiącego zastrzyki tubylcom i stojącego przed kliniką w buszu. Kilka zdjęć przedstawiało Blacklettera w towarzystwie atrakcyjnej blondynki, młodszej od niego o kilka lat, na jednym zdjęciu obejmował ją ramieniem.

– Czy doktor Blackletter był żonaty?

– Nigdy – odparł Cring.

Hayward odwróciła ostatnie zdjęcie w dłoniach; szkło pękło i posypało się na podłogę. Wysunęła fotografię z ramki i obróciła. Na odwrocie sporządzona zamasztysem pismem widniała dedykacja: „Dla Morrisa, na pamiątkę tamtego lotu nad jeziorem. Z pozdrowieniami, M.”.

– Mogę to zatrzymać? Mam na myśli zdjęcie.

Cring zawahał się.

– Cóż, będziemy musieli wprowadzić je do rejestru rzeczy zatrzymanych. – Zamilkł na chwilę. – Mogę spytać po co?

– Może okazać się to istotne dla mojego dochodzenia.

Hayward nie ujawniła, czego dotyczy wspomniane dochodzenie, a po kilku nieśmiałych próbach pociągnięcia jej za język spasowali.

Teraz jednak Cring znów do tego wrócił.

– Jeżeli mogę zapytać, trochę to dziwne, że pani kapitan z nowojorskiego wydziału zabójstw interesuje się rutynowym przypadkiem włamania z zabójstwem dokonanego w małym miasteczku. Nie chcemy być wścibscy, ale miło byłoby wiedzieć, czego pani szuka, żebyśmy mogli pomóc.

Hayward wiedziała, że nie zdoła uniknąć tego pytania, wybrała więc odpowiedź wymijającą.

– Chodzi o dochodzenie związane z terroryzmem.

Zapadła cisza.

– Rozumiem.

– Terroryzm – powtórzył stojący z tyłu Field, który dopiero teraz

się odezwał. Podążał za nimi w milczeniu, aż Hayward prawie zapomniała o jego obecności. – Słyszałem, że w Nowym Jorku sporo macie z tym do czynienia.

– Owszem – przyznała. – Rozumiecie, dlaczego nie możemy wdawać się w szczegóły.

– Oczywiście.

– Ta sprawa nie ma dla nas najwyższego priorytetu. I dlatego jestem tu nieformalnie, o ile rozumiecie, co mam na myśli.

– Tak, oczywiście – powiedział Field. – A czy to ma coś wspólnego z robotami?

Hayward posłała mu krótki uśmiezek.

– Im mniej powiem, tym lepiej.

– Oczywiście, pani kapitan – przytaknął skwapliwie funkcjonariusz, czerwieniąc się z radości, że tak łatwo rozszyfrował tę sprawę.

Hayward miała do siebie żal, że musiała posunąć się do kłamstwa. To nie wróżyło nic dobrego, a gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, mogła stracić pracę.

– Proszę dać mi to zdjęcie – powiedział Cring, rzucając ostrzegawcze spojrzenie podwładnemu. – Dopilnuję, żeby zostało skatalogowane i jak najszybciej trafiło do pani rąk.

Wsunął zdjęcie do koperty na materiały dowodowe, zapieczętował i opisał.

– Myślę, że już tu skończyliśmy – powiedziała Hayward, rozglądając się dokoła, dręczona poczuciem winy wskutek tego dosyć prymitywnego fortelu. Miała nadzieję, że Pendergast nie zacznie się z niej nabijać.

Wyszła z ciemnego domu na spowite słońcem podwórze. Rozejrzała się wokoło i zauważyła, że ulica kończyła się nad rzeką, niecałe osiemset metrów dalej. Odruchowo odwróciła się do Cringa, który zabezpieczał frontowe drzwi.

– Detektywie – powiedziała.

– Pani kapitan? – Odwrócił się do niej.

– Rozumie pan, że nie wolno panu z nikim rozmawiać o tym, o czym tu dziś dyskutowaliśmy.

– Oczywiście, pani kapitan.

– Ale zapewne już pan teraz rozumie, dlaczego uważam, że ten rabunek został sfingowany.

Cring potarł dłonią podbródek.

– Sfingowany?

– Upozorowany. – Skinęła głową w głąb uliczki. – Mogłabym się założyć, że gdyby zechciał pan sprawdzić, znalazłby pan zaginiony sprzęt elektroniczny na dnie Missisipi, w miejscu, gdzie kończy się ta uliczka.

Cring przeniósł wzrok z Hayward w stronę rzeki i z powrotem. Powoli skinął głową.

– Wpadnę po to zdjęcie dziś po południu – powiedziała, wsiadając do porsche.

Plantacja Penumbra

Stary służący Maurice otworzył drzwi i Hayward weszła do słabo oświetlonej rezydencji. Właśnie tak zawsze wyobrażała sobie miejsce pochodzenia Pendergasta – podupadająca ostoja przedwojennych tradycji, począwszy od niszczonego domu po starego posepnego sługę w tradycyjnym stroju.

– Tędy, pani kapitan – powiedział lokaj, odwracając się i pokazując dłonią w stronę salonu.

Weszła tam i ujrzała Pendergasta siedzącego przed kominkiem z niewielkim kieliszkiem w prawej dłoni. Wstał i wskazał jej miejsce, by usiadła.

– Sherry?

Położyła aktówkę na kanapie i usiadła obok.

– Nie, dziękuję. Nie pijam sherry.

– To może coś innego? Piwo? Herbatę? Martini?

Przeniosła wzrok na Maurice'a; nie chciała go fatygować, ale była zmęczona po podróży.

– Poproszę herbatę. Gorącą i mocną, z mlekiem i cukrem.

Służący pochylił lekko głowę i oddalił się.

Pendergast usiadł wygodniej i założył nogę na nogę.

– Jak pani wyprawa do Siesta Key i St. Francisville? – zapytał.

– Owocna. Ale najpierw co z Vinniem?

– W sumie całkiem dobrze. Przenosiny do prywatnego szpitala przeszły bez żadnych incydentów. Druga operacja, wymiana uszkodzonej zastawki w jego sercu na świńską, zakończyła się pełnym sukcesem i obecnie porucznik jest na najlepszej drodze do odzyskania zdrowia.

Hayward rozluźniła się, jakby z jej ramion zdjęto wielkie brzemie.

– Dzięki Bogu. Chcę go zobaczyć.

– Jak już wcześniej wspomniałem, to nie byłoby rozsądne. Odradzam nawet dzwonienie do niego. Najwyraźniej mamy do czynienia z bardzo sprytnym zabójcą, który jak podejrzewam, dysponuje garścią źródłowych informacji na nasz temat. – Pendergast napił się sherry. – Tak czy owak otrzymałem właśnie raport dotyczący piór, które wykradłem z Plantacji Oakley. Ptaki rzeczywiście były zarażone wirusem ptasiej grypy, ale bardzo niewielka próbka, jaką udało mi się zdobyć, okazała się niewystarczająca, aby można z niej było wyizolować żywe bakterie. Niemniej badacz, którego wynająłem, dokonał istotnego spostrzeżenia. To wirus neuroinwazyjny.

Hayward westchnęła.

– Będzie pan musiał mi to wyjaśnić.

– Ukrywa się w ludzkim układzie nerwowym. Jest wysoce neurowirulentny. I właśnie to stanowi ostatni element układanki.

Maurice przyniósł herbatę i napełnił filiżankę.

– Słucham dalej – powiedziała Hayward.

Pendergast wstał i zaczął krążyć w tę i z powrotem przed kominkiem.

– Wirus papuzi sprawia, że człowiek zaczyna chorować, jak w przypadku każdego innego wirusa grypy. I jak wiele innych wirusów ukrywa się w układzie nerwowym, by unikać krwioobiegu, a tym samym ludzkiego układu odpornościowego. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Ponieważ wirus wywiera również wpływ na układ nerwowy. Wpływ ten jest szczególny: wzmacnia aktywność

mózgu i rozbudza zdolności intelektualne. Mój badacz, osoba wyjątkowo bystra, twierdzi, że może to być spowodowane rozluźnieniem ścieżek nerwowych. Widzi pani, ten wirus sprawia, że zakończenia nerwowe stają się nieco bardziej czułe – reagują silniej i szybciej przy mniejszej liczbie bodźców. Takie, można by rzec, spontaniczne nerwy. Wirus jednak równocześnie hamuje wytwarzanie acetylocholino w mózgu. I wygląda na to, że takie połączenie skutków ostatecznie zaburza równowagę całego układu, by koniec końców bombardować ofiarę niepohamowaną kaskadą doznań zmysłowych.

Hayward zmarszczyła brwi. To wydawało się dość fantastyczną teorią nawet jak na Pendergasta.

– Jest pan pewien?

– Aby potwierdzić tę teorię, potrzebne będą dodatkowe badania, ale to jedyne wyjaśnienie, które do tego pasuje. – Pendergast przerwał. – Niech się pani nad tym zastanowi, pani kapitan. Siedzi pani na kanapie. Czuje pani na plecach dotyk skórzanego oparcia. W dłoni czuje pani ciepło filiżanki z herbatą. Czuje pani aromat giczy jagnięcej, którą będziemy mieli na kolację. Słyszy pani rozmaite dźwięki: świerszcze, ptaki wśród traw, trzask ognia w kominku, Maurice’a krzątającego się w kuchni.

– Oczywiście – odparła Hayward. – Do czego pan zmierza?

– Jest pani w stanie odbierać te doznania i być może jeszcze ze sto innych, jeśli się pani skupi i spróbuje je wychwycić. Ale w tym właśnie rzecz: nie wychwytuje ich pani. Część pani mózgu, a konkretnie wzgórze, zachowuje się jak policjant kierujący ruchem. Pilnuje, aby była pani świadoma jedynie tych doznań, które są w danym momencie ważne. Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby tego policjanta nie było. Byłaby pani bezustannie zalewana przez bodźce i doznania i nie mogła ich równocześnie ignorować. Na krótką metę wzmocniłoby to funkcje kognitywne i kreatywność, lecz w dłuższej perspektywie doprowadziłoby panią do szaleństwa. Dosłownie. Właśnie to przytrafiło się Audubonowi.

I to samo spotkało rodzinę Doane'ów – choć stało się to szybciej i miało gwałtowniejszy przebieg. Podejrzewaliśmy już wcześniej, że szaleństwo łączące Audubona i rodzinę Doane'ów było czymś więcej aniżeli zwykłym zbiegiem okoliczności, tyle tylko że brakowało nam ogniwa łączącego oba te przypadki. Aż do teraz.

– Papuga Doane'ów – powiedziała Hayward – też była zarazona. Podobnie jak papugi skradzione z Plantacji Oakley.

– Zgadza się. Moja żona musiała przypadkiem to odkryć. Zorientowała się, że choroba Audubona diametralnie go odmieniła, a jako epidemiolog dysponowała narzędziami, by stwierdzić, co było tego przyczyną. Przebłyskiem geniuszu było w jej wypadku uświadomienie sobie, że nie chodziło jedynie o mentalną przemianę wywołaną przez otarcie się o śmierć. To była przemiana fizyczna. Pytała pani o jej rolę w tym wszystkim. Mam powód, by przypuszczać, że mogła w jak najlepszej wierze pójść z tym odkryciem do koncernu farmaceutycznego, który próbował wytworzyć nowy lek. Lekarstwo wzmacniające funkcjonowanie umysłu, czyli coś, co – o ile się nie mylę – nazywane jest dziś inteligentnym lekiem.

– Ale co się stało z tym lekiem? Dlaczego nie został wyprodukowany?

– Myślę, że kiedy się tego dowiemy, będziemy bliżsi zrozumienia powodów zamordowania mojej żony.

– Dziś dowiedziałam się, że Blackletter był konsultantem kilku firm farmaceutycznych, po tym jak odszedł z organizacji Lekarze ze Skrzydłami.

– Doskonale. – Pendergast znowu zaczął krążyć w tę i z powrotem. – Jestem gotowy, by wysłuchać pani relacji.

Hayward pokrótce opowiedziała mu o przebiegu swoich wizyt na Florydzie i w St. Francisville.

– Zarówno Blast, jak i Blackletter zostali zabici z dubeltówki dwunastki, obrzyna załadowanego loftkami śrutowymi. Sprawca dostał się do domów, zabił obie ofiary, po czym splądrował oba

domy i zabrał kilka rzeczy, aby wyglądało to na rabunek.

– W których firmach farmaceutycznych Blackletter był konsultantem?

Hayward otworzyła aktówkę, wyjęła szarą kopertę, a z niej fotografię i podała mu.

– Czy udało się pani odszukać poprzednie kontrakty lub byłych współpracowników Blacklettera?

– Znalazłam tylko jedno zdjęcie jego byłej dziewczyny.

– Doskonały początek.

– A skoro mowa o Błaście, czegoś tu nie rozumiem.

Pendergast odłożył zdjęcie na bok.

– Tak?

– Cóż, wydaje mi się oczywiste, że zabiła go ta sama osoba, która zastrzeliła Blacklettera. Ale po co? Nie miał nic wspólnego z ptasią gripą, zgadza się?

– Nie miał, to prawda. I to jest dobre pytanie. Uważam, że to musi się wiązać z jego rozmową z Helen. Blast powiedział mi, że kiedy pytała go o Czarny Obraz, jasno stwierdziła: „Chcę go tylko obejrzeć. Nie chcę go zatrzymać na własność”. Wiemy już, że Blast mówił prawdę. Ale rzecz jasna ten, kto zaaranżował morderstwo mojej żony, nie mógł znać treści tej rozmowy. Mogła powiedzieć mu więcej, może nawet dużo więcej. Dajmy na to o Audubonie i ptasiej gripie. I właśnie dlatego, dla bezpieczeństwa, Blast musiał umrzeć. Nie stanowił poważnego zagrożenia, ale mimo wszystko trzeba było coś z nim zrobić.

Hayward pokręciła głową.

– To okrutne.

– W rzeczy samej okrutne.

W tej samej chwili zjawił się Maurice, a na jego twarzy malował się wyraźny niesmak.

– Pan Hudson chce się z panem widzieć.

– Przeprowadź go tu.

Hayward patrzyła, jak do pokoju wchodzi niski, krępy

człowieczek o służalczych manierach, ubrany w trencz, fedorę, garnitur w prążki i skórzane buty. Wyglądał jak karykatura prywatnego detektywa z filmu noir i zapewne za takiego się uważał. Zdziwiła się, że Pendergast mógł współpracować z kimś takim.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedział, pochylając głowę i zdejmując kapelusz.

– Bynajmniej, panie Hudson. – Hayward zwróciła uwagę na to, że

Pendergast jej nie przedstawił. – Ma pan tę listę firm farmaceutycznych, o którą prosiłem?

– Tak jest. Odwiedziłem każdą z nich bez wyjątku...

– Dziękuję. – Pendergast wziął od niego listę. – Proszę zaczekać we wschodnim saloniku, gdzie w swoim czasie wysłucham pańskiego raportu. – Skinął na Maurice'a. – Dopilnuj, żeby pan Hudson miał pod dostatkiem napojów bezalkoholowych.

Stary służący wyprowadził mężczyznę na korytarz.

– Co, u licha, pan zrobił, że zachowuje się on tak... – Hayward szukała odpowiedniego słowa – potulnie?

– To wariant syndromu sztokholmskiego. Najpierw grozisz, że go zabijesz, a następnie w całej swojej wielkoduszności darujesz mu życie. Ten nieszczęśnik popełnił błąd, chowając się w moim garażu z nabitym pistoletem, aby podjąć względem mnie dość nieprzemyślaną próbę szantażu.

Hayward wzdrygnęła się i ponownie upomniała samą siebie, dlaczego tak bardzo nienawidziła metod działania Pendergasta.

– Teraz pracuje dla nas. Pierwszym zadaniem, jakie mu powierzyłem, było sporządzenie listy wszystkich firm i koncernów farmaceutycznych w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od domu Doane'ów, przyjmując, że osiemdziesiąt kilometrów to górna granica odległości, jaką mogła pokonać zbiegła z laboratorium papuga. Pozostaje już tylko sprawdzić tę listę z dostarczoną przez panią listą firm, których konsultantem był Blackletter.

Pendergast uniósł dwie kartki papieru i przez chwilę lustrował je na przemian.

Nagle jego oblicze sposepniało. Opuścił kartki i odnalazł spojrzenie Hayward.

– Mamy zgodność – powiedział. – Longitude Pharmaceuticals.

Baton Rouge

Dom zdobiony wesołym żółtym stiukiem z białymi wykończeniami stał w eleganckiej dzielnicy Spanish Town w Baton Rouge; nieduży ogródek od frontu wypełniały tulipany. Laura Hayward podążyła za Pendergastem po chodniku z kostki aż do frontowych drzwi. Zlustrowała wzrokiem dużą tablicę z napisem „Akwizytorom wstęp wzbroniony”. To nie wróżyło niczego dobrego i miała Pendergastowi za złe, że odrzucił jej propozycję, aby zadzwonili wcześniej i umówili się na wizytę.

Drzwi otworzył niski człowieczek o rzadziejących włosach. Spojrzał na nich przez szkła okrągłych okularów.

– W czym mogę pomóc?

– Zastaliśmy Mary Ann Roblet? – zapytał Pendergast z melodyjnym południowym akcentem, czym jeszcze bardziej rozdrażnił Hayward, która znowu przypomniała sobie, że nie robi tego dla niego, lecz dla Vinniego.

Mężczyzna zawahał się.

– Czy mogę wiedzieć, kto pyta?

– Aloysius Pendergast i Laura Hayward.

Kolejne zawahanie.

– Czy jesteście państwo z grupy wyznaniowej?

– Nie, proszę pana – odparł Pendergast. – Ani niczego nie

sprzedajemy. – Czekał z miłym uśmiechem na ustach.

Mężczyzna po kolejnej chwili wahania zawołał przez ramię:

– Mary Ann? Jacyś państwo do ciebie.

Stał w drzwiach, nie zapraszając ich do środka.

Po chwili zjawiała się rześka kobieta, pulchna, biuściasta, o starannie ułożonych srebrnych włosach i z gruntownie nałożonym makijażem.

– Tak? – zapytała.

Pendergast ponownie przedstawił ich oboje, wyjmując przy tym legitymację FBI i płynnym ruchem otwierając futerał z odznaką, który zaraz zamknął i ukrył pod czarną marynarką. Hayward zauważyła z niepokojem, że za odznakę zatknął zdjęcie, które zabrała z domu Blacklettera.

Na twarzy Mary Ann Roblet pojawił się rumieniec.

– Czy możemy pomówić z panią na osobności, pani Roblet?

Zbita z tropu, nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, pokraśniała jeszcze bardziej.

Mężczyzna, najwyraźniej mąż, wciąż pozostawał tuż za nią.

– Co to ma znaczyć? – spytał. – Kim są ci ludzie?

– Są z FBI.

– FBI? FBI? Co się tu wyprawia, do cholery? – Odwrócił się do nich. – Czego chcecie?

– Panie Roblet – rzekł spokojnie Pendergast – chcemy tylko zadać kilka rutynowych pytań, nie ma powodu do obaw. Ale to poufne. Zaledwie kilka minut rozmowy z pana żoną. Pani Roblet, czy możemy wejść?

Cofnęła się od drzwi, była czerwona na twarzy.

– Czy jest w tym domu miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać na osobności? – zapytał Pendergast. – Jeżeli nie ma pani nic przeciw temu.

Pani Roblet odzyskała głos.

– Możemy pójść do saloniku.

Przeszli do niewielkiego pokoju telewizyjnego, w którym

znajdowały się dwa miękkie fotele, kanapa, biała wykładzina na całej podłodze i olbrzymi telewizor plazmowy. Pendergast skrzętnie zamknął drzwi, więc pan Roblet pozostał w holu, wyraźnie niezadowolony. Pani Roblet usiadła skromnie na kanapie i poprawiła brzeg sukienki. Zamiast skorzystać z jednego z foteli, Pendergast usiadł na kanapie obok niej.

– Bardzo przepraszamy za to najście – rzekł cichym, przyjemnym tonem. – Mamy nadzieję, że zajmiemy pani nie więcej niż kilka minut.

Po chwili ciszy pani Roblet powiedziała:

– Przypuszczam, że chodzi państwu o sprawę... śmierci Morrisa Blacklettera?

– Zgadza się. Skąd pani wie?

– Czytałam o tym w gazetach.

Jej wystudiowana, niewzruszona poza zaczynała się sypać.

– Bardzo mi przykro – powiedział Pendergast, wyjmując z kieszeni garnituru małą paczuszkę chusteczek higienicznych, by podać jej jedną.

Pani Roblet otarła oczy. Czyniła heroiczne starania, aby zupełnie się nie załamać.

– Nie chodzi nam o grzebanie w pani dotychczasowym życiu ani rozbijanie pani małżeństwa – ciągnął łagodnym tonem Pendergast.

– Domyślam się, że musiało być pani trudno opłakiwać potajemnie kogoś, na kim bardzo pani zależało. Nic, co zostanie tu powiedziane, nie dotrze do pani męża.

Pokiwała głową i ponownie wytarła oczy.

– Tak. Morris był... cudownym człowiekiem – powiedziała cicho, a jej głos zmienił się, przybrał na sile. – Miejmy to już za sobą.

Hayward popatrzyła niespokojnie. Do diabła z Pendergastem i jego metodami, pomyślała. Ten rodzaj przesłuchania powinien zostać przeprowadzony przy zachowaniu formalnych procedur i na posterunku policji, z urządzeniami nagrywającymi.

– Oczywiście. Poznała pani doktora Blacklettera w Afryce?

- Tak – odparła.
- W jakich okolicznościach?
- Byłam pielęgniarką w misji baptystów w Libreville, w Gabonie.

W Afryce Zachodniej.

- A pani mąż?
- Był starszym pastorem w misji – odrzekła półgłosem.
- Jak pani poznała doktora Blacklettera?
- Czy to naprawdę konieczne? – wyszeptała.
- Tak.

– Prowadził niedaleko misji niewielką klinikę pod auspicjami Lekarzy ze Skrzydłami. Kiedy w zachodniej części kraju dochodziło do wybuchu epidemii, latał do buszu, by szczepić tubylców. To była bardzo, ale to bardzo niebezpieczna praca i kiedy potrzebował pomocy, czasami mu towarzyszyłam.

Pendergast położył rękę na jej dłoniach.

- Kiedy zaczął się wasz romans?
- Mniej więcej w połowie pierwszego roku naszego pobytu w Afryce. Czyli dwadzieścia dwa lata temu.

– A kiedy się zakończył?

Nastąpiła długa cisza.

- Nie zakończył się – odpowiedziała drżącym głosem.
- Proszę nam opowiedzieć o jego pracy, tu, w Stanach, po tym jak odszedł od Lekarzy ze Skrzydłami.

– Morris był epidemiologiem. Prawdziwym specjalistą. Pracował dla wielu koncernów farmaceutycznych jako konsultant, pomagając im opracować nowe szczepionki i leki.

– Czy jedną z tych firm była Longitude Pharmaceuticals?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek opowiadał pani o swojej pracy dla tej firmy?

– Jeżeli chodzi o jego pracę konsultanta, nie mówił mi zbyt wiele. Wszystko było ściśle tajne, tajemnice przemysłowe i takie tam. Ale to zabawne, że wspomniał pan o tej właśnie firmie, ponieważ kilka razy faktycznie o niej opowiadał. Więcej niż o innych.

– I?

– Pracował dla tej firmy około roku.

– Kiedy to było?

– Jakies jedenaste lat temu. Potem nagle odszedł. Coś tam się stało, co mu się nie spodobało. Był wściekły i przerażony, a proszę mi wierzyć, Morrisa trudno było przestraszyć. Pamiętam, jak któregoś wieczoru opowiadał o prezesie firmy. Nazywał się Slade. Charles J. Slade. Mówił, że ten człowiek to zło wcielone, bo potrafił wciągać w swoją otchłań ludzi dobrych i prawych. Właśnie tak to określił – „w otchłań”. Pamiętam, że chciałam bliżej przyjrzeć się tej sprawie. Niedługo po tym Morris przestał opowiadać o Longitude i nigdy więcej nie wspominał przy mnie o tej firmie.

– Nigdy już dla nich nie pracował?

– Nigdy. Firma zbankrutowała niemal zaraz po tym, jak odszedł z niej Morris. Na szczęście zdążył otrzymać należną mu odprawę.

Hayward wychyliła się do przodu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale skąd pani wie, że ją otrzymał?

Mary Ann Roblet przeniosła na nią spojrzenie szarych załzawionych i zaczerwienionych oczu.

– Uwielbiał wyroby ze srebra. Antyki. Wydał fortunę na prywatną kolekcję, a kiedy zapytałam, skąd miał na to pieniądze, powiedział, że otrzymał sporą odprawę z Longitude.

– Sporą odprawę. Po roku pracy. – Pendergast zamyślił się przez chwilę. – Co jeszcze mówił o tym Sladzie?

Pani Roblet zamyśliła się.

– Powiedział, że facet zniszczył dobrze prosperującą firmę. Że doprowadził do jej upadku przez swoją bezmyślność i arogancję.

– Czy kiedykolwiek poznała pani Slade’a?

– O nie. Nigdy. Morris i ja nigdy nie pokazywaliśmy się razem publicznie. To, co nas łączyło, było zawsze naszą prywatną sprawą. Słyszałam jedynie, że wszyscy śmiertelnie bali się Slade’a. Wszyscy z wyjątkiem June.

– June?

– June Brodie. Sekretarki Slade’a.

Pendergast znów się zamyślił. A potem zwrócił się do Hayward.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Czy doktor Blackletter kiedykolwiek mówił pani, czym się zajmował w firmie Longitude albo z kim pracował?

– Nigdy nie opowiadał mi o poufnych badaniach. Ale od czasu do czasu wspominał o niektórych osobach, z którymi pracował. Lubił opowiadać o nich zabawne anegdoty. Niech no pomyślę... Pamięć mi szwankuje. Oczywiście mówił o June.

– Dlaczego oczywiście? – wtrącił Pendergast.

– Ponieważ June była tak ważna dla Slade’a. – Przerwała, otworzyła usta, by znów coś powiedzieć, i nieco się zapłoniła.

– Tak? – rzekł z naciskiem Pendergast.

Roblet pokręciła głową.

Po krótkiej chwili ciszy Hayward zapytała:

– Z kim jeszcze doktor Blackletter pracował w firmie Longitude?

– Niech się zastanowię. Jego bezpośrednim przełożonym był doktor Gordon Groebel.

Hayward pospiesznie zapisała to nazwisko.

– Czy wie pani coś więcej o tym doktorze Groebelu?

– Muszę się zastanowić... Morris kilkakrotnie wspominał, że tamten błądzi. Błądzi i jest chciwy – tak go określił. – Przerwała. – Był jeszcze ktoś. Pan Phillips. Denison Phillips, o ile się nie mylę. Pełnił w firmie funkcję głównego doradcy.

W salonie zapadła cisza. Mary Ann Roblet wytarła oczy, wyjęła kosmetyczkę i poprawiła makijaż, włosy, po czym delikatnie umalowała usta.

– Jak to się mówi, życie toczy się dalej – powiedziała. – Czy to wszystko?

– Tak – powiedział Pendergast, wstając. – Dziękuję, pani Roblet.

Nie odpowiedziała. Wyszli za nią do holu. Jej mąż pił kawę w kuchni. Poderwał się z miejsca, by pożegnać się z wychodzącymi

gośćmi.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał, patrząc na nią z z troskaniem.

– Właściwie tak. Pamiętasz tego miłego doktora Blacklettera, który przed laty pracował przy misji?

– Blacklettera, tego latającego lekarza? Oczywiście, że go pamiętam. Miły człowiek.

– Kilka dni temu został zamordowany przez włamywacza w St. Francisville. Ci agenci FBI prowadzą śledztwo w tej sprawie.

– Wielkie nieba – powiedział Roblet, ale wyglądał, jakby trochę mu ulżyło. – To okropne. Nawet nie wiedziałem, że mieszkał w Luizjanie. Nie myślałem o nim od lat.

– Ja również.

Gdy wsiedli do rolls-royce'a, Hayward odwróciła się do Pendergasta.

– Świetna robota – pochwaliła.

Spojrzał na nią i nieznacznie pochylił głowę.

– Pani kapitan, takie słowa z pani ust pozwolę sobie potraktować jako szczególny komplement.

Frank Hudson przystanął w cieniu drzewa na podjeździe przed budynkiem Vital Records. Klimatyzacja wewnątrz była włączona tak, że panowała tam temperatura jak na Syberii, a wyjście na parną, sprażoną słońcem ulicę sprawiło, iż poczuł się niczym kostka lodu wrzucona do gorącej zupy.

Odstawił aktówkę, wyjął z kieszeni prążkowanego garnituru chustkę i otarł nią łysinę. Nie ma to jak zima w Baton Rouge, pomyślał z rozdrażnieniem. Włożył chustkę z powrotem do kieszeni tak, by jeden rozek pozostawał wysunięty, po czym, mrużąc oczy od słońca, spojrział w stronę parkingu, gdzie odnalazł swojego forda falcona. Obok krępa kobieta w kraciatym szalu wysiadła właśnie z rozklekotanego nova i z irytacją trzasnęła drzwiczkami raz i drugi, aby je zamknąć.

– Drań. – Usłyszał, jak kobieta mamrocze pod adresem auta, ponownie trzaskając drzwiczkami. – Sukinsyn.

Znów otarł pot z łysiny i nałożył fedorę. Postoi jeszcze przez chwilę w cieniu, zanim wróci do samochodu. Zadanie, jakie zlecił mu Pendergast, było dziecinnie proste. June Brodie, trzydzieści pięć lat. Sekretarka, zameżna, bezdzietna, atrakcyjna. Wszystko było w aktach. Mąż pielęgniarz. Ona także miała kwalifikacje pielęgniarskie, ale skończyła, pracując dla Longitude. Tak mija czternaście lat. Longitude bankrutuje, kobieta traci posadę i tydzień później wsiada do swojego tahoe. Jedzie na most Archera,

kilka kilometrów za miastem. Znika. Odręcznie napisany list samobójczynie pozostawiony w aucie zawiera następujące słowa: „Nie zniosę tego dłużej. To wszystko moja wina. Wybacz”. Tydzień bagrowania rzeki nie przynosi rezultatów. To ulubione miejsce samobójców – skoczków – rzeka jest głęboka, nurt rwący, wielu ciał nigdy nie znaleziono. To tyle.

Hudson nie potrzebował dużo czasu, by zebrać te wszystkie informacje i przejrzeć archiwa. Martwił się, że nie zdziałał dostatecznie dużo, by usprawiedliwić swoją pięciusetdolarową dniówkę. Może nie powinien wspominać, że zajęło mu to tylko dwie godziny.

Akta były pełne, zamieszczono w nich nawet kserokopię listu samobójczynie, a więc agent FBI powinien być zadowolony. Dopóki będzie otrzymywał honorarium, Hudson postanowił grać uczciwie. To był zbyt lukratywny układ, aby miał zaprzepaścić go, usiłując wyciągnąć kilka dodatkowych dolców.

Hudson wziął aktówkę i wyszedł z cienia na sprażony słońcem parking.

Z ostatnim przekleństwem Nancy Milligan trzasnęła drzwiczkami auta i wreszcie się zamknęły. Była cała spocona, rozdrażniona i wściekła: na nieludzki upał, na starego rżęcha, którym musiała jeździć, a przede wszystkim na męża. Dlaczego ten parszywy łajdak zmusił ją, aby załatwiała takie sprawy, zamiast ruszyć tłusty tyłek i samemu się tym zająć? I dlaczego miasto Baton Rouge potrzebowało kopii jego aktu urodzenia, w jego wieku... to nie miało sensu.

Wyprostowała się i z pewnym zażenowaniem stwierdziła, że facet stojący na drugim końcu parkingu z fedorą w dłoni i ocierający spocone czoło, by z powrotem założyć kapelusz na głowę, wyraźnie się jej przyglądał.

W tej samej chwili kapelusz mężczyzny pofrunął w powietrze, a cały bok jego głowy rozmył się w ciemnym rozbryzgu.

Równocześnie pośród rozłożystych dębów przetoczyło się echo głośnego trzasku. Mężczyzna powoli osunął się na ziemię, wyprostowany jak ścięte drzewo, upadł tak ciężko, że jego ciało poturlało się niczym kłoda, zanim znieruchomiało z rękoma wykrzywionymi pod dziwacznym kątem. Kapelusz spadł na ziemię dokładnie w tej samej chwili, przetoczył się kilka metrów, zakołysał i znieruchomiał odwrócony dnem do góry.

Przez chwilę kobieta po prostu stała obok swojego auta jak sparaliżowana. Zaraz potem wyjęła komórkę i zdrętwiałymi palcami wybrała numer alarmowy 911.

– Przed chwilą – powiedziała, zdziwiona spokojem w swoim głosie – na parkingu przed budynkiem Vital Records przy Louisiana Avenue zastrzelono mężczyznę.

W odpowiedzi na zadane pytanie odparła krótko:

– Tak, on z całą pewnością nie żyje.

Parking i fragment pobliskiej uliczki zostały ogrodzone policyjną taśmą. Tłum reporterów, ekip telewizyjnych i kamerzystów kłębił się za niebieskimi barierkami policyjnymi wraz z mnóstwem gapiów i niezadowolonych ludzi, którzy nie mogli się dostać do swoich samochodów.

Hayward stała obok Pendergasta za barierką, obserwując śledczych przy pracy. Agent przekonał ją, choć tego nie chciała, że nie powinni się ujawniać i uczestniczyć w dochodzeniu. Nie powinni też ujawniać, że detektyw pracował dla nich. Hayward, nie bez wahania, w końcu na to przystała; gdyby przyznali się do współpracy z Hudsonem, przysporzyłoby im to mnóstwa papierkowej roboty, nie mówiąc już o przesłuchaniach i innych trudnościach, a to spowolniłoby ich poczynania, o których w dodatku dowiedziałyby się prasa oraz opinia publiczna. A przede wszystkim niemal na pewno nigdy nie odnaleźliby osoby odpowiedzialnej za postrzelenie Vinniego i zamordowanie detektywa – a bez wątpienia sprawcą obu tych przestępstw był ten sam człowiek.

– Nie rozumiem – powiedziała Hayward – dlaczego wybrał Hudsona? Przecież jesteśmy tutaj, wypytujac kolejne osoby, poszukujac nowych tropów i mieszajac w najlepsze – a on tylko sprawdzał w archiwum publicznym akta June Brodie.

Pendergast zmrużył oczy od słońca, ale nic nie powiedział.

Hayward zacisnęła usta i patrzyła, jak ekipa ekspertów wykonuje swoją pracę, kucając na rozgrzanym asfalcie. Wyglądali jak kraby przesuujące się wolno po dnie morza. Robili wszystko jak należy: skrupulatni, postępowali zgodnie z regulaminem, nie zauważyła, żeby popełnili choć jeden błąd. Byli zawodowcami. Może nie powinno to nikogo dziwić, lecz zamordowanie człowieka w biały dzień przed budynkiem administracji publicznej nie było w Baton Rouge pospolitym wydarzeniem.

– Chodźmy w tę stronę – rzucił Pendergast.

Hayward podążyła za nim, przeciskając się przez tłum, przecinając rozległy trawnik, obchodząc parking i kierując się od drugiej strony ku budynkowi Vital Records. Zatrzymali się przed zagajnikiem cisowym; drzewa były poprzycinane tak, że wyglądały jak ociosane kręgle. Hayward, która nagle stała się podejrzliwa, patrzyła, jak Pendergast zbliża się do zarośli.

– To stąd oddano strzał – powiedział agent.

– Skąd pan wie?

Wskazał na ziemię wokół drzew, na której było widać kawałki odłupanej kory.

– Tu leżał, a tu są ślady podwórki karabinu.

Hayward spojrzała, starając się nie podchodzić za blisko, i w końcu, nie bez trudu, dostrzegła dwa prawie niewidoczne zagłębienia w ziemi, gdzie została zdarta kora.

– Ma pan nielichą wyobraźnię, Pendergast. Skąd pan wiedział, że strzelał właśnie stąd? Policja uważa, że strzelano z przeciwnej strony. Większość działań policji koncentrowała się na pobliskiej uliczce.

– Po umiejscowieniu fedory. Siła uderzeniowa pocisku pchnęła głowę ofiary w jedną stronę, ale to refleksyjno-spazmatyczny skurcz mięśni szyi strącił mu kapelusz.

Hayward wywróciła oczami.

– To dość mizerne wyjaśnienie.

Pendergast już jej nie słuchał. Ponownie przeszedł przez trawnik,

teraz jednak znacznie szybszym krokiem, więc Hayward podbiegła, usiłując dotrzymać mu kroku.

Pokonał czterysta metrów otwartej przestrzeni, zbliżając się do parkingu. Wprawnie przecisnął się przez tłum i podszedł do kordonu. Jego srebrne oczy, zmrużone lekko od słońca, ponownie przepatrywały morze zaparkowanych aut. W dłoni agenta pojawiła się niewielka lornetka. Pendergast nie zawahał się jej użyć, gdy rozglądał się wokoło. Po chwili schował lornetkę do kieszeni.

– Przepraszam, panowie policjanci.

Nachylił się nad barierką, usiłując zwrócić uwagę dwóch śledczych roprawiających o czymś i spoglądających na notes na sztywnej podkładce. Obaj go zignorowali.

– Panowie policjanci. Przepraszam bardzo.

Jeden z detektywów obejrzał się niechętnie przez ramię.

– Tak?

– Proszę tu podejść. – Pendergast skinął bladą ręką.

– Jesteśmy bardzo zajęci.

– Proszę. To bardzo ważne. Mam pewną informację.

Hayward była zaskoczona i zirytowana jęczącym tonem Pendergasta, który wydawał się mieć na celu wywołanie wątpliwości i sceptycyzmu. Zadała sobie sporo trudu, żeby zjednać do siebie tutejszych gliniarzy, i nie chciała, by teraz Pendergast to zniweczył.

Śledczy podszedł do niego.

– Widział pan, jak to się stało?

– Nie, ale widzę to. – Pendergast wskazał na parking.

– Co takiego? – Śledczy podążył wzrokiem za palcem agenta.

– Białe subaru. W prawych przednich drzwiczkach poniżej uszczelki przy szybie widać otwór po kuli.

Śledczy lekko przymrużył powieki, a potem ruszył, lawirując między samochodami, w stronę subaru. Schylił się. Po chwili energicznie uniósł głowę. Zawołał do ekipy:

– George? George! Ściągnij tu ekipę. W tych drzwiczkach jest

pocisk!

Technicy pospieszyli w stronę auta, podczas gdy śledczy wrócił do Pendergasta, nagle zaciekawiony, mrużąc powieki jeszcze bardziej.

– Jak pan to zauważył?

Pendergast uśmiechnął się.

– Mam wyśmienity wzrok. – Nachylił się ku niemu. – I jeśli taki niegodny ignorant jak ja może pozwolić sobie na pewną uwagę, powiedziałbym, biorąc pod uwagę otwór po kuli i umiejscowienie ofiary, że warto byłoby zbadać zarośla przy południowo-wschodnim narożniku budynku jako najbardziej prawdopodobne miejsce, skąd oddano strzał.

Śledczy przeniósł wzrok na budynek i wzdłuż domniemanej trajektorii pocisku, błyskawicznie ustalając geometrię zdarzenia.

– Racja – przyznał i przywołał dwóch śledczych, do których odezwał się półgłosem.

Pendergast wykorzystał sytuację, żeby się oddalić.

– Proszę pana! Niech pan zaczeka!

Ale Pendergast już wmieszał się w tłum. Kierował się w stronę budynku, wraz z nieodłączną Hayward przeciskając się między ludźmi. Zamiast jednak ruszyć w stronę ich zaparkowanego samochodu, skręcił i wszedł do budynku Vital Records.

– To była bardzo ciekawa wymiana zdań – zauważyła Hayward.

– Udzielenie im wskazówek wydawało się jak najbardziej na miejscu. Potrzebujemy wszelkiej możliwej przewagi, jeżeli chodzi o tę sprawę. Jakkolwiek śmiem twierdzić – ciągnął Pendergast, gdy podeszli do recepcji – że nasz przeciwnik popełnił właśnie drugi błąd.

– Jaki?

Zamiast odpowiedzieć, Pendergast zwrócił się do recepcjonistki.

– Chcielibyśmy rzucić okiem na znajdujące się w tym archiwum akta June Brodie. Możliwe, że nie wróciły jeszcze na swoje miejsce. O ile mi wiadomo, pewien dżentelmen przeglądał je dziś, skądinąd całkiem niedawno.

Gdy kobieta udała się, by przynieść akta z wózka archiwizacyjnego,

Hayward zwróciła się do Pendergasta:

– Dobra, już rozumiem, o co chodzi z tym drugim błędem. Ale na czym polegał jego pierwszy błąd?

– Że poprzednim razem zamiast we mnie trafił w Vincenta.

Nowy Jork

Doktor John Felder opuścił podium podczas przesłuchania mającego na celu uznanie niepoczytalności oskarżonej i umieszczenie jej w szpitalu psychiatrycznym dla umyślowo chorych przestępców i wrócił na swoje miejsce. Starał się nie patrzeć na podsądną Constance Greene; było coś niepokojącego w niewzruszonym spojrzeniu jej fiołkowych oczu. Felder powiedział to, co musiał i w co wierzył, zgodnie ze swoimi zawodowymi zasadami: że oskarżona cierpiała na poważne zaburzenia psychiczne i powinna zostać uznana za niepoczytalną, a następnie umieszczona w zakładzie dla obłąkanych. To było zbędne, bo i tak została już oskarżona o morderstwo pierwszego stopnia i odmówiono jej prawa do zwolnienia za kaucją, ale takie postępowanie stanowiło niezbędny etap ściśle określonych procedur prawnych. A Felder musiał przyznać, że w tym konkretnym wypadku działania takie były szczególnie wymagane. Ponieważ mimo niezwyklej pewności siebie, wybitnej inteligencji i ewidentnej jasności umysłu – Felder był teraz absolutnie przekonany, że cierpiała na poważną chorobę psychiczną – ta kobieta nie potrafiła odróżnić dobra od zła.

Rozległ się szelest papierów i chrząknięcia, gdy sędzia kontynuował przesłuchanie.

– Pragnę, by zostało zaprotokołowane – oznajmił – że domniemana chora psychicznie odmówiła skorzystania z pomocy adwokata.

– Zgadza się, wysoki sędzie – powiedziała zdecydowanie Constance z dłońmi złożonymi skromnie na udach.

– Ma pani prawo zabrać głos podczas tej rozprawy – oświadczył sędzia. – Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć?

– Nie, wysoki sędzie.

– Słyszała pani zeznanie doktora Feldera, który uważa, że może pani stanowić zagrożenie zarówno dla siebie, jak i dla innych i powinna pani zostać zamknięta w zakładzie dla psychicznie chorych. Czy chciałaby pani skomentować to zeznanie?

– Nie chciałabym podważać opinii eksperta.

– Dobrze.

Sędzia podał plik papierów urzędnikowi sądowemu i w zamian otrzymał kolejny.

– Ale mam teraz pytanie od siebie.

Zsunął nieznacznie okulary i popatrzył na nią.

Felder trochę się zdziwił. Uczestniczył w dziesiątkach przesłuchań tego typu, ale sędzia rzadko, o ile w ogóle kiedykolwiek, zadawał bezpośrednio pytania oskarżonym. Zwykle kończył krótkim podsumowaniem, w którym roiło się od moralizujących uwag i pseudopsychologicznych spostrzeżeń.

– Panno Greene, najwyraźniej nikt nie był w stanie ustalić pani tożsamości ani nawet potwierdzić podstawowych informacji na pani temat. To samo dotyczy pani dziecka. Pomimo drobiazgowych poszukiwań nie istnieją żadne dowody dokumentujące jego narodziny. Ten ostatni szczegół stanowi problem dla sędziego w pani procesie. Stoję jednak w obliczu znaczących kwestii natury prawnej. Mam panią ubezwłasnowolnić i skazać na umieszczenie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, nie dysponując numerem pani ubezpieczenia ani jakimkolwiek dowodem potwierdzającym, że jest pani obywatelką Stanów Zjednoczonych.

Krótko mówiąc, nie wiemy, kim pani naprawdę jest.

Przerwał. Greene patrzyła na niego z uwagą.

– Zastanawiam się, czy jest pani gotowa wyjawić sądowi prawdę o swojej przeszłości – powiedział sędzia surowym, ale nie złowrogim tonem.

– Kim pani naprawdę jest i skąd pochodzi.

– Wysoki sędzie, powiedziałam już prawdę – odezwała się Constance.

– W tej relacji stwierdza pani, że urodziła się na Water Street w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Jednak zapisy z tamtego okresu zdają się temu przeczyć.

– Bo to nie jest prawda.

Felder poczuł, że to wszystko zaczyna go już nużyć. Sędzia powinien wiedzieć najlepiej – to na nic się zda, marnowanie czasu i nic więcej. Felder miał pacjentów, którymi musiał się zająć, pacjentów, którzy dawali mu zarobić.

– W transkrypcji, którą mam właśnie w ręku, zostało napisane wyraźnie...

– Ja tego nie powiedziałam.

Sędzia z rozdrażnieniem zaczął czytać wybrany fragment transkrypcji:

Pytanie: Kiedy się pani urodziła?

Odpowiedź: Nie pamiętam.

Pytanie: No tak, oczywiście, że pani nie pamięta, ale na pewno zna pani datę swoich urodzin?

Odpowiedź: Obawiam się, że nie.

Pytanie: To musiało być w końcu lat osiemdziesiątych.

Odpowiedź: Powiedziałabym raczej, że na początku lat siedemdziesiątych.

Sędzia podniósł wzrok.

– Powiedziała to pani czy nie?

– Powiedziałam.

– Dobrze. Twierdzi pani, że przyszła na świat na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku przy Water Street. Jednak sądowe dochodzenie w tej sprawie wykazało, że to nieprawda. Nie mogło tak być i dochodzenie wykazało to ponad wszelką wątpliwość. Poza tym wygląda pani zbyt młodo, aby mogła przyjść na świat więcej niż trzydzieści lat temu.

Constance milczała.

Felder zaczął się podnosić.

– Wysoki sędzie, czy mogę się wtrącić?

Sędzia odwrócił się do niego.

– Tak, doktorze Felder?

– Omówiłem już tę kwestię z pacjentką i to bardzo gruntownie. Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, pragnę przypomnieć, że nie mamy tu do czynienia z racjonalnym umysłem. Mam nadzieję, że nie urażę sądu, mówiąc, że zgodnie z moją zawodową opinią tego rodzaju wypytywanie nie przyniesie żadnych wymiernych skutków.

Sędzia postukał okularami w teczkę.

– Być może ma pan rację, doktorze. I jak rozumiem, opiekun prawny podsądnej, Aloysius Pendergast, zdaje się w tej sprawie na decyzję sądu?

– Odmówił stawienia się na przesłuchanie, wysoki sędzie.

– Rozumiem.

Sędzia zgarnął kolejny plik papierów, wziął głęboki oddech i zlustrował wzrokiem niewielką, pustą salę sądową. Nałożył okulary i pochylił się nad papierami.

– Sąd stwierdza... – zaczął.

Constance Greene wstała, a na jej twarzy nagle pojawiły się rumieńce. Po raz pierwszy sprawiała wrażenie, jakby przepełniały ją jakieś emocje – prawdę mówiąc, Felder odniósł wrażenie, że była wściekła.

– Po namyśle chyba jednak będę mówić – stwierdziła stanowczym tonem. – Mogę, wysoki sędzie?

Sędzia usiadł wygodnie i złączył dłonie.

– Zezwalam na oświadczenie podsądnej.

– Urodziłam się przy Water Street w latach siedemdziesiątych, ale w dziewiętnastym, a nie w dwudziestym wieku. Wszystkie niezbędne informacje można znaleźć w miejskim archiwum przy Centre Street oraz w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. O mnie, o mojej siostrze Mary, która została wysłana do misji Five Points, a później została zamordowana przez seryjnego zabójcę, o moim bracie Josephie, o moich rodzicach, którzy zmarli na suchoty. Informacji na ten temat jest sporo. Wiem o tym, bo widziałam te akta.

W sądzie zapadła cisza. W końcu sędzia powiedział:

– Dziękuję, panno Greene. Może pani usiąść.

Usiadła.

Sędzia odchrząknął.

– Sąd stwierdza, że panna Constance Greene, wiek nieznany, adres nieznany, nie jest przy zdrowych zmysłach i stanowi poważne zagrożenie zarówno dla siebie, jak dla innych. Tym samym postanawiamy, że rzeczona panna Constance Greene zostaje uznana za niepoczytalną i przymusowo skierowana do zakładu zamkniętego Bedford Hills na obserwację i poddanie leczeniu na czas nieokreślony.

Zakończył swoją wypowiedź paroma stuknięciami młotka.

– Koniec rozprawy.

Felder wstał, czując się dziwnie przygnębiony. Spojrzał z ukosa w stronę kobiety, która ponownie wstała, teraz jednak towarzyszyło jej dwóch muskularnych strażników; między nimi wydawała się drobna i zupełnie bezbronna. Jej twarz znów stała się blada i odarta z wszelkich emocji. Wiedziała, co się właśnie stało – musiała wiedzieć – a mimo to przyjęła to beznamietnie.

Felder odwrócił się i wyszedł z sali sądowej.

55

Wynajęty buick sunął po gładkiej jak stół nawierzchni autostrady międzystanowej nr 10. Hayward ustawiła tempomat na sto kilometrów na godzinę pomimo sugestii Pendergasta, że przy prędkości stu dziesięciu kilometrów dotarliby na miejsce pięć minut wcześniej.

Tego dnia pokonali już ponad trzysta kilometrów i Hayward zauważyła, że Pendergast stawał się coraz bardziej rozdrażniony, co było dla niego dość nietypowe. Nie próbował ukrywać swojej niechęci do buicka i niejednokrotnie stwierdził, że powinni przesiąść się do rolls-royce'a, w którym przednia szyba została niedawno wymieniona, jednak Hayward stanowczo się temu sprzeciwiła. Nie wyobrażała sobie prowadzenia efektywnego śledztwa, poruszając się rollsem, i zastanawiała się, dlaczego Pendergast postanowił wybrać dla siebie tak wyróżniający się samochód. Nawet korzystanie ze sportowego auta jego żony było jej zdaniem kompletną pomyłką – po dwudziestu czterech godzinach za kierownicą Hayward odprowadziła porsche do garażu i uparła się, by wypożyczyli mniej ekscytujący, ale zarazem bardziej anonimowy samochód.

Pendergast wydawał się rozdrażniony, że dwa pierwsze nazwiska z listy Mary Ann Roblet okazały się niewypałami – jedna z tych osób nie żyła, druga była *non compos mentis*, a obecnie przebywała w szpitalu podłączona do aparatury podtrzymującej życie.

Zmierzali teraz na spotkanie z trzecią, ostatnią z listy. Był to Denison Phillips IV, były główny doradca w firmie Longitude, obecnie na emeryturze, wiodący spokojne życie przy Bonvie Drive, w ekskluzywnej dzielnicy Sulphur, gdzie królował country club Bayou Glades. Nazwisko i adres wystarczyły, aby Hayward stworzyła w myślach obraz typowego przedstawiciela południowego ziemiaństwa: pompatycznego, zadufanego, nadużywającego alkoholu egoisty i cwaniaka nieskorego do jakiegokolwiek współpracy. Znała ten typ aż za dobrze z czasów, gdy studiowała na Uniwersytecie Stanu Luizjana.

Zauważyła zjazd do Sulphur i zwolniła, zjeżdżając na właściwy pas.

– Cieszę się, że sprawdziliśmy papiery pana Phillipsa – powiedział Pendergast.

– Ale okazuje się, że facet jest czysty.

– To prawda – padła oschła odpowiedź. – Miałem na myśli akta pana Denisona Phillipsa Piątego.

– Jego syna? Chodzi panu o wzmiankę o aresztowaniu w związku z narkotykami?

– Sprawa jest dość poważna: posiadanie więcej niż pięciu gramów kokainy z zamiarem sprzedaży. Zauważyłem też w jego aktach informację, że chodzi na wykłady na Uniwersytecie Stanu Luizjana i zamierza studiować prawo.

– Tak. Chciałabym zobaczyć, jak dostaje się z takimi papierami na prawo. Kto jest karany, ten nie ma wstępu do palestry.

– Można podejrzewać, że jego rodzina ma układy, i domyślam się, że wszelkie dowody znikną z jego papierów, kiedy Denison Piąty ukończy dwadzieścia jeden lat.

Hayward oderwała na moment wzrok od szosy, aby zerknąć na Pendergasta. W jego oczach widać było srogie błyski, gdy wypowiadał ostatnie słowa. Mogła tylko się domyślać, jak zamierza to rozegrać. Zacznie przykręcać śrubę, grozić powstrzymaniem wszelkich prób usunięcia z papierów obciążających materiałów,

może nawet ujawnieniem tej skandalicznej historii prasie, co skutecznie uniemożliwiłoby Denisonowi Phillipsowi V dołączenie do kancelarii prawniczej tatusia... chyba że ojciec zdecydowałby się mówić i okazałby się rozmowny. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła, żeby Vinnie był teraz przy niej, a nie na oddziale szpitala Caltropa. Powstrzymywanie Pendergasta wyjątkowo ją męczyło. Po raz chyba setny zastanawiała się, dlaczego Vinnie – gliniarz ze starej szkoły, tak jak ona – darzył Pendergasta i jego nieortodoksyjne metody działania tak wielkim uznaniem.

Wzięła głęboki oddech.

– Wie pan co, zastanawiam się, czy zechciałby pan wyświadczyć mi przysługę.

– Oczywiście, pani kapitan.

– Proszę, aby pozwolił mi pan poprowadzić to przesłuchanie.

Poczuła na sobie wzrok agenta FBI.

– Dobrze znam takie typy – ciągnęła. – I wydaje mi się, że wiem, jak należy z nimi postępować.

Zapadła krótką, a w odczuciu Hayward, wyjątkowo nieprzyjemna chwila ciszy, zanim Pendergast rzucił lodowatym tonem:

– Z przyjemnością przyjrę się temu.

Denison Phillips IV spotkał się z nimi przy drzwiach swojego przestronnego domu pełniącego również funkcję klubu golfowego, budynku dostatecznie starego, że posadzone wokoło drzewa przydawały mu aury dostojności. Mężczyzna wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała Hayward, która od razu poczuła do niego antypatię. Szpanerska marynarka z barwną chustką w kieszonce na piersi, jasnożółta koszulka z monogramem, rozpięta pod szyją, zielone spodnie do golfa i popołudniowe martini w ręku dopełniały obrazu.

– Mogę zapytać w jakiej sprawie? – wycedził, bez powodzenia próbując naśladować szlachezny akcent, po którym jednak nie został żaden ślad, podobnie jak po jego arystokratycznych

przodkach.

– Jestem kapitan Hayward z policji nowojorskiej, pracowałam też kiedyś w policji nowoorleańskiej – powiedziała beznamiętnym tonem, jakby zwracała się do jednego ze swoich informatorów. – A to mój współpracownik, agent specjalny Pendergast z FBI.

Mówiąc to, wyjęła odznakę i machnęła nią Phillipsowi przed nosem. Pendergast nie pokwapił się, by zrobić to samo.

Phillips przyjrzał się im po kolei.

– Zdajecie sobie sprawę, że dziś niedziela?

– Owszem. Możemy wejść?

– Może powinienem najpierw porozmawiać z moim adwokatem – zasugerował Phillips.

– Oczywiście, ma pan do tego prawo i zaczekamy tu na jego przyjazd, niezależnie, jak długo miałyby to potrwać. Ale przychodzimy nieformalnie i chcieliśmy tylko zadać panu kilka pytań. Nie stanowi pan obiektu naszego dochodzenia. To nie zajmie dłużej niż dziesięć minut.

Phillips zawahał się, po czym zszedł na bok.

– Wobec tego zapraszam.

Hayward weszła za Phillipsem do domu urządzonego w białej tonacji: białe dywany, białe cegły, biała skóra, złoto i szkło. Pendergast bez słowa podążył za nimi. Znaleźli się w salonie z widokiem na pole golfowe.

– Proszę usiąść – powiedział Phillips, po czym sam to zrobił, stawiając swoje martini na skórzanej tacy na niewielkim podręcznym stoliku. Nie zaproponował im niczego do picia.

Hayward odchrząknęła.

– Był pan partnerem w kancelarii prawniczej Marston, Phillips i Lowe, zgadza się?

– Jeżeli pytania mają dotyczyć mojej firmy prawniczej, nie odpowiem na żadne z nich.

– Był pan również głównym doradcą w korporacji Longitude aż do chwili, gdy firma ta zbankrutowała jedenaście lat temu?

Nastąpiła długa cisza. Phillips uśmiechnął się, oparł dłonie o kolana i wstał.

– Proszę wybaczyć, ale to jest ten moment, kiedy muszę wezwać mojego adwokata. Z przyjemnością odpowiem na kolejne pytania, ale już w jego obecności.

Hayward wstała.

– Jak pan sobie życzy. Przepraszamy za kłopot, panie Phillips. – Przerwała. – Proszę pozdrowić od nas pańskiego syna.

– Zna pani mojego syna? – W odpowiedzi nie było zaniepokojenia.

– Nie – odparła Hayward.

Ruszyli w stronę frontowego holu.

Kiedy dotknęła dłonią klamki, Phillips zapytał wprost:

– Dlaczego zatem teraz pani o nim wspomniała?

– Widzę, panie Phillips, że jest pan dżentelmenem ze starego Południa. Prostolinijnym człowiekiem wyznającym starodawne wartości i lubiącym bezpośrednio, otwarte podejście do spraw.

Phillips wydawał się nieufny.

Hayward mówiła dalej, nieznacznie modulując głos, by przydać mu południowego akcentu, który zazwyczaj starała się tuszować:

– Właśnie dlatego będę z panem szczerą. Przybyłam tu z misją specjalną. Potrzebujemy informacji. I możemy pomóc pańskiemu synowi. Mam na myśli sprawę o posiadanie narkotyków.

Głucha cisza.

– Już się tym zajęto – odrzekł w końcu Phillips.

– Cóż... widzi pan, to zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak bardzo okaże się pan bezpośredni.

Phillips zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Ma pan informacje, które są dla nas bardzo ważne. Mój współpracownik, agent Pendergast... cóż... powiedzmy, że nie zgadzamy się co do metod, dzięki którym mielibyśmy te informacje pozyskać. On i Federalne Biuro Śledcze dysponują środkami, za

sprawą których papiery pańskiego syna nie zostaną wyczyszczone. Zdaniem mojego współpracownika to najłatwiejszy sposób, aby zagwarantować nam pańską pomoc. Pozostawiając brudy w papierach, nie dopuszczając pańskiego syna na studia prawnicze albo przynajmniej grożąc niedopuszczeniem – to zdaniem agenta Pendergasta najłatwiejszy sposób na przymuszenie pana do współpracy.

Hayward przerwała. Phillips przyjrzał im się kolejno. Żyła na jego skroni wyraźnie pulsowała.

– Ja stawiam na współpracę. Widzi pan, działałam w porozumieniu z tutejszą policją, kiedyś też tu służyłam. Mogę pomóc oczyścić papiery pańskiego syna. Ta pomoc z pewnością pozwoli mu dostać się na studia prawnicze, wejść do palestry i podjąć pracę w pańskiej kancelarii. Uważam, że to byłoby z pożytkiem dla wszystkich. Co pan na to?

– Widzę typowy schemat: dobry glina, zły glina – odrzekł Phillips.

– Powiedziałabym raczej, że gram w otwarte karty.

– Co chcecie wiedzieć? – spytał niepewnie Phillips.

– Pracujemy nad starą sprawą i uważamy, że może nam pan pomóc. Jak już wspominałam, chodzi o Longitude Pharmaceuticals. Przez oblicze Phillipsa przemknął dziwny grymas.

– Nie jestem upoważniony, by rozmawiać na temat tej firmy.

– Wielka szkoda. Powiem panu dlaczego. Bo obstrukcjonistyczna postawa – co sam pan przed chwilą potwierdził – tylko upewnia mojego współpracownika w przekonaniu, że jego sposób na skłonienie pana do mówienia jest właściwy. Cóż, to dla mnie jak przełknięcie gorzkiej pigułki, a pański syn nigdy nie dołączy do palestry.

Phillips nie odpowiedział.

– Poza tym to wielka szkoda, bo agent Pendergast może panu pomóc albo równie dobrze zaszkodzić.

Hayward przerwała na chwilę, aby się nad tym zastanowił.

– Widzi pan, pomoc FBI byłaby niezbędna, jeśli chce pan wyczyścić papiery syna. Takie oskarżenie o posiadanie znacznej ilości narkotyków... domyśla się pan, że w aktach FBI także znajduje się stosowny wpis. Nie chodzi tylko o lokalne archiwum policji.

Phillips przełknął ślinę.

– Mówimy o drobnym wykroczeniu, FBI nie interesuje się takimi sprawami.

– Chodzi o posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży. To już z automatu trafia do akt FBI. Jako prawnik korporacyjny ma pan prawo tego nie wiedzieć. Może mi pan wierzyć, te akta gdzieś tam są, jak bomba zegarowa, która tylko czeka, by obrócić w perzynę przyszłość pańskiego syna.

Pendergast stał w bezruchu obok niej. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Phillips oblizwał wargi, zwilżył je martini i zrobił wydech.

– Co konkretnie chcecie wiedzieć?

– Proszę opowiedzieć nam o eksperymentach z ptasią grypą prowadzonych w Longitude.

Kostki lodu w martini zastukały, kiedy dłoń Phillipsa zadrżała.

– Panie Phillips – naciskała Hayward.

– Pani kapitan, kiedy o tym opowiem i to się wyda, będzie po mnie.

– Nic się nie wyda. Nikt się nie dowie, że pan nam o tym opowiedział. Ma pan moje słowo.

Phillips pokiwał głową.

– Ale musi nam pan powiedzieć całą prawdę. Taka jest umowa.

Cisza przedłużała się.

– I pomożecie mu? – spytał w końcu Phillips. – Wyczyścicie jego papiery zarówno na poziomie lokalnym, jak federalnym?

Hayward skinęła głową.

– Osobiście tego dopilnuję.

– Dobrze, powiem wam wszystko, co wiem. Obawiam się, że nie

jest tego dużo. Nie należałem do grupy zajmującej się ptakami. Najwyraźniej oni...

– Oni?

– W Longitude istniała tajna komórka. Założono ją trzynaście, czternaście lat temu. Nazwiska były utajnione, znam tylko jedno. Doktor Slade. Charles J. Slade, prezes. On tym kierował. Pracowali nad opracowaniem nowego leku.

– Jakiego rodzaju?

– Wspomagającego umysł albo jakąś terapię, wyodrębnionego ze szczepu ptasiej grypy. Ścisłe tajna sprawa. Włożyli w to mnóstwo pieniędzy i czasu. A potem wszystko się rozleciało. Koncern popadł w kłopoty finansowe, zaczął ciąć koszty, nie przestrzegano procedur bezpieczeństwa. Doszło do wypadków. Projekt zamknięto. I wtedy, kiedy sądzono, że już najgorsze minęło, wybuchł pożar, który zniszczył kompleks numer sześć, i Slade zginął, a...

– Chwileczkę – wtrącił Pendergast, odzywając się po raz pierwszy. – Chce pan powiedzieć, że doktor Slade nie żyje?

Mężczyzna spojrzał na niego i pokiwał głową.

– A to był dopiero początek. Niedługo potem jego sekretarka popełniła samobójstwo, a koncern zbankrutował. Sektor jedenasty. To była katastrofa.

Zapadła krótka cisza. Spoglądając na Pendergasta, Hayward spostrzegła wyraz zdziwienia i czegoś jeszcze – rozczarowania – na zazwyczaj beznamiętnym obliczu. Najwyraźniej był to dla niego niespodziewany obrót wydarzeń.

– Czy Slade był lekarzem medycyny? – zapytał Pendergast.

– Tak, miał dyplom z medycyny.

– Ma pan jego zdjęcie?

Phillips zawahał się.

– Powinno być w moich archiwach, w dorocznym raporcie.

– Proszę je przynieść.

Mężczyzna wstał i udał się do biblioteki za ścianą. Po chwili wrócił z raportem rocznym, otworzył go i podał Pendergastowi.

Agent spojrział na zdjęcie wydrukowane na pierwszej stronie ponad słowami prezesa i podał Hayward. Ujrzała uderzająco atrakcyjnego mężczyznę, o mocno rzeźbionych rysach, przenikliwych brązowych oczach i gęstych siwych włosach. Miał szerokie czoło i dołek w podbródku. Bardziej niż prezesa dużej firmy przypominał gwiazdora filmowego.

Po chwili Hayward odłożyła raport i zapytała:

– Skoro ten projekt był ściśle tajny, dlaczego wtajemniczyli w to pana?

Wahanie.

– Wspomniałem o wypadku. W laboratorium używano papug do produkowania i testowania wirusa. Jedna z papug uciekła.

– I przeleciała poza Czarne Bagna, by zarazić rodzinę w Sunflower. Doane'ów.

Phillips spojrział na nią przenikliwym wzrokiem.

– Sporo pani wie.

– Proszę mówić dalej.

Upił łyk martini, jego dłonie wciąż drżały.

– Slade i jego grupa postanowili... pozwolić na przeprowadzenie tego... spontanicznego eksperymentu. Bo widzicie, zanim udało się zlokalizować ptaka, i tak już było za późno – rodzina została zarażona. W tej sytuacji uznali, że nie będą interweniować, aby przekonać się, czy nowy szczep wirusa, który opracowali, okaże się skuteczny.

– Okazało się, że nie jest.

Phillips pokiwał ręką.

– Rodzina zmarła. Nie od razu, ma się rozumieć. Właśnie wtedy wtajemniczono mnie w sprawę, już po fakcie, abym doradzał im w kwestii ograniczeń natury prawnej. Byłem przerażony. Dopuścili się rażącego naruszenia prawa oraz zaniedbań i oszustw, co w efekcie doprowadziło do śmierci niewinnych ludzi. Powiedziałem im jasno, że nie widzę żadnych legalnych sposobów, aby mogli się z tego wywinąć. I dlatego postanowili zatuszować całą sprawę.

– Nie zgłosił pan tego?

– Kierowałem się zasadą poufności między klientem a adwokatem.

Pendergast znów się odezwał:

– Jak doszło do tego pożaru? Tego, w którym zginął Slade?

Phillips odwrócił się ku niemu.

– Firma ubezpieczeniowa przeprowadziła drobiazgowy dochódzenie. To był wypadek, chodziło o niewłaściwie przechowywane środki chemiczne. Jak już wspominałem, koncern ciął koszty, aby oszczędzić jak najwięcej pieniędzy. Oszczędzał, na czym się tylko dało.

– A inni z grupy zajmującej się ptakami?

– Nie znam ich nazwisk, ale słyszałem, że również nie żyją.

– Panu też ktoś groził śmiercią.

– Kilka dni temu odebrałem telefon. Dzwoniący się nie przedstawił. Wygląda na to, że wasze śledztwo narobiło sporego zamieszania. – Phillips wziął głęboki oddech. – To wszystko, co wiem. Nigdy nie uczestniczyłem w eksperymencie ani nie przyłożyłem ręki do śmierci Doane'ów. Wtajemniczono mnie w tę sprawę już po fakcie. Miałem posprzątać bałagan, ot wszystko.

– Co może nam pan powiedzieć o June Brodie? – spytała Hayward.

– Była osobistą sekretarką Slade'a.

– Jak by pan ją opisał?

– Młoda. Atrakcyjna. Z motywacją.

– Dobra w tym, co robiła?

– Była prawą ręką Slade'a. Wyglądało na to, że maczała palce we wszystkim.

– Czy to znaczy, że wiedziała o tym tajnym projekcie?

– Jak już wspominałem, projekt miał najwyższą klauzulę tajności.

– Ale ona była osobistą sekretarką Slade'a – wtrącił Pendergast.

– Wysoce zmotywowaną. Wiedziała o wszystkim, co przechodziło

przez jego biurko.

Phillips nie odpowiedział.

– Co łączyło ją z pracodawcą?

Phillips zawahał się.

– Slade nigdy o tym ze mną nie rozmawiał.

– Ale dochodziły pana plotki – ciągnął Pendergast. – Czy łączyło ich coś więcej poza czysto zawodowymi relacjami?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Jakim człowiekiem był Slade? – zapytała Hayward.

Wydawało się, że Phillips nie odpowie, ale po chwili zuchwały wyraz jego twarzy złagodniał, a mężczyzna westchnął z rezygnacją.

– Charles Slade stanowił zdumiewające połączenie genialnego wizjonera, troskliwego ponad wszelką miarę, z człowiekiem nad wyraz okrutnym i chciwym. Zdawał się uosabiać w sobie wszystko, co najlepsze i najgorsze zarazem, jak to bywa z wieloma prezesami. W jednej chwili mógł szlochać, pochylając się nad łóżkiem konającego chłopca... a w następnej zarządzić cięcia budżetowe na kwotę dziesięciu milionów dolarów, tym samym uniemożliwiając opracowanie nowego leku, który mógł ocalić tysiące istnień.

Zapadła krótka cisza.

Pendergast patrzył wnikliwie na prawnika.

– Mówi coś panu nazwisko Helen Pendergast albo Helen Esterhazy?

Prawnik spojrzał na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Nie. Nigdy wcześniej nie słyszałem tych nazwisk. A przynajmniej dopóki nie raczył mnie pan odwiedzić, agencie Pendergast.

Pendergast otworzył i przytrzymał Hayward drzwiczki buicka. Zanim wsiadła, na chwilę się zatrzymała.

– Widzi pan, jak gładko poszło?

– Faktycznie – zamknął drzwiczki, obszedł auto i zajął miejsce na fotelu pasażera. Rozdrażnienie, które wcześniej zaobserwowała

u niego, najwyraźniej zniknęło. – Przyznam jednak, że zaciekała mnie pani.

– Czym konkretnie?

– Sposobem, w jaki przedstawiła mnie pani naszemu przyjacielowi Phillipsowi. Mówiąc, że zagroziłbym mu, wykorzystując brudy w papierach jego syna przeciwko niemu. Skąd pani wie, że nie postąpiłbym tak jak pani?

Hayward uruchomiła silnik.

– Znam pana. Zdruzgotałby pan tego nieszczęśnika bez odrobiny wahania. Widywałam już pana w akcji. A ja zamiast kija użyłam marchewki.

– Po co?

– Bo to działa, zwłaszcza wobec ludzi takich jak on. I dzięki temu w nocy będzie mi się lepiej spało.

– Mam nadzieję, że łóżka w Penumbrze są dostatecznie wygodne?

– Jak najbardziej.

– Świetnie. Jeżeli o mnie chodzi, uważam, że są wyśmienite.

Kiedy odwrócił głowę, by spojrzeć przed siebie, Hayward odniosła wrażenie, że dostrzegła na jego ustach cień uśmiechu. I nagle zorientowała się, że mogła się pomylić, jeżeli chodziło o sposób, w jaki agent zamierzał potraktować Denisona Phillipsa IV. Ale teraz już się tego nie dowie.

Itta Bena, Missisipi

Płaska droga biegła wśród bagien, poza obrzeżami niewielkiego miasteczka. Po obu stronach rosły drzewa cyprysowe, pomiędzy gałęziami przesączały się wątle promienie porannego słońca. Wyblakły napis na tablicy, prawie niewidocznej, bo zlewającej się z tłem krajobrazu, głosił:

Longitude Pharmaceuticals SA

zał. 1966

„Witamy przyszłość lepszymi lekarstwami”

Buick podskakiwał i wibrował na wybojach, opony uderzały o asfalt. W lusterku wstecznym Hayward dostrzegła zbliżający się punkcik, który wkrótce okazał się rolls-royce'em Pendergasta. Agent uparł się, by zabrali oba auta, bo rzekomo miał tego dnia sporo ważnych spraw do załatwienia. Ona jednak domyślała się, że po prostu szukał wymówki, aby przesiąść się z wynajętego buicka do znacznie bardziej komfortowego rollsa.

Limuzyna szybko się zbliżała, znacznie przekraczając dozwolony limit prędkości, zjechała na lewy pas i wyprzedziła tak, że buick aż się zatrząsł od podmuchu powietrza. Hayward dostrzegła tylko błysk bladej dłoni i fragment rękawa czarnego garnituru, kiedy Pendergast machnął jej ręką na powitanie.

Droga wchodziła w szeroki zakręt i niebawem Hayward znów dogoniła rollsa, który z silnikiem pracującym na jałowym biegu stał przed bramą fabryki, a Pendergast rozmawiał ze strażnikiem na wartowni. Po dłuższej wymianie zdań, podczas gdy strażnik krążył w tę i z powrotem od i do telefonu, oba samochody zostały przepuszczone.

Hayward minęła tablicę z napisem „Longitude Pharmaceuticals SA, oddział w Itta Bena” i wjechała na parking, by ujrzeć, że Pendergast sprawdza swojego les baera .45.

– Chyba nie spodziewa się pan kłopotów? – spytała.

– Nigdy nie wiadomo – odparł, wsuwając pistolet do kabury i poprawiając marynarkę.

Trawnik porośnięty palusznikiem krwawym prowadził do kompleksu niskich budynków z żółtej cegły, otoczonego z trzech stron odnogami błotnistego jeziora pełnego lilii wodnych i rzęsy. Poza szpalerem drzew Hayward dostrzegła kolejne budynki, niektóre z nich zarosły pnączami i chwastami, z innych zostały ruiny. A za tym wszystkim rozpościerały się duszne, odpychające Czarne Bagna. Spoglądając w stronę moczarów, mrocznych nawet w biały dzień, Hayward lekko się wzdrygnęła. Słyszała wiele legend o tym miejscu, kiedy tu dorastała – o piratach, duchach i jeszcze innych, okropniejszych i dziwniejszych rzeczach. Odegnęła uporczywego komara.

Weszła za Pendergastem do głównego budynku. Recepcjonista przygotował im dwie plakietki, jedną dla „P. Pendergasta”, a drugą dla „P. Hayward”. Policjantka spojrzała na swoją i przypięła ją do klapy.

Gdy wsiedli do windy, powiedziała:

– Nie powiedział pan, że jesteśmy z policji. Znowu.

– Czasami dobrze jest zaobserwować reakcję, zanim ta informacja zostanie ujawniona.

Hayward wzruszyła ramionami.

– Czy to wszystko nie wydaje się panu zbyt łatwe?

– W rzeczy samej.
– Kto będzie mówił?
– Ostatnio świetnie dała pani sobie radę, czy zatem zechciałaby pani czynić honory raz jeszcze?

– Z przyjemnością. Choć tym razem mogę już nie być taka miła. Czują pod pachą ciężar swojej służbowej broni.

Skrzypiąca winda dowiozła ich piętro wyżej i znaleźli się w długim korytarzu wyłożonym linoleum. Przeszli aż do końca, do otwartych drzwi, za którymi w przestronnym gabinecie pracowała sekretarka. W głębi biura znajdowały się nieco wyblakłe, ale wciąż eleganckie drzwi. Były zamknięte.

Hayward weszła pierwsza. Sekretarka, dość młoda i ładna, z włosami spiętymi w koński ogon i ustami uszminkowanymi czerwoną pomadką, uniosła wzrok.

– Proszę usiąść.

Usiedli na ciemnoszarej kanapie przy szklanym stoliku z mnóstwem nieco sczytanych czasopism branżowych.

Kobieta za biurkiem rzuciła pospiesznie:

– Nazywam się Joan Farmer, jestem osobistą sekretarką pana Dalquista. Dziś ma cały dzień zajęty i poprosił, abym spytała, w czym mogę państwu pomóc.

Hayward nachyliła się w jej stronę.

– Obawiam się, że nie może nam pani pomóc, panno Farmer. Może nam pomóc jedynie pan Dalquist.

– Jak już mówiłam, jest zajęty. Może gdyby zechcieli państwo wyjaśnić mi, o co chodzi. – Jej ton stał się nieco mniej przyjazny.

– Jest teraz w swoim gabinecie? – Hayward wskazała w stronę zamkniętych drzwi.

– Pani Hayward, mam nadzieję, że wyraziłam się jasno, mówiąc, że nie wolno mu przeszkadzać. Pytam raz jeszcze, w czym mogę pomóc?

– Przyjechaliśmy w związku z projektem dotyczącym ptasiej grypy.

– Nie słyszałam o takim projekcie.

Hayward sięgnęła w końcu do kieszeni, wyjęła legitymację i położyła ją na stoliku. Sekretarka drgnęła gwałtownie, wychyliła się do przodu, spojrzała na legitymację, a potem na odznakę Pendergasta, który poszedł w ślady Hayward.

– Policja i FBI? Dlaczego od razu państwo nie powiedzieli? – Z początku zaskoczona, sekretarka nie skrywała rozdrażnienia. – Proszę tu zaczekać.

Wstała i zapukała cicho do zamkniętych drzwi, po czym otworzyła je, weszła i skrętnie zamknęła za sobą.

Hayward przeniosła wzrok na Pendergasta. Oboje podnieśli się równocześnie i weszli do gabinetu.

Znaleźli się w przyjemnym, choć spartańsko urządzonym biurze. Mężczyzna, który wyglądał raczej jak profesor niż prezes firmy, w okularach, tweedowej marynarce i spodniach khaki, konferował z sekretarką przy długim biurku. Siwe włosy miał starannie uczesane, a biały wąsik nad górną wargą najeżył się groźnie, gdy mężczyzna spostrzegł nieproszonych gości.

– To prywatny gabinet! – rzuciła sekretarka.

– Jak rozumiem, państwo z policji – powiedział Dalquist. – A teraz chciałbym zobaczyć nakaz, jeżeli go macie.

– Nie mamy – odparła Hayward. – Liczyliśmy, że to będzie nieformalna rozmowa. Ale jeśli nakaz jest potrzebny, to go zaraz zdobędziemy.

Dalquist zawahał się.

– Jeżeli dowiem się, o co chodzi, może nie będzie to konieczne.

Hayward odwróciła się do Pendergasta.

– Agencie specjalny Pendergast, może pan Dalquist ma rację i powinniśmy jednak zdobyć nakaz. Zawsze uważam, że należy postępować zgodnie z regulaminem.

– To byłoby wskazane, pani kapitan, oczywiście wzmianka o nakazie może się pojawić w szerszym kontekście.

Dalquist westchnął.

– Proszę usiąść. Panno Farmer, od teraz ja się wszystkim zajmę. Dziękuję. Proszę zamknąć za sobą drzwi.

Sekretarka wyszła, ale ani Hayward, ani Pendergast nie usiedli.

– O co chodzi z tą ptasią grypą? – zapytał Dalquist, wracając za biurko. – Jesteśmy niewielką firmą farmaceutyczną prowadzącą badania i oferującą kilka produktów łagodzących pewne dolegliwości związane z niedoborem kolagenu, i to wszystko.

– Mniej więcej trzynaście lat temu – powiedziała Hayward – w Longitude prowadzono nielegalne badania nad wirusem ptasiej grypy.

– Nielegalne? Jak to?

– Nie przestrzegano procedur bezpieczeństwa. Zainfekowany ptak uciekł z laboratorium, a od niego zaraziła się rodzina mieszkająca niedaleko stąd. Wszyscy członkowie tej rodziny zmarli, a Longitude zatuszowała tę sprawę. I nadal próbuje tuszować, na co mogą wskazywać popełnione ostatnio zabójstwa.

Zapadła długa cisza.

– To poważne oskarżenie. Nic o tym nie wiem. Longitude zbankrutowała mniej więcej dziesięć lat temu. Całkowita reorganizacja sektora jedenastego. Nie został tam nikt z tamtych czasów. Dawnego zarządu już nie ma. Ograniczyliśmy profil firmy i obecnie koncentrujemy się na kilku produktach.

– Jakich dokładnie?

– Głównie na preparatach leczących grzybicę skóry oraz zapalenia wielomięśniowe. Jesteśmy niewielką firmą, do tego ściśle ukierunkowaną.

Nie słyszałem, by kiedykolwiek prowadzono tu badania nad ptasią grypą.

– Nikt nie został z dawnej ekipy sprzed dziesięciu lat?

– O ile mi wiadomo, nikt. Miał miejsce straszny pożar, w którym zginął poprzedni prezes, i cały kompleks zamknięto na kilka miesięcy. Kiedy wznowiliśmy działalność, byliśmy już inną firmą.

Hayward wyjęła z kieszeni kopertę.

– O ile się orientuję, firma Longitude, gdy zbankrutowała, zamknęła kilka działów badawczych, gdzie prowadzono prace nad nowymi ważnymi lekami i szczepionkami. Tak po prostu. Byliście jedyną firmą robiącą badania na tych polach. Rezygnacja z nich pozbawiła resztek nadziei miliony chorych z krajów Trzeciego Świata.

– Byliśmy bankrutami.

– Więc zamknęliście te działy badawcze.

– Zrobił to nowy zarząd. Osobiście nie byłem w to zaangażowany i zacząłem pracę w firmie dopiero dwa lata później. Czy to coś złego?

Hayward z trudem oddychała. Niedobrze. Zabrnęli w ślepią uliczkę.

– Panie Dalquist, księgi rachunkowe firmy wykazały, że uzyskuje pan roczne przychody w wysokości niemal ośmiu milionów dolarów. Pańskie leki, choć przeznaczone dla niewielkiego kręgu odbiorców, są bardzo dochodowe. Co pan robi z taką górą pieniędzy?

– To co każda inna korporacja. Przeznaczam je na wypłaty, podatki, dywidendy, premie oraz fundusze na badania i rozwój firmy.

– Pan wybaczy, że to powiem, ale zważywszy na przychody, pańska placówka badawcza sprawia wrażenie wyjątkowo zaniedbanej.

– Niech pani nie da się zwieść pozorom. Mamy tu sprzęt najwyższej klasy. Nasza placówka znajduje się na uboczu i nie musimy brać udziału w konkursie piękności. – Rozłożył ręce. – Najwyraźniej nie podoba się pani to, jak robimy tu interesy. Może mnie pani nie lubi. Może nie podoba się pani, że zarabiam osiem milionów dolarów rocznie i że prowadzę intratną firmę. No i dobrze. Ale te oskarżenia są bezpodstawne. Absolutnie bezpodstawne. Czy wyglądam na człowieka zamieszanego w morderstwo?

– Proszę to udowodnić.

Dalquist wyszedł zza biurka.

– W pierwszym odruchu chciałem was zastopować, zmusić do zdobycia nakazu, walczyć jak lew w sądzie, wykorzystując najlepszych adwokatów, aby was opóźnić i nękać przez wiele najbliższych tygodni czy nawet miesięcy. Nawet gdyby się wam udało, skończylibyście z nakazem przeszukania o ograniczonym zakresie i górą papierkowej roboty. Ale wiecie co? Nie zrobię tego. Dam wam wolną rękę. Możecie iść, dokąd chcecie, zajrzeć, gdzie chcecie, zapewnię wam dostęp do wszelkich dokumentów. Nie mamy nic do ukrycia. Czy to was zadowala?

Hayward spojrzała na Pendergasta. Jego oblicze było nieodgadnione, a spojrzenie srebrzystych oczu chmurne.

– To będzie dobry początek – powiedziała.

Dalquist nachylił się nad biurkiem i nacisnął przycisk.

– Panno Farmer, proszę sporządzić pismo dla mnie do podpisu, zgodnie z którym udzielam tym dwojgu funkcjonariuszom pełnego, bezwarunkowego i nieograniczonego dostępu do całego kompleksu firmy Longitude Pharmaceuticals z zaleceniami dla pracowników, wedle których mają oni odpowiadać szczerze, zgodnie z prawdą i wyczerpująco na wszystkie ich pytania i zapewnić dostęp do najbardziej newralgicznych oddziałów i dokumentów.

Nacisnął przycisk i uniósł wzrok.

– Mam nadzieję, że opuścicie teren możliwie jak najszybciej.

Pendergast wreszcie przerwał długie milczenie.

– To się okaże.

Zanim dotarli na drugi koniec kompleksu Longitude Pharmaceuticals, Hayward była wyczerpana. Dalquist dotrzymał słowa i zapewniono im dostęp do wszystkiego: laboratoriów, biur i archiwum. Pozwolono im nawet wędrować po dawno opuszczonych i nieużywanych kompleksach. Nikt im nie towarzyszył, nie byli niepokojeni przez ochronę, dano im pełną swobodę działania.

I niczego nie odkryli. Zupełnie niczego. Poza kilkoma pracownikami niższego szczebla w firmie nie pozostał nikt z czasów sprzed kryzysu. Archiwa firmy, sięgające kilkudziesięciu lat wstecz, nie zawierały żadnej wzmianki o projekcie badań nad ptasią grypą, wszystkie prace wydawały się w pełni legalne.

I to wzbudziło podejrzenia Hayward. Z doświadczenia wiedziała, że wszyscy, nawet ludzie uczciwi, mieli coś do ukrycia. Spojrzała na Pendergasta, gdy szli korytarzem ostatniego zamkniętego budynku. Na chłodnej, bladej jak alabaster twarzy agenta nie zauważyła nawet śladu emocji.

Wyszli z drugiej strony drzwiami pożarowymi, które zaskrzypiały, kiedy je otwierali. Znaleźli się na popękany betonowym podjeździe, przed którym rozpościerał się zaniedbany trawnik. Po prawej mieli wąskie błotniste jezioro, fragment zalewiska otoczony cyprysowymi drzewami przyozdobionymi pękami mchu hiszpańskiego. Na wprost nich, poprzez płataninę

roślinności Hayward dostrzegła resztki ceglanego muru zarośniętego pnączami, a poza nim wypalone ruiny budowli, która kiedyś znajdowała się na uboczu, na samym końcu kompleksu, otoczona z trzech stron ciemnymi mackami Czarnych Bagien. Widoczne za ruinami stare molo było spalone i równie zniszczone, pozostało po nim zaledwie kilka pali znikających w ciemnych wodach moczarów.

Zaczął padać lekki deszcz, rosząc trawę, a nisko na niebie pojawiły się złowrogie chmury.

– Zapomniałam parasola – powiedziała Hayward, spoglądając na mokre posępne drzewa.

Pendergast, który patrzył w stronę mola i bagien, sięgnął za pazuchę. O nie, pomyślała, nikt mi nie mówił, że on ma też przy sobie parasol. On jednak wyjął z kieszeni mały pakiecik zawierający przezroczyste plastikowe płaszcze przeciwdeszczowe – jeden dla niej, drugi dla siebie.

Kilka minut później szli, chlupocząc, przez trawnik w stronę splątanych pozostałości starego ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym. Brama leżała na ziemi, rozwalona i wyrwana z zawiasów. Przepisnęli się przez wąską szczelinę. Ich oczom ukazały się zgliszcza spalonego budynku. Był z żółtej cegły, jak pozostałe, ale dach się zapadł, a wielkie zwęglone belki sterczały w niebo, okna i drzwi wyglądały jak ziejące czarne dziury okolone śladami sadzy. Po ścianach pięły się pnącza, a grube kobierce kurzu zalegały na wszystkim dokoła.

Hayward przeszła za Pendergastem przez osmolony otwór. Detektyw przystanął, by rzucić okiem na leżące na ziemi drzwi i samą framugę, po czym ukląkł i zaczął manipulować przy zamku w drzwiach zestawem kilkunastu wytrychów.

– To ciekawe – powiedział, wstając.

Wejście było zasłane zwęglonymi kawałkami drewna, a sufit powyżej częściowo się zawalił, dzięki czemu do środka wpadało nieco światła. Stado jaskółek wyleciało z ciemności i pierzchno

w popłochu przy wtórze głośnego jazgotu i trzepotu skrzydeł.

Wszystko było przesycone odorem wilgoci. Woda ściekała z czarnych belek, tworząc kałuże na wyłożonej niegdyś płytkami podłodze. Pendergast wyjął z kieszeni ołówkową latarkę i poświecił dokoła. Weszli w głąb budynku, przestępując sterty gruzu; cienki promień światła z latarki Pendergasta przesuwiał się płynnie z boku na bok. Minęli strzaskane wejście i przeszli do starego korytarza z wypalonymi pomieszczeniami po obu stronach. Tu i ówdzie na podłodze można było dostrzec kałuże stopionego szkła i aluminium, a także resztki spalonego plastiku i mebli.

Hayward patrzyła, jak Pendergast bezgłośnie przemyka przez ciemne pokoje, przeszukując i zaglądnając w każdy kąt. W którymś momencie zatrzymał się przy tym, co pozostało z szafki z aktami, i zaczął grzebać wśród wilgotnej masy spalonych papierów na dnie szuflady, rozgarniając je. Sam środek pozostał nietknięty przez ogień i agent wyjął kilka fragmentów, by lepiej się im przyjrzeć.

– Dostawa dotarła do Nova G. – przeczytał na głos z jednej z kartek. – To tylko plik listów przewozowych.

– Coś ciekawego?

Agent szperał przez chwilę.

– Raczej nie.

Wyjął kilka nadpalonych fragmentów, które włożył do zamykanej plastikowej torebki i wsunął do kieszeni marynarki.

Dotarli do wielkiego centralnego pomieszczenia, gdzie, jak się wydawało, paliło się najintensywniej. Sufitu już nie było, a gruzy pokryła gruba warstwa kurzu, na skutek czego podłoga wyglądała na nierówne i falujące. Pendergast rozejrzał się, po czym podszedł do jednej z zarośniętych nierówności i silnym szarpnięciem zdarł pnąca, odsłaniając pozostałości starego urządzenia z mnóstwem kabli, rurek i trybów, którego przeznaczenia Hayward nie próbowała nawet się domyślać. Przeszedł przez pomieszczenie, odgarniając kolejne pnąca i odsłaniając stopione pozostałości dawnych urządzeń.

– Domyśla się pan, do czego to wszystko służyło? – spytała Hayward.

– To autoklaw – inkubatory – a to zapewne było kiedyś wirówką. – Poświecił w stronę na wpół stopionej masy. – A tu mamy pozostałości aparatury do badania przepływu warstw. To było kiedyś wysoce wyspecjalizowane laboratorium mikrobiologii.

Pendergast rozgarnął stopą fragment gruzowiska, schylił się i podniósł coś. Przedmiot zabłysnął matowo w świetle, a agent schował go do kieszeni.

– Raport o zgonie Slade’a – powiedziała Hayward – stwierdzał, że jego ciało znaleziono w laboratorium. To musiało być tutaj.

– Tak. – Pendergast omiół promieniem latarki rząd ciężkich, stopionych, zarośniętych chwastami szafek. – I właśnie tu zaczął się pożar. Magazyn substancji chemicznych.

– Uważa pan, że ogień podłożono celowo?

– Oczywiście. Pożar był konieczny, żeby zniszczyć dowody.

– Skąd pan wie?

Pendergast sięgnął do kieszeni i pokazał Hayward znaleziony przed chwilą przedmiot. To był pasek aluminium o długości niecałych dwóch centymetrów, który najwyraźniej uniknął spalenia. Był na nim wybity numer.

– Co to takiego?

– Nieużywana obrączka dla ptaka. – Przyjrzał się uważniej cienkiej blaszce, po czym podał ją Hayward. – Dodam tylko, że nie jest to zwyczajna obrączka. – Wskazał na wewnętrzną stronę blaszki, gdzie widać było wyraźnie silikonowy pasek. – Proszę spojrzeć. Została zaopatrzona w czip, który bez wątpienia miał pomagać w zlokalizowaniu ptaka. Teraz wiemy już, w jaki sposób Helen odnalazła papugę. Zastanawiałem się, jak udało się jej namierzyć Doane’ów, zanim zaczęli zdradzać oznaki ptasiej grypy.

Hayward oddała mu obrączkę.

– Skąd przypuszczenie, że ogień został podłożony celowo? Raporty mówiły wyraźnie, że nie odnaleziono śladów

przyspieszaczy ani rozmyślnego podpalenia.

– Osoba, która roznieciła ogień, była błyskotliwym chemikiem i wiedziała, co robi. To zbyt duży zbieg okoliczności, żeby można uwierzyć, że ten budynek spalił się przypadkiem wkrótce po tym, jak zamknięto projekt badań nad wirusem ptasiej grypy.

– Kto wobec tego spalił ten budynek?

– Pragnę zwrócić pani uwagę na wysoki poziom zabezpieczeń: wysokie niegdyś i wzmocnione ogrodzenie z drutem kolczastym, prawie niemożliwe do sforsowania zamki w drzwiach, okna, które były zakratowane i zaopatrzone w szyby z mlecznego szkła. W dodatku budynek stał na uboczu, z dala od reszty, nieomal na bagnach, chroniony ze wszystkich stron. Ogień z całą pewnością został podłożony przez kogoś z pracowników. Kogoś, kto miał tu nieograniczony dostęp.

– Podejrzewa pan Slade’a?

– Podpalacz ginący w wywołanym przez siebie pożarze to wcale nie tak rzadkie wydarzenie.

– Z drugiej strony – powiedziała Hayward – ten pożar mógł się równać morderstwu. Slade jako szef projektu wiedział zbyt wiele.

Pendergast spojrzał na nią powoli bladymi srebrzystymi oczami.

– Jestem dokładnie tego samego zdania, pani kapitan.

Stali w milczeniu, a wśród ruin słychać było odgłos kapiących kropel deszczu.

– Wygląda na to, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek – uznała Hayward.

Pendergast bez słowa wyjął torebkę z kawałkiem nadpalonego papieru i podał policjantce. Przyjrzała się świstkowi. Jeden z fragmentów zawierał zamówienie na zestaw płytek Petriego z odręczną adnotacją u dołu zwiększającą ich liczbę „zgodnie z zaleceniem CJS”. Adnotację podpisano literą J.

– CJS? To musi oznaczać Charlesa J. Slade’a.

– Zgadza się. I to jest najciekawsze.

Oddała mu świstek.

– Nie rozumiem.

– Pismo ewidentnie należy do June Brodie, sekretarki Slade’a. Tej samej, która popełniła samobójstwo na moście Archera tydzień po śmierci Slade’a. Tyle tylko że ta krótka notatka z zamówieniem świadczy o tym, że ta kobieta nie popełniła samobójstwa.

– Skąd ta pewność, na Boga?

– Tak się składa, że mam kserokopię listu samobójczego z jej akt z archiwum Vital Records, który pozostawiła w swoim samochodzie tuż przed tym, jak rzekomo rzuciła się z mostu do rzeki.

Pendergast wyjął kartkę z kieszeni marynarki, a Hayward rozłożyła ją.

– Proszę porównać ten charakter pisma z tym na zamówieniu, które właśnie znalazłem, z czysto rutynową notatką sporządzoną w jej biurze. To nader interesujące.

Hayward spojrzała najpierw na jedną kartkę, potem na drugą, wodząc wzrokiem pomiędzy nimi.

– Ale przecież pismo jest takie samo.

– I właśnie to, droga pani kapitan, jest w tym wszystkim najciekawsze.

Agent schował oba świstki do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Słońce skryło się już za gęstą zasłoną chmur, zanim Laura Hayward dotarła do niewielkiej autostrady wyjazdowej z Itta Bena, kierując się ku drodze międzystanowej. Według GPS-a miała przed sobą czteroipółgodzinną podróż do Penumbry; powinna dojechać na miejsce przed północą. Pendergast powiedział jej, że wróci do domu znacznie później, gdyż zamierzał się dowiedzieć czegoś więcej o June Brodie.

Na autostradzie nie było żywego ducha. Hayward poczuła senność i opuściła szybę, wpuszczając do auta podmuch parnego powietrza. Samochód wypełniła woń nocy i wilgotnej ziemi. W najbliższym miasteczku zrobi przystanek na kawę i kanapkę. A może nawet zje coś konkretniejszego. Miała ochotę na żeberka. Od śniadania nic nie jadła.

Zadzwoiła jej komórka, wyjęła ją z kieszeni jedną ręką.

– Halo?

– Kapitan Hayward? Mówi doktor Foerman ze szpitala Caltrop.

Hayward momentalnie zmroził poważny ton jego głosu.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze, ale musiałem zadzwonić. Stan pana D’Agosty nagle się pogorszył.

Przełknęła ślinę.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Przeprowadzamy testy, ale wygląda na to, że doszło do szoku anafilaktycznego związanego ze świńską zastawką w jego sercu. –

Przerwał.

– Szczerze mówiąc, sytuacja jest bardzo poważna. Uznaliśmy... że należy panią powiadomić.

Hayward na moment zaniemówiła. Zwolniła, zjechała na pobocze. Samochodem lekko zarzuciło.

– Kapitan Hayward.

– Jestem.

Drżącymi palcami wstukała w GPS-a: Caltrop, L.A.

– Chwileczkę.

GPS dokonywał obliczeń, ile czasu zajmie jej pokonanie odległości z miejsca, gdzie się obecnie znajdowała, do Caltrop.

– Będę za dwie godziny. Może nawet szybciej.

– Będziemy czekać.

Zamknęła telefon i opadła na fotel pasażera. Wzięła długi drżący oddech. A potem gwałtownie ruszyła z pobocza i zakręciła energicznie kierownicą, by zawrócić. Spod tylnych kół auta trysnęły kaskady żwiru, gdy buick podskoczył, wjeżdżając na autostradę, i pomknął po niej z piskiem opon.

Judson Esterhazy wyszedł przez podwójne przeszklone drzwi w ciepłą noc, wkładając dłonie do kieszeni lekarskiego kitla, i wziął głęboki oddech. Z tego miejsca, pod zadaszonym głównym wejściem do szpitala, zlustrował wzrokiem parking. Jasno oświetlony latarniami sodowymi, był w trzech czwartych pusty. Ot cichy, spokojny marcowy wieczór w szpitalu Caltrop. Zwrócił uwagę na ukształtowanie terenu. Za parkingiem trawnik biegł spadzisto w stronę niewielkiego jeziora. Przy drugim końcu szpitala znajdował się park z zagajnikiem drzew tupelo, zadbanych i eleganckich. Wiła się pomiędzy nimi ścieżka z granitowymi ławeczkami rozstawionymi w strategicznych miejscach.

Esterhazy dotarł na skraj niedużego parku i usiadł na ławce; dla przypadkowego przechodnia wyglądał jak lekarz, który wyszedł ze szpitala, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Z nudów czytał

nazwiska sponsorów wyryte na oparciu ławki.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. To prawda, odszukanie D'Agosty nie było łatwe; w jaki sposób Pendergast spreparował dla niego nową tożsamość wraz z fałszywymi aktami medycznymi, aktem urodzenia i całą resztą? Gdyby nie to, że Judson miał dostęp do prywatnych akt farmaceutycznych, zapewne nigdy nie odnalazłby porucznika. Ostatecznie świńska zastawka wskazała mu właściwy trop. Wiedział, że D'Agosta został przeniesiony do placówki kardiologiczno-rehabilitacyjnej z powodu doznanych obrażeń. Wstępne badania wykazały, że miał poważne uszkodzenia zastawki aorty. Ten łajdak powinien był umrzeć, ale jakimś cudem wciąż kurczowo trzymał się życia. Judson uświadomił sobie, że porucznik wymagał wymiany zastawki. W systemie nie było wielu zamówień na świńskie zastawki. Znajdź zastawkę, a odnajdziesz człowieka. I tak właśnie uczynił. Wtedy też wpadł na pomysł załatwienia dwóch ptaszków za jednym zamachem. Bądź co bądź D'Agosta nie był najważniejszym celem, ale pogrążony w śpiączce i umierający mógł nadal stanowić skuteczną przynętę.

Judson spojrział na zegarek. Wiedział, że Pendergast i Hayward wciąż prowadzili swoje działania z Penumbry, więc nie mogli być dalej niż o kilka godzin stąd. I oczywiście musieli do tej pory zostać powiadomieni o stanie D'Agosty, a co za tym idzie, zapewne gnali teraz na łeb na szyję do szpitala. Zgranie w czasie było idealne. D'Agosta konał właśnie za sprawą zaaplikowanej mu przez Judsona porcji pavulonu, dobranej tak przemyślnie, żeby nie spowodowała natychmiastowej śmierci. Na tym polegał urok pavulonu, dawkę można było regulować w ten sposób, by wydobyć ze śmierci cały jej dramatyzm. Specyfik ten mógł wywoływać symptomy zbliżone do tych, jakie powoduje szok anafilaktyczny, a jego półokres rozkładu w ciele wynosi niecałe trzy godziny. Pendergast i Hayward dotrą na miejsce, aby być świadkami ostatnich chwil przykutego do łóżka policjanta, ale niestety nie

wejdą do budynku szpitala.

Esterhazy wstał i przeszedł ścieżką przez niewielki park. Światło z parkingu nie docierało daleko, większość parku była więc pogrążona w ciemnościach. To byłoby dobre miejsce do oddania strzału, gdyby miał skorzystać z karabinka snajperskiego. Ale rzecz jasna to nie mogłoby się udać. Kiedy tych dwoje tu dotrze, zaparkują możliwie jak najbliżej głównego wejścia, wyskoczą z auta i popędzą do budynku – będą ruchomymi celami. Po nieudanej próbie zamachu przed Penumbra Esterhazy nie chciał zawieść ponownie. Tym razem nie zamierzał ryzykować.

Dlatego miał przy sobie obrzyna.

Zawrócił w stronę wejścia do szpitala. To dawało mu o wiele lepsze możliwości. Zajmie pozycję po prawej stronie od wejścia, pomiędzy latarniami. Niezależnie, gdzie zaparkują Pendergast i Hayward, będą musieli przejść obok niego. Wyjdzie im na spotkanie ubrany w lekarski fartuch, z notesem na podkładce w dłoni, wlepiając wzrok w kartki i pochylając się nad notatkami. Tamci będą zatroskani, zaniepokojeni, a on wygląda jak lekarz, więc nie powinni mieć wobec niego żadnych podejrzeń. Czyż mogło być coś bardziej oczywistego? On pozwoli, by do niego podeszli, tak żeby znaleźli się poza zasięgiem wzroku ludzi przebywających w holu, za podwójnymi przeszklonymi drzwiami głównego wejścia do szpitala. A wtedy on wyjmie spod lekarskiego kitla obrzyna i strzeli z biodra z bliskiej odległości. Gruby śrut dosłownie wypruje im flaki i posieka drobno kręgosłupy. Będzie musiał jedynie przejść sześć metrów dzielących go od samochodu, wsiąść do niego i odjechać.

Mając oczy zamknięte, rozgrywał w myślach całą tę sytuację, odmierzając czas. Piętnaście sekund, może dwadzieścia od początku do końca. Zanim strażnik w recepcji wezwie wsparcie i zdobędzie się na odwagę, by ruszyć tłusty tyłek z fotela, Judson zdąży się ulotnić.

To był dobry plan. Prosty. Bezbłędny. Jego cele będą nieostrożne,

bezbronnie, odsłonięte. Nawet legendarna zimna krew Pendergasta na pewno się wzburzy. Bez wątpienia agent obwinał się o stan D'Agosty, a teraz jego przyjaciel umierał.

Jedyne zagrożenie, lecz niewielkie, pojawiłoby się, gdyby ktoś go zagadnął lub próbował wylegitymować, zanim przystąpi do działania. To jednak wydawało się mało prawdopodobne. Drogi prywatny szpital był na tyle duży, że nikt nawet nie spojrzał na niego dwa razy, kiedy wszedł do środka i machnął swoją plaketką. Udał się wprost do pokoju D'Agosty i zastał porucznika śpiącego po operacji, nafaszerowanego środkami przeciwbólowymi. Przed drzwiami nie było strażnika, najwyraźniej uznano, że skutecznie udało się ukryć prawdziwą tożsamość pacjenta. Judson musiał przyznać, że w tej kwestii spisali się naprawdę nieźle, wszystkie papiery były w porządku, cały personel sądził, że ma do czynienia z Tonym Spadą z Flushing w Queens.

Tyle tylko że był on jedynym pacjentem w całym regionie wymagającym wymiany zastawki aorty na świńską za czterdzieści tysięcy dolarów.

Judson wbił strzykawkę z pavulonem wysoko w rurkę kroplówki. Zanim ogłoszono kod alarmowy, był już w innej części szpitala. Nikt go nie zatrzymał ani nawet nie zapytał, dokąd się udaje i po co. Ponieważ był z zawodu lekarzem, doskonale wiedział, jak powinien wyglądać, jak ma się zachowywać i co mówić w razie konieczności.

Spojrzał na zegarek. Następnie poszedł do swojego samochodu. Strzelba połyskiwała łagodnie, leżąc na podłodze przy fotelu pasażera. Judson postanowił, że posiedzi w ciemnościach przez jakiś czas. Następnie ukryje obrzyna pod kitlem lekarskim, wysiądzie z samochodu, zajmie strategiczną pozycję w miejscu pomiędzy latarniami... i będzie czekał, aż zjawią się jego dwa ptaszki.

Hayward zobaczyła szpital na końcu długiego prostego podjazdu:

dwupiętrowy gmach rozświetlający noc, otoczony rozległymi spadzistymi trawnikami, w oknach budynku odbijała się toń pobliskiego stawu. Przyspieszyła; droga nieznacznie opadła w stronę mostu rozciągniętego nad rzeką, po czym znowu się wzniosła. Zbliżając się do celu, Hayward mocno zahamowała, usiłując zapanować nad pojazdem poruszającym się ze znacznie większą prędkością niż dozwolona, następnie pokonała ostatni zakręt przed wjazdem na parking, aż opony zapiszczały łagodnie na wilgotnym od rosy asfalcie.

Zatrzymała się na najbliższym wolnym miejscu na parkingu, otworzyła energicznie drzwiczki i wyskoczyła z samochodu. Przebiegła przez parking w stronę zadaszonego głównego wejścia do budynku szpitala. W okamgnieniu dostrzegła lekarza stojącego nieco z boku, przy wejściu, pomiędzy splechawkami światła. Trzymał w dłoni notes na podkładce. Wciąż miał na twarzy maseczkę chirurgiczną – musiał przyjść tu prosto z sali operacyjnej. Z chirurgii.

– Kapitan Hayward? – rzucił mężczyzna.

Skręciła w jego stronę, zaniepokojona, że czekał tu właśnie na nią.

– Tak. Co z nim?

– Wyjdzie z tego – usłyszała odpowiedź przytłumioną nieco przez materiał maseczki.

Lekarz jakby od niechcienia opuścił trzymany w dłoni notes na podkładce do boku, a drugą ręką sięgnął pod połą białego kitla.

– Dzięki Bogu... – wyszeptała i w tej samej chwili zobaczyła strzelbę.

Nowy Jork

Doktor John Felder wspiał się po szerokich kamiennych schodach wiodących do głównej filii Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Za nim rozlegał się drażniący chór klaksonów i silników Diesla. Przystanął na chwilę pomiędzy dużymi kamiennymi lwami: Cierpliwością i Męstwem, by spojrzeć na zegarek i poprawić ciężką szarą kopertę, którą trzymał pod pachą. Następnie podszedł do mosiężnych drzwi u szczytu schodów.

– Bardzo mi przykro – rzekł stojący przed nim strażnik. – Dziś biblioteka nieczynna.

Felder wyjął dokumenty oraz papiery uwierzytelniające i pokazał je strażnikowi.

– Dobrze, oczywiście, proszę pana – powiedział strażnik, usłużnie schodząc mu z drogi.

– Złożyłem zamówienie na pewne materiały – oznajmił Felder. – Powiedziano mi, że są gotowe do przejrzania.

– Może pan spytać o nie w Dziale Analiz Ogólnych – powiedział strażnik. – Pokój trzysta piętnaście.

– Dziękuję.

Jego buty zastukały o posadzkę, gdy przechodził przez szeroki, rozbrzmiewający echem hol główny. Była prawie ósma wieczorem i nie było tam nikogo prócz drugiego strażnika siedzącego

w recepcji. Mężczyzna sprawdził jego dokumenty i papiery uwierzytelniające, po czym wskazał ręką w stronę krętych marmurowych schodów. Felder powoli, w zamyśleniu wszedł po nich. Gdy dotarł na drugie piętro, skierował się korytarzem ku drzwiom oznaczonym numerem 315.

Nazwa „pokój” w tym wypadku nie była adekwatna. Pomieszczenie czytelni głównej o długości dwóch przecznic wznosiło się na ponad piętnaście metrów ku rokokowo zdobionemu sklepieniu z freskami. Wytworne kandelabry zwieszały się nad, zdawałoby się, niemającymi końca rzędami dębowych stolików, wciąż zaopatrzonych w oryginalne spiżowe lampki. Tu i ówdzie przy stolikach siedzieli inni badacze mający zezwolenie na pobyt w czytelni po godzinach, ślęczący nad książkami albo stukający w klawiatury swoich laptopów. Regały wzdłuż ścian uginały się od książek, lecz była to skromna reprezentacja zasobów biblioteki: na podziemnych poziomach, tuż pod stopami Feldera, i w innych sektorach, pod zielonymi terenami pobliskiego Parku Bryanta, zgromadzono jeszcze sześć milionów innych woluminów.

Felder jednak nie przyszedł tu, by zajrzeć do książek. Interesował go równie bogaty zbiór materiałów badawczych z dziedziny genealogii.

Podszedł do stanowiska zgłoszeniowego znajdującego się w połowie długości sali; biurko było wykonane z misternie rzeźbionego drewna i miało rozmiary wielkiej przyczepy kempingowej. Po krótkiej szepowanej wymianie zdań w jego stronę podtoczono wózek biblioteczny pełen rejestrów i książek. Felder podjechał z nim do najbliższego stolika, po czym zajął miejsce i na polerowany drewniany blat zaczął wykladać materiały. Były pociemniałe i pożółkłe ze starości, ale poza tym nienagannie utrzymane i czyste. Różne dokumenty i rejestry miały jedną cechę wspólną: dotyczyły okresu od 1870 do 1880 roku i dokumentowały wydarzenia rozgrywające się na terenie Manhattanu, gdzie dorastała, jak twierdziła, Constance Greene.

Od czasu posiedzenia sądu Felderowi nie dawała spokoju historia tej młodej kobiety.

Oczywiście był to nonsens – stek bzdur, majaczenia osoby, która zupełnie utraciła kontakt z rzeczywistością. Klasyczny przypadek urojeń: bliżej nieokreślonych zaburzeń psychopatycznych.

Mimo to Constance Greene nie sprawiała wrażenia osoby, która do reszty utraciła kontakt z rzeczywistością. Było w niej coś, co go zastanawiało – albo raczej intrygowało.

Rzeczywiście urodziłam się przy Water Street, w latach siedemdziesiątych, ale w dziewiętnastym, a nie w dwudziestym wieku. Wszystkie niezbędne informacje można znaleźć w miejskim archiwum przy Centre Street oraz w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Wiem o tym, bo sama widziałam te akta.

Czy w ten sposób podsuwała im jakieś wskazówki: strzępy informacji, które mogły wyjaśnić tę zagadkę? A może było to wołanie o pomoc? Tylko skrupulatne przejrzenie akt mogło dać odpowiedź na te pytania. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego w ogóle to robił. Jego udział w tej sprawie dobiegł końca, a przecież jest człowiekiem zajęтым, prowadzi dochodową praktykę prywatną. Mimo to nie mógł się oprzeć ciekawości.

Godzinę później Felder wyprostował się na krześle i wziął głęboki oddech. Wśród stert pożółkłych dokumentów natrafił na wzmiankę, zgodnie z którą poszukiwana przez niego rodzina rzeczywiście zamieszkiwała w domu przy Water Street 16.

Pozostawił dokumenty na stole, wstał i zszedł do Działu Badań Genealogicznych na parterze. Poszukiwania w księgach wieczystych i rejestrze służby wojskowej niczego nie dały, podobnie jak wyniki spisu ludności w Stanach z 1880 roku, ale w spisie z 1870 roku Horace Greene figurował jako mieszkaniec hrabstwa Putnam w stanie Nowy Jork. Przejrzenie rejestrów podatkowych hrabstwa Putnam z poprzednich lat dało Felderowi kilka kolejnych wskazówek.

Powoli wrócił na górę i usiadł przy stoliku. Teraz ostrożnie

otworzył przyniesioną szarą kopertę i rozłożył na blacie jej zawartość, pozyskaną, nie bez trudu, z archiwów urzędu miejskiego.

Czego się do tej pory dowiedział?

W 1870 roku Horace Greene był farmerem w Carmel w stanie Nowy Jork. Żona Chastity Greene, jedna córka Mary, lat osiem.

W 1874 Horace Greene mieszkał na Dolnym Manhattanie przy Water Street 16 i pracował jako robotnik portowy. Teraz miał troje dzieci: Mary, lat dwanaście, Josepha, trzy lata, i roczną Constance.

W 1878 roku nowojorski wydział zdrowia wystawił akty zgonu Horace'a i Chastity Greene'ów. W obu wypadkach jako przyczynę śmierci podano gruźlicę. Pozostało zatem troje dzieci – sierot – obecnie w wieku szesnastu, siedmiu i pięciu lat. W 1878 roku w archiwach policji odnotowano, że Mary Greene została oskarżona o „przechadzanie się po ulicy”, czyli innymi słowy o prostytutkę. Rejestry hrabstwa wykazały, iż zeznała ona, że próbowała znaleźć pracę jako pracznica i szwaczka, ale zarobki okazały się niewystarczające do utrzymania jej i dwójki rodzeństwa. Akta opieki społecznej z tego samego roku zawierały notatkę, że Mary Greene została wysłana do misji Five Points na czas nieokreślony. Innych informacji nie było, jakby dziewczyna zapadła się pod ziemię.

Kolejny raport policyjny z 1880 roku odnotował incydent, w którym niejaki Castor McGillicutty pobił Josepha Greene'a, lat 10, na śmierć, gdyż przyłapał chłopaka, jak ten próbował go okraść. Wyrok: dziesięć dolarów grzywny i sześćdziesiąt dni ciężkich robót w The Tombs, później złagodzone.

I to już wszystko. Ostatnia – i jedyna – wzmianka o Constance Greene pojawiła się w spisie ludności z 1874 roku.

Felder schował dokumenty do teczki i zamknął ją z westchnieniem. Ta historia i tak była dostatecznie przygnębiająca. Wydawało się oczywiste, że kobieta nazywająca siebie Constance Greene upatrzyła sobie tę konkretną historię

rodzinną – i tę konkretną informację – by na jej podstawie stworzyć osnowę swoich dziwacznych urojeń. Ale dlaczego? Dlaczego spośród niezliczonych milionów nowojorskich rodzin, z których wiele mogło poszczycić się ciekawszymi, barwniejszymi historiami, wybrała akurat tę? Czy to mogli być jej przodkowie? Jednak wyglądało na to, że historia rodziny kończyła się na tym pokoleniu. Felderowi nie udało się odkryć żadnych śladów pozwalających przypuszczać, że choćby jeden członek rodziny Greene'ów żył dłużej niż do 1880 roku.

Podniósł się z krzesła z kolejnym westchnieniem i podszedł do stanowiska przyjmowania zamówień, gdyż poprosił o kilkadziesiąt numerów lokalnych dzienników ukazujących się na Manhattanie w końcu lat 70. XIX wieku. Przeglądał je na chybił trafił, lustrując wzrokiem artykuły, notatki i reklamy. Było to jak porywanie się z motyką na słońce. Nie wiedział, czego szuka, ba, nie wiedział nawet, po co w ogóle to robi. Co takiego go zafrapowało w Constance Greene i w jej stanie? Dlaczego ta kobieta budziła w nim takie emocje? Przecież nie...

I nagle, wertując egzemplarz wydawanego w Five Points brukowca „New York Daily Inquirer”, znieruchomiał. Na jednej ze stron napotkał miedzioryt zatytułowany *Zabawy dzieci ulicy*. Ilustracja przedstawiała rząd zaniedbanych czynszówek w fatalnym stanie. Na ulicy przed domami bawiły się umorusane dzieciaki, grając w piłkę. Nieco z boku stała samotna chuda dziewczynka z miotłą w dłoni i przyglądała się im. Była strasznie wychudzona, wręcz wymizerowana i w porównaniu z innymi dziećmi na jej twarzy malowało się przygnębienie graniczące z przerażeniem. Jednak tym, co wywołało tak gwałtowną reakcję Feldera, było oblicze tej dziewczyny. Była to wypisz, wymaluj Constance Greene.

Felder jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miedziorytową ilustrację. A potem bardzo wolno zamknął gazetę, na jego twarzy zaś pojawił się wyraz głębokiej zadumy

i nieskrywanego zadziwienia.

Caltrop, Luizjana

Kiedy rozległa się seria rozdzierających strzałów, a po niej ryk obrzyna, Hayward uskoczyła w bok. Wylądowała ciężko na ziemi, czując podmuch chmury grubych śrucin przelatujących tuż obok niej. Przeturlała się i wyszarpnęła pistolet z kabury. Jednak fałszywy lekarz już się obrócił i pognął w stronę parkingu; biały kitel unosił się za nim jak peleryna. Usłyszała kolejne strzały i pisk opon, gdy ekskluzywny rolls-royce przemknął przez parking; opony limuzyny dymiły. Ujrzała Pendergasta wychylającego się przez okno od strony kierowcy i strzelającego z pistoletu jak galopujący na koniu kowboj prujący z rewolweru.

Przy wtórze pisku opon rolls zaczął hamować. Zanim jeszcze stanął, Pendergast otworzył drzwiczki, wyskoczył z limuzyny i podbiegł do Hayward.

– Nic mi nie jest – powiedziała, podnosząc się niezdarnie. – Nic mi nie jest, do cholery! Uwaga... on ucieka!

Jeszcze kiedy to mówiła, usłyszała na parkingu uruchamiany silnik niewidocznego auta. Samochód ruszył gwałtownie, a błysk czerwonych świateł stopu rozpląnął się na podjeździe w oddali. Agent pomógł wstać policjantce.

– Nie ma czasu. Za mną.

Przeszedł przez podwójne drzwi i wraz z Hayward pobiegł przez

hol, w którym narastała panika: strażnik za biurkiem krzychał do telefonu, recepcjonistka i kilka pracownic leżały płasko na podłodze. Ignorując je, Pendergast minął następne podwójne drzwi i dopadł pierwszego napotkanego lekarza.

– Kod alarmowy w trzysta dwadzieścia trzy – powiedział, pokazując legitymację. – To usiłowanie morderstwa. Pacjentowi podano jakiś specyfik.

Doktor, prawie nie mrugając, odparł:

– Rozumiem. Chodźmy.

Cała trójka wbiegła schodami na drugie piętro, gdzie znajdował się pokój D'Agosty.

Hayward ujrzała spory ruch: grupa pielęgniarek i lekarzy pracowała sprawnie i niemal w milczeniu przy zestawie maszyn. Mrugały światełka i słychać było cichy sygnał alarmowy. D'Agosta leżał w bezruchu na łóżku.

Doktor spokojnie wszedł do pokoju.

– Posłuchajcie, temu pacjentowi wstrzyknięto jakąś substancję, która ma go zabić.

Pielęgniarka uniosła głowę.

– Ale skąd, u licha...?

Lekarz uciszył ją pełnym zniecierpliwienia ruchem ręki.

– Pytanie brzmi: co to może być za substancja, biorąc pod uwagę symptomy, jakie wystąpiły u pacjenta?

Rozległ się gwar głosów, dyskusja była ząarta, słychać było szelest sprawdzanych kart z danymi pacjenta. Lekarz odwrócił się do Pendergasta i Hayward.

– Nic więcej nie mogą państwo zrobić. Proszę zaczekać na zewnątrz.

– Chciałabym zostać tutaj – powiedziała Hayward.

– To wykluczone. Przykro mi.

Gdy Hayward odwróciła się do wyjścia, rozległ się kolejny sygnał alarmowy, a na monitorze EKG pojawiła się płaska linia.

– O Boże! – wybuchnęła. – Proszę pozwolić mi tu zostać, błagam,

blagam...

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem, a Pendergast odprowadził ją w głąb korytarza.

Poczekalnia była nieduża i sterylna, z plastikowymi krzesłami i jedynym oknem, za którym królowała noc. Hayward stała przy nim, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w czarny czworokąt. Jej umysł pracował jak szalony, ale bez rezultatów, jak wadliwy silnik. W ustach czuła suchość, trzęsły się jej ręce. Po jej policzku ściekła łza – łza frustracji i nieokiełznanej wściekłości.

Poczuła na ramieniu dłoń Pendergasta. Odtrąciła ją i cofnęła się o krok.

– Pani kapitan? – rozległ się cichy głos. – Czy mogę pani przypomnieć, że doszło do usiłowania zabójstwa. Porucznika D’Agosty. I pani.

Chłodny głos przebił się przez mgłę jej gniewu. Pokręciła głową.

– Proszę się do mnie nie zbliżać.

– Musi pani zacząć myśleć o tej sprawie jak policjantka. Potrzebuję pani pomocy. I to natychmiast.

– Nie obchodzą mnie już pańskie problemy.

– Niestety to już nie są tylko moje problemy.

Przełknęła ślinę, wpatrując się w mrok, i zacisnęła dłonie w pięści.

– Jeśli on umrze...

Chłodny, niemal hipnotyczny głos mówił dalej:

– To nie zależy od nas. Niech pani posłucha mnie uważnie. Chcę, żeby przez chwilę była pani kapitan Hayward, a nie Laurą Hayward. Musimy przedyskutować pewną ważną sprawę. I to zaraz...

Zamknęła oczy. Czuła się odrętwiała do szpiku kości. Nie miała nawet siły, żeby go zbyć.

– Wygląda na to – ciągnął Pendergast – że zabójca, z którym mamy do czynienia, jest również lekarzem.

Zamknęła oczy. Była tym wszystkim zmęczona, wyczerpana, udręczona życiem. Gdyby Vinnie umarł... Odegnęła od siebie tę myśl.

– Zostały podjęte szczególne procedury, aby utrzymać miejsce pobytu Vincenta w tajemnicy. Najwyraźniej niedoszły zabójca ma dostęp do kart pacjentów, zapasów leków i archiwów farmaceutycznych. Możliwości są tylko dwie. Pierwsza jest taka, że ten ktoś był członkiem zespołu opiekującego się Vincentem, ale byłby to nazbyt naciągany zbieg okoliczności; wszystkich dobrano z wyjątkową starannością i dokładnie sprawdzono. Druga możliwość – i myślę, że właśnie ona wchodzi tu w grę – to taka, że Vincent został wysledzony poprzez świńską zastawkę, którą wszczepiono mu podczas niedawnej operacji. Zamachowiec mógł być nawet kardiochirurgiem.

Kiedy Hayward nie odpowiedziała, Pendergast mówił dalej:

– Zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza? Że Vincenta użyto jako przynęty. Sprawca celowo wprowadził pacjenta w stan zabójczej śpiączki, wiedząc, że w te pędy pospieszymy do szpitala. Spodziewał się, że przyjedziemy razem. Ocaliło nas tylko to, że dotarliśmy tu osobno.

Wciąż stała odwrócona plecami, ukrywając twarz. Przynęta. Vinnie wykorzystany jako przynęta.

Po krótkiej chwili Pendergast mówił dalej:

– W chwili obecnej nic więcej nie możemy zrobić. Ale chyba dokonałem przełomowego odkrycia. Kiedy się rozdzieliliśmy, zbadałem sprawę samobójstwa June Brodie i stwierdziłem kilka ciekawych zbiegów okoliczności. Jak wiemy, samobójstwo miało miejsce zaledwie tydzień po śmierci Slade'a w pożarze. Mniej więcej miesiąc później mąż June poinformował swoich sąsiadów, że wyrusza w długą podróż. Wyjechał i od tej pory słuch po nim zaginął. Dom zamknięto na głucho i ostatecznie sprzedano. Próbowałem go wysledzić, ale okazało się, że trop kompletnie ostygł, aczkolwiek nie natrafiłem na żadne dowody świadczące

o tym, że wyjechał z kraju.

Hayward mimowolnie się odwróciła.

– June była atrakcyjną kobietą. I wygląda na to, że miała długoletni romans ze Slade'em.

Hayward w końcu się odezwała:

– Ta sprawa jest prosta – ucieła. – To nie było samobójstwo. Mąż zamordował żonę i uciekł.

– Przeciwno tej hipotezie przeczą dwa dowody. Pierwszym jest list samobójczyni.

– Mógł zmusić ją, aby go napisała.

– Jak pani wie, pismo w liście nie zdradza oznak stresu czy silniejszego napięcia. I jest coś jeszcze. Niedługo przed swoim samobójstwem u June Brodie zdiagnozowano wyjątkowo szybko postępującą odmianę stwardnienia zanikowego bocznego, chorobę Lou Gehriga. Ta dolegliwość zabiłaby ją dość szybko.

Hayward zamyśliła się.

– Ale choroba mogła być powodem popełnienia samobójstwa.

– Morderstwo – mruknął Pendergast. – Samobójstwo. Możliwe, że nie chodzi ani o jedno, ani o drugie.

Hayward zignorowała typowy dla agenta komentarz.

– Pański prywatny łaps, Hudson, został zabity, kiedy próbował dowiedzieć się czegoś więcej o June Brodie. To może oznaczać, że ktoś, kto stoi za tym wszystkim, nie chce, abyśmy podążali jej tropem. A zatem June Brodie jest dla nas osobą o kluczowym znaczeniu.

Pendergast pokiwał głową.

– W istocie.

– Co jeszcze o niej wiemy?

– O jej rodzinie nic ciekawego. Brodie byli niegdyś zamożni, dorobili się na ropie, ale w latach sześćdziesiątych ropa się skończyła i zaczęły się dla nich trudne czasy. June dorastała w niedostatku, poszła na studia, zrobiła dyplom pielęgniarki, ale pracowała w zawodzie tylko kilka lat. Może okazało się, że to nie

był zawód dla niej, a może wolała wyższe zarobki jako osobista sekretarka prezesa. Tak czy owak objęła posadę w Longitude, gdzie pracowała przez resztę życia. Poślubiła licealną miłość, ale najwyraźniej wkrótce przeniosła swoje uczucia na Charlesa Slade'a.

– A co z mężem?

– Albo o niczym nie wiedział, albo się z tym pogodził. – Pendergast wyjął z wewnętrznej kieszeni szarą teczkę i podał Hayward. – Proszę spojrzeć.

Otworzyła ją, by zobaczyć pożółkłe wycinki z gazet powkładane do foliowych koszulek, a także mapę.

– Co to wszystko ma być?

– Powiedziała pani, że June Brodie ma kluczowe znaczenie. Zgadzam się. Uważam jednak, że jest tu coś, co ma również kluczowe znaczenie – geografia terenu.

– Geografia terenu?

– A konkretnie chodzi o Czarne Bagna. – Pendergast ruchem głowy wskazał na wycinki.

Hayward przejrzała je pospiesznie. Były to głównie informacje z lokalnych artykułów dotyczących legend i zabobonów związanych z Czarnymi Bagnami: opowieści o tajemniczych światłach widywanych nocą, o zaginionych rybakach, ukrytych skarbach i duchach. Słyszała wiele tego rodzaju plotek, które rozrastały się w zastraszającym tempie. Bagna, jedne z największych na Południu, słynęły z takich historii.

– Proszę spojrzeć – rzekł Pendergast, wodząc palcem po mapie. – Po jednej stronie Czarnych Bagnien ma pani Longitude Pharmaceuticals. Po drugiej Sunflower i dom rodziny Doane'ów. Rodzina Brodiech mieszkała pod Malfourche, niewielkim miasteczkiem nad jeziorem przy wschodnim krańcu trzęsawisk.

– I?

Pendergast lekko postukał palcem w mapę.

– A dokładnie tu, pośrodku Czarnych Bagnien, ma pani Spanish

Island.

– Co to takiego?

– Rodzina Brodiech była właścicielem obozowiska myśliwskiego pośrodku bagien, zwanego Spanish Island. To wyspa utworzona z naniesionego, spiętrzonego, utwardzonego mułu. Sam obóz wzniesiono na palach z krezotu i drewnianych platformach. Obóz zbankrutował w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Został wówczas zamknięty i od tamtej pory już go nie otworzono.

Hayward spojrziała na niego.

– No i?

– Proszę przyjrzeć się tym historiom. Wszystkie pochodzą z lokalnych gazet z niedużych miasteczek rozlokowanych na obrzeżu bagien: Sunflower, Itta Bena, a zwłaszcza Malfourche. Po raz pierwszy zwróciłem uwagę na te opowieści, kiedy przeglądałem archiwalne gazety z Sunflower, wtedy jednak nie poświęciłem im większej uwagi. Jeśli jednak nanieść miejsca opisywanych tu zdarzeń na mapę, okaże się, że wszystkie ogniskują się w okolicy Spanish Island, w samym sercu bagien.

– Ale... przecież to tylko legendy. Barwne legendy.

– Nie ma dymu bez ognia.

Hayward zamknęła teczkę i oddała Pendergastowi.

– To nie policyjne dochodzenie, ale zwykłe gdybanie. Nie ma pan żadnego niezbitego dowodu wskazującego, że Spanish Island jest miejscem ściśle powiązaniem z tą sprawą.

W oczach Pendergasta pojawiły się drobne iskierki.

– Pięć lat temu grupa zielonych podjęła się zadania usunięcia nielegalnego wysypiska śmieci na bagnach za Malfourche. Na Południu jest wiele takich miejsc, gdzie ludzie porzucają zdezelowane auta, stare lodówki, wszystko, co może zatonać w trzęsawisku. Jedną z rzeczy, jakie wydobyli z grzęzawiska, był samochód. Oczywiście spróbowali odnaleźć właściciela, aby nałożyć na niego grzywnę. Nie znaleźli go jednak.

– Do kogo należał samochód?

– Był zarejestrowany na nazwisko Carltona Brodiego, męża June. To był ostatni jego samochód. Powiedziałbym, że właśnie tym samochodem odjechał, kiedy zgodnie z tym, co zapowiedział sąsiadom i znajomym, udał się w daleką podróż.

Hayward zmarszczyła brwi, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale znów je zamknęła.

– Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju, odkąd zwróciło moją uwagę dziś rano. Pamięta pani to spalone molo, które widzieliśmy w Longitude? Za kompleksem numer sześć?

– Tak, ale...?

– Po co Longitude Pharmaceuticals zbudował molo na skraju Czarnych Bagien?

Hayward zamyśliła się.

– Może powstało, jeszcze zanim w tym miejscu zbudowano zakłady Longitude Pharmaceuticals.

– To możliwe. Ale odniosłem wrażenie, że pochodziło ono z tego samego okresu co kompleks fabryczny korporacji. Nie, pani kapitan, wszystko, a zwłaszcza ta przystań, wskazuje, że kolejnym miejscem, które powinniśmy odwiedzić, jest właśnie Spanish Island.

Drzwi do poczekalni otworzyły się i do pokoju wszedł lekarz. Zaczął mówić, zanim Hayward zdążyła coś powiedzieć.

– Wyjdzie z tego – rzekł mężczyzna, z trudem pohamowując emocje, i widać było, że przepełnia go duma. – Na szczęście w porę się zorientowaliśmy. Podano mu pavulon, silny środek zwiotczający mięśnie. Pewna ilość tego specyfiku zniknęła z magazynu.

Hayward aż zakręciło się w głowie. Przytrzymała się krzesła i powoli usiadła.

– Dzięki Bogu.

Doktor zwrócił się do Pendergasta:

– Nie wiem, jak się pan domyślił, że coś mu wstrzyknięto, ale pańska dedukcja ocaliła pacjentowi życie.

Hayward spojrzała na agenta FBI. Nie zdawała sobie z tego

sprawy.

– Oczywiście wezwaliśmy miejscową policję – ciągnął lekarz. – Będą tu lada chwila.

Pendergast schował teczkę.

– Doskonale. Obawiam się, doktorze, że musimy już iść. To bardzo pilne. Oto moja wizytówka, niech policja skontaktuje się ze mną. I proszę polecić im, aby zorganizowali całodobową ochronę dla tego pacjenta. Wątpię, by zabójca ponowił próbę, ale nigdy nie wiadomo.

– Dobrze, panie Pendergast – powiedział lekarz, biorąc wizytówkę ozdobioną tłoczonym symbolem FBI.

– Nie mamy chwili do stracenia – rzekł Pendergast, odwracając się i zmierzając w stronę drzwi.

– Ale dokąd teraz się wybieramy? – spytała Hayward.

– Jak to dokąd? Na Spanish Island.

Plantacja Penumbra

Starą rezydencję w stylu greckiego odrodzenia spowiała ciemność. Ciężkie chmury przesłoniły nabrzmiały księżyc, a późnozimowy pejzaż przykrył kobierzec nietypowego jak na tę porę roku upału. Nawet bagienne owady zdawały się zbyt rozleniwione i senne, by chciały się odezwać.

Maurice przeszedł bezgłośnie przez parter, zaglądając do mijanych pokoi, gasząc światła, upewniając się, że okna są pozamykane, i wszystko jest w porządku. Zasuważąc zasuwkę w drzwiach frontowych i przekręcając klucz, raz jeszcze rozejrzał się dokoła i mruknął z zadowoleniem, po czym poczłapał w stronę schodów.

Ciszę rozdarł dźwięk telefonu stojącego na stoliku w holu. Maurice spojrzał w tę stronę zaskoczony. Gdy sygnał nie ucichł, służący podszedł i gruzłowatą, pomarszczoną dłonią zdjął słuchawkę z widełek.

– Słucham? – powiedział.

– Maurice? – To był głos Pendergasta. W tle było słycać jakieś dźwięki i szmery przywodzące na myśl szum wiatru.

– Słucham? – powtórzył służący.

– Chciałem cię powiadomić, że nie wrócimy dziś wieczorem do domu. Możesz zamknąć drzwi kuchenne na zasuwę.

– Dobrze, sir.

– Możesz spodziewać się nas jutro pod wieczór. Gdybyśmy mieli większe opóźnienie, dam ci znać.

– Rozumiem. – Maurice przerwał na chwilę. – Dokąd się pan wybiera?

– Do Malfourche. To małe miasteczko na obrzeżu Czarnych Bagien.

– Rozumiem. Życzę bezpiecznej podróży.

– Dziękuję, Maurice. Do zobaczenia jutro.

Połączenie zostało przerwane, a Maurice odłożył słuchawkę na widełki. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w aparat zamysłony. Następnie sięgnął po słuchawkę i wybrał numer.

Telefon odebrano zaledwie po kilku sygnałach.

– Halo? – powiedział Maurice. – Czy to pan Judson?

Głos na drugim końcu łącza odpowiedział twierdząco.

– Mówi Maurice z Plantacji Penumbra. Świetnie, dziękuję. Tak, tak, właśnie dzwonił. Wybiera się na Czarne Bagna. Do miasteczka o nazwie Malfourche. Biorąc pod uwagę, jak bardzo niepokoi się pan o niego, pomyślałem, że chciałby pan to wiedzieć. Nie, nie mówił dlaczego. Tak. Dobrze, proszę pana. Bardzo dziękuję. Dobranoc.

Maurice odłożył słuchawkę, po czym udał się na tyły domu i tak jak mu kazano, zamknął kuchenne drzwi na zasuwę. Rozejrzał się raz jeszcze dokoła, wrócił do głównego holu i wszedł po schodach na piętro. Reszta wieczoru upłynęła spokojnie.

Malfourche, Missisipi

Mike Ventura podpłynął do butwiejącej przystani przed barem i sklepem z przynętami U Małego. Był to krzywy, rozchwierutany drewniany budynek wzniesiony na palach. Ventura słyszał dźwięki muzyki country, pokrzykiwania i wybuchy rehotliwego śmiechu niosące się nad wodą.

Podprowadził płaskodenną łódź motorową do połowu okoni do jednego z wolnych miejsc na przystani, wyłączył silnik, wyskoczył z łódki i zacumował ją. Była północ i U Małego panował tłok, przy przystani stało mnóstwo łodzi, począwszy od mocno obciążonych złowionymi rybami basscatów po tanie tandetne łódki ze sklejki. Stwierdził, że w Malfourche żyło się może i biednie, ale przynajmniej ludzie umieli się dobrze bawić. Oblizał wargi i uznał, że zimne piwo i szklanka jacka daniels'a dobrze mu zrobią na początek, zanim przejdzie do interesów.

Gdy wrócił do środka, hałas i woń panujące w lokalu nieomal go poraziły: dźwięki głośnej muzyki, barwne neonowe reklamy, zapach trocin i wilgoci oraz wód zalewiska uderzających rytmicznie o pale poniżej. Sklepik z przynętami po prawej stronie i bar po lewej znajdowały się we wnętrzu jednej, przypominającej wyglądem stodołę budowli. Z powodu późnej pory w części, gdzie sprzedawano przynęty, światła były już wygaszone, ale i tak można było dostrzec

wielkie lodówki i pojemniki, gdzie przechowywano żywe przynęty, z których sływał przybytek U Małego – dżdżownice, langusty, pijawki i larwy ciem, owady oraz ikrę.

Ventura podszedł do baru i ani się obejrzał, jak sam Mały, barman i właściciel, potężny, wyglądający jak góra tłuszczu człowiek, postawił przed nim z hukiem puszkę coorsa z kawałkiem lodu przywierającym do ścianek, a zaraz potem podano mu podwójnego jacka daniels'a.

Podziękował skinieniem głowy, opróżnił szklanę jednym łykiem i popił piwem. Tego mu było trzeba. Zbyt długo przebywał na bagnach. Sącząc piwo, z coraz większą sympatią rozejrzał się wokoło. Było to jedno z ostatnich miejsc, gdzie nie trzeba było dzielić przestrzeni z czarnuchami, pedziami czy jankesami. Wszyscy tutejsi bywalcy byli biali i nikt nie musiał nic mówić, wszyscy wszystko doskonale wiedzieli, zawsze tak było i będzie, na wieki wieków, amen.

Ścianę za barem zdobiły setki zdjęć, fotografii drwali z siekierami i nowsze, przedstawiające wielkie ryby i łodzie rybackie. Były tu też wypreparowane rybie łby na drewnianych tabliczkach, banknoty dolarowe z autografami oraz fotografie Malfourche z lotu ptaka, pochodzące z czasów, kiedy miasteczko to było tętniącym życiem ośrodkiem, do którego ściągali wszyscy, od drwali i flisaków po łowców aligatorów. Dawno temu, kiedy każdy w tej okolicy miał przyzwoitą łódź i pikapa oraz porządny dom. Zanim połowa bagien została zmieniona w rezerwat przyrody.

Pieprzony rezerwat przyrody.

Ventura dopił piwo i zanim jeszcze zdążył poprosić, już pojawiło się przed nim kolejne wraz z porcyjką jacka daniels'a. Mały dobrze go znał. Ventura zamyślił się nad czekającym go zadaniem. To będzie niezła zabawa, a co więcej, sporo zarobi i sam nie ubrudzi przy tym rąk. Powiódł wzrokiem w stronę licznych, skierowanych przeciwko zielonym hasel przypiętych na ścianach: „Załatw zielonym bilet w jedną stronę do piekła” i „Dokarmiaj zwierzęta –

zieloni najlepszą karmą dla aligatorów” itp. To był z pewnością dobry plan.

Nachylił się nad barem i skinął na właściciela.

– Mały, chciałem coś ogłosić, to ważne. Mógłbyś wyłączyć muzykę?

– Jasne, Mike.

Mały podszedł do urządzenia. Niemal natychmiast w lokalu zrobiło się cicho i wszyscy odwrócili się w stronę baru.

Ventura zsunął się ze stołka i przeszedł na środek baru, a obcasy jego kowbojek załomotały o stare deski.

– Siema, Mike! – zawołał ktoś, po czym rozległy się głośne gwizdy i oklaski.

Ventura zignorował je. Był znaną postacią, dawnym szeryfem hrabstwa, człowiekiem dumnym, ale nie wyniosłym. Z drugiej strony zawsze starał się nie spoufalać za bardzo z wsiokami z Południa i prostakami, zachowując pewien dystans. Oni to szanowali.

Zatknął kciuki za pas i powoli powiódł wzrokiem wokoło. Wszyscy czekali. Nie co dzień Mike Ventura zwracał się do ludzi. To zdumiewające, jak zrobiło się tu cicho. Przepęłniało go to głęboką satysfakcją, uczuciem, które w jego mniemaniu było równoznaczne z szacunkiem i spełnieniem.

– Mamy problem – oznajmił. Odczekał kilka sekund, po czym mówił dalej: – Problem w postaci dwóch osób. To zieloni. Przybywają tu incognito, aby zawłaszczyć tę część Czarnych Bagien. Chcą powiększyć teren rezerwatu na cały obszar Czarnych Bagien oraz Lake End.

Zlustrował wzrokiem twarze bywalców knajpy. Rozległy się szmery, posykiwania i nieartykułowane odgłosy dezaprobaty.

– Lake End? – zawołał ktoś. – Takiego wała!

– Otóż to. Koniec z połowami okoni. Koniec z polowaniami. Nic. Tylko rezerwat, żeby skurwiele z Towarzystwa Miłośników Dzikiej Przyrody mogli przyplýwać tu na swoich kajakach i obserwować

ptaki – wycedził gniewnie Mike.

Rozległ się głośny chór pohukiwań i gwizdów, po czym Ventura uniósł rękę, aby uciszyć zebranych.

– Najpierw zlikwidowali wyrąb drzew. Potem zawłaszczyli połowę Czarnych Bagien. Teraz chcą zagarnąć resztę wraz z jeziorem. Nic już nie zostanie. Pamiętajcie ostatni raz, kiedy poszliśmy im na rękę? Chodziliśmy na wiece, protestowaliśmy, pisaliśmy listy? Pamiętajcie to wszystko? I co się stało?

Kolejne odgłosy dezaprobaty.

– Otóż to. Kazali nam się pochylić i sami wiecie co!

Ryk. Ludzie zerwali się z miejsc. Ventura znów uniósł rękę.

– A teraz posłuchajcie. Oni zjawią się tu jutro. Nie wiem o której, ale raczej dość wcześnie. Wysoki chudy facet w czarnym garniturze i kobieta. Wybierają się na bagna na rekonesans.

– Reko-nesans? – powtórzył ktoś.

– Żeby się rozejrzeć. Jak to naukowcy na swój sposób. Tylko ich dwoje. Ale zjadą tu pod przykrywką, incognito, bo te tchórzliwe dranie nie odważyłyby się przed nami ujawnić.

Tym razem odpowiedzią była głucha cisza.

– Otóż to. Nie wiem jak wy, panowie, ale ja skończyłem już z pisaniem listów. Skończyłem z chodzeniem na wiece. Mam dość wysłuchiwania tych jankeskich cieniasów mówiących mi, co mam robić z moimi rybami, drewnem i ziemią.

Nagle rozległo się nowe crescendo okrzyków. Zrozumieli, do czego on zmierza. Ventura sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął plik banknotów i pomachał nim.

– Nigdy nie liczyłem, że ktokolwiek mógłby pracować za darmo. – Cisnął pieniądze na brudny stół. – To zaliczka, po wszystkim dostaniecie więcej. Znacie to powiedzenie: jak coś zatonie w bagnie, to już na zawsze. Chcę, żebyście wszyscy zajęli się rozwiązaniem tego problemu. Zróbcie to dla siebie. Bo jeżeli wy tego nie zrobicie, nikt inny was nie wyręczy i równie dobrze możecie już teraz pożegnać się z tym, co zostało z Malfourche, sprzedać wasze

strzelby, oddać wasze domy, spakować manatki do samochodów i przeprowadzić się do Bostonu i San Francisco, gdzie przyjdzie wam mieszkać z ciotami. Tego właśnie chcecie?

Ryk dezaprobaty, kolejni ludzie zrywali się z miejsc. Jeden ze stolików z hukiem przewrócił się na podłogę.

– To jak, będziecie gotowi na przyjazd tych zielonych? Zajmijcie się nimi. Zróbcie to jak należy. Pamiętajcie: jak coś zatonie w bagnie, to już na zawsze. – Rozejrzał się dokoła, uniósł rękę i pochylił głowę. – Dziękuję wam, przyjaciele, i życzę dobrej nocy.

W knajpie zawrzało, dokładnie tak, jak się tego spodziewał Ventura. Zignorował to, podszedł do drzwi i wyszedł na przystań w parną noc. Słyszał dobiegające z baru odgłosy pandemonium, gniewne słowa, przekleństwa i ponownie podkręconą muzykę. Wiedział, że kiedy jutro zjawi się tu tych dwoje, co najmniej paru chłopaków wytrzeźwieje na tyle, by zrobili to, co było konieczne. Mały tego dopilnuje.

Otworzył klapkę komórki i wybrał numer.

– Judson? Właśnie rozwiązałem nasz mały problem.

Hayward wyszła na skąpany słońcem metalowy balkon, by ujrzeć Pendergasta na dziedzińcu poniżej pakującego walizkę do bagażnika rollsa. Jak na początek marca było wyjątkowo ciepło, promienie słońca piekły ją w kark, jakby ktoś trzymał tuż nad jej skórą zapaloną lampę, i Hayward przez chwilę zastanawiała się, czy lata mieszkania na Północy za bardzo jej nie zmiękczyły. Zniosła torbę podróżną po schodach i wrzuciła do bagażnika obok walizki Pendergasta.

Wnętrze rolls-royce'a przepełnił chłód i świeżość, kremowa tapicerka była niemal zimna. Do Malfourche było stąd ponad piętnaście kilometrów, ale w dogorywającej miejscinie zabrakło motelu – ten znajdował się najbliżej.

– Poszperałem trochę, by zebrać informacje na temat Czarnych Bagien – powiedział Pendergast, gdy wyjechali na wąską autostradę. – To jedne z największych i najdzikszych bagien na Południu. Zajmują około dwudziestu ośmiu tysięcy hektarów powierzchni i od wschodu są połączone z jeziorem znanym jako Lake End, od zachodu zaś z wieloma zalewiskami i kanałami.

Hayward trudno było się skupić. Wiedziała na temat tych bagien więcej, niżby chciała, a koszarne zdarzenia minionego wieczoru zaćmiły jej umysł.

– Nasz punkt docelowy, Malfourche, leży we wschodniej części niewielkiego półwyspu. Malfourche znaczy po francusku „złe

rozwidlenie”, a nazwę tę nadano z powodu zalewiska, nad którym położone jest miasteczko: dawni francuscy osadnicy uznali, że napotkana przez nich odnoga jeziora wygląda jak ujście rzeki. Na tych bagnach znajdował się niegdyś jeden z największych lasów cyprysowych w kraju. Około sześćdziesięciu procent drzew wycięto przed tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym rokiem, kiedy to zachodnia część moczarów została uznana za ostoję dzikiej zwierzyny, a później za rezerwat przyrody z zakazem poruszania się po tamtejszych wodach łodzi motorowych.

– Skąd pan to wszystko wie? – spytała Hayward.

– To niesamowite, że w tych czasach nawet w najgorszych motelach mają wi-fi.

– Rozumiem.

Czy on nigdy nie sypia?

– Malfourche to dogorywające miasto – ciągnął agent. – Strata przemysłu drzewnego mocno je dotknęła, a stworzenie rezerwatu doprowadziło do upadku interesów związanych z rybołówstwem i myślistwem. Ledwie wiążą koniec z końcem.

– Może zatem nie powinniśmy jechać rolls-royce’em, jeżeli chcemy nakłonić ludzi do mówienia.

– Wręcz przeciwnie – mruknął Pendergast.

Przy skrzyżowaniu nie było żadnych tablic i musieli się zatrzymać, by zapytać o drogę. Niebawem minęli kilka rozsypujących się drewnianych domów z zapadającymi się dachami; na podwórzach przed nimi stały stare auta i walał się złom. Przejechali obok bielonego wapnem kościółka i jakichś ruder, aż w końcu znaleźli się na zapuszczonej głównej ulicy, skąpanej w słońcu, biegnącej do przystani nad zarośniętym trzcinami jeziorem. Wszystkie sklepiki były zamknięte na głucho, a upstrzone przez muchy szyby zaklejone gazetami lub zamalowane białą farbą. Na wielu z nich widniał napis: „Do wynajęcia”.

– Pendergast – powiedziała nagle Hayward – czegoś nie rozumiem.

– Czego?

– To jakieś szaleństwo. Mam na myśli zamach na Vinniego i próbę zabicia mnie. Zamordowano Blacklettera, Blasta i Bóg wie kogo jeszcze. Od dawna pracuję w policji i wiem, po prostu wiem, że istnieją łatwiejsze sposoby na załatwianie tego typu spraw. To się wydaje aż nazbyt ekstremalne. Cała ta sprawa ma dwanaście lat. Usiłując zabić policjantów, ci ludzie tylko zwracają na siebie większą uwagę.

– Ma pani rację – przyznał Pendergast. – To jest ekstremalne. Vincent poczynił podobną uwagę, jeżeli chodzi o lwa. Ktoś musiał zadać sobie naprawdę dużo trudu. To coś sugeruje. I w moim odczuciu jest to dość wieloznaczne. A jak pani uważa?

Zatrzymał limuzynę na niewielkim parkingu przy przystani. Wyszli na słońce i rozejrzeli się. Grupka skromnie ubranych mężczyzn na przystani odwróciła się i przyglądała im się z uwagą. Hayward bardziej niż kiedykolwiek miała świadomość, czym tutaj przyjechali, i ponownie zakwestionowała upór Pendergasta, aby jadąc na przesłuchanie, korzystać z tak eleganckiego i drogiego auta. Mimo to zabieranie dwóch samochodów tutaj miało się z celem, a ona zostawiła wynajętego buicka przed szpitalem. Pendergast zapiął czarną marynarkę i rozejrzał się, jak zawsze, z niezmałconym spokojem.

– Czy zejdziemy na przystań i pogawędzimy z tymi dżentelmenami?

Hayward wzruszyła ramionami.

– Nie wyglądają na szczególnie rozmownych.

– Rozmownych nie, ale komunikatywnych być może.

Pendergast ruszył rażno przed siebie, wyprostowany, z uniesioną głową. Mężczyźni przyglądali się podchodzącym spod półprzymkniętych powiek.

– Dzień dobry panom – rzekł Pendergast z melodyjnym nowoorleańskim akcentem i lekko się uklonił.

Cisza. Niepokój Hayward narastał. Atmosfera wrogości była tak

gęsta, że nieomal można ją było kroić nożem.

– Moja współpracownica i ja chcieliśmy się wybrać na małą wycieczkę. Jesteśmy miłośnikami ptaków.

– Miłośnikami ptaków – powtórzył mężczyzna, po czym odwrócił się i powtórzył to raz jeszcze: – Miłośnikami ptaków.

Tamci wybuchnęli śmiechem.

Hayward skrzywiła się. To będzie kompletna porażka. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i odwróciła się. Z wielkiego jak stodoła drewnianego budynku na kreozotowych palach, wznoszącego się przy przystani, wyłoniła się kolejna grupa ludzi. Na ścianie budynku widniała tablica z odręcznie wykonanym napisem „Bar i sklep z przynętami U Małego”. Na samym końcu wyszedł wyjątkowo otyły mężczyzna. Głowę o kształcie kuli miał ogoloną na łyso i był ubrany w kusy podkoszulek z trudem opinający jego wielki brzuch. Łapska, grube jak szynki i za sprawą słońca o tym samym kolorze, opuścił wzdłuż boków. Przecisnął się przez tłum i ruszył przez przystań, by zatrzymać się przed Pendergastem; ewidentnie pełnił wśród tych ludzi funkcję przywódcy.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał Pendergast.

– Mówią na mnie Mały – odparł tamten, taksując Pendergasta i Hayward wzrokiem. Oczy miał wąskie jak szparki. Nie wyciągnął ręki na powitanie.

Mały, pomyślała Hayward. Można było się spodziewać.

– Nazywam się Pendergast, a to moja współpracownica Hayward. A teraz, panie Mały, jak już mówiłem tamtym dżentelmenom, chcemy się wybrać na wycieczkę, żeby poobserwować ptaki. Szukamy rzadkiego rybołowa czerwonoobrzuchego botolpha, który jest na szczycie naszej listy ptaków do wypatrzenia. Jak nam powiedziano, można go znaleźć w głębi tych bagien.

– Tak?

– Poza tym mieliśmy nadzieję porozmawiać z kimś, kto zna te bagna, i mógłby nam doradzać.

Mały postąpił naprzód, pochylił się i strzyknął strzyżką soku tytoniowego na ziemię u stóp Pendergasta, tak blisko, że parę kropel prysnęło na buty agenta.

– Ojej, chyba pobrudził mi pan buty – zauważył Pendergast.

Hayward miała ochotę się wycofać. Każdy głupiec mógłby stwierdzić, że stracili swoją szansę i nie wyciągną od tych ludzi nic istotnego. A teraz jeszcze zanosilo się na konfrontację.

– Na to wygląda – odrzekł Mały, przeciągając zgłoski.

– Może mógłby pan nam pomóc, panie Mały?

– Nie – odpowiedział, pochylił się, wydał wargi i znów strzyknął sokiem tytoniowym, tym razem wprost na buty agenta.

– Wydaje mi się, że zrobił pan to rozmyślnie – powiedział Pendergast podniesionym, wysokim głosem, na dodatek łamiącym się w nieudolnej próbie protestu.

– Dobrze się panu wydaje.

– Cóż – mruknął agent, odwracając się do Hayward. – Odnoszę wrażenie, że nie jesteśmy tu mile widziani. Chyba powinniśmy poszukać szczęścia gdzie indziej.

Jakie było jej zdziwienie, kiedy Pendergast pognał w stronę rollsa i musiała go gonić. Za nimi rozległ się rechetliwy śmiech.

– Tak po prostu pan odjedzie? – spytała.

Pendergast zatrzymał się przy aucie. Ktoś wyrył jakimś ostrym narzędziem na masce napis „Pieprzyć zielonych”. Wsiadł do limuzyny z tajemniczym uśmieszkiem na ustach. Hayward otworzyła drzwiczki od strony kierowcy, ale nie wsiadła do środka.

– Co pan wyprawia, u licha? Przecież nie próbowaliśmy nawet wycisnąć z nich żadnych informacji.

– Wręcz przeciwnie, byli aż nadto rozmowni.

– Zniszczyli pańskie auto, napluli na buty!

– Do samochodu – rzekł stanowczo.

Wsiadła. Pendergast wykręcił i ruszył, wzbijając kłęby kurzu, kiedy wyjeżdżał z miasteczka.

– Co to ma być? Uciekamy?

– Droga pani kapitan, czy kiedykolwiek widziała pani, abym uciekał?

Zamilkła. Niedługo potem rolls zwolnił i ku zdziwieniu policjantki zjechał na podjazd przy kościele, który wcześniej mijali. Pendergast zaparkował przed domem obok kościoła i wysiadł. Wytarł buty o trawę, wszedł na ganek i nacisnął dzwonek. Niebawem w drzwiach pojawił się mężczyzna. Był wysoki, chudy jak tyka, o grubych rysach, z białą brodą, ale bez wąsów. Zdaniem Hayward przypominał trochę Abrahama Lincolna.

– Pastor Gregg? – spytał Pendergast, ściskając jego dłoń. – Jestem Al Pendergast, pastor z parafii Hemhoibshun, Południowego kościoła baptystów. Miło mi pana poznać! – Z wielkim entuzjazmem potrząsnął dłonią tamtego. – A to moja siostra, Laura. Czy możemy z panem pomówić?

– Ależ... oczywiście – odparł Gregg, powoli otrząsając się z zaskoczenia. – Proszę wejść.

Weszli do chłodnego wnętrza schludnego domu.

– Proszę usiąść – zaproponował zdezorientowany pastor.

Pendergast zajął miejsce w najwygodniejszym fotelu, założył nogę na nogę i czuł się swobodnie, jakby był u siebie.

– Laura i ja nie przyjechaliśmy tu w sprawach kościoła – powiedział, wyjmując z kieszeni garnitur notes i pióro. – Doszły mnie jednak słuchy o pańskim kościele i pańskiej słynnej gościnności i dlatego jesteśmy teraz tutaj.

– Rozumiem – powiedział Gregg, choć najwyraźniej było dokładnie na odwrót.

– Pastorze Gregg, w czasie wolnym od kościelnych obowiązków mam pewną pasję. Jestem historykiem amatorem, zbieraczem mitów i legend, etnografem grzebiącym w zakurzonych zakamarkach zapomnianej historii Południa. Prawdę mówiąc, piszę książkę *Mity i legendy bagien Południa*. Właśnie dlatego tu jestem – dokończył triumfalnie Pendergast i usiadł wygodniej.

– To ciekawe – odparł Gregg.

– Kiedy podróżuję, zawsze najpierw odwiedzam miejscowego pastora. On jest niezawodny. Zawsze.

– Miło mi to słyszeć.

– Ponieważ miejscowy pastor zna ludzi. Zna legendy. Ale jako sługa boży nie jest zabobonny. Takie rzeczy go nie wzruszają. Mam rację?

– Cóż, to prawda, że pastory znają różne opowieści. Ale one nie są niczym więcej, pastorze Pendergast, jak tylko opowieściami. Nie zwracam na nie większej uwagi.

– Otóż to. Te zalewiska, Czarne Bagna, są jednymi z największych i najbardziej legendarnych na całym Południu. Zna je pan?

– Oczywiście.

– Czy słyszał pan o miejscu na bagnach zwanym Spanish Island?

– O tak. Rzecz jasna nie jest to żadna wyspa, raczej rozległa mielizna, gdzie nigdy nie wycięto drzew cyprysowych. Znajduje się pośrodku zalewiska, w dziewiczym lesie. Nigdy nie widziałem tego miejsca.

Pendergast zaczął zapisywać w notesie.

– Powiadają, że było tam kiedyś stare obozowisko rybaków i myśliwych.

– Zgadza się. Należało do rodziny Brodiech, ale zostało zamknięte trzydzieści lat temu. Teraz pewnie to wszystko na dobre zostało pochłonięte przez zalewiska. Tak właśnie bywa z opuszczonymi budynkami, sam pan wie.

– Czy istnieją jakieś opowieści dotyczące Spanish Island?

Gregg uśmiechnął się.

– Oczywiście. Typowe opowieści o duchach, plotki, jakoby to miejsce było zajęte przez włóczęgów i wykorzystywane do handlu narkotykami i tego rodzaju historie.

– Opowieści o duchach?

– Miejscowi znają mnóstwo opowiastek o samym sercu zalewiska, gdzie znajduje się Spanish Island: o dziwnych światłach

widywanych nocą, zagadkowych odgłosach i innych tego typu rzeczach. Kilka lat temu na zalewisku zaginął zbieracz żab. Znaleźli jego wynajętą łódź dryfującą na zalewisku niedaleko Spanish Island. Podejrzewam, że facet się upił i wpadł do wody, ale miejscowi mówią, że został zamordowany albo że ogarnęło go bagienne szaleństwo.

– Bagienne szaleństwo?

– Jeżeli ktoś spędza zbyt wiele czasu na bagnach, moczary dostają go w swoje władanie i człowiek traci zmysły. Tak mawiają ludzie. I choć sam nie do końca w to wierzę, muszę przyznać, że to... niepokojące miejsce. Łatwo się tam zagubić.

Pendergast zapisywał to wszystko z żywym zainteresowaniem.

– A co z tymi światłami?

– Zbieracze żab wypływają nocami i niekiedy wracają z opowieściami o dziwnych poruszających się światłach na moczarach. Moim zdaniem ci ludzie po prostu widzą nawzajem jeden drugiego. Albo może to być zjawisko naturalne, fosforyzujący gaz błotny, coś takiego.

– Wyśmienicie – powiedział Pendergast, cały czas sporządzając notatki. – Tego właśnie poszukuję. Coś jeszcze?

Gregg, zachęcony, kontynuował:

– Wiele się mówi, jakoby na bagnach grasował wielki aligator. Jak zapewne panu wiadomo, większość południowych bagien obfituje w podobne historie. I niekiedy okazują się one prawdziwe. Kilka lat temu nad jeziorem Conroe w Teksasie zastrzelono aligatora, który miał prawie osiem metrów długości. Kiedy go zabito, pożerał właśnie dorosłego jelenia.

– Zdumiewające – rzekł Pendergast. – A zatem gdyby ktoś chciał wybrać się na Spanish Island, jak mógłby to zrobić?

– Jest zaznaczona na starszych mapach. Jednak dostanie się tam nie jest łatwe, zważywszy na mnóstwo kanałów i płycizn. A w dodatku cyprysy rosną tam jak w dżungli. Gdy poziom wody opada, na powierzchni pojawiają się paprocie i jeżyny tak gęste, że

przeprawa graniczy z niemożliwością. Nie da się ot tak po prostu dopłynąć do Spanish Island. Wątpię, aby od lat ktokolwiek odwiedził to miejsce. Znajduje się w głębi rezerwatu, nie wolno tam łowić ani polować, a dotarcie tam i powrót kosztują sporo wysiłku. Szczerze odradzam taką wyprawę.

Pendergast zamknął notes i wstał.

– Bardzo dziękuję, pastorze. Naprawdę bardzo mi pan pomógł tymi informacjami. Czy mógłbym skontaktować się z panem, gdyby to było konieczne?

– Oczywiście.

– Świetnie. Dałbym panu jedną z moich wizytówek, ale mi się skończyły. Tu ma pan mój numer telefonu, gdyby chciał pan zadzwonić. Nie omieszkam przesłać panu egzemplarza książki, kiedy tylko zostanie wydana.

Kiedy wracali do rollsa, Hayward spytała:

– Co teraz?

– Odwiedzimy ponownie naszych przyjaciół z Malfourche.

64

Zajechali na ten sam parking i zatrzymali samochód dokładnie na tym samym pylistym miejscu. Ta sama grupa mężczyzn wciąż znajdowała się na przystani i znów wszyscy odwrócili się i gapili na przyjezdnych. Kiedy Hayward wysiadła, Pendergast rzucił:

– Proszę pozwolić mi opanować sytuację, pani kapitan.

Nieco rozczarowana, pokiwała głową. W głębi serca liczyła, że któryś z tych buraków przekroczy granicę, aby mogła mu dołożyć i aresztować go.

– Panowie! – rzekł Pendergast, podchodząc w stronę grupy. – Wróciliśmy.

Hayward znów nieomal się skrzywiła.

Ten tłuścioch, Mały, postąpił naprzód i czekał z założonymi rękami.

– Panie Mały, moja współpracownica i ja chcielibyśmy wypożyczyć płaskodenną łódź motorową, żeby wybrać się na wycieczkę na zalewiska. Znalazłby pan coś dla nas?

Ku zdziwieniu Hayward Mały uśmiechnął się. Kilku spośród zebranych na przystani mężczyzn wymieniło spojrzenia.

– Jasne, że mogę wam wynająć łódź – odparł Mały.

– Doskonale. A przewodnika?

Nastąpiła kolejna wymiana spojrzeń.

– Przewodnika nie mam – powiedział wolno Mały – ale chętnie pokażę na mapie, gdzie powinniście dotrzeć. Mapę mogę wam

sprzedać.

– Tak konkretnie to chcieliśmy odwiedzić Spanish Island.

Zaległa długa cisza.

– Nie ma sprawy – mruknął Mały. – Przejdźcie na prywatną przystań po drugiej stronie, gdzie trzymamy łodzie, to coś się załatwi.

Podążyli za tłusciochem, mijając drewnianą budowlę, w kierunku przystani handlowej. Stało tam zacumowanych kilka dość smętnie wyglądających łodzi motorowych i rybackich. Pendergast wydał wargi i szybko wybrał łódź motorową, która wyglądała na najnowszą.

Pół godziny później płynęli już pięciometrową łodzią motorową. Pendergast stojący za sterem wprowadził łódź do Lake End. Gdy znaleźli się na otwartych wodach, podkręcił przepustnicę, turbina w drucianej klatce z tyłu wydała głośny ryk i łódź pomknęła, ślizgając się po tafli jeziora. Miasteczko Malfourche z niszczejącą przystanią i smętnymi, rozlatującymi się budynkami powoli rozplynęło się w rzadkiej mgiele unoszącej się nad powierzchnią jeziora. Agent FBI w czarnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli wyglądał dziwnie nie na miejscu za sterem płaskodennej łodzi motorowej.

– Łatwo poszło – powiedziała Hayward.

– Rzeczywiście – przyznał Pendergast, wodząc wzrokiem po tafli wody, aż wreszcie spojrzął na policjantkę. – Czy zdaje sobie pani sprawę, pani kapitan, że ci ludzie zostali uprzedzeni o naszej wizycie?

– Skąd to przypuszczenie?

– Można oczekiwać pewnej dozy wrogości skierowanej pod adresem zamożnych klientów przyjeżdżających do miasta rolls-royce'em. Ale poziom wrogości był tak specyficzny i tak natychmiastowy, że można śmiało przypuszczać, że się nas spodziewali. Sądząc po napisie wyrytym na limuzynie, wzięli nas za ekologów.

– Powiedział pan, że jesteśmy miłośnikami ptaków.

– Bo oni zjeżdżają się tu na okrągło. Nie, pani kapitan, jestem przekonany, że wzięto nas za wysokiej rangi ekologów, przedstawicieli ruchu zielonych albo nawet rządowych naukowców podających się za ornitologów.

– Czyli że to pomyłka?

– Być może.

Łódź mknęła po brunatnych falach jeziora. Gdy tylko miasteczko zupełnie zniknęło w oddali, Pendergast wykonał płynny zwrot o dziewięćdziesiąt stopni.

– Spanish Island leży na zachód stąd – zauważyła Hayward. – Dlaczego kieruje się pan na północ?

Pendergast wyjął mapę, którą sprzedał mu Mały. Na mapie widniało mnóstwo kanałów i odcisków brudnych paluchów grubasa.

– Poprosiłem Małego, by zaznaczył każdą znaną mu drogę prowadzącą na Spanish Island. Najwyraźniej ci ludzie znają bagna lepiej niż ktokolwiek inny. Ta mapa powinna się nam bardzo przydać.

– Niech pan tylko nie mówi, że ufa temu człowiekowi.

Pendergast uśmiechnął się chłodno.

– Całym sercem ufam, że kłamał. Możemy śmiało skreślić wszystkie zaznaczone przez niego trasy. Co oznacza, że pozostaje nam podejście od północy. Tym samym zdołamy uniknąć zasadzki tu, na zalewiskach na zachód od Spanish Island.

– Zasadzki?

Pendergast uniósł brwi.

– Pani kapitan, chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że wypożyczono nam tę łódź tylko dlatego, aby ci ludzie mogli nas później napaść daleko, w samym sercu bagien. Nie tylko ktoś powiadomił ich o naszym przybyciu, ale również spreparował fałszywą historyjkę na nasz temat, aby rozpalić w nich gniew, a ostatecznym zadaniem tych ludzi było zastraszenie albo nawet zabicie nas, gdybyśmy próbowali dostać się na bagna.

– To może być zwyczajny zbieg okoliczności – powiedziała Hayward. – Możliwe, że do Malfourche rzeczywiście mieli się zjechać ekolodzy.

– Wziąłbym to pod uwagę, gdybyśmy przyjechali tu wynajętym buickiem. Nie ulega jednak wątpliwości, że ci mężczyźni spodziewali się przyjazdu dwójki osób, których rysopisy były im znane. Ponieważ gdy tylko wysiedliśmy z limuzyny, wyraz twarzy tych ludzi dawał jasno do zrozumienia, że jesteśmy tymi, których się spodziewali.

– Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, dokąd się wybieramy?

– Dobre pytanie, na które jednakże nie znam odpowiedzi. Na razie.

Hayward zamyśliła się przez chwilę.

– Dlaczego więc ich pan rozjuszył? Zachowując się jak typowy, rozmemłany mieszcuch?

– Ponieważ musiałem mieć absolutną pewność co do ich wrogiego nastawienia. Musiałem być absolutnie pewien, że zaznaczą na mapie wszystkie niewłaściwe szlaki. Dzięki temu wiem, którą drogę musimy obrać. Rozjuszony, wściekły i podejrzliwy tłum łatwiej zdradza swoje poczynania niż ten, który zachowuje się po części przyjaźnie. Śmiem twierdzić, że zgodzi się pani ze mną, iż dowiedzieliśmy się od rozwścieczonego tłumu znacznie więcej, niż gdyby emocje miejscowych nie były tak rozbudzone. I uważam, że w tym względzie bardzo dopomógł nam rolls.

Hayward, choć nie do końca przekonana, nie miała ochoty się spierać, więc skwitowała słowa agenta milczeniem.

Pendergast zdjął jedną rękę ze steru, by wyjąć z kieszeni marynarki szarą kopertę, którą podał Laurze Hayward.

– Mam tu plik zdjęć tych bagien z Google Earth. Nie są może idealne i nie całkiem nam pomogą, bo sporo przesłaniają drzewa i inna roślinność, ale przejrzenie ich tylko upewniło mnie w przekonaniu, że najłatwiej nam będzie dostać się na Spanish Island od północy. Jezioro zakrecało półkole na wprost nich

i Hayward dostrzegła wylaniającą się spośród mgieł niską ciemną linię cyprysów oznaczającą granicę zalewiska. Kilka minut później ujrzeli drzewa wznoszące się przed nimi, przyozdobione pasmami mchu niczym dumni strażnicy podziemnego świata strzegący wejścia do piekieł i zaraz potem łódź została pochłonięta przez półmrok panujący na parnym, dusznym zalewisku.

Czarne Bagna

Parker Wooten zacumował swój skiff jakieś dwadzieścia metrów w głąb ślepej odnogi zalewiska, przy północnym krańcu Lake End, nad głębokim kanałem, gdzie zalewisko łączyło się z główną częścią jeziora. Łowił nad płataniną zatopionych drewnianych bali, używając sztucznych przynęt i zarzucając je promieniście. Popijał przy tym raz po raz z butelki woodford reserve. Pora na połów była idealna: wszyscy wyruszyli na bagna, by zacząć się tam na ekologów. W tym miejscu rok temu złowił okonia ważącego ponad pięć i pół kilo, co stanowiło tutaj rekord. Od tamtej pory w Lemonhead Bayou nie dało się łowić, bo z każdej strony czyhała konkurencja. Pomimo szału na połowy Wooten był prawie pewien, że parę cwańszych wielkich sztuk wciąż było w głębi rzek i można je złowić, jeśli się wyczeka na odpowiedni moment. Wszyscy inni używali żywej przynęty od Małego, a plotki głosiły, że stare wielkie okonie nie złapią się na plastikowego robaka. Wooten miał w tej kwestii odmienne zdanie. Uważał, że stary mądry okoń, agresywny i łatwo wpadający w złość, łatwiej zaatakowałby coś, co wyglądało odmiennie niż reszta – do diabła z larwami i dżdżownicami, których używali inni.

Jego krótkofalówka – obowiązkowa podczas pobytu na zalewisku – była nastawiona na kanał piąty i Wooten co kilka sekund słyszał

wymianę zdań między członkami grupy pościgowej Małego, którzy zajmowali pozycje na zachodnich rubieżach bagna, czekając na pojawienie się ekologów. Parker Wooten nie chciał się w to mieszać. Odsiedział pięć lat w stanowym więzieniu Rumbaugh i za cholere nie zamierzał tam wracać. Niech inni frajerzy dadzą się wsadzić do pudła. On wolał zapolować na okonia.

Znów zarzucił wędkę, by przynęta poszła pod wodę, a potem lekko szarpnął, żeby haczyk nie zaczepił się o zanurzony pień, i zaczął zwijać żyłkę, kręcąc kołowrotkiem i delikatnie poruszając końcem wędki. Ryba nie brała. Może było za gorąco albo ryby przeniosły się na głęboką wodę. Może powinien też zmienić rodzaj sztucznej przynęty na inną, bardziej jaskrawą. Wciąż zwijał żyłkę, kiedy usłyszał cichy odgłos wirnika nadpływającej łodzi. Umieścił koniec wędki w uchwycie, sięgnął po lornetkę i zlustrował okolicę. Niebawem w jego polu widzenia pojawiła się łódź ślizgająca się po tafli wody; dolna część kadłuba tonęła pośród mgiełki unoszącej się nad falami, a płaskie dno uderzało o wodę przy wtórze głośnych rytmicznych trzasków. Wkrótce potem łódź zniknęła mu z oczu.

Parker usiadł wygodnie w swoim skiffie. Napił się łyk wybornego burbona, aby rozjaśnić umysł. To ta dwójka ekologów, ale przecież mieli być teraz zupełnie gdzie indziej. Wszyscy czekali na nich w zachodniej części zalewiska, a oni byli tu, daleko, w północnej części bagien.

Jeszcze jeden łyk i sięgnął po krótkofalówkę.

– Hej, Mały, tu Parker.

– Parker? – rozległ się po chwili głos Małego. – Myślałem, że nie zamierzasz do nas dołączyć.

– Bo nie zamierzam. Jestem przy północnym krańcu, łowię w Lemonhead Bayou. I wiesz co? Właśnie przepłynęła obok mnie jedna z twoich łodzi wirnikowych i było na niej tych dwoje, wiesz, o kogo mi chodzi.

– Bzdura. Nadpłyną od zachodu.

– Mówię, co widziałem. Właśnie mnie minęli.

– Widziałeś ich na własne oczy czy przez szkło butelki?

– Posłuchaj – burknął Wooten – jak nie chcesz mnie słuchać, to twoja sprawa. Możesz sobie czekać w zachodniej części zalewiska aż do następnej zimy. Ja mówię tylko, że tych dwoje nadpływa od północy, a co z tym zrobisz, to już mnie nie obchodzi.

Wooten z rozdrażnieniem wyłączył krótkofalówkę i wrócił do skrzynki na narzędzia. Mały miał najwyraźniej tyci mózdzek. Wooten napił się raz jeszcze, odłożył cenną butelkę do skrzynki, po czym zerwał plastikowego robaka z haczyka, nałożył innego i zarzucił wędkę, wywołując lekkie drganie przynęty. Poczul, że żyłka nagle się naprężyła pod sporym ciężarem. Powoli, ostrożnie odczekał chwilę, pozwalając, by żyłka nieomal zwiotczała, pociągnięta przez rybę, aż w końcu szarpnął, niezbyt mocno, lecz zdecydowanie, aby haczyk mógł zrobić swoje. Żyłka naprężyła się, koniec wędziska wygiął się ku dołowi, a rozdrażnienie Parkera Wootena w jednej chwili prysnęło, gdy uświadomił sobie, że trafiła mu się naprawdę wielka ryba.

66

Kanał się zwęził, a Pendergast wyłączył silnik wirnikowy. Cisza, jaka zapadła, wydawała się głośniejsza niż hałas silnika łodzi.

Hayward spojrzała na agenta.

– Co teraz?

Pendergast zdjął marynarkę, przerzucił przez siedzenie i wyjął z uchwytu drąg.

– Za ciasno, by płynąć na silniku. Nie chcielibyśmy, żeby jakaś urwana gałąź wkręciła się w wirnik pracujący z prędkością trzech tysięcy obrotów na minutę. Obawiam się, że będziemy musieli skorzystać z pomocy kija.

Pendergast zajął miejsce na rufie i zaczął popychać łódź drągiem wzdłuż opuszczonego flisackiego kanału do spławiania drewna, gdzie nad głowami zwieszały się nisko gałęzie cyprysów, a dokoła było widać splątany gąszcz wodnych tupelo. Było późne popołudnie, ale na bagnach płożyły się już gęste cienie. Wysoko w górze królowała nieprzepuszczająca promieni słońca zieleń, a także brązy układające się warstwami i splątane konary drzew. Odgłosy owadów i ptaków przybrały na sile, by wypełnić pustkę pozostawioną przez silnik: słychać było dziwne trele, poświsty, świergotanie, brzęczenie i pohukiwanie.

– Zastąpię pana, gdyby chciał pan zrobić przerwę – powiedziała Hayward.

– Dziękuję, pani kapitan.

Łódź gładko posuwała się naprzód. Hayward skonfrontowała dwie mapy, układając je obok siebie: mapę od Małego i wydruk z Google Earth. Po dwóch godzinach mieli za sobą mniej więcej połowę drogi do Spanish Island, ale najtrudniejszy, najbardziej kręty odcinek bagiennego labiryntu dopiero ich czekał, kiedy miną niewielki spłachetek otwartych wód oznaczony na mapie jako Little Bayou.

– Jaki ma pan plan, kiedy już pokonamy zalewisko? – Hayward wskazała na wydruk. – Wygląda na to, że jest tu dość ciasno. I nie ma kanałów flisackich.

– Pani będzie popychać łódź, a ja zajmę się nawigacją.

– A jak zamierza pan nawigować łodzią?

– Prądy płyną tu ze wschodu na zachód, w kierunku rzeki Missisipi. Dopóki zdołamy się utrzymać w nurcie prądu zachodniego, nie zabrnjemy w żadną ślepią odnogę.

– Odkąd wyruszyliśmy, nie zauważyłam, żeby były tu jakiegokolwiek prądy.

– Ale są.

Hayward machnęła ręką, żeby zabić brzęczącego komara. Rozdrażniona wycisnęła na dłonie kolejną porcję środka odstraszającego owady i wtarła go w szyję oraz twarz. W oddali pomiędzy karbowanymi pniami drzew dostrzegła światło słońca.

– Zalewisko – powiedziała.

Pendergast energicznie napał na drąg i łódź popłynęła naprzód; drzewa przerzedziły się. Nagle wypłynęli na otwarte wody, płosząc rodzinę łysek, które pospiesznie uciekły, frunąc nisko nad wodą. Agent umieścił drąg w uchwycie i odpalił silnik, a łódź znów pomknęła po gładkiej jak lustro tafli zalewiska, kierując się ku zielonobrazowemu gąszczowi na jego zachodnim krańcu. Hayward odchyliła się do tyłu, chłonąc chłodne podmuchy powietrza i ciesząc się względnie rozległą, otwartą przestrzenią po przeprawie przez duszne, przyprawiające o klaustrofobię moczary.

Kiedy zalewisko znów się zwęziło, co stało się zbyt szybko,

Pendergast zredukował prędkość łodzi. Kilka minut później zatrzymali się przy ciągu niewielkich zatoczek zdających rozciągać się we wszystkich kierunkach, przesłoniętych przez zielone pnącza i hiacynty wodne.

Hayward spojrzała na mapę, potem na wydruk i w końcu wzruszyła ramionami.

– Którędy? – spytała.

Pendergast nie odpowiedział. Silnik wciąż pracował na jałowym biegu. Nagle agent obrócił łódź o sto osiemdziesiąt stopni i podkręcił obroty silnika. Równocześnie Hayward usłyszała głośny ryk dobiegający ze wszystkich stron wokół nich.

– Co, u diabła? – rzuciła.

Łódź wirnikowa wystrzeliła naprzód z rykiem silnika, zawracając w stronę otwartego zalewiska, ale było już za późno. Z mrocznych bagien po obu stronach wąskiego kanału wyłoniło się kilkanaście łodzi z silnikami zaburtowymi, odcinając im odwrót.

Pendergast wyciągnął pistolet i oddał strzał do łodzi, która znalazła się najbliżej; pokrywa zaburtowego silnika wyfrunęła w powietrze. Hayward także wyjęła broń, kiedy grad kul z nadpływających motorówek zabębnił o wirnik ich łodzi, roztrzaskując łopaty i ochronną siatkę, w której był umocowany. Ich łódź zwolniła i po chwili stanęła.

Hayward ukryła się za siedzeniem, ale jak szybko oceniła, ich sytuacja była beznadziejna. Wpadli w zasadzkę i teraz otaczało ich kilkanaście skiffów i motorówek z co najmniej trzydziestoma mężczyznami na pokładach, wszyscy bez wyjątku byli uzbrojeni i celowali teraz w ich stronę. A w łodzi znajdującej się najbliżej stał Mały z TEC-9 w wielkich łapskach.

– Wstawać! – powiedział. – Ręce za głowę, tylko powoli i bez sztuczek!

Te słowa zostały poparte serią strzałów ponad ich głowami.

Hayward spojrzała na Pendergasta, który także przykucnął za siedzeniem. Z rozcięcia na czole ciekła mu krew. Agent lekko skinął

głową, po czym wstał, unosząc ręce nad głowę; pistolet trzymał na kciuku zatkniętym pod obudowę spustu. Hayward zrobiła to samo.

Mały warknął i podpłynął do nich; chudy mężczyzna na dziobie jego łodzi trzymał w dłoni wielki pistolet. Mały przeskoczył na ich łódź, która aż zakołysała się pod jego ciężarem. Uniósł rękę i odebrał im broń. Przyjrzał się les baerowi Pendergasta i mruknął z aprobatą, po czym wsunął pistolet za pasek. Glocka odebranego Hayward rzucił na podłogę swojej łodzi.

– No, no – uśmiechnął się, strzykając do wody sokiem tytoniowym – nie sądziłem, że wy, ekolodzy, lubicie broń palną.

Hayward spojrzała na niego.

– Popełnia pan wielki błąd – powiedziała stanowczo. – Jestem kapitanem w wydziale zabójstw policji nowojorskiej. Zamierzam poprosić, aby opuścił pan broń albo poniesie pan surowe konsekwencje.

Na ustach Małego pojawił się drwiący uśmieszek.

– Czyżby?

– Opuszczę teraz rękę, żeby pokazać moją legitymację – powiedziała Hayward.

Mały postąpił krok naprzód.

– Nie, sam jej poszukam.

Przykładając TEC-9 do głowy Laury, zaczął grzebać w kieszeniach jej koszuli, najpierw w jednej, potem drugiej, pozwalając sobie przy tym na wulgarne macanie.

– Cycki są prawdziwe – powiedział, czym wywołał salwę rechotliwego śmiechu swoich kompanów. – I kurewsko wielkie!

Sięgnął do kieszeni w jej spodniach i po chwili wyłuskał stamtąd skórzany portfelik z odznaką. Otworzył go.

– No, no, patrzcie tylko!

Uniósł go, aby pokazać wszystkim policyjną odznakę. A potem sam ją obejrzał, wydymając przy tym wilgotne wargi.

– Tu jest napisane kapitan Laura Hayward. Wydział zabójstw. Jest nawet zdjęcie! Skąd to wzięłaś, zamówiłaś z ogłoszenia

w komiksie?

Hayward spojrzała na niego. Czy naprawdę był tak głupi? Zaczęła się niepokoić.

Mały zamknął portfelik, sięgnął do tyłu, wykonał ruch, jakby wycierał legitymacją swój olbrzymi tyłek, i cisnął ją do wody.

– Oto co myślę o twojej legitymacji – powiedział. – Larry, chodź no tu i obszukaj tego.

Chudy mężczyzna przeszedł na łódź wirnikową i zbliżył się do Pendergasta.

– Tylko żadnych numerów, bo zarobisz kulkę – mruknął, groźnie potrząsając pistoletem. – Nie zawaham się go użyć.

Mężczyzna zaczął przeszukiwać Pendergasta. Odebrał mu drugi pistolet, kilka różnych narzędzi, papierów oraz odznakę.

– Pokaż to – powiedział Mały.

Mężczyzna imieniem Larry podał mu odznakę. Mały obejrzał ją, splunął na nią sokiem tytoniowym, zamknął portfelik i wrzucił do wody.

– Jeszcze jedna blacha kupiona z ogłoszenia w komiksie. Przecież dobrze wiecie, kto was tu przysłał.

Hayward poczuła lufę pistoletu wpijającą się jej w bok.

– Wiecie, kim naprawdę jesteście – ciągnął Mały, podnosząc głos. – Przyjeżdżacie tutaj, wciskacie nam kit, że chcecie poobserwować jakieś ptaki, i wydaje się wam, że uratujecie wasze żalosne tyłki, pokazując lipne odznaki. To właśnie każą wam robić w sytuacji zagrożenia? No to posłuchajcie: wiemy, kim jesteście i po co tu przyjeżdżacie. Nie odbierzcie nam ani centymetra więcej naszego zalewiska. To nasza ziemia, dzięki niej jakoś żyjemy. To dzięki niej mój dziadek miał za co wykarmić mojego ojca, a ja mam za co nakarmić moje dzieciaki. To nie żaden Disneyland dla jankeskich ekologów, zielonych w pedalskich kajakach. To nasze bagna.

Z otaczających ich łodzi rozległy się okrzyki aprobaty.

– Bardzo przepraszam, że przerywam pańską przemowę – odezwała się Hayward – ale ja naprawdę jestem policjantką, a on

agentem FBI i dla waszej wiadomości informuję, że od tej chwili jesteście aresztowani. Wszyscy.

– Ooooch! – zamruczał Mały, przysuwając się do niej. – Aaaaale się boję!

Hayward poczuła jego oddech przesycony wonią whisky i zgniłej cebuli. Rozejrzała się dokoła.

– Hej! Może urządzimy tu sobie mały striptiz, co wy na to?

Mały zakołysał swoimi obwisłymi piersiami.

Rozległy się pełne entuzjazmu okrzyki i pohukiwania.

– Chcemy zobaczyć prawdziwe cycki!

Hayward spojrzała na Pendergasta. Jego oblicze pozostawało nieodgadnione. Chudzielec imieniem Larry przystawił mu do głowy pistolet, a jakby tego było mało, celowało w nich jeszcze kilkanaście innych sztuk broni.

Mały wyciągnął rękę i chwycił kołnierz bluzki Hayward. Rozerwał materiał, a kiedy policjantka szarpnęła się, guziki rozsypały się na wszystkie strony.

– Ale narowista! – warknął Mały, po czym przyciągnął policjantkę ku sobie i uderzył w twarz, powalając ją na dno łodzi. – Wstawaj – powiedział, a w odpowiedzi rozległ się rehotliwy śmiech.

Mały już się nie śmiał. Hayward wstała z piekącą twarzą, a tłuszcioch wpił lufę pistoletu w jej ucho.

– No dobra, suko. Ściągaj bluzkę. Pokaż chłopakom, co tam masz.

– Idź do diabła – wycedziła Hayward.

– Zrób to – mruknął Mały, mocniej wkręcając lufę broni w jej ucho.

Poczuła napływającą krew. Jej bluzka była już rozdarta do połowy.

– Zrób to!

Drżącą dłonią zaczęła rozpinać guzik.

– Taaak! – rozległy się gromkie okrzyki. – O taaak!

Znowu spojrzała z ukosa na Pendergasta. Stał nieruchomy

i niewzruszony. Co mu chodziło po głowie?

– No dalej, rozepnij i pochwal się, co tam masz! – syknął Mały, szturchając ją pistoletem.

Rozpięła guzik przy wtórze gromkiego aplauzu i sięgnęła do następnego.

Nagle Pendergast odezwał się:

– Tak nie traktuje się damy.

Mały odwrócił się do niego.

– Nie? A ja myślę, że właśnie tak powinno się je traktować!

Rozległ się gromki aplauz. Hayward spojrzała na morze poczerwieniałych, pożądliwych, spoconych twarzy.

– Wie pan, co myślę? – ciągnął Pendergast. – Otóż uważam, że jest pan zażywnym wieprzem.

Mały zamrugał.

– Że co?

– Tłustą świnia – wyjaśnił Pendergast.

Mały zamachnął się wielką pięścią i trzasnął Pendergasta w splot słoneczny. Agent sapnął i pochylił się do przodu. Mały uderzył go raz jeszcze w to samo miejsce, a Pendergast, któremu zabrakło tchu, osunął się na kolana.

Mały spojrzał z góry na Pendergasta i splunął na niego pogardliwie.

– To trwa zbyt długo – burknął, a następnie silnym szarpnięciem rozerwał bluzkę Hayward do końca.

Z otaczających łodzi dobiegł głośny ryk aprobaty. Mały wyciągnął z kieszonki kombinezonu nóż do skórowania zwierząt, otworzył go i ostrzem rozchylił na boki poły rozerwanej bluzki Hayward, odsłaniając jej stanik.

– O kurde! – zawołał ktoś.

Mały łapczywym wzrokiem wpatrywał się w obfity biust Laury Hayward. Przełknęła boleśnie ślinę i spróbowała zakryć obnażone ciało fragmentami podartej bluzki, ale Mały pokręcił głową, odsunął jej ręce i powoli, z rozmysłem przesunął czubkiem noża wzdłuż górnej krawędzi jej biustonosza. Potem bardzo wolno wsunął czubek ostrza pod materiał pomiędzy miseczkami i zdecydowanym ruchem pociągnął nóż ku sobie, rozcinając biustonosz. Gdy nagie piersi Hayward wysunęły się spod materiału, rozległ się ogłuszający ryk aprobaty.

Hayward zobaczyła, jak Pendergast podnosi się chwiejnie. Mały był zbyt zaaferowany, żeby to zauważyć.

Pendergast stał mocno pochylony w bok. I nagle niedostrzegalnym ruchem przesunął ciężar ciała w drugą stronę. Łódź zakołysała się, a Mały i Larry na moment stracili równowagę.

– Ej, spokojnie tam...

Hayward ujrzała rozmazaną plamę, błysk stali; z głośnym jękiem Larry zgiął się wpół, jego dłoń zaciśnięta spazmatycznie na kolbie broni opadła w dół i seria strzałów trafiła w dno łodzi. Trysnęła krew.

Mały okręcił się, unosząc TEC-9 i puszczając długą serię, ale agent poruszał się tak szybko, że żadna kula go nie dosięgła. Silne ramię oplotło tłustą szyję Małego i odchyliło mu głowę do tyłu, a przy jego gardle pojawiło się ostrze sztyletu. W tej samej chwili Hayward rąbnęła tłuszczocha w przedramię, wyszarpując TEC-9 z jego dłoni.

– Nie ruszaj się – rzekł Pendergast, zatapiając fragment ostrza w szyi mężczyzny.

Drugą ręką wprawnie wyciągnął swojego les baera, którego tłuszczoch wcisnął za pasek spodni.

Mały ryknął, próbując się odwrócić i dosięgnąć Pendergasta swoimi wielkimi łapskami. Ostrze noża zanurzyło się głębiej w jego ciele i błysnęło; trysnęła krew, a potem znów wszystko

znieruchomiało.

– Rusz się, a umrzesz – wycedził Pendergast.

Hayward patrzyła z przerażeniem, zapominając na moment o swojej nagości. Pendergast wbił ostrze sztyletu w szyję tłuściocha, odsłaniając żyłę szyjną, nóż właśnie wśliznął się pod nią, napinając i wysuwając tętnicę z rany.

– Zastrzelicie mnie, a i tak przetnę tętnicę – powiedział Pendergast. – Jeśli upadnę, też ją przetnę. Jeżeli on spróbuje się poruszyć, również ją przetnie. Jeżeli ktokolwiek spróbuje tknąć tę kobietę, tętnica zostanie przecięta.

– Co jest, kurwa? – krzyknął z przerażeniem Mały, wywracając oczami. – Co on mi zrobił? Czy wykrwawię się na śmierć?

Zapadła grobowa cisza. Cała broń wciąż była wycelowana w ich stronę.

– Zastrzelcie go! – zawołał Mały. – Rozwalcie tę babę! Co wy wyprawiacie?

Nikt się nie poruszył. Hayward była jak sparaliżowana ze zgrozy na widok wystającej, pulsującej żyły opierającej się na błyszczącym okrwawionym ostrzu.

Pendergast wskazał na jedno z dużych lusterek bocznych umieszczonych na okrężnicy łodzi.

– Pani kapitan, proszę mi podać to lusterko.

Hayward zmusiła się, by ruszyć się z miejsca, i zakrywając swoją nagość najlepiej jak potrafiła, podeszła i oderwała jedno z lusterek.

– Proszę je przytrzymać, aby Mały mógł się przejrzeć.

Zrobiła to. Mały przejrzał się w lusterku, a z przerażenia oczy nieomal wyszły mu z orbit.

– Co ty robisz... o Boże... błagam, nie... – Głos zaczął mu się łamać, w oczach pojawiła się trwoga, a wielkie zwaliste cielsko znieruchomiało z przerażenia.

– Wrzucie całą broń tu, do łodzi pana Małego – rzekł półgłosem Pendergast, wskazując na pustą łódź tuż obok ich łódki. – Całą. Już.

Nikt się nie poruszył.

Pendergast, trzymając nóż płasko, jeszcze bardziej wysunął tętnicę z krwawiącej rany.

– Róbcie, co każe, albo go chlasnę.

– Słyszeliście, co mówi! – rzucił Mały pełnym przerażenia, wymownym szeptem. – Broń do łodzi! Róbcie, co on każe!

Hayward wciąż trzymała lusterko przed jego twarzą.

Mężczyźni, mamrocząc, zaczęli podchodzić i wrzucać broń do wskazanej łódki. Niebawem na dnie motorówki zebrał się spory arsenał.

– Noże, gaz pieprzowy, wszystko.

Kolejne przedmioty wylądowały na dnie łodzi.

Pendergast odwrócił się w stronę chudzielca Larry'ego leżącego na dnie łódki. Mężczyzna krwawił z rany na ręce i od postrzału w stopę, co zawdzięczał samemu sobie.

– Proszę zdjąć koszulę.

Po krótkim wahaniu mężczyzna wypełnił polecenie.

– Proszę podać ją pani kapitan.

Hayward przyjęła wilgotną, przepoconą odzież. Odwracając się od otaczających ją łodzi o tyle, o ile to możliwe, zdjęła podartą bluzkę i zniszczony biustonosz, po czym przebrała się w zakrwawioną koszulę.

Pendergast odwrócił się do niej.

– Pani kapitan, czy zechciałaby pani wybrać dla siebie broń?

– Ten TEC-9 wygląda odpowiednio – stwierdziła Hayward, sięgając po pistolet ze sterty skonfiskowanej broni. Obejrzała go, wyjęła magazynek, sprawdziła, czy jest nabity, i ponownie włożyła magazynek do kolby. – Przerobiony na pełny automat. Magazynek na pięćdziesiąt naboju. Zostało dość amunicji, by rozwalić wszystkich na miejscu w parę sekund.

– Bez wątplenia skuteczny wybór, choć nie nazwałbym tej broni elegancką – skwitował Pendergast.

Hayward wymierzyła TEC-9 w grupę mężczyzn.

– Kto jeszcze ma ochotę na mały pokaz?

Cisza. Słysząc było jedynie zdławiony szloch Małego. Łzy spływały mu po twarzy, ale pozostawał nieruchomy jak posąg.

– Obawiam się – rzekł Pendergast – że popełniście, panowie, poważny błąd. Ta pani naprawdę jest kapitanem wydziału zabójstw w policji nowojorskiej, a ja naprawdę jestem agentem specjalnym Federalnego Biura Śledczego. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, niemające nic wspólnego z wami ani waszym miasteczkiem. Ktokolwiek powiedział wam, że jesteśmy ekologami, okłamał was. A teraz zadam jedno jedyne pytanie i jeśli nie otrzymam zadowolającej odpowiedzi, rozplątam tętnicę szyjną Małego, a moja koleżanka, kapitan Hayward, wystrzela was jak psy. W samoobronie, rzecz jasna. Skoro jesteśmy stróżami prawa, czy ktoś może podać nasze słowa w wątpliwość?

Cisza.

– Pytanie brzmi następująco: Mały, kto poinformował pana o naszym przybyciu?

Mały nie był w stanie szybko mówić.

– To był Ventura, Mike Ventura... – wyrzucał z siebie słowa, szlochając, a jego głos brzmiał jak bełkotliwy jęk.

– Kim jest Mike Ventura?

– To facet, który mieszka w Itta Bena, ale często tu przyjeżdża, lubi zapolować, ma forsy jak lodu, dużo czasu spędza na bagnach. Przyszedł do mnie, powiedział, że jesteście ekologami i chcecie zmienić cały obszar Czarnych Bagien w rezerwat, odbierając nam tę ziemię...

– Dziękuję – powiedział Pendergast – to wystarczy. A teraz proszę posłuchać, co będzie dalej. Moja koleżanka i ja popłyniemy na wycieczkę wspaniale wyposażoną, w pełni zatankowaną łodzią pana Małego. Z całą tą bronią. A wy wszyscy możecie wracać do domów. Rozumiemy się?

Cisza.

Pendergast wcisnął ostrze noża jeszcze mocniej pod tętnicę.

– Czy mogę usłyszeć odpowiedź, bardzo proszę?

Pomruki, skinienia głowy.

– Doskonale. Widzicie, że jesteśmy uzbrojeni po zęby. I zapewniam, że oboje wiemy, jak należy się nią posługiwać. Pani kapitan, zechce pani zademonstrować?

Hayward wymierzyła TEC-9 w niewielki młodnik i otworzyła ogień. Trzy krótkie serie. Młode drzewka ścięte pociskami powoli pogrążyły się w wodzie.

Pendergast wysunął nóż spod tętnicy.

– Trzeba będzie założyć parę szwów, panie Mały.

Grubas tylko wybełkotał coś niezrozumiale.

– Zalecam, żebyście przedyskutowali to między sobą i wymyślili miłą, przekonującą historyjkę o tym, jak pan Mały skaleczył się w szyję, a dobry stary Larry postrzelił się w stopę. Ponieważ pani kapitan i ja mamy grubszą rybę do schwytania i nie chcemy, by ktokolwiek nam przeszkadzał. Zakładając, że wy nie będziecie nas niepokoić – i że zostawicie w spokoju moją dość drogą limuzynę – nie zdecydujemy się nikogo z was aresztować ani wysuwać jakichkolwiek oskarżeń. Zgadza się, pani kapitan?

Hayward pokiwała głową. To zabawne, jak taktyka Pendergasta świetnie się sprawdzała, zwłaszcza tu, na kompletnym zadupiu, gdzie nie mieli żadnego wsparcia, a przeciwko sobie tłum rozjuszonych małomiasteczkowych prostaków, którzy niczego tak nie pragnęli, jak wielokrotnie ją zgwałcić, a potem zabić ich oboje, a ciała zatopić w moczarach.

Pendergast przeszedł do motorówki. Hayward podążyła za nim, przestępując ostrożnie zalegającą na dnie łodzi skonfiskowaną broń. Pendergast uruchomił silnik i skierował łódź naprzód; pozostałe motorówki niechętnie cofnęły się, by ją przepuścić.

– Jeszcze się spotkamy – zawołał – i z zalem muszę stwierdzić, że kiedy to nastąpi, nie będzie to niestety przyjemne spotkanie.

Zwiększył obroty silnika i łódź wpłynęła do najszerszej zatoki na skraju zalewiska, kierując się na południe, w głąb skąpanych

w zieloności posepnych, mrocznych bagien.

Malfourche, Missisipi

Mike Ventura patrzył ze swojego zaparkowanego escalade z włączoną na cały regulator klimatyzacją, jak kolejne łodzie zawijają do przystani na tyłach knajpy Małego. Właśnie zaszło słońce, niebo miało barwę brudnopomarańczową. Zaczął go ogarniać niepokój – to nie wyglądało jak triumfalny powrót z udanej wyprawy wojennej. Jej członkowie wyglądali na przybitych, zrezygnowanych i mocno sponiewieranych. Kiedy z jednej z ostatnich łodzi wyłonił się sam Mały i na miękkich nogach wygramolił się na pomost z prowizorycznym opatrunkiem ze zwiniętej kilkakrotnie chustki na szyi i skorupą zaschniętej krwi na koszuli po jednej stronie, Mike był już pewien, że coś poszło nie tak.

Dwaj mężczyźni podtrzymywali Małego, który obejmował ich wielkimi ramionami, pomagając mu dotrzeć do drzwi jego baru. Po chwili tłuszcioch zniknął w środku. Inni tymczasem zauważyli Venturę, zaczęli dyskutować między sobą i energicznie gestykulować, po czym ruszyli w jego stronę. Nie wyglądali na zadowolonych.

Ventura uruchomił automatyczną blokadę drzwiczek, która zaskoczyła z cichym trzaskiem. Mężczyźni w milczeniu otoczyli wóz ciasnym kręgiem, twarze mieli poczerwieniałe i wilgotne od potu.

Ventura nieznacznie opuścił szybę.

– Co się stało?

Nikt nie odpowiedział. Po krótkiej chwili napięcia jeden z mężczyzn uniósł rękę i uderzył zaciśniętą pięścią w dach auta.

– Co, do cholery? – zawołał Ventura.

– Co, do cholery? – krzyknął mężczyzna. – Co, do cholery?

Opadła kolejna pięść i po chwili cała zgraja mężczyzn zaczęła tłuc i kopać w samochód, klnąc przy tym i spluwając raz po raz. Zaskoczony i przerażony Ventura zakręcił szybę i wrzucił wsteczny, cofając tak szybko, że ci, którzy stali z tyłu, musieli uskoczyć na bok, żeby ich nie przejechał.

– Sukinsyn! – zawołali mężczyźni jednym głosem. – Kłamca!

– To byli federalni ty dupku!

– Kłamliwy drań!

Ventura zakręcił gwałtownie kierownicą i dodał gazu, wzbijając spod kół auta kaskady żwiru i kurzu, gdy wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedy przyspieszył, ciśnięty kamień z hukiem uderzył w tylną szybę, pozostawiając na niej siateczkę pęknięć. Gdy Mike zjechał na autostradę, rozległ się sygnał jego komórki. Wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz: Judson. Cholera.

– Jestem już niedaleko – rozległ się głos w słuchawce. – Jak sprawy?

– Coś poszło nie tak. I to bardzo.

Zanim Ventura dotarł do swojej starannie utrzymanej posiadłości na skraju moczarów, pikap Esterhazyego już tam na niego czekał. Wysoki mężczyzna stał obok paki półciężarówki ubrany w strój khaki i wyładowywał broń. Ventura podjechał i wysiadł. Esterhazy odwrócił się do niego z posępną miną.

– Co się stało z twoim autem? – zapytał.

– Zaatakowali je miejscowi. Ludzie z bagien. W Malfourche.

– Nie zajęli się naszą sprawą?

– Nie. Wrócili bez broni, a Mały z paskudną raną na szyi. Chcieli mnie zlinczować. Wygląda na to, że mam poważny problem.

Esterhazy spojrział na niego.

– A więc tych dwoje wciąż zmierza na Spanish Island?

– Na to wygląda.

Esterhazy spojrział poza wielki bielony dom Ventury i gładki jak stół, nienagannie przystrzyżony trawnik w stronę prywatnej przystani, gdzie cumowały trzy łodzie Ventury: skiff Lafitte, nowiutka łódź rybacka z wyciągarką hydrauliczną i konsolą Humminbird oraz potężna łódź wirnikowa. Zacisnął mocno zęby. Sięgnął na pakę pikapa i wyjął ostatni futerał z bronią.

– Wygląda na to – powiedział – że sami będziemy musieli uporać się z naszym małym problemem.

– I to natychmiast. Bo jeśli zdołają dotrzeć na Spanish Island, będzie po ptakach.

– Nie pozwolimy, by dotarli tak daleko. – Esterhazy, mrużąc oczy, spojrział ku zachodzącemu słońcu. – W zależności od tego, jak szybko się poruszają, mogą być już blisko celu.

– Przemieszczają się powoli. Nie znają bagien.

Esterhazy spojrział na łódź motorową.

– Dzięki tej jednostce z silnikiem yamaha o mocy dwustu pięćdziesięciu koni moglibyśmy przechwycić ich, kiedy przepłyną stary kanał flisacki niedaleko Ronquille Island. Wiesz, o czym mówię?

– Oczywiście – odparł Ventura, zły, że Esterhazy mógł podać w wątpliwość jego znajomość bagien.

– Wobec tego zanieś tę broń do łodzi i ruszajmy – powiedział Judson. – Mam pewien pomysł.

Czarne Bagna

Maślany księżyc wznosił się pośród masywnych pni bezlistnych cyprysów, a jego słaby blask rozlewał się na pociemniałe po zmierzchu bagna. Reflektor łodzi oświetlał płataninę drzew i innej roślinności przed nimi, od czasu do czasu wydobywał też z mroku błysk niewielkich ślepi. Hayward wiedziała, że te oczy w większości należały do żab i ropuch, ale mimo wszystko ogarnął ją narastający niepokój. Nawet jeśli dziwne opowieści na temat Czarnych Bagien, które słyszała w dzieciństwie, były tylko legendami, to i tak w tym miejscu roiło się od jak najbardziej prawdziwych i niebezpiecznych aligatorów oraz jadowitych węży. Hayward naparła na tyczkę, popychając łódź naprzód, cała zлана potem; operowała drągiem od połowy jego długości aż do końca. Koszula Larry'ego była szorstka i wywoływała nieprzyjemne swędzenie, dotykając jej gołej skóry. Pendergast leżał na pokładzie dziobowym z rozłożonymi mapami, wpatrując się w nie z uwagą w świetle latarki. To była długa, powolna przeprawa, pełna ślepych odnóg, fałszywym tropów i uciążliwej nawigacji.

Pendergast poświecił latarką w wodę i wysypał odrobinę ziemi z kubka za burtę, badając kierunek prądu. Nagle łódź stanęła. Hayward zatoczyła się do przodu i żeby nie upaść, przytrzymała się drąga.

– Jeszcze jakieś półtora kilometra – wymamrotał Pendergast, powracając do kontemplowania map.

Hayward uniosła tyczkę, przeszła na dziób i znów wbiła ją w muliste dno. Miała wrażenie, jakby tonęła w zielonoczarnej otaczającej ich zewsząd dżungli.

– A jeśli obozowiska już nie ma? – spytała.

Bez odpowiedzi. Księżyc wzniósł się wyżej, a Hayward odetchnęła głęboko wilgotnym wonnym powietrzem. Komar wpadł jej do ucha, brzęcząc jak szalony. Zabiła go jednym uderzeniem i otarła dłoń o spodnie.

– Przed nami ostatni kanał flisacki – powiedział Pendergast. – A za nim już ostatni odcinek bagien oddzielający nas od Spanish Island.

Łódź przebiła się przez splachetek gnijących hiacyntów wodnych; kwaśna woń roślinności podniosła się z wody i otoczyła ich.

– Proszę zgasić reflektor i pozostałe światła – rzekł Pendergast. – Nie chcemy ostrzec ich, że się zbliżamy.

– Naprawdę myśli pan, że ktoś tam jest?

– Jestem przekonany, że coś tam jest. W przeciwnym razie po co zadawaliby sobie tyle trudu, żeby nas zatrzymać?

Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do półmroku, Hayward zdziwiła się, ile światła zapewniał moczarom księżyc w pełni. Przed nimi pomiędzy pniami drzew dostrzegła wstęgę roziskrzzonej wody. Chwilę później łódź wślizgnęła się w głąb starego kanału flisackiego, teraz na wpół zarośniętego hiacyntami i rzęsą wodną. Gałęzie cyprysów łączyły się w górze, tworząc swoisty tunel. Nagle łódź stanęła. Hayward zatoczyła się do przodu i żeby nie upaść, przytrzymała się tyczki.

– Zahaczyliśmy o coś pod wodą – wyjaśnił Pendergast. – Zapewne o korzeń albo pień zwalonego drzewa. Niech pani sprawdzi, czy nie udałoby się opłynąć przeszkody.

Hayward mocno napała na tyczkę. Rufa łodzi obróciła się, uderzając mocno w pień cyprysa. Łódź zatrzęsała się i zakołysała, po

czym uwolniła się od przeszkody. Gdy Hayward ponownie napała na drąg, przygotowując się, by na powrót wprowadzić łódź do kanału flisackiego, zobaczyła coś długiego, błyszczącego i czarnego, co ześlizgnęło się z gałęzi powyżej i spadło jej na ramiona. To coś przesunęło się po jej szyi, chłodne i suche, a Hayward z najwyższym trudem pohamowała się, by nie zacząć krzyczeć z odrazy i zaskoczenia.

– Proszę się nie ruszać – powiedział Pendergast. – Tylko spokojnie.

Czekała, zmuszając się, by zastygnąć w bezruchu, a tymczasem Pendergast podszedł powoli i balansując, ostrożnie stanął na sterce broni spoczywającej na dnie łodzi. Wtem jedna ręka agenta wystrzeliła do przodu, zdzierając chłodne obłe cielsko z barków policjantki i odrzucając jak najdalej zamaszystym ruchem. Hayward odwróciła się, by ujrzeć lecącego w powietrzu ponad metrowej długości węża, który z pluskiem wylądował w wodzie za rufą łodzi.

– *Agkistrodon piscivorus* – powiedział posępnym tonem Pendergast.

– Mokasyn błotny.

Hayward zaczęła świerzbic skórą i wrażenie obcego ciała, które po niej przepęłzo, nie chciało jej opuścić. Wzięła głęboki oddech, wzdrygnęła się i chwyciła drąg. Wypłynęli na powrót do kanału, zanurzając się coraz głębiej w gąszcz. Pendergast rozejrzał się wokoło, po czym powrócił do map i wydruków. Hayward cały czas badała tyczką pnie i konary mijanych drzew. Komary, żaby, węże – jak dotąd nie spotkała jeszcze tylko aligatora.

– Możliwe, że już niedługo będziemy musieli brnąć dalej pieszo – rzucił Pendergast. – Wygląda na to, że szlak przed nami jest zablokowany.

Uniósł wzrok znad mapy i ponownie rozejrzał się wokoło.

Hayward pomyślała o aligatorach. Pieszo. No pięknie.

Wbiła drąg w dno i ponownie napała z całej siły. Nagle

w bezszelestnym błysku czerni Pendergast rzucił się na nią, chwytając wpół, i w efekcie oboje przelecieli nad okrężnicą łodzi i wpadli do czarnej wody. Hayward natychmiast skierowała się ku powierzchni, zbyt zaskoczona, by stawiać opór; jej stopy ugrzęzły w mule na dnie. Gdy wybiła się w górę i wysunęła głowę spod wody, usłyszała kanonadę strzałów.

Rozległo się metaliczne „brzęk!”, gdy jeden z pocisków trafił w silnik, i pojawił się ogień. „Bach! Bach!”. Strzały dochodziły z ciemności na prawo od niej.

Schwyciła się okrężnicy i zaczekała na przerwę w ostrzale, po czym podciągnęła się, schwyciła pierwszą sztukę broni, jaka znajdowała się najbliżej – ciężką strzelbę – i ponownie ześlizgnęła się do wody. Grad kul znów uderzył w łódź, kilka pocisków trafiło w silnik.

– Niech pani nie strzela! – wyszeptał Pendergast, popychając ją przed sobą. – Proszę przejść na drugą stronę łodzi, skierować się ku brzegom kanału i ukryć się tam.

Na wpół popłynęła, na wpół przebrnęła przez wodę, pochylając głowę najniżej, jak tylko mogła. Płonąca łódź za nimi stanęła w ogniu, rzucając żółtawą lunę na taflę wody. Rozległo się stłumione „Buuuch!” i Hayward poczuła, jak omiata ją podmuch fali powietrza rozchodzący się po eksplozji łodzi, a pośród czerni nocy rozbłysła kula pomarańczowego ognia. Zaraz potem dała się słyszeć seria pomniejszych wybuchów, gdy ogień dosięgnął broni i amunicji zebranej w łodzi.

Wtem wokół nich posypały się kule, wzbijając kaskady wody.

– Namierzają nas – rzucił pospiesznie Pendergast. – Proszę się zanurzyć i płynąć!

Hayward wzięła głęboki oddech, zanurzyła się pod wodę i niezdarnie trzymając strzelbę w jednej ręce, zaczęła płynąć przed siebie przez mętny nurt. Gdy jej stopy ugrzęzły w mule, poczuła jakieś twarde, a niekiedy mniej twarde obiekty, od czasu do czasu musnęła ją też przepływająca śliska ryba. Próbowwała nie myśleć

o mokasynach błotnych, nutriach, dwudziestocentymetrowych pijawkach i innych równie uroczych mieszkańcach bagien. Usłyszała świst kul przeszywających wodę wokół niej. Gdy jej płuca nieomal zaczęły pękać, wynurzyła się, nabrała powietrza i ponownie zniknęła pod powierzchnią.

Woda zdawała się tętnić życiem od uderzających w nią kul. Hayward nie wiedziała, gdzie jest Pendergast, ale płynęła dalej, wynurzając się mniej więcej co minutę, żeby zaczerpnąć powietrza. Muł pod jej stopami zaczął się wznosić. Wkrótce zaczęła pełznąć w coraz płytszej wodzie, a w oddali przed nią zamajaczyły drzewa rosnące na przeciwległym brzegu kanału. Strzelec wciąż posyłał pociski na prawo od niej i kule uderzały w pnie drzew ponad nią. Strzały padały teraz o wiele rzadziej. Najwyraźniej zgubił ją i strzelał teraz tam, gdzie spodziewał się, że powinna się znajdować.

Hayward wypełzła na śliski brzeg, przewróciła się na wznak pośród hiacyntów i walczyła o odzyskanie oddechu. Była cała umazana mułem. To się stało tak szybko, że nie miała chwili do namysłu, ale teraz myślała intensywnie. Tym razem to nie byli miejscowi. Była o tym przekonana. Wyglądało na to, że mieli do czynienia z jednym strzelcem. Kimś, kto wiedział, że nadpływają, i miał czas, aby się przygotować.

Rozejrzała się na wszystkie strony, ale Pendergasta nigdzie nie było widać. Przytrzymując strzelbę jedną ręką, na wpół popęzła, na wpół popłynęła wzdłuż najbliższej płycizny w stronę pobliskich drzew, za którymi mogła się ukryć. Uchwyciła się ułamanego pnia starego cyprysa i skryła się za nim. W tej samej chwili usłyszała ciche pluśnięcie. Omal nie krzyknęła, myśląc, że to Pendergast, kiedy nagle w kanale zapalono reflektor, a jego promień omiótł zalewisko na lewo od niej.

Pochyliła głowę, usiłując możliwie jak najlepiej ukryć się za pniem. Powoli, z wielkim rozmysłem ułożyła przed sobą strzelbę, która była cała ubłocona. Zanurzyła ją w wodzie, aby splukać błoto,

po czym podniosła i przesunęła po niej dłonią, próbując ustalić, co to za broń. Powtarzalna, ciężka, z ośmiokątną lufą, wielkokalibrowa. Wyglądało to na .45-70, współczesną replikę broni z Dzikiego Zachodu, być może wyprodukowaną przez Winchestera wersję starego browninga, co oznaczało, że broń powinna być sprawna pomimo zanurzenia w wodzie. W magazynku powinno się znajdować od czterech do dziewięciu kul.

Promień reflektora prześlizgnął się między drzewami, przeczesując bagna. Strzały ucichły, ale światło się zbliżało. Powinna strzelić w reflektor. Był to w gruncie rzeczy jedyny cel, ponieważ w jego blasku wszystko inne było niewidoczne. Poruszając się powoli i bezszelestnie, uniosła strzelbę, by wytrząsnąć z niej resztki wody. Z niezwykłą ostrożnością przeładowała broń i poczuła, jak pocisk jest wprowadzany do komory. Jak dotąd nieźle. Światło było teraz doskonale widoczne, przesuwało się powoli wzdłuż kanału. Uniosła broń, żeby złożyć się do strzału, i nagle poczuła czyjąś dłoń dotykającą jej ramienia.

Cofnęła się, tłumiąc w sobie krzyk.

– Proszę nie strzelać – rozległ się prawie niesłyszalny głos Pendergasta. – To może być pułapka.

Opanowując zaskoczenie, pokiwała głową.

– Za mną.

Pendergast odwrócił się i popęzł w górę strumyka, a Hayward zrobiła to samo. Księżyc skrył się chwilowo za chmurami, ale dogasająca poświata palącej się łodzi wkrótce zapewniła im odpowiednie oświetlenie. Niewielki kanał zwężał się i niebawem znaleźli się na mulistej płyciźnie, gdzie poziom wody nie przekraczał trzydziestu centymetrów. Promień reflektora prześlizgnął się po powierzchni w ich kierunku. Pendergast zatrzymał się i wziął głęboki wdech, by zanurzyć się w wodzie najlepiej jak potrafił. Hayward zrobiła to samo, nieomal zatapiając twarz w mule. Światło przesunęło się dokładnie nad nimi, więc policjantka sprężyła całe ciało w oczekiwaniu na strzał, ale ten nie

nastąpił.

Kiedy światło odpłynęło, podniosła się. Poza płycizną dostrzegła spore skupisko zeschniętych cyprysów i butwiejących pni. Pendergast zmierzał dokładnie w ich stronę. Hayward podążyła za nim i niecałą minutę później zajęli pozycje wśród obumarłych drzew.

Hayward pospiesznie opłukała i ponownie oczyściła swoją broń.

Pendergast wyjął les baera z kabury i zrobił to samo. Pracowali sprawnie i w milczeniu. Światło wróciło, tym razem bliżej, kierując się wprost na nich.

– Skąd pan wie, że to pułapka? – wyszeptała Hayward.

– To oczywiste. Tam jest co najmniej dwóch strzelców, którzy tylko czekają, aż strzelimy w reflektor.

– Co wobec tego robimy?

– Czekamy. W ciszy. W bezruchu.

Światło zgasło i zapanowała ciemność. Pendergast przykucnął, nieruchomy, nieodgadniony, za wielką płataniną starych pni drzew. Hayward nasłuchiwała z przejęciem. Wydawałoby się, że pośród nocy zewsząd dochodziły jakieś piski i szelesty. Odgłosy poruszających się zwierząt, skrzeczących żab. A może to byli ludzie?

Płonąca łódź w końcu zatoneła, plama palącej się benzyny raptownie zgasła i bagna pogrążyły się w chłodnych pseudociemnościach. A oni nadal czekali. Niebawem reflektor zajaśniał ponownie, jeszcze bliżej niż dotychczas.

Judson Esterhazy w sięgających do ramion, zaopatrzonych w szelki waderach przesuwiał się z niebywałą ostrożnością przez gęszcz roślinności, trzymając w dłoniach winchestera .30-30. Ta broń była o wiele lżejsza niż karabin snajperski, łatwiej było nią manewrować, a w dodatku to właśnie jej używał do polowań na jelenie jeszcze jako nastolatek. Potężna, choć smukła, wydawała się nieomal przedłużeniem jego samego.

Pomiędzy drzewami dostrzegł promień reflektora Ventury zbliżający się do miejsca, gdzie mieli się ukryć Pendergast i ta kobieta. Esterhazy zajął pozycję o jakieś sto metrów za miejscem, do którego ich zapędzili. Tamci nie zdawali sobie sprawy, że zostali pochwyceni w kleszcze i podczas gdy Ventura osaczał ich z przodu, Judson zachodził ich od tyłu, lawirując między powalonymi drzewami. Tych dwoje było jak cele na strzelnicy. Wystarczyło, żeby oddali jeden strzał – tylko jeden – aby zdołał ustalić ich położenie i zabić. A w końcu będą zmuszeni zniszczyć reflektor.

Plan był idealny, a Ventura doskonale odgrywał swoją rolę. Reflektor na długim kiju przesuwiał się powoli, niespiesznie, ale nieubłaganie zbliżając się do kryjówki agenta i policjantki. Judson widział, jak promień światła rozjaśnia płataninę cyprysowych korzeni i ogromny zbutwiały pień zwalonego drzewa; właśnie tam musieli się znajdować, bo w pobliżu nie było innej równie dogodnej kryjówki. Przesuwiał się powoli, by zwalone drzewo znalazło się

w zasięgu jego wzroku. Księżyc wspiął się wyżej na niebie i właśnie wyłonił się spomiędzy chmur, obejmując srebrzystym blaskiem najmroczniejsze zakamarki bagien. Przez moment Judson widział tamtych dwoje, skulonych za pniem zwalonego drzewa, skoncentrowanych wyłącznie na świetle na wprost nich i całkiem odsłoniętych dla kogoś, kto zachodził ich z flanki. Nawet nie musieli już zestrzeliwać reflektora.

Powoli uniósł karabin do policzka, spoglądając przez lunetę Trident Pro 2.5x. Obraz gwałtownie się przybliżył. Judson nie mógł wymierzyć do nich obojga równocześnie, ale gdyby najpierw udało mu się załatwić Pendergasta, kobieta nie stanowiłaby dla niego większego wyzwania.

Nieznacznie zmieniając pozycję, manewrował lunetą noktowizyjną, aby plecy Pendergasta znalazły się dokładnie w punkcie przecięcia nitek celownika, i przygotował się do oddania strzału.

Hayward przycupnęła za butwiejącym pniem, gdy światło reflektora zakołysało się w przód i w tył w ciemnościach, poruszając się w sposób nieskoordynowany.

Pendergast wyszeptał jej do ucha:

– Myślę, że ten reflektor jest zawieszony na tyczce.

– Na tyczce?

– Tak. Proszę spojrzeć, jak dziwnie się kołysze. To jakiś fortel. I potwierdza obecność drugiego strzelca.

Nagle Pendergast pochwyił Hayward i pociągnął do płytkiej wody, zanurzając jej twarz w błocie. Pół minuty później policjantka usłyszała nad swoją głową strzał i głucho uderzenie kuli trafiającej w drewno. Rozpaczliwie pospieszyła za Pendergastem, który pełznął przez błocko, a następnie skulił się za płataniną korzeni, przyciągając ją ku sobie. Padły kolejne strzały, tym razem zarówno z przodu, jak i z tyłu, przeszywając gmatwaninę korzeni w obu kierunkach.

– Ta osłona nie jest dobra – wyszeptała Hayward.

– Wiem, że nie jest. Nie możemy tu zostać. To tylko kwestia czasu, kiedy jedna z kul dosięgnie celu.

– Ale co możemy zrobić?

– Ja zajmę się strzelcem, który jest za nami. Kiedy stąd pójde, chcę, żeby odliczyła pani dziewięćdziesiąt sekund, strzeliła, znów odliczyła dziewięćdziesiąt sekund i strzeliła raz jeszcze. Niech pani nie zawraca sobie głowy celowaniem, chodzi mi jedynie o hałas. Proszę zadbać, żeby nie było widać błysków wystrzału... i wtedy, dopiero wtedy, po tych dwóch pierwszych zmyłkowych strzałach, niech pani zestrzeli reflektor. A później niech pani zaatakuje tego człowieka i zabije go.

– Rozumiem.

Pendergast błyskawicznie zniknął wśród bagien. W odpowiedzi huknęły kolejne strzały.

Hayward odliczyła do dziewięćdziesięciu, po czym, trzymając lufę strzelby nisko, strzeliła. Broń ryknęła i mocno kopnęła. Huk przetoczył się echem nad rozlewiskiem. Zaraz potem grad kul poszatkował korzenie tuż nad głową Hayward. Wyciągnęła się płasko w błocie i usłyszała, jak Pendergast otwiera ogień na lewo od niej; jego czterdziestkapiątka rozdarła noc hałasem wystrzałów. Tych kilka strzałów wystarczyło, by odwrócić od niej uwagę. Światło zakółsało się, ale nie przybliżyło.

Znów policzyła do dziewięćdziesięciu, pociągnęła za spust i rozległ się ogłuszający huk wielkokalibrowej broni. I znów ściągnęło to na nią zmasowany ostrzał, przerywany przez szybką serię strzałów oddanych przez Pendergasta, ale tym razem z innego miejsca. Światło wciąż się nie poruszyło.

Hayward odwróciła się, przycupnęła w błocie i z niezwykłą precyzją wycelowała w reflektor. Powoli ściągnęła spust, broń huknęła, a światło zgasło pośród kaskady iskier.

Natychmiast zerwała się i pobiegła najszybciej, jak tylko mogła, przez gęste zasychające błocko w stronę, gdzie znajdowało się źródło światła. Słyszała, jak za nią Pendergast osłania ją ogniem,

przyciskając drugiego strzelca. Dwie kule ścięły liście paproci tuż obok niej, lecz brnęła dalej z gotową do strzału bronią, aż w końcu wyłoniła się z gąszczy, by dojrzeć drugiego strzelca przykucniętego w płaskodennej łodzi. Odwrócił się w jej stronę, zaskoczony, a Hayward rzuciła się do wody, celując i strzelając równocześnie. Mężczyzna także strzelił i poczuła potężne uderzenie w nogę, po którym jej kończyna nagle zdrętwiała. Hayward jęknęła i spróbowała wstać, ale noga odmówiła jej posłuszeństwa.

Przeładowała gorączkowo, spodziewając się, że lada moment otrzyma drugi, tym razem zabójczy strzał. Ale nic takiego się nie stało i zorientowała się, że musiała trafić strzelca. Z niemałym wysiłkiem na wpeł poczołgała się, na wpeł powlokła na płyciznę, uchwyciła się okrężnicy i wycelowała do wnętrza łodzi. Strzelec leżał na dnie łódki, krew płynęła strużką z rany w jego ramieniu. Jego karabin był roztrzaskany, najwyraźniej został trafiony przez pocisk – a mężczyzna sięgał drugą ręką po pistolet. Nie był jednym z mieszkańców bagien – właściwie Hayward nigdy wcześniej go nie widziała.

– Nie ruszaj się! – warknęła, celując w niego i powstrzymując jęk bólu. Schyliła się, zabrała mu pistolet i znów wymierzyła w niego. – Teraz wstań, tylko powoli i spokojnie. Trzymaj ręce tak, żebym je widziała.

Mężczyzna jęknął i uniósł jedną rękę. Druga zwieszała się bezwładnie przy jego boku. Hayward przypomniała sobie o drugim strzelcu i starała się pozostawać schylona. Sprawdziła pistolet, zobaczyła, że magazynek jest pełny, więc wybrała tę broń, a ciężką strzelbę wrzuciła do wody. Mężczyzna jęknął; blask księżyca padał na jego tors, ciemna plama krwi powoli rozlewała się coraz szerzej z rany na ramieniu.

– Oberwałem – wychrypiał. – Potrzebuję pomocy.

– To nic groźnego – ucięła Hayward.

Sama czuła tępe pulsowanie w zranionej nodze, która stała się ciężka jak z ołowiu. Miała nadzieję, że nie wykrwawi się na śmierć.

Ponieważ była do połowy zanurzona w wodzie, strzelec nie wiedział, że ona również została trafiona. Czuła, jak pod wodą coś obija się i muska jej nogę – zapewne ryby zwabione przez wypływającą z rany krew.

Z tyłu rozległy się kolejne strzały, głośny huk czterdziestkipiątki Pendergasta mieszał się z ostrzejszym trzaskiem karabinu drugiego strzelca.

Potem zapadła cisza.

– Jak się nazywasz? – spytała Hayward.

– Ventura – odrzekł tamten. – Mike...

Trzask i męczyzna nazwiskiem Ventura został rzucony w tył, po czym z głuchym stęknieniem osunął się ciężko na dno łodzi, drgnął konwulsyjnie i znieruchomiał.

Ogarnięta nagłą paniką, Hayward przycupnęła w wodzie, przytrzymując się jedną ręką okrężnicy łodzi. Paskudne stworzenia wodne kłębiły się przy jej zranionej nodze, czuła niezliczone mrowie pijawek.

Usłyszała plusk i odwróciła się z pistoletem w rękę, by ujrzeć Pendergasta, nisko pochylonego, brnącego powoli przez wodę. Gestem dał jej znak, żeby zachowywała się cicho, po czym złapał się okrężnicy, rozejrzał się bacznie dokoła, aż w końcu jednym szybkim ruchem wślizgnął się do łodzi. Usłyszała, jak się tam krząta, zaraz jednak znów ześlizgnął się do wody i podszedł do niej.

– Nic pani nie jest? – zapytał.

– Dostałam.

– Gdzie?

– W nogę.

– Musimy wyciągnąć panią z wody.

Agent schwycił Hayward za ramię i zaczął holować ją do brzegu. Cisza była nie do opisanego, wymiana strzałów wystraszyła mieszkańców bagien tak, że wszystko w całej okolicy zamarło. Nie było słyhać plusków, szelestów, świergotu ani nawet kumkania żab. Hayward poczuła słaby prąd, a potem coś twardego

i łuskowatego otarło się o nią pod wodą. Zdusiła w sobie krzyk. Powierzchnia wody wydawała się w blasku księżyca pocętkowana i nierówna i nagle Hayward dostrzegła wylaniającą się nieopodal parę gadzich ślepi i łuskowatych nozdrzy. Przy wtórce istnej eksplozji rozbryzgiwanej wody gad rzucił się na nią i równocześnie Pendergast zaczął strzelać; poczuła, jak coś ostrego, masywnego i niepoahamowanego chwytą ją za zranioną nogę i wciąga pod wodę – przepełnił ją dojmujący ból. Pendergast wciąż trzymał ją za rękę, a Hayward zaczęła się wyrywać, usiłując się uwolnić, gdy wielki aligator ciągnął ją w stronę mulistego dna w korycie kanału. Usta wypełniła jej stęchła woda. Usłyszała kolejne strzały oddawane przez agenta tuż nad powierzchnią. Znow zaczęła się szamotać, wbiła lufę pistoletu w ciało gada i pociągnęła za spust.

Rozdzierający huk, wstrząs wywołany wystrzałem i gwałtowna spazmatyczna reakcja aligatora zlały się w jedną potężną eksplozję. Przeraźliwy nacisk szczęk rozluźnił się i Hayward wyczołgała się, dysząc ciężko.

Niemal brutalnie Pendergast doholował ją do brzegu i wyciągnął na płyciznę, by ułożyć wśród paproci. Poczuła, jak agent rozdziera nogawkę jej spodni, przemywa rany najlepiej jak może, po czym przewiązuje je porwanymi na paski kawałkami materiału.

– Drugi strzelec – wychrypiała, czując, że kręci się jej w głowie. – Dopadł go pan?

– Nie! Możliwe, że go zraniłem – wypłoszyłem go z kryjówki i widziałem jego cień, gdy wycofywał się w głąb bagien.

– Dlaczego znow nie zaczął strzelać?

– Może szuka nowego miejsca, skąd miałby lepsze warunki strzeleckie. Ten człowiek na łodzi został zabity pociskiem .30-30. To żaden z naszych.

– Przypadek? – jęknęła, próbując zagłuszyć ból.

– Raczej nie.

Hayward objęła Pendergasta ramieniem, a on pomógł jej wstać.

– Możemy zrobić tylko jedno. Musimy dotrzeć na Spanish Island.

- Ale drugi strzelec. On wciąż tam jest.
- Wiem. – Pendergast wskazał na nogę policjantki. – Ale ta rana nie może czekać.

Jedną ręką obejmując Pendergasta za szyję, Hayward brnęła przez lepkie błocko. Potykała się bez przerwy i nieraz omal nie pociągnęła agenta za sobą. Przy każdym kroku jej nogę przeszywał ból, jakby wbijano w nią rozpalone do czerwoności żelazo. Ból rozlewał się od goleni aż po udo i Hayward z trudnością powstrzymywała krzyk cisnący się jej na usta. Doskonale zdawała sobie sprawę, że gdzieś tam, w mroku, czai się strzelec. Cisza panująca na bagnach jeszcze bardziej potęgowała jej zaniepokojenie, bała się, że on gdzieś tam czeka. Pomimo potwornej duchoty i zatechłej bagiennej wody była cała rozdygotana i czuła się oszołomiona, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

– Musi pani wstać, pani kapitan – rozległ się kojący głos Pendergasta.

Uświadomiła sobie, że znów upadła. Te słowa, w dodatku silnie zaakcentowane, sprawiły, że się podniosła, zrobiła parę kroków, lecz nogi znów się pod nią ugięły. Pendergast wciąż na wpół ją dźwigał, na wpół ciągnął za sobą; jego ręce były silne jak stalowe kable, głos łagodny, kojący. Jednak błoto zaczęło stawać się coraz bardziej lepkie i głębsze i Hayward, chwiejąc się i zataczając bezwładnie, poczuła, że zapada się w grząski muł.

Agent przytrzymał ją, a policjantka z ogromnym wysiłkiem zdołała uwolnić jedną nogę, ale druga, ta zraniona, pograżyła się głęboko w błocku i pulsowała nieopisanym bólem przy każdej

próbie jej wyciągnięcia. Znow upadła w błoto, zapadając się niemal po same uda.

– Nie mogę – wykrztusiła, dysząc z bólu. – Po prostu nie mogę.

Noc wirowała szaleńczo wokół niej, w głowie czuła bolesne brzęczenie, a Pendergast uporczywie podtrzymywał ją w pozycji pionowej, jednocześnie rozglądając się pospiesznie dokoła.

– W porządku – wyszeptał.

Przez chwilę nic nie mówił, zaraz jednak usłyszała, jak po cichu coś rozdziera – marynarkę od garnituru. Ciemne bagna, drzewa, księżyc, wszystko to wirowało w obłądnym tańcu. Wokół niej unosiła się chmara komarów, wdzierały się do jej nosa i uszu, rycząc jak lwy. Znow osunęła się w błoto, pragnąc w duchu, aby ten grząski grunt był łóżkiem w jej domu na Manhattanie, żeby była teraz bezpieczna w ciepłej sypialni, a obok niej spał smacznie Vinnie...

Ocknęła się, gdy Pendergast zakładał na jej przedramiona coś w rodzaju prymitywnej uprzęży. Przez chwilę się z nim mocowała, zdezorientowana, ale uspokoił ją, dotykając ręką jej dłoni.

– Wyciągnę panią. Proszę się rozluźnić.

Pokiwała głową, gdy z wolna zrozumiała, co się dzieje.

Pendergast założył dwa paski uprzęży na ramiona Hayward i zaczął ją ciągnąć. W pierwszej chwili nawet nie drgnęła. Wreszcie błoto zaczęło rozluźniać swój zasysający uścisk i policjantka na wpeł wypłynęła, na wpeł została wywleczona z wodnistej bagniska. Wysokie drzewa wznosiły się nad nią, czarnosrebrzyste w blasku księżyca; ich splatające się konary i liście tworzyły cętkowany wzór światła i cieni. Hayward przez moment zastanawiała się, gdzie ukrywa się strzelec, dlaczego nie słyszała kolejnych strzałów. Mogło minąć pięć minut albo równie dobrze pół godziny; straciła poczucie czasu.

Nagle Pendergast znieruchomiał.

– Co się stało? – jęknęła.

– Widzę światło między drzewami.

Pendergast nachylił się nad Hayward i przyjrzał się jej uważnie. Była w szoku. Ponieważ pokrywała ją warstwa błota, trudno było określić, ile straciła krwi. Blask księżyca padł na jej twarz, upiornie bladą w miejscu, gdzie nie była oblepiona czarną mazią. Delikatnie podniósł ją do pozycji siedzącej, poluzował szelki uprząży i oparł ją plecami o pień drzewa, maskując jej położenie liśćmi paproci. Zmoczył szmatkę w mętnej wodzie, by zmyć trochę błota z rany na nodze, i zdjął przy tym liczne pijawki przyczepione do ciała policjantki.

– Jak się pani czuje, pani kapitan?

Hayward przełknęła ślinę, jej usta poruszyły się. Zamrugęła, nie mogąc odzyskać ostrości wzroku. Sprawdził jej puls, był płytki, przyspieszony. Nachylił się i wyszeptał jej do ucha:

– Muszę tu panią zostawić. Ale tylko na chwilę.

Przez moment jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. W końcu jednak pokiwała głową i wykrztusiła ochryple:

– Rozumiem.

– Ktokolwiek mieszka na Spanish Island, wie, że tu jesteśmy. Ci ludzie na pewno usłyszeli strzały. Prawdę mówiąc, drugi strzelec mógł przybyć ze Spanish Island i możliwe, że czeka tam na nas. Stąd ta cisza. Muszę podejść tam bardzo ostrożnie i po cichu. Proszę pokazać mi swój pistolet.

Wziął od niej broń, trzydziestkędwójkę, sprawdził magazynek, po

czym na powrót wbił magazynek w kolbę i włożył jej pistolet do rąk.

– Zostały pani cztery naboje. Gdybym nie wrócił... może ich pani potrzebować. – Położył jej na udach latarkę. – Proszę jej nie używać bez potrzeby. Niech pani wypatruje błysku oczu w świetle księżyca. Niech pani zwraca uwagę na rozstaw pomiędzy nimi. Jeżeli wynosi więcej niż pięć centymetrów, będzie to najpewniej aligator albo nasz strzelec. Rozumie pani?

Ponownie skinęła głową, ściskając pistolet w dłoniach.

– To dobra kryjówka. Nikt pani nie zobaczy, dopóki sama pani tego nie zechce. Ale proszę posłuchać mnie bardzo uważnie: nie wolno pani zasnąć. Utrata przytomności oznacza śmierć.

– Niech pan już lepiej idzie – wymamrotała.

Pendergast wlepił wzrok w ciemność. Słaba żółtawa poświata była ledwie widoczna między grubymi konarami drzew. Agent wyjął nóż i wyrył dużą literę X po dwóch stronach najgrubszego pnia. Pozostawił Laurę Hayward, by ruszyć na południe, ku odległym światłom, po zacieśniającej się spiralnej trajektorii.

Szedł wolno, wyciągając stopy z blocka jak najostrożniej, by nie narobić hałasu. Od strony odległego światła, które migotało i znikało wśród ciemnych pni, nie dochodziły żadne odgłosy ani oznaki jakiegokolwiek aktywności. Kiedy drzewa przerzedziły się, oczom agenta ukazał się mętnawożółty prostokąt: zasłonięte okna odcinające się pośród czerni, skupisko rozmytych, słabo widocznych budynków z dachami krytymi papą. Dziesięć minut później Pendergast zbliżył się na tyle, że mógł już przyjrzeć się wyraźnie staremu myśliwskiemu obozowi na Spanish Island.

Był to rozległy zaniedbany kompleks wznoszący się tuż nad linią wody na kreozotowych palach: ponad dziesięć dużych, krytych dachówką budynków rozstawionych w pobliżu ogromnego zagajnika starych bezlistnych cyprysów obwieszonych ciężkimi kotarami mchu hiszpańskiego. Wysepka znajdowała się na skraju niewielkiego spokojnego zalewiska. Obóz zbudowano na nieco

wyższym terenie otoczonym parawanem paproci, krzewów i wysokich trzcin. Gęsta roślinność w połączeniu z niemal nieprzeniknioną zasłoną mchu zwisającego z drzew sprawiała wrażenie, jakby miejsce to znajdowało się wewnątrz olbrzymiego kokonu.

Pendergast podchodził do obozowiska z boku, wciąż je okrążając, wypatrując strażników i orientując się w jego układzie. Po jednej stronie duży drewniany podest prowadził do pirsu z pływającą platformą skierowaną w głąb zalewiska. Cumowała przy niej niezwykła łódź, w której Pendergast rozpoznał wojskową jednostkę wielozadaniową z czasów wojny w Wietnamie. Była to hybryda łodzi używanej na zalewiskach, z zanurzeniem na zaledwie siedem i pół centymetra i niemal bezgłośnym silnikiem o napędzie odrzutowym, którego dysze wylotowe umieszczono pod wodą – idealna do poruszania się po bagnach. Choć niektóre budynki popadły w ruinę, a ich dachy pozapadały się, centralna część obozu pozostawała w dobrym stanie i najwyraźniej ktoś w niej mieszkał. Duża przybudówka też była w nienagannym stanie. W oknach zaciągnięto ciężkie zasłony rozrzedzające słabą żółtą poświatę płynącą ze środka. Pendergast bardzo się zdziwił, gdyż najwyraźniej nie było tu żadnych strażników. Wokoło panowała grobowa cisza. Czekał, nasłuchując. I nagle coś wychwyił: słaby, smętny szloch, wysoki i ptasi, na granicy słyszalności, jak odgłos rozpaczy kogoś, kto stracił wszelką nadzieję. Ten dźwięk zaraz ucichł, a wówczas na bagnach zapanowała kompletna, niczym niezmacona cisza.

Pendergast wyjął les baera i obszedł obóz od tyłu, wpełzając w gęste paprocie na skraju pali podporowych. Znów nasłuchiwał, ale nie rozległy się żadne kroki na drewnianych deskach powyżej, nie odnotował też żadnego błysku światła ani głosów. Do jednego z pali przymocowano toporną drewnianą drabinkę wykonaną z listewek, śliskich teraz i butwiejących. Po kilku minutach agent na wpół podczołgał się, na wpół podpłynął do niej. Uchwycił się

dolnego szczebla, podciągnął w górę i zaczął się wspinać, sprawdzając wytrzymałość każdego szczebla. Po chwili jego głowa znalazła się na poziomie platformy. Rozejrzał się pospiesznie w świetle księżyca i ponownie zdziwił, ponieważ i tutaj nie było żadnych strażników.

Wspiął się na platformę, przeturlał po szorstkich, drewnianych deskach i wyciągnął się na nich z pistoletem gotowym do strzału. Wytężając słuch, odniósł wrażenie, że wychwytuje jakiś głos, wyjątkowo cichy, nawet jak na jego wyczulony słuch, mamrotanie, powolne i monotonne, jakby ktoś odmawiał różaniec. Księżyc znajdował się teraz dokładnie ponad obozowiskiem, oświetlając je wraz z okolicznymi drzewami łagodną srebrzystą poświatą. Agent odczekał jeszcze chwilę. Następnie wstał, podbiegł i skrył się wśród cieni przy najbliższej przybudówce, przywierając płasko do ściany. Z okna z zaciągniętymi zasłonami płynęło słabe światło, które padało na drewnianą platformę.

Centymetr po centymetrze Pendergast przesuwiał się naprzód, pokonując załom budynku, po czym schylił się, by przepełznąć pod drugim oknem. Pokonał drugi róg budynku i w ten sposób dotarł do drzwi. Były stare, rozchybotane, z zardzewiałymi zawiasami i farbą odłazającą płatami. Z największą ostrożnością sięgnął dłonią do klamki, nacisnął, ale okazało się, że drzwi były zamknięte na klucz. Sforsowanie zamka zajęło mu chwilę. Czekał przykucnięty.

Żadnych odgłosów.

Powoli nacisnął klamkę, pchnięciem uchylił drzwi, po czym wślizgnął się do środka i z pistoletem w dłoni zlustrował wnętrze pokoju. Jego oczom ukazał się duży, elegancki, choć odrobinę zapuszczony salon. Po jednej stronie wznosił się masywny kamienny kominek, nad którym powieszono wypchanego, a teraz już nieco pleśniejącego aligatora na ozdobnej tablicy, obramowanie kominka zaś zdobiła kolekcja fajek z korzenia wrzośca oraz pęknięta gazownica. Pod jedną ze ścian znajdował się pusty stojak na strzelby oraz gabłota z niszczącymi wędkami, przynętami

i muszkami. Meble obite skórą w kolorze burgunda, w większości połatane i popękane ze starości, ustawiono wokół wygasłego kominka. Pokój wydawał się zakurzony, rzadko z niego korzystano. Jak na tak ogromną przestrzeń salon był zdumiewająco pusty.

Gdzieś z góry dobiegł odgłos stąpania i ciche mamrotanie. Pokój był oświetlony kilkoma wiszącymi lampami naftowymi, ale przykręcono je do minimum i w efekcie w salonie panował półmrok. Pendergast zdjął jedną lampę, podkręcił knot, by zrobiło się jaśniej, i przeszedł przez pokój do wąskich, wyłożonych grubą wykładziną schodów na drugim krańcu salonu. Powoli zaczął się wspinać po stopniach. Różnica między parterem a piętrem była zasadnicza. Żadnych ciężkich, porozstawianych wszędzie mebli, feerii barw, kształtów ani wzorów. Gdy dotarł do szczytu schodów, jego oczom ukazał się długi korytarz, z sypialniami po obu stronach, zapewne pochodzący z czasów, kiedy w obozie podejmowano gości za opłatą. Brakowało jednak typowych dekoracji, krzeseł, obrazów i regałów z książkami. Otwarte drzwi ukazywały puste pokoje. Okna przesłonięto gazą, zapewne, by ograniczyć dostęp światła. Wszystko było w stonowanych pastelowych kolorach, nieomal w czerni i bieli. Nawet dziury po sękach skrzętnie pozalepiano.

Na końcu korytarza widać było uchylone większe drzwi, spoza ich krawędzi sączyło się światło. Pendergast miękko jak kot przeszedł przez korytarz. Ostatnie dwie sypialnie, które minął, najwyraźniej wciąż wykorzystywano. Jedna była bardzo duża i elegancka, choć mimo wszystko spartańska, ze świeżo poślany łóżkiem, łazienką za ścianą i garderobą – a także z lustrem weneckim z widokiem na drugą, przyległą sypialnię, mniejszą i bardziej surową, gdzie jedyny mebel stanowiło duże, podwójne łóżko.

Pendergast podkradł się do drzwi na końcu korytarza i nasłuchiwał przez chwilę. Dopiero teraz usłyszał słabe pulsowanie generatora. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk – wszystko tonęło w ciszy.

Stanął z boku i nagle błyskawicznym ruchem obrócił się na palcach stopy, drugą nogą wymierzając potężne kopnięcie w drzwi. Otworzyły się na oścież, a Pendergast w tej samej chwili rzucił się na podłogę. Rozległ się ogłuszający huk i wystrzał z dubeltówki trafił w drzwi ponad nim, wyrrywając z drewna fragment wielkości piłki do koszykówki i zasypując go gradem drzazg. Zanim jednak strzelec zdążył oddać kolejny strzał z broni załadowanej grubym śrutem, Pendergast wykorzystał impet skoku, by przeturlać się i poderwać z podłogi. W chwili gdy drugi wystrzał rozniósł w drobny mak nieduży stolik przy drzwiach, agent już dopadł strzelca, oplatając silnym ramieniem smukłą kobietą szyję. Wyszarpnął strzelbę z rąk napastniczki i odwrócił ją, by ujrzeć wysoką, olśniewająco piękną kobietę.

– Może mnie pan już puścić – powiedziała ze spokojem.

Pendergast puścił ją i cofnął się, celując do kobiety z czterdziestki-piątki.

– Proszę się nie ruszać – powiedział. – I trzymać ręce tak, żebym je widział.

Pospiesznie spenetrował pokój i zdziwiło go to, co zobaczył: w pokoju zainstalowano najnowocześniejsze urządzenia do ratowania życia, nową lśniąca aparaturę medyczną do monitorowania ogólnego stanu zdrowia pacjenta, do mierzenia tętna i poziomu tlenu, monitor bezdechu, respirator, pompę infuzyjną, defibrylator, przenośny aparat rentgenowski i kilkanaście cyfrowych urządzeń diagnostycznych. Wszystko zasilane energią elektryczną.

– Kim pan jest? – spytała kobieta.

Głos miała lodowaty; odzyskała już pewność siebie. Ubrana była prosto i elegancko, w jasnokremową sukienkę bez żadnych wzorów, nie nosiła biżuterii, ale miała staranny makijaż i nienaganną fryzurę. Pendergast był pod wrażeniem drapieżnej inteligencji kryjącej się w głębi jej stalowobłękitnych oczu. Rozpoznał ją niemal natychmiast ze zdjęć z archiwum w Baton Rouge.

– June Brodie – powiedział.

Jej twarz pobladła, ale tylko nieznacznie. W pełnej napięcia ciszy, jaka wówczas zapadła, zza drzwi na drugim końcu pokoju dobiegł zduszony, słaby krzyk, bólu lub może rozpacz. Pendergast odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę.

Kiedy June Brodie ponownie się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała nuta niezmaconego spokoju.

– Obawiam się, że pańska niespodziewana wizyta zaniepokoiła mojego pacjenta. To niedobrze. Bardzo niedobrze.

73

– Pacjenta? – spytał Pendergast.

Brodie nie odpowiedziała.

– Pomówimy o tym później – rzekł Pendergast. – A tymczasem moja współpracownica jest ranna. Zostawiłem ją na bagnach, niedaleko stąd. Potrzebuję pani łodzi. I tych narzędzi.

Kiedy nie doczekał się reakcji, machnął pistoletem.

– Brak natychmiastowej i pełnej współpracy może okazać się dla pani wyjątkowo niezdrowy.

– Nie musi mi pan grozić.

– Obawiam się, że muszę. Czy mam przypomnieć, kto oddał pierwszy strzał?

– Wpada pan tu jak oddział specjalny, niby czego się pan spodziewał?

– Może odłożymy pogawędki na później? – rzucił chłodno Pendergast.

– Moja współpracownica jest ciężko ranna.

Wciąż niesamowicie opanowana, June Brodie odwróciła się, nacisnęła przycisk ściennego interkomu i władczym tonem powiedziała:

– Mamy gości. Przygotuj się na przyjęcie ciężko rannej pacjentki i spotkaj się z nami na przystani. Weź ze sobą nosze.

Brodie wyszła z pokoju, nie oglądając się na Pendergasta, który ruszył za nią korytarzem, przez cały czas trzymając w ręku

pistolet. Zeszła po schodach, minęła salonik, opuściła budynek i przeszła przez platformę do pirsu z pływającym dokiem. Zwinnie wsiadła do łódki i odpaliła silnik.

– Proszę odcumować łódź – powiedziała. – I niech pan schowa tę pukawkę.

Pendergast wsunął pistolet za pasek i odcumował łódkę. Brodie wrzuciła wsteczny, żeby odbić od przystani.

– Jest jakiś kilometr na północny wschód stąd – rzekł Pendergast, wskazując ręką w ciemność. – W tę stronę – dodał. – Na bagnach jest uzbrojony mężczyzna. Ale pani zapewne już o tym wie. Może jest ranny, a może nie.

June spojrzała na niego.

– Chce pan ratować swoją koleżankę czy nie?

Pendergast wskazał na panel kontrolny łodzi.

Kobieta bez słowa zwiększyła prędkość i pomknęli wzdłuż błotnistych brzegów zalewiska. Po kilku minutach zwolniła, by wpłynąć do niewielkiego kanału wijącego się to w jedną, to w drugą stronę, jego odnogi rozdzielały się i łączyły w labiryncie dróg wodnych. Brodie radziła sobie na bagnach tak sprawnie, że Pendergast nie mógł uwierzyć, iż to w ogóle możliwe; przez cały czas trzymała się meandrycznego kanału, który nawet przy silnym blasku księżyca był prawie niewidoczny.

– Bardziej w prawo – powiedział, spoglądając między drzewa.

Nie używali świateł, przy blasku księżyca widoczność była większa, a poza tym tak było bezpieczniej. Łódź sunęła przez kanały, kilkakrotnie omal nie lądując na mieliźnie, ale potężny silnik zawsze w porę ratował jej pasażerów z opresji.

– Tam – powiedział Pendergast, wskazując znak na pniu drzewa.

Łódź leniwie zatrzymała się przy błotnistym brzegu.

– Dalej się nie da – rzuciła krótko Brodie.

Pendergast odwrócił się do niej, obszukał ją szybko i sprawnie, czy nie ma ukrytej broni, po czym rzekł półgłosem:

– Proszę tu zostać. Ja pójdę po moją partnerkę. Proszę dalej

współpracować, a dożyje pani świtu.

– Powtarzam, nie musi pan mi grozić – powiedziała.

– To nie groźba, tylko wyjaśnienie.

Pendergast przeszedł ponad burtą łodzi i zaczął brnąć przez błoto.

– Kapitan Hayward? – zawołał.

Bez odpowiedzi.

– Lauro?

Wciąż tylko cisza.

Chwilę później klęczał już przy policjantce. Wciąż była w szoku, półprzytomna, z głową opartą o butwiejący pniak. Rozejrzał się na wszystkie strony, nasłuchując w poszukiwaniu szelestu albo trzasku gałązki; wypatrywał refleksu światła odbitego od metalu, który mógłby zdradzić obecność strzelca. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc ujął Hayward pod pachy i powlókł ją przez błota w stronę łodzi, po czym przełożył ją przez burtę. Brodie ujęła wiotkie ciało i pomogła ułożyć je na dnie łodzi, następnie bez słowa włączyła silnik. Przepłynęli przez kanał, po czym wrócili szybko do obozowiska.

Gdy zbliżyli się do przystani, ich oczom ukazał się mężczyzna w białym szpitalnym fartuchu, czekający przy pirsie z noszami. Pendergast i Brodie wynieśli Hayward z łodzi i ułożyli na noszach, a mężczyzna potoczył wózek noszowy przez platformę do budynku. On i Pendergast wnieśli nosze po schodach, przez hol, do nowocześnie urządzonego pokoju przerobionego na OIOM, gdzie policjantka została położona przy aparaturze do podtrzymywania życia.

Kiedy przekładali Hayward z wózka noszowego na łóżko, June Brodie zwróciła się do niskiego, ubranego na biało mężczyzny.

– Zaintubuj ją – rzuciła oschle. – Ustno-tchawiczo. I podaj tlen.

Mężczyzna zabrał się do roboty, wkładając rurkę intubacyjną do ust Hayward i podając tlen. Oboje pracowali szybko, sprawnie i energicznie, co wskazywało, że mieli za sobą wiele lat

doświadczenia.

– Co się stało? – Brodie zwróciła się do Pendergasta, odcinając nożyczkami chirurgicznymi ciężką od błota nogawkę.

– Rana postrzałowa i ugryzienie aligatora.

Brodie pokiwała głową, po czym zbadała puls Laury Hayward, zmierzyła jej ciśnienie i sprawdziła wrażliwość źrenic na światło. Ruchy były wyćwiczone, wysoce profesjonalne.

– Podwieś dekstran – zwróciła się do mężczyzny ubranego na biało. – Kroplówka 14g IV.

Gdy mężczyzna wykonywał polecenia, kobieta przygotowała igłę i pobrała próbkę krwi do strzykawki, by umieścić ją w lampie próżniowej. Następnie ze sterylnej tacy wzięła skalpel i kilkoma szybkimi, zręcznymi cięciami usunęła resztę nogawki.

– Irygacja.

Mężczyzna podał jej dużą strzykawkę wypełnioną fizjologicznym roztworem soli, a kobieta zmyła brud i błoto, zdejmując przy tym z ciała rannej kilka pijawek i wrzucając wszystko do pojemnika na odpady medyczne. Zrobiła znieczulenie miejscowe w okolicy paskudnych śladów ukąszenia i rany od kuli. Pracowała pilnie, ale zarazem spokojnie, oczyszczając wszystko roztworem soli i środkiem antyseptycznym. Na koniec podała pacjentce antybiotyk i opatrzyła ranę. Uniosła wzrok i spojrzała na Pendergasta.

– Nic jej nie będzie.

Jak na zawołanie Hayward otworzyła oczy i wydała dźwięk, który wypłynął przez rurkę ustno-tchawiczą. Poruszyła się na łóżku operacyjnym, uniosła rękę i wskazała na rurkę.

Po krótkim badaniu June poleciła usunięcie rurki.

– Uznałam, że lepiej będzie się zabezpieczyć niż później żałować – wyjaśniła.

Hayward z trudem, boleśnie przełknęła ślinę, po czym rozejrzała się wokoło, odzyskując ostrość widzenia.

– Co się dzieje?

– Została pani uratowana przez ducha – wyjaśnił Pendergast. –

Przez ducha June Brodie.

Hayward spojrzała kolejno na rozmyte, niewyraźne postacie, po czym spróbowała usiąść. Wciąż kręciło jej się w głowie.

– Proszę pozwolić, że ja to zrobię. – Brodie wyciągnęła rękę i podniosła oparcie chirurgicznego łóżka. – Była pani w lekkim szoku – powiedziała. – Ale już niedługo odzyska pani pełną sprawność. Albo raczej powinnam powiedzieć, że wróci pani do prawie pełnej sprawności, zważywszy na warunki.

– Moja noga...

– Nie ma trwałych uszkodzeń. Powierzchnowa rana i paskudne ugryzienie aligatora. Zaaplikowałam znieczulenie miejscowe, ale kiedy przestanie działać, będzie trochę bolało. Będzie pani potrzebowała kolejnych zastrzyków, mam na myśli antybiotyki, w paszczy aligatora roi się od najobrzydliwszych bakterii. Jak się pani czuje?

– Żywa – odparła Hayward, siadając. – Co to za miejsce? – Popatrzyła na June. – June... June Brodie?

Rozejrzała się wokoło. W jakim obozie myśliwskim mogło znajdować się coś takiego? OIOM z najnowocześniejszą aparaturą do ratowania życia? A jednak nigdy dotąd nie widziała takiego OIOM-u. Światło było zbyt przyćmione, a pomijając aparaturę medyczną, w pomieszczeniu nie było nic więcej – żadnych książek, obrazów, plakatów ani nawet krzeseł.

Hayward przełknęła ślinę i pokręciła głową, żeby uporządkować

myśli.

– Dlaczego zainscenizowała pani samobójstwo?

June cofnęła się i popatrzyła na nią.

– Zakładam, że musicie być tymi funkcjonariuszami, którzy prowadzą śledztwo w sprawie Longitude Pharmaceuticals. Kapitan Hayward z policji nowojorskiej i agent specjalny Pendergast.

– Tak, to my – powiedział Pendergast. – Pokazałbym pani moją odznakę, ale obawiam się, że przepadła w zalewisku.

– To nie będzie konieczne – odparła chłodno Brodie. – Może nie powinnam odpowiadać na jakiegokolwiek pytania, zanim skontaktuję się z moim adwokatem.

Pendergast spojrzał na nią z powagą.

– Nie jestem w nastroju do użerania się z kimkolwiek – powiedział cichym, groźnym tonem. – Odpowie pani na każde pytanie, które pani zadam, i do diabła z adwokatami czy prawem Mirandy.

Odwrócił się do ubranego na biało mężczyzny.

– Proszę stanąć obok niej.

Niski mężczyzna pospiesznie wykonał polecenie.

– Czy to ten pacjent? – Pendergast zwrócił się do June Brodie. – Ten, o którym wspomniała pani wcześniej?

Pokręciła głową.

– Tak pan nas traktuje po tym, jak pomogliśmy pańskiej partnerce?

– Proszę mnie nie drażnić.

Brodie zamilkła.

Pendergast popatrzył na nią, a na jego twarzy malował się groźny wyraz.

– Odpowie pani na wszystkie moje pytania i to wyczerpująco. Zaczniemy już teraz. Rozumiemy się?

Kobieta pokiwała głową.

– Po pierwsze: co ma znaczyć całe to medyczne wyposażenie? Kto jest pani pacjentem?

– Ja nim jestem – rozległ się cichy, urywany, świszczący głos, w chwili gdy otworzyły się drzwi na drugim końcu pokoju. – Całe to wyposażenie jest dla mnie.

Postać stała w ciemnościach tuż za drzwiami. Wysoka, nieruchoma, wychudzona sylwetka przywodząca na myśl stracha na wróble była prawie niewidoczna w mroku poza obszarem OIOM-u. Mężczyzna zaśmiał się, ten dźwięk zabrzmiał prawie jak westchnienie. Po chwili cień bardzo wolno postąpił z ciemności w półmrok i tylko nieznacznie podniósł głos.

– Jestem Charles J. Slade!

75

Judson Esterhazy zwiększył obroty silnika Merc 250 i skierował motorówkę na południe, płynąc przez stary kanał flisacki z nadmierną, niebezpieczną prędkością. Zmusił się, by ją zredukować i wyciszyć myśli. Nie ulegało wątpliwości, że nadszedł czas, by zapobiec dalszym stratom i zwinąć żagle. Zostawił Pendergasta i ranną kobietę daleko na bagnach, bez łodzi, półtora kilometra od Spanish Island. Czy uda im się tam dotrzeć czy nie, na razie nie stanowiło dla niego większego problemu; był bezpieczny i uznał, że już pora na strategiczny odwrót. Będzie musiał podjąć zdecydowane działania i to już niebawem, ale na razie lepiej zaszyć się gdzieś i wylizać rany, by powrócić do gry z nowymi siłami.

A jednak dręczyło go niepokojące przeczucie, że Pendergast dotrze do Spanish Island. I zważywszy na wszystko, co zaszło pomiędzy nim a mieszkańcem wyspy, ciężko mu było pozostawić Slade'a samemu sobie, bezbronnego.

W głębi duszy wiedział, że tak się stanie, przeczuwał to, odkąd Pendergast pojawił się w Savannah, by podzielić się z nim tą przekłętą nowiną. Ten człowiek wydawał się mieć nadprzyrodzone zdolności. Dwanaście lat starannie opracowanego oszustwa zostało zniweczonych zaledwie w dwa tygodnie. A wszystko przez niewyczyszczonej lufę dubeltówki. Niewiarygodne, jak takie drobne przeoczenie mogło doprowadzić do tak poważnych konsekwencji.

On zresztą też dał plamę wzmianką o Audubonie i New Madrid, ale tylko dlatego, że zaskoczyła go wizyta Pendergasta.

Ale przynajmniej nie popełnił błędu i nie zlekceważył tego człowieka... w przeciwieństwie do wielu innych ludzi, którzy później srodze tego pożałowali. Pendergast nie miał pojęcia o jego zaangażowaniu w sprawę ani o tym, jakiego asa ma on w rękawie. A on wiedział, że te tajemnice Slade zabierze ze sobą do grobu – czy gdziekolwiek indziej. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Płynąca łódź wywoływała złudzenie lekkiego wietrzyku, wysoko w górze migotały gwiazdy, na niebie rozświetlonym blaskiem księżyca odcinały się czarne kontury drzew. Kanał flisacki zwęzał się i spłycał. Esterhazy coraz bardziej się uspokajał. Istniało prawdopodobieństwo – aczkolwiek niewielkie – że Pendergast i ta kobieta umrą na bagnach, zanim dotrą do obozowiska.

Bądź co bądź kobieta zarobiła od niego kulkę. Mogła wykrwawić się na śmierć. A nawet gdyby rana nie była śmiertelna, przetransportowanie jej przez bagna pełne aligatorów, węży wodnych, pijawek i uciążliwych komarów musiało być prawdziwym piekłem.

Zwolnił, gdy łódź dotarła do zablokowanego przez muł końca kanału. Wyłączył silnik, wyciągnął go z wody i sięgnął po tyczkę. Komary, o których pomyślał zaledwie przed chwilą, zaczęły się roić wokół jego głowy, lądując na jego szyi i uszach. Judson zaklął i machnął energicznie ręką. Mulisty kanał rozgałęział się, a on raz po raz kontrolował głębokość wody. Księżyc wisiał wysoko na niebie, a na bagnach było niemal tak jasno jak w dzień. Północ: sześć godzin do świtu.

Esterhazy próbował wyobrazić sobie spotkanie na Spanish Island, kiedy już tam dotrą, ale było to zbyt przygnębiające i frustrujące. Splunął do wody i odegnał od siebie ponure myśli. To już go nie dotyczyło. Nie powinien się tym przejmować. Ventura dał się złapać tej Hayward, skończony głupiec, ale nie zdążył pisać

słowa, zanim Judson wpakował mu kulę w łeb. Blackletter nie żył; wszyscy, którzy mogli go powiązać z Projektem Aves, byli martwi. Nie dało się już zamknąć dzina Projektu Aves z powrotem w butelce. Jeżeli Pendergast przeżył, wszystko się wyda, ale teraz najważniejszą rzeczą było usunięcie dowodów na jego udział w tej sprawie. Wydarzenia minionego tygodnia uświadomiły Judsonowi jedno: Pendergast dojdzie prawdy. To tylko kwestia czasu. Właśnie dlatego Pendergast musi umrzeć.

Tym razem jednak Judson sam zajmie się wszystkim. I to on zdecyduje, kiedy i gdzie zginie agent Pendergast. Stanie się to, gdy Pendergast nie będzie się tego spodziewał, w dogodnym miejscu i czasie. Ten człowiek nie był niezniszczalny, a Esterhazy znał już jego słabości i wiedział, jak może je wykorzystać. To głupie, że nie zorientował się wcześniej. W jego umyśle zaczął się formować plan. Prosty, czysty, skuteczny.

Głębokość kanału zwiększyła się na tyle, że można było opuścić silnik do wody. Judson popłynął powoli przez kanały, kierując się na zachód i przez cały czas monitorując poziom wody pod kilem. Powinien jeszcze przed świtem dotrzeć do Missisipi. Zatopi łódź gdzieś na zalewisku i powróci z bagien jako zupełnie inny człowiek.

Przypomniał sobie fragment ze *Sztuki wojennej* Sun Zi:

Ubiegnij przeciwnika, przejmując, co jest mu drogie, i postaraj się zadać mu cios w wybranym przez siebie czasie i miejscu.

Te słowa idealnie pasowały do jego obecnej sytuacji.

Widok zjawy, która stanęła w drzwiach, sparaliżował Laureę Hayward. Mężczyzna wzrostu co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć był chudy, wymizerowany, miał zapadnięte policzki, ciemne, duże, wodniste oczy, grube brwi i niedogolony zarost na policzkach. Włosy, długie do ramion, białe, zaczesane do tyłu, kręciły się za uszami. Miał na sobie szarografitową marynarkę od Brooks Brothers, narzuconą na szpitalną koszulę, a w jednym ręku trzymał krótki bicz. Drugą przytrzymywał się stojaka na kółkach do kroplówki.

Hayward odniosła wrażenie, jakby mężczyzna pojawił się znikąd, tak cicho i bezszelestnie się poruszał. Jego oczy były przekrwione, wręcz wydawały się prawie purpurowe – nie toczył wzrokiem dokoła, jak można tego oczekiwać po szaleńcu, lecz wodził nim od jednej osoby do drugiej, a spojrzeniem zdawał się przenikać na wskroś. Kiedy popatrzył na policjantkę, wyraźnie się skrzywił i zamknął oczy.

– Nie, nie, nie – wymamrotał głosem cichym jak szept wiatru.

June Brodie sięgnęła po zapasowy kitel laboratoryjny i narzuciła na ubłoconą koszulę policjantki.

– Żadnych jaskrawych kolorów – szepnęła do Hayward. – I proszę wykonywać tylko powolne ruchy.

Slade znów otworzył oczy, ale zrobił to z wyraźnym ociąganiem. Wyraz bólu nieznacznie zelżał. Rozluźniając uchwyt na stojaku,

powoli uniósł dużą, poprzecinaną mnóstwem żył rękę w geście niemal biblijnej powagi. Dłoń rozwarła się, długie palce zadrżały nieznacznie i palec wskazujący wycelował w Pendergasta. Duże oczy wpatrywały się w agenta FBI.

– To pan jest tym człowiekiem, który chce się dowiedzieć, kto zabił jego żonę.

Głos miał cienki jak papier ryżowy, a jednak przepełniała go dziwna buta i pewność siebie.

Pendergast nie odpowiedział. Wydawał się oszołomiony, jego podarty garnitur wciąż ociekał błotem, jasne włosy miał brudne i zmierzwiłone.

Slade wolno opuścił rękę do boku.

– To ja zabiłem pańską żonę.

Pendergast uniósł pistolet.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie, zaczekaj... – rzuciła June.

– Cisza – warknął gniewnie Pendergast.

– Otóż to – wychrypiał Slade. – Cisza. Kazałem ją uciszyć. Helen Esterhazy Pendergast.

– Charles, ten człowiek ma broń – powiedziała June cichym, lecz stanowczym głosem. – On cię zabije.

– Bzdura – uniósł i zgiął sękaty palec. – Wszyscy kogoś straciliśmy.

On żonę. Ja syna. Tak to już jest. – Po czym powtórzył z silnym naciskiem, lecz tym samym słabym głosem: – Ja straciłem syna.

June Brodie odwróciła się do Pendergasta, mówiąc cicho:

– Nie wolno go zmuszać do mówienia o synu. To spowodowałoby regres, a poczyniliśmy już takie postępy! – Z jej gardła dobył się zduszony szloch.

– Musiałem ją zabić. Zamierzała nas ujawnić... zdemaskować. To było bardzo niebezpieczne... dla nas wszystkich...

Oczy Slade'a rozszerzyły się nagle jak w wyrazie przerażenia, gdy niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w pustą ścianę.

– Dlaczego tu jesteś? – rzucił w pustkę. – Jeszcze nie czas!

Powoli uniósł bicz nad głową i opuścił go na swoje plecy, raz, drugi, trzeci, ze znaczną siłą. Po każdym kolejnym uderzeniu robił chwiejnie krok naprzód, a na ziemię posypały się strzępy podartej marynarki. Uderzenia najwyraźniej pomogły mu wrócić do rzeczywistości. Wyprostował się, jego wzrok nie był już mętny. W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Widzisz? – Kobieta zwróciła się do Pendergasta. – Nie prowokuj go, na miłość boską. Zrobi sobie krzywdę.

– Nie prowokować go? Zamierzam zrobić o wiele więcej.

Złowieszczy ton Pendergasta zmroził Hayward do szpiku kości. Czowała się osaczona, bezradna, bezbronna, przykuta do łóżka z podłączoną kroplówką. Schwyciła rurki i wyrwała igły tkwiące w ciele. Następnie spuściła nogi na podłogę i wstała z łóżka, choć natychmiast zakręciło jej się w głowie.

– Ja się tym zajmę – rzekł do niej Pendergast.

– Proszę pamiętać – przypomniała Hayward. – Obiecał pan, że go nie zabije.

Pendergast zignorował ją i wciąż patrzył na tamtego. Wzrok Slade'a znów stał się nieostry, jakby mężczyzna ujrzał coś, czego tam nie było. Jego usta dziwnie się poruszały, spierzchnięte wargi drżały, napinając się, wypowiadając bezgłośnie słowa, które Hayward zaczęła stopniowo wychwytywać: „Idź sobie, odejdz, idź precz...”. Znów chlasnął się biczem przez plecy i to raz jeszcze wróciło go do rzeczywistości. Drżącą ręką sięgnął energicznie po stojak i zwieszającą się z niego kroplówkę, naciskając ją mocno i zdecydowanie. Narkotyki, pomyślała. Jest uzależniony. Oczy starca wywróciły się w oczodołach, ale trwało to tylko chwilę.

– To prosta historia – rzekł, gdy odzyskał rezon. Głos miał cichy, ochryply. – Helen... błyskotliwa kobieta. Niezła, apetyczna dupeczka... zakładam, że niezle się razem zabawialiście, co?

Hayward zauważyła, że pistolet w dłoni Pendergasta drżał leciutko, pomimo iż agent kurczowo ścisnął kolbę broni.

– Dokonała odkrycia... – Kolejne westchnienie i wzrok Slade'a utracił ostrość; mężczyzna znów wpatrywał się w pusty kąt, jego wargi drżały i szeptały niezrozumiałe słowa. Ręka trzymająca bicz zatrzepotała bezładnie.

Pendergast postąpił naprzód i wymierzył mu siarczasty policzek.

– Mów dalej.

Slade wrócił do siebie.

– Jak to mawiają w filmach? Dzięki, tego mi było trzeba!

Staruszek zatrząsał się lekko w przyływie milczącego rozbawienia.

– Tak, Helen... Jej odkrycie było dość niezwykle. Zakładam, że mógłby mi pan już opowiedzieć większość tej historii, panie Pendergast? Zgadza się?

Pendergast skinął głową.

Z zapadniętej piersi Slade'a dobył się suchy kaszel, a jego wychudzonym ciałem wstrząsnął spazmatyczny skurcz. Zachrypiął i powłócząc nogami, podszedł, by znów zaaplikować sobie porcję narkotyku. Po chwili mówił dalej:

– Przyszła ze swoim odkryciem do nas, skontaktowała się przez pośrednika i tak narodził się Aves, projekt badań nad wirusem ptasiej grypy. Miała nadzieję, że w wyniku tych badań uda się wyprodukować cudowny lek, którego skutkiem ubocznym będzie rozwój zdolności twórczych pacjenta. Bądź co bądź w wypadku Audubona tak właśnie było, przynajmniej przez pewien czas. Spotęgowanie pracy umysłu. Lek ostateczny...

– Dlaczego zarzuciliście te badania? – spytał Pendergast.

Jego beznamiętny ton nie zmylił Hayward, gdyż znowu zauważyła lekkie drżenie dłoni, w której trzymał pistolet. Policjantka nigdy dotąd nie widziała go równie wzburzonego, tak bliskiego utraty panowania nad sobą.

– Bo były drogie. Przerażliwie drogie. Zaczęło nam brakować pieniędzy pomimo wdrożonych przez nas surowych cięć budżetowych. – Slade uniósł rękę i wolno, bardzo wolno wykonał

zamaszysty ruch, wskazując wewnątrz pokoju.

– A więc to tu były prowadzone prace – rzekł Pendergast. – Wasze laboratorium mieściło się na Spanish Island.

– Bingo. Po co budować drogie laboratorium bioinżynierii o najwyższym poziomie bezpieczeństwa, z komorami ciśnieniowymi, kombinezonami ochronnymi i całą resztą? Mogliśmy stworzyć nasz ośrodek tu, na bagnach, oszczędzając przy tym zbędnych wydatków. Mogliśmy tu przechowywać żywe kultury bakterii i wykonywać naprawdę niebezpieczną pracę w miejscu, gdzie nikt nie mógł patrzeć nam na ręce i gdzie nie docierali wścibscy inspektorzy agencji rządowych.

Więc to dlatego przy Longitude od strony bagien znajdowała się przystań, pomyślała Hayward.

– A papugi? – spytał Pendergast.

– Trzymano je w Longitude. W kompleksie numer sześć. Ale jak już wspomniałem, pomyłki się zdarzały. Jeden z naszych ptaków uciekł i zaraził rodzinę. Katastrofa? Nie, wtedy powiedziałem całej ekipie: Oto sposób na zaoszczędzenie milionów na procedurach eksperymentalnych. Czekajmy cierpliwie i obserwujmy, co się wydarzy!

Slade znów dał się ponieść milczącemu rozbawieniu; jego niedogolone jabłko Adama zafalowało groteskowo. Smarki pociekły mu z nosa, brudząc marynarkę od garnituru. Odchrząknął i splunął flegmą na podłogę. Mówił dalej:

– Helen była przeciwna naszym poczynaniom. Zachowywała się jak krzyżowiec. Kiedy dowiedziała się o rodzinie Doane'ów, nawiasem mówiąc tuż przed waszym małym safari, zamierzała nas ujawnić, zdemaskować, donieść o nas władzom, i to nie bacząc za jaką cenę. Zamierzała to zrobić zaraz po powrocie z Afryki. – Rozłożył ręce. – Czy mogliśmy postąpić inaczej? Musieliśmy ją zabić.

Pendergast wtrącił półgłosem:

– My, czyli kto?

– Grupa Aves składała się z kilku osób. Tu obecna droga June wtedy jeszcze o niczym nie wiedziała. Utrzymawałem ją w niewiedzy prawie do samego pożaru. Podobnie jak starego dobrego Carltona. – Skinął na milczącego mężczyznę.

– Poproszę o nazwiska.

– Zna je pan wszystkie. Blackletter. Ventura. Nawiasem mówiąc, gdzie jest Mike?

Pendergast nie odpowiedział.

– Pewnie za pańską sprawą gnije gdzieś na bagnach. Do diabła z panem, Pendergast. Był nie tylko najlepszym szefem ochrony, jakiego można sobie wymarzyć, ale także ogniwem łączącym nas z rzeczywistością. Cóż, mógł pan zabić Venturę, ale nie jego. – W tonie głosu Slade’a pobrzmiwała duma. – A jego nazwiska nie zdradzę. Chcę je zachować w tajemnicy, aby miał pan małą niespodziankę w bliżej nieokreślonej przyszłości. Może to on odpłaci panu za to, co zrobił pan z Mikiem Venturą. – Zachichotał. – Założę się, że pojawi się, kiedy najmniej będzie się pan tego spodziewał.

Pendergast ponownie uniósł pistolet.

– Nazwisko.

– Nie! – krzyknęła June.

Slade znów się skrzywił.

– Nie tak głośno, moja droga, bardzo proszę.

Brodie odwróciła się do Pendergasta, splatając dłonie w niemal błagalnym geście.

– Proszę nie robić mu krzywdy! – wychrypiała z przejęciem. – To dobry człowiek. Bardzo dobry. Musi pan zrozumieć, panie Pendergast, że on także jest ofiarą.

Pendergast przeniósł wzrok na nią.

– Widzi pan – ciągnęła – podczas prac nad Projektem Aves doszło do jeszcze jednego wypadku. Charles sam się zaraził.

Jeżeli te słowa były dla Pendergasta zaskoczeniem, nie okazał tego.

– Podjął decyzję o zabiciu mojej żony, zanim zachorował – odparł

beznamiętnie.

– To wszystko należy już do przeszłości – stwierdziła. – Nic jej panu nie zwróci. Nie może pan odpuścić?

Pendergast spojrział na nią błyszczącymi oczami.

– Charles prawie umarł – ciągnęła. – I wtedy on... on wpadł na pomysł, żebyśmy przenieśli się tutaj. Mój mąż... – wskazała na milczącego mężczyznę stojącego z boku – ... dołączył do nas później.

– Pani i Slade byliście kochankami – powiedział Pendergast.

– Tak. – Nawet się nie zapłoniła. Wyprostowała się. – Jesteśmy kochankami.

– I przenieśliście się tutaj, żeby się ukryć? – ciągnął Pendergast.
– Ale po co?

Nie odpowiedziała.

Pendergast odwrócił się do Slade'a.

– To nie ma sensu. Uporał się pan z chorobą, zanim jeszcze przeniósł się pan na bagno. Oznaki choroby psychicznej jeszcze się nie pojawiły. Było na to za wcześnie. Po co przeniósł się pan na bagno?

– Carlton i ja zajmujemy się nim – odparła pospiesznie Brodie. – Utrzymujemy go przy życiu... Bardzo trudno jest panować nad tą chorobą... Proszę zakończyć to przesłuchanie, denerwuje go pan...

– Ta choroba – rzekł Pendergast, przerywając jej zdecydowanym ruchem ręki. – Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Wpływa na blokujące i pobudzające obwody w mózgu – wyszeptała z naciskiem Brodie, jakby chciała przykuć jego uwagę.
– Zalewa mózg doznaniem fizycznymi – bodźcami wzrokowymi, słuchowymi i dotykowymi. To zmutowana odmiana flawiwirusa. Początkowo symptomy są takie jak przy ostrym zapaleniu mózgu. Pacjent, jeżeli przeżyje, zdawałoby się, że powraca do zdrowia.

– Tak jak w przypadku Doane'ów – zachichotał Slade. – O tak, dokładnie tak jak w przypadku Doane'ów. Obserwowaliśmy ich bardzo uważnie.

– Ale ten wirus szczególnie upodobał sobie wzgórze – ciągnęła

Brodie.

– Zwłaszcza CKB.

– Ciało kolankowate boczne – wyjaśnił Slade, uderzając się mocno biczem.

– Podobnie jak wirus półpaśca – ciągnęła pospiesznie Brodie – który zagnieżdża się w zwoju czuciowym nerwu rdzeniowego i po latach, a nawet po dziesiątkach lat, może spowodować nawrót choroby. W końcu jednak zabija neurony swojego nosiciela.

– Ostateczny rezultat to szaleństwo – wyszeptał Slade.

Wzrok mu zmętniał, a wargi zaczęły się poruszać coraz szybciej.

– I to wszystko – Pendergast wskazał trzymanym w dłoni pistoletem – kroplówka z morfiną, bicz mają na celu odcięcie go od nieustannego zalewu bodźców z zewnątrz?

Brodie potaknęła.

– Rozumie pan zatem, że on nie odpowiada za to, co mówi. Może uda się nam przywrócić go do poprzedniego stanu. Staramy się o to od lat. Wciąż nie tracimy nadziei. To dobry człowiek, dobry lekarz, uzdrowiciel, który zawsze ciężko pracował i wykonywał dobrą robotę.

Pendergast uniósł pistolet nieco wyżej. Twarz miał białą jak marmur, garnitur wisiał na nim w strzępach.

– Nie obchodzi mnie dobra praca, jaką wykonywał. Chcę tylko jednego: nazwiska ostatniej osoby związanej z Projektem Aves.

Slade jednak już powrócił do swojego świata, bełkocząc coś w pustą przestrzeń, a jego palce podrygiwały spazmatycznie. Schwycił stojak, a całym jego ciałem wstrząsały silne dreszcze, stojak zachybotał. Dopiero dwa naciśnięcia pojemnika z kroplówką pozwoliły mu się opanować.

– Pan go torturuje! – szepnęła June.

Pendergast zignorował ją i spojrzał na Slade'a.

– To pan podjął ostateczną decyzję o zabiciu jej?

– Tak. Z początku inni byli temu przeciwni. W końcu jednak zrozumieli, że nie mają wyboru. Nie dało się jej ułagodzić,

przekonać ani przekupić. Dlatego zabiliśmy ją i to w jakże przemyślny sposób! Została pożarta przez tresowanego lwa. – Znów zaśmiał się bezgłośnie.

Pistolet w dłoni Pendergasta zadrżał silniej niż dotychczas.

– Chaps, chaps, mniem, mniem – wyszeptał Slade, a w jego oczach malowały się radość i euforia. – Ach, Pendergast, nie ma pan pojęcia, jaką puszkę Pandory otworzył pan, rozpoczynając to śledztwo. Obudził pan śpiącego psa, kopiąc go w tyłek.

Pendergast wycelował.

– Obiecał pan – powiedziała stanowczo Laura Hayward.

– On musi umrzeć – wyszeptał jakby do siebie Pendergast. – Ten człowiek musi umrzeć.

– Ten człowiek musi umrzeć – rzekł drwiąco Slade i na moment jego głos wzniósł się ponad szept. – Zabij mnie, proszę. Wyzwól mnie z tej niedoli!

– Obiecał pan – powtórzyła Hayward.

Nagle, jakby pokonując niewidzialnego przeciwnika, z którym toczył fizyczny pojedynek, Pendergast gwałtownym szarpnięciem opuścił rękę. Postąpił krok w stronę Slade'a, obrócił pistolet w dłoni i podał tamtemu kolbą do przodu.

Slade schwycił broń i wyszarpnął ją z uścisku Pendergasta.

– O Boże – zawołała Brodie. – Co pan wyprawia? On na pewno pana zabije!

Slade wprawnym ruchem odciągnął zamek, przeładowując broń, po czym wolno uniósł pistolet i wycelował w Pendergasta. Na jego wychudzonym obliczu pojawił się złowieszczy uśmiezek.

– Poślę cię tam, dokąd posłałem tę sukę, twoją żonkę.

Jego palec powoli zaczął zaciskać się na spuście.

– Chwileczkę – rzekł Pendergast. – Zanim pan strzeli, chciałbym z panem porozmawiać. To zajmie minutę. Ale na osobności.

Slade spojrział na agenta; wielki pistolet wyglądał prawie jak zabawka w jego sękatą dłoń. Przytrzymał się słupka kroplówki.

– Niby o czym?

– Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

Slade przyglądał mu się przez chwilę.

– Marny ze mnie gospodarz. Zapraszam do mojego gabinetu.

June Brodie próbowała zaprotestować, ale Slade ruchem ręki, w której trzymał pistolet, wskazał Pendergastowi drzwi.

– Goście przodem – mruknął.

Pendergast rzucił Laurze Hayward ostrzegawcze spojrzenie, po czym zniknął w mrocznym przejściu.

Korytarz był wyłożony cedrową boazerią pomalowaną na szaro. Z oświetlenia w suficie płynęło łagodne światło, rozjaśniając grubo tkaną, pluszową, jednobarwną wykładzinę. Slade szedł powoli za Pendergastem, kółka stojaka od kroplówki obracały się bezgłośnie.

– Ostatnie drzwi po lewej – powiedział.

Pokój, który służył Slade'owi za gabinet, był niegdyś pomieszczeniem, w którym składowano upolowaną zwierzynę. Na ścianie wisiała tarcza do gry w strzałki, stało tu także kilka krzeseł i dwa stoliki pod ścianą z szachownicami do warcabów i szachów na blatach. Stół do snookera pod przeciwległą ścianą najwyraźniej

pełnił funkcję biurka Slade'a; na wyłożonej filcem powierzchni nie było nic prócz starannie poskładanych chusteczek i pisma z krzyżówkami, podręcznika do rachunku różniczkowego i całkowego i kilku starych biczów, których końcówki postrzępiły się od częstego używania. Stare bile z widocznymi pęknięciami na powierzchni spoczywały zapomniane w jednej z łuz. Poza tym wielki pokój był prawie pusty. W drzwiach zaciągnięto cienkie firanki. Pomieszczenie przywodziło na myśl grobowiec.

Slade bardzo ostrożnie zamknął drzwi.

– Niech pan siada.

Pendergast przysunął do siebie wiklinowy fotel i postawił na grubym dywanie przed biurkiem. Slade podtoczył stojak z kroplówką za biurko i bardzo wolno, ostrożnie usiadł w jedynym w gabinecie fotelu klubowym. Nacisnął wypukłość w kroplówce, a jego powieki zatrzepotały, gdy morfina trafiła do krwiobiegu, westchnął, po czym wycelował pistolet w Pendergasta.

– No dobra – powiedział prawie szeptem. – Mów pan, co masz powiedzieć, żebym mógł cię wreszcie rozwalić. – Uśmiechnął się słabo. – Oczywiście zrobi się bałagan. Ale June to posprząta. Jest dobra w sprzątaniu po mnie bałaganu.

– Właśnie – powiedział Pendergast. – Wcale mnie pan nie zastrzeli.

Slade zakasłał delikatnie.

– Nie?

– Właśnie o tym chciałem z panem pomówić. To pan się zastrzeli.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić?

Zamiast odpowiedzieć, Pendergast wstał i podszedł do zegara z kukułką wiszącego na jednej ze ścian. Pociągnął przeciwwagę do góry, ustawił czas za dziesięć dwunasta, po czym koniuszkiem palca pchnął wahadło, by puścić je w ruch.

– Jedenasta pięćdziesiąt? – powiedział Slade. – To niewłaściwa godzina.

Pendergast znów usiadł. Slade czekał. Ciszę wypełniło tykanie

uruchomionego zegara z kukułką. Slade jakby nieco zeszytniał. Jego wargi zaczęły się poruszać.

– Zabije się pan, bo tego domaga się sprawiedliwość – rzekł Pendergast.

– Dla pańskiej satysfakcji, jak mniemam.

– Nie, by pokrzyżować mi szyki.

– Nie zabiję się – powiedział głośno Slade; to były pierwsze słowa, które nie brzmiały jak wątpy szept.

– Mam nadzieję, że pan tego nie zrobi – powiedział Pendergast, wyłuskując dwie bile do snookera z narożnej łuzy. – Bo widzi pan, ja chcę pana żywego.

Slade rzucił.

– To, co pan mówi, nie ma sensu. Nawet dla szaleńca.

Pendergast zaczął obracać bile w dłoni. Manipulował nimi w palcach tak, że raz po raz się zderzały.

– Proszę przestać – wysyczał Slade, krzywiąc się. – Nie lubię tego.

Pendergast stuknął bilami nieco głośniej.

– Miałem zamiar pana zabić. Teraz jednak, kiedy widzę, w jakim jest pan stanie, uświadomiłem sobie, że najokrutniejszą karą byłoby pozostawić pana przy życiu. Nie ma dla pana lekarstwa. Pańskie cierpienie będzie trwało, potęgując się w miarę upływu czasu i pańskiego coraz bardziej postępującego zniedołężnienia, pański umysł zaś będzie stopniowo pograżał się w otchłani szaleństwa. Śmierć byłaby wyzwoleniem.

Slade wolno pokręcił głową, jego wargi drżały, z ust popłynął potok bełkotliwych, niezrozumiałych słów. Jęknął, jakby z bólu, po czym znów zaaplikował sobie morfinę.

Pendergast sięgnął do kieszeni i wyjął małą ampułkę z czarnymi, drobnymi granulkami. Usypał z nich cienką czarną kreskę na brzegu stołu bilardowego.

Poczynania agenta znowu zwróciły na niego uwagę Slade'a.

– Co pan robi?

– Zawsze noszę przy sobie odrobinę aktywowanego węgla. Jest przydatny do wielu testów w terenie, jako naukowiec musi pan to wiedzieć. Ale ma również właściwości eteryczne. – Z innej kieszeni Pendergast wyciągnął zapalniczkę i pospiesznie podpalił granulki od jednego końca. – Na przykład dym, który emituje, ma zwyczaj unosić się, tworząc przepiękne, ulotne wzory. Ale towarzyszący temu zapach nie jest wcale nieprzyjemny.

Slade gwałtownie się cofnął. Pistolet, który na chwilę opuścił do podłogi, znowu uniósł i wycelował w Pendergasta.

– Niech pan to zgasi.

Pendergast zignorował go. Dym uniósł się wężowato w nieruchomym powietrzu, zwijając się w pętle. Agent rozsiadł się wygodnie w fotelu, tak by stara wiklina lekko zatrzeszczała. Równocześnie znów zderzył ze sobą trzymane w dłoni bile.

– Widzi pan, ja wiedziałem, albo przynajmniej domyślałem się, na czym polega natura pańskiej choroby. Nigdy jednak nie przestałem się zastanawiać, jak trudne jest to do zniesienia. Każde skrzypnięcie, zgrzytnięcie czy stuknięcie wdziera się wprost do mózgu. Świergot ptaków, blask promieni słonecznych, zapach domu... Być udręczonym przez każdy najdrobniejszy nawet bodziec przesyłany do mózgu przez pięć zmysłów, żyć na granicy szaleństwa każdego dnia, w każdej godzinie, w każdej minucie. I wiedzieć, że nic nie można na to poradzić, absolutnie nic. Nawet pański, ee, niezwykle związek z June Brodie nie jest w stanie zapewnić panu nic więcej poza tymczasowym, krótkotrwałym zapomnieniem.

– Jej mąż utracił męskość podczas Pustynnej Burzy – powiedział Slade – wskutek wybuchu miny pułapki. Ja tylko wypełniłem powstały wakat, że się tak wyrażę.

– Jakie to szlachetne – rzekł Pendergast.

– Wypchaj się pan ze swoją konwencjonalną moralnością. Nie potrzeba mi jej. A poza tym słyszał pan, co mówiła June. – Szalony błysk w oczach Slade'a nieco osłabł i teraz wydawał się prawie

normalny. – Pracujemy nad lekiem.

– Widział pan, co się stało z Doane'ami. Jest pan biologiem. Wie pan równie dobrze jak ja, że nie ma nadziei na wytworzenie lekarstwa. Komórek nerwowych nie da się zastąpić ani odtworzyć. Uszkodzenia są trwałe i nieodwracalne. Wie pan o tym.

Slade znów na chwilę odpłynął, jego usta poruszały się coraz szybciej, świst wydechu przypominał syk powietrza wychodzącego z przebitej dętki, kiedy powtarzał raz po raz:

– Nie! Nie! Nie! Nie! Nie!

Pendergast obserwował go, kołysząc się, a bile w jego dłoni przesuwały się coraz szybciej przy wtórze suchych trzasków. Zegar tykał, dym się unosił.

– Mimowolnie zwróciłem uwagę, że wszystko tutaj zostało urządzone tak, by zniwelować wszelkie gwałtowniejsze bodźce zmysłowe. Grube dywany, wytłumione ściany, neutralne barwy, prosty wystrój, suche, chłodne, pozbawione zapachu powietrze, zapewne specjalnie filtrowane.

Slade zaczął skomleć, jego wargi poruszały się, gdy wyrzucał z siebie prawie niesłyszalne, bełkotliwe słowa. Uniósł bicz i zadał sobie cios.

– A jednak nawet w takich warunkach, nawet z kontrbodźcem, który daje panu bicz, leki i ciągle dozowanie morfiny, to w dalszym ciągu za mało. Wciąż przeżywa pan nieustanne katusze. Czuje pan podłogę pod stopami, czuje pan plecy, które opierają się o fotel, widzi pan wszystko w tym pokoju. Słyszysz pan mój głos. Zalewa pana tysiąc innych doznań, których nawet nie wyliczę, ponieważ mój umysł podświadomie je filtruje. Pan jednakże nie jest ich w stanie wyłączyć. Żadnego z nich. Proszę posłuchać stukotu tych bil! Przyjrzeć się smużkom dymu! Wsłuchać się w nieustający upływ czasu.

Slade zaczął dygotać w fotelu.

– Nienienienienienienieeeee!

Z jego ust wydobyło się niekończące się słowo. Strużka śliny

spłynęła z kącika ust i starł ją gwałtownym ruchem ręki.

– Zastanawiam się, czym musi być dla pana jedzenie – ciągnął Pendergast. – Wyobrażam sobie, że czymś okropnym, ten silny smak potraw, lepka konsystencja, smak i kształt kawałków jedzenia w ustach ześlizgujących się w dół przełyku... Czy to dlatego jest pan taki chudy? Bez wątpienia nie rozkoszował się pan posiłkiem ani trunkiem – mam na myśli rozkoszowanie się w całym tego słowa znaczeniu – od dobrych dziesięciu lat. Smak to kolejny z niechcianych zmysłów, którego nie może się pan pozbyć. Założę się, że kroplówka służy nie tylko do podawania morfiny, ale również do dożylnego karmienia, mam rację?

– Nienienienienienienienie...

Slade rozpaczliwie sięgnął po bicz, upuszczając go na stół. Pistolet zadrżał mu w dłoni.

– Smak potraw... łagodnego, dojrzałego camemberta, kawioru białugi, wędzonego jesiotra, nawet najprostszej jajecznicy, tosta i dżemu byłyby nie do zniesienia. Może papki dla niemowląt, te najbanalniejsze, bez cukru, przypraw i o nijakiej konsystencji byłyby jeszcze do przełknięcia. Oczywiście tylko na specjalne okazje. – Pendergast pokiwał głową ze współczuciem. – No i nie może pan spać, mam rację? Trudno się dziwić, gdy osacza pana taka nawałnica doznań. Mogę to sobie wyobrazić. Leżeć na łóżku i wychwytywać najcichsze odgłosy: korniki buszujące w drewnie, bicie własnego serca, odgłosy samego domu, popiskiwanie myszy. Nawet po zamknięciu oczu wzrok pana zdradza, bo ciemność ma własny kolor. Im ciemniej w pokoju, tym więcej rzeczy dostrzega pan swoim wyczulonym wzrokiem. I te obrazy pozostają nawet pod powiekami. A potem wszystko, dosłownie wszystko napiera na pana w jednej chwili, stale i bez przerwy.

Slade krzyknął, zakrywając uszy dłońmi wykrzywionymi jak szpony, jego ciało zadygotało, rurka kroplówki zakołysała się w tę i z powrotem. Ten dźwięk rozdarł ciszę i zabrzmiał wyjątkowo donośnie, a całe ciało Slade'a drgnęło konwulsyjnie.

– Właśnie dlatego zabije się pan – rzekł Pendergast. – Może pan to zrobić. Zapewniłem panu środek do osiągnięcia tego celu. Trzyma go pan w ręku.

– Aaaaaaaaach! – wrzasnął Slade, a konwulsyjne drzenie jego ciała było reakcją zwrotną na ten krzyk.

Pendergast zakołysał się silniej, krzesło zaskrzypiało, bile w ręku agenta wirowały coraz szybciej.

– Mogłem to zrobić, kiedy tylko zechciałem! – krzyknął Slade. – Dlaczego miałbym teraz? Teraz, teraz, teraz, teraz, teraz?

– Wcześniej nie mógł pan tego zrobić – zaoponował Pendergast.

– June ma broń – rzucił Slade. – Pistolet, bardzo ładny, ładniutki.

– Nie wątpię, że trzyma go pod kluczem.

– Mógłbym przedawkować morfinę! Usnąć, zasnąć, usnąć!

Jego głos przeszedł w nieartykułowany bełkot.

Pendergast pokręcił głową.

– Jestem pewien, że June dba równie skrupulatnie o dawkę morfiny, do której ma pan dostęp. Domyślam się, że noce są najtrudniejsze, tak jak dziś, kiedy szybko zażywa pan dozwoloną dawkę, nie mogąc liczyć na kolejną, a w perspektywie mając niekończącą się, bezkresną noc.

– Aaaaaaaaach! – wrzasnął Slade przejmującym, zawodzącym tonem.

– Szczerze mówiąc, jestem pewien, że ona i jej mąż dbają o to, by ograniczać pańskie życie na niezliczone sposoby. Nie jest pan jej pacjentem, lecz więźniem.

Slade pokręcił głową, jego usta poruszały się spazmatycznie, bezgłośnie.

– Ale pomimo jej stałej opieki – ciągnął Pendergast – aplikowanych leków i być może bardziej egzotycznych sposobów przykucia pańskiej uwagi nie jest pan w stanie powstrzymać tego natłoku doznań. Zgadza się?

Slade nie odpowiedział. Nacisnął przycisk wyzwalający morfinę,

raz, drugi, trzeci, ale najwyraźniej nic już nie popłynęło z kroplówki. Osunął się ciężko do przodu, uderzając z trzaskiem czołem o stół, po czym gwałtownie uniósł głowę, a jego wargi zacisnęły się spazmatycznie.

– Zazwyczaj uważam samobójstwo za oznakę tchórzostwa – mówił Pendergast. – Jednak w pańskim wypadku to jedyne sensowne rozwiązanie. Bo dla pana życie naprawdę jest nieskończenie gorsze od śmierci.

Slade wciąż nie odpowiadał. Raz po raz uderzał głową o stół.

– Nawet najslabsze bodźce są dojmująco bolesne – ciągnął Pendergast. – To dlatego pańskie otoczenie jest tak spartańskie, tak minimalistyczne. Ja jednak wprowadziłem do niego kilka nowych elementów. Mój głos, zapach węgla, kształt i barwę dymu, skrzypienie krzesła, stukot bil, tykanie zegara. Domyślam się, że w obecnej chwili jest pan jak nabrzmiałe naczynie, bliskie pęknięcia.

Mówił dalej cichym, hipnotycznym głosem:

– Za niecałe pół minuty kukułka zacznie kukać. Dwanaście razy. Naczynie pęknie. Nie wiem, ile odgłosów kukułki jest pan w stanie wytrzymać, zanim przyłoży pan sobie lufę tego pistoletu do skroni. Cztery, pięć, może nawet sześć. Ale wiem, że zrobi pan z niego użytek, ponieważ odgłos wystrzału z tego pistoletu, ten ostatni dźwięk, jest dla pana jedynym rozwiązaniem. Jedynym wyjściem. Tylko on może pana wyzwolić. Proszę uznać to za mój prezent dla pana.

Slade uniósł wzrok. Czoło w miejscu, gdzie uderzał o stół, miał zaczerwienione, a jego gałki oczne poruszały się jakby niezależnie od siebie.

Uniósł pistolet, celując w Pendergasta, opuścił rękę i ponownie ją uniósł.

– Żegnam, doktorze Slade – rzekł Pendergast. – Jeszcze tylko kilka sekund. Pozwoli pan, że je odliczę. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Hayward czekała, siedząc na brzegu wózka noszowego w pokoju pełnym aparatury medycznej. Pozostałe osoby, które się tu znajdowały – June Brodie i jej milczący małżonek – stały jak dwa posągi przy przeciwległej ścianie, nasłuchując. Od czasu do czasu dochodził jakiś odgłos – krzyk wściekłości albo rozpacz, dziwny bełkotliwy śmiech, inne jednak zostały starannie wytłumione przez specjalne dźwiękoszczelne ściany.

Widziała oba wyjścia – to prowadzące do gabinetu Slade’a i to wiodące do schodów na dół i od wyjścia z budynku. Miała aż nazbyt bolesną świadomość, że drugi strzelec wciąż gdzieś tam był i że w każdej chwili mógł się tu zjawić. Sięgnęła po broń i sprawdziła magazynek.

Znów podążyła wzrokiem w stronę drzwi, za którymi zniknęli Pendergast i Slade. Co się działo? Rzadko w życiu czuła się gorzej – kompletnie wyczerpana, utyłana w błocie i z silnym, tęnym bólem pulsującym w nodze, bo właśnie przestawał działać zaaplikowany jej środek przeciwbólowy. Minęło co najmniej dziesięć minut, może kwadrans, odkąd wyszli, ale jakiś szósty zmysł nakazywał jej usłuchać polecenia Pendergasta i pozostać na miejscu. Obiecał, że nie zabije Slade’a – i musiała w to uwierzyć, bo choć o Pendergastie można było powiedzieć wiele, nieodmiennie pozostawał dżentelmenem dotrzymującym danego słowa.

W tej samej chwili rozległ się huk – odgłos wystrzału z pistoletu.

Całym pokojem wstrząsnął stłumiony dźwięk. Hayward uniosła broń, a June Brodie z krzykiem podbiegła do drzwi.

– Stój! – zawołała Hayward. – Zostań na miejscu.

Nie było żadnych innych dźwięków. Minęła minuta, dwie. A potem cicho trzasnęły zamykane drzwi. Po chwili w wyłożonym dywanem korytarzu dały się słyszeć kroki. Hayward usiadła prosto, a jej serce było jak szalone.

Do pokoju wszedł agent Pendergast.

Spojrzała na niego. Pod grubą warstwą błota wydawał się bledszy niż zwykle, ale poza tym nic mu nie było. Popatrzył kolejno na trzy znajdujące się w pokoju osoby.

– Slade...? – spytała Hayward.

– Nie żyje – padła odpowiedź.

– Zabił go pan! – krzyknęła June Brodie, mijając Pendergasta i wbiegając do korytarza.

Agent nie zrobił nic, żeby ją zatrzymać.

Hayward ześlizgnęła się z wózka noszowego, ignorując ból przeszywający jej nogę.

– Sukinsynu, obiecałeś...

– Zginął z własnej ręki – wyjaśnił.

Znieruchomiała.

– Samobójstwo? – spytał Brodie, odzywając się po raz pierwszy. – To niemożliwe.

Hayward spojrzała na Pendergasta.

– Nie wierzę. Powiedział pan Vinniemu, że zabije tego człowieka, i zrobił pan to.

– Zgadza się – odrzekł Pendergast. – Poprzysiągłem, że to zrobię. Mimo to zrobiłem jedynie tyle, że mówiłem do niego. Na ostateczny krok zdobył się sam.

Hayward chciała powiedzieć coś jeszcze, ale powściągnęła się. Stwierdziła, że nie chce wiedzieć nic więcej. Co miało znaczyć „mówiłem do niego”? Wzdrygnęła się.

Pendergast przyglądał jej się z uwagą.

– Przypominam pani kapitan, że Slade zlecił zabójstwo. Nie on go dokonał. Wciąż jest jeszcze sporo do zrobienia.

Po chwili wróciła June Brodie. Pochlipywała cicho. Mąż podszedł do niej i próbował ją objąć, ale bezceremonialnie odtrąciła jego rękę.

– Nic nas tu już nie trzyma – rzekł do Laury Pendergast. Odwrócił się do June. – Obawiam się, że będziemy musieli pożyczyć waszą łódź. Dopilnujemy, abyście jutro ją odzyskali. Ktoś ją wam dostarczy.

– Uzbrojony po zęby oddział specjalny policji, jak przypuszczam?
– odparła z rozgoryczeniem kobieta.

Pendergast pokręcił głową.

– Nie ma powodu, aby ktoś jeszcze miał się o tym dowiedzieć. Wydaje mi się, że w interesie nas wszystkich jest, by nigdy się to nie stało. Sugeruję, abyście spalili ten budynek do fundamentów, a potem wyjechali stąd na zawsze. Opiekowaliście się szaleńcem w ostatnich dniach jego życia i jeżeli o mnie chodzi, na tym ta sprawa zaczyna się i kończy. Powinniście wymyślić jakąś przekonującą historyjkę, aby ograniczyć do minimum zainteresowanie władz wami czy Spanish Island.

– Szaleniec – przerwała mu June Brodie, nieomal wypluwając z siebie to słowo. – Tak go pan nazywa. Ale on był kimś więcej. Był dobrym człowiekiem. Robił dobrą robotę, wspaniałą robotę. Gdybym mogła go uleczyć, wróciłby do swojej pracy. Próbowałam to panu uświadomić, ale pan nie chciał słuchać. Nie słuchał pan... – Głos zaczął jej się łamać i choć z trudem, spróbowała się opanować.

– Jego stan był nieodwracalny – powiedział chłodno Pendergast.
– Nieuleczalny. I obawiam się, że jego eksperymentalne popierdółki nie były w stanie zadośćuczynić za morderstwo popełnione z zimną krwią.

– Popierdółki? Popierdółki? On zrobił to! – June szturchnęła się w pierś palcem wskazującym.

– To? – powtórzył Pendergast.

Na jego ubabranym błotem obliczu pojawił się wyraz zdziwienia. I nagle zdumienie prysło.

– Skoro tyle pan wie o mnie, musiał pan słyszeć o mojej chorobie – kontynuowała Brodie.

Pendergast pokiwał głową.

– Stwardnienie zanikowe boczne. Teraz rozumiem. To tłumaczy ostatnie pytanie, jakie mi się nasuwało: dlaczego przeniosła się pani na bagna, zanim Slade popadł w obłąd.

– Nie rozumiem – wtrąciła Hayward.

– Choroba Lou Gehriga – wyjaśnił Pendergast policjantce, po czym zwrócił się do June: – Nie wykazuje pani obecnie żadnych symptomów choroby.

– To dlatego, że nie jestem już chora. Po swoim wyzdrowieniu Charles na pewien czas stał się... geniuszem. Niezwykłym geniuszem. Tak właśnie działa na człowieka wirus ptasiej grypy. Nawiedziły go pomysły... cudowne pomysły. Idee mające pomóc mnie, a także innym. Stworzył metodę leczenia stwardnienia zanikowego bocznego, produkując złożone proteiny hodowane w kultywowanych żywych komórkach. Pierwsze z tak zwanych biologików, Charles pierwszy je wytworzył, sam jeden, wyprzedzając swoje czasy o dziesięć lat. Aby prowadzić swoje prace, musiał odizolować się od świata. I dokonał tego wszystkiego właśnie tutaj.

– Teraz rozumiem, dlaczego ten pokój wydaje się więcej niż tylko pokojem szpitalnym – powiedział Pendergast. – To laboratorium eksperymentalne.

– Jest nim. Albo raczej było. Zanim... zanim się zmienił.

– To niesamowite – stwierdziła Hayward. – Dlaczego nie podzieliliście się tym wszystkim ze światem?

– To niemożliwe – odparła niemal szeptem June Brodie. – On miał to wszystko w głowie. Błagaliśmy go, ale nigdy tego nie spisał. A potem jego stan się pogorszył i już było za późno. Właśnie dlatego chciałam przywrócić go do poprzedniego stanu. Kochał mnie.

Uleczył mnie. A teraz tajemnica tego leku umarła wraz z nim.

Kiedy odpływali ze Spanish Island, ciężkie chmury przesłoniły księżyc. Światła było niewiele, dla snajpera czy dla nawigatora, i Pendergast prowadził łódź bardzo wolno, odgłos silnika ledwie się rozchodził, kiedy przebijali się przez gęstą roślinność. Hayward siedziała na dziobie, a obok niej leżała para kul zabranych z obozu. Myślała intensywnie.

Przez blisko pół godziny nie zamienili ani słowa. W końcu Hayward poruszyła się i przeniosła wzrok na Pendergasta pilotującego łódź za pomocą tylnej konsoli.

– Dlaczego Slade to zrobił? – spytała.

Oczy agenta rozbłysły, kiedy na nią spojrział.

– Dlaczego zniknął? – ciągnęła. – Dlaczego zaszył się na tych bagnach?

– Musiał wiedzieć, że jest zarażony – odrzekł po chwili Pendergast. – Widział, co spotkało innych. Uświadomił sobie, że postrada zmysły... albo gorzej. Chciał zapewnić sobie odpowiednią opiekę. Spanish Island stanowiła doskonały wybór. Skoro do tej pory nikt jej nie odkrył, raczej nigdy to nie nastąpi. A ponieważ istniało tam już laboratorium, na wyspie było dostatecznie dużo sprzętu, jakiego potrzebował. Bez wątpienia miał nadzieję na wyprodukowanie lekarstwa. Może właśnie kiedy nad nim pracował, udało mu się uleczyć June Brodie.

– Tak, ale po co ta cała szopka? Zainscenizowanie własnej śmierci i śmierci pani Brodie. Przecież nie uciekał przed prawem.

– Nie, nie uciekał przed prawem. To wydaje się ekstremalną reakcją.

Ale w tych okolicznościach trudno się dziwić, że człowiek nie myśli logicznie.

– Tak czy owak on już nie żyje – ciągnęła. – I jak, odnalazł pan spokój? Jakies wnioski?

Agent nie odpowiedział od razu. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos brzmiał sucho i beznamiętnie.

– Nie.

– Dlaczego nie? Rozwiązał pan zagadkę, pomścił zamordowanie żony.

– Proszę pamiętać, co powiedział Slade: że w przyszłości czeka mnie nie lada zaskoczenie. Mógł mieć jedynie na myśli drugiego strzelca, tego, który wciąż przebywa na wolności. I dopóki on gdzieś tam jest, stanowi zagrożenie dla pani, dla Vincenta i dla mnie. I...

– przerwał na chwilę – jest jeszcze coś.

– Słucham.

– Nie spocznę, dopóki żyje choćby jedna osoba odpowiedzialna za śmierć Helen.

Spojrzała na niego, ale on nie wiedząc czemu odwrócił nagle wzrok. Srebrzysty blask dziwnie odmienił oblicze agenta, kiedy tarcza księżyca wyłoniła się w końcu spoza chmur i zniknęła wśród bagien. Jego twarz na chwilę rozjaśniły smugi światła, gdy srebrzysty dysk zanurzył się w głąb roślinności, a kiedy księżyc w końcu schował się za horyzont, poświata zgasła, a bagna ponownie spowiła ciemność.

Malfourche, Missisipi

Wojskowa łódź wielozadaniowa z Pendergastem u steru wślizgnęła się do przystani, naprzeciwko zatoczki i pirsu za barem i sklepem z przynętami U Małego. Słońce wznoszące się ku zenitowi prażyło niemiłosiernie, a wilgotność powietrza była nie do zniesienia. Pendergast wyskoczył z łodzi, zacumował ją i pomógł Hayward wyjść na pomost, a następnie podał jej kule.

Choć nie było jeszcze południa, z wnętrza zapyziałej knajpy po drugiej stronie przystani płynęły już smętne dźwięki muzyki country. Pendergast sięgnął po należącą do June Brodie strzelbę dwunastkę i uniósł nad głowę.

– Co pan zamierza? – spytała Hayward, balansując na kulach.

– Chcę zwrócić uwagę wszystkich. Jak już wcześniej mówiłem, mamy tu pewne niedokończone sprawy.

Rozległ się rozdzierający huk, gdy Pendergast oddał strzał w powietrze. Chwilę potem z baru U Małego wyłonili się ludzie jak szerszenie wylatujące z gniazda, wielu z nich trzymało w ręku puszki z piwem. Małego i Larry’ego nigdzie nie było widać, ale cała reszta, jak stwierdziła Hayward, była na miejscu. Policjantka przypomniała sobie ich spocone twarze, pożądlive spojrzenia i zebrało się jej na mdłości. Grupa mężczyzn patrzyła w milczeniu na dwójkę przybyszów. Oboje umyli się przed opuszczeniem

Spanish Island, a June Brodie dała Laurze czystą bluzkę, Hayward wiedziała jednak, że musieli wyglądać dość niechlujnie.

– Chodźcie tu, chłopcy, zobaczycie, będzie się działo! – zawołał Pendergast, przechodząc przez pomost w stronę knajpy i drugiej przystani.

Tłum niepewnie, z wahaniem podszedł do nich. Wreszcie jeden z mężczyzn, odważniejszy od reszty, postąpił naprzód. Był potężny, paskudny i miał małą głowę, która w porównaniu z jego masywnym cielskiem wyglądała dość groteskowo. Spojrzał na nich z ukosa małymi niebieskimi oczami.

– Czego tu jeszcze chcecie? – warknął, rzucając puszkę do wody.

Hayward przypomniała sobie, że był jednym z tych, którzy pokrzykiwali najgłośniejszy, kiedy jej stanik został rozcięty.

– Mówiłeś pan, że dacie nam spokój – zawołał ktoś inny.

– Powiedziałem, że was nie aresztuję. Nie mówiłem, że nie wrócę, żeby się na was odegrać i uprzykrzyć wam życie.

Mężczyzna podciągnął spodnie.

– Jak dla mnie już pan to robisz.

– Wyśmienicie! – uznał Pendergast i wyszedł na przystań za barem, gdzie przy moło cumowało mnóstwo różnych łodzi. Hayward rozpoznała większość z nich z zasadzki ubiegłego dnia. – Która z tych wspaniałych jednostek należy do Larry’ego?

– Nie twoja sprawa.

Pendergast jakby od niechcienia opuścił strzelbę, po czym wymierzył w najbliższą łódź i pociągnął za spust. Potężny huk poniósł się echem ponad jeziorem, łódź zakołysała się pod wpływem trafienia, a z trzydziestometrowej dziury wyrwanej w aluminiowym kadłubie trysnęła struga wody. Błotnista i mętna, wdarła się do środka, aż dziób łodzi przechylił się w dół.

– Przepraszam, myślałem, że to łódź Larry’ego. A teraz pytam ponownie, która to jego łódź? Ta?

Pendergast wycelował obok i wypalił. W powietrze znów wystrzelił gejzer wody, a łódź podskoczyła i natychmiast zaczęła

tonać.

– Sukinsyn! – warknął jakiś mężczyzna. – Łódź Larry’ego to Legend 2000! Tamta! – Wskazał motorówkę stojącą przy drugim końcu pirsu.

Pendergast podszedł i przyjrzał się jej.

– Ładna. Powiedźcie Larry’emu, że to za wrzucenie mojej odznaki do zalewiska.

Kolejny wystrzał podziurawił jak sito silnik zaburtowy. Pokrywa silnika pofrunęła w górę.

– A to za to, że jest takim prostakiem.

Drugi strzał trafił w łódź na wysokości stępki. Jednostka przechyliła się dziobem do góry, trysnęła woda. Rufa łodzi zaczęła się zalewać, silnik zaczął tonąć.

– Chryste. Ten skurwiel oszalał!

– W rzeczy samej. – Pendergast przeszedł wzdłuż przystani, przeładowując strzelbę, i wycelował jakby od niechcenia w następną łódź. – To za wskazanie nam niewłaściwej drogi.

Bach!

Kolejny nonszalancki krok.

– To za dwa ciosy w splot słoneczny.

Bach!

– To za splunięcie na mnie.

Bach! Bach! Kolejne dwie łodzie poszły na dno.

Pendergast wyjął swoją czterdziestkępiątkę i podał ją Hayward.

– Proszę mieć ich na oku, a ja tymczasem załaduję.

Wyjął z kieszeni garść pocisków i włożył do magazynka strzelby.

– A to przede wszystkim za upokarzające obnażenie mojej szanownej współpracownicy i pożądlive gapienie się na nią przy wtórze wulgarnych, obscenicznych komentarzy. Jak już wcześniej wspominałem, nie traktuje się tak damy.

Przechodząc przez przystań, oddał kolejno strzały do wszystkich pozostałych łodzi, zatrzymując się jedynie po to, by ponownie załadować broń. Tłum patrzył, zszokowany i w absolutnym

milczeniu. Pendergast stanął przed grupą spoconych, roztrzęsionych, podpitych mężczyzn.

– W barze został ktoś jeszcze?

Nikt się nie odezwał.

– Może ktoś powinien wezwać FBI – mruknął Pendergast.

Podszedł do drzwi knajpy, uchylił je i zajrzał do środka.

– Proszę pani? – powiedział. – Proszę wyjść.

Z baru wyskoczyła wzburzona kobieta z tlenionymi na blond włosami i długimi czerwonymi paznokciami, po czym pędem pognęła w stronę parkingu.

– Zgubiła pani obcas! – zawołał za nią Pendergast, ale ona popędziła dalej, utykając.

Agent wszedł do baru. Hayward słyszała, jak otwiera i zamyka drzwi i nawołuje raz po raz. Po chwili stamtąd wyszedł.

– Nie ma nikogo – oznajmił i spojrzał w stronę grupy mężczyzn. – Teraz proszę, abyście wycofali się na parking i ukryli się za stojącymi tam samochodami.

Nikt się nie poruszył.

Bach! Pendergast oddał strzał ponad ich głowami, a ci czym prędzej ruszyli w stronę obskurnego parkingu. Pendergast cofnął się kilka kroków, przeładował strzelbę i wymierzył w wielki zbiornik propanu znajdujący się przy budynku od strony sklepu z przynętami. Odwrócił się do Hayward.

– Pani kapitan, możemy potrzebować siły przebicia naboju kalibru czterdzieści pięć, więc proponuję, żebyśmy strzelali równocześnie. Gdy doliczę do trzech.

Hayward przyjęła pozycję strzelecką, ujmując pistolet oburącz. Chyba mogłabym przywyknąć do metod działania Pendergasta, pomyślała, celując w wielki biały zbiornik.

– Jeden...

– Boże święty, nie... – jęknął ktoś.

– Dwa...

– Trzy!

Wystrzelili równocześnie, czterdziestkapiątka mocno kopnęła. Nastąpił potężny wybuch, fala żaru i nadciśnienia przetoczyła się ponad zbiornikiem. Cały budynek zniknął, zmieniając się w rozszalałą kulę ognia. Z jej wnętrza, ciągnąc za sobą smugi dymu, buchnął grad odłamków i posypał się na nich – wijące się dżdżownice, owady, płonące larwy, kawałki drewna, kołowrotki, żyłki, połamane wędki, potłuczone butelki, świńskie nóżki, pikle, plastry cytryny, podkładki i eksplodujące puszki z piwem.

Z kuli ognia wystrzeliła w górę miniaturowa chmura w kształcie grzyba, podczas gdy deszcz odłamków nieprzerwanie spadał na ziemię. Stopniowo, w miarę jak dym się przeredzał, ich oczom ukazały się płonące ruiny budynku. Z knajpy praktycznie nic nie zostało.

Pendergast zarzucił sobie strzelbę na ramię i podszedł do Hayward.

– Pani kapitan, chyba możemy już iść? Myślę, że czas, abyśmy odwiedzili Vincenta. Czy jest pod ochroną policji, czy też nie, poczuję się lepiej, gdy przeniesiemy go w inne miejsce, o wiele bardziej zaciszne, niedaleko Nowego Jorku, gdzie sami będziemy mogli mieć go na oku.

– Niechaj tak będzie. – Hayward odetchnęła z ulgą i pomyślała, że to dobrze, iż na tym jej współpraca z Pendergastem się kończy. Zdecydowanie za bardzo zaczęło się jej to podobać.

Nowy Jork

Doktor John Felder siedział w swoim gabinecie w gmachu Nowojorskiego Departamentu Zdrowia na Dolnym Manhattanie. Jego biuro mieściło się na szóstym piętrze, tam gdzie Wydział Zdrowia Psychicznego. Zlustrował wzrokiem małe schludne pomieszczenie, upewniając się w myślach, że wszystko jest w porządku: podręczniki medyczne na regałach zostały odkurzone i ustawione we właściwym porządku, bezosobowe obrazy na ścianach wisiały idealnie prosto, krzesła przed biurkiem stały pod właściwym kątem, a na blacie biurka nie leżały żadne zbędne przedmioty.

Doktor Felder zazwyczaj nie przyjmował gości w swoim biurze. Można by powiedzieć, że spotykał się z nimi w terenie: na zamkniętych szpitalnych oddziałach, w areszcie policyjnym, na ostrym dyżurze w szpitalu oraz w miejscu, gdzie prowadził prywatną praktykę, w gabinecie przy Park Avenue. Jednak to spotkanie było innej natury. Po pierwsze to Felder poprosił tego dżentelmena o spotkanie, a nie na odwrót. Psychiatra przeprowadził gruntowny wywiad na temat tego człowieka i to, czego się dowiedział, niepokoiło go. Może zaproszenie go tu było błędem. Mimo to ten mężczyzna wydawał się kluczem, zresztą jedynym, do zagadki, jaką była Constance Greene.

Rozległo się pukanie do drzwi. Felder spojrzał na zegarek: dokładnie dziesiąta trzydzieści. Jak w zegarku. Wstał i otworzył drzwi.

Zjawa, która stanęła w progu, nie uspokoiła wątpliwości dręczących Feldera. Mężczyzna był wysoki, chudy jak tyka i nienagannie ubrany, a jego blada skóra ostro kontrastowała z czernią garnituru. Oczy były równie jasne jak skóra, a spojrzenie, jakim gość obrzucił Feldera, przepełniała mieszanina błyskotliwej wnikliwości, łagodnego zaciekawienia i może również odrobiny rozbawienia.

Felder zdał sobie sprawę, że gapi się na niego.

– Zapraszam – rzucił pośpiesznie. – Pan Pendergast, jak sądzę.

– We własnej osobie.

Felder podprowadził mężczyznę do jednego z krzeseł dla gości, po czym zajął miejsce za biurkiem.

– Bardzo przepraszam, ale tak naprawdę powinienem zwracać się do pana doktorze Pendergast, nieprawdaż? Pozwoliłem sobie zasięgnąć informacji na pana temat.

Pendergast uniósł głowę.

– Mam dwa doktoraty, ale szczerze mówiąc, wolę tytuł, jaki noszę w służbie prawa, a jestem agentem specjalnym FBI.

– Rozumiem.

Felder miał okazję rozmawiać z wieloma policjantami, nigdy dotąd jednak nie trafił mu się agent FBI i nie był pewien, od czego powinien zacząć. Uznał, że bezpośrednie podejście będzie najwłaściwsze.

– Constance Greene jest pańską podopieczną?

– Zgadza się.

Felder rozsiadł się w fotelu, nonszalancko zakładając nogę na nogę. Chciał mieć pewność, że sprawia wrażenie rozluźnionego i nieskrępowanego.

– Zastanawiałem się, czy mógłby pan powiedzieć mi o niej coś więcej. Gdzie się urodziła, jak wyglądało jej wcześniejsze życie...

tego rodzaju rzeczy.

Pendergast wciąż patrzył na niego. Z jakiegoś powodu Feldera zaczęło to drażnić.

– Jest pan psychiatrą przydzielonym do sprawy, zgadza się? – spytał Pendergast.

– Moja ocena została dołączona jako dowód podczas przesłuchania w sprawie o uznanie niepoczytalności.

– I zalecił pan zamknięcie pacjentki w zakładzie.

Felder uśmiechnął się smutno.

– Tak. Otrzymał pan wezwanie do sądu, ale jak rozumiem, odmówił...

– Jaką konkretnie postawił pan diagnozę?

– To dość specjalistyczne...

– Niech mnie pan wprowadzi w ten temat.

Felder zawahał się przez chwilę.

– No dobrze. Oś pierwsza: schizofrenia o typie paranoidalnym w połączeniu z potencjalnie zakładaną osią drugą – zaburzeniami schizoidalnymi połączonymi z psyforią oraz wyraźnymi oznakami fugi dysocjacyjnej.

Pendergast powoli pokiwał głową.

– Na jakich dowodach opiera pan swoją diagnozę?

– Krótko mówiąc, na urojeniu, że ta kobieta to Constance Greene: dziewczyna, która przyszła na świat prawie półtora wieku temu.

– Pan pozwoli, że o coś zapytam, doktorze. Czy w kontekście jej, jak to pan ujął, urojeń, zauważył pan jakieś nieścisłości albo nieprawidłowości?

Felder zmarszczył brwi.

– Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli.

– Czy jej urojenia są wewnętrznie spójne?

– Pomijając przekonanie, że jej dziecko było złe, jej urojenia wydawały się jak najbardziej spójne. Wyjątkowo spójne. I właśnie to mnie tak zaciekało.

– Co konkretnie panu powiedziała?

– Że jej rodzina przeniosła się z farmy na Północy na Water Street, gdzie urodziła się na początku lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, że jej rodzice zmarli na gruźlicę, a jej siostra zginęła z ręki seryjnego mordercy. Potem, że ona, już sierota, została przygarnięta przez byłego mieszkańca willi przy Riverside Drive osiemset dziewięćdziesiąt jeden, o którym nie mamy żadnych informacji. I że ostatecznie pan odziedziczył dom, a co za tym idzie, także opiekę nad tą kobietą.

Felder zawahał się, co Pendergast zdawał się wykorzystać.

– Co jeszcze mówiła o mnie?

– Że został pan jej opiekunem z poczucia winy.

Zapadła cisza.

– Proszę powiedzieć, doktorze Felder – rzekł w końcu Pendergast – czy Constance mówiła panu o tym, co się działo pomiędzy tamtym, wcześniejszym okresem, a niedawnym rejssem na pokładzie statku?

– Nie.

– Nie wspomniała o tym ani słowem?

– Absolutnie.

– Wobec tego zwracam uwagę, że na podstawie artykułu dwieście dziewięćdziesiąt pięć trzydzieści nie można założyć wystąpienia schizofrenicznych zaburzeń osobowości. W najlepszym razie powinien pan rozpoznać zaburzenia schizoidalne, dla diagnozy osi drugiej. Prawda jest zaś taka, że nie dysponuje pan wcześniejszą historią jej choroby i równie dobrze może pan uznać, że te urojenia pojawiły się całkiem niedawno, dajmy na to, w trakcie rejsu po Atlantyku.

Felder nachylił się do przodu. Pendergast zacytował niemal dokładnie definicję schizofrenii paranoidalnej według klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

– Studiował pan psychiatrię, agencie specjalny Pendergast?

– Każdy ma jakieś hobby.

Felder poczuł rozdrażnienie. Dlaczego Pendergast tak się interesował tą sprawą akurat teraz, choć wcześniej wcale się nią nie przejmował?

– Muszę przyznać – stwierdził – że pańskie wnioski wydają mi się pobieżne i trącą amatorszczyzną.

Oczy Pendergasta zabłysły.

– Czy mogę zatem zapytać, z jakiego powodu zasypuje mnie pan pytaniami dotyczącymi Constance, skoro wydał pan już diagnozę i skierował pacjentkę do zakładu zamkniętego?

– No cóż, ja... – Felder czuł, jak srebrne oczy go świdrują.

– Czyżby to zwykła ciekawość? A może... – Pendergast uśmiechnął się – ma pan nadzieję na publikację w czasopiśmie branżowym?

Felder zeszywniał.

– Naturalnie, jeśli w tym przypadku jest coś nowego i niezwykłego, chciałbym podzielić się doświadczeniem z moimi kolegami po fachu za pośrednictwem publikacji w pismach branżowych.

– I dzięki temu umocnić swoją reputację... a być może również – w oczach Pendergasta pojawiły się złowieszcze iskierki – zdobyć intratną posadkę w instytucie badawczym. O ile mi wiadomo, ubiega się pan o stanowisko adiunkta na Uniwersytecie Rockefellera.

Felder był zbity z tropu. Skąd ten człowiek mógł o tym wiedzieć?

Jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie Pendergast machnął lekceważąco ręką i powiedział:

– Ja również pozwoliłem sobie zasięgnąć informacji na pana temat.

Felder zaskoczony, że jego własne słowa zostały użyte przeciwko niemu, próbował odzyskać spokój i zimną krew.

– Moje cele zawodowe są nieistotne. Prawda jest taka, że nigdy dotąd nie zetknąłem się z urojeniami, które brzmiałyby równie

autentycznie. Ta kobieta wydaje się pochodzić z dziewiętnastego wieku – tak się porusza, ubiera, mówi, zachowuje, nawet myśli. Właśnie dlatego zaprosiłem tu pana dzisiaj. Chcę dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Jaki uraz mógł wywołać coś takiego? Jaka ona była wcześniej? Jakie były najważniejsze dla jej psychiki przeżycia? Kim ona jest naprawdę?

Pendergast wciąż patrzył na niego, nie odzywając się ani słowem.

– I nie tylko to. W archiwum odkryłem coś takiego.

Felder otworzył leżącą na biurku teczkę i wyjął stamtąd kserokopię zdjęcia *Zabawy dzieci ulicy* z egzemplarza „New York Daily Inquirer”, po czym podał ją Pendergastowi.

Agent FBI przyjrzał się uważnie i oddał kartkę lekarzowi.

– Podobieństwo jest dość wyraźne. Może to wytwór wyobraźni artysty?

– Proszę spojrzeć na te twarze – rzekł Felder. – Są takie prawdziwe, z całą pewnością to rysunek wykonany z natury.

Pendergast uśmiechnął się tajemniczo, ale Felder odniósł wrażenie, że w szarych oczach agenta dostrzega oznaki szacunku.

– To wszystko jest bardzo ciekawe, doktorze – przerwał. – Może mógłbym panu pomóc, jeżeli pan zechciałby pomóc mnie.

Choć nie wiedział dlaczego, Felder odruchowo zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela.

– Niby jak?

– Constance jest osobą bardzo delikatną, zarówno emocjonalnie, jak i psychicznie. We właściwych warunkach może rozkwitnąć. W niewłaściwych... Gdzie się obecnie znajduje?

– W prywatnym pokoju oddziału dla psychicznie chorych szpitala Bellevue. W przygotowaniu są dokumenty niezbędne przy przeniesieniu jej do zakładu zamkniętego dla obłąkanych w Bedford Hills.

Pendergast pokręcił głową.

– To zakład zamknięty o najwyższym poziomie bezpieczeństwa.

W takim miejscu osoba pokroju Constance zwiędnie niczym

kwiat, jej stan znacznie się pogorszy.

– Nie musi pan się martwić, że coś mogłoby jej grozić ze strony innych osadzonych, bo personel...

– Nie o to chodzi. Constance ma skłonność do nagłych, zwykle brutalnych zachowań psychotycznych. Miejsce takie jak Bedford Hills tylko spotęguje jej psychozy,

– Co zatem by pan sugerował?

– Ona wymaga atmosfery zbliżonej do tej, w jakiej dorastała, miejsca wygodnego, staroświeckiego, niewywołującego stresów. A mimo to dobrze zabezpieczonego i strzeżonego. Powinna być otoczona znajomymi rzeczami, rzecz jasna w granicach rozsądku. Zwłaszcza książki są nieodzowne.

Felder pokręcił głową.

– Jest tylko jedna taka placówka, Mount Mercy, i nie mają wolnych miejsc. A lista oczekujących jest długa.

Pendergast uśmiechnął się.

– Tak się składa, że wiem, iż niecałe trzy tygodnie temu zwolniło się tam jedno miejsce.

Felder spojrzał na niego.

– Naprawdę?

Pendergast pokiwał głową.

– Jako psychiatra przydzielony do sprawy mógłby pan, że tak powiem, ominąć kolejkę i umieścić ją tam. Gdyby osobiście zasugerował pan, że to jedyne miejsce dla niej.

– Ja... eee... przyjrzę się temu.

– Zrobi pan więcej, niż tylko się temu przyjrzy. W zamian ja podzielę się z panem tym, co wiem na temat Constance – a jest tego naprawdę sporo – i zaręczam, że wykracza to poza wszelkie pańskie najśmielsze nawet wyobrażenia. Zapewniam, że w całej swojej karierze nie spotkał się pan z podobnym przypadkiem. Czy te informacje zostaną później opublikowane czy nie, będzie zależało wyłącznie od pana i od pańskiego rozumienia pojęcia poufności.

Felder poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

– Dziękuję.

– To ja panu dziękuję. I życzę miłego dnia, doktorze Felder. Znów się spotkamy, kiedy Constance zostanie przeniesiona i umieszczona bezpiecznie w murach zakładu Mount Mercy.

Felder patrzył, jak agent wychodzi z gabinetu, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. To dziwne, ale ten człowiek również wydawał się pochodzić z dziewiętnastego stulecia. Wtedy też Felder po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, kto naprawdę zaaranżował umówione przez niego spotkanie – i kto zyskał na nim najwięcej.

Epilog

Nowy Jork

Judson Esterhazy rozsiadł się wygodnie w bibliotece swojego domu przy Whitfield Square. Był zaskakująco chłodny majowy wieczór i w kominku palił się niewielki ogień, wypełniając pomieszczenie aromatem płonącej brzeziny.

Upił łyk wybornej szkockiej whisky, którą przyniósł z piwniczki, przez chwilę trzymał płyn w ustach, rozkoszując się torfowym posmakiem, zanim go w końcu połknął. Whisky jednak wydała mu się gorzka, równie gorzka jak jego odczucia w tej chwili.

Pendergast zabił Slade'a. Mówiono, że to było samobójstwo, ale Judson wiedział, iż to nieprawda. Jakimś sposobem Pendergast zdołał do tego doprowadzić. Choć minionych dziesięć lat było naprawdę trudnych, ostatnie chwile życia naukowca musiały być niewyobrażalną mentalną torturą, niepojętym, niekończącym się koszmarem. Judson wiedział, w jaki sposób Pendergast manipulował ludźmi, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że agent wykorzystał demencję Slade'a jako broń przeciwko niemu samemu. W ten sposób zyskał nad nim przewagę. To było morderstwo – gorzej niż morderstwo.

Ze szklanki trzymanej w drżącej dłoni kilka kropel skapnęło na blat. Judson zdecydowanym ruchem odstawił ją na stół. Przynajmniej miał niezbitą pewność, że Slade go nie zdradził.

Staruszek kochał go jak syna – nawet ogarnięty bólem i szaleństwem – i do samego końca nie zdradził swojej tajemnicy. Niektóre rzeczy są silniejsze nawet niż obłąd.

On też kiedyś darzył Slade'a miłością, ale to uczucie umarło dwanaście lat temu. Dostrzegł przeblysłk innego oblicza Slade'a, które jak dla niego było absolutnie nie do przyjęcia – za bardzo przypominał mu jego ojca – brutala, z jego diabolicznymi poszukiwaniami, o których Judson wiedział zdecydowanie za dużo. Może taki był los wszystkich ojców i substytutów ojca – wywoływać uczucie rozczarowania, zdradzać i zatracać dawną wielkość, w miarę jak młodsze pokolenie stało się starsze i mądrzejsze.

Judson pokręcił głową. To wszystko było wielką pomyłką: jedną wielką straszliwą pomyłką. Co za ironia, jeżeli się nad tym zastanowić. Kiedy Helen wspomniała mu po raz pierwszy o swoim pomysle, który przyszedł jej do głowy przypadkiem, bo zrodził się z jej zainteresowania Audubonem, wydawał się nieomal cudem – i to zarówno dla niego, jak i dla niej. „To może być cudowny lek – powiedziała. – Jesteś konsultantem wielu koncernów farmaceutycznych, Judsonie, na pewno będziesz wiedział, do kogo się z tym udać”. I wiedział. Doskonale wiedział, jak zapewnić wsparcie finansowe. Znał również doskonale firmę, która mogła się zająć opracowaniem i produkcją leku: Longitude, prowadzoną przez jego dawnego promotora z uczelni, Charlesa Slade'a pracującego obecnie w sektorze prywatnym. Judson uległ niezwykłemu urokowi i charyzmie starego profesora i od tej pory utrzymywał z nim stały kontakt. Slade był idealnym człowiekiem do wytworzenia tego leku – twórczym, niezależnym myślicielem, w dodatku absolutnie dyskretnym...

A teraz już go nie było, za sprawą Pendergasta, który grzebał w przeszłości, otwierając stare rany – i bezpośrednio lub pośrednio doprowadzając do śmierci kilku osób.

Judson sięgnął po szklanekę i opróżnił jednym haustem, połykając whisky tak szybko, że prawie nie poczuł jej smaku. Na stoliku

leżała również broszura. Esterhazy sięgnął po nią i zaczął wertować. Tłący się w nim gniew zastąpiło uczucie posępnego zadowolenia. Broszura reklamowała uroki zameczku myśliwskiego Kilchurn Shooting Lodge w górach Szkocji. Była to wielka kamienna rezydencja wznosząca się na smaganej wiatrem skale, skąd rozciągał się widok na Loch Duin i Grampiany. Jedno z najbardziej malowniczych i ustronnych miejsc w całej Szkocji oferowało takie atrakcje, jak polowania na kuropatwy, przepiórki i jelenie, połowy łososi. Przyjmowano tam tylko garstkę wybranych gości, dbając przy tym o zapewnienie im prywatności i dyskrecję; polowanie mogło się odbyć z udziałem przewodnika lub nie, w zależności od preferencji myśliwych.

Oczywiście on wolałby podczas polowania sam być dla siebie przewodnikiem.

Dziesięć lat temu Esterhazy i Pendergast spędzili w Kilchurn cały tydzień. Zameczek znajdował się w samym sercu rozległej, pełnej zwierzyny posiadłości o powierzchni szesnastu tysięcy hektarów, gdzie niegdyś mieścił się prywatny rezerwat zwierzyny łownej właścicieli ziemskich z Atholl. Judson był pod wielkim wrażeniem surowego krajobrazu głębokich jezior ukrytych wśród tamtejszych wzgórz, wartkich strumieni pełnych pstrągów i łososi, smaganych wiatrem trzęsawisk i zakazanego Grzęzawiska, urzekających wrzosowisk i leśnych zagajników. Na takich terenach człowiek mógł przepaść bez śladu, a jego kości gniłyby gdzieś, wystawione na działanie deszczu i wiatru, aż nic by z nich nie zostało.

Upił leniwie kolejny łyk osiemnastoletniej szkockiej, którą rozgrzał, trzymając szklanekę w dłoni, i poczuł się spokojniejszy. Jeszcze nie wszystko było stracone – bynajmniej. Prawdę mówiąc, sprawy przybrały lepszy obrót – i to po raz pierwszy od dłuższego czasu. Odłożył na bok broszurę i sięgnął po krótki liścik napisany staroświecko, odręcznie, wiecznym piórem na kremowym czerpanym papierze.

Od autorów

Podczas gdy większość miasteczek i innych miejsc ukazanych w tej powieści jest całkowicie fikcyjna, w kilku wypadkach pozwoliliśmy sobie na przedstawienie po swojemu miast istniejących naprawdę, takich jak Nowy Orlean czy Baton Rouge. Nie zawahaliśmy się zmienić geografii, topologii, historii czy innych szczegółów, aby pasowały do potrzeb niniejszej powieści.

Wszystkie postacie, wydziały policji, korporacje, instytucje, muzea i agencje rządowe wymienione w tej książce są fikcyjne i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością istniejącymi.

Biogram autorów



DOUGLAS PRESTON (ur. 1956 w Cambridge) - popularny pisarz amerykański, brat Richarda, znanego autora książek popularnonaukowych. Pracował w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku.

LINCOLN CHILD (ur. 1957 w Westport w stanie Connecticut) – amerykański pisarz, autor technothrillerów, horrorów i powieści sensacyjnych.

Był redaktorem pierwszej książki Douglasa Prestona - *Dinosaurs in the Attic*. Nawiązali bliższą współpracę. Jej owocem była wydana w 1994 roku powieść **Relikt**, sfilmowana niedługo potem przez Petera Hyamsa. Wspólnie napisali ponad 20 powieści.

Obaj mają w dorobku po kilka powieści pisanych samodzielnie: *Jennie*, *Testament*, *Kanion Tyranozaura*, *Mistyfikacja*, *Konfrontacja*, *Projekt Kraken* – (Preston). *Utopia*, *Eden*, *Głębia*, *Terminalny mróz*, *Grobowiec* – (Child).

Wspólne powieści:

Cykl: Agent Pendergast

Relikt (*The Relic*, 1994)
Relikwiarz (*Reliquary*, 1997)
Gabinet osobliwości (*The Cabinet of Curiosities*, 2002)
Martwa natura z krukami (*Still Life with Crows*, 2003)
Siarka (*Brimstone*, 2004)
Taniec śmierci (*The Dance of Death*, 2005)
Księga umarłych (*The Book of the Dead*, 2006)
Krażąc ciemności (*The Wheel of Darkness*, 2007)
Kult (*Cemetery Dance*, 2009)
Granice szaleństwa (*Fever Dream*, 2010)
Bez litości (*Cold Vengeance*, 2011)
Dwa groby (*Two Graves*, 2012)
Biały ogień (*White Fire*, 2013)
Błękitny labirynt (*Blue Labyrinth*, 2014)
(*Crimson Shore*, 2015)

Cykl: Gideon Crew

Miecz Gideona (*Gideon's Sword*, 2011)
Trup Gideona (*Gideon's Corpse*, 2012)
Zaginiona wyspa (*The Lost Island*, 2014)

Inne

Laboratorium (*Mount Dragon*, 1996)
Zabójcza fala (*Riptide*, 1998)
Nadciągająca burza (*Thunderhead*, 1999)
Granica lodu (*The Ice Limit*, 2000)